



Zenon Kosidowski
Opowieści ewangelistów

1979 r.

OD AUTORA

Po ukończeniu Opowieści biblijnych nie miałem wątpliwości, jaką drogą kroczyć dalej. Naturalną rzeczą kolejną musiało być pochłonięcie to, co w historii nastąpiło potem. Opowieści biblijne zakończyłem krótką informacją o żydowskiej sekcji eseńczyków, których dokumenty i klasztor odkryto w Qumran, a których wierzenia, jakże podobne pod wieloma względami do wierzeń pierwszych chrześcijan, stanowiły jakby przejściowe ogniwo łączące starą i nową epokę.

Kim była centralna postać nowej religii - Jezus z Nazaretu? Czy istnieją dowody potwierdzające jego historyczność? I jak to się stało, że ten skromny nauczyciel wędrowny nazwany przez swoich uczniów „Mesjaszem” - jeden z wielu mesjaszów, jacy pojawiali się w zapadłej i mało znanej prowincji imperium rzymskiego - stał się z biegiem czasu przedmiotem powszechnego kultu? Na te pytania usiłuję odpowiedzieć niniejszą książką. Zabierając się do Jej napisania, wiedziałem, jak kontrowersyjnego zadania się podejmuję. Tematyka Opowieści ewangelistów jest dla wielu jeszcze ludzi czymś w rodzaju tabu, wobec którego powinna milnieć wszelka krytyczna refleksja i ciekawość. Wiem, że u ludzi tego pokroju książka moja nie spotka się z zyczyliwym przyjęciem.

Prażnę jednak zaznaczyć, że dla ludzi autentycznie religijnych mam głęboki szacunek. Pamiętając, jak głęboko osobicie obchoďdzą ich omawiane w książce sprawy, staram się w miarę swoich sił nie urazić ich uczuć. Nie wiem jednak, czy mi się to udało, gdyż postulat zastosowania jak najdalej posuniętej oględności mógłby wszak kolidować z właściwym zamierzeniem książki, mianowicie z dążeniem do możliwie pełnego poinformowania czytelników, co współczesna nauka w wyniku swych badań ma obecnie do powiedzenia na temat pochodzenia i rozwoju chrześcijaństwa.

Nie mam, rzecz jasna, wygórowanych złudzeń, że swoją książką zdołam zwerbować ludzi, stojących na gruncie wiary, do naukowego sposobu myślenia w sprawie ich przekonań religijnych. Są to przeciwieście zagadnienia psychologiczne i socjologicznie złożone, sięgające korzeniami w pokłady najtymniejszych przeżyć wewnętrzných, z którymi każdy z osobna musi sobie poradzić bez pomocy z zewnątrz w postaci takiej czy innej argumentacji.

Wszelako parę listów, otrzymanych po ukazaniu się Opowieści biblijnych, stanowi bodajże zachęcający dowód, że nawet ludzie wierzący, o ile tylko nie są z góry uprzedzeni, potrafią tolerancyjnie odnieść się do tego rodzaju książek. I myślę, że nie jest to jedynie tylko sprawą osobistej kultury umysłowej. Widocznie ludzie ci nie lekają się konfrontacji z faktami i poglądami, które nie odpowiadają ich wierzeniom, ponieważ wierzenia te traktują szczerze i poważnie. Poczytaliśmy sobie za duże osiągnięcie, gdyby także nowa moja książka spotkała się z dobrą wolą i gotowością rzetelnego dialogu z zawartymi w niej argumentami.

Opowieści ewangelistów - czas wrzescie powieďdzić - pisałem jednak przede wszystkim z myślą o tych na wskroś współczesnych czytelnikach, którzy holdują zasadzie, że napródź trzeba wiedzieć, aby uwierzyć - nie zaś odwrotnie. Urbanizacja społeczeństwa i uprzemysłowienie kraju oraz związane z tym procesem przeobrażenia w tradycyjnym układzie stosunków społecznych i obyczajowych, a szczególnie rewolucyjne odkrycia naukowe - zmieniające do gruntu nasz utarty obraz świata - wszystko to sprawia, że ludzie szybciej dojrzejwią intelektualnie i wyrabiają w sobie nawyk samodzielnego myślenia.

Uderzającym zjawiskiem współczesności jest to, że szereg tych ludzi rosną w zawrotnym wprost tempie i stanowią dziś chyba niemalą już część społeczeństwa.

Nie można jednak brać wszystkich pod jeden strychulec. Bывают wśród nich tacy, którzy odczuwają potrzebę racjonalnego uzasadnienia swoich wątpliwości religijnych i na własną rękę szukają argumentów w odpowiedniej literaturze naukowej. Nie przychodzi im to łatwo, gdyż literatura dotycząca tych zagadnień, publikowana w wielu językach, jest na ogół mniej dostępna przeciętnemu czytelnikowi, a przy tym tak rozległa, że łatwo się w niej zgubić. Trzeba rzeczywiście mieć wiele czasu i wytrwałości, by jako tako rozeznąć się w tej bibliograficznej obfitości i wyłowić z niej to wszystko, co może być przydatne. Takie, jak i też inne trudności wyjaśniają nam do pewnego stopnia, dlaczego tego rodzaju samodzielnych poszukiwaczy nierzadko spotykamy.

Większość ludzi teje formacji cechuje jednak w sprawach wiary postawa raczej bierna, manifestująca się w indyferentyzmie religijnym. Nie mając czasu ani chęci do poszukiwań na własną rękę, zatrzymują się oni niejako w pół drogi i po prostu przestają sobie zaprztać głowę tymi tak przecież życiowo oddalonymi sprawami. Co jednak nie znaczy, aby nie chłonęli z zaciekawieniem wszelkich informacji, które przypadkowo dostają się do ich rąk i mogą być jakimś naukowym komentarzem do przeżywaných religijnych wątpliwości.

Z myślą właśnie o tych ludziach piszę Opowieści ewangelistów. Pragnę dostarczyć im książkę, która byłaby czymś w rodzaju intelektualnego „vademeccum” w ich samotnych rozterkach i rozmyślaniach. Przy zachowaniu wymaganych walorów literackich ma ona skupić na swoich kartach najistotniejsze elementy osiągnięć badawczych archeologii, religioznawstwa i biblistyki, zwykle rozproszonych w rozlicznych, trudno dostępnych pracach specjalistycznych. Uważam się przeto za pośrednika między nauką a swoimi czytelnikami: pośrednictwo to staram się w miarę swoich możliwości spełnić rzetelnie, dając pełną i wszechstronną relację ze swoich lektur, o ile to oczywiście jest możliwe w ciasnych ramach jednej książki. Nie taję jednak, że jestem w tych zagadnieniach zaangażowany uczuciowo i intelektualnie, a zatem nie może to być relacja beznamiętna i bezosobowa. Mój stosunek do spraw religijnych jest czytelnikom znany i trudno ode mnie wymagać, abym nie miał pewnych określonych preferencji. Będąc racjonalistą, wystrzegam się jednak, aby nie zatracić wyczulenia na to wszystko, co związane jest z człowieczeństwem, z jego burzliwą peregrynacją dziejową. Wierzenia, mity i legendy o tyle są prawdziwe, że tworzyły przeciwieście kultury i cywilizacje, że były wykładnikiem nurtujących pokolenia tęsknot i nadziei, że w dostępny sposób wyjaśniały człowiekowi groźną tajemnicę bytu i uśmierzały jego najtajemnicze niepokoje. Były to więc sprawy głęboko ludzkie, których nie wolno nie uwzględniać podczas dokonywania naukowych rozrachunków z przeszłością.

Dzisiejszy człowiek żyje w burzliwym i szybko zmieniającym się świecie, w którym przelomowe odkrycia naukowe i wynikające z nich nowe pojęcia światopoglądowe stały się własnością powszechną. Niełatwo mu przyjąć za dobrą monetę to, co w dalekich odmiennych epokach i warunkach społecznych wytworzyła fantazja naszych przaprzedków, szukających ucieczki przed strapieniami dnia codziennego w pozaziemskiej sferze cudów, legendy i mesjanistycznych nadziei. Podstawowe koncepcje teologiczne chrześcijaństwa wywodzą się z prastarzej kosmogonii biblijnej. To przeciwieście z Księgi Rodzaju bierze się ową, iż osiów wszechświata jest ziemia i człowiek. Wią geoecentryzm i antropocentryzm, którego Kościół kurczowo się trzymał przez wieki na prześladanym odkryciem astronomów, począł się gdzieś w mroczkach zamierzejłej przeszłości wśród wędrowných pasterszych semickich. Ich ustrój rodowy oparty był na patriarchacie, toteż przez analogię wyobraźli sobie, iż również całym światem rządzi i na podobieństwo ich plemiennej szejki - brodaty, siedzify starzec, Bóg-Ojciec. On stworzył na swoje podobieństwo mężczyzną i dla towarzyszenia obdarzył go niewiastą, Ziemia, niebo, słońce, księżyc, gwiazdy, morze i zwierzęta, wszystko, co powstało z nicości, przeznaczone było na użytek człowieka.

Wszeczświata w pojęciu tych prostodusznych pasterzy był oczywiście mały. W ich naiwnych umysłach nie mieściła się wchodząca już w abstrakcję koncepcja kosmicznych wymiarów, ponieważ wykraczała ona poza sferę ich codzienných doświadczeń myślowych. Ziemia była w ich wyobraźniach płaską, otoczoną wodami wyspą; niebo wisiało nad nimi tak nisko, że aniolowie wchodzili w jego progi po zwykłej drabinie, a ludziom udałooby się o mało co dotrzeć tam szczytem Wieży Babel, tylko że Bóg pokrzyżował ich plany, uciekając się do fortelu pomieszania im języków i w ten sposób sabotując budowę. Interweniował on zresztą przy lada okazji w najbardziej intymne sprawy ludzkie: swatał małżeństwa, mieszał się w niesnaski rodowe, gromił, upominał, a nawet osobiście prowadził swój lud do boju. Na ziemi roilo się od aniołów i diabłów, a tuż pod ziemią kryło się piekło, przybytek szatana, którego zadaniem było prowokowanie ludzi do grzechu. Można by sądzić, że dzisiaj, w epoce triumfu rozumu ludzkiego, tego rodzaju archaiczne wyobrażenia nie powinny mieć racji bytu. A jednak jest inaczej. Oświata na naszym globie nie rozkrzewia się

równomiernie i znamienita większość jego mieszkańców tkwi jeszcze w pojęciach minioných czasów. Ludzkość nadal holduje rozlicznym zabobonom i mitom, a tylko niepokazny odsetek ludzi dostrzymuje kroku współczesnym ideom wiedzy i postępu.

Obraz świata, utkany z urojęń zamierzających pokoleń ludzkich, przypominający malowidło dziecziej Teki, wydaje się niedoręczony w świetle tego wszystkiego, co dziś wiemy o budowie wszechświata w wyniku badań astronomii, astrofizyki, biologii i fizyki jądrowej. Nasz system słoneczny jest w naszej galaktyce zwanej Drogą Mleczną tylko jednym z miliardów innych systemów, i to w dodatku bardzo poslednim, odsuniętym gdzieś na daleki margines tego gigantycznego skupiska gwiazd. Przy szybkości 300 tysięcy kilometrów na sekundę światło przebywa odległość między Księżycem a Ziemią w ciągu niecałej półtorzej sekundy. Jakże mikroskopijna odległość w porównaniu z wymiarami naszej galaktyki, która ma kształt spirali o średnicy 85 tysięcy lat świetlných!

Takich galaktyk naliczono blisko miliard w przestrzeni kosmiczej, a według teorii angielskiego astrofizyka A.S. Eddingtona istnieje ich we wszechświecie przeszło sto miliardów. Wszystkie dotąd poznane galaktyki należą prawdopodobnie do systemu gwiazd wyższego rzędu zwanego metagalaktyką, a te znowu wchodzą w jeszcze większe skupisko rządzące swoimi własnymi prawami - w metagalaktykę. Niekiedy astronomowie doszli do przekonania, że nasz wszechświat jest zamkniętą w sobie całością, którego obwód wynosi sto miliardów lat świetlných, przy czym według jednej z hipotez, popieraných przez wielu uczonych, poszerza się on z zawrotną szybkością na kształt nadmuchiwane balonu pocętkowanego gwiazdami.

Dzięki zdobycom nauki jesteśmy świadomi tej przeraźającej próżni kosmiczej, w której wirują i płoną miriady termojądrowých reaktorów wytwarzających gigantyczne energie. Nie wolno nam jednak zapominać, że właściwie żyjemy w świecie niedostępnym naszym zmysłom, i że nigdy nie dowiemy się, czy jest on w rzeczywistości. Najbliższa mgławica spiralna oddalona jest od nas o przeszło milion lat świetlných, to znaczy, że w chwili gdy na nią spoglądamy z naszego ziemskiego pyłku widzimy ją taką, jaka była milion lat temu. Nigdy nie dowiemy się, czy jest ona jeszcze dzisiaj tam, w tym samym miejscu, skąd popłynęło jej światło.

Jak widzimy, cale to gwiazdziste widowisko jest jedynie tylko mirażem optycznym, świetlistym wolaniem z otchłami najdalejzej przeszłości. Wybitny pisarz francuski Andre Maurois w jednym z jego esejów tak oto wypowiedział się na ten temat: „Nie sądzę, abyśmy zdołali poznać najgłębszą tajemnicę natury. Wydaje się, że nadzieja na jej zgłębienie jest iluzją. Nasz zmysł nie jest stworzony do odkrycia jej tajemnicy, lecz do tego, aby zbudować obraz świata potrzebny człowiekowi w ograniczonej sferze jego przetrzeźni życiowej. Stanowimy taką nikłą cząstkę naszego wszechświata, że niedorzeczne byłoby mówić o jakiejś wielkiej całości, której istnienia nie jesteśmy nawet w stanie sobie wyobrazić. Podróź na Księżyc będzie wyczerpanym zadziwianym, ale cóż ona znaczy wobec odległości dzielących nas od najdalejzej galaktyki? Powiada się, że nasz wszechświat ma granice, ale czy gdzieś, nie potrafimy sobie uźmysłwić, nie mogą istnieć inne wszechświaty, tak bardzo od nas odległe, że żadna aparatura nie jest w stanie wykryć ich istnienia?”

W obliczu wielkich odkryć nauki współczesnej wszelkie teologiczne uroszczenia oparte na przesławiadzeniu, że człowiek zna Boga i jego tajemnice, muszą ulec poważnemu zakwestionowaniu nawet w oczach ludzi głęboko przywiązanych do swej religii. Słynny francuski filozof i teolog katolicki ks. Pierre Teilhard de Chardin, którego trudno počezć pomawiać o ateizm, w następujący sposób dał wyraz swoim najgłębszym rozterkom - wewnętrznym: „Ktoż ośmielił się naprawdę - choćby raz z życia - uświadomić sobie w całej pełni i «przyć» wszechświat złożony z galaktyk odległych od siebie o setki tysięcy lat świetlných? Jeśli zaś ktoś próbował to uczynić, czy nie zachwiało to zadnym z jego przekonañ? Ci zaś, co starają się nie widzieć tego wszystkiego, co nam beztężnie odkrywają astronomowie, czyż nie odnoszą mimo to wrażenia, że jakaś ogromna chmura rzuciła cień na wszystkie ich radości?” (Pisma wybrane, przeł. W. Sukienicka i M. Tabirz). Tę samą myśl wyraził w sposób oryginalny i lapidarny protestancki teolog i profesor uniwersytetu w Chicago Józef Sittler: „Musimy mieć Chrystusa tej miary, co współczesny umysł. Jeżeli umysł nie skierowano na galaktyki, nie możemy mieć Jezusa ograniczonego do Palestyny”.

Myslę, że w tych zdaniach strześcza się istota wielkiego kryzysu doktrynalnego, jaki wstrząsa dzisiaj wszystkimi wyznamiem chrześcijańskimi, a szczególnie katolicyzmem. Teolodzy usiłują zmoderinizować swoją doktrynę i dostosować ją do umysłowości dzisiejszego człowieka przy reinterpretacji dogmatów i artykułów wiary w sensie nadania im znaczenia raczej alegorycznego. Katolicki filozof Jacques Maritain zarzuca wspomnianemu już teologowi ks. Pierre Teilhard de Chardin, że usiłuje że świata uczynić jakiś system ewolucyjny, w którym historyczny Jezus stał się uosobieniem najistotniejszych zasady i ostatecznego celu

wszechświata, a więc raczej symbolem niż cielesną osobowością.

Owe metody alegoryzowania religijnych dogmatów nie mogą jednak zadowolić współczesnego człowieka przyzwyczajonego do racjonalistycznego myślenia. Odpowiedź na nurtujące go pytania dać mu może jedynie ściśle naukowe pojęta, wolna od dogmatycznych założeń biblistyka, która przeprowadza ściśle badania nad rzeczywistym rododem chrześcijaństwa i jego piśmiennej spuścizny, zawartej w Nowym Testamencie i w literaturze apokryficznej nie wchodzącej do kanonu kościelnego. Współczesny człowiek, wyzwalając się z wiekowych nawarstwień mitologii chrześcijańskiej, chce znać prawdę o jej źródłach i rozwoju, nie tylko dlatego, że jest ona tak fascynująco ciekawa, ale może przede wszystkim dlatego, że jego intelektualna godność, to co można by nazwać sumieniem myślenia, wymaga odeń, aby na wszystko, co czyni i myśli, miał pokrycie w rzeteczowej, naukowo zweryfikowanej argumentacji. Celem mojej książki jest pomóc czytelnikom w tym zamierzeniu, ułatwić im poznanie tego złożonego zagadnienia choćby w relacji skrótowej; będę szczęśliwy, jeżeli to zaszczytne zadanie pośrednika między nauką a czytelnikiem zdołam spełnić w tym skromnym stopniu, na jaki mnie stać w tej chwili.



Jeden spośród milionów niewolników
CO RYZYMIANIE WIEDZIELI O JEZUSIE Z
NAZARETU?

Kim był Jezus z Nazaretu? Jakie istnieją dowody potwierdzające jego historyczność? Do końca osiemnastego, a nawet jeszcze w pierwszych dziesiątkach dziewiętnastego wieku stawianie podobnych pytań niejednokrotnie pociągalo za sobą przykre następstwa. Zbyt wicbska docieklivość w tym względzie, wykraczająca poza Nowy Testament i uswięconą przez Kościół tradycję, uchodziła w oczach chrześcijan, zwłaszcza teologów, za niewłaściwą, wręcz zakrawającą na herezję. Zapominali przy tym o jednym z ich własnych podstawowych artykułów wiary, który głosi, że Jezus to nie tylko Syn Boga, lecz także człowiek z krwi i kości, a więc podlegający na równi z innymi ludźmi wszelkim ziemskim przypadłościom i mający swoją doczesną biografie.

Skutki tej postawy odczuł na sobie badacz, który był pionierami w nowej dziedzinie wiedzy - biblistyce. Niemiec Samuel Reimarus nie zdobył się na publikowanie wyników swoich studiów; wydano je dopiero w dziesięć lat po jego śmierci. Natomiast wybitny niemiecki teolog Dawid Fryderyk Strauss i francuski orientalista Ernest Renan, którzy swoimi pracami o Jezusie zdobyli światowy rozgłos i odegrali kardynalną rolę w ukształtowaniu współczesnej umysłowości, przypłacili swoją odwagę utratą katedr uniwersyteckich.

Dzisiaj podobne zakusy na swobodę badań naukowych raczej należą już do przeszłości, przynajmniej w tak drastycznej i nie zamaskowanej odmianie. Nastają czasy intensywnych, niczym nie skrepaných poszukiwań. Owocem tego zbiorowego wysiłku umysłowego uczonych - historyków, religioznawców, filologów, archeologów i wielu innych specjalistów - jest imponująca literatura rzucająca swymi rewelacyjnymi odkryciami zupełnie nowe światło na te sprawy. Wróćmy jednak do naszych początkowych pytań. Otóż tradycja chrześcijańska na dowód historycznego istnienia Jezusa przytacza zachowane do naszych czasów przekazy pozachrześcijańskie, a więc także, których bezstronności, jak wierzone, nie sposób było kwestionować. Chodzi tu o wzmianki zawarte w tekstach trzech autorów rzymskich, mianowicie Tacyta, Pliniusza Młodszego i Swetoniusza. Od pierwszych wyznawców Chrystusa dzieliło wymienionych autorów dosłownie wszystko: wykształcenie, pochodzenie społeczne, sytuacja majątkowa, kultura i wyobrażenia religijne. Chrześcijanie, których zresztą przeważnie nie odróżniano od Żydów, należeli do proletariatu miejskiego i mieszkali stłoczony w najbiedniejszych

dzielnicach Rzymu. Wspomniani trzej pisarze byli patrycjuszami, konsulami i senatorami, jednym słowem, należeli do najwyższych sfer dworskich cesarstwa. Tych dostojnych meźów odzianych w togę nie można było chyba pościć o żywylność stosunek do współłwa, którego obyczaje i religia musiały im się wydawać nie tylko niezrozumiałe i dziwaczne, ale nawet odstręcające. Jeżeli więc - powiadał sobie - tacy ludzie mimo wszystko zechcieli się zmuszeni wspomnieć w swych dziełach twórcę tej tak obcej im religii, to trudno chyba o wiarygodniejsze świadectwo istnienia Jezusa Chrystusa.

Rozumowanie to byłoby jednak słuszone tylko w przypadku, gdyby stwierdzono się w sposób niezbity, iż owe wzmiarki są autentyczne, to znaczy, że wyszły naprawdę spod pióra wymienionych autorów. Toteż badacze, rozpoczynając swoją żmudną pilgrzymkę szlakiem drogi życiowej Jezusa, musieli przede wszystkim wziąć na warsztat owe tradycje chrześcijańską i pódcać wzmianki wymienionych trzech autorów rzymskich ścisłej naukowej ekspertyzie.

Wydany przez nich werydykt ukazał się dopiero po długich latach wnikliwych dociekań i nie we wszystkich kwestiach spotkał się z jednomyślną aprobatą. Są kwestie, które z tych czy innych względów nie zostały wyjaśnione ostatecznie i nadal stanowią przedmiot żywej kontrowersji. Poczyniwszy w imię rzetelności to zastrzeżenie, spróbujmy teraz w mocno skróconej relacji przedstawić wyniki tych badań, które, nawiasem mówiąc, przypominają czasami paşjonujący pojedynek współczesnego, krytycznie wyostrożonego intelektu ze starodawnymi łamigłówkami.

Zaczniemy od Tacyty, wielkiego dziejopisarza i prozaiaka rzymskiego, patrycjusza i konsula (ok. 56-120 r. n.e.) Około 116 r. ukazało się najważniejsze jego dzieło Roczniki (Annales). W księdze XV znajdujemy opis słynnego pożaru, który wybuchł w 64 r. i omal nie strawił całego Rzymu. Wiemy, że współczesni oskarżali Nerona o to, że sam kazał miasto podpalić, aby uzyskać wolny teren na budowę nowego Rzymu według swoich własnych wyobrażeń. Szalenie na tronie cesarskim postanowił odwrócić od siebie podejrzania i zwał winę na chrześcijan. W rozdziale 44 czytamy:

„Aby jak więc usunąć [pogłoskę], postawił Neron winowajców i dotknął najbardziej wyszukanymi kaźniami tych, których znanianowidno dla ich sromot, a których gmin chrześcijanami nazywał. Początek tej nazwie dał Chrystus, który za panowania Tyberjusza skazany został na śmierć przez prokuratora Poncjusza Pilatusa; a przytłumiony na razie zgubny zabobon znowu wybuchnął, nie tylko w Judei, gdzie się to zło wyęgło, lecz także w stolicy, dokąd wszędzie, co potrnie albo sromotnie, zewsząd napływa i licznych znajduje zwolenników. Schwytno więc napród tych, którzy tę wiarę publicznie wyznawali, potem na podstawie ich zeznań ogromno mnóstwo innych, i udowodniono im nie tyle zbrodnicze podpalenia, ile nianawidni ko rozdajowi ludzkiemu. A śmierci ich przysądano to uragowisko, że okryci skorami dzikich zwierząt ginęli rozszarpawani przez psy albo przybici do krzyżów [albo przeprecznieni na pastwę plomieni i, gdy zabrakło nia, palili się służąc za noce pochodnie. Na to widowisko ofiarował Neron swój park i wydał igrzysko w cyrku, gdzie w przebraniu woźnicy z tłumem się mieszał lub na wozie stawał. Stąd, chociaż ci ludzie byli winni i zasługiwali na najsurowsze kary, budziła się ku nim litość, jako że nie dla pożytku państwa, lecz dla zadośćuczynienia okrucieństwu jednego człowieka byli traceni.”

Co o tym fragmencie sądzić? Za jego autentycznością przemawia jawnie wróż stosunek do ofiar Nerona i ich wierzeń religijnych, nazwanych wzgardliwie „złubnym zabobonem”. Ponieważ nie sposób przypuszczać, iż jest to interpolacja pochodzenia chrześcijańskiego, przjmujemy za pewnik, że autorem jest sam Tacyt.

Wobec tego zadajmy sobie teraz pytanie, w jakim stopniu i czy w ogóle Tacyt zasługuje na wiarę, gdy pisze, iż w Rzymie mieszało wielu chrześcijan, którzy swą nazwę od Chrystusa wywodzili. Pytanie to, na pierwszy rzut oka zaskakujące, nie jest tak znnowu pozabawione uzasadnienia. Wiemy bowiem skądinać, że w I wieku n.e. wyznawcy Chrystusa nie nazywali się jeszcze „chrześcijanami”, a pożar Rzymu, jak wiadomo, przypada na 64 r. n.e. Z Dziejów Apostolskich (11,26) dowiadujemy się, że nazwę albo przydomek - jak kto woli - „christiano” ukuli pogańscy mieszkańcy Antiochii. Jak powstała ta nazwa? Otóż „christos” to przekład na język grecki hebrajskiego słowa „mesjasz”, które oznacza „pomazany”, „namaszczony”. A więc przydomek „christiano” znaczył „zwolennicy Chrystusa”.

Z czasem wyznawcy Chrystusa przyzwyczaili się do tej nazwy i zaczęli sami jej używać. Zanim to jednak nastąpiło, nazywali siebie „świętymi”, „braćmi”, „wybranymi”, „synami świetłości”, „uczniami”, „ubogimi”, a przede wszystkim „nazarejczykami”. U Mateusza czytamy: „A przyszedłszy zamieszkał w mieście, które zowią Nazaret, aby się wypełniło, co jest powiedziane przez proroków, że „Nazarejczykiem będzie nazwany” (2, 23). W Dziejach Apostolskich arcykapłan Ananiasz powiada o Pawle: „Męga tego, szerzydca zarazy, znaleźliśmy wzbudającego niepokój wśród wszystkich Żydów na całym świecie, jako że jest on przywódcą buntowniczej sekty nazarejczyków” (24, 5). Wiemy również od niektórych ojców Kościoła, że przez długi

czas dla określenia wyznawców Chrystusa znano tylko nazwę „nazarejczyki”.

A więc w 64 r. n.e. w Rzymie nie było „chrześcijan”, jak to podaje Tacyt. Nazarejczyki tworzyli wprawdzie osobną sektę, ale nie wyłamywali się z judaizmu. Uważali siebie za prawowiernych Żydów, a różnił się od swoich współbraci tym jedynie, że ich przekłanianiu zapowiadający przez biblijnych proroków Mesjasz już się pojawił w osobie Jezusa Chrystusa. Nie można się dlatego dziwić Rzymianom, że nie odróżniali chrześcijan od Żydów, co między innymi widzimy na przykładzie notatki Swetoniusza, którą niebawem też tu się zajmiemy.

Tacytowi musimy w konsekwencji zarzucić, że swoją metodą odtwarzania przeszłości dopuścił się anachronizmu. W początkach II wieku, kiedy powstały Roczniki, w Rzymie istotnie było dużo wyznawców Jezusa, których w tych czasach już nazywano chrześcijanami. Tacyt po prostu stosunki aktualne przeniósł zycwem wstecz o całe pół wieku. Można nawet wyobrazić sobie, jak do tego doszło. Historyk zacerpnął chyba swoje informacje bezpośrednio u chrześcijan. Zapewne opowiadali mu oni nie tylko o tym, jak wielu chrześcijan zgineło niewinnie podczas pożaru, chociaż - trzeba tu nawiasem podać - ofiarami byli na pewno także Żydzi, ale również podawali mu przy tej okazji takie fakty, jak śmierć Chrystusa za panowania Tyberjusza z wyroku Poncjusza Pilata, a przede wszystkim ogromnie ciekawo szczegóły, jakoby męczeni przez Nerona wyznawcy Chrystusa wzbudili uczucie litości wśród ówczesnych Rzymian.

Biorąc wszystko to pod uwagę, możemy ostatecznie powiedzieć, że zacytowany fragment istotnie wyszedł spod pióra Tacyty, wszelako inspirowany przez chrześcijan II wieku nie odtwarza wiernie sytuacji z 64 r., a więc z połowy I wieku. Trzeba jeszcze dodać dla ścisłości, że tekst Roczników odnalazono dopiero w 1429 r. Znając swobodę, z jaką dawni kopisci traktowali oryginalne teksty, nie można wykluczyć możliwości, że ktoś z tych nieprzeliczonych pokoleń przepisowywaczy uważał za wskazane dodać niektóre wymienione powyżej szczegóły, czyli że stanowią one późniejszą interpolację. Chodzić mogło m.in. o to, by w oczach nawróconych na chrześcijaństwo mieszczan rzymskich zrehabilitować ich przodków przez zaznaczenie, że dla pierwszych męczenników wiary żywili oni uczucie litości, że przeto dystansowali się od zbrodni Nerona. Ko to by sądził, że ta teza jest raczej wątpliwa, ten nie liczy się z mentalnością i psychologią ludzi dawnych wieków, którym pojęcie historii w sensie współczesnym było całkowicie obce. W ciągu naszych rozważań często jeszcze spotkamy się z tego rodzaju ingerencjami w oryginalne teksty, by nie powiedzieć - z poprawiającymi historię falsyfikatami, dokonanyimi w imię jakichś wyższych celów.

Wśród pisarzy rzymskich, którzy poświęcili wzmianki pierwszym wyznawcom Chrystusa, wymieniliśmy na drugim miejscu Pliniusza Młodszego. Żył on w latach ok. 61 - 114 i był, co należy podkreślić, bliskim przyjacielm Tacyty. Trwałe miejsce w historii zająwdcaza u swojej korespondencji, która zachowała się do naszych czasów w dziewięciu księgach, a szczególnie sprawozdaniem wysyłałym do cesarza Trajana z Bitynii, gdzie w latach 111 - 113 piastował stanowisko namiestnika Rzymu.

W jednym z tych listów-sprawozdań Pliniusz Młodszy pisze o wyznawcach Chrystusa: „Wszędzie to wierzzenie się rozkrzewia, nie tylko w miastach i wsiach, ale w całym kraju. Świątynie pustosząca i od dawna już nie składano żadnych ofiar”. Następnie zaś czytamy: „Mieli zwyczaj w pewnych dniach przed wschodem słońca się zbierać i do Chrystusa jako boga modliły odmawiać”.

Niektórzy uczeni stawiają pod znakiem zapytania autentyczność tej wzmianki. Twierdzą oni, że w XVI wieku podrobił ją Giocondo di Verona wzorując się na słowach Festusa skierowanych od króla Agryppy w Dziejach Apostolskich (25 i 26). Nie będziemy jednak bliżej zajmowali się tą tezą, ponieważ większość badaczy zgodnie uznała notatkę za raczej autentyczną. Nie ma zresztą powodu sądzić inaczej, skoro w lakonicznej informacji nie znajdujemy nic podejzrzanego, a wyłącznie tylko to, co wiemy już skądinać, mianowicie, że w początkach II wieku wyznawanie chrześcijańskie rozpowszechniało się we wschodnich prowincjach rzymskich z taką żywילוścią, że świątynie pogańskie pustoszały, a ludzie przestali składać ofiary swoim dawnym miejscowym bogom. Dowiedzieliśmy się ponadto z listu, że wyznawcy nowej religii zanosili przed wschodem słońca modły do Chrystusa jako swego Boga. Pliniusz Młodszy będąc namiestnikiem Bitynii nie mógł chyba nie wiedzieć, co się działo w podległych mu prowincjach i byłoby raczej dziwne, gdyby w swoich sprawozdaniach do cesarza pominął milczeniem to niepokojące dla Rzymu zjawisko. Jak widzimy, nie brak podstaw, aby wzmiankę uznać za autentyczną.

Trzeci wymieniony przez nas autor rzymski Swetoniusz (ok. 70 - 140 r.) obracał się również w najwyższych kołach dworskich i cieszył się protekcją Pliniusza Młodszego. W jego słynnym dziele Żywoty cesarów (ok. 121 r.) znajdują się dwie krótkie, lecz wymowne notatki. W rozdziale o Klaudiuszu czytamy: „Żydów wypędził z Rzymu za to, że bezustannie wichrzyli, podżegani przez jakiegoś Chrestosa”, a w rozdziale o Neronie: „Ukarano turorami chrześcijan, wyznawców nowego i

zbrodniczego zabobonu”. Musimy przyznać, że w rygorystycznej weryfikacji naukowej co do ich autentyczności zarówno pierwszy, jak i drugi passus wyszły obronną ręką, z tym tylko, że drugi jest niewątpliwie zapożyczeniem z Tacyty, a więc pochodzi nie z pierwszej ręki.

To jest wszystko, co posiadamy, gdy chodzi o echa chrześcijańskie w tekstach pisarzy rzymskich. Jeśli przypomniemy sobie, że przeciw głównym celem badaczy było wykrycie świadectw pozachrześcijańskich mających potwierdzić historyczność Jezusa, to trzeba niestety powiedzieć bez obsłonek, że zniwo tych poszukiwań jest raczej ubożuchne. I to nawet w tym wypadku, gdybyśmy zakładali, że wszystkie poprzednio omawiane fragmenty są bez zastrzeżeń autentyczne. Bo ostatecznie, co się z nich dowiadujemy? Wszystkie trzy powstały w osiemdziesiąt lat z okładem po śmierci Jezusa i informują nas raczej o chrześcijanach, a nie o samej postaci Chrystusa. Z tych rade lakonicznych przekazów wnosimy, że w początkach II wieku chrześcijaństwo miało w Rzymie licznych wyznawców i że nie cieszyło się ono zbyt dobrą reputacją wśród Rzymian. To prawda, że Tacyt i Pliniusz Młodszy wymieniąją osobę Chrystusa, ale jakże niewspółmiernie mało o nim wiedzją. Zaledwie parę słów poświęcają temu założycielowi nowej religii, który już choćby dlatego powinien był wzbudzić ich ciekawość, że przeciw dziesiątą, a może nawet setki tysiące ludzi pocytywały go już wówczas za Boga. Widak zresztą, że nawet to, co podali, wiedzieli raczej ze słyszenia, o ile, jak to niekiedy bibliści przypuszczają w stosunku do Tacyty, informacje dotyczące Chrystusa nie są późniejszą interpolacją chrześcijańską.

Do jakiego stopnia balatumnie wyobrażenia mieli Rzymianie o chrześcijanach jeszcze w 121 r. widzimy na przykładzie Swetoniusza. W tymże właśnie roku powstało jego dzieło Żywoty cesarów. Swetoniusz był za panowania Trajana wysokim urzędnikiem dworskim, a Hadrian mianował go swoim sekretarzem. Historyk miał więc z tytułu paistowanych przed siebie urzędów łatwy dostęp do archiwów państwowych oraz do raportów o bieżących sprawach Rzymu. A jednak, jakże kiepsko był informowany!

Jeżeli wzmienia chrześcijan, to chyba, jak się przypuszcza, tylko dlatego, że powtarza nazwę za Tacylem. Poparcie dla tego przypuszczenia znajdujemy niejako w faktcie, że w rozdziale o Klaudiuszu nie odróżnia on Żydów od chrześcijan, a Chrystus w jego relacji jest osobą, która przeżywała wówczas w Rzymie i nieustannie wywoływała wśród Żydów rozruchy.

Swetoniusz uchodzi za dziejopisarza rzetelnego, toteż badaczom nie chciało się wierzyć, że do tego stopnia dał się zbalaćmuć przez niepoważne pogłoski. Zastanawiali się, w tej rzekomo balatumnie informacji nie tkwi jednak jakieś jądro prawdy, czy nie chodzi tu czasem o jakiegoś innego zgola człowieka, który miał na imię „Chrestos”. Autor książki Tajemnica Jezusa P.L. Couchoud przypomina, że w owych czasach imię to było rozpowszechnione wśród niewolników i zwolowców, czego dowodem jest choćby to, że w inskrypcjach starożytnego Rzymu napotkano je aż osiemdziesiąt razy. Inaczej mówiąc, nie mamy nawet pewności, czy ta skąpa, enigmatyczna notatka dotyczy w rzeczywistości Jezusa Chrystusa.

A CO WIEDZIELI ŻYDZI O JEZUSIE?

Powiedzmy sobie otwarcie: dziejopisarstwo rzymskie właściwie zawiódło z niepoważnym uszczerbkiem dla potomnych, boć trudno chyba zaprzeczyć, że to, co nam przekazuje o Jezusie i chrześcijaństwie, jest nad wyraz skąpe. Jeźli jednak na jego usprawiedliwienie możemy by przytoczyć szereg argumentów, między innymi i to, że Rzymianie i Żydzi to były przeciw dzieła odrębne światy, tak sobie obce prawie jak dwie planety - to jak się ma sprawa z dziejopisarstwem żydowskim? Ostatecznie ko to jak to, ale przede wszystkim Żydzi, naoczni świadkowie pamiętnych wydarzeń, których protagonisat był Jezus z Nazaretu, mieli wszelkie dane po temu, by pozostawić nam jak najpełniejszą relację, choćby tylko o przebiegu procesu przed Sanhedrynem czy o samym urzęgowaniu. Niestety, cały pod tym względem dorobek, jakim może się wykaać tradycja chrześcijańska, to jedna jedyna notatka w dziele historyka żydowskiego Józefa Flawiusza Starożytności żydowskie, przetłumaczoneym na język polski przez Z. Kubiaka i J. Radożyckiego pod tytułem Dawne dzieje Izraela. Nawiasem mówiąc, w tym samym dziele znajdują się jeszcze dwie doniośle dla chrześcijaństwa informacje: o Janie Chrzcicielu (18,V,2) i o śmierci Jakuba, brata Jezusowego (20,IX,1).

Autor Starożytności żydowskich, Józef Flawiusz, to postać fascynująca i zarazem enigmatyczna, właściwie jedna z najbardziej niezwykłych osobistości starożytnego świata. Jego psychika była tak zawila i znacząca paradoskami sprzecznościami, że do dnia dzisiejszego nikt właściwie nie zdołał jej rozszyfrować do końca, a opinie wydawane o nim przez kolejne pokolenia historyków wahają się od najwyższych pochwał aż do pomawiania go o najszpetniejsze bezceństwa. Ten człowiek o wielu obliczach spędził połowę życia na falach burzliwych wydarzeń swojej epoki, a resztę przeżył w spokojnym dostatku w Rzymie, korzystając

z protekcji trzech z kolei cesarzy. Jeźli się zważy, że był on jednym z wódzów powstania żydowskiego, że swoim męstwem dał się dotkliwie we znaki legionom cesarskim, że wreszcie znalazł się w niewoli i właściwie przeznaczona była mu śmierć na Krzyżu jak innym jeńcom żydowskim, to chyba trudno wyobrazić sobie bardziej fantastyczną drogę życia. Tak, losy jakoś dziwnie mu sprzyjały i nawet z najbardziej dramatycznych opafów potrafił wyjść obronną ręką. Jedni przypisują to szczęście diabelskiej chytrności i cynizmu, inni znowu powiadają, że przetrwał on bistością umysłu swoich współczesnych i że posiadał wyjątkowy dar wnikliwości, co pozwalało mu szybko przystosować się do kolejnych sytuacji życiowych. Jakoż inteligencja była to rzeczywiście obrotna, wyostrożna jak brzytwa i pozabawiona skrupułów, nie można jednak nie brać pod uwagę innego, nie mniej intrygującej strony jego charakteru. Miał on bowiem w swoim usposobieniu coś ujmującego, coś, co uderzająco łatwo jednemu mu oddanych przyjaciół i protektorów. Dziwną ironią losu było to, że jego rodacy napiętnowali go stygmatem zdrajcy i renegata, tymczasem w miarę upływu czasu okazało się, że mało kto polozyl tyle zasług dla żydostwa, jak właśnie on, autor niezapamiętanych dzieł historycznych, piewca bohaterskich zmagañ narodu żydowskiego z potęgą rzymskiego imperium, obrońca żydowskiej kultury i żydowskiej religii w polemicznych szermierkach z wrogimi pamfleciściami. Józef Flawiusz, jak sam stwierdza w swojej autobiografii, urodził się w roku objęcia władzy przez cesarza Kaligulę, czyli według obecnego kalendarza w 37 r. n.e. Z dumą zaznacza przy tej okazji, że jest członkiem wybitnego rodu kaplańskiego i że matka jego pochodziła z królewskiego domu Machabeuszów. Już w latach wczesnego dzieciństwa uchodził za cudowne dziecko. Podobno w trzynastym roku zycia zablyszłał taką znajomością Prawa, że radził się go w sprawach tej wiedzy nawet kapłani i wśród przedstawicieli administracji jerozolimskiej. W szesnastym roku zycia oddał się z pasją zagadnieniu religijnym. Istniały wówczas w judaizmie trzy główne sekty: faryzeusz, saduceusz i esenejczyk. Młody zapaleńiec postanowił zgłębić ich naukę w ten sposób, że po kolei wstepował w ich szeregi i uczestniczył we wszystkich nakazanych przez te sekty praktykach sakralnych. Widocznie jednak te kolejne doświadczenia nie usmierzły jego religijnego niepokoju, bo w końcu przyłączył się do głošnego wówczas anachorety Bannusa i spędził z nim aż trzy lata na pustyni w warunkach najskrajniejszej ascezy. Potem wrócił do rodziców w Jerozolimie i ostatecznie zgłosił akces do faryzeuszów, ponieważ, jak powiada, przypominali mu oni stoików greckich.

W 64 r. spotkał się ze swą pierwszą wielką przygodą zyciową. Prokurator rzymski Feliks użył kilku zaprzyjaźnionych z nim kapłanów i odstąpił do Nerona, aby odpowiadali tam za jakieś przewinienie. Czekając w więzieniu na rozprawę, z braku potraw rytualnych, żywili się jedynie tylko figami i orzechami. Józef miał wtedy zaledwie 27 lat, ale zdecydował się na rzeaż zwałoby się pozabawioną wszelkich widoków podowdenia: postanowił pojechać do Rzymu i wybacić przyjaciół z przykrego połozenia. Podróż morską o mało nie położyła kresu jego zyciu, bo okręt, na którym płynął, zatonął na Adriatyku podczas gwałtownej burzy. Z pięciuset pasażerów tylko osiemdziesięciu ocalało. Rozbitków wywoził z morza inny przygodny statek i wysadził na ład w italskim mieście portowym Puteoli.

Między uratowanymi był Józef Flawiusz, ale podjęta przędzy misja uratowania rodaków spaliła na panewce; utraciwszy cały swój dotytek, znalazł się w obcym mieście bez środków do zycia. Kaprys przypadku jednakże i tym razem pośpieszył go z odsieczą: szczęśliwy zbieg okoliczności zetknął go z protegowanym przez Nerona aktorem Aliturusem, Żydem z pochodzenia. Znajomość z kapłanem świątyni jerozolimskiej, i na dodatek z potomkiem królewskiej dynastii Machabeuszów, musiała poheblić ambicji aktora; wyrobił mu on audiencję u cesarzewej Poppei. I tutaj po raz pierwszy zadziałał chyba ów urok osobisty, który później w zyciu Józefa okaże się nieraz jeszcze przydatny. Poppea, podobno w cichoci sklaniająca się ku religii żydowskiej i oczarowana młodym kapłanem z Jerozolimy, uzyskała u małzonka uwolnienie więźniów przysłanych przez Feliksa, a jako samego hojnie odbarowała.

Pobyt Józefa Flawiusza w Rzymie trwał prawie dwa lata i był dlań poyteczną edukacją, która wpłynęła decydująco na jego późniejszą postawę w sprawach politycznych. W owym czasie nie tylko nauczył się płynnie mówić po łacinnie, ale swoim bystrym umysłem trafnie ocenił ogrom potęgi rzymskiej i niemoc państw podbitych, które usiłowaly się tej potęgę przeciwstawić.

Nie byłoby to w stylu Józefa, gdyby jego wyjazd z Rzymu odbył się w sposób zwyczajny. Neron załkł kopięciem w brzuch będącą w ciąży Poppeę, wobec tego jako jeden z jej faworytów wołał umknąć z Rzymu cichaczem, zanim zbiory cesarza zdążyliby się nim zainteresować. Dostał się jednak, mówiąc w przenożni, z deszczu pod rynnę, bo w Jerozolimie wpadł w sam wikrzących zamieszek i walk bratobójczych między zwolennikami i przeciwnikami zbrojnego powstania. Pewnego razu musiał nawet schronić się w świątyni, gdzie wraz z innymi

przeciwnikami powstania bronili się przed wściekłymi atakami fanatycznych radykałów. Był rok 66, rok wybuchu wojny rzymsko-żydowskiej. Żywołowy ruch wyzwolenicy patriotów żydowskich kapłani postanowili ująć w karby zorganizowanej akcji zbrojnej. W związku z tymi posunięciami mianowano Józefa Flawiusza rządcą i wodzem wojsk powstańczych w Galilei. Była to nominacja dżwina i ryzykowna: Józefa przecież znano z jego niechętnego stosunku do powstania, a w dodatku miał on zaledwie 29 lat i nie mógł wykazać się najmniejszym nawet doświadczeniem w sprawach militarnych i administracyjnych. A jednak ów nowicjusz spał się w nowej roli nad podziw dobrze: stworzył na wzór rzymskiej armii liczącą sto tysięcy żołnierzy, obwarował miasta, wioski i przejęcia górskie, zgromadził w punktach strategicznych zapasy broni i żywności. Musiał przy tym zmagać się z wicheriami osobistych wrogów, poskramiać bunt podległych sobie miast, a nawet w pewnej chwili wypowiedzieć posłuszeństwo samemu arcykapłanowi, kiedy ten, przekupiony przez jerozolimskich intrygantów, chciał złożyć go z urzędu.

W tych zażartych rozgrywkach z konkurentami do władzy Józef Flawiusz brał górę przede wszystkim dlatego, że nikt nie mógł pójść z nim w zawody, gdy chodziło o takie sposoby walki, jak drapieżność, mściwość, brak skrupułów, okrucieństwo i przebiegłość. Ze zgroza czytamy to, co on sam pisze o sobie jakby nie rozumiejąc, w jakim świetle siebie stawia. Niepodobna przytoczyć tu wszystkich opisujących przemoc incydentów; jeden przykład wystarczy, by wyrobić sobie pojęcie o brutalności ówczesnych czasów. Na drogach Palestyny rozpanoszył się wówczas pospolity rozrób. Pewnego razu banda młodych partyzantów ogabiła doszczętnie jednego z dostojników króla Agryppy. Wprawdzie Agryppa, wychowanek i zausznik Rzymian, nie krył swego wrogiego stosunku do powstania, ale Józef z jakichś względów politycznych postanowił zwrócić lustro jego dostojnikowi. Mieszkańcy miasta Tarychea, gdzie miało miejsce to zdarzenie, poczytawali to za zdradę i żądając śmierci Józefa przypuścili szturm do bram jego domu. Józef postanowił udawać pokorę. Zawiesił sobie na szyi miecz, posypał głowę popiołem i rozdził szaty, a potem roniąc gorzkie łzy wyszedł z domu i usprawiedliwił się, że łupu nie miał zamiaru zwracać obrabowanemu, lecz chciał obrócić go na budowę murów obronnych miasta.

Większość wicherzyli ci uwierzają tym zapewnieniom i rozeszła się do domów. Ale na miejscu pozostało jeszcze około dwóch tysięcy uzbrojonych buntowników. Nacierali oni nadal na bramy, by dobrnąć do jego skóry. Wtedy Józef wyszedł na dach domu i prosił o wyznaczenie delegatów, z którymi uzgodniłby dalsze losy łupu. Napastnicy istotnie wybrali delegatów, obywateli cieszących się powszechnym szacunkiem, w przekonaniu, że już sama ich postać stanowiłby rękojmię ich bezpieczeństwa. Czekali zatem spokojnie na wynik preteraktacji. Tymczasem, co uczynił Józef? Przedstawiceli miasta kazał w tak nieuczliwy sposób wychostać, że skóra z nich schodziła, a potem krwawo zmaltretowanych niedoświadczków kazał wypchnąć na ulicę. Zebrani przed domem ludzie, wstrząśnięci tym widokiem, rzucili się do ucieczki. Zadanie poskromienia zbuntowanej Palestyny Neron powierzył doświadczonemu wodzowi Wespazjanowi, który przy pomocy swego syna Tytusa postanowił rozpocząć kampanię od zdławienia Galilei. Józef stanął do walki, ale na sam widok legionów rzymskich niedoświadczona armia żydowska poszła natychmiast w rozsypkę i przestała istnieć. Józef zdołał w zamieszaniu umknąć i schronił się do potężnej warowni górskiej Jotapata.

Żydzi bronili się tam czterdzieści siedem dni z niebywałą dzielnością, zadając legionom rzymskim wiele upokarzających porażek i ciężkie straty. W końcu jednak ulegli i prawie wszyscy padli ofiarą straszliwej ręki. Józef natomiast ukrył się w jednej z pieczar, gdzie zastał czterdziestu innych towarzyszy niedoli. Wespazjan, zaciekałony wodzem, który z takim męstwem i przemyslnością odparł ataki doświadczonych kohort rzymskich, wezwał go przez parlamentarysta na rozmowę, zapewniając mu osobiste bezpieczeństwo. Józef chwycił się oburącz propozycji, wszelako jego towarzysze z pieczary, zarzucając mu zdradę i tchórzostwo, nie chcieli go wypuścić. Nie przekonał ich zapewnieniami, że miał jakoby sen proroczy, który on, kapłan i wysłannik Jahwe, musi zakomunikować wodzowi Rzymian. Rozgryzzeni towarzysze, wietrząc podstęp, nie dali się wziąć na lep jego namaszczonych słów i grozili mu śmiercią w razie próby opuszczenia pieczary.

O poddaniu się nie mogło być mowy, wszyscy już dobrze wiedzieli, że czeka ich niewola lub śmierć na krzyżu. Pozostało im więc tylko samobójstwo, ale Józef, potępiwszy samobójstwo jako sprzeczny z prawem Mojżesza uczynek, wystąpił z innym, wiele oryginalnym planem. Zapropnował, by wszyscy cięgnęli losy. Posiadacze losu pierwszego padną od miecza posiadaczy losu drugiego i tak w kółko, aż ostatecznie pozostanie jeden tylko człowiek żywy, którego zadaniem będzie wciągnąć na siebie ciężki grzech odebrania sobie życia.

Makabryczny plan samozagłady nie został jednak wykonany do końca. Cóż bowiem się okazało? Wśród trzydziestu dziewięciu trupów pozostał żywy - o dziwo - nie kto inny, jak właśnie Józef i jeszcze jeden

mieszkaniec pieczary. Oni mieli ciągnąć losy po raz ostatni, ale wówczas Józef przekonał swego partnera, iż dobro sprawy wymaga, aby oddali się w ręce Wespazjana. Cała ta niesamowita historia z ciąganiem losów nasuwa podejrzenie, że Józef dopuścił się jakiegoś szalbierstwa, zwłaszcza że w starorubskim przekładzie Starożytności żydowskich, opartym jakoby na wersji aramejskiej, czytamy następujące objaśniające go słowa: „Licył on sprytnie numery losów i w ten sposób wyprzewadził w swoje swoich towarzyszy”. Wespazjan dotrzymał słowa i darował mu życie, postanowił jednak odesłać go wraz z innymi jeńcami żydowskimi do Nerona. I tutaj znowu zaważyły na szali talenty Józefa: umiejętność pozyskiwania sobie ludzi wpływowych i niezawodny zmysł widzenia dalej niż inni. Syn Wespazjana Tytus powiadził do niego sympatię i uprosił ojca, by pozwolił mu zatrzymać jeńca przy sobie. Wówczas Józef w rozmowie w cztery oczy podobno trafnie przepowiedział im obu, że kolejno staną się władcami imperium rzymskiego.

Następuje teraz najbardziej kontrowersyjny okres jego życia. Az do końca wojny rzymsko-żydowskiej był powiernikiem swoich protektorów, służąc im radą i pomocą w zwalczaniu rodaków. Wielokrotnie, szczególnie podczas oblężenia Jerozolimy, występował jako parlamentarzysta, nawołując powstańców do opamiętania się i złożenia broni. Żydzi poczytawali mu to za zdradę i w odwet wtarli do lochu całą jego rodzinę przebijającą w obłęzionej stolicy. On zaś usprawiedliwił się później, że chciał ochronić naród od zagłady, ponieważ wiedział, iż Jahwe przeczekał Rzymian na władców świata i że dlatego wszelka walka z nimi była daremna. Gorzej, że nie ważył się brać udziału w igryskach i festynach urządzanych w Palestynie dla uczczenia zwycięstwa legionów rzymskich. Patrzał wraz z gnębielcami narodu żydowskiego, jak tysiące jeńców spędzano na areny cyrków, gdzie ginęli od mieczów gladiatorów lub w szponach dzikich zwierząt. W Rzymie stał w tłumie wiatującej gwiazdy i przypatrywał się triumfalnemu pochodowi Wespazjana i Tytusa. Prowadzono wówczas w łańcuchach długie kolumny jego współpracownicy, przeznaczonych na śmierć męczenników, i noszono jako wojenne trofea przedmioty sakralne drogę każdemu wyznawcy judaizmu: siedmioramienny świecznik, stoł ofiarny z litego złota i w zorzystą zasłone - wszystko wyniesione z płonącej świątyni jerozolimskiej. Józef nie wyznaje nam w swoich

książkach, co się podówczas działo w jego sercu, w sercu potomka wybitnego rodu kapłańskiego i królewskiej dynastii bohaterskich Machabeuszów. Było to jednak na pewno rozdzierające bolesne dlań pożegnanie z całą epoką, która dla niego i dla jego ziomków tak przeraźliwie tragicznie się skończyła. Wespazjan i Tytus sownie go wynagrodził za usługi oddane w Palestynie, a osobiście za to, że tak nieomylnie ziszcła się jego przepowiednia o wyniesieniu ich na szczyt władzy. Pozwolił im mu nawet, aby przybrał sobie ich nazwisko rodowe i nazwał się Józefem Hawiuszem. W Rzymie, dokąd przeniósł się na stałe, otrzymał mieszkanie w prywatnej rezydencji Wespazjana, a także obywatelstwo rzymskie, dożywotnią pensję oraz posiadłość ziemskie w Italii i Judei. Domicjan, trzeci z rządu cesarz z rodu Flawiuszów, obypował go również łaskami i zwołnił jego posiadłość ziemską z wszelkich danin podatkowych.

W życiu rodzinnym szczęście także mu dopisało: z czterema kolejnymi znanymi, których losy ze względu na ich niezwykłość zasługiwałyby na osobny opis, miał pięciu synów. Umarł, jak się przypuszcza, w początkach II wieku, w każdym razie wiemy na pewno, że żył jeszcze za panowania Nerwy i Trajana. Jakby dla potwierdzenia, że wszystko, co było związane z jego życiem, musiało mieć obrót paradoksalny, postanowiono w Rzymie pomnik; czyż można sobie wyobrazić rzeczy bardziej fantastyczną, niż ten pośmiertny epilog w życiu człowieka, który był kiedyś kapłanem zburbzonej świątyni jerozolimskiej i jednym z najdzielniejszych wodzów powstania żydowskiego, a więc wrogiem Rzymu?

Flawiusz, zjąc w dodatku, nie uległ jednak pokusie przetrwania, lecz przeciwnie, z podziwu godną pracowitością poświęcił się działalności pisarskiej, podjętej z zamiarem głoszenia chwały swego narodu, a także, może nawet przede wszystkim, wiedzioną chęcią obrony swojej osoby przed oskarżeniami rodaków. Wymikiem tego imponującego trudu były dwa monumentalne dzieła, mianowicie Dzieje wojny żydowskiej i Dawne dzieje Izraela, oraz dwie prace o charakterze publicystycznym: Przeciw Apionowi i Moje życie.

Jak ocenila je krytyka naukowa, osobiście co do ich wiarygodności? Otóż zdania są pod tym względem beznadziejnie podzielone. Jedni odmawiają im wszelkiej wartości, inni znowu nie mają dość słów uznania dla historycznej rzetelności autora. Prawda leży jednak gdzieś pośrodku. W wypadkach, kiedy Józef Flawiusz, z obowiązku klienta Flawiuszów czy też z wdzięczności dla nich, chce w jak najkorzystniejszym świetle przedstawić działalność swych protektorów w Palestynie, a także, gdy sam chce się zrehabilitować przed rodakami - twierdzenia jego należy przyjmować z dużą ostrożnością. Ma on też inklinację do beletryzowania tekstów, czyli, mówiąc bez obsłonek, do kolorowania. Brało się to wprawdzie z jego określonego wyobrażenia, czym

powinna być historiografia, jako że w wyniku takiego literackiego zabiegu narracja stawiała się dramatyczna i malownicza - niemniej osłabiała też naszą wiarę w ścisłość jego relacji.

Z drugiej strony, jakże uboga byłaby historia powszechna bez książek Flawiusza. Jako żydowski rządcą Galilei, a potem jako doradca i powiernik wodzów rzymskich, był nie tylko naouczonym świadkiem wielu dziejowych wydarzeń, ale brał w nich bezpośredni i osobisty udział. Mając dostęp do archiwów cesarskich, na pewno korzystał z dokumentów, które później zginęły w zawieruchach dziejowych. Wojnę żydowską, a szczególnie oblężenie Jerozolimy opisał chyba na podstawie własnych codziennych notatek, inaczej trudno byłoby wytłumaczyć uderzający fakt, że opis jest tak osobisty, tak porwający w swoim realizmie i bogactwie przytoczanych faktów.

Jednym słowem, dla wielu pokoleń historyków stał się on niezaprząpionym źródłem informacji do dziejów narodu żydowskiego. Korzyścili z niego pełniymi garściami zarówno pisarze pogańscy, między innymi rzymski historyk Dio Cassius i filozof hellenicki Porfiriusz, jak też w nie mniejszym stopniu pisarze kościelni Orygenes, Eusebiusz z Cezarei i Hieronim, tłumacz Biblii na język łaciński, tzw. Wulgaty. Tłumaczone na wszystkie prawie języki europejskie, dwa główne dzieła historyczne Józefa Flawiusza cieszyły się poczytnością wśród wszystkich kolejnych pokoleń od chwili ich publikowania aż po dzień dzisiejszy, a co ważniejsze - stanowiły niewyčerpane źródło inspiracji dla pisarzy, muzyków i plastyków.

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że zbyt wiele miejsca poświęciliśmy osobie Józefa Flawiusza, że jest to dygresja zbytnio odbiegająca od głównego nurtu naszych rozważań. Myślę jednak, że z różnych względów było to wskazane. Przede wszystkim dlatego, że poprzez przepięty żywocie tego człowieka zaczynamy lepiej rozumieć interesującą nas epokę, co później okaże się bardzo przydatne. Głównie jednak mieliśmy na uwadze doradcy cel: należało uprzytomnić sobie rolę i znaczenie tego autora w dziejach kultury europejskiej, by z właściwej perspektywy ocenić to, o czym teraz będziemy pisali.

Przypominamy, że jedna jedyna informacja o Jezusie, jaka zachowała się w piśmiennictwie Żydów, to słyna notatka w Starożytnościach żydowskich Józefa Flawiusza, znana w kołach biblistów pod mianem „Testimonium Flavianum”. Cytujemy ją w całości w przekładzie dokonany przez Jana Radożyckiego pod redakcją k. Eugeniusza Dąbrowskiego:

„W tym czasie żył Jezus, człowiek mądry, jeżeli w ogóle można go nazwać człowiekiem. Czynił bowiem rzeczy niezwykłe i był naucejścielem ludzi, którzy z radością przyjmowali prawdę. Poszło za nim wielu Żydów, jako też pogan. On to był Chrystusem. A gdy wskutek doniesienia najznakomitszych u nas mężów, Pilał zadził go na śmierć krzyżową, jego dawni wyznawcy nie przestali go miłować. Albowiem trzeciego dnia ukazał im się znowu jako żywy, jak to o nim wiele innych zdumiewających rzeczy przepowiedzieli boscy prorocy. I odtąd, aż po dzień dzisiejszy, istnieje społeczność chrześcijan, którzy od niego otrzymali tę nazwę” (18,111,3).

Nietrudno zrozumieć, dlaczego tradycja chrześcijańska przywiązywała ogromną wagę do tego świadectwa. Jej autorem był przecież Żyd, który mimo swego odstępstwa politycznego nigdy nie wyparł się religii swoich ojców, a ponadto jako historyk dobrze był poinformowany o wszystkim, co w owych czasach działo się w Palestynie. Było to więc „Testimonium” zasługujące na wiarę, gdyż pochodziło od bezstronnego człowieka, uczciwo i formalnie nie związanego z chrześcijaństwem.

Wprawdzie już w wieku XVI podniósł się osobniony głos podjątku w wątpliwość taką ocenę, ale na ogół aż po wiek XIX nikt właściwie na serio nie próbował jej podważyć. Dzisiaj wiemy już, że ta jedyna żydowska informacja o Jezusie jest interpolacją, późniejszą wstawką podrobioną przez jakiegoś chrześcijańskiego kopistę. Argumenty krytyczne demaskujące ów szacowany falsyfikat są do tego stopnia nieodparte, że nawet poważni katolicy bibliści, jak np. Francuz M.J. Lagrange i ks. prof. E. Dąbrowski, wypowiedzieli się przeciwko autentyczności notatki. (Ks. Dąbrowski kilkakrotnie wypowiadał się na ten temat, między innymi w Nowym Testamencie na tle epoki, gdzie pisze: „...niepodobna uznać autentyczności integralnej „Testimonium Flavianum”. Zbyt wyraźnie zdradza ono rękę chrześcijańską...” Toteż raczej do osobliwości należy zaliczyć także wyjątki, jak włoski pisarz i autor obszernej monografii o Jezusie G. Ricdotti, który nie podając na poparcie swego stanowiska ani jednego przekonującego argumentu pisze w swej monografii Życie Jezusa Chrystusa: „W rezultacie zdaje mi się, że „Testimonium” w formie, jaką dziś znamy, może być interpolacją chrześcijańską, choć jego podłoże jest na pewno autentyczne, ale tę samą możliwość, a nawet większą, należy przyznać opinii, która twierdzi, że „Testimonium” to jest w całości oryginalne i nawet w obecnej swej formie zostało napisane ręką Józefa”.

Aż dziw bierze, że jeszcze dziś może ktoś upierać się przy takim stanowisku. Józef Flawiusz, faryzeusz i prawowierny wyznawca judaizmu, członek rodu kapłańskiego i po kądzieli potomek Machabeuszów, donosi nam rzekomo o tej notatce, że Jezus był Mesjaszem i prawdopodobnie Bogiem, że został ukrzyżowany i zmartwychwstał na trzeci dzień.

Nawny był ten chrześcijański kopista, który notatkę

przemycił do tekstu w takiej formie, ale nie mniej naiwni byli ci, którzy dali mu wiarę. Wiemy dziś, kiedy w przybliżeniu ow sfinansowany passus powstał. Pisarze kościelni: Klemens, Minucjusz, Tertulian i Teofil z Antiochii, dobrze znali Starożytności żydowskie, a jednak nie wspominają ani słowem owej budującej dla chrześcijan informacji o Jezusie. Nie sposób przypuszczać, że uczynili to umyślnie dla jakichś tam nieprawdopodobnych celów, wobec tego pozostaje nam tylko jeden wniosek: że w dawniejszych egzemplarzach Starożytności żydowskich po prostu tej informacji jeszcze nie było. Dopiero późniejszy chronologicznie Eusebiusz, autor pierwszej Historii Kościoła, który żył w latach 263-340, cytuje ją w dobrez naszym brzmieniu. A zatem, logicznie biorąc, musimy dojść do konkluzji, że sfabrykował ją jakiś kopista na przełomie III i IV wieku. Pewna myśl nie daje nam jednak spokoju: jak Eusebiusz, człowiek bądź co bądź uważający siebie za poważnego historyka, mógł dać się zmylić przez tak grubymi niemi sztyt falsyfikat? Czy przypadkiem nie miał on jakichś danych, które usprawiedliwiały jego stanowisko, a o których my nie mamy dziś żadnej wiadomości? Można by tak sądzić, gdyby nie to, że nieestety mamy inne jeszcze przykłady, świadczące o tym, jak bezkrytyczny i łatwowierny był Eusebiusz. Tak na przykład w swojej Historii Kościoła cytując o cała powaga listy, jakie mieli wymienić między sobą król Edessy Abgar i Jezus. Oto te listy:

„ Abgar, syn Ukamesa, do Jezusa, Zbawiciela dobroczynnego, który pojawił się w krainie Jerozalemem.

Mówiono mi o Tobie i o tym, że uzdrawiasz choroby, nie uciekając się do ziół i leków. Opowiadają bowiem, że za Twoją przyczyną ślepi widzą, a chromi chodzą, że wypędzasz duchy nieczyste i czarty, że wywalasz tych, których długie gnębią choroby i wskrzeszasz umarłych. Wysłuchawszy tego skierowałem o Tobie, mniemam, że z dwójga jedno jest prawdziwe: albo Bogiem i z nieba zstąpiwszy działasz te wszystkie cuda, albo też Synem Bożym, który to sprawia.

Dlatego więc piszę dziś do Ciebie prosząc Cię, abys raczył przybyć i uwolnić mnie od choroby, na którą cierpię. Mówiono mi poza tym, że Żydzisz szermując przeciwko Tobie i że chcą Ci szkodzić. Stolica moja nie jest wielka, ale piękna bardzo, wystarczyć nam obu”.

Odpowiedź Jezusa: „ - Błogosławię, albowiem nie wdziałeś mnie, a uwierzyłeś w mnie. Napisane jest bowiem o mnie, że ci, co widzieli mnie, nie uwierzą we mnie, abęzy ci, co nie widzieli mnie, uwierzę i mieć żywot wieczny mogli. Co się tyczy zaś próby twojej, abym uiał się do ciebie, trzeba mi tutaj wypelnic posłannictwo moje, a następnie odejść do tego, który mnie posłał. Gdy to się stanie, wyślę ci jednego z uczniów moich, który uleczy cię z choroby i otworzy drogę żywota tobie i tym wszystkim, którzy są z tobą”.

Ponoć - tak przynajmniej twierdzi Eusebiusz - Jezus istotnie przyehylił się do próby króla Abgara i wydelegował do niego swego ucznia Judasa, syna Tadeusza. Na niekorzyść naszego historyka trzeba jeszcze powiedzieć, że nawet łatwowiernym ludziom V wieku korespondencja wydawała się podejrzana i ostatecznie na synodzie kościelnym w 495 r. w Rzymie uznano ją za apokryf, czyli po prostu za fałszyfikat.

Eusebiusz ma w swoim dorobku inne jeszcze podobne gąfy. Choćby cytowany przezeń z naiwną wiarą list Pilałota do Tyberiusza, w którym prokurator Judei spowiada się przed cesarzem, iż przekonał się o boskości Jezusa i że skazał go na śmierć tylko dlatego, że Żydzł go w błąd wprowadził. Tyberiusz, ciągnie dalej Eusebiusz, przekazał list senatowi z propozycją uznania Jezusa za Boga, spotkał się jednak z odmową pogańskich senatorów. Ciekawy przyczynek w dyskusji naokoło „Testimonium Flavianum” zawdzięczamy Orygenesowi. Ten wybitny pisarz kościelny żył w latach 185-254, a więc przed Eusebiuszem i przed wprowadzeniem do tekstu Starożytności żydowskich inkrimnowanej interpolacji o Jezusie. Z jego polemicznego traktatu Przeciw Celsusowi, z którym zapoznamy się bliżej w następnym rozdziale, wynika, że w swoim egzemplarzu Starożytności żydowskich miał on notatkę o Janie Chrzcicielu i Jakubie, natomiast, jeżeli chodzi o Jezusa, to najwidoczniej znał on jakiś zgola inny tekst, na podstawie którego uczynił Józefowi Flawiuszowi zarzut, iż nie wierzył, aby Jezus był Mesjaszem.

Była to więc jakaś notatka oceniająca Jezusa z punktu widzenia człowieka niewierzącego. Ponieważ takiej notatki u Flawiusza nie znaleziono, zachodziło pytanie, na czym mógł Orygenes się oprzeć dając wyraz swej krytycznej opinii. Niektórzy bibliści doszli do przekonania, że ow tekst pierwotny znany Orygenesowi dotąd kryje się w „Testimonium Flavianum”, tyle tylko że przeredagowany w duchu chrześcijańskim przez jakiegoś późniejszego kopistę. Niektórzy bibliści podjęli próbę wyodrębnienia owego domniemanego prototypu przez prosty zabieg usunięcia z „Testimonium Flavianum” sugestii, iż Jezus był dogiem i zapowiedzianym przez proroków Mesjaszem, który zmartwychwstał. Uzyskany w ten sposób portret mędrca i nauczyciela wędrownego, jakich wielu było wówczas w Palestynie, mógł z pewnością wyjść spod pióra prawowiernego Żyda i potomka rodu kapłańskiego, jakim był Józef

Flawiusz. Taki opis mógł także skłonić Orygenesu do wyrażenia opinii, iż autor tego nie wierzył w boskość Jezusa.

Hipoteza, zdawałoby się, aż nadto przekonująca. A jednak ma ona poważne mankamenty. Przede wszystkim wątpliwości musi budzić sam zabieg wycedzania z „Testimonium Flavianum” owego domniemanego przeaktę. Poszczególne bibliści, mimo przeprowadzonych studiów nad cechami stylu i języka Józefa Flawiusza, nie zdolali zrekonstruować tekstu o jednakowym brzmieniu. Ich wersje różnią się między sobą do tego stopnia, że nie tylko samą metodę, ale także jej teoretyczne założenia trzeba stawiać pod znakiem zapytania. Skoro przy dzisiejszym stanie filologii nie można uzyskać zgodnego rezultatu, ma się prawo sądzić, że taki przeaktę pióra Józefa Flawiusza nigdy się nie odnajdzie.

Jednakże sprawę na niekorzyść całej koncepcji przesądziło ostatecznie rozszerzenie się w kontekście, w jakim tkwi „Testimonium Flavianum”. Wyszła tu na jaw bardzo znamienita rzecz. Ustęp poprzedzający je (18,111,2) oraz ustęp następujący po nim (18,111,4) niewątpliwie tworzą jedną ciągłość narracyjną, mającą za temat zamieszczy wśród Żydów i inne ich kłopoty. „Testimonium Flavianum” ni stąd, ni zowąd, w sposób można by powiedzieć bezceremonialny, rozrywa na dwoje ową sekwencję narracyjną, co oznacza, że zostało ono sztucznie, bez liczenia się z logiką, wtrącone w obcy tekst. Uczynił to, rzecz jasna, jakiś niezręczny i niezbyt inteligentny podrabiacz; pomawianie o tak niezgrabną interpolację autora Starożytności żydowskich byłoby niedorzecznością.

Są jednak ludzie, którzy w desperacji chwytają się najfantazyczniejszych pomysłów. Tak więc jeden z biblistów kaže nam uwierzyć, że Józef Flawiusz nawrócił się pod koniec życia na chrześcijaństwo i że ex post włączył wówczas do swego gotowego dzieła ową znany nam ustęp o Jezusie. Dlaczego jednak dokonał tej interpolacji w sposób tak nielogiczny, rozrywając bezceremonialnie wątek własnej narracji, tego nikt nie próbował wyjaśnić. Podajemy ten szczegół jedynie tylko jako ciekawostkę, ponieważ ta osobiwła próba ratowania „Testimonium Flavianum” za wszelką cenę nie spotkała się z aprobatą poważniejszych uczonych. Z dzieł Józefa Flawiusza wynika przecież dowodnie, że do końca życia pozostał on gorliwym wyznawcą religii żydowskiej i faryzeuszem.

Wypada tu jeszcze parę słów poświęcić znacznie obszerniejszemu przekazowi o Jezusie w starożytnym przekładzie Wojny żydowskiej, pochodzącym z XI czy XII wieku i dokonany prawdopodobnie na zlecenie księcia Romanowa Kijowskiego. W czterech ustępach działalności Jezusa i jego życie przedstawione jest w zupełnie nieznanej wersji, odbiegającej w wielu szczegółach od przekazów ewangelii kanonicznych. Naokoło tych fragmentów toczył się długotrwały spór polemiczny, ostatecznie jednak uczeni doszli do przekonania, że jest to interpolacja, dokonana przyspuszczalnie przez tłumaczy słowiańskich, którzy z kolei opierali się na ewangelii apokryficznych.

Dla orientacji podajemy parę ciekawszych wyjątków z wspomnianego przekazu o Jezusie w Wojnie żydowskiej w przekładzie ks. E. Dąbrowskiego (Dawne dzieje Izraela, str. 880-882): „I wielu z ludu poszło za nim i przyjęło jego naukę. A wiele umysłów zapłonęło myśląc, iż pokolenia żydowskie wywołują się przez to z rąk Rzymian. Otóż miał on zwyczaj nad wszystko przebywać pod miastem na Górze Oliwnej. Tam też nie skąpił Ludziom uzdrowień. I zebrało się wokół niego 150 szlup i tłum ludu. Widząc jego moc i to, że słowem czynił wszystko, co zechciał, przynagłali go, aby wszedł do miasta, pozabijając wszystkich Rzymian i Piłata i aby panował nad nimi. Lecz on się od tego wywodził. Następnego, gdy wieść doszła do przełożonych żydowskich, zebrał się oni wraz z arcykapłanem i rzekli: »Jesteśmy bezsilni i zbyt słabi, byśmy się mogli Rzymianom przeciwstawić. Ale skoro lęk się nam naciągnął, pójdźmy i powiedzmy Piłatowi to, czegośmy się dowiedzieli, abymy pozbawiac się w ten sposób kłopotu, uniknęli wyzucia nas z naszych dóbr, wydania nas samych na śmierć i rozproszenia naszych dzieci, jeśliby Piłat skądinąd dowiedział się o tym«. I poszli ostrzec Piłata.

A ten posłał (swych żołnierzy) i sprawił, że moc spośród ludu zabito. I polecił przyprowadzić przed oblicze swoje cudotwórcę. Poddawszy go badaniu poznał, że był to dobroczyńca a nie złozyńca albo buntownik, albo taki, który o władzę zabiega, i wypuścił go. I rzeczywiście uzdrowił on mu jego umierającą żonę. I oddał się na swe zwykłe miejsce, i swe zwykłe czyny wykonywał. Uczenni w Piśmie, zabruć zadość, dali Piłatowi 30 talentów, aby go zabił. A ten wziąwszy pieniądze, pozostawił ich woli wykonanie tego zamysłu. Ci zaś pojmalni go i wbrew Prawu swych ojców ukrzyżowali”.

„A ponad tymi napisami był czwarty napis tymiż sprzedanyymi literami i głoszący: »Jezus król, który nie królował, ale został ukrzyżowany za to, że głosił zbурzenie miasta i dewastację świątyni”.

„Jedni teraz utrzymują, że został on wskrzeszony, inni - nie. Ponieważ zmarły sam z siebie zmartwychwstać nie może, mógłby to uczynić z pomocą modlitwy innego sprawiedliwego, wyższy

wypadek, jeśli jest to anioł albo ktoś spośród mocy niebieskich, albo kiedy by sam Bóg objawił się jako człowiek: wykonywa to, co chce, obcuje z ludźmi i pada, kładzie się i zmartwychwstaje zgodnie ze swoją wola. Ale inni mówili, że niemożliwą było rzeczą go wykazać, gdyż wokół jego grobu ustawiono straż: trzydziestu Rzymian i tysiąc Żydów”.

MILCZENIE I KALUMNIA

Jedny przekaz o Jezusie rzekomo pochodzenia żydowskiego okazał się, jak widzieliśmy, fałszyfikatem. Zastanówmy się nad rozpoznana sytuacją. Jest ona dziwaczna, zagadkowa i w najwyższym stopniu intrygująca. Bo oto Józef Flawiusz, kapłan jerozolimski, który do tego stopnia interesował się ruchami religijnymi swego kraju, że po kolei był faryzeuszem, saduceuszem i essenicykiem, ani jednego słowa nie poświęca Jezusowi i jego dramatycznym losom. Pisze o wymienionych sektach z widocznym znawstwem, tymczasem o naukach, cudach i zmartwychwstaniu Mistraza z Nazaretu tak jakby nie wiedział. A przecież jako kapłan świątyni jerozolimskiej musiał chyba coś słyszeć. Wprawdzie urodził się w siedem lat po ukrzyżowaniu Jezusa, ale w Jerozolimie z pewnością powinni byli żyć jeszcze ludzie, którzy mogli mu opowiadać o pamiętnych wydarzeniach. Zresztą, przypomnieć należy, istniała tam pierwsza gmina nazarejczyków pod przewodnictwem Jakuba, brata Jezusowego. Byli to wierni wyznawcy judaizmu, którzy poza tym, że uznawali Jezusa za Mesjasza, zachowali wierność Prawu. Przebýwali więc często na terenie świątyni i w głowie nie chce się pomieścić, aby Józef nie miał się z nimi kiedykolwiek zetknąć. Był on także, jak wiemy, rzędcą Galilei, ojczyzny Nazarejczyka. Przybył tam w 66 r., a więc około 36 lat po jego śmierci. To prawda, że kraj znajdował się w stanie wojennym, a on sam miał pełne ręce roboty organizując opór zbrojny przeciwko Wespazjanowi. Czyżby jednak nie znalazł nawet chwili czasu, by interesować się losami i działalnością głośnego reformatora religijnego pochodzącego właśnie z tej prowincji, którą zarządzał?

A inni wybitni pisarze żydowszy z tych czasów? Okazuje się, że i oni zachowują głuche milczenie. Choćby taki Justus z Tyberiady, zacięty wróg Józefa Flawiusza, autor Wojny żydowskiej i Kroniki królów żydowskich. Dzieła te wprawdzie zaginęły, ale patriarcha Konstantynopola, który żył w IX wieku i miał je w rękę, twierdzi, iż Justus nie nie pisał o Jezusie. Jest to tym dziwniejsze, że pochodził on również z Galilei i znał stosunki swego regionu na wylot. Tak przynajmniej można wnioskować z polemicznej odpowiedzi, jakiej udzielił mu Józef Flawiusz w swej autobiografii.

No i wreszcie jeden z najwybitniejszych filozofów i myślicieli żydowskich Filon z Aleksandrii, z którym zapoznaliśmy się bliżej w późniejszych naszych rozważaniach z tej racji, że przyczynił się on w niemałym stopniu do ukształtowania pewnych idei chrześcijaństwa. Ten rabin, który cały trud życia poświęcił zadaniu pogodzenia judaizmu z filozofią grecką, wywarł ogromny wpływ na autora Ewangelii Jana i na Pawła z Tarsu. Dość powiedzieć, że grecka idea logosu za jego pośrednictwem przeszła do teologii chrześcijańskiej. Filon urodził się na jakieś trzydzieści lat przed Jezusem i przeżył go mniej więcej o dwadzieścia lat. Będąc rabinem i słynnym egzegetą Pisma Świętego, brął poza tym żywy udział w wydarzeniach swojej epoki, zwłaszcza że bratane jego Tyberiusz Aleksander w latach 46-48 postanowił wysoką godność prokuratora Judei. Mimo że mieszkał w Aleksandrii, odbywał częste podróże do Jerozolimy, gdzie miał rodną i mnóstwo znajomych. W jednym z licznych traktatów De vita contemplativa opisad działalność terapeutów, sekty religijnej, przypominającej pod wielu względami essenicyków i pierwszych chrześcijan. A jednak w swojej ogromnej ilościowości twórczości literackiej, przeważnie mającej za temat zagadnienia religijne i okres rządów Piłata, nie poświęca Jezusowi nawet wzmianki kronikarskiej. Odnosi się to również do pozostałej literatury religijnej Żydów z wyjątkiem Talmudu, który stanowi odrębną zagadnienie i omawiany będzie jeszcze w tymże samym rozdziale.

Skoro krajanie i rodacy Jezusa w ten sposób sprawili nam zawód, trudno mieć pretensję o to do Rzymian i Greków. Tacyt, Pliniusz Młodszy i Swetoniusz wprawdzie pozostawili nam w spadku krótkie przekazy, ale ich treść odnosi się raczej do faktu, że istniały wtedy już gminy chrześcijańskie, a nie do Jezusa. Zresztą wszystkie trzy są stosunkowo dość późne, bo powstały z górą osiemdziesiąt lat po ukrzyżowaniu. Natomiast tacy autorzy, jak Pliniusz Starszy (23-79 r.), Marcialis (43-103 r.), Plutarch (50-120 r.) i Juwenal (55-130 r.), chociaż odnotowywali wydarzenia znacznie mniejszej wagi, pominieli milczeniem wstrząsającą historię galilejskiego Mesjasza.

Dla czytelników myślących racjonalistycznie argument, jaki tu przytoczę, oczywiście nie może mieć żadnego znaczenia, ale ludzi wierzących we wszystko, co przekazują nam ewangelie, powinien zastanowić niepokojący fakt, iż w kronikach żydowskich nie ma ani śladu potwierdzenia, że w chwili zgonu Jezusa nastąpiło trzygodzinnie zamknięcie słońca, że zmarli powstawali z grobów, a przede

wszystkim, że drogoceanna zasłona najświętszego przybytku świątyni jerozolimskiej rozdarła się na dwoje. Trudno przypuścić, aby nie znalazł się choćby jeden kronikarz żydowski, który uważałby te zjawiska, bądź co bądź niesamowite, za godne odnotowania. Jeżeli chodzi o zaciemnienie słońca, to również Pliniusz Starszy, uczony znany ze swej sumiennoci, nie o nim nie wie, mimo że w swojej Historii naturalnej poświęca cały osobny rozdział zaciemnieniu słońca.

Bibliści oczywiście zastanawiali się nad przyczynami tego zagadkowego zjawiska. Pisarz katolicki Daniel Rops, autor głosnej monografii o Jezusie, w ten oto sposób rozstrzyga sprawę: „dla przeciętnego krzyżowanego jak niewolnik, jeden spośród milionów niewolników, istniejących w cesarstwie rzymskim. Palestynscy Żydzi ledwie to zauważyli. Choćby nawet sama Jerozolima przeżyła pewien wstrząs, to czyż w Italii, Grecji, Azji Mniejszej i Egipcie cywilizowani ludzie przejmowali się Żydami?.. Ile znaczny ten trup w państwie, którym rządził Tyberiusz, a miał rządzić Kaligula, Klaudiusz i Neron? W świecie kapłanym we krwi cóż wazy śmierć jednego człowieka? ”

Obaj wymienieni autorzy mimo woli zwracając uwagę na pewien proces psychologiczny, zniekształcający w naszej ocenie proporcje minionych wydarzeń historycznych. Zastręgowani wspaniałością kariery dwojgowej chrześcijaństwa, jego wierni adeptcy poczytywali to za cud i oczywiście w konsekwencji nie mogli uwierzyć w skromny i naturalny charakter jego początków. Stąd ta skłonność do wyolbrzymiania znaczenia i mitologizowania wszystkich szczegółów związanych z życiem założyciela nowej religii, występująca nie tylko w ewangelicach, ale również we wszystkich innych religiach świata. I oto milczenie autorów, którzy lekceważyli nie tylko takie rzekome cuda, jak rozdarcie zasłony czy zaciemnienie słońca, lecz nawet sama postać Jezus, upytania nam pewne psychologiczne zjawisko: rozdziewicz chrześcijaństwa z osobieniu pierwszych gmin chrześcijańskich, pozbawiających w kręgu swoich wierzeń, między innymi otoczeniem grecko-rzymskiego społeczeństwa a garstką wtajemniczonych siostr i braci w Chrystusie, upojonych pięknem swoich nieziemskich zachwycen i tęsknot. Dla nich ów pełen cudów świat, w którym Bóg umarł na krzyżu i zmartwychwstał, był prawdziwiej niż świat, z którym stykali się na co dzień. Natomiast dla Żydów i pogan ukrzyżowany Jezus był tylko, jak powiada ks. Steinmann, „jednym spośród milionów niewolników istniejących w cesarstwie rzymskim”.

Niektórzy bibliści, nie mogąc pogodzić się z tego rodzaju interpretacją, pocieszają się domyśle, że jednak przyspuszczalnie literatura źródłowa dotycząca Jezusa ongiś istniała, że uległa ona tylko zagładzie w zawiurachach wojennych i politycznych, jakie wstrząsały ówczesnym światem. W pożarze Rzymu za panowania Nerona poszło z dymem archiwum państwowe, a w nim mogli znajdować się chyba rozmaite dokumenty, jak na przykład autentyczne sprawozdania Poncjusza Piłata. W 70 r. Tytus zdobył i zburzył Jerozolimę. Wraz ze świątynią i przyległymi zabudowaniami splonęły zapewne również protokoły Sanhedrynu, przed którym toczyła się sprawa Galilejczyka. Wojna w Palestynie trwała siedem lat; była to wojna zacięta, krwawa, niszcząca. Krocie tysetcy Żydów poszło do niewoli lub zawisło na krzyżu. Rzymianie systematycznie niszczyli w całej Palestynie domy modlitwy, a znajdujące się w nich księgi święte i dokumenty paliłi na stosach.

Jeżeli chodzi o pierwszych chrześcijan w Jerozolimie, a więc naoecznych świadków Jezusowej misji, to sprawa ma się inaczej. Nie chcieli oni brać udziału w powstaniu żydowskim i w 66 r. wywędrowali do zajordaniańskiego miasta Pella. Skoro zwoje odkryte w Qumran świadczą, że podobna do nich sekta essenicyków miała swoją literaturę, to tym samym nie można wykluczyć, że i oni mieli własną literaturę. W takim razie musieli ją chyba zabrać ze sobą na tulanckę. Byli to judeochrześcijanie, przestrzegający wszelkich nakazów rytualnych, nie wyłączając obrzezania. W Pella, jak to bywa na wgnaniu, z coraz większym uporem trzymali się mozaizmu, widząc w Jezusie jedynie żydowskiego proroka i mesjasza. Istnieli tam kilkadziesiąt lat jako sekta ebionitów, oddalając się coraz bardziej od głównego nurtu chrześcijaństwa, które pod wpływem Pawła i hellenizmu zatraciło swój związek z judaizmem. Stopniowo znikai z karł historii: część członków powracała na łono religii macierzystej, część zaś rozprzysła się w otaczającym ich hellenizmie. Przypuszczalnie wraz z sektą zaginęła bezpowrotnie literatura tych najbardziej autentycznych uczniów Nazarejczyka. Choćaż kto wie, może kiedyś jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności to i owo z tej hipotetycznej literatury się odnajdzie. Świadczy o tym choćby odkryty w 1966 r. traktat polemiczny w przekładzie na język arabski, pochodzący niewątpliwie ze środowiska ebionickiego. Dokładniej zajmiemy się nim później, teraz wystarczy zaznaczyć, że atakuje on ostro Pawła za rzekomą zdradę nauki

Jezusa przez głoszenie, iż był on Bogiem i Zbawicielem.

W miarę jak chrześcijaństwo zdobywało coraz szersze kręgi wyznawców, rosła także opozycja ze strony rzymsko-greckich intelektualistów. Powstała ogromna literatura polemizująca z doktrynami nowej religii, zwalczająca jej rosnące wpływy, wystawiająca ją na pośmiewisko i zjadliwą obławę. Kościół katolicki, gdy tylko znalazł oparcie w państwie, z całą bezwzględnością niszczył wszelkie tego rodzaju pamflety, w konsekwencji wytwarzając u potomnych wrażenie, że w swoim rozwoju nie natrafił na większą opozycję ze strony ludzi wykształconych, że historia chrześcijaństwa miała pod tym względem przebieg bezkonfliktowy. Jako przykład tej niszczącej akcji może posłużyć filozof neoplatoniski Porfiriusz z III wieku. Napisał on przeciwko chrześcijaństwu aż piętnaście tomów rozpraw i traktatów polemicznych. Zostały one w V wieku spalone na stosie z polecenia cesarza bizantyjskich Walentyniana III i Teodora II, tak że śladu po nich nie zostało.

Wśród tych autorów teńionych przez Kościół szczególony rozgłos znalazł filozof grecko-rzymski Celsus, wyznawca stoicyzmu i platonizmu, powiernik cesarza-filozofa Marka Aureliusza, jeden z najmniejbezpiecznych idoleów antagonistów chrześcijaństwa. Nie mamy żadnych bliższych wiadomości o tym ciekawym myślicielu poganiłsm, ale z referencji, jaką okazuje mu Lukian (123-190), autor słynnych dialogów filozoficznych, wnioskować możemy, że był to mająciesiący się duży autorytelem. Lukian bowiem w dialogu Aleksander, czyli fałszywy prorok między innymi tak oto pisze: „...gromadząc materiały do niniejszej rozprawy, pragnąbym wywodzić ci się i wyświadczyć przyrzęmości przyjacielowi i towarzyszącemu, którego najbardziej ze wszystkich wielbie, zarówno za jego mądrość, umiowanie prawdy i łagodny sposób bycia, jak też za spokojne umiarkowane życie i umiejętność postępowania z ludźmi”.

Gdy Celsus opublikował polemiczny dialog Prawdziwe słowo (ok. 177 r.), w którym niezwykłe zjadliwie atakuje chrześcijaństwo, wywołał chyba ogromną konsternację. Podobno pod wrażeniem jego argumentacji wielu chrześcijan wyrzekło się nowej wiary. Traktat ten podzielił los innych tego rodzaju utworów: po prostu zginął bez śladu. Tak się jednak dziwnie złożyło, że znamy dokładnie jego treść dzięki pracy jednego z najwybitniejszych myślicieli i teologów chrześcijańskich Orygenesu (185-251 r.). W polemicznym rozprawie Contra Celsum (Przeciw Celsusowi) zastosował on metodę przytaczania całych ustępów z Celsusa i następnie zbijania ich własnymi argumentami. Tych cytaty jest tak dużo, że na ich podstawie można było prawie bez reszty zrekonstruować ogólną treść Prawdziwego słowa. Celsus przede wszystkim zarzuca chrześcijanom, że natworzyli tyle sprzecznych podań o Jezusie i tak często zmieniali teksty ewangelii, że w końcu sam się w tym gubili. Tak np. matka Jezusa, Maria, uprzedzona o tym przez Anioła Gabriela, porodziła Syna Bożego. Ale twórcy tych legend zapomnieli wyznaczyć z ewangelii późniejszą historię, według której Maria wraz z rodziną poczytywała Jezusa za sąleńca.

Najwięcej jednak miejsca poświęca Celsus pochodzeniu Jezusa. Opierając się na krząjących plotkach twierdzi, że matka jego była wiejską kobietą zrodzoną z cudów. Mąż jej, cieśla z zawodu, wynął ją z domu, ponieważ wykrył, że zdradzała go z niejakim Pantherą, żołnierzem armii rzymskiej narodowości greckiej. Bezdomna kobieta tułała się po kraju i w przyrodnej stajni porodziła Jezusa, syna nieprawego łoża. Ów syn, gdy wyrósł, wywędrował za chlebem do Egiptu i tu nauczył się sztuki zmynienia cudów, a gdy wrócił do Galilei, korzystał ze swych kuglańskich umiejętności, by zarabiac na życie. Miał w tym takie powodzenie, że wzbil się w dym i rozgłaszał, iż jest synem bożym.

Celsus wysuwa jeszcze szereg innych uwłaszających dla chrześcijaństwa zarzutów, powróćmy do nich przy innej okazji. Wiemy już, że był on człowiekiem poważnym i chyba nie wyszał sobie z palca tych niewybrednych plotek. Musiały one za jego czasów krążyć po Rzymie i znaleźć wiarę u wielu ludzi, skoro wzięto je poważnie nawet w kołach elity intelektualnej, do jakiej należał przecież Celsus, Marek Aureliusz czy Lukian.

Znany prawdopodobnie źródło tych plotek. Zrodziły się one w ferworze walki, jaka toczyła się między chrześcijanami a Żydami w różnych miastach imperium rzymskiego, walki, której pogłosy znajdujemy w Nowym Testamencie. Również w Talmudzie zachowały się rozmaite opinie i pogłoski związane z postacią Jezusa, a w traktacie Aboda Zara mamy to, czego szukamy: całą historię cudzidoństwa Marii z żołnierzem Pantherą. Kolportaż legendy był ułatwiony dzięki nietylchemu w dziejach ałk żydowskich wydarzeniu. Mianowicie córka pewnego kapłana imieniem Miriam bath Bilga porzuciła judaizm, by wyjść za mąż za żołnierza armii seleukidzkiej. Utożsamienie jej z Marią, matką Jezusa, było w atmosferze zaciętych spórów i kalumni prawie nie do uniknięcia. Przypomnijmy, że tzw. Talmud palestyński otrzymał swoją ostateczną redakcję dopiero ok. 400 r. n.e., a Talmud babiloński o sto lat później, natomiast Celsus napisał swój traktat ok. 178 r. Świadczy to, jak twardy żywot mają tego rodzaju plotki. Kaczyły one przez paręset lat i na nowo znalazły gorliwych rzeczników w epoce Oświecenia.

Tak oto kończą się poszukiwania śladów rzeczywistego Jezusa w literaturze pozachrześcijańskiej, kończą się, trudno chyba zaprzeczyć, kompletnym fiaskiem.



Rzecz o ewangelistach i ich domniemyanych autorach

EWANGELIŚCI PISALI PO GRECKU

Poprzedni rozdział był może dla niektórych czytelników pewnego rodzaju zaskoczeniem. Nawiele bowiem mówi o doczesnym życiu Jezusa całe to greckie, rzymskie i żydowskie piśmiennictwo, składają przecież znane z tego, że w swoich przekazach nie skąpi nam rozmaitych anegdotycznych szczegółów. W dodatku okazało się, że nawet i to, co zdołaliśmy wyluskać z tego piśmiennictwa, jest z rozmaitych względów podejrzane lub wręcz nie zasługujące na naszą wiarę. Doprawdy, jakże zadziwiająco nikły ślad po człowieku, który już w owym czasie czczony był jako Bóg i Zbawiciel świata!

Wobec takiego stanu rzeczy jedyną świadectwo historyczne, na którym pozostać nam się oprzeć - to Nowy Testament, a ponadto bogate piśmiennictwo chrześcijańskie nie włączone do kanonu ksiąg świętych i ryczałtowo objęte nazwą apokryfów. Jaką wartość dowodową mają wszystkie te pisma? Odpowiedź na to pytanie usiłuję dać odrębny dział bibliki naukowej. Przekonywać się później, jak fascynujące i niekiedy rewelacyjne są dokonane w tej dziedzinie osiągnięcia. Poświęćmy im niejedną stroniec niniejszej książki, musimy jednak przedtem zapoznać się, choćby pobieżnie, z podstawowym dokumentem chrześcijaństwa: z Nowym Testamentem. Zawiera on, jak wiemy, dwadzieścia siedem ksiąg, a mianowicie: cztery ewangelie, Dzieje Apostolskie, dwadzieścia jeden listów, przypisanych Pawłowi, Jakubowi, Piotrowi, Janowi i Judzie Tadeuszowi, oraz Objawienie Jana Apostoła, czyli Apokalipse. Bibliści nie mają uzgodnionego zdania, kiedy te pisma powstały. Na ogół jednak przyjmuje się, że ich powstanie przypada na okres od 50 do ok. 120 r. Najstarszą częścią Nowego Testamentu jest List Pawła do Tessaloniczan, napisany w 50 r., a zatem mniej więcej w dwadzieścia lat po ukrzyżowaniu Jezusa Chrystusa.

Na ogół nie przychodzi nam do głowy zastanowić się, w jakim języku był napisany Nowy Testament; przecież uważa się za rzecz samą przez się zrozumiałą, że jego oryginalnym językiem był hebrajski lub aramejski. Dla niejednego będzie więc rzeczą niespodzianką, gdy dowie się, że autorzy Nowego Testamentu mówili i pisali po grecku. Nie był to wprawdzie język klasyczny z epoki Peryklesa, lecz jego gwarowa odmiana zwana przez filologów „koine”. W epoce hellenistycznej, to znaczy w okresie od IV wieku p.n.e. aż po wiek V n.e., język ten stał się potoczną mową różnojęzycznych ludów, zamieszkujących obszary podbite ongiś przez Aleksandra Macedońskiego i z biegiem czasu całkowicie zhellenizowanych przez okupacyjną administrację Greków.

Ci administratorzy cywilni i żołnierze pochodzili ze wszystkich plemion greckich Hellady, mówiących odmiennymi narzeczeniami. Rzecz oczywista, że na tych wspólnie zarządzanych terenach ich dialekty się mieszały, a w wyniku tego unifikacyjnego procesu ukształtował się nowy język grecki zwany „koine”, język epoki hellenistycznej. „Koine” miał zrazu wszelkie cechy gwary ludowej, chociaż jego kanwą był klasyczny dialekt attyki na skutek prestiżu kulturalnego, jakim niezmienne cieszyły się Ateny wśród pobratymców greckich. Z upływem czasu zaczęli się nim posługiwać w mowie i piśmie także ludzie wykształceni. W ich użyciu nabierał on stopniowo niejakiego poluru literackiego i w końcu stał się językiem potocznym nie tylko w Azji i Egipcie, ale nawet w samym Rzymie. Słyszało się go również w miastach Palestyny, a szczególnie w Galilei, ojczyźnie Jezusa. I to do tego stopnia, że katolicki biblista, ks. prof. E. Dąbrowski, zadał sobie w jednym z esejów pytanie: „Czy Jezus mówił po

grecku?”, a nawet przypuszczał, że w rozmowie z nie-Zydami posługiwał się językiem greckim. Wiadomo, że Żydzi z diaspory, daleko liczniejsi niż w samej Palestynie, mówili przeważnie po grecku. Zapomnieli oni do tego stopnia swojej mowy ojczystej, że zdani byli wyłącznie na Septuagintę, Stary Testament przetłuszczony w Aleksandrii na język grecki. W samej Jeruzolimie, gdzie zresztą wpływy kultury greckiej również były niemałe, prawie nie mówiono już po hebrajsku, lecz po aramejsku. Był to blisko z hebrajskim spokrewniony dialekt semicki, który stał się uniwersalnym językiem Bliskiego Wschodu.

Hellenizm opanował nawet ojczyznę kultury łacińskiej, Italię. W początkach cesarstwa, w związku z ogromnym ozajwieniem gospodarczym kraju i rosnącym brakiem siły roboczej, sprowadzono masowo ze Wschodu niewolników i ziemianników, zatrudnianych w miastach oraz w majątkach wielkich posiadaczy ziemskich. Ten napływ obcych elementów etnicznych zmienił do gruntu oblicze Italii. Przybyzse mówili przeważnie po grecku, toteż język grecki stał się potocznym językiem szerokiego rzesz proletariatu. Rzymski satyrzyk Juwenal (55-130 r.) skarzył się w jednej ze swych satyr, że trudno wytrzymać w mieście. „Sami Grecy!” O stopniu tej penetracji świadczy dzisiaj fakt, że na nagrobkach niewolników i wyzwoleńców archeolodzy spotykają częściej imiona greckie niż rzymskie. Ponieważ chrześcijaństwo krzewiło się przede wszystkim wśród tych właśnie ludzi, nie można się dziwić, że pierwsi przełożeni Kościoła rzymskiego posługiwali się greką w mowie i piśmie, co więcej - że język grecki był w owych czasach językiem liturgii chrześcijańskiej.

W świetle tych faktów nietrudno zrozumieć, dlaczego ewangelie i pozostałe pisma Nowego Testamentu napisano w języku greckim, a nie w jednym z narzezy semickich. Autorami ich, jak i teź odbiorcami, byli wyznawcy Chrystusa pochodzący głównie ze zhellenizowanych środowisk diaspory żydowskiej. Niektórzy bibliści wyrażają przekonanie, że nie dotyczy to Ewangelii Mateusza i Listu Pawła do Hebrajczyków. W ich mniemaniu pisma te są jedynie przekładem oryginałów aramejskich, które jakoby zaginęły pozostawiając w przekładzie greckim ślady swego pochodzenia w postaci idiomatycznych zwrotów, właściwych tylko językom semickim. Z pewnych jednak względów, nad którymi nie pora tu się chwili się zatrzymywać, większość uczonych specjalistów nie uznała owej tezy za dostatecznie udowodnioną.

Na marginesie całej tej sprawy warto zanotować, że Nowy Testament przetłumaczony w całości na łacinę dopiero doktor Kościół św. Hieronim, który żył w latach 340-420. Przekład ten znany jest pod nazwą Wulgaty. Oczywiście przed Hieronimem istniały już łacińskie tłumaczenia ksiąg Nowego Testamentu w Italii i Afryce Północnej. Można jednak z dużą dozą słuszności powiedzieć, że przez trzynaście wieków, o którym wspominał, dla ogólnego wykształcenia w zasadzie wystarczał grecki tekst Biblii. W 1592 r. dokonano nowego przekładu na polecenie papieża Klemensa VIII, który nazwano z tego powodu Wulgata Clementina. Z tej najnowszej wersji łacińskiej korzystał ks. Jakub Wujek, twórca jednego z pierwszych przekładów Biblii na język polski.

KOSZE PEŁNE PAPIRUSÓW I CO Z TEGO WYNIKŁO

Nie posiadamy, rzecz oczywista, ani jednego manuskryptu Nowego Testamentu, napisanego przez autentycznego autora. Teksty, jakimi dysponujemy, są to kopie wielu kolejnych kopii. Nie sposób ustalić, ile ich było między pierwotnymi oryginałami a znanymi nam dzisiaj tekstami; pewnie się tylko to, że kopiai, tak jak wszyscy ludzie, byli omylni, a co za tym idzie, że uczeni mają mnóstwo kłopotów z wypływaniem pełnopisnych przez nich polknięć w kopiowaniu tekstach. Chodzi tu nie tylko o nie zamierzone uchybienia, spotykamy się bowiem również z wypadkami, kiedy przepisywacze, w ferworze lansowania swoich przekonań doktrynalnych, zgola bez skrępowań przeinaczali całe wersety.

Wszystkie wynikające z tych faktów rozbieżności tekstowe stanowią oczywiście dla biblistów nader kłopotliwy problem. Gnębi ich pytanie, w jaki sposób odtworzyć tekst autentyczny, oczyszczony z późniejszych pomyłek i naleciałości. Próby podejmowane w tym kierunku polegały na filologicznej konfrontacji posiadanych różnorakich wersji Nowego Testamentu, by drogą drobiazgowej analizy porównawczej dopracować się oceny, która z odmian zasługuje na większe zaufanie niż inne. Niestety, ocਾਲy materiał porównawczy był zbyt szczupły, aby osiągnąć w zastosowaniu tej metody pełne powodzenie. W konsekwencji nie zdołano uzyskać naukowo pewnego sprawdzianu, pozwalającego ustalić, która z wersji jest w większym lub mniejszym stopniu wiarygodna. Sprawdzian taki mógł być, między innymi, oparty na przesłankowej tezie, która przyjmuje za pewnik, że im starszy jest tekst Nowego Testamentu, czyli bliższy czasowo oryginalnemu autorowi, tym więcej zasługuje na zaufanie. W myśl tej zasady tekst pochodzący z II wieku powinien być wiarygodniejszy niż tekst z III wieku, ponieważ wyprzedza go mniej pokoleń przepisywaczy, a w samej treści narosło odpowiednio mniej zawińonych przez nich przeinaceń.

Dopóki jednak - jak to już powiedzieliśmy - pozostają do dyspozycji materiał porównawczy był nabyt szczupły i uczeni nie mieli na czym wypróbować praktycznie swej metody, trudno było poradzić sobie z tym zagadnieniem. Wyjście z impasu stało się możliwe dopiero dzięki wielkim odkryciom w Egipcie. Pod koniec XIX wieku archeologia zadziwiła świat wieloma sensacyjnymi odkryciami, które przeistoczyły nasze wyobrażenia o starożytnych cywilizacjach; a między tymi odkryciami nieopóźniła wagę mając znalezienie w Egipcie papyrusy z bardzo ciekawymi tekstami.

Juz w pierwszej połowie XIX wieku przywieziono do Europy pierwsze papyrusy, ale dopiero pod koniec tegoż wieku uczeni poczęli zdawać sobie sprawę z ich szczególnej wagi jako źródła do poznania historii starożytnej. Okazało się bowiem, że teksty zapisane na tych pożyłkłych arkuszach zawierają mnóstwo szczegółów z życia codziennego, zazwyczaj pominiętych w dziełach starożytnych historyografów. Szczegóły pozornie mało ważne, związane z codziennymi smutkami i radościami ówczesnego szarego człowieka, ale dające nam wielostronny wgląd w zakamarki ówczesnych obyczajów i stosunków społecznych, pozwalające poznać ludzi z tamtych czasów od strony prywatnej, dzięki czemu historia - jeżeli wolno tak powiedzieć - oficjalna nabiera pełniejszych kolorów życia.

Są to najróżniejsze listy rodzinne, umowy sprzedaży, kupna i dzierżawy, testamenty, dokumenty zawarcia małżeństw i dokumenty dotyczące rozwodów, korespondencje dyplomatyczne, skrypty dłużne, listy gończe, poszukujące zbiegłych niewolników, i wiele innych zapisów podyktowanych przez ówczesne stosunki prawne i obyczajowe. Materiały niejednokrotnie fascynujące, chwytające życie na gorąco. Oto np. list z II wieku n.e. wysłany do matki przez syna marnotrawnego Antoniosa Logosa: „Antonios Logos matce Neilus serdeczne pozdrowienie. Bardzo pragnę, abyś była zdrowa. Co dzień zanoszę modły do Pana Serapisa za tobą. Pragnę, abyś wiedziała, że nie spodziewałem się, iż wstąpił do metropolii, przeto nie przybyłem do miasta. Wstydziłem się przybrać do Karani, gdyż chodzę w lachmanach. Napisałem do Ciebie, że jestem goły. Błagam Cię, Matko, przebac mi. Zresztą zdaję sobie sprawę, ile sam zawińilem. Odebrałem pewne wychowanie. Wiem, że zgrzeszyłem. Słyszałem od Postumosa, który odnalazł Cię w powiecie arsenoickim, że Ci sie we wszystkim niedobrze przydarło. Czy nie wiesz, że wolałbym być ślepy, niż zdać sobie sprawę, iż winien jestem komuś nawet obola?” Dzieje dokonanych w tej dziedzinie odkryć oraz powstałe w ich wyniku nowe dyscypliny naukowej: papirologii - to nieprzerwane pasmo zdumiewających wyzradzeń mogących posłużyć za temat do najfantastyczniejszych powieści. Kariera tej nowej gałęzi wiedzy świadczy najdowodniej, że nowoczesna nauka, mimo swych zastrzonych rygorów intelektualnych w metodach badawczych, niekoniecznie musi być odarta z romantycznego uroku, jaki nieodmiennie towarzyszył archeologii w okresie jej burzliwej młodości i pamiętnych odkryć wykopaliskowych.

Do jakiego stopnia nie doceniano z początku roli zwojów papiirusowych w rekonstrukcji dawnych epok, dowodzi wypadek, który zdarzył się w 1778 r. Grupa fellachów egipskich, zajmująca się procederem poszukiwania i sprzedaży archeologicznych znalezisk, natknęła się na skrzynię z drzewa sykomorowego. Wewnątrz uszczęśliwieni znaleźli odkryli mnóstwo zwojów papiirusowych; było ich podobno pięćdziesiąt. Oczywiście starali się je spieniężyć. Udało im się jednak sprzedać tylko jeden zwoj, mimo że w Egipcie przebywała wówczas wielka Europejska w poszukiwaniu skarbow. Postąpili więc z resztą zwojów tak, jak z pokolenia na pokolenie byli do tego przyzwyczajeni: rozniecieli nimi ognisko, aby uprzyjemnić sobie chwile obowozu aromatycznym dymem palonego papiirusu. Strach pomyśleć, jakie skarby wiedzy historycznej poszły w ten sposób na zagładę.

Jedyny zwoj, nabyty z tej niefortunnej kolekcji, otrzymał w darze kardynał Borgia, który powierzył go do naukowego opracowania duńskiemu hellenistice profesorowi Nilsovi Schow. Dokument, jak się okazało, zawierał w języku greckim spis wieśniaków z okolicy Fajumu, których w latach 192-193 brano do przymusowych robót przy budowie kanałów i grobli. Naukowcy nie doceniali jeszcze dostatecznie tego rodzaju przyczynków w odtwarzaniu stosunków społecznych danego kraju; lista fellachów wydawała im się mało ciekawa. Papiirus Borgii nie wzbudził przeto większej uwagi kół naukowych i dlatego wiele jeszcze lat musiało upłynąć, zanim zrodziła się papirologia jako odrębna dyscyplina naukowa. A była to potem okazja znacznie już wcześniej, bo jeszcze w 1752 r. Z ruin willi w Herkulanum, zbudowanej w I wieku p.n.e. i należącej do niejakiego Kalpurniusza Pizona, wygrzebano całą prywatną bibliotekę liczącą osiemset zwojów papiirusowych. Niestety, były one do tego stopnia zwięzione i popielane, że ich odczytanie na ogół okazało się niemożliwe. Tylko dzięki pomysłowości zakonnika Antonio Poggio, który skonstruował specjalny aparat do tego celu, udało się odczytać pięć zwojów. Resztę trzeba było spisać na straty. Odczytane papiirusy zawierały traktaty epikurejskie Filodema, greckiego filozofa z I wieku p.n.e. Własciciel willi, jak widać, był miłośnikiem filozofii, toteż z pewnym prawdopo-

dobieństwem wolno sądzić, że nie odczytane zwoje poświęcone były także tej samej tematyce. Dopiero pod koniec XIX wieku wśród europejskich poszukiwaczy skarbow, tłumnie wędrujących do Egiptu, zaczęło gwałtownie budzić się zainteresowanie dla zwojów papiirusowych. Koniunkturę w lot spostrzegli zawsze skorzy do handlowania fellachowie egipscy. Przez długi czas tylko za ich pośrednictwem można było nabywać te cenne dokumenty starożytności; tylko oni wiedzieli, gdzie i jak ich szukać, a swój proceder otaczali największą tajemnicą. Monopoli ich przerwał dopiero archeolog brytyjski W.M. Flinders Petrie. W 1884 r. w ruinach starożytnego miasta Tanis odkrył tyle papiirusów, że trzeba było je wynosić koszami. Niestety, miasto padło ofiarą pożaru, toteż papiirusy popożepiały się w zwięzione bryły i nauce nie przyniosło oczekiwanego pożytku. Unaczołniali jednak archeologom, jak bogate źródła wiadomości historycznych kryją się w piaskach i ruinach dawnych miast egipskich.

W latach 1889-1890 Petrie zabrał się do poszukiwania wykopaliskowych w okolicach Fajumu i ku zdumieniu świata nauki natknął się na całkiem nowe, niespodziewane źródło papiirusowych tekstów. Wypokupając mumie na cmentarzu z czasów hellenistycznych spostrzegł przypadkowo, że trumny zwane „kartonazami” sporządzone były z wielowarstwowych arkuszy papiirusowych ze starymi tekstami, ugniatanych na mokro w kształt ludzkiej mumii. Papirolodzy nauczyli się rozkłać te arkusze i rozszyfrowywać ich teksty, nieraz wcale doniosłe dla wiedzy o starożytnych cywilizacjach. Nie koniec na tym: odkryto inne, jeszcze może fantastyczniejsze źródło papiirusów. Podczas prac wykopaliskowych w Tebtunis egipctol amerykański Reissner odkrył cmentarzysko świętych krokodyli. Pierwsze znalezienie mumie zwierzęcej przyparowało młodego badacza o taki zawrót głowy, że obiecał fellachom nagrodę za każdy dostarczony okaz dziwnego zwłoka. Wkrótce utworzyła się kolejka po zapłatę, Amerykaninowi zrzędał mina na widok rosnącej stery zaszczepionych bestii. Uświadomił sobie gorę położenia: dookoła kryły się w piasku tysiące mumii; z przerażeniem pomyślał, ile to będzie go kosztowało. W desperacji ogłosił, że wycofuje się z umowy. Jeden z fellachów, który właśnie niósł mumie na plecach, obruszył się nie na zarty i rąbnął zdobywcę o ziemię. I wtedy stała się rzecz zdumiewająca: mumia pękła jak puchawka, a z jej wnętrza wysypały się zwoje papiirusów zapisanych gestó tekstami. Otdał wiadomo, że mumie balsamowanych zwierząt należą starannie badać, gdyż Egipcjanie nierozdąko wypychali je bezwartościową dla siebie makalaturą, dla nas jednak niewykłętą wagi historycznej.

Papirologia poszczycić się może innymi jeszcze osiągnięciami. Dzięki niej bowiem odzyskaliśmy niespodzianie wiele dzieł literatury antycznej, które uważaliśmy za bezpowrotnie zaginione. Wiadzianno na przykład, że Arystoteles napisał traktat o ustroju Aten, toteż gdy rozniósł się wiadomość, że znalezione zwoje z pełnym tekstem tego dzieła, wywołało to niebyswale poruszenie wśród badaczy i miłośników antyku. Nie koniec na tym. Dzięki papiirusom odzyskano dla naszej kultury niektóre komedie Menandra, greckiego komediopisarza, który był inspiratorem Moliere i wielu innych twórców europejskich. Ponadto bez badań papirologicznych nie mielibyśmy dziś między innymi poezji Kalimacha, pieśni Bakchylidesa, wierszowanych obrazków rodzajowych Herodasa, nie mówiąc już o tysiącach fragmentów najrozmaitszych dzieł z dziedziny literatury pięknej, historiografii i filozofii. Możemy z satysfakcją stwierdzić, że wkład nauki polskiej w papirologię jest dzięki pracom Jerzego Manteuffla, Kazimierza Michałowskiego i Anny Świderek bardzo poważny.

Wracamy jednak do naszego właściwego tematu i zapytajmy, co wspólnego ma papirologia z badaniami nad tekstami nowotestamentowymi. Otóż wśród ogromnej ilości papiirusów znaleziono mnóstwo całych zwojów lub strzępów z tekstami Nowego Testamentu. Niektóre z nich pochodzą z III, a nawet II wieku, są więc o prawie dwa stulecia starsze niż teksty, znane pod nazwą Kodeksu „Watykańskiego i Kodeksu Synackiego. Jeżeli jeszcze dodamy, że uczeni dla swoich badań lingwistycznych mają dziś do dyspozycji dosłownie tysiące fragmentów oraz szereg kompletnych odpisów Nowego Testamentu, to łatwo zrozumieć ogromne znaczenie papirologii w badaniach biblistycznych.

Dzieje odkryć w tej dziedzinie, niekiedy wręcz sensacyjne, zaczynają się w połowie XIX wieku przypadkowym znalezieniem tak zwanego Kodeksu Synackiego przez niemieckiego badacza Konstantego Tischendorf. Młodego wówczas teologa i biblistę intrzygowal prawosławny klasztor św. Katarzyny na górze Synaj, o którym od dawna krążyły pogłoski, że przechowuje w swojej bibliotece wprost bajeczne skarby piśmiennictwa, a szczególnie archaiczne, zgola nieznanie teksty biblijne.

Wprawdzie zakonnicy tego klasztoru znani byli z tego, że nieźbył cnieć wiedzieli o siebie przybyzszów z zewnątrz, ale Tischendorf, wiedziown zapalem naukowym, postanowił poprobować szczęścia. I rzeczywiście jakoś zdołał wkraść się w zaufanie mnichów. Poszukiwaniem w bibliotece skończyłyby się jednak niepewodzeniem, gdyby nie to, że prawie w ostatniej chwili swego pobytu zajrzał do kosza z papierzyskami przeznaczonymi na spalanie. Między bezwartościową makalaturą odkrył ku swojemu

zdumieniu 120 rozmaitych stron pochodzących z greckiej Biblii tzw. Septuaginty, wśród których najstarsze strony datały się z IV wieku. Część tych tekstów, która przypadła mu w udziale w nagrodę za odkrycie, opublikował następnie w Lipsku.

Tischendorf dwa razy jeszcze wybrał się w daleką drogę do klasztoru, w 1853 i 1859 r. Z pierwszej wyprawy wrócił z próżnymi rękoma, a i druga zakazywała się podobnie, gdyby nie zgola humorystyczny zbieg okoliczności. W ostatnim dniu swego pobytu, czekając z zapakowanymi walizkami na zamówiony transport, przechadzał się po ogrodzie klasztornym. Jeden z rozmowniejszych mnichów zaprosił go w pewnej chwili do swojej celi na pogawiedkę. Wtedy uderzyło go, że w kątach celi powiewały się pozostałości ze starości pergaminu. Zaczął się od niechętnia przegłądać i w miarę wglębienia się w teksty wpaadał, nie pokazując tego po sobie, w coraz większe osłupienie. W rękę miał bowiem duże fragmenty Starożytności i cały Nowy Testament, pochodzący, jak się później okazało, z IV wieku. Nie wiemy dokładnie, co się potem stało. Dość, że zakńczył publicznie oskarżyć Tischendorfa o to, że cenne rękopisy ukrył w zamachu i wymógł się z klasztoru nocą na zamówionym przednio wielbłądzie. W sprawie wdał się konsul rosyjski, pod którego opieką klasztor się znajdował, i po długotrwałych pertraktacjach stanął kompromis. Tischendorf po naukowym opracowaniu i wydaniu rękopisów synajskich zobowiązał się ofiarować je carowi Aleksandrowi II, co rzeczywiście parę lat później uczynił osobiście w Carskim Siole. Kodeks Synajski, oceniony dla nauki w warunkach dość awanturczych, ukazał się drukiem w Petersburgu w odbitce typograficznej w bibliofilskim nakładzie 300 egzemplarzy. Rozesłano je do wszystkich placówek naukowych świata. Drugi nakład ukazał się w Londynie w 1911 r. Na marginesie tej sprawy warto przytoczyć ciekawostkę. Otóż biskup Euzebiusz z Cezarei informuje, iż jako doradca Konstancyna Wielkiego otrzymał od cesarza polecenie, aby dla kościoła świeżo kreowanej stolicy imperium - Konstancynopola zamówił u klasztorów kopistów pięćdziesiąt egzemplarzy Pisma Świętego. W związku z tym przekazem niektórzy badacze wyrazili przypuszczenie, że rękopis synajski mógł stanowić jedną z tych pięćdziesięciu cesarskich kopii. W takim razie mielibyśmy tu do czynienia z jednym z najstarszych i najszacowniejszych dokumentów wczesnego chrześcijaństwa. Największe poruszenie w świecie wywołały papirusy, a raczej fragmenty papirusów znalezione w piaskach Egiptu przez dwóch młodych Anglików Grenfell'a i Hunta. W 1897 r. kopali oni w starożytnej miejscowości Oxyrynchos (dzisiejsza Behnesa), położonej w odległości 180 km na południe od Kairu. Owocem ich poszukiwań był niepozorny strzęp papirusu, który jednak po odczytaniu okazał się dokumentem przełomowym w badaniach nad początkami chrześcijaństwa. Zawierał bowiem siedem wypowiedzi Jezusa, całkiem dotąd nie znanych. Obecność tych sentencji w tym właśnie miejscu tłumaczy się tym, że w IV i V wieku istniała w Oxyrynchos słynna gmina chrześcijańska. W 1897 r. te nowe wypowiedzi Jezusa ukazały się drukiem pod tytułem: Logia Jesu (Zdania Jezusa). W 1903 r. ci sami Anglicy badacze znaleźli w Oxyrynchos inny fragment papirusu z pięcioma dodatkowymi sentencjami Jezusa, również dotąd nie znanymi. Wrażenie było ogromne. Wystarczy wypowiedzi tu wzniesienie angielskiego uczonego W.F. Howarda, który w 1949 r. pisał: „Minęło już pięćdziesiąt lat, a wciąż jeszcze odczuwam ów dreszcz podniecenia w chwili, gdy jako uczeń kupował za sześć pensów ową broszurę...” Określenie „logia”, wprowadzone przez młodych angielskich odkrywców, zadomowiło się na stałe w terminologii na określenie wszystkich ocalałych wypowiedzi przypisywanych Jezusowi, których nie znajdujemy w pismach kanonicznych Nowego Testamentu. Dawniej, a jeszcze czasami i dzisiaj, nazywano te wypowiedzi „agrafami”. Pierwotnie w przekładzie z języka greckiego słowo to oznaczało teksty nie utrwalone na piśmie, lecz przekazane nam przez tradycję ustną. Z czasem jednak ograniczono zakres pojęcia tego terminu wyłącznie do wypowiedzi Jezusa w sensie wyżej podanym. Znamy dotąd kilkadziesiąt niekanonicznych wypowiedzi Jezusa, w większości nie uznanych za autentyczne. Spotykamy je w ewangelich apokryficznych, w pismach niektórych ojców Kościoła, jak też w tekstach wchodzących w skład zbiorów zwanych kodeksami, o których powieśmy kilka słów za chwilę, w końcu wreszcie w papirusowych fragmentach z Oxyrynchos. Duża liczba tych sentencji świadczy, do jakiego stopnia rozpowszechnione i popularne były tego rodzaju rzekome wypowiedzi Jezusa we wczesnym okresie chrześcijaństwa. Od czasu odkrycia w Oxyrynchos nie ustawały poszukiwania, organizowane przez ekspedycje archeologiczne różnych narodowości. O rezultatach tych poszukiwań świadczą następujące liczby: mamy dzisiaj około czterech tysięcy rękopisów Nowego Testamentu i około dwudziestu pięciu tysięcy jego fragmentów. Ten przeogromny materiał porównawczy ugrupowano dla lepszej orientacji w rodzinny i kodeksy. A propos ostatniego określenia przyszyło nam pewne wyjaśnienie. Mianowicie

chrześcijanie już w III wieku zaniechali zwójów i pisali na luźnych arkuszach, które zsywali na podobieństwo naszych dzisiejszych książek. Sprawdziło się to przysłowie, że „potrzeba jest matką wymalazku”. Każdemu bowiem łatwiej było odnaleźć jakiś cytat zanotowany na luźnej kartce, niż na nieporęcznym zwoju, który niekiedy trzeba było rozwinąć do samego końca, by trafić na poszukiwane miejsce. W dodatku kodeksy były o tyle pojemniejsze i ekonomiczniejsze, że w przeciwieństwie do zwójów można było pisać po obu stronach poszczególnych kartek. Nie jest jednak naszym zadaniem rozpisywać się na temat kodeksów szczegółowo. Poprzestaniemy zatem na paru informacjach. Otóż kodeksy, na ogół pergaminowe, zawierające teksty Pisma Świętego, noszą nazwiska ich odkrywców, nabywców lub wydawców, a niekiedy nazwy instytucji, gdzie są przechowywane. Tak więc między innymi mamy Kodeks Koptijski, Kodeks Watykański, Kodeks Synajski, Kodeks Aleksandryjski i wiele innych. Szczególną wagę ma zbiór Chester Beatty, zawierający papirusy pochodzące aż z III wieku. Na ten niezwykle ciekawy zbiór składa się 60 nabytych w Egipcie papirusów z fragmentami czterech ewangelii, niektórych listów apostołskich oraz Apokalipsy. Większą jeszcze rewelacją naukową był swego czasu papirus Egerton, opublikowany w 1934 r. Są to fragmenty ewangelii oraz teksty pochodzące z ustnej tradycji. Ich data ustalone zgodnie na II wiek, mamy tu więc do czynienia z najstarszymi rękopisami wczesnego nowotestamentowych, jakie dotąd odkryto. Wszystkie te znaleziska tekstowe są, jak to zaznaczyliśmy na początku tego rozdziału, wręcz nieodzowne w lingwistycznych studiach nad księgami świętymi. Bo tylko przez porównania rozmaitych kopii i uzyskanie możliwe najstarszej wersji, najmniej oddalonej latami od pierwotnego źródła, można pokusić się o rekonstrukcję prawidłowego brzmienia Nowego Testamentu. Ile trudniej i ciępliwości trzeba wkładać w tego rodzaju pracę, widzimy na przykładzie znanego nam już bibliście K. Tischendorfa. Był on autorem siedmiu kolejnych wydań Nowego Testamentu. Gdy opierając się na tekstach, znalezionych w klasztorze synajskim, K. Tischendorf dokonał naukowego opracowania ósmego wydania, okazało się, że od poprzednich wydań nowa wersja różni się aż w 300 miejscach. Ów żmudnie przygotowany tekst mimo to wykazywał nadal jeszcze bez mała tysiąc różnicowości w porównaniu z Nowym Testamentem z Kodeksu Watykańskiego. Jak widzimy, sprawa autentycznej wersji Nowego Testamentu jest wciąż jeszcze problematyczna. Dla uzupełnienia tego obrazu wypada wymienić tu inne jeszcze źródła nowotestamentowych tekstów. Są to między innymi ostrakony - skorpiony ceramiczne, na których pisali ludźmi ubodzy, nie mogąc pozwolić sobie na drogi materiał papirusowy. Odkryto wiele tego rodzaju skorup z fragmentami Nowego Testamentu, a nawet dłuższy ustep z Ewangelii Łukasza wyrity na dziesięciu ostrakonach. Niezmiernie pouczające są także grecko-rzymskie inskrypcje nagrobkowe. Często ilustrują one wydarzenia i obyczaje opisane w Nowym Testamentem, zawierają też cytaty z pism świętych w takim brzmieniu, w jakim je znano w okresie postawienia nagrobków. W końcu nie wolno nam zapominać o cytatach zawartych w pismach ojców Kościoła i pisarzy chrześcijańskich, takich jak np. Tertulian, św. Hieronim, św. Augustyn i Pelagiusz. Tych cytat jest tak dużo, że można by złożyć z nich cały prawie Nowy Testament. Jest to oczywiście materiał dla badań lingwistycznych nie mniej ważny niż papirusy i pergamin odkryte w Egipcie i na półwyspie Sydam.

O LATACH, KTÓRE BYŁY PRZED EWANGELIAMI

Zdawałoby się, że po tych nieco przydługich dygresjach przystąpimy do właściwego tematu niniejszego rozdziału: do opisu treści i charakteru Nowego Testamentu. Musimy jednak uzbroidzić się jeszcze w ciępliwość i skierować uwagę na sprawę, bez której ocena Nowego Testamentu jako dokumentu historycznego nie mogłaby być prawdziwa. Chodzi tu mianowicie o fakt nader zastanawiający, że od śmierci Jezusa minęło aż czterdzieści lat, nim ukazała się pierwsza ewangelia, czyli pierwszy dokument opisujący niektóre epizody jego życia.

A zatem przez cały ten czas wyznawcy Galilejczyka karmili się wyłącznie tym, co przekazywano sobie z ust do ust, co głosiła wieść gminna. Propagatorami nowej wiary byli wędrowni nauczyciele i kaznodzieje, których pochodzenia i nazwisk dziś już przeważnie nie znamy. Jednakże na przykładzie Pawła Apostoła możemy wyrobić sobie niejakie pojęcie, jak ich działalność wyglądała w praktyce. Występowali oni wszędzie tam, gdzie przy żydowskich domach modlitwy tworzyły się grupki wyznawców Chrystusa. Jego nauki moralne krążyły wśród tych prozelitów w latach do spamiętania aforyzmami, których próbki poznamy pod postacią „logiów” czy „agrafów”. Owe autentyczne czy rzekome wypowiedzi Jezusa, powiązane narracyjnie z dramatycznymi epizodami jego życia, nabierały żywych rumieńców przypowieści ludowych i w ten sposób ustalała się pewna określona tradycja ustna, tradycja o wyraźnych cechach folkloru. Ona właśnie,

ów trudny dzisiaj do roszyfrowania splot faktów i tworów wyobraźni ludowej, stanowiła podglebie, skąd biografowie Jezusa czerpali materiał do swoich ewangelii. Wydać się musi rzeczą dziwną, że Judzie, wierzący w boskość Jezusa, przez tyle lat nie uważali za potrzebne spisać dziejów jego życia, że nie zbierali pamiątek po nim. Wyzbadamy się jednak naszego nawyku myślenia i spróbujemy wnikać w mentalność i zwyczaj ówczesnych chrześcijan, rozpoznać warunki ich życia. Okazuje się wówczas, że nie można tu mówić o braku pietyzmu, że ta pozorną obojętność ma swoje głębsze uzasadnienie. Przede wszystkim wyśnijmy sobie, jacy to byli ludzie ci pierwsi chrześcijanie. W Pierwszym liście do Koryntian tak oto pisze św. Paweł: „...niewielu spośród was mądrych według ciała, niewiele możnych, niewiele szlachetnie urodzonych. Gdyż Bóg wybrał to, co głupie i świata, aby zawstydził mądrych, i co słabe u świata wybrał Bóg, aby zawstydził potężnych, i co nie znaczące, a pokryte wzdrgą, i co jest niczym wybrał Bóg, aby zniszczył to, co jest czymś” (1, 26-28). Tertulian, pisarz kościelny żyjący na przełomie II i III wieku, biorąc ich w obronę przed atakami pamflicistów pogańskich, podkreślał, że są to rzemieślnicy lojalni wobec państwa i płacący uczciwie swoje podatki. W apologetycznym dialogu Marka Minucjusza pogański polemista Cecylusz nazywa chrześcijan niedzną holołą i między innymi oskarża ich o to, że werbują wyznawców dla swojego kultu w najniższych warstwach społeczeństwa, wśród obdartusów i zabobonnych kobiet. Twierdzenia te, jak to wiemy skądinąd, nie odbiegały żebno od prawdy, pierwsi wyznawcy Chrystusa istotnie byli w znacznej większości ludźmi prostymi i niewykształconymi. Na pewno niewielu z nich mogło pochłaniać się posiadaniem umiejętności pisania i czytania. Trudno było zatem wymagać od nich, by mieli zrozumienie dla wagi jakichś tam arkuszy pergaminu czy papirusu gesto pokrytego tajemniczymi znakami. Dla ludów Bliskiego Wschodu nie dokument pisany był głównym nośnikiem mądrości pokoleń, lecz tradycja ustna. Heroiczne wydarzenia przeszłości, mity religijne, legendy i ludowe baśnie, przekazywane przez nieuczniące pokolenia bardów, opowiadaczy ulicznych i kaznodziejów, oto główna spuścizna duchowa tamtych ludów. Nawet Jezus, podobnie zresztą jak Sokrates, bodając nie napisał ani jednego słowa, z wyjątkiem paru znaków, które według Ewangelii Jana nakreślił na piasku. Nie ma w tym przeto nic niezwykłego, że w pierwszych dziesiątkach lat po śmierci Jezusa naukę jego rozpowszechniano wyłącznie ustnie, za pomocą tak zwanej katechyzacji (rozgłosu, rozpowszechniania) i w tej właśnie katechizie szukać należy rodowodu późniejszych pism Nowego Testamentu. Są jednak inne jeszcze, o wiele ważniejsze przyczyny tego zjawiska. Tkwią one w fakcie, że pierwsi wyznawcy Chrystusa nie zrywali z judaizmem, lecz przeciwnie: skrupulatnie przestrzegali wszelkich nakazów religijnych wiary Mojżeszowej, uczęszczali do świątyni i do synagog, słowem na każdym kroku podkreślali, że są prawowiernymi Żydami. Nawet głoszona przez nich wiara w przyjście Mesjasza-zbawiciela zasadniczo nie była sprzeczna z tradycjami żydowskimi, gdyż wyodziła się z prorocत्व Starożytności. Pod jednym tylko względem różnił się oni od swoich współbraci: wierzyli, że ów zapowiedziany przez proroków Mesjasz już się pojawił na ziemi w osobie Jezusa z Nazaretu. Co prawda od samego zarania chrześcijaństwo mieli skłonność zamknięcia się w osobnych sektach czy gminach, ale nawet i ten fakt nie mógł chyba słać na nich niechęci otoczenia. Były to przecież lata, kiedy judaizm przeżywał głęboki kryzys ideowy, a jednym z przejawów tego wewnętrznego rozbitcia były liczne seki do religijnym i politycznym charakterze, jak faryzeusze, saduceusze, esseńczycy, terapeuti, joanici, zeloci czy sykariusze. Na te tak wiele rozgałęzionego ruchu sekcarskiego znakoma grupa nazarejczyków - jak ich wówczas nazywano - na pewno nie zwróciła większej uwagi. Na domiar granie dośrodkalne tych sekt były niejednokrotnie dość płynne i bynajmniej nie należało do rzadkości, że ten czy ów poszukiwacz ostatecznej przystani duchowej przetrzącał się z jednej sekty do innej. Wiemy już z poprzedniego rozdziału, że takim kameleonem sekcarskim był żydowski historyk Józef Flawiusz, a z innymi podobnymi wypadkami zetknemy się przy omawianiu powiazań, jakie najwidoczniej istniały między esseńczykami, joanitami nazarejczykami. Judeochrześcijaństwo, w przekonaniu, że uznawczy Jezusa za Mesjasza są bardziej prawowiernymi Żydami, niż ci, którzy go odrzucali, nadal oczywiście czytywali Stary Testament za swoje pismo święte i na pewno w głowie im nie powstała myśl, iżby mogli zastąpić go czymś innym. Gdy chodziło o Jezusa, o szczegóły jego życia i naukę moralną, zadawali się tym, co opowiadali im o Jezusie ludzie godni zaufania. Gdy wreszcie zaczęły się pojawiać pisane świadectwa, które później weszły w skład Nowego Testamentu, to bynajmniej nie miały one zastąpić Starożytności i stać się Biblią chrześcijaństwa. Nie były one też adresowane do szerokich rzesz wiernych, wśród których, jak wiadomo, większość nie umiała czytać. Przede wszystkim były to

publicystyczne traktaty, mające pogańskim pamflicistom i żydowskim ortodoksom udowodnić, że Jezus z Galilei był naprawdę Mesjaszem. I tutaj rzecznik znamienna: dowód ten usiłowano przeprowadzić odwołując się do autorytetu Starożytności Testamentu. Dość powiedzieć, że Nowy Testament aż roi się od cytat ze Starożytności Testamentu, zawiera ich bowiem około trzytysię, nie licząc mnóstwa aluzji i odniesień. Dlaczego jednak zaczęły ukazywać się te rozprawy dopiero czterdzieści lat po śmierci Jezusa? Stało się to wtedy, gdy wymagała tego aktualna sytuacja społeczno-polityczna. Od paru lat - jak to już wspominaliśmy - szalała w Palestynie krwawa wojna rzymsko-żydowska, której tragicznym finałem było zbuzienie Jeruzolimy. Wyznawcy Jezusa odmówili udziału w tych zmaganiach i Żydzi, którym udało się wyjść cało z tej katastrofy, uważali ich z tego powodu za zdradców i renegatów. Położenie wyznawców Jezusa pogarszało jeszcze i to, że także otoczenie grecko-rzymskie odnosiło się do nich z jawną wrogością, ponieważ na ogół nie odróżniano ich od pogardzanych Żydów. Trzeba więc było bronić się przed wszelkiego rodzaju napastami z zewnątrz, a także umacniać własnych współbraci w wierze, że prawda jest po ich stronie. Niektórzy bibliści zwracają uwagę na inne jeszcze, co najmniej równie ważne przyczyny tego czterdziestoletniego milczenia. Trzeba mianowicie pamiętać, w jakich nastrojach żyli chrześcijanie po śmierci ukochanego Mistra. Była to niestanna egzaltacja religijna płynąca z wiary w bliski powrót Jezusa, który miał osiadł niesprawiedliwych i złożyć Królestwo Niebieskie na ziemi. Wiemy z Ewangelii Mateusza, jak rychło to miało nastąpić, Jezus bowiem przepowiadał tam swoim uczniom: „Zaprawdę powiadam wam, że są niektórzy ze stojących tutaj, co nie zainają śmierci, zanim nie ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego w królestwie swoim” (16,28). Sławny biblista francuski Maurycy Gougel napisał, że „Jezus nie miał zamiaru zakładać Kościoła i nie złożył go. To, czego pragnął i proklamował, to nie był Kościół, lecz Królestwo Boże na ziemi. Pierwsi chrześcijanie, skoro w ich mniemaniu lała dzień miało nadejść Królestwo, nie myśleli o zakładaniu instytucji kościelnej ani o spisaniu dokumentów”. O władnieci bez reszty apokaliptyczną wizją bliskiego Sądu Ostatecznego i przejęci mesjanistyczną wiarą w rychłe nastanie nowego ładu na ziemi, nie byli ciekawi tak przyziemnej rzeczy, jak żywot doczesny Jezusa. Jezus był dla nich przede wszystkim Chrystusem, który dobrowolnie umarł na krzyżu, by odkupić grzechy ludzkości. Coś z tej postawy widzimy u Pawła z Tarsu, pisał on uderzająco mało o Jezusie jako człowieku. Co prawda nie znał go osobiście, ale i tak nie tłumaczył to bynajmniej owego braku zainteresowania dla biografii galilejskiego proroka, któremu przecież oddał się duszą i ciałem. Lata jednak mijaly, ludzie rodzili się i umierali, a ów oczekiwany Dzień Pański nie nadchodził. Wiernych, którzy z ufnością czekali na swego Zbawiciela, zaczęło trapić uczucie zwątpienia i gorczy. Szukano odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie wrócił na ziemię, jak zapowiadał. A jednocześnie budziło się zaniepokojenie dla biografii Jezusa, bo w jego cudotwórczej działalności, w ogóle w tym, co czynił, mówił i przecierpiał, mogła kryć się ta upragniona odpowiedź, mająca podbudować ich zachcianą wiarę, gdy mianowicie po latach mesjanistycznych umiesień i nadziei przyszło otrzewienie. W ten sposób powstała nowa literatura, literatura mająca za zadanie bronić, wyjaśniać i przedstawiać dowody, że Jezus był naprawdę Mesjaszem. W jakim stopniu możemy uważać za prawdziwe wszystkie te wiadomości o Jezusie, przekazane nam przez tradycję ustną, która przecież liczyła sobie bez mała czterdzieści lat? Chcąc na to pytanie odpowiedzieć, musimy zastanowić się, co to właściwie jest ta tradycja. Bronią niektórych artykułów wiary, Kościół powołuje się niejednokrotnie na świadectwo tradycji, jakoby była ona nieodwołalną wyrocznią wszelkiej prawdy. My jednak wolimy pamiętać, że narastała ona stopniowo za sprawą ludzi prostych i niewykształconych, skłonnych do fantazjowania, mitologizowania i wyolbrzymiania, ludzi oddających się chętnie marzeniom i rojeniom, by wznosić swoje życie przez nadanie mu głębszego znaczenia. Jeśli cechy te, przynajmniej, nie są óbe pokoleniom wszystkich w ogóle czepki o krajów, to jednak charakterowały one szczególnie ludzi pierwszego wieku naszej ery. Wówczas na przykład uważano za rzecz całkiem naturalną, że sławni monarchowie, męzowie stanu i myśliciele posiadali moc cudownego leczenia chorych, a nawet wskrzeszania umarłych, co więcej, że mogli stać się bogami za życia lub po śmierci. Pojęcie boskości było wtedy po prostu zgola inne, miało wymiaru bardziej przyziemny; granica między światem transcendentnym a światem ziemskim była właściwie nieostroża i łatwa do przeniknięcia przez wybrańców. Tego rodzaju wierzenia weszły w krwiobieg ludzkiego myślenia i na ogół nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, by wątpić w ich prawdziwość. Najdawniejsze chrześcijaństwo było oczywiście nieodrodnymi dziećmi swojej epoki i na równi z innymi podatni na będące wówczas w obiegu idee czy przysady. W dodatku mieli jeszcze swoje własne cechy, które wyodrębniły ich od reszty społeczeństwa. Trwali bowiem w stanie ekstazy i zachwyców, podziwiających się każdej

chwili końca świata i nastania nowego ładu na ziemi. Rzecz jasna, że pod wpływem tych apokaliptycznych nastrojów musiała w ich umysłach zacząć się granica między rzeczywistością a pobożnymi życzeniami, co z kolei przyczyniło się do swoistych przeinażeń i stylizacji wszelkich nadchodzących z dalekiej, egzotycznej dla nich Palestyny wieści o Jezusie i jego losach. W ten sposób właśnie, a nie inaczej, powstała owa otoczona nimber wierogodności tradycja ustna, której końcowym produktem są relacje pozostawione nam w pismach Nowego Testamentu i literatury apokryficznej. Niektórzy badacze sądzą, że czterdzieści lat to okres zbyt krótki, by mógł dokonać się proces mitologizacji i deifikacji człowieka, zwłaszcza że był on synem cieśli z zapadłej prowincji palestyńskiej i w dodatku umarł haniebłą śmiercią na krzyżu. Według nich nie mogła być wyszana z palca jedynomyślnie wśród chrześcijan przyzwa, że Jezus czynił cuda, uzdrawiał chorych i nawet wskrzeszał zmarłych, skoro żyli jeszcze uczniowie, co znali go takim, jakim był w rzeczywistości. Czyż jest do pomysłenia, by na oczach tych świadków i bez śladu zastrzeżeń z ich strony mogła nastąpić tak daleko idąca deformacja realioń i rzeczywistych wydarzeń? A zatem - rozumią oni dalej - wynika z tego niezbiecnie, że w wersjach, przekazywanych nam przez tradycję za pośrednictwem ewangelii, nie mamy do czynienia z hagiograficznym zmyśleniem, lecz z prawdą. Niestety, cała ta argumentacja, pozornie tak nieodparta, zawiera sporo słabości konstrukcyjnych. Przede wszystkim nie bierze w rachubę znanych w sędownictwie kłopotów ze świadkami. Wiadomo przecież, że pamięć człowieka nawet inteligentnego bywa zawodna, gdy chodzi o odtworzenie zaobserwowanych szczegółów z dość bliskiej nawet przeszłości. Z zwłaszcza gdy ów człowiek świadczy pod mentalną presją środowiska, które żyło, jak to zaznaczyliśmy, w stanie umysłowej euforii i egzaltacji. Takie zbiorowe sugestie musiały oczywiście wpłynąć w sposób zasadniczy na ich zeznania i opowiadania o Jezusie.

Zresztą, ilu mogło być tych naoznacznych świadków i jaki zasięg miało ich oddziaływanie? Przeciętnie życie ludzkie trwało wówczas krócej i czterdzieści lat to było już więcej niż jedno pokolenie. Nieliczni z tych świadków dożyło chwili, gdy ukazała się pierwsza relacja o Jezusie na piśmie. Jednak większego spustoszenia wśród nich dokonały zaburzenia polityczne w Palestynie, prześladowania i egzekucje. W sprawach biografii Jezusa i zasad jego nauki najpowszechniejszym autorytetem była chyba gmina nazarejczyków w Jeruzolimie. Przewodził jej przecież brat Jezusa Jakub Sprawiedliwy, któremu nawet Piotr Apostół się podporządkował. Ale Jakub z rozkazu arcykapłana Annasza został ukamienowany w 62 r., a trzy lub cztery lata później zginęli także apostołowie Paweł i Piotr. Zanim nadszedł rok 70, rok zburlenia Jeruzolimy, Palestyna odfic broczyła krwią, a nad jej obszarami wznosił się las nierzeczności krzyczy, na których zawisło na pewno również wielu świadków życia i działalności Jezusa.

Ale gmina jerozolimka liczyła, bądź co bądź, 120 członków, co z nimi się? Powiedzmy od razu, że losy ich były nad wszelki wyraz osobliwe i dla historii chrześcijaństwa brzemiennie w skutki. Gmina jerozolimka - jak to już nadmieniliśmy w poprzednim rozdziale - zachowała ściśle wierność ortodoksyjnemu judaizmowi i na tym leżała zatarg z Pawłem, który nawracał pogan, nie żądając od nich, by poddali się rytualnym nakazom i zabiegom, jak np. obrzezaniu. Dokumenty, odkryte parę lat temu, świadczą, że oskarżała ona nawet Pawła o to, że wpadł w herezję ogłaszając Jezusa Bogiem. Mimo jednak bezwzględnej przywiązania do starej wiary ojców, członkowie gminy odmówili udziału w powstaniu żydowskim. Jak tylko walki zbliżyły się do murów Jeruzolimy, uciekli za Jordan i osiedlili się w mieście Pella. Tam, w tym उत्तरपूर्वी miejscu Palestyny, odizolowani od reszty społeczeństwa i zamknięci w ciasnym kręgu własnych wierzeń i praktyk, z fanatycznym uporem wznawiali religię, która była pierwotną, oryginalną religią apostołów i rodziny Jezusa. Kilkadziesiąt lat utrzymali się jeszcze jako sekta ebionitów (ubogich), potem zniknęli z kart historii, wchłonieni przez otaczające ich społeczeństwo.

Jeżeli wierzyć Euzebiuszowi, który z kolei powołuje się na wspomnienia Hegezyza (ok. 180 r.), część tych judeochrześcijan wróciła do Jeruzolimy lub w ogóle jej nie opuściła. Wraz z najbliższą rodziną Jezusa nadal działali jako sekta nazarejczyków, a po egzekucji Jakuba wybrali na swego przełożonego bliskiego kuzyna Jezusa - Szymona, syna Kleofasa, który był bratem Józefa, ojca samego Mistrza. Ów Szymon żył bardzo długo i został ukrzyżowany za panowania Trajana (98-117 r.). Po nim objeli przewodnictwem wnukowie Judy, brata Jezusowego, Jakub i Sokker.

Jak z tego widzimy, wśród nazarejczyków wytworzył się system przypominający żywo kalifat islamski: przewodnictwem religijne spoczywało w rękach ludzi w ten czy ów sposób spokrewnionych z Jezusem. Znani byli oni jako „spadkobiercy” (despoty), posiadali własną ewangelię w języku aramejskim i w celach dynastycznych propagowali wersję o pochodzeniu Jezusa z domu Dawidowego. Tę niezmiernie frający sprawę poruszymy dokładniej przy innej okazji, obecnie dodamy tylko, że jerozolimski odłam nazarejczyków istniał do 132 r., a

więc do wybuchu powstania żydowskiego Bar Kochby i ostatecznego zrównania Jeruzolimy z ziemią. Zburzenie Jeruzolimy i ucieczka do Pelli była jakby cezura, która ostro przecięła historię chrześcijaństwa na dwie części: na okres judaistyczny i okres pauliński, który pozwoliłby sobie nazwać także okresem judeo-hellenistycznym. Ośrodkami nowego ruchu stały się teraz miasta Bliskiego Wschodu, takie jak Antiochia, Efez i Tars, a ponadto Korynt, Aleksandria i oczywiście Rzym. A więc miasta, gdzie rozprzeleni po świecie Żydzi z diaspori tworzyli większe skupiska dookola swoich domów modlitwy. Do pierwszych gmin judeochrześcijańskich napływało teraz szeroka fala coraz więcej Greków, Syryjczyków i ludzi innych narodowości, a wraz z nimi przenikały do wierzeń chrześcijańskich wpływy hellenizmu, szczególnie jego misterioń religijnych, opartych na mitach o umierających i zmartwychwstałych bogach. W latach osiemdziesiątych I wieku chrześcijaństwo nie było już sektą żydowską. Z dwunastu apostołów, jeżeli uwierzymy tradycji, dziesięciu spotkał los męczenników wiary, jeden popełnił samobójstwo, a tylko dwóch, Filip i Jan, umarli śmiercią naturalną. Na tym przykładzie możemy przekonać się poglądom, jak zatrudniając to były czasy i jak niewielu świadków ocalało z palestyńskiej kłeski. Ci zaś, którzy istotnie mogli świadczyć o Jezusie z autopsji - jakich wielu mogli mieć na umyśle i wyobraźnię tych setek tysięcy obcych językowo i obyczajowo prozolitów, zamieszkujących rozległe obszary Bliskiego Wschodu. Dla tych nowych wiernych Jezus był ponad wszystko Bogiem i Zbawicielem, który umarł na krzyżu i zmartwychwstał. Daleki, obcy zakątek świata, skąd pochodził, oraz życie, jakie tam wiódł, miało dla nich znaczenie o tyle tylko, o ile czyniłyone przezeń cuda i uzdrowienia potwierdzały wiarę w jego boskość.

W ten sposób tradycja chrześcijańska oderwała się od judaistycznego pnia i zaczęła wieść swój własny, samodzielny żywot. Zakiełkowała ona i rosła w wyobraźni setek tysięcy nowych wyznawców, głęboko osadzonych w hellenizmie, w świecie jakże innym i oddalonym od Palestyny. Z tej właśnie łącznej tradycji judaizmu i hellenizmu wywodzą się pisma Nowego Testamentu i apokryfy. Wspomniałmy już poprzednio, że bibliści chrześcijańscy odrzucają tezę, według której tradycja ustna przyczyniła się do zniekstałcenia faktów związanych z życiem i nauką Jezusa. A to jakoby dlatego głównie, że wbrew mniemaniu uczonych-racjonalistów, tradycja ewangeliczna nie jest anonimowym, zbiorowym tworem gmin chrześcijańskich. W rzeczywistości - opowiadają oni - tradycja ta nigdy nie wyknęła się spod kontroli apostołów i ich bezpośrednich spadkobierców, którzy, jak wskazują na to między innymi listy św. Pawła, rygorystycznie czuwali nad tym, by nauka Mistrza nie uległa skażeniu.

Nie sposób tu polemizować z tym stanowiskiem; zaprowadziłoby to nas zbyt daleko, zwłaszcza że istnieją poważne wątpliwości, czy dokumenty, na które się powołują wspomniani bibliści, można istotnie uważać za dostatecznie pewne świadectwa. Inna argumentacja, dotycząca tej sprawy, zasługuje na większą uwagę. Przytacza ją w swoich cennych pracach wybitny biblista ks. E. Dąbrowski. Zwraca on mianowicie uwagę na mnemoniczne zdolności ludów, które swoje historyczne doświadczenia powierzały głównie tradycji ustnej. Ludy te oczywiście z konieczności wyrobiły w sobie naturalny zmysł niezawodnej pamięci, a w dodatku udoskonalily w ciągu wieków specjalną technikę, która była im pomocna w pamięciowym opowianiu historii i dorobku kultury narodowej. Technika ta sprowadzała się do tego, że treść poszczególńych tekstów zamrażano w ramach określonych „schematów rytmicznych”. Rytmicznosci tych opowieści nabierała z czasem kształtu nienaruszalnego stereotypu, powtarzanego mechanicznie przez kolejne pokolenia. Zmiana treści opowiadania była niemożliwa bez zmiany strony rytmicznej, a ponieważ ta ostatnia była uwieczniona długotrwałą tradycją, historyczno-kulturalna spuścizna narodowa do pewnego stopnia nie była narazona na deformację.

Nauczaniem ustnym na zasadzie rytmiczności tekstów posługiwały się przed spisaniem swoich ksiąg takie religie, jak islam, buddyzm i brahminizm. Ks. E. Dąbrowski zwraca uwagę, że podobna rytymika występuje w nauczaniu Jezusa Chrystusa, szczególnie w jego przypowieściach. Swoje wywody ks. Dąbrowski zamyka dość kategoryczną przestroga: „Juz sama okoliczność zatem, że tradycja ewangeliczna powstała w środowisku stylu oralnego, powinna nakazywać jak najdalej idącą ostrożność wszystkim, którzy tak chętnie o jej zniekstałceniu mówią”.

Jeżeli uświadomimy sobie, kogo autor miał na myśli pod słowem „wszystkim”, że mianowicie chodzi tu o całą plejadę najwybitniejszych uczonych-racjonalistów, którzy pchnęli badania biblistyczne na tory rzeczywistości naukowej, to oczywiście niewspółmiernie całej tej argumentacji staje się wyrażona. Wprawdzie autor przyznaje, że w starożytnych legendach i mitach, mimo że ich forma rytmiczna została ustalona już od setek lat, następują przeobrażenia w treści, że nawet w tej ewolucji można stwierdzić pewne jednolite prawa. Nie odnosi się to jednak - twierdzi ks. E. Dąbrowski - do tradycji

ewangelicznej, która przecież istniała tylko trzydzieści lat, a więc ów proces przemian nie zdążył jeszcze się rozpoznać. Sądze jednak, że właśnie ten krótki okres świadczy przeciwko głoszonej tezie. Zanim bowiem ustało się ostatecznie pewna tradycyjna forma opowieści, musi wyprzedzać ten proces okres przygotowania, okres, kiedy wszystko jest jeszcze płynne i niepewne. W takim właśnie stadium była czterdziestoletnia tradycja ewangeliczna, czego dowodem są choćby występujące w ewangeliach liczne rozbieżności. Jeżeli zaś chodzi o twierdzenie, że tradycja chrześcijańska jest bezpośrednim lub pośrednim dziełem apostołów, naoznacznych świadków i uczniów Jezusa, to jak w takim razie wytłumaczyć wspomniane już rozbieżności, a przede wszystkim powstanie ogromnej literatury apokryficznej, która przecież także wywodzi się z ustnej tradycji i dopiero w V wieku została przez Kościół formalnie odrzucona. Trudno w tym chaotycznym bogactwie anegdot, opowieści i pełnych wybujałej fantazji legend dopatrywać się jakiegoś koordynującego wpływu. Raczej na odwrót - pisma z tych czasów, wzięte jako całość, świadczą o wyjątkowym zamieszaniu i dowolności w krązących po świecie przekazach o Jezusie.

Celem prawidłowej oceny pewnych aspektów Nowego Testamentu musimy nakreślić poprzednio to historyczno-obyczajowe uzupełnić dodatkowym komentarzem, chociaż z początku będzie się to wydawać zbyt daleko idącą dygresją. Poruszamy mianowicie swoisty sposób traktowania autorstwa dzieł literackich, szczególnie drastycznie występujący w czasach, kiedy żył Jezus i jego najbliżsi spadkobiercy. Wspomniałmy już o tym coś niecoś w pierwszym rozdziale przy omawianiu sfingowanej korespondencji króla Eberusa Abgara z Jezusem, jak też raportu Piłata do Tyberiusza. Autor pierwszej Historii Kościoła Euzebiusz, skądinąd rzetelny i poważny autor, przytacza z całą powagą owe fałszyfikaty jako dokumenty, których autentyczności nie podlega żadnej dyskusji.

Dawid Fryderyk Strauss, autor monumentalnego Żywota Jezusa, poświęca jej osobliwie prawie trochę miejsca w swojej książce i jakkolwiek od tego czasu minęło już bez mała sto pięćdziesiąt lat (wyszła w 1835 r.), spostrzeżenia jego nie straciły na aktualności. Z nie ukrywaniem zdziwienia zadaje on sobie pytanie, jak to było możliwe, że pisarze szanujący swoje pióro nie mieli najmniejszych skrupułów, by podsytywać się pod nazwiska innych autorów, że w odczyściyfikacji nie widzieli znamion fałszerstwa przynoszącego im ujmę. I po namyśle doszedł do przekonania, że wytłumaczenia tej paradoksalnej postawy należy szukać w odmiennym sposobie rozumowania ówczesnych ludzi, w ich zgola swoistej mentalności. Podsytywać się pod cudze nazwiska, pisarze ci byli świeście przekonani, że dla dobra głoszonych prawd wyrzekają się sławy osobistej i że opatrując te prawdy w legitymację większego autorytetu niż oni sami, dokonują aktu bezinteresowności, który ich całkiem usprawiedliwia. Zresztą czynili to w głębokim przewidzeniu, że wiernie wyrażają myśli wybranych przez siebie i uwielbianych mężów, za którymi się ukryli. Nie ma tu więc, ściśle biorąc, wyraźnego fałszerstwa.

Odbiorcy ze swej strony, ludzie czasami nawet bardzo wykształceni, jak to widzimy na przykładzie Euzebiusza, odznaczali się zadziwiającym brakiem krytycznym i łatwowiernością, tak że przypadki demaskowania takich w dobrej intencji popełnionych fałszerstw zdarzały się bardzo rzadko. „Za prawdę uchodziło to, co było budujące - pisał Strauss w swojej słynnej monografii - za sędziwie, co w ich mniemaniu pomazało oświatę, za apostołskie, co wydawało się godne Apostołów. Wierzyli, że wielcy mówcy ani sam Chrystus nie doznają uszczerbku, jeżeli włożą w ich usta lub podsuną pod ich pióro to, na co ich tylko stać było”. Strauss kończy te uwagi wnioskiem porzbmiewającym nutą zalu: „Z tych właśnie powodów posiadamy dużą liczbę dzieł, a między nimi mnóstwo nie byle jakiej miary, napisanych rzekomo przez sławnych mężów, które jednak w rzeczywistości były tworem nie znanych nam autorów”.

Przykłady z historii zilustrują nam poglądomo ową dziwną aberrację w dziełach umysłowości ludzkiej. Tak więc w ostatnim wieku przed naszą erą ukazało się aż sześćdziesiąt traktatów filozoficznych pod imieniem wielkiego filozofa Pitagorasza, w rzeczywistości jednak skomponowanych przez jego wyznawców ze szkoły neopitagorejczyków. Trzeba pamiętać, że szkoła ta stała się z czasem sektą mistycznego kultu religijnego, w której Pitagoras odgrywał rolę niemalże bóstwa. Mimo to, gdy mistyfikacja wyszła na jaw, nie spotkali się jej sprawy z potępieniem, lecz przeciwnie - chwalono ich za to, że rezygnując z osobistej sławy, złożyli swoje dzieła w ofierze ubóstwianemu twórcy szkoły. Widziano więc w tym nie oszustwo, lecz chwalebny akt bezinteresownej ofiarności. Inny przykład już z historii chrześcijaństwa. Pod koniec II wieku pewien duchowny z Azji napisał Dzieje Pawła i Tekli. Wszystko, co napisał tam o życiu tych dwóch osób, jest całkowicie wyszane z palca, a nawet sama postać św. Tekli, rzekomo osobiste uczennicy apostoła, nigdy nie istniała i jest tworem jego fantazji. Gdy mu to udowodniono, tłumaczył się, że całą historię wymyślił wyłącznie tylko z miłości do św. Pawła. Nie przeszło to

jednak ojcom Kościoła stawiać ową fikcyjną biografie prawle na równi z pismami kanonicznymi i propagować kult dla świętej dziewicy, której nie imaly się plomienie ani zwierzęta i zmije. Tekla weszła w poczet najbardziej popularnych świętych męczenników Kościoła i dopiero w VI wieku dekret papieski potencji biografie sfingowana przez kapłana azjatyckiego. Ale - o dziwo - gdy przetrujemy kalendarz i spojrzymy na dzień 23 września, odkrywamy, że Tekla nadal istnieje i nawet ma swój dzień święteczny. Raz jeszcze przekonujemy się, jak twarde życie mają legendy.

Ciekawym przyczynkiem do tej dziwacznej sprawy są pewne wydarzenia związane z Księgami Sybilliskimi. Był to, jak wiadomo, urzędowy zbiór prorocत्व wieszczek i kapłanek Apollina, zbiór w starożytnym Rzymie octany ogromnym kultem. Przechowywany w podziemiach świątyni Apollina na Palatynie, zaginął dopiero w 405 r., prawdopodobnie spalony przez wandalskiego wodza Stilichona. Ale obok tego autentycznego zbioru istniał inny pod przwieszoną nazwą Ksiąg Sybilliskich, który powstał w okresie od połowy II do V wieku. Zawiera on, powiedzmy to otwarcie, wrecz sfingowane proroctwa, pochodzące jakoby z ust tych samych kapłanek Apollina. Dotyczyły one chrześcijaństwa i judaizmu, a napisane zostały, rzecz jasna, przez pobożnych Żydów i chrześcijan. Z zachowanych tekstów tej podrobionej Księgi Sybilliskich wynika wbrew wszelkiej chronologii, że natchnione wieszczki Hellady i Rzymu przepowiedziały ze zdumiewającą dokładnością historię Starego i Nowego Testamentu, kuszenie węza w Raju, historię wieży Babel, a z życia Jezusa - uzdrawianie chorych, wskrzeszenie zmarłych i nakarmienie pięciu tysięcy oraz męczeństwo, ukrzyżowanie i zmartwychwstanie. Ojcowie Kościoła byli głęboko przekonani o autentyczności tych przepowiedni, gdy znany nam już Cels zarzucił chrześcijanom, że je sfalżowali, Orygenes w swojej wspomnianej już wyżej replce Contra Celsum namietnie wystąpił w obronie tych proroctw.

Cała literatura apokryficzna, twór nainwnej religijnosci i bójnej fantazji ludu, jest dobitnym przykładem opisanego przez nas procederu podszywania się pod szacowne nazwiska. Rzekome ewangelie, listy czy apokalipty Jakuba, Mateusza, Piotra czy Pawła były w rzeczywistości dziełami nieznanych kompilatatorów, którzy z uderzającym brakiem krytycznym smiali wystykie krzązące wczas anegdoty na temat ukochanego Mistrza.

Jak natomiast przedstawia się sprawa z kanonicznymi ewangeliami i pozostałymi pismami Nowego Testamentu? Myślę, że wygodnie będzie przytoczyć od razu parę zdań z książki ks. Eugeniusza Dąbrowskiego pt. Glossy i odkrycia biblijne. Czymy tam mianowicie: „Przed rokiem 67 nasej ery tradycja ewangeliczna została spisana, i to w potrójnej formie, w trzech mianowicie dziełach nie posiadających żadnego tytułu. Do ich liczby przy końcu pierwszego wieku przykto czwarte również nie zatytułowane. Znano je tylko jako pisma zawierające szczegóły z życia Chrystusa i przynajmniej główne z wygłaszanych przez Niego nauk. Z czasem dopiero zaczęto i te księgi zawierające dobrą nowinę nazywać ewangeliami, w konsekwencji mówi się już o Ewangeliach. Nie wiadomo, gdzie i przez kogo księgi te tak właśnie nazwane zostały. Po raz pierwszy w tym znaczeniu używa terminu »Ewangelia« św. Justyn w swej pierwszej Apologii.

Św. Justyn napisał swoją Apologię około 150 r. więc dopiero ok. połowy II wieku relacje o działalności Chrystusa zostały nazwane ewangeliami. Słowo to pochodzi z języka greckiego - „euangelion” i z łaciny „evangelium” pierwotnie oznaczało nagrodę udzieloną komus, kto przyniósł jakąś dobrą nowinę, z czasem jednak przeobraziło się w pojecie samej dobrej nowiny. Co się tyczy autorstwa tych ksiąg, a więc zagadnienia, które w tej chwili najbardziej nas interesuje, to posłużmy się jako punktem wyjścia jeszcze jednym cytatem ze wspomnianej przed chwilą pracy ks. E. Dąbrowskiego: „Nigdy jednak nie zrywano z pierwotnym tego słowa znaczeniem i dlatego w tytułach Ewangeli, na które natrafimy w najstarszych manuskryptach greckich, spotykamy się z wyrażeniem »Ewangelia według Mateusza, Marka« itd. lub też po prostu »według Mateusza« z pominięciem słowa Ewangelia. Nie wiadomo zatem z takiego tytułu księgi w żaden sposób wysnuwać wniosku, że wyrażał on wątpliwość co do autorstwa danej Ewangeli. Zaznacza się w nim wyłącznie fakt, że jedna była tylko Ewangelia, której znano różne formy - stąd owo »według«”.

Czego dowiadujemy się z tego raczej zbyt wymyślnego wywodu? Autor zaprzecza, jakoby słowo „według” miało zawierać niepewność czy wątpliwość co do autorstwa ewangelii, jednakże jego argumentacja jest zbyt finezyjna, jakby na siłę wykonywana i zgola nie pasuje do epoki, kiedy przecież z taką prostoduszną swobodą poczynano sobie z pojęciem autorstwa. Argumentacja sprowadza się do tego, że

- 1) pisma zawierające różne szczegóły z życia Jezusa nie miały z początku żadnego tytułu, były więc anonimowe
- 2) dopiero od połowy II wieku nazwano je oficjalnie „ewangeliami”.
- 3) z wyrażeniem „Ewangelia według Mateusza, Marka” itd. spotykamy się w najstarszych

manuskryptach greckich, a zatem, jak to już wiemy z niniejszego rozdziału - dopiero w IV wieku. Były to więc fakty, które w historii wczesnego chrześcijaństwa pojawiły się stosunkowo dość późno. W ostatnich dziesiątkach lat bibliologia naukowa zajmuje się drobiazgową analizą poszczególnych ksiąg Nowego Testamentu pod względem ich autorstwa. Rozglós zdobyły szczególnie książki i odczyty profesora Uniwersytetu Monachyjskiego Willi Marxsena. Dla charakterystyki tego быстрого badacza przytoczymy tu jeden przykład z jego argumentacji. Otóż w Drugim liście Pawła do Tymoteusza czytamy: „Piszczy, który zostawiłem w Troadzie u Karpa, i księgi, zwłaszcza pergaminowe, gdy przybędziesz, przmień z sobą”. Zdanie to, brzmienie przecież tak życiowo, a zatem autentycznie, nie powinno budzić wątpliwości. A jednak: Tymoteusz nie mógł oddać tej przysługii swemu przyjacielowi, bo list, jak utrzymuje Marxsen, został napisany - mniej więcej w setnym roku, a więc wtedy, kiedy Paweł już od trzydziestu lat nie żył. List z tak podziwu godną fantazją według niego zredagował jakiś nieznan autor, który położył pod nim podpis apostła Pawła. Jak zobaczymy później, autorstwo poszczególnych ksiąg Nowego Testamentu to zagadnienie niezmierznie intrygujące. Na razie powiemy tylko tyle, że z 27 listów aż 19 uznano za dzieła innych autorów, niż to podaje tekst Nowego Testamentu. Jeżeli przypominamy sobie, że celem naszej książki jest pozukiwanie faktów dla zrekonstruowania rzeczywistej biografii Jezusa historycznego, to musimy powiedzieć sobie otwarcie, że perspektywy nasze nie są zbyt obiecujące. Idźmy jednak śladami badaczy, którzy w tę właśnie sprawę wnieśli olbrzymi wkład pracy, cierpliwości i wysiłku umysłowego - z rezultatami, które mimo wszystko na pewno nas zafascynują.

DLACZEGO CELNIK LEWI NIE NAPISAŁ PAMIĘTNIKÓW?

O celniku Lewim, zwanym Mateuszem, piszą pierwsze trzy ewangelie oraz Dzieje Apostolskie. Była to postać wybitna wśród dwunastu apostołów, a zarazem na ówczesne stosunki raczej niepospolita w gronie Jezusowych uczniów. Jego szczerości gorliwość religijna wyraziła się choćby w tym, że bez wahania porzucił uregulowane zycie poborcy celnego i poszedł za Jezusem. Celnicy nie cieszyli się sympatią eksploatowanych Żydów, uważani byli za renegatów i ludzi, którzy jako funkcjonariusze pogąńskiego imperium rzymskiego przetrzymali przeciwność Prawu. U Marka (2,14) czytamy: „A gdy [Jezus] przechodził мимо, ujrzal Lewiego, syna Alfausa, siedzącego przy ciele, i rzekł mu: Pójdź za mną! A wstawszy, poszedł za nim. I stało się, gdy siedział u stołu w domu jego, wielu celników i grzeszników siedziało razem z Jezusem i uczniami jego: było bowiem wielu, którzy szli za nim. A uczeni w Piśmie i faryzeusze, widząc, że jadł z celnikami i grzesznikami, mówili uczniom jego: Czemu to z celnikami i grzesznikami je i pije Mistrz wasz? Posłyszawszy to Jezus, rzeki im: Zdrowi nie potrzebują lekarza, ale którzy się źle mają. Nie przyszedłem bowiem wzywać sprawiedliwych, ale grzeszników”. Prawie identyczne teksty mamy w dwóch innych, wymienionych ewangeliach (Mt.9,9; Łk.5,27).

Tradycja kościelna przypisuje autorstwo pierwszej w porządku kanonicznym ewangelii w Nowym Testamencie temu właśnie uczniowi Jezusa. Identyfikują go z Mateuszem tacy pisarze kościelni, jak Papias, Ireneusz, Klemens Aleksandryjski, Euzebiusz i inni, słowem począwszy od połowy II wieku ustaliło się przekonanie, że to, co czytamy w tej ewangelii, jest relacją naocznego świadka. Papias donosi wprawdzie dość enigmatycznie, że Mateusz „pozbierał prorectwa w narzeczu hebrajskim i każdy tłumaczył je na swój sposób, jak umiał najlepiej”, przy czym nikt nie mógł ustalić, co pod słowem „prorectwa” należy rozumieć, mimo wszystko jednak Kościół do dnia dzisiejszego pozostał wierny starodawnej tradycji. Tyle tylko, że pod naporem dociekańskich badań naukowych bibliści chrześcijańscy zrozumieli, że legitymowanie tego autorstwa li tylko tradycją nie jest argumentem wystarczającym i że dalszych poszlak z braku innych dowodów należy szukać w samym tekście ewangelii noszącej jego imię.

Jakie argumenty znaleźli oni na poparcie tezy, że autor Ewangelii Mateusza to rzeczywiście ów uczeń Jezusa, który miał na imię Lewi i był wysługującym się Rzymianom celnikiem? Z treści wynika niezbicie, że był on Żydem. Nikt bowiem, kto nie był Żydem, nie mógłby z taką swobodną pewnością siebie i tak bezbłędnie obracać się wśród zawiłości tradycji i pojęć związanych z judaizmem. Jest on ponadto starożytnym biegłym w posługiwaniu się terminologią Starego Testamentu i niewątpliwie orientował się dobrze w ówczesnej procedurze prawnej, czego dowodem jest choćby taki szczegół, że odróżnia on zwykły sąd od Sanhedrynu.

W poszukiwaniu dalszej identyfikacji rzeźnicy tradycyjnej tezy doszli ponadto do przekonania, że autor Ewangelii Mateusza musiał być Palestynczykiem. Według nich jedynie tylko człowiek, który tam się urodził i spędził długie lata swego życia, mógł tak dokładnie znać odległości między poszczególnymi miejscowościami, a przede wszystkim zwyczaje i obyczaje mieszkańców. Mateusz wie na przykład, że w pobliżu Kafarnaum

znajdowała się komora celna. Co więcej - doskonale wyznawał się w ówczesnych skomplikowanych stosunkach monetarnych, a jak były one skomplikowane wystarczy powiedzieć, że w codziennym obiegu były aż trzy jednostki monetarne: rzymski denar, grecka drachma i hebrajski syki. Niestety, słabość tej argumentacji rzuca się od razu w oczy. Bo ostatecznie takich Żydów, którzy znali terminologię Starego Testamentu i stosunki palestyńskie było chyba tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy, a nie tylko ów celnik, który poszedł za Jezusem. Najbardziej jest argument z rzymską komorą celną: na to, żeby wiedzieć, gdzie ona się znajdowała, nie potrzeba było być celnikiem, wiedzieli na pewno o niej jej nieszczęsne ofiary - Żydzi z bliskiej i dalszej okolicy. Dotyczy to również znajomości Palestyny. Czyż tylko celnik Lewi mógł znać odległości między poszczególnymi miejscowościami? Wiadomo przecież, że nawet Żydy z diaspory, chociaż nie władali już dobrze językiem ojczystym, uważali za swój święty obowiązek nie tylko wspierać finansowo świątynię, lecz pielgrzymować do Jerozolimy osobiście. Doszło przecież nawet do tego, że w Jerozolimie powstawały specjalne synagogi, w których w zrozumieli tam dialektu języku mogli oni odprawiać modły do Boga Abrahama i Mojżesza. Podróżując pieszo lub w siodle szlakami Palestyny, na pewno znali jej topografię nie gorzej niż stali mieszkańcy. Cóż, z przykrością trzeba powiedzieć, że cały ten wywód o autorstwie Ewangelii według Mateusza pod prostu trafia w okolicę, ani trochę nie naprowadza nas na osobę celnika Lewiego. Ci, którzy obstają przy jego autorstwie, nadal muszą zanosić się tradycją i tylko tradycją.

W gruncie rzeczy zdawał sobie sprawę z tego ks. Eugeniusz Dąbrowski, rzecznik katolickiego punktu widzenia, bibliista o rzetelnych aspiracjach naukowych, chociaż niejednokrotnie skrepowany oficjalnymi orzeczeniami kościelnymi. W książce swojej Ewangelie, ich powstanie i rodzaj literacki znajduje on otwarcie: „Oprócz kierunku nazwanego tradycyjnym, w dzisiejszej nauce twierdzenie to na liczne natrafia sprzeciwy. Powody przy tym są różne, a zawarte w ewangelii prorectwo o zburzeniu miasta i Świątyni wcale nie najmniejszym z nich”. A więc przynajmniej, że sprzeciwy w nauce są „liczne” i że niektóre argumenty nie są bez znaczenia. Szkoła żydowska, że nie uważał za potrzebne podać to wszystko, co w mniemaniu wielu uczonych przemawia w sposób zdecydowany przeciwko autorstwu Lewiego. Wyreżymy go zatem, przytaczając, w dużym z konieczności skrócie, najważniejsze kontrargumenty, zawarte w obszernej literaturze zajmującej się tym zagadnieniem.

Przed wszystkim więc sprawa języka. Według tradycji Ewangelia Mateusza napisana została w języku aramejskim, a później dopiero przetłumaczona na grekę, przy czym tekst pierwotny miał bezpowrotnie zaginąć. Filolodzy, posługując się najnowocześniejszymi metodami naukowymi, doszli jednak do przekonania, że autor, rzekomy Mateusz, posługiwał się językiem „koine” i chociaż tu i ówdzie istotnie przezierają poprzez tkankę narracji zwroty i wyrażenia właściwe tylko idiomatyzmowi hebrajskiemu i aramejskiemu, język „koine” w tej ewangelii ma tę naturalną, swobodną płynność, która nie pozwala doszukiwać się w nim utajonego pośrednictwa tłumacza. Czyż celnik Lewi, Żyd z głębokiej prowincji palestyńskiej, gdzie rozbrzmiewała mowa aramejska, mógłby tak biegle, tak wytrwale władać językiem greckim na piśmie? I to nawet zakładając możliwość, że jako celnik musiał posiadać umiejętność porozumiewania się w tym języku z cudzoziemcami czy z przelożonymi swego urzędu?

Rozumiemy, że ten argument nie wszystkim przemówi do przekonania. On sam, przynajmniej to szczerze, byłby może zbyt słaby dla podważenia tezy, że za autorem omawianej ewangelii był celnik Lewi. Rzecz jednak w tym, że w sukurs popieszają mu inne, wręcz rewelacyjne swawidziany tekstowe. I tutaj musimy naprzód odwołać się do wyobrażeń naszych czytelników. Lewi, bliski uczeń Jezusa, jeden z dwunastu apostołów, zabiera się do pisania wspomnień o swoim ubóstwianym Mistrzu. Jak w naszym pojęciu powinny takie pamiętniki wyglądać, jakie posiadać cechy? Wychodzą one spod pióra naocznego świadka, jednego z niezliczonych już ludzi, którzy podówczas znali go osobiście; przebywał w nim dzień i noc, słuchał jego nauk, jego głosu, pamiętał każdy szczegół jego fizycznego wyglądu. Pamiętniki takiego człowieka, szczerzego i prostodusznego, miałyby to do siebie, że podane w nich szczegóły biograficzne pochodziłyby z pierwszeństwa ręki, a ich nieskrepowana atmosfera, bogata anegdotalnością i emocjonalne zaangażowanie świadczyłyby ponad wszelką wątpliwość, że autor pozostawał z opisywaną postacią w jakimś stosunku osobistego doświadczenia. Napisalby po prostu zwyczajną prawdę. Niestety! Już D.F. Strauss, po przebadaniu tego zagadnienia, orzekł bez wahania: „Mateusz to materiał z drugiej ręki, autor nawet fakty biograficzne czerpał z innych źródeł”. Czyżby naoczny świadek, bo takim był przecież Lewi, do tego stopnia był zdany na obcą informację? Tymczasem zależność autora ewangelii, jego niesamodzielność w sprawach, które powiemy być znać z własnych przeżyć, jest wręcz szokująca. Przedmiotem następnego rozdziału będzie kolejność powstania poszczególnych ewangelii, ale już obecnie musimy uprzedzić czytelnika o tym, co

stwierdza nauka, że Ewangelia Marka, a nie Ewangelia Mateusza jest chronologicznie najstarszą ewangelia. Do czego jest to nam potrzebne? Otóż okazuje się, że z 601 wersełów Marka - Mateusz powtarza u siebie aż 600. Ponadto jeszcze około 550 wersełów zapożyczył on z dwóch innych źródeł. W rezultacie tylko 436 wersełów jest jego autorstwa. Statystyka chyba wystarczająca, by stwierdzić, że u Mateusza nie mamy oryginalnego wspomnienia, lecz jak najbardziej typową kompilację. W dobrze tych zapożyczonych materiałów autor nie był w dodatku zbyt wybredny i nie odznaczał się zbytnim krytycyzmem. Niektóre opowieści przytacza dwukrotnie, nie orientując się, że jest to jeden i ten sam incydent, wzięty tylko z dwóch odmiennych źródeł. Uderzająco jest na przykład cud rozmożenia chleba, który wydarzył się dwukrotnie w małych odstępach czasu. Jezus dwa razy wypędza złego ducha z opętanego, ślepego i niemego człowieka i dwa razy spotyka się ze strony faryzeuszów z zarzutem, że uczynił to przy pomocy czarta Belzebuba.

Są to jednak nie zawsze tylko, jak się wyraża Strauss, dublety. Znalazły się bowiem w tej swoistej kompilacji opowieści, które wyraźnie pod względem doktrynalnym wybijają się sobą sprzeczne. Przytoczymy tu parę przykładów, na które zwrócił uwagę tenże sam Strauss. Tak więc uderzająco służy setnika, Jezus w ten sposób bez zastrzeżeń udziela pomocy poganiowi (8, 5-10). Gdy natomiast w okolicach Tyru i Sydonu kobieta chananejka (nazwana przez Marka Syrofenicianką) błaga go o uzdrowienie córki opętanej przez złego ducha, Jezus wzbrania się wyjaśniając uczniom: „Nie jestem posłany jeno do owiec, które zginiły z domu izraelskiego”. Na dalsze zaś prośby dodaje: „Niedobrze jest brać chleb synowski a rzucać psom”. (Należy tu wyjaśnić, że było to określenie dość pogardliwe, gdyż Żydzi psami nazywali wszystkich, którzy nie należeli do ich narodu). W końcu Jezus nie odmówił swej pomocy, ale jak widzimy, nie bez wewnętrznej oporu i tylko po usilnych błaganiach zropanożonej matki (Mt. 15, 21-28).

Drażliwa sprawa stosunku do pogan dochodzi do głosu w ewangelii jeszcze parę razy. Wysłając dwunastu apostołów w świat, aby nauczali, Jezus daje im takie oto instrukcje: „Na drogie pogan nie zachodźcie i do miast samarytańskich nie wchodźcie. Ale raczej idźcie do owiec, które poginiły z domu Izraela”. Tymczasem w dwóch miejscach (8, 11 i nast. - 21, 43 i nast.) zapowiada, iż w odpowiedzi na brak wiary u Żydów nawracając będzie pogan. A już pod koniec ewangelii wyraźnie daje polecenie apostołom, aby nauczali „wszystkie narody” udzielając im chrztu.

Te sprzeczne wypowiedzi, które autor ewangelii pozbierał bezkrytycznie, bez próby ich zharmonizowania, są to jakby warstwy stratygraficzne w archeologicznych wykopalskach. Zarysowują się w nich dwa kolejne etapy rozwoju chrześcijaństwa: pierwotnego izolacjonizmu żydowskiej sekty narzeczycyłów oraz zwycięstwa uniwersalistycznej idei św. Pawła, kiedy misję wśród pogan zaczęto przedstawiać jako nakaz samego Jezusa i wkładano w jego usta odpowiednie sentencje w tym duchu.

Jako przykład tego bezkrytycznego zbierania informacji posłużyć może znana opowieść o drzewie figowym, które Jezus surowo karze za to, że nie miało owoców, kiedy był ich żłakniony. Przytacza ją Marek, a zapożycza od niego Mateusz z tą różnicą, że u pierwszego niefortunne drzewo staje się bezplodne, a u drugiego po prostu usycha (Mk. 11, 12-14 - Mt. 21, 18-19).

Wydarzenie przypada na początek kwietnia, kiedy figa nie mogła jeszcze owocować, a więc spotkała ją wielka krzywda. Oba ewangelści nie biorą tego faktu pod uwagę, ale u znowu jest widoczna różnica w sposobie ustosunkowania się do całego zagadnienia. Marek jakby nie zdawał sobie sprawy z wyrządzonej drzewu niesprawiedliwości, gdyż najsłojniejszy pisze, że Jezus „nie znalazł nic prócz liści, bo nie była to pora na figi”. Natomiast Mateusz, jakby zazenowany moralną czy logiczną skazą opowieści, nie chce jednak z niej zrezygnować, wybrnął z sytuacji w ten sposób, że po prostu pominał milczeniem uwagę Marka.

Rzecz oczywista, że mamy tu do czynienia z typową opowitacją ludową, przedstawiającą w sposób dość prymitywny cudotwórczą moc Jezusa. Rzucając kłtawę na niewinne drzewo, Jezus postąpiłby jak porwycy i mściwcy czarownik, gdyby to była prawda, toteż późniejsi egzegeci usiłowali ratować sytuację w ten sposób, że anegdote interpretowali jako alegorię o głębszym znaczeniu moralnym. Wiemy już o Mateuszu niejedno, przede wszystkim to, że korzystał ofebicie i dość bezkrytycznie z obcych źródeł. Podane w tej mierze fakty zupełnie już wystarczają, by zdyskwalifikować go jako naocznego świadka. Są jednak jeszcze inne argumenty przemawiające przeciwko niemu. Nikt nie może zaprzeczyć, że jego ewangelia nie ma nic wspólnego z biografią historyczną, nawet w pojęciu dziejopisarzy starożytnych. Wkładają oni w usta swoich bohaterów długie mowy i wyznania intymne, których nikt przecież słyszeć nie mógł, ale zachowują jednak jakiś ład chronologiczny w swojej narracji. Tymczasem, co uderza u Mateusza, to właśnie zupełne ignorowanie danych chronologicznych. Tekst jest ujęty w ramy dość kusztownej i symetrycznej konstrukcji literackiej kusztownej z góry

zamierzonej koncepcji. Dzieli się on na pięć części grupujących pięć dyskursów Jezusa na tematy moralne, przy czym każda z tych części wybrzmiewa czymś jakby refrenom w postaci prawie identycznych formulek słownych (7,28; 11, 1; 13,53; 19,1; 26, 1). Jedną z tych części to słynne „Kazanie na górze”, kwintesencja norm etycznych chrześcijaństwa. Za sprawą tego kazania uzyskujemy wgląd w ukryty mechanizm powstawania ewangelii. Wiemy, jak ważne miejsce zajmuje ono w tradycji chrześcijańskiej, musi nas przeto zdziwić, że poza Mateuszem i Łukaszem, który podaje bardzo skróconą jego wersję, pozostali ewangelści o takim kazaniu nie wspominają.

Cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak wysnuć z tego faktu następujący wniosek: „Kazanie na górze”, jedna z najbardziej efektownych scen z życia Jezusa, źródło natchnienia dla wielu pokoleń poetów i malarzy, jest legendą, produktem wyobraźni, zmyśleniem literackim. W kazaniu tym autor ewangelii ułożył strzelisty w swoich zasadach kodeks moralny i włożył go w usta Jezusa. Skomponował go w ten sposób, że zgromadził w nim będące wówczas w obiegu rzeczywiste lub domniemane wypowiedzi Jezusa. Mamy na to nieodparty dowód, z tych samych bowiem wypowiedzi korzystał także Łukasz, nie skomponował jednak ich w konstrukcje jednego kazania, lecz tak jak je zastałszł rozpropagował już po całym tekście swojej ewangelii.

Ewangelia Mateusza, jak widzimy, jest świadomie obmyślonym traktatem, napisanym przez człowieka, któremu nieobce były arkańskie rzemiosła pisarskie. Świadczy o tym nie tylko układ całości, czy tak znakomicie pomyślana inscenizacja, jak „Kazanie na górze”. W tekście mamy wiele innych dowodów na to, że dbał on o stronę literacką swojej pracy. Widac to w sposób oczywisty w starannym doborze, słów, w częstym stosowaniu dialogów i monologów, a przede wszystkim w posługiwaniu się takimi figurami stylistycznymi, jak paralelizm, kontrast, powtórzenie. Jednym słowem, w tym wszystkim, co nazywamy dzisiaj beletryzacją i stylizacją treści.

Uderza przy tym powściągliwość autora w podawaniu informacji o życiu doczesnym Jezusa. Konkretnie fakty biograficzne, te mianowicie, które udaje nam się wyłuskać ze wszystkiego, co jest mitologizacją i baśnią cudownością, są tak skąpe, że dzieje Jezusa, poza paru szczegółami z dzieciństwa i ostatniego okresu życia, pozostają dla nas białą plamą. Bibliści chrześcijańscy usprawiedliwiają autora tym, że nie miał on zamiaru napisania biografii, że jego ewangelia jest traktatem apologetycznym, mającym wykazać (zwłaszcza Żydom), że Jezus jest zapowiadającym przez proroków Mesjaszem. Owszem, chętnie zgadzamy się z tą opinią. Zapytujemy jednak, czy taki traktat byśmy w stanie napisali apostoł Lewi. Wątpimy bowiem, by ów skromny urzędnik komory celnej w Kafarnaum mógł pisać takie umiejętności literackie. Wazniejsze są jednak wątpliwości, którym daliśmy wyraz już poprzednio. Czy ów wierny towarzysz wędrowek Jezusa zechciałby taką rozprawę napisać prawie czterdzieści lat po dramacie ukrzyżowania, kiedy naocznych świadków było coraz mniej i przede wszystkim należało ocalić od zapomnienia wszystko, co widziano jeszcze o Jezusie? Zamiast opisać zwyczajnie to, co przeżył z ubóstwianym Mistrzem, co o nim pamiętał, Lewi miałby zbierać skąd się dało różne szczegóły z drugiej ręki, układać je w wymyślne kompozycje literackie, za nic sobie wając chronologię, a samemu Jezusowi dąc zabrawiać w kazaniach, których nigdy nie wygłosił? Nie sposób w to uwierzyć. A zatem, kto był autorem Ewangelii Mateusza?

Większość uczonych odpowiada na to: nie mamy. Jeżeli chodzi o datę i miejsce powstania Ewangelii Mateusza, to sprawa przedstawia się o tyle lepiej, że na podstawie poszlak ukrytych w tekście można wysnuć pewne logicznie uzasadnione domysły. Powiedzmy z góry, że w wyniku tych dedukcji ustalono, że ewangelia ta powstała wiele lat po 70 r., czyli po zburzeniu świątyni jerozolimskiej. Bibliści zaleźnie od swoich kalkulacji datują ją na okres od 85 do 110 r.

Do takiej konkluzji uprawniają ich następujące spostrzeżenia. Przede wszystkim znajdujemy w ewangelii aż czterdzieści aluzje odnoszące się do zburzenia Jerozolimy. Ponieważ, jako racjonalści, nie wierzymy, by autor był jasnowidzem i mógł przewidzieć przyszłość, trzeba nam datawać ewangelie na czas po 70 r. Inna aluzja odnosząca się w zupełnie oczywisty sposób do przeladawania chrześcijan za cesarza Domitjana, który panował w latach 81 - 96, czas powstania ewangelii uściśla jeszcze bardziej. O późnej dacie świadczy wiele innych jeszcze argumentów lingwistycznych i tekstowych, choćby wyrażone przez autora rozczarowanie z powodu opóźniającego się drugiego przyjścia Jezusa Chrystusa (tzw. paruzji), oczekiwanego przez pierwszych chrześcijan. Jako miejsce powstania różni badacze podają różne miejscowości. A więc przede wszystkim Antiochię, jerozolimę, ponadto także syryjskie miasta, jak Edessa czy Apamea, a nawet Aleksandrię w Egipcie. Wszystkie te miasta miały jednak wspólną cechę: spotykały się tam wpływy judaizmu i hellenizmu, wpływy, które, jak się powiedzielią przedtem, znalazły odbicie w Ewangelii Mateusza. Jest rzeczą jasną, że autor ewangelii był Żydem z diaspory, dla którego Star Testament pozostał alfą i

omegą wszelkiej prawdy. Pozostali ewangelści również usiłowali udowodnić na podstawie cytacji i procew ze Starego Testamentu, że Jezus był zapowiadającym Mesjaszem, ale Mateusz doprowadził tę metodę do ostatecznych granic. Według niego, jeżeli się cokolwiek stało w życiu Jezusa, to jedynie dlatego, żeby wypełniło się Pismo Święte. Postać Mesjasza jest wprawdzie pełna niezmiernego majestatu, ale w istocie rzeczy na skutek tej metody ma się wrażenie, że Jezus jest biernym narzędziem z góry określonego zamysłu Bożego, a więc predestynacji. „...Syn Człowieczy idzie, jako napisano o nim...” - czytamy u Mateusza (26, 24), a sam Jezus, jak to wynika z jego „wypowiedzi, zna dokładnie swój los, przeznaczony mu przez prorocwa Starego Testamentu. Autor ewangelii podkreśla eschatologiczne elementy w nauce Mistrza, jego wiza przyszłości zdradza skłonności apokaliptyczne. „A wówczas także się na niebiosach znak Syna Człowieczego i wtedy plakać będą wszystkie pokolenia ziemi” (24, 30). W następnym zaś rozdziale mamy już typowo apokaliptyczny opis Sądu Ostatecznego, z posępnym obrazem potępionych i skazanych na ogień wieczny grzeszników, opis, w którym zarazem jednak naczelna idea chrześcijaństwa, miłość bliźniego, znalazła swój najszczytniejszy, najbardziej przejmujący wyraz (25, 31-46). Oczywiście w zburzeniu Jerolimoy autor upatrywał karę, która spadła na Żydów za odrzucenie Mesjasza przynoszącego ludzkości odkupienie i Królestwo Boże na ziemi. Tego rodzaju myśli są pogłosem zastraszających się antagonizmów i walk polemicznych, jakie rozszły się między wyznawcami Chrystusa a Żydami w okresie po zburzeniu Jerolimoy. Z tego kataklizmu narodowego ocalali głównie faryzeusze, ponieważ saduceusze i zeloci, bardziej zaangażowani w walkach, ponieśli największe straty. Rozproszeni po świecie faryzeusze stali się głównymi obrońcami judaizmu i wrogami chrześcijaństwa, stąd pochodzą znajdujące się w Ewangeliu Mateusza uwagi, wyraźnie nieprzychylnie dla ich postawy i działalności. Bezsposrednio z tą walką jest związana próba rehabilitacji Piłata i jego żony oraz objaśnienie wyłącznie Żydów ukrzyżowaniem Jezusa. Sprawie tej poświęcimy zresztą więcej miejsca w innym rozdziale, poprzedzającym więc na razie na tej lakonicznej wzmiance.

Jezus u Mateusza, podobnie zresztą jak u Marka i Łukasza, jest przede wszystkim cudotwórcą-lekarzem, nie tylko uzdrawiającym ludzi nieuleczalnie chorych, lecz także wskrzeszającym zmarłych. Nawet dwunastu apostołom, gdy wyszła ich w drogę, poleca wprawdzie głosić Królestwo Niebieskie, ale również uzdrawiać chorych i wskrzeszać umarłych. Jego poglądy, czym jest choroba, nie wykracza poza granice prymitywnych pojęć epoki. „Wyrzucacie czarty” - upomina apostołów, sam również to czyni. Najbardziej jaskrawym przykładem jest dramatyczne uzdrowienie dwóch opętanych, którzy znaleźli przytułek w grobach w okolicy Gerezus. Jezus wyproszył z nich złe duchy i na prośbę demonów pozwolił im wejść w pasadę się w okolicy wieprze. Opętane zwierzęta wpadły w szal i rejerując utonęły w morzu, a mieszkańcy miasta, dotknięci stratą, poprosili cudotwórcę-uzdrowiciela, by opuścił ich granice.

Inne cuda, posiadające głębszą wymowę, mają wydątnic nadprzyrodzoną potęgę Jezusa jako Syna Bożego. Należą do tej kategorii takie wydarzenia, jak kroczenie po wodzie, cudowne rozmnożenie chleba i nakarmienie pięciu tysięcy, uśmierzenie burzy na jeziorze, a także wszelkie nadprzyrodzone zjawiska towarzyszące śmierci Jezusa: trzęsienie ziemi, rozdarcie na drobne zasłony w świątyni jerozolimskiej i powstanie z grobu ciało świętych. Jednakże Mateusza a także Łukasza wyróżnia to, że oni jedni podają szczegóły z dzieciństwa Jezusa. U nich tylko znajdujemy pełną baśniowego czaru opowieść o zwiastowaniu, o cudownych zjawiskach towarzyszących radosnym narodzinom Dzieciątka Jezus, o trzech mędrcach, rzezi niewiątka, ucieczce Świętej Rodziny do Egiptu i o jej powrocie do Nazaretu. Marek nic o tych sprawach nie wie, z czego wolno nam wnosić, że ta typowa baśń, jedna z rzędu tych, jakie rodziły się przez wieki w kościołach i pastoralkach ludowych, jest późniejszej już daty. Fakt, że obaj wymienieni ewangelści zaadaptowali tę oczywistą legendę do biografii Jezusa dla wzmocnienia tezy o jego boskości, okazał się ogromnie brzemienny w skutki. Albowiem ta urzekająca historia bonożarodzeniowa, dając wyraz najskrytszym marzeniom i tęsknotom ludu, stała się niewyczerpanym źródłem radosnego zachwytu i piękna dla wielu pokoleń poetów, rzeźbiarzy i malarzy oraz niezliczonych rzesz wyznawców: inspirowała dzieła sztuki, bez których trudno wyobrazić sobie dzieje ludzkości.

Tendencję Mateusza poznajemy dokładniej, gdy przyjrzemy się bliżej tym częściami jego ewangelii, które są zapożyczeniem z Marka. Okazuje się, że uległy one pewnym określonym modyfikacjom. Między innymi Mateusz pragnął uwolnić widzunek Jezusa przedstawiającego go jako człowieka doskonałego w potęgę i dobroci, a cel swój osiąga przez to, że pomija milczenie sceny z Ewangeliu Marka, w których Jezus jest szorstki wobec trędowatego lub okazuje gniew. Tym samym korektem ulega zresztą także portret apostołów:

Marek przedstawia ich np. jako ludzi małostkowych, nie dorastających duchowo do nauki Jezusa. Obraz ten Mateusz wyraźnie łagodzi i tuszuje, aby ratować ich prestiż w oczach wyznawców (Mt. 16, 5-12; Mk. 8, 14-21).

Jeżeli dodamy, że właśnie Mateusz, no i znowu także Łukasz, podają sprzeczną zresztą ze sobą genealogię rodową Jezusa, by wykazać zgodnie z prorocstwem Starego Testamentu jego pochodzenie z domu Dawida, to zrozumiemy już ostatecznie myśli przewodnią Ewangeliu według Mateusza. Jezus występuje w niej jako Mesjasz o atrybutach nadprzyrodzonych, głoszący swe nauki w tonie namaszczonej i pełnym sakralnego dostojenstwa. Nauki te, ujęte w niezapomniane dla chrześcijan wersety, stanowią najpiękniejszą i najpełniejszą prezentację Jezusa. Przypomnijmy tu tylko „Osiem błogosławieństw” i szereg aforystycznych przykazań etycznych, stanowiących niejako podstawowe hasła chrześcijaństwa. Nie przeto dziwnego, że Renan nazwał Ewangelię Mateusza najdonioślejszą ksiązką świata.

KIM BYŁ MAREK EWANGELISTA?

Jeśli dać wiarę tradycji, powinniśmy utożsamiać autora chronologicznie najdawniejszej ewangelii z owym Janem Markiem (przydomkiem rzymski Marcus), z którym spotykamy się przykrotnie w pismach Nowego Testamentu. Z lakonicznych informacji wolno nam wnioskować, że był to młodzieniec pochodzący z zamożnej rodziny jerozolimskiej, a więc chyba wykształcony, władający dobrze, choć tego na pewno nie wiemy, językiem greckim i łaciną. W domu jego matka Marii znalazł przytułek Jezus i jego galilejska gromadka uczniów; tamże odbyła się Ostatnia Wieczerza.

Niektórzy bibliści sączą, że Jan Marek miał na myśli swoją osobistą przygodę, gdy w tragiczną historię Góry Oliwnej wpłata osobliwą anegdotę o jakimś tajemniczym i dzielnym młodzieńcu, który nie porucił pojanego Jezusa tak jak spłoszeni lękiem jego najbliżsi uczniowie, lecz krocząc za nim w niewielkiej odległości nie zwając na niebezpieczeństwo aresztowania. Gdy chciano go również pojmać, ocalał w ten sposób, bez wyrwał się pozostawiawszy w rękach śpiącego Sanhedrynu przeszcieradło, w które był owinięty, i nago uskokzył w mrok getsemańskiego sadu.

Przyjmując identyfikację tego właśnie Jana Marka z autorem ewangelii za słuszną, musimy tym samym również uznać za rzecz pewną, że tenże autor ewangelii zetknął się z Jezusem kilkakrotnie, że przeto był nacoym świadkiem niejednego wydarzenia z ostatnich dni jego życia. Charakterystyczny szczegół o Marku zawdzięcamy Dziejom Apostolskim. Dowiadujemy się bowiem z tej relacji, że był on bliskim krewnym Barnaby, owego „hellenisty” z Cypru, który z Pawłem Apostołem odbył szereg podróży misyjnych. Zapewne pokrewieństwo to sprawiło, że Jan Marek towarzyszył im w podróży na Cypr i do Azji Mniejszej. Wyprawa skończyła się jednak nieprzyjemnym zgrzytem. W Perge w Pamfilii Marek poróżnił się z Pawłem, przerwał nagle podróż i wrócił do Jerolimoy. Nigdy już nie doszło między nimi do pojednania. Gdy w Antiochii powstał plan nowej podróży misyjnej i Barnaba chciał znowu zabrać ze sobą Marka, Paweł mając jeszcze w pamięci przykre zajście w Pamfilii, nie wyraził na to zgody. Od słowa do słowa, rozgorzyceni na siebie towarzysze wspólnych wypraw misyjnych postanowili rozstać się i działać każdy na własną rękę. Paweł wybrał się w zamierzoną podróż z innym towarzyszem, Barnaba zaś w towarzystwie Marka pożeglował na Cypr, do swego domu rodzinnego. Pożeglował zresztą tym samym w mgławicę niepamięci, gdyż to, co opowiadano sobie o dalszych jego losach, należy już do legendy. Podobno poniósł śmierć męczeńską na Cyprze. Wszystkie piśmienne źródła, jak Listy Barnaby czy Ewangelia Barnaby, okazały się apokryfami. Za panowania cesarza Zenona odnaleziono ponoć w 488 r. jego grobowiec z tekstem Ewangeliu według Mateusza przepisanej jego własną ręką.

W domu Marii bywał oczywiście także św. Piotr i Jan Marek musiał chyba podejmować go w roli gospodarza. Z Dziejów Apostolskich wynika jasno, że Piotr był tam mile widziany. Gdy mianowicie w latach 41-44 zostaje przez króla Agryppe I uwięziony i następnie uwolniony przez Aniola, pierwszy krokiem, jaki powziął na wolności, było skierowanie się do domu Marii. Tam podejmowano go z otwartymi ramionami, wśród serdecznych objawów radości (Dz. Ap. 12, 12-17).

Kilkanaście lat później, za panowania Nerona (54-68 r.), Piotr i Marek spotkali się ponownie w Rzymie, gdzie istniała już bardzo liczna kolonia Żydów i wyznawców Chrystusa. Oczywiście odnowili oni z łatwością starą znajomość z czasów jerozolimskich. Piotr poza aramejskim nie znał żadnego innego języka, toteż Marek zaofiarował mu się jako sekretarz i tłumacz, mówił przecież dobrze po łacinie i po grecku. Kto wie zresztą, czy w pewnym stopniu do tej współpracy nie przyczyniła się także wspólnie żywna niechęć do Pawła, który jak to wynika z Dziejów Apostolskich, obszedł się również z Piotrem w sposób dość obcesowy, gdy w Antiochii rozstrzygał się spór doktrynalny, jak postępować z nawróconymi poganami.

Owocem tej współpracy jest ponoć ewangelia, która Marek miał napisać już po śmierci Piotra. Tak przynajmniej utrzymuje tradycja kościelna sięgająca II i III wieku. Głównym źródłem wiadomości pod tym względem jest Papiasz, biskup Hieropolis. Jego działalność pisarską przypada mniej więcej na połowę II wieku, poza tym nic o nim nie wiemy i nie znamy jego pism, gdyż nie dochowały się do naszych czasów. To co pozostało po nim, to strzępy jego wypowiedzi i okrucy informacji o jego życiu, przekazane nam przez innych pisarzy kościelnych. Wymienić tu trzeba przede wszystkim biskupa Cezarei Euzebiusza (263-340 r.), autora pierwszej Historii Kościoła, z którym zawarłszy znajomość już w poprzednim rozdziale. Utrzymuje on, powołując się na Papiasza, że Marek jako tłumacz Piotra „spisał dokładnie wszystko, co przypomniał sobie, chociaż przynależało trzeba, że nie w tej kolejności, jak nauczał i działał Chrystus”. Dalej zaś czytamy: „A to dlatego, że nie słyszał od Pana i nie szedł za nim, lecz później dopiero szedł za Piotrem i przystosował jego instrukcje i nauki do potrzeb słuchaczy, a nie z zamiarem opowiedzenia żywota Jezusa”.

Inny pisarz kościelny, Klemens Aleksandryjski (ok. 150 - 215 r.) doruca do tej relacji nowy przyrzek. Mianowicie twierdzi on, że Marek spisał głóki Piotra na prośbę chrześcijan mieszkających w Rzymie i że wykonał on to zadanie nie tylko za życia Piotra (a nie po jego śmierci), ale nawet za jego cichym przyzwoleniem. Tak że ewangelia, która w ten sposób powstała; można by właściwie nazwać także Ewangelią Piotra.

He jest w tym prawdy i jakie jest stanowisko nauki w tej sprawie? Czy Marek jest naprawdę autorem ewangelii? Opierając się na tym, czym w tej chwili dysponuje nauka, nie sposób wypowiedzieć się zdecydowanie za czy przeciw autorstwu Jana Marka. Wprawdzie w swym Pierwszym liście Piotr nazywa Marka synem swoim, a z treści wynika, że przebywając oni razem w Rzymie (I Piotr 5, 13), to jednak bieda w tym, że autentyczność tego listu jest przed badaczy kwestionowana. Zresztą, jeżeli mamy wierzyć Papiaszowi i Euzebiuszowi, to ów Marek, który był sekretarzem Piotra, nie znał osobiście Jezusa, z czego wynikałoby, że nie można go identyfikować z Janem Markiem, synem Marii. Niemalże różnicę wyłoniły się także w odniesieniu do daty powstania Ewangeliu Marka. U wszystkich badaczy daty te nie wykraczają jednak poza okres ograniczony latami od 50 do 75. Jeżeli stanąć na stanowisku, że rozdział 13 ewangelii zawiera reminiscencję zburzenia Jerolimoy, a nie jego przeprowadzenie, czyli że ewangelia ta ukazała się już po tym przełomowym dla żydostwa kataklizmie, to, rzecz jasna, musimy zdecydować się na lata od 70 do 75.

Tradycja rzymsko-katolicka utrzymuje, że Ewangelia według Marka powstała w Rzymie i biorąc pod uwagę tzw. sprawdziany tekstowe można na to się zgodzić. Jakież są te sprawdziany tekstowe? Otóż uważny czytelnik bez trudu orientuje się, że ewangelia jest przede wszystkim przeznaczona dla prozelitów pochodzenia pogańskiego, nie zaś dla judeochrześcijań. Świadczy o tym między innymi fakt, że wtrącone do tekstu wyrazy aramejskie w oryginalnym brzmieniu są zawsze tłumaczone na język grecki; a ponadto, gdy wymieniane są obyczaje i obrzędy związane z judaizmem, autor uważał za wskazane wyjaśniać ich sens, co oczywiście byłoby zbędne, gdyby chodziło tylko o chrześcijan narodowości żydowskiej. Na środowisko łacińskie, a więc na Rzym, naprowadzają nas dość liczne latynizmy i opisy urządzeń typowo rzymskich. Uderza jeszcze to, że autor o wiele rzadziej niż inni ewangelści powołuje się na Prawo Mojżeszowe i prorocwa biblijne. Najwidoczniej zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju argumenty nie mogły przemówić do przekonania ludzi, którzy wyrosli w tradycjach hellenistyczno-rzymskich i po prostu Starego Testamentu nie znali.

Powiedzieliśmy poprzednio, że nie istnieją żadne dane, które pozwoliłyby nam wypowiedzieć się za lub przeciw autorstwu Jana Marka. Daleko ważniejsze jest jednak pytanie, czy autor, jakkolwiek by było jego imię, służył św. Piotrowi jako sekretarz i czy w ewangelii oddaje wiernie jego myśli i nauki. Tradycja kościelna - potwarzamy - do tego stopnia daje wiarę tej wersji, że alternatywnie mówi się i pisze nieraz o Ewangeliu Piotra. Niektórzy badacze doszli jednak do przekonania, że autor omawianej ewangelii nie mógł być sekretarzem Piotra. Jakie dowody przyczynają na poparcie swego werdyktu? Zwracają uwagę przede wszystkim na to, że tekst ewangelii ma wszelkie znamiona kompilacji, opartej na różnorodnych źródłach pisemnych i ustnych, ponadto, że nie jest biografią Jezusa, lecz rozprawą propagującą pewne teologiczne doktryny, a więc, że jest typową pracą o charakterze katechezy. Ks. prof. E. Dąbrowski w cytowanej już książce pt. Ewangelie, ich powstanie i rodzaj literacki formułuje to w sposób lapidarny: „Z biografią w znaczeniu klasycznym ewangelia ta nie ma nic wspólnego. Zainteresowania geograficzne, chronologiczne są w niej całkowicie pominięte... Jeżeli chodzi o postać Chrystusa Pana, to opisana jest ona w sposób, będący jaskrawym zaprzeczeniem wszelkiej biografii. Marek nie wspomina o pochodzeniu Chrystusa, nie zna imienia jego Matki i domniemanego ojca”. Otóż wydaje nam się, że sekretarz Piotra nigdy nie napisałby takiego dzieła; byłoby to sprzeczne ze

zdrowym rozsądkiem. Zastanówmy się nad okolicznościami żywymi, wśród których miała ta ewangelia powstać. Z jednej strony widzimy starego już, prozodusznego apostoła, dawnego rybaka z Galilei, o którym wiemy, że był człowiekiem godnym szacunku, ale na pewno nie-uczonym. Nie jego przecież wybrali nazarejczycy Jerolimoy na swego przełożonego, lecz brata Jezusa, Jakuba Sprawiedliwego, który w ogóle nie był uczniem Jezusa. Od ukrzyżowania minęło już sporo lat. Czyż w tych warunkach Piotr mógł nie snuć swoich wspomnień rzek osobiśtych o wspólnie przeżytych dniach z ukochanym Mistrzem, o jego życiu, wyglądzie zewnętrznym i jego rodzinie, słowem o tym wszystkim, co zazwyczaj składa się na substancję pamiętników?

Z drugiej strony mamy jego rzekomego sekretarza. Czyż mógł on być do tego stopnia wyprany z wszelkiej ludzkiej ciekawości i zbyć milczeniem takie wspomnienia, w razie gdyby usłyszał je z ust Piotra? Zwykła znajomość natury ludzkiej nie pozwala nam wierzyć w taką możliwość; tym bardziej że właśnie w owym czasie pęd do bliźszego poznania życia Jezusa we wszystkich jego aspektach wzrastał wśród wyznawców do tego stopnia, że luki w jego biografii zaczęto wypełniać legendą. Piotr mógł oczywiście ten powszechny głóki wiedzy zaspościć autentycznymi wspomnieniami, a jednak tego nie uczynił, przynajmniej tak należy sądzić z rzekomo przezeń inspirowanej ewangelii. Istnieją jeszcze inne, również wazkie okoliczności, podważające tezę, jakoby autor Ewangeliu Marka był sekretarzem apostoła. Mianowicie po ściślejszej analizie tekstu zarysowało się wyraźnie, że nie był on zbyt dobrze obznajomiony ze sposobem myślenia Piotra, który jak przecież wiemy skądinąd, pozostał wierny judeochryścijaństwowi.

Chodzi o to, że ewangelia ta zdradza wyraźnie wpływ Pawła, jest więc odbiciem sytuacji, która nastąpiła wiele lat po śmierci Piotra, kiedy to po długolennym zaniku nastąpił renesans wpływu Pawła wśród wyznawców Chrystusa. Mniej więcej na dziedziel przed zburzeniem Jerolimoy Paweł po swoim aresztowaniu w 58 r. począł trać do tego stopnia zwolenników, że nawet jego licę o mało nie zaginęły. Dopiero na przełomie I i II wieku zostały one wydobyte z zapomnienia. W tym okresie założone przez niego gminy opowiadały się jedna po drugiej na rzecz jerozolimskiej judaistycznej odmiany chrześcijaństwa, a w Italii, gdzie osiedliło się mnóstwo żydowskich wyznawców Jezusa, istniała silna opozycja wobec jego nauki.

Pod wpływem paulinizmu autor Ewangeliu Marka w wielkiej dramatycznej narracji usiłuje wykazać, że Jezus, wysłanie Boga, wziął na siebie cierpienie i śmierć dobrowolnie, by odkupić grzechy świata. A właśnie pojęcie „śmierci zastępczej” pojawia się w teologii Pawła. W ten sposób udzielono odpowiedzi tym wszystkim, którzy zadawali sobie niepokojące pytanie, jak to było możliwe, że Mesjasz i Syn Boży doznał tylu upokorzeń i zginął haniebną śmiercią na krzyżu. Pelen wymowy jest przy tym fakt, że Ewangeliu Marka nie jest jeszcze wyraźnie zarysowana idea zmartwychwstania. Z tekstu oryginalnego dowiadujemy się jedynie tylko, że Jezusa w grobie nie ma i że na on spotkać się z uczniami w Galilei. To wszystko! Cały bowiem końcowy wstęp zawierający relację o zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu wszyscy bez wyjątku uczeni zgodnie uznali za interpolację, włączoną do pierwotnego tekstu przez kogoś innego znacznie później, co nawiasem mówiąc jest jednym dowodem więcej, że ewangelia ta ma charakter kompilacyjny.

Dodatkowy argument przeciwko tezie głoszącej, że autor ewangelii był sekretarzem Piotra i wyraziцеlem jego myśli, to jego bardzo zastanawiający stosunek do apostołów. A stosunek ów jest tego rodzaju, że Mateusz, który przecież z Ewangeliu Marka czerpał pełną garścią, uważał za konieczne poddać ją korekcie i charakterystykę apostołów podaną przez Marka łagodzi i tuszuje. Zaparcie się i zaśość Piotra na dziedzińcu Sanhedrynu jest wprawdzie przedstawiona u Marka jako głęboko przejmująca tragedia osobista apostoła, niemniej uwydatniona została w tej wstrząsającej scenie także słabość jego charakteru. Uderzające jest ponadto jeszcze to, że apostołowie odstępają Jezusa na Górze Oliwnej i od tej chwili już więcej nie pojawiają się na scenie wydarzeń. Nie odważyli się stanąć pod krzyżem, gdy ich ukochany Mistrz konał, o ciało zmarłego zatroszczył się postronny człowiek, Józef z Arymatei, a z wonnościami do grobu przybyły jedynie tylko kobiety, które za życia mu służyły. Ta rażąca nieobecność poniekad sprawia wrażenie świadomego, milczącego oskarżenia: Jezus umiera w opuszczeniu wśród obcych, obojętnych ludzi, pozostawiony własnemu losowi nawet przez najbliższych towarzyszy.

W Ewangeliu Marka Jezus jest Mesjaszem, ale uczniowie, mimo dowodów jego nadprzyrodzonej potęgi, nie wiedzieli o tym. A nie wiedzieli dlatego, że Jezus im się nie objawiał jako Mesjasz. Autor, stawiający sprawę w ten sposób, wpada w dość paradoksalną sytuację. Nie mógł bowiem rozwinąć przed czytelnikami swojej doktryny bez ujawnienia im tego, co przecież pozostało tajemnicą dla uczniów Jezusa. Toteż w rezultacie autor ewangelii i my, jego czytelnicy, wiemy więcej o Jezusie, niż jego najbliżsi uczniowie. W ten sposób obraz apostołów nie wypadł zbyt poehlbnie: wydają się oni w tej wersji ludźmi

nierzogarniętymi i małego ducha, którzy zgola nie dorosli do czekającego ich zadania. Wydaje się rzeczą wykluczoną, by tak krytyczny osąd roli apostołów w życiu Jezusa, a szczególnie w dramacie pasyjnym, mógł sugerować Piotr swemu sekretarzowi. Raczej należy przypuszczać, że ocena ta jest odgósem rozdziewków, jakie w tych czasach istniały między zwolennikami paulinizmu a przedstawicielami tradycyjnego, z judaizmem związanego chrześcijaństwa, między nauką Pawła a nauką ogłoszoną przez bezpośrednich spadkobierców apostołów. Oczywiście nie potrafimy już dzisiaj stwierdzić, czy ta wersja o roli apostołów była tendencyjna, czy też odpowiadała prawdzie. Można jednak przypuszczać, że autor Ewangelii Marka świadomie angażuje się w tym sporze, a zatem, że był zwolennikiem Pawła. Powiada się przeciw jednoznacznie w innych sporach, które za jego czasów były aktualne. Jak to już mieliśmy okazję zaznaczyć poprzednio, faryzeusze, rozproszeni po świecie na skutek klęsk w Palestynie, uważali za swój obowiązek ratować to, co się dało z judaizmu. Szczególnie namietnie zwalczali chrześcijaństwo jako sektę renegeatów i odszczepieńców, stanowiących dla żydostwa największe niebezpieczeństwo. Ta pełna zawziętości walka polemiczna między gminami chrześcijańskimi a faryzeuszami znalazła również odbicie w Ewangelii według Marka. Autor bierze w tej walce bezpośredni udział i nie owija w bawełnę, co myśli o faryzeuszach. Piętnuje ich jako układnych świętoszków, którzy intrygami i matactwem sprowadzili zgubę na Jezusa. Ten polemiczny element doszedł do głosu również w stosunku do sekty joanitów, która Jana Chrzciciela czciła jako Mesjasza i bynajmniej nie przyznawała, że jest on tylko prekursorem zapowiadającym pojawienie się Jezusa, że jest on owym Eliaszem z proroców biblijnych, który miał wrócić na ziemię, by utworzyć drogę prawdziwemu Mesjaszowi. Autor ewangelii usiłuje zwolennikom tej sekty udowodnić, że nie mają racji, a czyni to wkładając w usta Jana Chrzciciela następujące słowa, rzekomo przezeń wypowiedziane: „Idzie za mną mocniejszy, niż ja, któremu nie jestem godzin, padłszy na ziemię, rozwiązać rzemyka i sandałów jego”. Argumenty badaczy biblijnych, podane tu oczywiście w dużym skrócie, pozwalają nam sformułować wnioski:

- 1) Nawet gdyby Marek był sekretarzem Piotra, to jednak nie mógł on być autorem ewangelii występującej pod jego imieniem.
- 2) Właściwy autor tej ewangelii nie jest nam znany.
- 3) Mniej więcej w II wieku bezimienną ewangeliję przypisano Markowi ze względu na to, że powstała ona w Rzymie, a więc w tym samym mieście, gdzie według tradycji Piotr miał przebywać i przekazywać swoje treści sekretarzowi, niejakemu Markowi. Było rzeczą nieuniknioną, że te dwa fakty, mianowicie powstanie ewangelii w Rzymie i przebywanie tam Piotra z sekretarzem logicznie ze sobą powiązano.
- 4) Wiemy już, że Ewangelia według Marka jest kompilacją opartą na rozmaitych źródłach, nie jest więc wykluczone, że włączono do jej tekstu pewne składniki pochodzące tradycyjnie wprost od Piotra i przekazane nam za pośrednictwem Marka. Trzeba tu jednak na końcu zaznaczyć, że wnioski te mają wartość tylko względną, gdyż, jak to później zobaczymy, wielu uczonych nawet pobyt św. Piotra w Rzymie poczytuje za legendę. Ewangelia według Marka całkowicie przemilcza narodziny Jezusa i Jana Chrzciciela oraz towarzyszące im zjawiska nadprzyrodzone, opowiadane w tak urzekający sposób przez Mateusza, a szczególnie przez Łukasza. Dowód, że ta mieniąca się wszystkim blaskami, typowa baśń ludowa, wysnuta z radosnego zachwytu ludzi prostych, jest późniejszej daty i nie była jeszcze znana w Rzymie, kiedy domniemywanemu Markowi pisał swoją teologiczną rozprawę. Trudno bowiem przypuszczać, że nie skorzystałby z niej, gdyby ją znał naprawdę. Przecież z łatwością dostrzegłby jej przydatność, skoro cały jego wysiłek zmierzal do tego, by wykazać boskość Jezusa. Wymienia on aż dwadzieścia dokonanych przezeń cudów, które odbiły się szerokim echem po całej Galilei, Idumei, Syrii i Judei. Ewangelia Marka nie jest dziełem biegłego w rzemiołach literackim pisarza. Język jest prosty, nieogładzony, nawet miejscami surowy i szorstki, a ubożuchny zasób słownictwa greckiego świadczy raczej o miernym wykształceniu autora. Jeżeli chodzi o kompozycję całości, to i pod tym względem ocena musi wypaść negatywnie. Struktura narracyjna jest tak luźna i dowolna, że właściwie jest to zlepek nie powiązanych ze sobą epizodów. Chronologiczna sekwencja tych incydentów zaznaczona jest tylko w sposób dość mechaniczny takimi słowami, jak: „a potem” lub też „a potem zdarzyło się, że...”. Opisy niektórych wydarzeń są rzucane na papier w sposób niedbaly i nie przemyślany. Tak np. czytając historię wskrzeszenia córki Jaira, dopiero na końcu dowiadujemy się, że jest to dwunastoletnie dziewczątka, autor po prostu w ostatniej chwili przypomniał sobie ten ważny szczegół i najwyżej widać dołączył go do końca opowieści. Jakże inaczej pod względem literackim wygląda to samo wydarzenie w przedstawieniu Łukasza!

Ten brak koncepcji kompozycyjnej sprawił, że w układzie materiału istnieją drastyczne dysproporcje: prawie jedna trzecia narracji poświęcona jest wyda-

zeniem, które nastąpiły w tygodniu przed ukrzyżowaniem. A jednak wśród wszystkich ewangelii właśnie Ewangelia Marka sprawia najgłębsze wrażenie. Tym bowiem zwiększył, surowym, pełnym prostoty stylem posługiwał się człowiek przesiąknięty uczuciem szczerą, żarliwą wiary. Za pomocą tych skąpych środków potrafił wyrazić ból, uwielbienie i bojaźń, dziecinna radość i zdumienie z powodu cudów Jezusa, będących dlań najbardziej przekonującym dowodem jego boskości. Ma przy tym zwyłą wyobraźnię; wszystko, co opisuje, tętni najprawdziwszym życiem. Krótko mówiąc, mamy tu do czynienia z samorodnym, utalentowanym narratorem wierzącym głęboko w to, co pisze. Ewangelia Marka jest w Nowym Testamencie najkrótszą ewangeliją. Na skutek tej kondensacji treści żywot Jezusa, od chrztu aż do śmierci na krzyżu i opuszczenia grobu, przedstawiony jest jakby w dużych skrótach i podają do ostatecznego dramatycznego rozwiązania w tempie wręcz oszalałym. Również potok rozwijającej się akcji ma w sobie coś nieręczystego, z drugiej strony wydajnia jednak w sposób wzruszający dramatyczność wydarzeń, ich wysublimowaną, wszechogarniającą symbolikę. Względem ewangelia ta zawsze była i jest dziełem ze szlachetnym miar fascynującym.

ŁUKASZ, WIERNY TOWARZYSZ PAWŁA

O autorze trzeciej z kolei ewangelii mamy daleko więcej konkretnych wiadomości niż o pozostałych ewangelistach. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był on obywatelem Antiochii narodowości greckiej, który jak wielu innych spośród jego rodaków przeszedł na wiarę chrześcijańską. Na imię miał Lukios, ale współwyznawcy nazwali go Lukas. Niektórzy historycy domyślają się, że był wywołanem obdarowanym wolnością przez jakąś zamożną rodzinę antiocheńską. Z zawodu był lekarzem, ale tradycja utrzymuje, że uprawiał ponadto artystyczne malarstwo i znalazł się nieźle na prawie. Antiochia należała wówczas do najważniejszych ośrodków kultury greckiej i hellenistycznych kultów religijnych. W tym ogromnym, błyskotliwym mieście powstała jedna z największych gmin nowego wyznania, która odegrała nie byle jaką rolę w kształtowaniu chrześcijaństwa. Łukasze, wychowany i wykształcony w duchu kultury greckiej, z chwilą nawrócenia stał się wyznawcą pełnym żarliwej wiary i głębokich przekonań, wrazliwym na wszystko, co w chrześcijaństwie tchnęło ludzką prawdą, poezją i baśnią cudownością.

W Antiochii bywał często Paweł. Łukasze od razu przyłączył do tego Żyda z Tarsu o niepozornej powierzchowności, który oszalał i usiadł swoją płomienną i pełną żaru inteligencją. Brał więc udział w wielu jego podrózkach misyjnych, a gdy chwycił za pióro, okazało się, jak wielką była jego zależność ideowa od przyjaciela. Występuje to na jaw do tego stopnia, że niektórzy pisarze kościelni, jak Ireneusz i Jan Chryzostom, nie wahał się nazwać trzeciej ewangelii dziełem Pawła. Łukasze, jak wiadomo, napisał również Dzieje Apostolskie, poświęcone głównie działalności Pawła oraz historii wczesnego chrześcijaństwa. Niektórzy bibliści wyrazili wątpliwość, czy Łukasze istotnie był autorem ewangelii, między innymi dlatego, ponieważ według ich mniemania powstała ona dopiero w początkach II wieku. Ten skrajny pogląd nie znalazł jednak na ogół aprobaty i dlatego nie będziemy się nim bliżej zajmowali. Jak należy trzecią ewangeliję datować? Ponieważ rozdział 21 zawiera echo zbурzenia Jerozolimy, nie mogła ona powstać przed 70 r. Zatem, kiedy po tej pamiętnej katastrofie? Jesteśmy w tym wyjątkowo położeniu, że możemy odpowiedzieć na to pytanie w sposób raczej przekonujący. Otóż w tekście spotykamy się również z aluzjami odnoszącymi się niechybnie do przesładoń za panowania cesarza Domicjana. Z drugiej strony uderza w ewangelii brak jakiegokolwiek wzmianki o listach Pawła, mimo że we wstępie mowa jest o źródłach dotyczących żywota Jezusa. Domicjan panował w latach 81 - 96, listy Pawła zaś poszły na dłuższy czas, jak to już wiemy, w zapomnienie i pojawiły się na nowo w obiegu dopiero w 95 r. Wniosek jest jasny: trzecia ewangelia musiała powstać nie później niż w 95 r. Mięło już wtedy więcej niż ćwierć wieku od czasu, kiedy Paweł został więziony (64 lub 67). Autor ewangelii, Łukasze, był już wówczas z pewnością człowiekiem dojrzałym i doświadczonym w latach.

Chcąc zrozumieć Łukasza, należy uświadomić sobie, jaki cel przysięwał mu przy pisaniu ewangelii. Były to czasy, kiedy chrześcijaństwo uchodziło za imperium rzymskim za przestępstwo, ponieważ jego wyznawcy przeważnie nie chcieli oddawać nakazanej przez cenci boskiej cesarstwu. Wszelako przesładowania, w wyjątkiem krwawych ekscesów Nerona, miały raczej charakter sporadyczny. Nasiliły się one dopiero za panowania Domicjana. Chrześcijan skazywano na wygnanie do odległych miejsc i konfiskowano im majątki. Łukasze podjął się bardzo trudnego zadania: usiłował udowodnić, że chrześcijanie nie są bynajmniej wrogami państwa, a jako dowód podaje między innymi to, że już Piłat doszedł do przekonania, iż Jezus był człowiekiem niewinnym i dla imperium nieszkodliwym. Jeżeli istnieje jakieś nieporozumienie co do roli Jezusa, to według jego mniemania winni są temu Żydzi, którzy

skazali go na ukrzyżowanie jak pospolitego przestępcę. Zgodnie z tym apologetycznym zamierzeniem przedstawia on także naukę i działalność Jezusa. Chrześcijaństwo w jego wersji nie jest jakąś hermetyczną sektą żydowską, lecz ma charakter uniwersalistyczny. Jezus jest dobroczynnym lekarzem i nauczycielem, który plonie miłością do całego rodzaju ludzkiego, przynosząc mu ulgę w cierpieniach i odkupienie z grzechu pierworodnego. Dla uwidacznienia uniwersalistycznego charakteru Jezusa Chrystusa Łukasze wywodzą jego genealogię od praojca ludzkości Adama, a nie tylko od Abrahama, jak to czyni Mateusz. Symeon, ujrząwszy dziecko Jezus w świątyni jerozolimskiej, wita je jako przyszłego zbawiciela „całej ludzkości” (Lk. 2, 25). Ale już Jan Chrzciciel gani ciasny partykularizm żydowski, a Jezus dwukrotnie podkreśla, że będzie cierpił i zmartwychwstanie dla dobra wszystkich narodów świata (Lk. 13, 24; 24, 47).

Jezus Łukasza jest to postacią pełną niezmiernego miłosierdzia dla ludzi nieszczęśliwych i upodlegzonych przez los, a jednocześnie bezkompromisowa wobec tych, którzy swoim bogactwem wywyższają się chępliwie ponad innych. Przypowieści o dobrym Samarytaninie, o synu mamrotnym i darowaniu win jawnożeszniczy uczyły wiele pokolenia miłości bliźniego, miłosierdzia i pokory. Inne znnowo przypowieści, w szczególności o bogaczu i Lazarzu, o bogatym młodzieńcu czy o groszu wdowim, a także wydarzenia, takie jak wypędzenie przekupniów z świątyni, przedstawiają Jezusa jako żarliwego przyjaciela ubogich i surowego sędziego uprzywilejowanych, słowem, jako człowieka wyrażającego radykalne poglądy społeczne. Łukasze nie zapomina jednak o ostatecznym apologetycznym celu swojej ewangelii: w jego relacji zapowiadane Królestwo Boże nie miało być z tego świata, lecz pojawi się w postaci odrodzenia duchowego ludzkości. Tym samym odiera zarzut, jakoby chrześcijaństwo dążyło do obalenia imperium i stworzenia swego własnego świeckiego państwa. Jezus powiada: „Królestwo Boże nie nadejdzie dostrzegalnie. Ani też powieźdzą: Oto tu jest albo tam. Oto bowiem królestwo Boże w was jest” (Lk. 17, 20-21). Równocześnie w sentencji „Oddajcie tedy, co jest cesarskie cesarzowi, a co jest Bożego Bogu” Jezus Łukasza wyraźnie zaznacza postawę lojalności w stosunku do imperium rzymskiego.

Czytając Ewangeliję Łukasza zauważamy w niej dwie zasadnicze tendencje, rywalizujące ze sobą o przewagę. Z jednej strony głęboko w tkance narracji osadzone wątek polemiczny, a z drugiej strony emocjonalny stosunek autora do opisywanych wydarzeń, stosunek nacechowany uczuciowością, liryzmem i wielką tkliwością dla boskiego Mistrza. Namalowana przezeń postać Jezusa chwytła za serce gołębią dobrocią i łagodnością; naucza on i uzdrawia ludzi kierując się głównie miłością bliźniego i miłosierdziem. W konsekwencji trzecia ewangelia wyróżnia się atmosferą pełną czułości, delikatności i wyrozumiałości dla słabości ludzkich. W tym przepełnionym miłością ludzi świecie nawet kobiety i dzieci mają swoje miejsce. W przesłanicznej opowieści o Marii i Marcie Jezus przyrówna kobietom prawo do życia duchowego, a gdy uczniowie nie chcieli dopuścić dzieci do Jezusa, wypowiada on pamiętne słowa pełne wstrząsającego ciepła: „Dopuszczenie dzieciom przychodzić do mnie, a nie wzbraniać im: takich jest bowiem królestwo Boże” (18, 16). Jest to więc ewangelia ubogich i pokrzywdzonych przez los, ludzi dobrej woli, którzy łatwiej niż inni dostąpią łaski Królestwa Bożego. Równocześnie jednak jest to ostrzeżenie skierowane do bogaczy, wyrażone w epigramatycznej wypowiedzi Jezusa: „Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wnieść do królestwa Bożego” (18, 25). Bibliści zazwyczaj nazywają Ewangeliję Łukasza najbardziej poetyczną i artystyczną ewangeliją Nowego Testamentu. Jest w tym określeniu dużo słuszności. Dzięki zamianowaniu autora do poezji zachowały się do naszych czasów wczesnochrześcijańskie hymny, których nie ma w innych ewangeliach, a które stały się prawdziwą ozdobą chrześcijaństwa. Chodzi tu głównie o kantyki Najświętszej Marii Panny Magnificat, oraz o kantyki Zachariasza i Symeona. Szuka kościelna wiele zadowolęca tym żarliwym wyrzuceniem religijnym; hymny „Magnificat” i „Benedictus” były w ciągu wieków inspiracją twórczą dla wielu kompozytorów i poetów. Podczas gdy Marek nie znalazł nawet imienia matki Jezusa, Łukasze dał początek kultowi Najświętszej Marii Panny i tym samym przyczynił się niemało do powstania mariologii, która wywarła przemożny wpływ na dogmatykę i liturgię Kościoła. Inklinacja poetyckimi można poniekąd wytłumaczyć sobie owe psychologicznie paradoksalne zjawisko, że Łukasze, chyba najbardziej wykształcony wśród ewangelistów, nagromadził w swoich przekazach o narodzinach dziecka Jezus więcej elementów cudowności niż jego poprzednicy. Do pewnego stopnia musimy oczywiście położyć to na karb procesu mitologizacji Jezusa, procesu, który wówczas już posunął się dalej niż za czasów Marka i Mateusza. Ale sam fakt deifikacji zgola nie wyjaśnia nam, dlaczego Łukasze tak bezkrytycznie wcielił do swojej ewangelii te rozbrajające naiwne, przez prostactwo kolportowane pogłoski, owe podawane z ust do ust, typowo ludowe, uroczne baśnie, w których dzieją się dziwne nad zjawami. Archanioł Gabriel

zwiastuje narodziny Jana Chrzciciela i Jezusa, a potem także pasterzom iść do Betlejem. Gdy ruszyli w drogę, „zastępy wojsk niebieskich” głoszą chwałę Boga i wołają: „Chwała na wysokościach Boga, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”. Na widok ciężarnej Marii w łonie Elżbiety skoczyły z radości dzieciątka; przyszła matka Jana Chrzciciela zawałowała wówczas: „Błogosławiona ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota twojego”.

Gdy przypomnimy sobie te czarodziejskie sceny, pełne chwytającej za serce prostoty, radosnych uniesień i światłości niebieskiej, gdy słyszemy hymny Marii i Zachariasza, jak też rozlegające się w przestworzach pienia anielskie - zaczynamy rozumieć Łukasza. Wydaje się bowiem, że nie tylko poetycka wrażliwość na urodę tych ludowych baśni dopełnęła mu myśl, by wcielić je w biografie Jezusa. Wyczuł on także nieomylnym instynktem, ile radości, poczucia i nadziei przyniosą te proste opowieści liczny pokoleniom smutnych i udręczonych ludzi. Dostrzegając ich wagę dla chrześcijaństwa, niejako zalegalizował jej swoim autorytetem i nadał im sankcję prawdy historycznej. Tego rodzaju przypuszczenia nie wydają nam się bynajmniej przesadne, jeżeli zdamy sobie sprawę z tego, że Łukasze był świadomym swego rzemiosła propagandzistą. Występując w obronie religii chrześcijańskiej posługiwał się nader zręcznie odpowiednio dobraną przypowieścią, anegdotą i przykładami wziętymi na gorąco z życia. Wystarczy tu tylko wskazać na charakterystyczną postawę Piłata: w Ewangelii Łukasza próbuje on trzykrotnie ratować Jezusa przed zawziętością żydowskiego motłochu. Autor pragnął w ten sposób podkreślić, że nawet najwyższe przedstawiciel władzy rzymskiej w Jerozolimie nie miał przeciwko założycielowi nowej religii, a także chciał się odciąć od Żydów, których często mylił z wyznawcami Chrystusa. Łukasze wtopił w swój tekst prawie całą Ewangeliję Marka, tak że przejęty w ten sposób materiał stanowi mniej więcej jedną trzecią części jego ewangelii. Dokonywał jednak na tym zapożyczonym materiale pewnych zgola wymownych zabiegów, które jeszcze wyraźniej pozwalają odczytać jego intencje. Przede wszystkim więc wygładza surowy styl Marka i usuwa wszystko, co swoją naiwnością i niedorzecznościami mogłoby nastawić sceptycznie ludzi bardziej wyrobionych umysłowo. Ot choćby sławetny incydent z drzewem figowym. Pisaliśmy już o tym, jak owa opowieść Marka Mateusza usiłuje uczynić możliwą do przyjęcia przez proste usuniecie słów „bo nie była to przora na figi”. Ale Łukasze w ogóle pomija milczeniem całą opowieść; zapewne raziła go absurdalność i chyba przez prostaków puszczona w obieg pogłoska, jakoby Jezus mógł obłobyć kłąwą Bogu ducha winne drzewo figowe. Ten niepoehlebny obraz Jezusa, występującego w roli poryczonego w gniewie i niesprawiedliwego czarownika, był głęboko sprzeczny z koncepcją, jaką Łukasze stara się wpoić czytelnikom. Przecież poprawiając Marka, w większym jeszcze stopniu niż Mateusz zgładził, wyidealizował i wyszlachetlił portret Jezusa, a nawet także jego uczniów. Odpowiadało to nie tylko jego kulturze umysłowej, wykształceniu i wyższemu pojęciu moralnemu, ale jednocześnie służyło mu w przewodnim dążeniu, by zadać klam oszczercom i pozyskać dla chrześcijaństwa ludzi dobrej woli ze świata grecko-rzymskiego.

Z tekstu ewangelii wynika z całą pewnością, że Łukasze był człowiekiem odcytanym w literaturze grecko-rzymskiej. Znalł mied w tych czasach konwencje literackie i zgodnie z ich nakazami zapoatrjuje swoje dzieło w przedmowie, w której pokrótce wspomina o źródłach i celach swojej rozprawy, a nadto poprzedza ją zwyciężającą dedykacją, skierowaną pod adresem jakiegoś „dostojnego Teofila”, o którym nawiasem mówiąc nie wiemy, czy był jego protektorem czy przyjacielem. Są to jednak cechy zewnętrzne wchodzące w zakres techniki i etykiety literackiej. Nierównie większą wagę ma dla nas to, że Łukasze był pisarzem z prawdziwego zdarzenia, posiadającym kulturę słowa i znajomość swego rzemiosła. Styl, jakim się posługuje, jest pełen umiaru i dostojności, słownictwo bogate, konstrukcja zdań zrównoważona i bezbłędna, formy gramatyczne zawsze staranne, składnia płynąca naturalnie i rytmicznie. Jest on ponadto utalentowanym narratorem. Sceny z życia Jezusa są pełne dramatycznego napięcia, ruchu i plastyki, a występujące w nich osoby tak wyraziste w charakterystyce, że na zawsze zapisały się w pamięci pokoleń. Na porparcie tej oceny można by zacytować mnóstwo przykładów z ewangelii, poprzestajmy jednak na przytoczeniu sławnej sceny przemienienia Chrystusa (9, 28-36). Wystarczy przeczytać ją na głos, by zdać sobie sprawę, jak wyborem pisarzem i artystą był Łukasze.

Łukasze uważał się jednak przede wszystkim za historyka. On jeden wśród ewangelistów próbował żywot Jezusa powiązać chronologicznie z dziejami imperium rzymskiego i w ten sposób podbudować swoją relację konkretnymi datami. Mimo że ścisłość w ustalaniu tych chronologicznych współzależności jest czasami, jak się później przekonamy, raczej wątpliwa, nie można Łukaszkowi odmówić pewnych osiągnięć w tej dziedzinie. On jeden wprowadza do Nowego Testamentu nakazany przez Kwiryniusza spis ludności i wymienia po imieniu cesarzy rzymskich. Posłużył się jednym przykładem, by ocenić jego metodę. Oto rokodni trzeci rozpoczyna

się następującym zdaniem: „Roku piętnastego panowania Tyberiusza, gdy Piłat Poncjusz zarządzał Judeą, a Herod był tetrarchą Galilei, a Filip, brat jego, tetrarchą Iturei i krainy Trachonickiej, gdy Lizaniasz był tetrarchą Abileny, za najwzrostszych kapłanów Annasza i Kajfasza, stało się słowo Pańskie do Jana, Zachariaszowego syna na pustyni”. Piętnasty rok panowania Tyberiusza przypada na 29 r. n.e. Poncjusz Piłat był prokuratorem Judei w latach 26-36 n.e. Annasz i Kajfasz piastowali kolejno godność arcykapłana od 6 do 36 r. n.e., a także mniej więcej ty tych samych czasach panowali wymienieni tetrarchowie Herod Antypas, Filip i Lizaniasz. Widzimy więc, jak przydatne są te informacje w ustaleniu chronologii Nowego Testamentu.

Pisaliśmy już o tym, że ewangelie kazały dość długo bezimiennie i dopiero później zostały przypisane określonym autorom. Dotyczy to oczywiście również Łukasza. Ale w tym wypadku uważać to należy za fakt zastanawiający. Wiemy przecież, że ewangelia ta jest wzorowana na literaturze klasycznej wraz ze wszystkimi jej regułami i konwencjami. Toteż trudno jakos pogodzić się z przypuszczeniem, by Łukasz miał zlekceważyć jedną z głównych zasad tej literatury, według której każde dzieło literackie musiało nosić tytuł i nazwisko autora, obojętnie czy prawdziwe, czy przybrane.

Jaką zatem mamy pewność, że autorem ewangelii jest właśnie ów Łukasz, który był Grekiem i lekarzem, a przede wszystkim towarzyszem podróży Pawła? Są bibliści, którzy wyrażają różne pod tym względem wątpliwości. Oto niektóre argumenty w tej sprawie, oparte na analizie tekstu ewangelii.

A więc przede wszystkim badania te potwierdziły w całej pełni tradycję, że autor był lekarzem narodowości greckiej. W tekście bowiem wykryto mnóstwo terminów medycznych, zgodnych z terminologią takich starożytnych lekarzy, jak Hipokrates, Dioskurides czy później Zyzyjusz Galen. Autor widać był z tą terminologią obeznany, tak jak tylko zawodowy medyk mógł być obeznany. Ponadto ustalono bez większej trudności, że ewangelie napisał Grek z myślą o czytelnikach, którzy nie byli Żydami. Oto jeden z dowodów na poparcie tej tezy: w innych ewangeliach występują terminy aramejskie, siłą rzeczy zrozumiałe tylko dla Żydów. Mimo że podano je w zhellinizowanej transkrypcji fonetycznej, Łukasz zdawał sobie sprawę z tego, że trzeba je przełożyć na odpowiednie terminy greckie, by stały się zrozumiałe dla czytelników pochodzenia niezydowskiego. Tak więc na miejscu terminu „rabbi” czytamy u niego „epistates”. Zamiast „Golgoty” - po aramejsku „Gulgulta”, co znaczy „czaszka”, mamy grecki odpowiednik „Kranion”. Następnie przelożono nazwę na łacińskiś „Calvaria”, skąd oczywiście pochodzi polska „Kalwaria”. Łukasz, powtarzamy, uważał siebie przede wszystkim za historyka. Jak wyglądały jego szanse sprowadzenia tym ambicjom? Czy miał do dyspozycji źródła, skąd mógłby czerpać wiadomości z pierwszeń ręki?

Wiemy, że Paweł, którego był wiernym towarzyszem, może nawet przyjacielem, nie znał Jezusa osobiście. Nie znaćy to jednak, by nie konkretnego nie wiedział o jego życiu. Przecież w Jeruzolmie i Antiochii spotykał się z Piotrem, a przede wszystkim z najbliższą rodziną Jezusa. Od nich musiał chyba dowiedzieć się dużo ciekawych szczegółów; na pewno sam ich o te szczegóły indagował. Trudno wyobrazić sobie, by tych zasłyszanych wiadomości nie powtarzał swemu towarzyszowi Łukasowski, który zresztą ze swej strony miał okazję osobiście rozmawiać z Piotrem i z wielu innymi naoznamymi świadkami. W Antiochii bowiem, w jednym z najwzrostniejszych ośrodków chrześcijaństwa, osiedliło się mnóstwo uchodźców z Jeruzolimy, a założycielem gminy był Barnaba, wysłaniec apostołów i być może jeden z uczniów Jezusa. Biorąc pod uwagę te wszystkie ewentualności dochodzimy do wniosku, że Łukasz miał dane po temu, by napisać oryginalną biografię Jezusa, opartą na własnych źródłowych poszukiwaniach. Czy znalazło to wyraz w jego ewangelii?

Łukasz, jak to wynika ze wstępu, znał i wykorzystał „opisy zdarzeń”, które już wówczas istniały. Jako historyk miał oczywiście prawo to zrobić i nie byłoby w tym nic złego, gdyby te zapożyczenia miały jedynie tylko charakter uzupełniających przyczynków. Rzecz jednak w tym, że jego ewangelii nie możemy uznać za pracę samodzielną, opartą na osobistych poszukiwaniach. Jest to raczej typowa kompilacja, której części składowe pochodzą prawie wyłącznie z drugiej ręki. Wiemy już, jak gruntownie Łukasz wyeksplodował Ewangelię Marka. Czerpał on jednak pełną ręką z innych jeszcze źródeł, mających wartość raczej tylko wtórną. Jedno z tych źródeł, oznakowane przez naukę litera „Q”, dotyczy wspomnianych już przez nas „logiów”, czyli prawnymi czy rzekomymi wypowiedzi Jezusa, kolportowanych w gminach chrześcijańskich przez wiernych wyznawców i wędrownych kaznodziejów. Jak skrzętnie Łukasz je zbierał i wieciał w wątek narracji, świadczy to, że jedną obliczeń badaczy biblijnych zajmują one aż jedną piątą jego ewangelii. Trzecie źródło występuje pod litera „L”, czyli pod inicjałem Łukasza (Lucas), ponieważ materiał pochodzący z tego źródła wyłącznie tylko w jego ewangelii się znajduje. Składają się na nie pewne szczegóły wzbogacające opisy Pasi i Rezurekcji, a sięgające rodowodem do jakichś tradycji palestyńskich.

Wreszcie trzeba wymienić na tym miejscu, już poprzednio przez nas skomentowany, folklor dotyczący cudownych narodzin Jezusa i Jana Chrzciciela. Łukasz, jak wiemy, poznał się na psychologicznych i dydaktycznych walorach tych urzekających opowieści i bez wahania włączył je do biografii Jezusa.

Jak widzimy, zależność od obcych źródeł jest tu doprawdy uderzająca i wobec tego należy zapytać, czy autorem jest ten Łukasz, który był towarzyszem Pawła. Przecież nasz Łukasz nie miał potrzeby aż w takim stopniu uciekać się do pomocy cudzych opracowań, skoro pozostawał w bliskim kontakcie z protagonistami chrześcijaństwa oraz z innymi naoznamymi świadkami, którzy mogli mu udzielić wiadomości z pierwszej ręki. Odnosimy jednak wrażenie, że autor Ewangelii Łukasza nie miał tych powiazań i dlatego był zdany całkowicie na to, co zdołał zebrać od innych.

Nowe, wiele zaskakujące odkrycia w dziedzinie badań filologicznych bynajmniej tych wątpliwości nie rozprószyły. Okazało się bowiem, że autor, nazwany ex post imieniem Łukasza, nie gardził beletryzacją, gdy zabrakło mu źródłowych przekazów, a brak informacji można było zastąpić tylko poszukując wodze własnej wyobraźni. Wtedy brał w nim górę literat nad historykiem. Tak przynajmniej utrzymują niektórzy badacze.

Spróbujmy przeprowadzić w dużym skrócie rekapitulację ich dociekań. Uważnym czytelnikom znany jest zastanawiający fakt, że ewangelie solidarnie pomijają milczeniem lata dzieciństwa, młodości i wieku męskiego Jezusa. Przemiłczają zatem prawie całe jego życie, gdyż opisywana przez nich działalność misyjna, zakończona tragicznym wydarzeniem w Jeruzolmie, obejmuje zaledwie jeden rok, czy też - jeżeli wierzyć Ewangelii Jana - trzy lata. Dla ogromnych rzesz wyznawców, odnoszących się z głęboką miłością do Jezusa i złączonych wszystkim, cokolwiek dotyczyło jego życia, próżnia ta była nie do zniesienia. Zaczęto ją wypielniać fantazją; wnet zoroilo się od najróżniejszych opowieści, anegdot i legend, niestety niejednokrotnie żenująco naiwnych, niedorzecznych, a nawet moralnie wątpliwych. Odzwierciedleniem tej wybujałej samorodnej twórczości ludowej jest częściowo apokryficzna, czyli niekanoniczna literatura Nowego Testamentu, której zresztą poświęcimy więcej uwagi w jednym z rozdziałów niniejszej książki.

Łukasz na równi z pozostałymi ewangelistami zdradza ignorancję czy też brak zainteresowania w odniesieniu do przebiegających lat życia Jezusa. Raz tylko wymaluje się z tej wspólnej postawy milczenia. Opowiada mianowicie, jak Łukasz i Jezus, będąc dwunastoletnim pachołkiem, wymknął się podczas pobytu w Jeruzolmie spod opieki rodziców i spotkał się w świątyni uczonych w Piśmie zادیwili ich swoją wiedzą i mądrością.

Rzeczą szczególnie intrygującą jest to, że pozostali ewangelisti o tym tak przecież interesującym epizodzie z życia Jezusa nie wspominają ani słowem. Ponieważ niepodobna przypuszczać, by z jakichś tam powodów mieli świadomie wydrzeżenia te przemilczeć, jeden tylko wniosek jest możliwy: po prostu przygoda dwunastoletniego Jezusa nie była im znana. A zatem znał ją wyłącznie tylko Łukasz. Badaczom biblijnym już od dawna nie dawało spokoju pytanie, skąd Łukasz zacerpnął tę informację, bo nawet w tradycji ustnej nie odnaleziono jej śladu. Az wreszcie na ślad jej pochodzenia wpadł wybitny angielski uczoney i autor kontrowersyjnych książek o Nowym Testamencie - Hugh J. Schonfield. W trakcie docieklivych poszukiwań nasunęło mu się przypuszczenie, że rodowodu anegdoty należy dopatrywać się w dziełach Józefa Flawiusza. W swojej autobiografii zytulowanej Moje życie żydowski historyk chweli się, że jako czternastoletni chłopiec odznaczał się niepowzrednią inteligencją i erudycją. „Mając 14 lat - czytamy w tej autobiografii - cieszyłem się ogólnym uznaniem i powodu mego zamiłowania do nauki, nawet do tego stopnia, że najwzrostsi kapłani i uczeni miasta [Jeruzolimy] bywali u mnie, by poradzić się w różnych zagadnieniach naszego prawa”.

Zacytowana notatka biograficzna według autora tej śmiałej tezy zapewne nasunęła Łukasowski lub jego kopięci myśl, że Jezus musiał być takim samym, cudownym dzieckiem, budzącym podziw swoją wiedzą i mądrością. Wierzył w to z taką mocą, że nie wiaźdzał w tym nic nagannego, by notatkę Flawiusza zaadaptował do biografii Jezusa i wypełnił w ten sposób rządzącą lukę w naszej wiedzy o jego życiu doczesnym. (Sprawa ta wszakże o tyle jest problematyczna, że nie zdołano dotąd ustalić dat dotyczących biografii Flawiusza. Tak np. datę jego śmierci ustalają niektórzy historycy na 117 r. n.e., Encyklopedia Brytyjska na 95 r., natomiast autor świątynnej monografii The World of Josephus Williamson po prostu pisze, że data śmierci Józefa Flawiusza nie jest znana. Istnieje jednak poza tym taka możliwość, że epizod włączył do tekstu Ewangelii Łukasza późniejsi kopięci).

Jeżeli te spekulacje wzięć na serio, mielibyśmy tu do czynienia z typową beletryzacją. Sucha informacja Flawiusza stała się dla Łukasza inspiracją do skomponowania żywej, pełnej napięcia dramatycznej sceny, której akcja rozwija się na tle realiów świątyni jeruzolimskiej. Motyw spotkania z rodzicami jest już jego własnym pomysłem i spełnia

w anegdocie istotne zadanie, gdyż nadaje caemu wydarzeniu głębszy sens doktrynalny. Wypada tu jednak zaznaczyć, że byłaby to beletryzacja szczególnego rodzaju. Motywem jej była nie tyle literacka ambicja popisania się zajmującą anegdotą, co głębokie przeświadczenie, że w ten sposób wydobycy się z zapomnienia szczegół z życia Jezusa, który naprawdę się wydarzył. Wiara w trafność takiej rekonstrukcyjnej metody może wydać nam się dzisiaj raczej dziwna. A jednak we wczesnym okresie chrześcijaństwa stosowano ją nagminnie z tą różnicą, że źródłem, skąd czerpano inspirację do tych rekonstrukcyjnych zabiegów, był, jak to we właściwym czasie zobaczymy, głównie Stark Testament.

Józef Flawiusz według tej śmiałej teorii podsunął Łukasowski inne jeszcze pomysły. Tak np. zdaniem Schonfielda spis ludności nakazany przez rzymskiego namiestnika Syrii, Kwiryniusza, nie wspomniany przez pozostałych ewangelistów, wywodzi się również od Flawiusza. Łukasz wykorzystał tę informację, aby umotywować podróż Marii i Józefa do Betlejem. Ten sam rodowód ma lakoniczna wzmianka o Galilejczykach, „których krew zmieszał Piłat z ofiarami ich” (Lk. 13, 1). Jej sens byłby niezrozumiały, gdybyśmy nie wyczytali w Dawnych dziejach Izraela (18, 111, 2) o rozruchach krwawo stłumionych przez Rzymian, których przyczyną było to, że Piłat na budowę nowego akweduktu dla Jerolimian zabrał skarby ze świątyni. Schonfield wylicza kilka innych jeszcze analogii. Tak np. podobieństwa z odnośnymi fragmentami Flawiusza wskazuje według niego opowieści o uzdrowieniu sługi setnika rzymskiego (Dzieje wojny żydowskiej 2, X, 4 - Lk. 7, 1-10) i o Samaritanach, którzy nie chcieli wpuścić Jezusa do swojej wsi (Dawne dzieje Izraela 20, VI, 1 - Lk. 9, 52-53), a także przypowieść o dziesięciu minach srebra (Dawne dzieje Izraela 18, XI - Lk. 19, 12-37).

Już tylko jako ciekawostkę spekulacyjną warto na zakończenie tego, z konieczności nader zwięzłego przeglądu odkryć w dziedzinie „wpływologii”, wspomnieć to, co podaje jako rewelację; Robert Graves w swojej książce (nie przetłumaczonej na język polski) The Nazarene Gospel Restored (str. 763). Pisarz angielski, znany ze swoich nieraz karmkolomnych acz oryginalnych hipotez, twierdzi ni mniej, ni więcej, że Łukasz zadłużył się u rzymskiego pisarza Lucjusza Apulejusza, autora zaliczanej dziś do klasyki powieści opytającej pt. Metamorfozy albo Złoty Osioł. Jakoż istotnie nie można zaprzeczyć, że w jednym wypadku zbieżność tematyczna w obu tekstach jest widoczna.

Podobnie jak to było z przygoda dwunastoletniego Jezusa w Jeruzolmie, jedynie tylko Łukasz wśród ewangelistów przytacza dość enigmatyczną opowieść o dwu uczniach, którzy w drodze do Emaus spotykają zmartwychstałego Jezusa (Lk. 24, 13-32). Czytamy tam między innymi:

„A oczy ich były przesłonięte, aby go nie poznali. I rzekł do nich: Cóż to są za rozmowy, które idąc prowadzić między sobą, i jesteście smutni. A odpowiadając jeden z nich imieniem Kleofas, rzekł do niego: Czyż ty sam przechodniem w Jeruzolmie, że nie wiesz, co się w niej w tych dniach stało? A on rzekł im: Co? I powiedział mi o Jezusie Nazareńskim, który był prorokiem, potężnym w czynie i w mowie wobec Boga i całego ludu”.

W Złotym Osle jest rzeczywiście uderzająco podobny epizod. Dwaj wędrowcy zdążający do swoich domów rozmawiają z przejęciem o cudzie, który wydarzył się w ich okolicy. Po drodze spotykają obcego podróżnego i dowiadują się od niego, że nie o tym cudzie nie wiedział. Przy pożegnaniu jeden z tubylców powiedział: Jesteś chyba nietutejszy, że nie o tym cudzie nie słyszałeś?

Teza Roberta Gravesa jest oczywiście pociągająca, istnieje jednak pewna trudność, która nie pozwala przyjąć jej bez zastrzeżeń. Gdy mianowicie Łukasz pisał swoją ewangelię, Apulejusza nie było jeszcze na świecie, historycy bowiem wykalkulowali, że urodził się on ok. 130 r. Zatem o bezpośrednim zapożyczeniu nie może być to mowy.

Na rzecz tezy Gravesa, jeżeli oczywiście traktować ją poważnie, można jednak przytoczyć dwie inne ewentualności. Odnie istnieje możliwość, że opis epizodu na drodze do Emaus jest interpolacją, wprowadzoną do tekstu Ewangelii Łukasza pod wpływem Apulejusza przez jednego z późniejszych jej redaktorów lub kopistów. Ten proceder, stosowany wówczas dość często, jest o tyle w naszym wypadku do pomysłienia, że ewangelia ma charakter kompilacji, złożonej z najróżniejszych komponentów, była więc podatna na tego rodzaju zabiegi. Dlaczego jednak ów hipotetyczny kopista miałby wtrącać do tekstu tak bądź co bądź obslowni historię? Wystarczy uważnie przeczytać odpowiedni fragment ewangelii, by zrozumieć, o co mu chodziło. Jest to bowiem wyraźna polemika ze współwyznawcami, którzy niezbyt mocno wierzyli w zmartwychstanie Jezusa (Lk. 24, 25-28).

Drugie przypuszczenie jest do pewnego stopnia bardziej udokumentowane i dlatego może bliźsze prawdy. Okazuje się bowiem, że Złoty Osioł Apulejusza jest przeróbką opowieści greckiego prozaika Lucjusza z Patrea, żyjącego w I wieku n.e., która to opowieść jest z kolei naśladownictwem jednego z milezyjskich opowiadań Arystydosa z I wieku p.n.e. Autor Ewangelii według Łukasza, pisarz grecki i hellenista, znał chyba tych greckich autorów dobrze, gdyż byli oni wówczas ogromnie popularni, a

opisywane przez nich zabawne perypetie młodzieńca zamienionego w osła znane były wszędzie, gdzie mówiono po grecku.

JEZUS JANA EWANGELISTY

Czytając ewangelie Marka, Mateusza i Łukasza, zauważyliśmy bez większego trudu, że wykazują one podobieństwa i analogie w przedstawieniu wydarzeń i w kreśleniu portretu Jezusa, a nawet w stylu i frazeologii narracji. Widać od razu, że łączą je jakiś podobny punkt widzenia na opisywane sprawy, że ich podłożem są informacje pochodzące z identycznych lub co najmniej bardzo do siebie zbliżonych źródeł. Fakt, że niektóre informacje z zakresu biografii Jezusa, podane przez te ewangelie, można było zidentyfikować i zestawić w specjalnych encyklopediach zwanych konkordancjami, nasunął uczonym pomysły, by dla podkreślenia ich powinowactwa nadać tym trzem ewangeliom wspólne miano. W ten sposób do nomenklatury biblistycznej przyblżył termin „ewangelie synoptyczne”, a w odniesieniu do ich autorów - określenie „synoptycy”, słowo wywodzące się z greckiego „synopsis” i zawierające w treści pojęcie: „wspólne spojrzenie”, „wspólny pogąd”.

Co do tych zbieżności, to dziś wiemy już, że nie świadczą one bynajmniej o tym, że są to zeznania wiarogodnych świadków, którzy niezależnie od siebie mieli prawdziwą historię Jezusa. Jest bowiem rzeczą ostatecznie ustaloną, że Mateusz i Łukasz pełną garścią zapożyczyli się u Marka, że jego ewangelie prawie w całości przeszczepili do swojej relacji. Są to więc podobieństwa pozbawione wartości jako dowód prawdy. To tak, jakby przed sądem trzech świadków zeznawalo dokładnie to samo, a potem pokazałoby się, że dwaj świadkowie powtarzali machinalnie to, co im powiedział trzeci świadek. Zaden sąd nie wydałby werdyktu na podstawie takiej zbieżności zeznań.

W dodatku Mateusz i Łukasz przerabiali Marka zależnie od swoich potrzeb, a nadto korzystali jeszcze z innych źródeł. W rezultacie w ich ewangeliach oprócz wymienionych analogii znajdują się także poważne rozbieżności i sprzeczności, twierdzenia nie dające się ze sobą pogodzić. Toteż dzisiaj terminu „ewangelie synoptyczne” używa się w innym znaczeniu, mianowicie dla podkreślenia przeciwstawienia, jaka istnieje między tymi trzema ewangelistami razem wzięwymi a Ewangelią Jana, która różni się od nich całkowicie odrębną relacją, zarówno co do samej postaci Jezusa, jak też jego misji życiowej.

Nawet w dziedzinie nagicznych faktów biograficznych nie ma między nimi zgody. Synoptycy twierdzą, że działalność publiczna Jezusa trwała tylko rok, natomiast z narracji Jana można wnioskować, że swoją misję nauczycielską wykonywał aż przez trzy lata. Synoptycy utrzymują, że Jezus działał głównie w Galilei i Perei, a do Judei i Jeruzolimy wybrał się tylko raz jeden. Była to zarazem jego ostatnia podróż i skończyła się ukrzyżowaniem. Tymczasem w Ewangelii Jana Jezus wędruje tam i z powrotem między Galileją a Jeruzolimą. A więc z tego podstawowych i niebiałych przeciwieństw sprawach, dotyczących żywota ubóstwanego Mistraza, panował w umysłach chrześcijan już w tamtych czasach trudny do wytumaczenia zamęt.

Podobne niezgodności uderzają w chronologii wydarzeń. Według Jana Jezus wypęda przekupniów ze świątyni w zaraniu swej działalności nauczycielskiej, tymczasem u synoptyków dzieje się to prawie na końcu jego kariery, na parę dni przed śmiercią. Nawet tak istotny dla doktryny chrześcijańskiej epizod Ostatniej Wieczerzy nie ma ustalonej daty: u synoptyków przypada on na święto Paschy, u Jana zaś w wigilię tego święta. Różnica zdawałoby się mała, ale jak później zobaczymy, nie pozbawiona pewnego znaczenia.

W Ewangelii Jana spotykamy się z całkowicie odmiennym Jezusem, raczej nie nie mającym wspólnego z Jezusem synoptyków. Różnice są tak drastyczne, tak wybitnie merytoryczne, że mamy prawo zapytać, kto właściwie mówi prawdę. Jeżeli bowiem Marek, Mateusz i Łukasz mówią prawdę, to w takim razie nie może mówić prawdy Jan, no i na odwrót. Zygmunt Poniatowski podaje dwie liczby statystyczne, które ów stan rzeczy wyupuklają dość pogłówno. Otóż Ewangelia Jana tylko w 8 proc. jest identyczna z synoptykami, pozostałe 92 proc. tekstu to wyłącznie jego osobisty wkład do relacji o Jezusie. Jezus ewangelii synoptycznych to postać mocno osadzona w bieżącym życiu, obdarzona wszystkimi cechami człowieka z krwi i kości. Rzadko i zresztą raczej niechętnie mówi o sobie samym i właściwie nigdy nie występuje za kategorię czynie, czy jest Mesjaszem. Jest pod tym względem tak powściągliwy i tajemniczy, że uczniom, którzy wyrazili swoje przekonanie, iż jest Synem Bożym, nakazał milczeć. Jakże odmienny jest Jezus w Ewangelii według Jana! Już Jan Chrzciciel uznał w nim Syna Bożego, któremu nie jest godzien rozwiązać rzemyka u jego sandałów. Gdy urzązł go nadchodząco, rzekł: „Oto Baranek Boży, oto, który głodzi grzechy świata”. Jeden z pierwszych jego uczniów, Natanael, zwrócił się do niego tymi słowy: „Rabbi, tyś jest Synem Bożym, tyś królem izraelskim”. A Jezus bynajmniej nie odstępował się od tych otwarcie przypisywanych mu atrybutów, które wycisnęły go ponad śmiertelników. Na każdym kroku podkreśla swoje

synostwo Boże i nie pozostawia żadnej wątpliwości, kto i po co go przysłał na ziemię. Autor czwartą ewangelii nie ma najmniejszego zainteresowania dla faktów historycznych. Jego niezmiennym dążeniem jest udowodnienie boskości Jezusa, bronienie tej swojej wizji przed zakusami niedowiarków i wyrażenie radości, że Bóg za pośrednictwem swego Syna ofiarowuje ludzkości żywot wieczny. W konsekwencji Jezus Jana niewiele ma wspólnego z historią. W jego interpretacji jest to postać raczej bezcielesna, zjawiskowa, ukryta za tajemniczą zasłoną mistyki. Wybitny francuski biblista, Alfred Loisy, w pracy Czwarta ewangelia (1903) tak oto scharakteryzował ów stan rzeczy: „Autor znał tylko Chrystusa liturgicznego, przedmiot kultu chrześcijaństwa... W tych fragmentach boskiej biografii nie ma żadnego odbicia rzeczywistości...” Krytyka liberalna kwestionuje historyczność postaci Jezusa z Ewangelii Jana. Jej stanowisko w omawianej kwestii tak oto rekapituluje ks. prof. E. Dąbrowski w swej książce Ewangelie, ich powstanie i rodzaj literacki: „Właściwie chodzi w niej... o jakąś mistyczną zjawę, będącą refleksem raczej rozmyślań teologicznych, aniżeli rezultatem trzeźwego do faktów stosunku. Chrystus Jana to jakiś twór metafizyczny, będący produktem filozoficznych poglądów swej epoki, a nie prorok galilejski naucający rzemie i spieszący im w pomoc... u podstaw opisu Jana szukać trzeba nie tyle zdarzeń historycznych, ile poglądów pierwotnej gminy chrześcijańskiej”.

Ów niereczywisty i niehistoryczny Jezus jest oczywiście w wizji Jana postacią na wskroś majestatyczną. Każde słowo, które wypowiedział, jest namaszczone, pełne sakralnego dostojęstwa, podsyte tajemnym znaczeniem i nastrojone na ton nieodwołalnej wyroczni. Jest to postać powołana do fikcyjnego życia jedynie w tym celu, by przez jej usta lansować pewne określone doktryny teologiczne, postać jedynowiarowa, odczłowieczona, w której żelazki zachowały się jakiegoś związku z historią, to tylko w stanie nader szaczkowym.

Kolebką tego Jezusa były mistyczne rojenia ubóstwiających go wyznawców. Toteż, gdy mówi o sobie, wyraża się w enigmatycznych, mistycznie brzmiących metaforach, których sensu nielatwo się domyślić. Czwarta ewangelia jest wręcz naszpikowana tego rodzaju samookreśleniami. Oto niektóre z nich: „jam jest światłość światła”, „jestem bramą dla owiec”, „jam jest pasterz dobry”, „jam jest prawdziwy krzew winny”, „jam jest życie z tego świata”, „jam jest początek” itd. Niepodobna przypuszczać, że ów prosty cieśla z galilejskiego miasteczka, przecież mocnymi węzłami złączony z samorodną wyobraźnią swego ludu, mógł tak celebrować siebie samego. Jest rzeczą jasną, że są to wszystkie wyszukane ozdobniki stylistyczne, używane w ferworne kaznodziejskim przez członków dawnych gmin chrześcijańskich i wkładane bezceremonialnie w usta Jezusa, aby otoczyć go nimbem boskości. W czwartej ewangelii naliczono aż 120 tego rodzaju deklaratywnych zwrotów, co daje nam wyobrażenie o tym, jak były one wówczas modne i jak nie znano miary w ich użyciu.

W podobny sposób ustosunkował się autor do substancji fabularnej swojej ewangelii. Epizody z życia Jezusa, u synoptyków potraktowane jako rzeczywiste i godne zanotowania fakty historyczne, w Ewangelii Jana spełniają rolę z gruntu odmienną. Są one tylko pretekstem do wyrażenia jakiejś doktryny teologicznej lub maksymy moralnej, a więc środkiem do celu, a nie celem samym w sobie. Co więcej, wydaje się, że niektóre owoce anegdotyczne Jan skomponował sobie ad hoc dla zilustrowania swoich wywodów i dotarcia w ten sposób do wyobraźni swoich czytelników. Do takiego przypuszczenia skłania nas fakt, że epizody te nie są znane synoptykom. Ewangelia Jana, jak z tego wynika, nie jest relacją historyczną, lecz luźnym zbiorem alegorycznych przypowieści zakończonych pointą w postaci jakiegoś aforyzmu, a jako całość - rozprawą teologiczną ujętą w dramatyczną formę opowieści o życiu, mecie i śmierci Jezusa Chrystusa.

Metodę alegoryzacji możemy u Jana zaobserwować w opisie rozmowy, jaką miał Jezus z Jądami po wypędzeniu przekupniów ze świątyni. Na ich pytanie, czy miał prawo to uczynić, Jezus odpowiada: „Zburzcie świątynię, a ja w trzy dni ją odbuduję”. Żydi na to z niedowierzaniem: „Czterdzieści sześć lat budowano tę świątynię, a ty w trzy dni chcesz ją odbudować?” I tu zabiera głos sam autor i powiada: „Ale o mówił o świątyni ciała swego. I gdy powstał z martwych, przypomniał sobie uczniowie jego, że o tym mówił”. Mamy tu więc typowy przykład zabiegu, dzięki któremu dosłowne porocstwo zburzenia Jerozolimy zamienia się w przenośnię zapowiadającą zmartwychwstanie Jezusa na trzeci dzień po jego ukrzyżowaniu.

Drugi przykład to słynna, tak często w sztuce wykorzystywana scena spotkania Jezusa z Samarytaną przy studni Jakubowej. W rozmowie tej Jezus, czyniąc aluzję do wody studziennej, oznajmia uroczystość w stylu kaznodziejskim: „Každy, kto pije tę wodę, znowu pragnąć będzie; kto jednak napije się wody, którą ja mu dam, nigdy nie uczuje pragnienia. Ale woda, którą ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskującej jak żywotowi wiecznemu”. Przy tej sposobności, jako że zajęcie odbywa się w Samarii, Jezus rozstrzyga odwieczny spór z Samarytanami, którzy czcili Jahwe na górze Gerazim, a nie świątyni jerozolimskiej i byli przez Żydów

uważani za godnych pogardy heretyków. Jezus, ściśle mówiąc Jan, głosi dość rewolucyjną, a nieznośną dla Żydów pogląd, że nie miejsce kultu jest wazne, lecz to, by Bogu oddać cześć „w duchu i prawdzie”. Jak widzimy, element fabularny w tej przypowieści gra rolę raczej drugorzędą, tworzy jedynie tylko kanwę, na której autor haftuje ornament swoich religijnych doktryn.

Do jakiego stopnia postać Jezusa u Jana jest wyzuta z wszelkich cech realizmu, wynika z rozmowy, jaka następuje zaraz po scenie przy studni z Samarytaną. Uczniowie jego wracają z miasta z zakupioną żywnością i proszą Jezusa, by się pożywił. A on w odpowiedzi wygłasza im górnolotną, pełną tajemnego znaczenia deklarację: „Moim pokarmem jest pełnić wolę tego, który mię posłał, abym wykonał dzieło jego. Czyż nie mówicie, że jeszcze cztery miesiące, a będą żniwa? Otóż powiadam wam: Wnieście oczy wasze, a przypatrzcie się okolicom, jak już bieleją na żniwa. Żniwiarz otrzymuje zapłatę i zbiera plon na żywot wieczny, aby i siewca, i żniwiarz razem się weselili. Tu bowiem sprawdza się przysłowie, że jeden siewca, a kto inny zbiera. Jam was posłał żąć to, czegoście nie wypracowali: inni się trudzili, a wyście weszli w ich znoje” (J. 4, 34-38). W końcu tego wywodu ujawnia się zupełnie otwarcie jako Mesjasz i Zbawiciel.

Przykładów tego rodzaju można by przytoczyć znacznie więcej. Choćby owo przemówienie Jezusa po uzdrowieniu paralietyka i postawionym mu zarzuce, że uzdrawia w szabat. Jest to wykład o stosunku Syna Bożego do Boga, o powierzonej mu władzy sądenia ludzi i Sądzie Ostatecznym. W Kafarnaum, nawiązując do cudu rozmnożenia chleba, Jezus między innymi w ten sposób powiada swoim wyznawcom, którzy go szukali: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że szukacie mnie nie dlatego, żeście widzieli cuda, ale, że pożywaście chleb i nasylicie się. Starajcie się nie o pokarm, który ginie, ale który trwa na żywot wieczny, a który da wam Syn Człowieczy”. W końcu nie sposób tu nie przytoczyć pamiętnych słów Jezusa o spożyciu ciała i wypiciu krwi jego. Słowa te stały się przedmiotem niewygasłego sporu teologicznego między pewnymi odłami chrześcijaństwa, mianowicie na temat, jak należy je rozumieć: czy dosłownie, czy też podobnie jak większość wypowiedzi Jezusa w czwartej ewangelii - w przenośni.

W zgodzie z przewodnią tendencją swojej ewangelii, Jan ma własne, odrębne spojrzenie na dokonane przez Jezusa cuda. U synoptyków, przypominamy, Jezus jest po prostu dobroliwym nauczycielem, lekarzem i cudotwórcą, który uzdrawia i leczy powodowany wyłącznie ludzkim uczuciem miłosierdzia i miłości bliźniego. Jest więc głęboko osadzionym w życiu i zwyczajach swego ludu typowym prorokiem żydowskim, jakim wielu krążyło wówczas po miastach i miasteczkach Galilei i Judei. Inny natomiast jest Jezus w Ewangelii Jana. Jest to postać hieratyczna, daleka od spraw ludzkich, prawie że odczłowieczona i niereczywista. Jezeli przemawia, to zawsze w sentencjach pełnych kwiecistych metafor i tylko na temat wielkich prawd ostatecznych. Jan usiłując zasugerować nam przekonanie o boskości Jezusa, pozabwia go cech ziemskich i stylizuje w sposób uznawany. W konsekwencji jest to raczej symbol pewnych koncepcji teologicznych, a nie człowiek i jego kości, jakim jest Jezus synoptyków.

W tym kontekście oczywiście także cuda nabierają zgoła odmiennego symbolicznego znaczenia. Jan widzi w nich jedynie tylko manifestację boskości, dowód, że Jezus jest Synem Bożym. Zdaniem krytyki liberalnej są one - jak pisze ks. E. Dąbrowski, „jedynie ilustracja też dogmatycznych”. I tylko to cuda interesują Jana, które odpowiadają jego doktrynalnym założeniom. Słepy od urodzenia, uzdrowiony przez Jezusa, tak oto mówi do Żydów: „Gdyby ten nie był od Boga, nie mógłby nic uczynić” (J. 9, 33).Może tym właśnie stanowiskiem należy tłumaczyć, że Jan w porównaniu z synoptykami jest bardzo powściągliwy w wliczaniu cudów. Jest ich bowiem tylko osiem, z czego dwa cuda, mianowicie chodzenie po wodzie i nakarmienie pięciu tysięcy, znane są również synoptykom, a sześć to osobisty wkład Jana w biografii Jezusową.

Wśród tych sześciu cudów najbardziej dla Jana typowe są dwa: Kana Galilejska i wskrzeszenie Łazarza. Zajmiemy się naprzód tym ostatnim cudem ze względu na to, że najlepiej ilustruje postawę Jana. Już u synoptyków Jezus wskrzesza zmarłych. Łukasz donosi o wskrzeszeniu młodzieńca z Naimu, syna wdowy, a wszyscy trzej opowiadają, jak Jezus wskrzesił córeczkę księcia bądź przelożonego synagogi Jaira. I oto uderzająca rzeczka jest to, że we wszystkich trzech ewangeliach Jezus powiada, że „nie umarła dziewczeczka, ale śpi”. Jak należy to rozumieć? Czy słuszna jest wysuwana przez niektórych egzegétów teza, że chodzi tu o kliniczny przypadek katalepsji i letargu? Jedno natomiast jest uderzające: cuda te dokonują się jakoś w sposób naturalny i zwyczajny, bez jakichś głębszych wstrząsów.

Natomiast wskrzeszenie Łazarza Jan inscenizuje w sposób wysoce dramatyczny. Z całego wydarzenia idzie jakby groza zaświatów, a wskrzesiciel staje się postacią obdarzoną jakąś kosmiczną potęgą. Bo wszystko, co się dzieje w ów pamiętny dzień w Betani, jest niesamowite, koszarne, przechodzące rozum ludzki. Oto trup Łazarza, leżący już cztery dni w grobowcu, płaczące nad nim siostry, Jezus

wolający wielkim głosem: „Łazarzu, wyniđz z grobu!” i w końcu zbudzony z martwych człowiek, wylinający się z mroku piecizary cały w Inianych opaskach i z głową owiniętą w chustę. Trzeba przyznać, że Jan tym dramatycznym opisem istotnie osiągnął swój cel: przytoczył mocno do wyobraźni przemawiający dowód na to, że Jezus jest Synem Bożym. Bo tylko ktoś, kto jest wyposazony w atrybuty boskości, mógł dokonać takiego czynu. Już sam fakt, że wieść o wskrzeszeniu Łazarza nie dotarła do pozostałych ewangelistów, że w ogóle nikt poza Janem nie poświęcił mu nawet wzmianki, jest chyba wystarczającym dowodem, że nie mamy tu do czynienia z prawdziwym wydarzeniem, lecz z oczywistym tworem fantazji. Istnieją nawet pewne poszlaki, które prowadzą nas do źródła tej przemyślanej historii. Mianowicie Łukasz, autor uroczej sceny powitania Jezusa przez Martę i Marię, nie wie, że wymienione siostry miały brata Łazarza. Jakiś Łazarz, owszem, występuje gdzie indziej w jego ewangelii, jest on jednak żebrakiem i bohaterem zupełnie innej przypowieści, człowiekiem nie mającym nic wspólnego ze wskrzeszonym Łazarzem. Otóż niektórzy bibliści przypuszczają, że w jakiś sposób, drogami nieznanymi, nastąpiło u Jana skojarzenie obu tych opowieści i przekształcenie ich w zupełnie nowy epizod fabularny.

Gdzie i w jakich okolicznościach to skojarzenie się dokonało, trudno dziś dociec. Czy Jan oświadczenie całe wydarzenie wymyślił, aby podbudować poglądowo swoją tezę a boskości Jezusa? Czy też nastąpiło to w sposób naturalny na skutek wolnej gry wyobraźni ludowej w jednym z licznych środowisk chrześcijańskich? Tradycja, która w ten sposób może powstała, musiała jednak mieć zasięg tylko regionalny, tak że nie dotarła do świadomości pozostałych ewangelistów; tłumaczyłoby to niezrozumiały fakt przemilenia przez nich tak ważnego wydarzenia. Jakkolwiek by było, pewne jest to, że nie mamy tu do czynienia z historią, lecz z jednym z tych licznych mitów, jakie narastały dookoła postaci Jezusa.

Jan w Kanie Galilejskiej, jakkolwiek z gruntu odmienny w nastroju, ma jednak to wspólne z wskrzeszeniem Łazarza, że jest również pomysłany na miarę niezwykłą. Zauważmy bowiem, że Jezus zamienia w wino sześć stągwi kamiennych wody. Każda stągiew, jak czytamy w przekładzie polskim, zawierała dwa do trzech wiader wody. Chodzi tu jednak o miarę palestyńską, mianowicie o tzw. „metretres”, miarę w przeliczeniu wynoszącą około 38 litrów płynu. W rezultacie okazało się, że Jezus wywarował 228 litrów wina. Było to więc weselisko sute, zwłaszcza że goście już przedtem obficie raczyli się winem i dobrze musieli być rozweseleni. Gospodarz bowiem tak oto powiada do obłubienica: „Každy człowiek daje napród dobre wino, a kiedy się napiją, wtedy to, który jest gorsze, a ty zachowales dobre wino aż do tego czasu” (J. 2, 10).

Uczta weselna w Kanie, w której nawiasem mówiąc uczestniczyła rzadko występująca w ewangeliach matka Jezusa, stanowi w tej na wskroś stylizowanej i solennej w tonie ewangelii akcent uderzający odmienny. Jan, umieszczając w swojej relacji owa raczej przyziemną scenę weselną, dał się chyba ponieść nadgorliwości w przedstawieniu Jezusa jako cudotwórcy niezwykłej miary. Z drugiej strony jednak nie można wykluczyć ewentualności, że kierował się także pewnymi określonymi względami doktrynalnymi, mianowicie pragnął, każąc Jezusowi brać udział w tak typowo ludowym obyczaj weselnym, podkreślić jego ludzką, doczesną naturę, aby przeciwstawić się niektórym sektom, o których powiemy kilka słów później.

Zamierzeniem Jana, powtarzamy, było udowodnić, że Jezus jest Synem Bożym, wkładając w jego usta doktryny teologiczne, które w owych czasach były w obiegu. Nie zdolano ustalić, czy Jan znał synoptyków, jest jednak rzeczą ciekawą przedśledzić, co z zasadniczej biografii Jezusa przemilcza lub przekształca tak, by nie wystawił na szwank swojej tezy o boskości Jezusa. Te oczywiste retuze pokazują nam poglądom, do jakiego stopnia Jan był świadom swego celu i jak rozważnie go realizował. Jan na przykład pomija milczeniem sprawę narodzin Jezusa, prawdopodobnie rozmyślnie, aby uniknąć wszelkich aluzji do cielesnej natury Jezusa. Uderza także, że w przeciwieństwie do tego, co piszą synoptycy, Jezus Jana nie poddaje się obrządkowi chrztu. Prawdopodobnie chodzi o to, że jako Syn Boży nie mógł być obciążony grzechem pierworodnym, który gładzi się właśnie przez chrzest. Jan Chrzcielci wita go natomiast jako wyższą od siebie istotę, nazywając go Barankiem Bożym. Przede wszystkim uderza w tej ewangelii brak przejmującej sceny kuzenskiej na pustyni. W przekonaniu Jana (bo jak ostatecznie inaczej wytłumaczyć tę lukę?) Jezus jako Syn Boży był wolny od słabości ludzkich i dlatego nie mógł być kuszony przez szatana. Wspomniana tendencja zaznacza się szczególnie wyraźnie w scenie na Górze Oliwnej, w ogrodzie Getsemani. Synoptycy zgodnie utrzymują, że Jezus spędził ostatnie godziny nocne przed aresztowaniem w stanie wielkiej udręki, że była chwila, kiedy zalała się duchowo i obłął Boga, aby oddalił odeń kiełch przeznaczenia. Bragał grozy Łukasz pogłębia dodatkowym szczegółem, nie znanym pozostałym synoptykom, mianowicie twierdzi, że w obliczu zbliżającej się meki Jezus cierpiał do tego stopnia, że na ciele jego wystąpił krwawy pot.

Wszystkie te informacje, tak sugestywnie podkreślające naturę ludzką Jezusa, Jan całkowicie zignorował, na skutek czego opowieść o wydarzeniach na Górze Oliwnej jest jakaś oschła i bezosobowa w treści, a jako całość sprawia wrażenie relacji podanej w formie mocno okrojonej. Ma to z pewnością jakiś przyczynowy związek z doktrynalną postawą autora Ewangelii Jana, z postawą, która kaźala mu widzieć w Jezusie nade wszystko Syna Bożego i pomniejszać wszelkie momenty, które zbyt mocno przypominały, że był także człowiekiem. Jan jest pod tym względem na ogół dość konsekwentny, co potwierdzają inne jeszcze znanie przemilenia i korektury, dokonane w synoptycznej biografii Jezusa. Tak na przykład Judasz nie składa pocałunku na policzku Jezusa. Dlaczego to przemilenie? Chyba dlatego, że w rozumieniu Jana trudno było dopuścić myśl, że zdrajca pokalał Syna Bożego swoim dotykiem.

Na koniec wypadła podkreślić najbardziej uderzający aspekt Ewangelii Jana. Chodzi tu o słynną koncepcję logosu, wyłożoną przez autora w prologu. Zaczyna się on następującym wersem: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było Słowo”. Drugi werse, bardziej jeszcze znany, ponieważ rozbrzmiewa on radośnie w kołędach, zawiera właściwie kwintesencję doktryny chrześcijańskiej: „A Słowo stało się ciałem i mieszkało między nami”. Rzecz jasna, że „Słowo”, czyli „Logos” to sam Jezus Chrystus jako wcielanie Boga.

Jest to zupełnie nowy element wprowadzony przez Jana do chrystologii, element nie tylko nie znany synoptykom, ale zgoła obcy ich wyobrażeniom i pojeciom. Znowu trzeba tu stwierdzić, że idea logosu, to wkład wyłącznie tylko autora czwartej ewangelii. Nie jest on jednak twórcą tej abstrakcyjnej konstrukcji myślowej. Jej rodowodem i głębszego znaczenia należy szukać w bogatym zapleczu filozoficznym zarówno Wschodu, jak też świata grecko-rzymskiego. Chcąc zrozumieć to nowe podówczas zjawisko w teologii chrześcijańskiej, należy zwrócić uwagę na środowisko, w którym czwarta ewangelia powstała. Słuszy to na ogół zgodni co do tego, że jej kolebką jest Efez, miasto, które obok Antiochii i Aleksandrii odgrywało ogromną rolę w życiu umysłowym imperium rzymskiego. Jako rezydencja wielkorządcy stanowiło także ważny ośrodek polityczny. Ale swoją sławę zawdzięczało przede wszystkim kultowi Artemidy efejskiej i jej świątyni Artemizjon, do której zdążyła z całej Jonii greccy pielgrzymki pobożnych wyznawców. Uchodziła ona za jedną z siedmiu cudów świata i w 356 r. p.n.e. została spalona przez Herostrata. Odbudowana ze zgłiszczy, padła ostatecznie ofiarą Gotów w 263 r. n.e. W Efezie przebywał przez trzy lata Paweł Apostoł, gdzie, jak to wiemy, spotkał go dramatyczna przygoda.

Otóż w Efezie urodził się i działał grecki filozof Heraklit (ok. 540 - 475 r. p.n.e.), twórca pojęcia logosu. Swoje główne dzieło filozoficzne O przyrodzie złożył do przechowania w świątyni i zastrzeżł sobie, że będzie wolno je ogłosić dopiero po jego śmierci. Zachowało się ono tylko w większych fragmentach. Heraklita pochowano na głównym rynku miasta i jeszcze przez parę stuleci upamiętniano go portretem na monetach efejskich. Był on czymś w rodzaju bohatera narodowego Efezu, a jego nauka o logosie była tam zawsze aktualna i wszechobecna. Heraklit uchodził za jednego z twórców dialektyki. Podstawą jego filozofii jest pogląd, że świat znajduje się w stanie ustawicznego powstawania i zagłady, ale wszystko płynie i ulega przeobrażeniu, że w walce przeciwstawnych tkwi źródło rozwoju i postępu. Jezeli jednak wszechświat urzeczywistnia się w ogniu walki i przeciwieństw, to nie znaczy, że rządzi nim chaos. Ten odwieczny bowiem proces dialektyczny posłuszny jest określonym regułom immanentnej prawdy, którą Heraklit nazwał logosem. Nauca on, że wszystko w kosmosie dzieje się zgodnie z logosem, że logos to inteligentna, wieczysta, suwerenna, bo niezależna od bogów, zasada wszechrzeczy, coś w rodzaju powszechnego rozumu.

Pojęcie logosu znajdujemy także u Platona i Arystotelesa, lecz w stanie raczej nie sprzyjającym i nie rozwiniętym. Dopiero neoplatonicy nawiązują do koncepcji Heraklita, a stoicy przejęli jego ideę logosu, identyfikując go z panteistyczną duszą świata. Pojęcie logosu było więc w hellenizmie powszechnie znane i w sferach ludży wykształconych Efezu miało zapewne podobny obieg, jak za naszych czasów niektóre terminy pochodzące z psychoanalizy czy fizyki jądowej. Modną wówczas hellenistyczną logozofią przejął się na pewno także autor czwartej ewangelii i posłużył jej terminologii, by za jej pomocą dotrzeć do umysłów inteligencji greckiej i uczynić zrozumiałą dla niej ideę boskości Jezusa Chrystusa.

Jednakże identyfikacja Jezusa z logosem byłaby może nie przyszła Janowi do głowy, gdyby nie wpływ inny jeszcze, bardziej bezpośredni i swoisty. Chodzi tu o liczne prace naukowe Filona z Aleksandrii, jednego z największych myślicieli, jakiego wydał naród żydowski. Filon był wychowany w kulturze hellenistycznej, całe życie poświęcił studiom nad filozofią greką, a rzutnutek intelektualny, który z tych studiów wniósł, umiejętnie stosował w egzegzie Starego Testamentu. Podobnie jak większość Żydów z diaspory, nie władał już językiem ojczystym i pisał tylko po grecku, ale pozostał wierny judaizmowi. Co prawda Euzebiusz utrzymuje, że Filon spotkał się w Rzymie z Piotrem Apostolem

sugerując, że stał się wyznawcą chrześcijaństwa, ale jak wiele innych twierdził tego pisarza Kościelnego, nauka odrzucała tę informację jako plotkę. Filon znany był nie tylko jako pisarz, lecz także jako wybitny działacz polityczny. Tak więc w 40 r. n.e. poprowadził delegację Żydów aleksandryjskich do Rzymu, by wręcząc cesarzowi Kaliguli skargę na współobywateli greckich za przesładowania Żydów, a przede wszystkim, by uzyskać cofnięcie zarządzania, nakazującego ustawić w synagodze posąg cesarza i oddawać mu cześć boską. O przebiegu tej misji Filon pisze szczegółowo i niezwykle obrazowo. Ulatwiający sobie zadanie i posłużymy się tu streszczeniem ks. Eugeniusza Dąbrowskiego w jego pracy: Nowy Testament na tle epoki:

„Uprowadzony o wszystkim przez swe najbliższe otoczenie, Kaligula długo wahał się z przyjęciem delegacji żydowskiej, która postanowiła wobec takiego stanu rzeczy przekazać mu sprawę na piśmie. Cesarz otrzymał pismo i przyjął wysłanników na Polu Marsowym, ale tylko po to, by im oświadczyć, że rozmówi się z nimi przy sposobniejszej okazji. Sam odjechał krótko do Puteoli, dokąd udała się za nim również delegacja. Tam nie doszło jednak do spotkania i dopiero po upływie niemałego czasu Kaligula zdecydował się rozmówić z delegatami w ogrodach Mecenasas podczas oglądania nowo wzniesionych budowli. Sam przebieg przesłuchania odbył się w warunkach niezwyklej. Kaligula biegł od jednej budowli do drugiej, oglądając i zrucając uwagi, a za nim biegła delegacja w nadziei uzyskania rozmowy... do której jednak nie doszło. Pod adresem wysłanników padło pierwsze pełne wymowy pytanie: To wyście wgardzili bogiem nie chcąc mnie uznać za boga, ale ubóstwieście kogoś, kto nie ma nawet nazwy, podczas gdy oprócz was wszyscy mi cześć oddają. I nie czekając na odpowiedź pobiętną dalej zrucając na boga Izraela tak straszne bluźnierstwo, że opisujący całą scenę Filon nie śmiał powtórzyć go w swoim dziele. Gdy jednak jeden z swych cesarza gości zauważył przy tym, że przecież wszystkie narody czczą cesarza, a tylko Żydzi uchylają się od tego, wysłannicy odpowiedzieli, że trykrotniej już składano na promyślność cesarza ofiary: z okazji wstąpienia na tron, powrotu do zdrowia i zwycięstwa nad Germanami. Na co Kaligula odpowiedział: »Zgoda na to, żeście mnie ofiary składali, ale co za pożytek z tego, jeśli składaliście je za mnie, a nie mnie. I pobiegł dalej. A gdy się zatrzymał na chwilę, to po to tylko, aby zapytać ich ku czemuście wszystkich obecnych: »Dlaczego nie jadacie świniny?« - po czym dodał jeszcze: »Chciałbym wiedzieć, na czym opiera się wasze równouprawienie».

Ten pośpieszny spacer po ogrodach Mecenasas trwał przecież czas jakiś, toteż delegacja odetchnęła, gdy Kaligula zęgnął ją słowami: „Ludzie ci wydają mi się mniej przewrotni niż głupi, ponieważ zaprzeczają mojemu bóstwu”. Rok później Kaligula został zamordowany, a jego następcą Klaudiusz, przyjaźniący usposobiony do Żydów, położył kres ich przesładowaniu w Aleksandrii.

Na przełomie VI i V wieku p.n.e. żył i działał grecki filozof i poeta Ksenofanes z Kolofonu. Był on chyba pierwszym grekiem monoteistą i w złośliwych wierszach zwalczał politeizm i prostacki antropomorfizm, jaki panował w wyobrażeniach religijnych Greków. Szczególnie atakował bogów w wersji Homera; zarzucał im, że ich działalność w stosunku do człowieka to nieprzerwane pasmo haniębnych wykroczek przeciwko zasadom moralności, takim jak kradzieże, uprowadzenia, cudzołóstwa czy zdrady. W wyniku tych rozważań pozostawała alternatywa: albo odrzucić Homera jako źródło prawdziwych wiadomości o bogach, albo inkryminowane miejsca eposu poczytywać jako alegorie, za którymi kryje się inna, bardziej wzniosła treść. Filozofowie greccy, którzy nie chcieli pogodzić się z myślą, że Homer był bezczłowiekiem, musieli oczywiście dla ratowania jego autoritetu w sprawach religijnych uciecie się do alegoryzmu. W ten sposób powstała osobna szkoła egzegetów Homera, której ośrodkiem był najpierw Pergamon, a potem Aleksandria.

W Aleksandrii, jak wiemy, istniała bardzo liczna i ruchliwa kolonia Żydów. Byli oni całkowicie zhellenizowani i mówili wyłącznie po grecku, tak że swoje własne księgi święte czytali wyłącznie w przekładzie Septuaginty. Pod wpływem szkoły aleksandryjskiej wielu z nich stosowało w interpretacji Biblii metodę alegoryzacji, aby pogodzić filozofia grecką z Torą. W I wieku n.e., a zatem w latach powstania ewangelii, hellenizacja judaizmu osiada szczyt swego natężenia, chociaż odbywa się ona nie bez oporu ze strony Żydów wiernych ortodoksyjnym tradycjom.

Najwybitniejszym przedstawicielem alegoryzmu w egzegezie biblijnej był właśnie Filon z Aleksandrii. Potraktował on tę metodę interpretacji tekstów totalnie, poczynając cały Stary Testament wyłącznie za jedną wielką alegorię. Nie uznawał zupełnie dosłownego sensu treści, słowa były dla niego jak cienie, za którymi ukrywa się prawda, a biblijne postacie zatracają u niego swą rzeczywistość historyczną i stają się jedynie symbolami, wyrażającymi jakiejś pojęcia abstrakcyjne. Tak np. Adam to inteligencja ziemiska, Ewa donzanna zmysłowe, Jakub uosabia praktyki ascetyczne, Abraham naukę, Izzaak łaskę.

Filon chciał w ten sposób nie tylko udowodnić, że Biblia jest tajemną księgą wielkich mądrości i praw ostatecznych, lecz także wybronić to wszystko z jaw

treści, co zakrawało na prymitywny antropomorfizm religijny i kłóciło się z pojęciami etyki i moralności ludzi wykształconych. Tak jak Ksenofanes raziły wybrki i swawole bogów Homerowych, tak też Żydów z diaspory, wykształconych na lekturze Platona, Arystotelesa i stoików, musiał razić niejedyn ustęp Starego Testamentu. Jedynym wyjściem było traktowanie tych moralnie wątpliwych lub zgoda godnych nagany wydarzeń jako alegorii, wyrażających inne, duchowe treści. Filonizm był heroiczną próbą wzdziwnienia starej religii Hebrajczyków z nizin pogardy i uposłedzenia w świecie grecko-rzymskim, nadania jej głębi i powagi zwartego systemu filozoficznego i w ten sposób przydania jej większego prestiżu we wrogim otoczeniu. Z tych względów filonizm musiał znaleźć szeroki i przychylny odzew w środowiskach diaspory żydowskiej, a więc także w Efezie. Za sprawą Apollosa z Aleksandrii, bliskiego współpracownika Pawła i ucznia Filona (Dz.Ap. 18, 24-28; Tyt. 3, 13), filonizm przeniknął również do środowisk chrześcijańskich. Jest rzeczą raczej pewną, że autor czwartej ewangelii, interpretując biografię Jezusa w sposób alegorystyczny, czynił to pod wrażeniem Filona i jego egzegezy biblijnej. Jest to tym pewniejsze, że Jan nie był pod tym względem osamotniony. Wpływ Filona ulegał przecież także Paweł, a w późniejszych latach pisarze kościelni: Klemens z Aleksandrii, Orygenes i Ambroży. Nic dziwnego przeto, że Filon inspirował Jana także wtedy, gdy ten w prologu swej ewangelii przedstawił swoją koncepcję logosu. Wprawdzie pisaliśmy poprzednio, że do jej sformułowania skłoniła go modna w Efezie filozofia Heraklita, jednakże, powiedzieć trzeba teraz, bodźcem silniejszym, bardziej bezpośrednim był Filon z Aleksandrii, choćby z powodu popularności, jaką cieszył się w świecie intelektualnym Żydów i chrześcijan, a także z racji swego pochodzenia semickiego.

Filon pojmował Boga jako Stwórcę transcendentnego, nieskończenie oddalonego od widzialnego świata. Jest to jakaś niepojęta przez rozum ludzki potęga duchowa, bezosobowa i beczleśna. Ponieważ wszelka materia jest złem, kontakt Najwyższego z życiem może się dokonać tylko za pomocą pośrednika, a tym pośrednikiem u Filona jest logos. Logos jest słowem Boga, emanacją jego ducha, narzędziem kształtowania i kierowania materialnym światem, jest rozumem i prawozorem wszechrzeczy, logos podobnie rządzi światem, jak dusza rządzi ciałem ludzkim.

Filon czasami personifikuje logos nazywając „Synem Bożym” lub „Pierwotnym synem Boga”. Nadając logosowi charakter odrębnej osobowości, Filon stworzył niejako dogodny pomost, który pozwolił Janowi posunąć się dalej jeszcze w kierunku tego samego rozumowania. W czwartej ewangelii następuje już całkowita identyfikacja logosu z Jezusem Chrystusem jako inkarnacją Boga. To co u Filona ma znamiona oderwanej spekulacji czy, jak kto woli, przenosi filozoficznej, u Jana nabiera cech konkretnego, jednorazowego wydarzenia historycznego: logos wcieli się W syna ubogiego cieśli z Nazaretu.

Jest jedna okoliczność, która zarówno Filonowi, jak i Janowi ułatwia asymilację idei logosu, mianowicie wspólnie starodawne dziedzictwo judaistyczne. Trzeba bowiem wiedzieć, że koncepcja logosu, jakkolwiek przede wszystkim wywodząca się z filozofii greckiej, ma również swój odpowiednik w tradycji religijnej Żydów. Od czasów niewoli babilońskiej na wierzaniach ich wycięsno głębokie piętno oddziaływanie religii perskiej (mazdaizmu), której podstawą był dualizm w pojmowaniu świata. Według tej wizji świat dzieli się na ducha i materię, a ponieważ materia jest grzeszną, Najwyższy Stwórca nie może z nią wchodzić w kontakt i w konsekwencji bezpośrednio kierować losami widzialnego świata” a zatem także człowieka. W tym celu wyrecza się pośrednikiem, a tym pośrednikiem, jak wyczuujemy z Biblii, jest „Mądrość”, zwana także „Słowem Bożym” (po aramejsku „chochma” i „memra”). „Mądrość” w koncepcji biblijnej, będąc emanacją Stwórcy, jest jednocześnie osobowością samodzielną. Nie ulega wątpliwości, że ta daleko posunięta personifikacja dopomogła Janowi dotądkowo do asymilacji popularnej naówczas w świecie hellenickim idei logosu i przekształcenia jej dla potrzeb teologii chrześcijańskiej.

Nie wyczerpuje to jednak genazy idei logosu. Trzeba bowiem jeszcze wziąć pod uwagę niezmiernie doniosły fakt, że była ona niejako idea epoki, że tkwiła głęboko w tradycji i świadomości wszystkich ludów basenu śródziemnomorskiego, i to od setek lat. Chodzi tu o zespół mitów i koncepcji teozoficznych, określonych zbiorową nazwą gnostycyzmu. Słowo greckie „gnosis” znaczy „wiedza”. W naszym przypadku „gnosis” znaczy jednak daleko więcej, mianowicie mistyczną wiedzę o tajemnicy kosmosu, zdobytą przez człowieka za pomocą różnych praktyk drogą objawienia. Istnieje ogromne bogactwo mitów tworzących podstawę gnostycyzmu, zasadniczo jednak wszystkie łączy jedna i ta sama myśl - przewodnia. Bóg jest gdzieś daleko w przelotkach, dusza ludzka na skutek grzechu pierwotnego została zamknięta w ciele. Chcąc ją wyzwolić z materialnej niewoli, Stwórca przysyła na Ziemię swego syna, który występuje pod rozmaitymi imionami.

Znakomitą definicję gnostycyzmu daje polski filozof, prof. Jan Legowicz, w swojej książce Filozofia

okresu cesarstwa rzymskiego. Czytamy tam między innymi: „[Gnoza] Przyjmuje istnienie niezwykle złożonej hierarchii przejęć, od bóstwa po materię, dokonujących się za pośrednictwem urealnianych sił boszych albo Eonów, pojmowanych również często jako idee, przez które bóstwo się obiektywizuje i z Czego z kolei wyłania się świat, przyroda, poszczególne rzeczy i człowiek, aby następnie przez człowieka i Eony znów wszystko powróciło do bóstwa. Teoria, która w tej gnozie zajmuje się zstępowaniem Eonów do Absolutu, będzie odpowiadała greckiej filozofii przyrody, teoria zaś, której przedmiotem będzie wstępowanie rzeczy do Absolutu, obejmuje przede wszystkim całą problematykę etyczną, rozumianą jako wyzwalamie się spod władzy materii. W ten sposób wszechświat, świat, przyroda i człowiek zostana pojęte jako zmieszanie dwóch elementów, boskiego i materialnego, powstających w cichej wobec siebie opozycji, co postuluje wybawiciela, który wyzwoli dobro z przynajmniej jednego zła. Do wyzwolenia człowieka z tej sprzeczności potrzeba gnozy, objawienia i ascezy, przez co dusza zamknięta w materii mogłaby powrócić do swego pierwotnego dobra. Dlatego też inne będzie bóstwo-stworzyciel, a inne znowu bóstwo-zbawiciel, które wyzwala świat z zasięgu wpływów Demiurga materii.

Życie ludzkie zatem to ciągle wyzwalamie się ze zła. W tym rozumieniu ludzkość składa się tylko z trzech rodzajów jednostek: z wyzwolonych już i dobrych, z tych, które znajdują się dopiero na drodze samowyzwolenia, i z tych, które pogrążone w materii są już poza możliwościami wyzwolenia. Innych różnic między ludźmi gnoza ta nie uznaje i nie więcej nie nakazuje człowiekowi, jak tylko wyzbycie się powiązań ze światem, z życiem ziemskim, ascetyczne samo wyniszczenie. Człowiek jako taki o własnych siłach nie może tego dokonać. Potrzeba mu soteru, zbawiciela, który przy zastosowaniu szeregu praktyk »odrodzi go w wieczność».

Gnostycyzm, od starodawnych czasów zakorzeniony w umysłach ludzi Bliskiego Wschodu, siłą rzeczy musiał przenikać do chrześcijaństwa. Powstawały rozmaite odmiany chrześcijańskiego gnostycyzmu, ale gdyby chodziło o ich definicję, to właściwie wszystkie one sprowadzały się zasadniczo do następującego założenia: Syn Boży albo Eon, jak go niektórzy nazywali, był duchem, nie mógł więc narodzić się cielesnie, doznawać fizycznych cierpień i umrzeć na krzyżu, bo ciało to materia, a materia jest przejawem zła i grzechu. Duch Święty zagościł w ciele Jezusa w chwili chrztu i opuścił je przy ukrzyżowaniu. A dowodem, że tak istotnie sprawa się miała, były według gnostyków ostatnie słowa, jakie Jezus wypowiedział przed zgonem: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” (Mk. 15,34). W apokryficznych Dziejach Jana (170-180 r.) nieznaną autor utrzymuje, że Jezus objawił się Janowi na Górze Oliwnej, podczas gdy po drugiej stronie doliny na krzyżu wisiał tylko jego fantom.

Autor czwartej ewangelii przeciwstawiał się tym tendencjom, które z dramatu Jezusa czyniły jakąś grę cesarów i przywódców. U niego dzieje męki i śmierci Jezusa są przedstawione wyjątkowo aż nadto realistycznie. Zresztą stosunek swój do tych spraw ujawnia w Pierwszym liście Jana Apostoła. Polemizuje on tam ze sławnym naówczas filozofem efiaskim Keryntosem, który zgodnie z dualistycznym światopoglądem gnostyków twierdził, że Chrystus był jednym z Eonów, który wstał w ciało Jezusa dopiero w momencie chrztu i że dopiero od tej chwili mógł być nazwany Synem Bożym. Jednakże mimo tej negatywnej postawy stwierdzono w Ewangelii Jana niewątpliwe wpływy gnostyczne, których wyrazem jest między innymi znana nam już koncepcja logosu. Mity gnostyczne zaścynowały również Pawła; jest rzeczą raczej pewną, że pod ich wrażeniem, może nawet nieświadomie, sformułował on niektóre aspekty swojej teologii. Dotyczy to zwłaszcza jego soteriologii, a więc idei zbawiciela i zbawienia.

Rozmaite sekty gnostyczne i ich bogate piśmiennictwo, którego resztki zachowały się w literaturze apokryficznej, stanowią dowód, jak silny i szeroki wpływ wywierał gnostycyzm na chrześcijaństwo tamtych czasów. Był on tworem spekulacji intelektualnej: rygorystycznie odróżniał Jezusa od Chrystusa, a ideę zbawienia pojmował jako zjawisko mistyczne. Zagrażało to poważnie istnieniu chrześcijaństwa, gdyż oddalało je od potrzeb duchowych szerokiej rzeszy wyznawców i groziło mu rozplynięciem się w ogólnym nurcie gnostycznego sekciarstwa. Biskup rzymski Hipolit (III w.) wymienia aż 33 odmiany gnostycyzmu.

Niebezpieczeństwo zostało zażegnane dopiero z chwilą zrównania przez Konstancyna religii chrześcijańskiej z innymi religiami, z udzieleniem jej preferencji nad innymi. Pod wpływem przesładowań herezja gnostyczna zanikła i działała tylko jeszcze w podziemiu, ale jej odbłask promieniował długo jeszcze w latach następnych, między innymi pozostawił wyraźne ślady w islamie. Odeszliśmy na pewien czas od naszego głównego tematu, było to jednak naszym zdaniem pożądane, by uświadomić czytelnikom, jak złożone jest rodowodem zaplecze Ewangelii Jana. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że idea logosu - tak przecież w chrześcijaństwie istotna, bo stała się złązkąm której sformułowanej doktryny trynitarniej - jest końcowym produktem procesu synkretycznego, na

który złożyły się wszystkie główne prądy ideowe epoki.

Nie mniej skomplikowane jest zagadnienie autorstwa omawianej ewangelii. Od połowy drugiego wieku istniało na ogół przekonanie, że autorem jest Jan Apostoł, Galilejczyk, który wraz z ojcem i braćmi uprawiał rybołówstwo na Jeziorze Tyberiadzkim i został następnie uczniem Jezusa. Taki pogąd wyrażają pisarze kościelni Papiasz, Klemens Aleksandryjski i Orygenes, oczywiście także Kościół katolicki i niektóre konserwatywne odmiany Kościołów protestanckich. Według nich czwarta ewangelia została napisana przez naoczego świadka i dlatego stanowi wiarogodny dokument historyczny. Jakie argumenty wysuwa się na poparcie tej tezy? Z Ewangelii Marka wiemy, że zarówno Janowi, jak i jego starszemu bratu Jakubowi Jezus nadał przydomki „boanerges”, co znaczy „synowie gromu” (Mk. 3,17), a to z racji ich poręczego, skłonnego do umiesień usposobienia. Jan Apostoł uprawiał rzemiosło rybackie i trudno przypuszczać, by posiadał jakiegokolwiek wykształcenie. W samej rzeczy, tradycja przedstawia go jako człowieka prostego, nieuczonego. O jego losach po śmierci Jezusa informują nas źródła pozabiblijne. Ponoć wędrował z miasta do miasta wykonując powierzoną sobie misję apostołską, aż w końcu po wielu latach przygód i perypetii osiadł na stałe w Efezie. W chwili gdy zbierał się do pisania swoich wspomnień, był już sędziwym człowiekiem. Pamięć zawodziła go w wielu szczegółach, poplątał daty i kolejność wydarzeń, a przede wszystkim na skutek lat, które stały się między nim a tym, co przeżył w młodości, widział postać Jezusa jakby przez mgłę, odcielesnioną, w aureoli boskości. A jeżeli chodzi o wpływy filozofii greckiej w Ewangelii Jana, to ich obecność łatwo wytłumaczyć długetniam jego pobytem w Efezie, gdzie przecież rozmowy i dyskusje na temat różnych koncepcji musiały mu się odczuć.

Zwolennicy Jana Apostoła podają na dowód jego autorstwa także szereg kryteriów tekstowych. Z ewangelii autorstwa można wnosić, że autor był Żydem. Pewne określenia związane z judaizmem cytując je w oryginalnym brzmieniu aramejskim, a wersetu przytaczane ze Starego Testamentu nie pochodzą z Septuaginty, lecz z oryginału hebrajskiego. Ponadto orientuje się on znakomicie w instytucjach ustrojowych i obyczajach Żydów, a także w topografii świątyni jerozolimskiej i Palestyny. Wreszcie, sądząc po realistycznym opisie postaci apostołów, można przyjąć raczej za rzec pewną, że znał ich osobście.

Nie wszystkim jednak ta argumentacja wystarczała. Już nawet w II wieku byli chrześcijanie, którzy wyrażali wątpliwości co do autorstwa Jana Apostoła. Tak na przykład algowiec, sekta chrześcijańska, która odrzucała ewangelie logosu jako herezję, przypisywała apostołom, można przyjąć raczej za rzec pewną, że znał ich osobście. Nie wszystkim jednak ta argumentacja wystarczała. Już nawet w II wieku byli chrześcijanie, którzy wyrażali wątpliwości co do autorstwa Jana Apostoła. Tak na przykład algowiec, sekta chrześcijańska, która odrzucała ewangelie logosu jako herezję, przypisywała apostołom, można przyjąć raczej za rzec pewną, że znał ich osobście. Nie wszystkim jednak ta argumentacja wystarczała. Już nawet w II wieku byli chrześcijanie, którzy wyrażali wątpliwości co do autorstwa Jana Apostoła. Tak na przykład algowiec, sekta chrześcijańska, która odrzucała ewangelie logosu jako herezję, przypisywała apostołom, można przyjąć raczej za rzec pewną, że znał ich osobście.

Ogromnie rozbudowaną argumentację przeciwko autorstwu Jana siłą rzeczy możemy sprowadzić tylko do paru punktów:

1) Na ogół przyjęto za rzec pewną, że czwarta ewangelia powstała w latach 95-100, czyli 65-70 lat po śmierci Jezusa. Ilez lat mógł mieć wtedy Jan Apostoł? Jeżeli założymy, że w chwili zetknięcia się z Jezusem miał 20 - 25 lat, to w takim razie ewangelia musiał napisać starzec liczący co najmniej od 85 do 95 lat. Prawdopodobnie, że tak wówczas człowiek mógł napisać ewangelie, która przecież odznacza się wysokię lotu wyobraźnią, jest raczej nikle. Na domiar istnieją pewne poszlaki, że Jan Apostoł padł ofiarą przesładowań żydowskich, że więc takiego wieku nie zdołał osiągnąć.

2) Jan Apostoł był, jak to wynika z ewangelii Marka i Łukasza, Galilejczykiem. Tymczasem wszystkie okoliczności wskazują na to, że autor chyba musiał być stałym mieszkańcem Jerozolimy lub też jej najbliższej okolicy, bo wyznaje się w topografii tych regionów bardzo dokładnie, natomiast Galilea jest mu obca.

3) Idea logosu to wielka koncepcja kosmologiczna, usiłująca wyająstić sens świata, ducha i materii, zła i dobra. Jan Apostoł, człowiek nieuczonego, mógł ją co prawda zaadaptować dla swoich celów w tej sprymitywowanej formie, z jaką spotykamy się w ewangelii. Uchwycił po prostu krzącają naówczas modny termin i zrozumiały go powierzchownie, nadał mu treść nie mającą nic wspólnego z Heraklitem i gnostykami. Niestety, sprawa nie jest tak prosta, bo autor ewangelii był w istocie rzeczy obczany z terminologią platońską i ze sposobem myślenia Platona, w ogóle zdradza wykształcenie i kulturę hellenicką. Tak np. pod wpływem Platona posługuje się czasami w swoich relacjach metodą dialektyczną.

Jeżuz zadaje swoim rozmówcom pytania, wysłuchuje uważnie odpowiedzi, a potem wykazuje w nich sprzeczności, rzuca nowe, niespodziewane światło na przedmiot dyskusji. Mniej więcej tak, jak to czyni Sokrates w dialogach platońskich. I tutaj nasuwa się pytanie: czyż prosty rybak z prowincjonalnej Galilei mógł przyswoić sobie tak zaawansowaną, wyrafowaną technikę pisarską? Większość badaczy odpowiada na to pytanie negatywnie.

Wobec tego z autorem ewangelii próbowano zidentyfikować innego Jana. Chodzi tu o tego nie zwanego po imieniu ucznia, którego Jezus miłował. Występuje on w ewangelii parokrotnie. On to podczas Ostatniej Wieczerzy opierał się na piersiach Jezusa, on jedyny z uczniów nie opuścił swego Mistra w godzinie śmierci, a pod krzyżem Jezus powierzył jego opiece swoją matkę.

Ów uczeń nie tylko nie należał do grona dwunastu apostołów, ale poza tym różnił się od nich pod wieloma względami. Przede wszystkim wolno nam wnioskować, że był on zamężnym obywatelem Jeruzolimy. Jako znajomy arcykapłana (J.18,15) mógł wprowadzić na dziedziniec pałacu Piotra, którego odzwierciedlał nie chciał poprzednio wpuścić. Biskup Efezu Polikrates (koniec II w.) twierdzi, że Jan, ukochany uczeń Jezusa, był kapłanem żydowskim i że pochowano go w Efezie. W rozdziale 21 Ewangelii według Jana czytamy, że właśnie ów uczeń, którego miłował Jezus, jest jej autorem i że „świadcstwo jego jest prawdziwe” (J.21,24). Niestety, rozdział 21 to późniejsza interpolacja napisana przypuszczalnie przez redaktorów ewangelii, jego wartość dowodowa jest więc raczej wątpliwa.

Teza, która przemawia na korzyść umiłowanego przez Jezusa ucznia, jest dla ludzi wierzących dość atrakcyjna, gdyż implikuje, że czwarta ewangelia, jako dzieło jednego z najbliższych uczniów Jezusa, a więc naocznego świadka - ma nieocenioną wartość dokumentu historycznego. Niestety, teza ta ma zbyt kruchą podbudowę dowodową, bo wszystko, co przytacza się na jej poparcie, jest niczym innym, jak tylko domysłem i pobieżnym zniechceniem.

Z tych względów większość niezależnych badaczy bierze pod uwagę jeszcze innego Jana jako domniemanego autora ewangelii. Mianowicie Jana Prezbitera, który podobno był patriarchą Efezu i żył na przełomie I i II wieku. O jego istnieniu dowiadujemy się z notatki w Historii Kościoła Euzebiusza, który ze swej strony zaczerpnął ją z zaginionych pism Papiasza. Jan Prezbiter był podobno mędrcem i znawcą filozofii greckiej, miał więc wszelkie dane po temu, by napisać takie dzieło, jak czwarta ewangelia.

Ale i w tym wypadku całe rozumowanie oparte jest na bardzo lakonicznej wzmiance, w dodatku pochodzącej z drugiej ręki. Wobec tego wysunęto jeszcze dwie inne teorie. Pierwszą nazwano teorią dwóch autorów. Jej rzecznicy utrzymują, że autorem jest wprawdzie Jan Prezbiter, że jednak wykorzystał on w swoim opracowaniu wspomnieniowe materiały Jana Apostoła lub też umiłowanego ucznia Jezusa. Na poparcie tej tezy cytuje się między innymi Euzebiusza, który twierdzi, iż w Efezie istniały groby dwóch Janów.

Najciekawsza i najprawdopodobniejsza jest teza, że czwarta ewangelia ma charakter kompilacji, że jest zbiorem różnych materiałów, złączonych w całość przez redaktorów, którzy ujawnili się w rozdziale 21. Zwolennicy tej tezy stoją na stanowisku, że istnieją w tekście wyraźne poszlaki kompilacyjnej roboty. Tak np. spotykamy się w ewangelii z zastanawiającymi sprzecznościami, raz jest ona filosemicka, raz znowu wyraźnie antysemitka. Wiele scen i osób zupełnie nie znanych pozostałym ewangelistom, jak spotkanie z jawnożreźnicą, umywanie nóg, wskrzeszenie Łazarza i enigmatyczna postać faryzeusza i „księcia żydowskiego” Nikodema - może służyć za dowód, że do tradycyjnej biografii Jezusa dorzucono garść podań o zasięgu regionalnym, nie przekraczającym okolic Efezu.

Jedną z takich części składowych jest na pewno ostatni rozdział, różniący się od reszty tekstu zarówno stylem, jak i językiem. Został on docepiony do ewangelii później przez nieznaną redakcję. Również prolog budzi podejrzenie, że kiedyś tworzył odrębną utwór literacki. Utrzymany w stylu hymnu skierowanego do Chrystusa jako do boskiego logosu i światłości świata, przypomina według mniemania niektórych badaczy ów hymn, o którym w swoim raporcie do cesarza Trajana pisze namiestnik Bitynii, Pliniusz Młodszy. O tym hymnie mieliśmy już okazję wspominać w rozdz. I. Pliniusz donosi, że chrześcijanie tamtejszych okolic Azji Mniejszej gromadzili się o święcie i śpiewali jakiś hymn do Jezusa Chrystusa, którego czcili jako Boga. Ponieważ czwarta ewangelia powstała w Efezie, a więc także w Azji Mniejszej, nie można wykluczyć, że autor czy autorzy ewangelii znali ten hymn i wyzyskali go w prologu, nadając mu odpowiedni kształt i sens doktrynalny.

Jak z tego wszystkiego należy wnioskować, sprawa ustalenia autorstwa ewangelii jest właściwie beznadziejna. Zapewne nigdy już nie dowiemy się, kto był jej autorem. Wyjaśnienia tajemnicy należy może szukać w wykopaliskach Efezu, w jego ruinach, gdyż miasto już dzisiaj nie istnieje. Pozostały tylko potężne wzniesienia, nawarstwione przez ziemię i burzliwe losy historii. W tym smętnym gruzowisku odsłonięto już stare mury miejskie i ruiny budowli z bizantyjskich epok: z czasów greckich, rzymskich i bizantyjskich, a także z okresu wypraw krzyżowych i

inwazji wyznawców Mahometa. Odkryto resztki słynnej świątyni Artemidy oraz gigantyczne kolumny korynckie, które ongiś zdobiły świątynię Kybele i Serapias. Na wzgórzach, panując nad całą okolicą, stercza poszarpane zwałiska fortyfikacji żydowskich, a obok widnieją odkopane fundamenty kościoła św. Jana. Wiesz gmina głosi, że do dnia dzisiejszego ukryty jest tam grób Apostoła. A może właśnie w tej świątyni chrześcijańskiej były owe dwa groby, o których wspomina Euzebiusz? Sprawa komplikuje jeszcze to, że również Smyrna jest przekonana, że posiada grób św. Jana Ewangelisty.

Trudno dziś na ten temat coś powiedzieć, chyba to tylko, że wyobraźnia nabożnego ludu nie zna granic. W Efezie przecież pokazywano także grób św.

Lukasza, który w rzeczywistości stanowiął część ruin świątyni pogańskiej, oraz ruiny domu, w którym na starość miała zamieszkać Najświętsza Maria Panna. Tam też pokazywano pieczarz Siedmiu Braci Śpiących. Według tej legendy prześladowcy rzymscy zamknęli siedmiu młodych chrześcijan w pieczarze skalnej. Po upływie dwustu lat młodzi męczennicy wyszli z pieczarzy, głosili zdumionym mieszkańcom Efezu chwałę Jezusa Chrystusa, a wieczorem tegoż dnia zostali wniebowzięci jako święci. Gdy Efez przeszedł w ręce tureckie, siedmiu braci śpiących przeszło do folkloru tureckiego, z tą różnicą że dodano im psa Katmira, który w nagrodzie za swą wierność dostał się wraz ze swoimi panami do raju. Bracia stali się patronami żeglarzy, a ponadto chronili domy od pożarów. Sława ich rosła i rozchodziła się po całym Bliskim Wschodzie. W Tarsie np. wierzono, że leczą bezpłodność kobiet. W rezultacie stali się oni przedmiotem kultu chrześcijan i wyznawców islamu.



Dzieje Apostolskie i listy Nowego Testamentu

AUTORZY LISTÓW

Kim był Jezus, zanim stał się Chrystusem? Jaki był tu na ziemi właściwy przebieg jego życia? Przypomnijmy pokrótce, co na ten temat dowiedzieliśmy się z dotychczasowych rozdziałów. Otóż badacze biblijni szukali odpowiedzi na to pytanie oczywiście także w literaturze niechrześcijańskiej i, jak widzieliśmy, niewiele się dowiedzieli. Co prawda są w tej literaturze pogłosy, które do pewnego stopnia potwierdzają historyczne istnienie Jezusa, ale poza tym nagim faktem nie ma w niej żadnych bliższych danych.

Mieliśmy jednak prawo spodziewać się, że kto jak kto, ale sami pierwsi wyznawcy i uczniowie Jezusa, ci którzy znali go osobiście, postarają się o to, by następnym pokoleniom przekazać w spadku wszystko, cokolwiek o nim widzieli z pierwszej ręki. Byłoby przecież niezgodne z naturą ludzką, gdyby jego własni uczniowie nie pragneli ocalić od zapomnienia najdrobniejszych nawet okrucich wiadomości o jego życiu i działalności. Tymczasem okazuje się, że ewangelie nie są, a nawet, co dziwniejsze, w zamierzeniu ich autorów nie miały być biografiami, że przyszywały im zupełnie inne cele, niż opis żywota Jezusa.

A zatem, jeżeli chodzi o ich wkład w rekonstrukcję biografii Jezusa, nie są one źródłem niezbyt hojnym. Tematyka ich obejmuje właściwie tylko ostatni, misyjny okres Jezusa, na który według synoptyków składa się nie więcej niż rok, a według Jana Ewangelisty około trzech lat jego publicznej działalności.

To wszystko! Cała reszta jego żywota, bez mała trzydzieści lat, to biała karta. Pomijając garść informacji o jego narodzinach, baśniowego raczej autoramentu, oraz anegdotę z lat pachołowych, nie wiemy, gdzie Jezus przebywał, gdzie się kształcił i w ogóle, co porabiał w okresie tych trzydziestu lat. W dodatku okazało się, że nawet to, co podajają nam ewangelie w swoich relacjach, często budzi wątpliwość. Udało się bowiem ustalić, że nie pochodzą one z pierwszej ręki, mimo że osoby uchodzące za ich autorów powinny byćżnack opisane w nich sprawy z autopsji. Tymczasem ci rzekomo

naoczni świadkowie wydarzeń, podobnie jak Łukasz - ich powiem i dziejopis - wszyscy oni korzystali z cudzych źródeł. Tak np. Mateusz i Łukasz włączyli do swoich ewangelii prawie cały tekst Marka.

Dlaczego ewangelicji przejawiali taką niesamodzielność, dlaczego nie spisali tego, co powinni byli sami od siebie pamiętać o Jezusie? Łukasz co prawda nie znał Jezusa osobiście, ale kontaktował się z Piotrem i Pawłem. Z ich ust mógł przeto usłyszeć niejedną anegdotę o boskim Nauczycielu: dlaczego milczy na ten temat, a tylko powtarza to, co między innymi dowiedział się od Marka?

To wszystko musiało nastrojać nieufnie. Cóż bowiem powiedzielibyśmy o autorze, który podając się za bliskiego towarzysza jakiejś wybitnej osobistości, publikowałby o niej swoje wspomnienia, a potem wyczerpał na jaw, że materiał do tych wspomnień zaczerpnął głównie z cudzych opracowań?

Wiemy już dzisiaj, gdzie tkwi sedno tej zagadki. Nie Mateusz, nie Marek, nie Jan, a także może nawet nie Łukasz napisali ewangelie. Napisali je bądź skompilowali z rozmaitych źródeł i przekazów ustnych, zgola inni, nie znani nam autorzy, których prawdziwych imion już nigdy chyba nie poznamy. Nawet Kościół katolicki musiał uznać, że problem autorstwa ewangelii bynajmniej nie jest zamknięty i że należy zgodzić się na dalsze naukowe badania tej sprawy.

A więc, powtórzmy to jeszcze raz, autorzy ewangelii nie byli naocznymi świadkami. Byli to kompilatorzy, którzy swoje wiadomości czerpali z zasobów folklorystycznej tradycji gmin chrześcijańskich, gdzie już wówczas droga wiązania faktów z legendą ustalał się pewien stereotypowy wzorzec biografii Jezusa, nazwany przez niektórych „protoewangelią” lub „praewangelią”. W jednym z późniejszych rozdziałów zajmiemy się problematyką formowania się tego biograficznego prototypu. Wystarczy powiedzieć, że ewangelie synoptyczne wywodzą się z takiego wspólnego źródła i między innymi stąd właśnie ich względna zgodność, która dała podstawę do przekonania, że ich autorzy jako naoczni świadkowie niezależnie od siebie opowiadają, co rzeczywiście się wydarzyło.

Osobliwą rzeczą jest to, że tej wiary nie zdołała podważyć nawet Ewangelia według Jana. Powstała ona, jak wiemy, w zgola innym środowisku, niezależnie od wpływów tego synoptycznego wzorca. W konsekwencji występująca w tej ewangelii postać Jezusa jest tak dalece odmienna, że mamy prawo zapytać, która wersja jest prawdziwa: synoptyczna czy Janowa. Jakkolwiek by było, fakt pozostanie faktem, że Nowy Testament także nam przyjął na wierą dwa niepodobne do siebie wizerunki założyciela chrześcijaństwa.

Te pobieżna rekapitulacja poprzednich rozdziałów przeprowadziliśmy w tym celu, by raz jeszcze uprzytomnić sobie, jaką wartość źródłową mogą mieć ewangelie, jeżeli chodzi o rekonstrukcję rzeczywistej biografii Jezusa. Ale w Nowym Testamencie mamy jeszcze dwie pozycje, które ze względu na swój gatunek literacki powinny w tej mierze rokować lepsze nadzieje. Chodzi tu przede wszystkim o Dzieje Apostolskie, a także o zbiór listów przypisywanych Pawłowi, Jakubowi, Piotrowi, Janowi i Judzie Tadeuszowi.

Pomówimy nasamprzód o tych listach. Są one ważnym źródłem do historii chrześcijaństwa. Najstarszą część Nowego Testamentu stanowią listy Pawła z Tarsu, napisane mniej więcej w latach między 50 a 64 r., o wiele wcześniej niż Dzieje Apostolskie. Jednakże w wyniku badań filologicznych ustalono, że spośród czterestu listów Pawła w najpewniejszym razie tylko ich część można uznać za autentyczne. Są nawet badacze, którzy do tej kategorii bez zastrzeżeń chcą zaliczyć zaledwie cztery. Wyraźnieliśmy tego poglądu był już w połowie XIX wieku główny profesor teologii w Tubingen Ferdynand C. Baur. Doszedł on do przekonania, na podstawie filologicznej analizy tekstów, że Paweł napisał w istocie rzeczy tylko oba listy do Koryntyan oraz listy do Galatów i Filomena.

Rezultat tych badań potwierdzili z jedną poprawką współcześni bibliści z Edynburga: prof. teologii Macgregor i jego współpracownik Morton. Posłużyli się w swoich badaniach lingwistycznych komputerem i w wyniku statystycznych obliczeń ustalili dowodnie, że jednakowe cechy stylu i słownictwa wykazuje pięć listów, a mianowicie List do Rzymian, oba listy do Koryntyan oraz listy do Galatów i Filomena. Nie ulega zatem wątpliwości, że napisał je ten sam człowiek. Skoro z pewnych względów, nad którymi nie pora tu się rozwódzić, uchodzi za rzecz ustaloną, że autorem dwóch z wymienionych listów jest Paweł (chodzi tu o Pierwszy list do Koryntian i List do Galatów), więc logicznie rzecz biorąc trzeba zgodzić się, że jest on autorem również i trzech pozostałych.

Nie wolno nam jednak zapominać o tym, jakiego losu te listy doznały. Po śmierci Pawła wpływ jego sugestywnej osobowości w gminach chrześcijańskich dość szybko uległ osłabieniu, a listy jego stopniowo wychodziły z obiegu, aż w końcu wręcz o nich zapomniano. Wiele lat musiało upłynąć, zanim rozsną poczynność Dziejów Apostolskich przypomniała ludziom zasługi Pawła i w konsekwencji uświadomiła im wagę jego listów. Był to czas najwyższy, bo cała korespondencja na skutek jej zaniedbania doznała już poważnego uszczerbku. Sądzi się na przykład, że obecny tekst Listu do Rzymian jest skomponowany z fragmentów

rozmaitego pochodzenia. Dwa listy do Koryntian przetrwały tylko w rozproszonych fragmentach i musiały być na nowo zestawione w całość. Co do pozostałych listów rzekomo przez Pawła napisanych, to wiadomo już dzisiaj, że wysły one spod pióra nieznaną autorów, którzy zwyczajem ówczesnych czasów podzieli się pod imię Apostoła, by przysporzyć swoim wydomom większej powagi. Listy do Tymoteusza i Tytusa powstaly dopiero w pierwszej połowie II wieku; odzwierciedlają one stosunki w gminach, które za życia Pawła nie mogły jeszcze istnieć. Ich treścią jest walka z pewnymi herezjami z czasów, kiedy Paweł już dawno nie żył. Oczywiście nie jest tu naszym zamiarem zajmować się tymi sprawami szczegółowo. Są to zagadnienia specjalistyczne w całym tego słowa znaczeniu, niezmieszalne złożone, a przy tym bynajmniej nie rozstrzygnięte ostatecznie. Literatura krytyczna zajmująca się listami jest olbrzymia i nawet dla studiujących to zagadnienie niełatwa do opanowania. Nam chodziło tylko o to, by czytelnik w sposób najogólniejszy uświadomił sobie problem, jaki przedstawiają te listy pod względem ich wartości historycznej.

Trzeba dla ściśłości zaznaczyć, że Kościół katolicki wyników tych filologicznych badań na ogół nie uznaje. Zdarzają się jednak odchylenia od tej rygorystycznej postawy. Dotyczy to na przykład Listu do Hebrajczyków, o którym nie sposób dziś utrzymywać nadal, że jego autorem jest Paweł. Wielki teolog Kościoła katolickiego Origenes w jednym ze swoich pism wyraził się, że Bóg jeno wie, kto napisał List do Hebrajczyków. Napisał go ktoś z bliskiego otoczenia Filona z Aleksandrii, ktoś, kto pod wpływem tego żydowskiego filozofa-bibliisty pozostawał od tego stopnia, że nie tylko naśladował jego metode alegoryzacji Biblii, ale nawet przyswoił sobie jego słownictwo i frazeologię. List jednak nadal figuruje w Nowym Testamencie pod imieniem Pawła, chociaż w tej sprawie okazała niezdedykowana stanowisko nawet Rzymska Komisja Biblijna, o której w Dziejach Pawła z Tarsu kł. prof. E. Dąbrowski pisze, że „kwesłiti jej w sensie definitywnym bynajmniej nie przesądza i dyskusji, w jakim stopniu Pawła za autora tego listu uważać należy, zamykać nie zamierza”.

Co do pozostałych listów, to wielu badaczy (szczególnie niemiecki bibliista Marxsen) stwierdziło wręcz, że ani jeden nie może być uznany za autentyczny. Są one, by użyć terminu specjalistów, „pseudoepigrafami”, to znaczy, że autorstwo ich jest sfingowane. Nie napisali ich widniejący w nagłówku apostołowie, lecz inne, nie znane nam osobistości ze środowisk chrześcijańskich. Czy one same, czy też późniejsi kopisci przypisali te listy odnośnym apostołom, nie sposób już wykryć. Przypuszczalnie krążyły one jakiś czas bezimiennie, co oczywiście sprzyjało powstawaniu tego rodzaju pomylek czy świadomych mistyfikacji.

Do pewnego stopnia wyjątkiem jest tu Pierwszy list Jana Apostoła. Wiemy bowiem, że napisał go nasz dobry znajomy, ten sam autor, któremu zawdzięczamy czwarta ewangelii. Nie tak dobrze przedstawia się sprawa z pozostałymi dwoma listami Jana. Autorzy ich to zupełnie inne osoby, które z autorem pierwszego listu to tylko miały wspólne, że żyły z nim współcześnie, w tym samym czasie.

List Jakuba Apostoła datuje się najprawdopodobniej z okresu panowania cesarza Dioklecjana (243-313 r.). Staranna greka tego listu świadczy, że autor był męzem wykształconym, biegłym w literaturze klasycznej. Rzecz chyba jasna, że Jakub Galilejski nie mógł być takim wytrawnym hellenistą.

Pierwszy list Piotra Apostoła pochodzi z czasów Domicjana (81-96 r.) albo, jak inni utrzymują, nawet z czasów Trajana (98-117 r.). Tę ostatnią ewentualność uzasadnia się podobnymi informacjami, jakie o ówczesnych chrześcijanach podają rzekomy list Piotra i korespondencja Pliniusza Młodszy z Bitynii. Drugi list Piotra zdradza swój apokryficzny rodowód w ten sposób, że ostrzeżenie przed pewnymi herezjami, które w rzeczywistości powstały później i o których autor powiada, że ku swej zgubie przekraczają treść listów Pawła.

A więc, jak widzieliśmy, niemало w nich anachronizmów. Wreszcie List Judy. Nieznany autor czy też przepisywacz, który posłużył się autorytetem Judy dla nadania większego ciężaru gatunkowego gromom potępiania, rzucając w tym liście na bezbożników wśród braci chrześcijan, nie ustrzegł się jednak przeoczenia, które miało ten skutek, że jak szły z worka wyszło na jaw to w bogobojnej intencji popelnienie szalbierstwa. Pozostawił mianowicie bez retuszu werst siedemnasty, z którego nie sposób nie wnioskować, że sam autor nie tylko nie zaliczał się do grona apostołów, ale tak zwany okres apostołski należał w chwili powstawania tego listu do zamkniętej przeszłości, a więc Judy nie mogło już wte dy być na świecie.

Nie znaczy to jednak, aby listy Nowego Testamentu nie przedstawiały dla historyków i religioznawców wartości źródłowej. Jeżeli bowiem ich oficjalni autorzy (z wyjątkiem, jak się rzekło, paru listów Pawła) okazali się fikcyjni, to na pewno nie można tego powiedzieć o treści tych listów. Są one bowiem autentyczną, spontaniczną, na gorąco notowaną reakcją na rozmaite zjawiska, które charakteryzowały życie społeczne i obyczajaje rozproszonych po świecie zbiorowisk chrześcijańskich. Obraz, jaki staje przed naszymi oczyma przy lekturze tych listów, jest uderzająco bogaty w szczegóły i

pasjonujący. Widzimy rzesze wiernych oddanych duszą i ciałem Chrystusowi, obraz zaiste przymienny. Ale tuż obok panoszą się nieprawości, gorszące intrzy i niesnaski wśród członków gmin, sekciarskie apostasze i zdrada, rozluźnienie obyczajów, a nawet wynaturzenia moralne. Zafascynowani obserwujemy, że z tego kłębliwsza dobrzych i złych instynktów natury ludzkiej wykluka się moziele idea nowego człowieka.

Autorzy tych listów, jakkolwiek ukryci za maską fikcyjnych imion, są jednak historycznie prawdziwi, bo przecież naprawdę istnieli, bo walczyli z pasją o tego nowego człowieka. Nie byli to jednak apostołowie. Nie znali Jezusa osobiście, tak jak utrzymuje tradycja, a zatem nie mogą być uznani za naoznacznych świadków życia i czynów Jezusa. Dlatego w ich listach nie znajdujemy nie takiego, co by okazać się mogło przydatne w próbach rekonstrukcji jego biografii.

A jak przedstawia się sprawa w autentycznych listach Pawła? Nie jest oczywiście naszym zadaniem przeprowadzenie rozbioru ich zawartości. Mówiąc najogólniej, autor porusza w nich szereg problemów doktrynalnych i obyczajowych, które wówczas, gdy był i działał, były przedmiotem troski gmin chrześcijańskich. Jednakże głównym zamierzeniem autora tych listów jest lansowanie idei teologicznej, która wprawdzie zarysowała się niejako samorzutnie już w ówczesnych środowiskach chrześcijańskich na skutek synkretycznego działania rozmaitych wpływów hellenistycznych, ale który Paweł dopiero był konsekwentnym wyrazicielem i zapamiętałym propagatorem.

Myśl główna tej nauki sprowadza się do wiary, że Jezus Chrystus jest Bogiem, który dla odkupienia ludzkości z grzechu pierwotnego umarł na krzyżu, zmartwychwstał, wstąpił do nieba i lada dzień wróci, by zaprowadzić Królestwo Niebieskie na ziemi. W tej soteriologicznej koncepcji, Jezus jako człowiek osadzony w konkretnej sytuacji historycznej oczywiście musiał ustąpić na plan dalszy. Paweł, całkowicie pochłonięty przez swoją wizję, która z nagłej rewelacji objawiła mu kosmiczny sens życia i śmierci Jezusa, nie przywiązywał wagi do ziemskiej strony jego żywota. W swoich listach przedstawia Jezusa zawsze tylko jako „Chrestosa” (Mesjasza), Syna Bożego, Zbawiciela lub Syna Człowieczego. W Drugim liście do Koryntian czytamy: „... i jeśliśmy i znali Chrystusa według ciała, to go już teraz nie znamy” (5,16). Wynikało stąd to, na co zwrócił uwagę już Dawid F. Strauss, że mianowicie Paweł najwidoczniej z rozmysłem unikał w swych teologicznych spekulacjach obrazu Jezusa cielesnego, bo taki obraz był mu niepotrzebny, bo niejako był psychologiczną barierą w dążeniu do wydzignięcia Nazarejczyka na wyżyny boskiego sprawcy wielkiego misterium zbawienia.

Tego rodzaju nastawienie ułatwia mu zresztą ta okoliczność, że nie znał Jezusa osobiście, że wobec tego nie był w sytuacji owych Żydów z Ewangelii Jana, którzy woli je zgroza i zdumieniem: „Czyż to nie jest Jezus, syn Józefa, którego ojca i matkę my znamy? Jakże więc może on mówić: Zstąpiłem z nieba” (6, 41-42).

Cokolwiek wiedział o Jezusie, zasłyszał od innych, przeważnie od żarliwych jego wyznawców, którzy w swoich pełnych egzaltacji wspomnieniach wyobrażali go sobie jako istotę ponad ludzką miarę. Ta właśnie abstrakcyjna koncepcja Pawła, w której Jezus odkonkretyzował się i stał się wyłącznie upostaciowaniem wielkiej teologicznej idei sprawia, że - w jego listach Jezus -człowiek jest prawie zupełnie nieobecny.

TRZYDZIEŚCI NIEZMIERNIE WAŻNYCH LAT

Poświęcając te kilka zdań listom apostołskim, przekształcamy na chwilę piątą w porządku kanonicznym księgę Nowego Testamentu: Dzieje Apostolskie. Zastępują one na nie mniejszą, a może nawet z pewnych względów na większą niż listy uwagę i dlatego wypada nam do nich powrócić. Jest to jedyne źródło do historii rozwoju wczesnego chrześcijaństwa przed III wiekiem, jakie zachowało się do naszych czasów i swoją narracją obejmuje trzydzieści niezmiernie ważnych lat, mianowicie okres od ukrzyżowania Jezusa aż do pojawienia się w Rzymie Pawła Apostoła w latach 61-63. Z poprzednich rozdziałów wiemy, jak bujny, bogaty w wydarzenia i przelomowy był to okres w historii nowej religii, toteż uczonych intrzygało pytanie, o ile Dzieje Apostolskie są wiernym odbiciem tych czasów, a mówiąc po prostu - czy są one wiarygodnym źródłem historycznym.

Interesował ich przede wszystkim problem autorstwa i data powstania tego dzieła. Nie ma wątpliwości, że jest ono dalszym ciągiem Ewangelii Łukasza, że oba dzieła stanowią jednolitą kompozycję tego samego autora, podzieloną na dwa tomy odpowiadające ówczesnym dwóm zwojom. Wynika to z początkowych zdań Dziej Apostolskich, czytamy tam bowiem, co następuje: „Pierwszą księgę napisałem, Teofilu, o wszystkim, co począł był czynić i nauczać Jezus...”

Ale za wspólnym autorstwem przemawiają jeszcze inne sprawdziany. Filologowie ustalili na przykład za pomocą precyzyjnej metody statystycznej, że obie części łączą tożsamość stylu i słownictwa, nie mówiąc już o fakcie, że autor je dedykował jednej i tej samej osobistości, niejakiemu Teofilowi, zwanemu przezeń „dostojnym”. Wreszcie nie bez

wartości dowodowej w tym względzie jest to, że prolog Dziej Apostolskich jest jakby rekapitulacją ostatniego rozdziału Ewangelii Łukasza, a więc ogniwem wiążącym obie części w jedną całość narracyjną.

Według tradycji kościelnej autorem obu ksiąg miał być Łukasz, towarzyszący podróży, sekretarz i lekarz Pawła. Jako dowód jego autorstwa wskazuje się m.in. na fakt, że ewangelia jego imienia zawiera mnóstwo terminów medycznych, które mógł znać tylko zawodowy lekarz tamtych czasów.

Rzecz nie jest jednak tak prosta, jak się to przedstawia. Nie wolno nam przede wszystkim zapominać, co już parokrotnie podkreślaliśmy przy innych okazjach, że ewangelie z początku krążyły wśród czytelników bezimiennie, zanim przypisano je poszczególnym autorom. W tych warunkach tradycja ustna, tak często przecież zawodna, nie ma i nie może mieć i w tym przypadku wartości kategorycznego dowodu.

Łukasz w tekstach obu ksiąg ani razu nie występuje imieniem. Jak więc doszło do tego, że w pewnej chwili uznano go za ich autora? Dzisiaj na ten temat możemy gubić się tylko w domysłach. Zapewne pamiętano, że Łukasz był towarzyszem Pawła, toteż opinia, że jest on autorem obu tych ksiąg Nowego Testamentu, mogła łatwo powstać pod wpływem wzmianek w trzech listach figurujących pod imieniem Pawła. W kwestionariuszu Drugim liście Pawła do Tymoteusza (4,11) oraz w autentycznym Liście Pawła do Filomena (4,24) imię Łukasza wymienione jest lakonicznie wśród innych towarzyszy autora, a więc bez specjalnego wyróżnienia.

Natomiast autor Listu do Kolossan określa go bliżej, nazywając „lekarzem najmlsijszym” (4,14). W tym jednak bieda, że list ten zawiera anachronizmy i przez wielu biblistów definitywnie uznany został za apokryf. Wynikałoby z tego, że nie od Pawła pochodzi ta jedyna notatka, która wyraża jakiś bardziej osobisty, bardziej zażyły stosunek do Łukasza.

Wyżej przytoczyliśmy argumenty stawiające pod znakiem zapytania autorstwo Łukasza. Nie powracamy więc do tej sprawy. Warto tu tylko dla przypomnienia jeszcze raz podkreślić uderzającą zależność autora od obcych źródeł, a także jego nawyk posługiwania się beltryzacyjną dla uzupełnienia luk w wątku opowiadania, powstających na skutek niedostatków konkretnych wiadomości, niedostatków trudnego do wytlumaczenia u człowieka, który jako towarzysz Pawła powinien był mieć dostęp do źródeł z pierwszej ręki. Nie zna on np. autentycznych listów Pawła.

Jakiej wnikliwości potrzeba nieraz w tego rodzaju poszukiwaniach i analizach filologicznych, świadczy argument, jaki biblisty wykryli w samym tekście Dziej Apostolskich. Otóż w rozdziale dwudziestym czytamy, że w podróży do Syrii towarzyszył Pawłowi ludzie nazwiskiem Sopotar, Arystarch, Sekundus, Gajus, Tymoteusz, Tychik i Trofim. Natomiast nie wymieniony jest Łukasz. A jednak następne zdania podane są w pierwszej osobie liczby mnogiej: „my odpłynęliśmy”, „przybyliśmy”, „gdymyśmy się zesłali”, „a my, wsiadaliśmy na okręt”, „podpłynęliśmy”.

Należałoby stąd wnioskować, że autorem tych wspomnień nie był Łukasz, lecz ktoś z wyżej wymienionych towarzyszy podróży Pawła. Dlaczego bowiem Łukasz, człowiek bystrego umysłu, miałby dopuścić się takiej niezrozumiałej niekonsekwencji, że naprzód nie włącza swego nazwiska w poczet towarzyszy Pawła, by potem ni stąd ni zowąd pisać: „my to zrobiliśmy”? Niektórzy egzegetzi wyrzylili przypuszczenie, że pominął siebie przez skromność, ale nawet gdybyśmy przyjęli taką wątpliwą wartość hipotezę, pozostałoby jeszcze pytanie, jak mógł Łukasz nie dostrzec tak balamucjącej niekonsekwencji w owym fragmencie swego opowiadania. Istnieje jeszcze inne przypuszczenie. Uważnego czytelnika musi uderzyć, że wersety określone przez biblistów terminem „my”, stanowią w tekście jakby odrębną grupę narracyjną (16, 10-17; 20,5,15; 21,1-18; 27,1-28). Ponieważ istnieją wyraźne poszlaki, że Dzieje Apostolskie w ciągu wielu lat nie były przedawagowywane i rozszerzane, nie jest wykluczone, że zdania określone przez biblistów terminem „my” są w rzeczywistości włączonymi do tekstu fragmentami jakiegoś dziennika podróży. Czy jednakże autorem tego dziennika był Łukasz, tego nie wiemy i niestety nigdy już chyba się nie dowiemy. Mniej kłopotliwa jest kwestia daty powstania Dziej Apostolskich, chociaż i tutaj nie obyło się bez kontrowersji. W tekście księgi nie znaleziono żadnej aluzji do zbурzenia Jerozolimy, co niektórym egzegetom wystarczyło za dowód, że ukazała się ona jeszcze przed 70 r. Niestety, nie biorą oni pod uwagę naszego nam już faktu, że Dzieje Apostolskie stanowią drugą część Ewangelii Łukasza, że przeto mamy tu do czynienia z jednym dziełem podzielonym na dwie części, napisanym przez jednego i tego samego autora. Tymczasem w tekście tej ewangelii, jak to już wiemy, wysłędzono echa zbурzenia Jerozolimy, a nawet przesładowano wyznawców Chrystusa przez cesarza Domjana, który panował w latach 81-96. W takim razie Dzieje Apostolskie musiały powstać, jeżeli nie później, to przynajmniej jednocześnie z Ewangelią Łukasza, czyli ok. 90 r. Kwestia daty nie jest tak obojętna, jak by się to wydawało. Często stopień wiarygodności dzieła historycznego czy pamiętnika trzeba oceniać zależnie od tego, kiedy zostało napisane: parę czy kilkadziesiąt

lat po opisywanych wydarzeniach. Szczególnie wtedy, gdy nie jest ono oparte na pewnych źródłach, lecz właśnie jak Dzieje Apostolskie na nieokreślonych przekazach ustnych i zawodnej pamięci ludzkiej.

Czytając Dzieje Apostolskie zauważamy od razu, że już w zaraniu swego rozwoju chrystianizm wykazuje tendencje ku rozwojowi. Jest to opowieść o tym, jak nowy ruch religijny, pierwotnie zrodzony w łonie judaizmu, stopniowo wyzwała się wśród dramatycznych konfliktów z tak zwanego „jarzma Tory”, to znaczy z takich na przykład przepisów rytualnych, jak zabieg obrzezania, stanowiących przeszkody w pozyskaniu wyznawców wśród Greków i Rzymian. Ten proces ewolucyjny, prowadzący od izolacjonizmu judeochrześcijańskiego w Jerozolimie do uniwersalizmu Pawła Apostoła, od okresu palestyńskiego do światowej kariery nowej religii w tak świętych ośrodkach miejskich obszaru śródziemnomorskiego, jak Antiochia, Efez, Korynt, Ateny i Rzym, znajduje swój wyraz nie tylko w tekście narracji, ale także w kompozycji dzieła. Dzieli się ono bowiem na dwie prawie równe części. Pierwsza liczy dwanaście rozdziałów poświęconych wydarzeniom w Judei, Samarii i Syrii, natomiast pozostałe szesnastie rozdziałów to opis trzech podróży misyjnych Pawła w świecie rzymsko-hellenistycznym, zakończonych jego przymusowym pobytem w Rzymie.

JĘZYKI OGNISTE

Autor Dziej Apostolskich w żywej, obrazowej narracji prowadzi nas od epizodu do epizodu, przy czym z nierafnością swobodą zamazuje granicę między światem realnym a światem nadprzyrodzonym. Rzeczywiste wydarzenia historyczne gęsto są przepłatanie najrozmaitszymi cudami, aniołowie przyobleczeni w ludzkie postacie zjawiają się, by interweniować i spieszyć z pomocą, gdy sytuacja tego wymaga.

Zaczyna się wszystko od majestatycznej sceny Wniebowstąpienia. Przede wszystkim ku naszemu zaskoczeniu dowiadujemy się pewnego szczegółu, o którym jakiś głuch u ewangelistów, mianowicie o tym, że Jezus po zmartwychwstaniu przebywał na ziemi ze swoimi uczniami jeszcze przez czterdzieści dni. I oto teraz, pożegnawszy się z nimi, uniósł się na ich oczach w górę i zniknął w obłokach. Zafasowanych apostołów odwiedzają dwaj aniołowie i przekazują im pocieszającą obietnicę, że Jezus powróci na ziemię. Następnie spotykamy się z Piotrem. Jemu zawdzięczamy wieść o dalszych losach Judasza. Otóż za निकземnie zarobione srebrniki nabył on kawał pola uprawnego, wszelako wkrótce potem doścignęła go sprawiedliwość. Pewnej chwili runął głową naprzód na ziemię i rozpłkł się na dwoje, tak że wnetrzności z niego wypłynęły.

Opowiedziawszy o marnym końcu nieszczęśnika, Piotr zarządził wybór nowego towarzysza na opuszczone miejsce w ich gronie. Z dwóch przedstawianych kandydatów wybrano drogą losowania Macieja i otąd było znowu dwunastu apostołów.

Nastaly Zielone Świątki. Uczniowie Jezusa zesłali się przy tej okazji w jednym z domów jerozolimskich. I wówczas pokój, w którym się zgromadził, napełnił się tak donośnym szumem, że wydawało się, jakoby gwałtowna wichura się zerwała. W tej samej chwili zagóścił w nich Duch Święty, czego widomym wyrazem było to, że na głowach ich ukazały się ogniste języki i poczęły nagle przemawiać obcymi językami.

Przez Jerozolimę przewijało się nieustannie mnóstwo żydowskich pielgrzymów z diaspory, którzy mimo przywiązania do religii ojców, na co dzień mówili już przeważnie tylko językami krajów, gdzie od pokoleń mieszkali ich rodziny. Niewytłumaczony szum idący z nieba sprowadził ich wielu z pobliskich ulic do domu, gdzie przebywali apostołowie. Jakież było ich zdumienie, gdy ci „nieuczni i prości” (4, 13) rybacy z odległej prowincji nagle stali się poliglotaми i przemówili do nich językami ich przybranych krajów. My jednak, doczytawszy do końca tej niezwykłej relacji, zaczynamy powątpiewać, czy sprawa rzeczywiście tak się miała. Winę ponosi tu autor Dziej Apostolskich, który w pewnej chwili, nie wiedzieć dlaczego, sam sobie zaprzecza. Okazuje się mianowicie, że nie wszyscy świadkowie manifestowali zdumienie, że między obecnymi byli i tacy, którym zachowanie się rybaków galilejskich wydawało się niedorzeczne i którzy, jak się żali sam autor, „nasmiewając się mówili: opili się młodym winem” (2, 13).

Stajemy więc wobec kłopotliwej alternatywy: albo apostołowie istotnie mówili obcymi językami wywołując zdumienie, albo przy wtórze nagrawały niektórych świadków gadali od rzeczy jak ludzie, co wypili za dużo wina. Nawet gdyby usiłowano wybrnąć z tego dylematu argumentem, że szycery przypuszczalnie nie znali tych języków, którymi apostołowie akurat się posługiwali i dlatego mylnie brali je za bęłkot, to zawsze jeszcze bez odpowiedzi pozostanie pytanie: jak to być mogło, że takie niesamowite fenomeny, jak nagły szum idący z nieba i ogniste języki na głowach mężów, nie zbyły ich z tropu i nie odjęły im chęci do strojenia sobie żartów. Prózno oczywiście dociekać, jak autor Dziej Apostolskich mógł nie dostrzec tej bądź co bądź rażącej niekonsekwencji. Niekonsekwencja ta jednak

naprowadza nas na ślad pierwotnego źródła tej historii i jej ewolucyjnych przeobrażeń, słowem na jej prawdziwy rodowód. Wydaje się bowiem, że fragment z piąrkami jest niczym innym, jak reliktem bezkrytycznie przeniesionym z najstarszej wersji do późniejszych, rozbudowanych przeóbek. Inaczej trudno wytłumaczyć sobie ten brak logicznej spójności między poszczególnymi komponentami opowieści. U podłoża tej całej historii z ognistymi językami kryje się zjawisko historyczne zwane glossolalią. Polega ono na tym, że ludzie pod wpływem egzaltacji religijnej wpadają w trans i wydają z siebie nieartykułowane dźwięki, stwarzając wrażenie, że mówią jakimiś egzotycznymi językami.

Glossolalia, objaw mistycznego omamienia, nie była w czasach starożytnych rzadkością, a także zdarzała się wśród wyznawców Chrystusa. Wiemy o tym z Pierwszego listu do Koryntian, w którym między innymi czytamy: „Tak i wy, jeśli językiem nie rozumiałyście sposob nie przemówicie, jakże kto zrozumie, co się mówi? Na wiatr mówić będziecie. Wszakże tyle jest na tym świecie rozmaitych języków, a nie masz żadnego bez słów” (14, 9-10). A nieco dalej: „Ale w Kościele wole powiedzieć pięć słów rozumem swoim, abym i innych nauczył, niż słów dziesięć tysięcy językiem niezrozumiałym” (14, 19).

Z tych zdań bezspornie wynika, że Paweł uważał glossolalię za rzecz godną nagany, że zdawał sobie sprawę, iż pod jej wpływem ludzie bredzili, a nie mówili obcymi językami. Pierwszy list do Koryntian jest jednym z najstarszych dokumentów Nowego Testamentu i zakładając, że Paweł przypuszczalnie w swojej rozsądnej przecieć postawie nie był osobniony, możemy przyjąć za rzecz raczej pewną, że pierwotnie większość wyznawców Chrystusa glossolali nie pochwałała. Pozostałością tego nastawienia jest właśnie ów relikwioty szczegół z szycderami w opowieści Łukasza, który w pełną solennego namaszczenia scenę z apostołami nagle wprowadza akcent kpiącego powtapiwania.

W Dziejach Apostolskich, a więc w dokumencie chronologicznie późniejszym, istnieją dane pozwalające nam sądzić, że z biegiem czasu to negatywne stanowisko - zapewne pod wpływem wszechobecnych misteriów hellenistycznych a także, jak to później zobaczymy, tradycji judaistycznej - uległo zmianie. Coraz więcej chrześcijan nabrało przekonania, że egzaltacja religijna to stan duchowy, który znamionuje ludzi nawiedzanych przez Ducha Świętego, i że dlatego wprowadzeni w ten stan wybrańcy nie mamroczą, lecz mówią obcymi językami.

W jawnej sprzeczności z nauką Pawła, Łukasz opowiada w najlepszej wierze, że w to domu setnika rzymskiego Korneliusza takie właśnie mistyczne wyróżnienie spotkało święto przez Piotra nawróconych pogan: „I zdumieni się nawrócenia Żydy, którzy przybyli z Piotrem, że i na pogan łaska Ducha Świętego się wylała. Słyszeli ich bowiem mówiących językami i wielbiących Boga” (Dz. Ap. 10, 45). Różnica w postawie aż nadto widoczna w liście Pawła strofowanie i nawoływanie do opamiętania, a w Dziejach Apostolskich bezkrytyczna wiara w autentyczność praktyk, których nadużywanie Paweł ongiś ganił jako rzecz szkodliwą. Rozbudowa opowieści na tym się bynajmniej nie skończyła. Następna faza wprowadza do niej samych apostołów. Przepuszczalnie stało się to pod wpływem Ewangelii Łukasza i Ewangelii Jana; napomykają one lakonicznie, że uczniów Jezusa napełnił Duch Święty. Oto, co pisze Jan: „To powiedziawszy [Jezus], tchnął na nich i rzekł im: Weźmiecie Ducha Świętego...” (20,22). Nie zważając na to, że w opisie tego epizodu nie ma najmniejszych wzmianek, jakie i czy w ogóle były jakieś zewnętrzne przejawy tego nawiedzenia, ówczesni chrześcijanie nie mogli zgodzić ze swoimi wierzniakami wyobrazić sobie, by ten akt łaski mógł odbyć się bez religijnego uniesienia i mówienia obcymi językami. Siłą rzeczy więc dorobiono to, co ewangelie przemilczały, i w ten sposób podanie imienia wzbogaciło się o nowy, dramatyczny wątek.

Z listy Dziej Apostolskich odnosi się wrażenie, że nowa wersja z apostołami kształtowała się może pod naporem aktualnych potrzeb propagandowych. Chodziło o doktrynę, która podkreślała nadrzędny, charyzmatyczny aurytety apostołów w społeczności chrześcijańskiej, o ich wyłączne prawo do nauczania wśród ludów świata. Były to bowiem łaski, kiedy wpływy paulinizmu, po wieloletnim okresie regresji, na nowo się wzmagaly i pewne kręgi uważały za potrzebne przypomnieć, że właściwymi spadkobiercami Jezusa byli przede wszystkim jego uczniowie z Piotrem na czele. Widocznie jednak zwolennicy Pawła stanowili dość poważną siłę i, jak to często w takich wypadkach bywa, dla przeciwstawienia się jej wyobraźnia ludowa uruchomiła tu w celach apologetycznych specyficzne dla folkloru sposoby argumentacji. Apostołowie stali się jakby pomazaniami, których Duch Święty nazaczył w specjalnie uroczystym akcie sakralnym, potwierdzonym takimi oczywistymi dowodami, jak szum i języki ogniste.

Legenda ta nie jest zresztą oryginalnym wytworem folkloru chrześcijańskiego. Inspirującym wzorem była tu na pewno żywa jeszcze w owych czasach tradycja judaistyczna, która utrzymywała, że Mojżesz ogłosił na górze Synaj swoje prawa w siedemdziesięciu językach, tak aby dotarły one do wszystkich ludów świata. Sam autor Dziej Apostolskich naprowadza nas na ślad tych

judaistycznych filiacji, gdy przez usta Piotra cytuje następujący ustęp z prorocstwa Joela: „Ześle Ducha mojego na każdego człowieka, a synowie wasi i córki wasze będą prorokowali, młodzieńcy wasz widzenia mieć będą, a starcy wasi będą śnili we śnie. A także na sługi wasze i na służebnice wasze ześle Ducha mojego w one dni i będą prorokowali” (Joel 2,28-29). Niejednokrotnie jeszcze wykażemy, że posługiwanie się analogiami ze Starego Testamentu nie jest zjawiskiem odosobnionym w tamtych czasach, że korzystanie z tego rodzaju metody to właściwie podstawowy budulec w kompozycji czterech ewangelii.

Jakże złożony jest rodowód tej w gruncie rzeczy protodusznej opowieści. I gdyby nie wzmianka o obecności prześmięwców, jej utajonej struktury warstwowej może by się nie domyślono. Obecność tej wzmianki, stanowiącej przecięt w ogólnej atmosferze sakralnego namaszczenia i gloryfikacji akcent nieporęczny, da się wytłumaczyć jedynie tylko tym, że z pierwotną wersją pochodzącą z czasów, kiedy pod wpływem Pawła odnoszono się niechętnie do wszelkiego rodzaju praktyk mistycznych, stopiły się w jeden wątek dwa chronologicznie kolejne motywy narracyjne: wydarzenie w domu Korneliusza i otoczenie nimberem boskiego posłannictwa dwunastu apostołów.

Nie daje nam jednak nadal spokojne pytanie, dlaczego Łukasz, człowiek bądź co bądź obyty z rzemieślniczym piarskim, nie wyeliminował z tekstu wzmianki o drwiących niedowiarkach, w tak ewidentny sposób kolidującej z sakralnym nastrojem i tendencją całej opowieści o apostołach. Ponieważ jednak skądinąd wiemy, że bywają w Dziejach Apostolskich partie zdradzające ich charakter kompilacyjny, możemy więc zasadnie przypuszczać, że cała ta opowieść włączona została do tekstu Dzieł Apostolskich przez jakiegoś późniejszego, mniej krytycznego kompilatora, który przeniósł ją żywcem z folkloru, w takim domorosłym, mało zaadaptowanym stanie, w jakim znana była w tradycji ustnej ówczesnych gmin chrześcijańskich.

Od współczesnego człowieka, przywykłego do racjonalistycznego myślenia, nie sposób zresztą wymagać, by przyjął na wiare ten cały naiwny, przez wyobraźnię ludową wymyślony teatralny sztafż z nagłym szumem, z ognistymi językami i z niezrozumiałymi rybakami znanymi z jeziora Genezaret, którzy nagle stali się poliglotami. Blizsze jest mu stanowisko tych egzegzegów, którzy w apoteozie apostołów widzą alegoryczną przypowieść, uzasadniającą charyzmatyczną i nadrzędną rolę bezpośrednich uczniów Jezusa w Kościele.

Mimowolnymi inicjatorami tych legend byli najprawdopodobniej krzewiciele nowej wiary, którzy podobnie jak Paweł wędrowali od gminy do gminy i zatrzymywali się wszędzie tam, gdzie przy żydowskich domach modlitwy powstawały załazki pierwszych wspólnot chrześcijańskich. Mając do czynienia przeważnie z ludźmi prostymi, musieli posługiwać się w swoich naukach formami narracyjnymi przemawiającymi raczej do ich wyobraźni, niż do rozumu, a więc obrazowym przykładem z życia, anegdotą i alegorią. Przepowiedź z morałem była przecięt na Wschodzie tradycyjnym sposobem uroczania gawęd i baśni, także u Żydów i pierwszych chrześcijan. Przypomnijmy tu tylko, że ewangelieści wkładają w usta Jezusa aż czterdzieści tego rodzaju przypowieści. Pierwotnie, jak to już zaznaczyliśmy, były to typowe parabole moralno dydaktyczne, a więc twory oratorskie nie mające żadnego związku z historyczną rzeczywistością. Ich celem było nie tylko przekazywanie wyobraźni słuchaczy, ale także przekonanie ich w sposób poglądowy o prawdziwe głoszonych doktryn i zasad moralnych. Najczęściej jednak fabuła tych przypowieści była tak sugestywna i ludzko realistyczna, że rychło zapomniao o ich fikcyjnym charakterze. Co w jednej gminie narodziło się w toku oratorskiego ferwotu krasomówców, to na fali wcieleni gminnej pojawiało się gdzie indziej już jako rzecz, która naprawdę się wydarzyła. Zapewne taka była też droga powstania legendy o cudownym zstąpieniu Ducha Świętego na apostołów.

DRAMAT ANANIASZA I SAFIRY

Nie wszystkie jednak legendy mają tak skomplikowany rodowód. Spotykamy się bowiem z legendami, które zawiązującą swoje istnienie wyłącznie fantazji ludu, są więc autentycznym tworem folkloru. Przepuszczalne należy do tej kategorii zaliczyć opowieść o Ananiaszu i Safirze, opowieść, której obecność w relacji Dzieł Apostolskich jest chyba jedną z najbardziej frastrujących zagadek chrześcijaństwa.

Oto to historyczne tło niesamowitej historii. Piotr, Jan i pozostali apostołowie według wersji Łukasza znaleźli się w Jeruzolimie, odważnie naucauli na dziedzińcu świątyni, nawracali i chrczili, uzdrawiali chorych i ulomnych, nawet wskrzeszali zmarłych. Mimo przesłaowań ze strony kapłanów, chłosty i uwięzienia osiągnęli w końcu to, że pozyskali dla nauki Jezusa aż pięć tysięcy wyznawców. Organizacja tej pierwszej gminy chrześcijańskiej oparta była na zasadzie bezwzględnej wspólnoty majątkowej. „Albowiem ci, którzy posiadali rolę albo domy - czytamy w Dziejach Apostolskich - sprzedawali je, a przynosili zapłatę za to, co sprzedali, i składali u Apostołów. I wydzielano każdemu, ile komu było potrzeba” (4, 34-35).

Dowiadujemy się ponadto z tych wersetów, że członkowie gminy spożywali posiłki i lamali chleb przy wspólnym stole, co nawiasem mówiąc Kościół poczytuje za jeden z dowodów, że Eucharystia istniała już od samego zarania chrześcijaństwa. Właśnie na tle tych stosunków rozegrał się dramat Ananiasza i Safiry, par małżeńskie, która pod wrażeniem działalności apostołów przystąpiła do nowej seki i dała się ochrzcić. Tak jak im kazano, ci nowi członkowie bractwa poświęcili swoją nieruchomości. Dręczeni jednak myślą, że palą wszelkie mosty za sobą, postanowili nie wszystko, co uzyskali ze sprzedaży, oddać do wspólnej kasy, a chęciachem zatrzymać nieco dla siebie na czarną godzinę.

Piotr, gdy dowiedział się o ich nieszczerym postępkach, przywołał do siebie Ananiasza i zarzucił mu, że próbował oszukać Ducha Świętego, na co winowajca padł martwy jak rażony piorunem. Obecni przy tym zająci młodzieńcy wynieśli ciało z domu i bez zwołki pogrzebali.

Minęły trzy godziny i z kolei zjawia się Safira. Apostołowie postanowili wystawić ją na próbę. Piotr, nie uprzedzając jej, co się stało z mężem, zapytał, ile uzyskali ze sprzedaży dobytku, a gdy i ona nie powiedziała całej prawdy, zgniał ją tymi słowy: „Czemście uložyli między sobą, aby kusić Ducha Pańskiego? Oto we drzwiach nogi tych, co pogrzebali męża twego, a wyniosą i ciebie” (5, 9). Niewiasta również padła martwa u stóp apostoła i młodzi ludzie pogrzebali ją obok męża.

Wymowa moralna tego opowiadania jest aż nadto wyraźna. Razi w nim drastyczna niewspółmierność między winą a karą, świadcząca o skrajnie rygorystycznym, wręcz zwicniętym poczuciu sprawiedliwości. Ani śladu w nim głoszonej przez chrześcijaństwo miłości bliźniego, wyrozumiałości i przebaczenia. Natomiast spotykamy się tu z bezkompromisowym fanatyzmem i surowością bez umiaru.

Ofiarą nad wyraz srogiego gniewu apostoła jest tutaj para małżonków, która z własnej nieprzymuszonej woli przystąpiła do grona wyznawców Jezusa, a której najwyższe można było to zarzucić, że nie od razu wyżyła się leku przed niepewną przyszłością. Mściwość ścigała tych nieszcześników nawet po śmierci. Ciała ich wydano na poniewierkę, zakopując w pośpiechu jak padłe zwierzęta, odmawiając im tych minimalnych posług grobalnych, które w obrzędach religijnych Żydów miały tak ogromną wagę. Ponadto historia ta jest uwalczająca dla Piotra i sprzeczna z tym wszystkim, co o tym apostołe, pełnym prostoty i dostojenstwa, wiemy skądinąd. Według tej relacji Piotr, nie dosyć, że na zimno, bez drgienia litości uśmierca dopiero co do chrześcijaństwa przyciemnionych podopiecznych, ale na domiar w sposób, którego nie można inaczej nazwać, jak tylko prowokacją, popycha do zguby protoduszną niewiastę, ukaraną i tak już utratą męża. W naszych oczach nie usprawiedliwia go bynajmniej twierdzenie, że spowodował tę tragedię z polecenia znieważonego niedowiarstwem Ducha Świętego. Duch Święty jako gniewny sędzia, sięjący strach i zadęły wśród ludzi, którzy ośmielili się nie oddać gminie całego swego dobytku - przecięt jest to typowy obraz rozniewanego bożyszczą z zamierzchłych epok barbarzyństwa!

Najdziwniejszą rzeczą jest w tym wszystkim to, że niektórzy bibliści, jak to wynika z komentarzy w różnych wydaniach Nowego Testamentu, nie mają zastrzeżeń co do historyczności i moralnej słuszności tego opowiadania. Nie wiadomo, jak to tłumaczyć: ślepa wiara we wszystko, co napisane jest w księgach świętych, chowanie głowy w piasek przed niewygodnym problemem, czy też obawa, że podważenie wiarygodności jednego fragmentu może pociągnąć za sobą zakwestionowanie także innych. Tymczasem dobre imię chrystianizmu domagało się, aby od tej mało budującej, jakby przez samego pamphletcistę Celsusa wymyślonej historyjki, stanowczo się odznać. Zwłaszcza że tak łatwo rozwyfrzać jej folklorystyczne rodowód. Wszystko bowiem wskazuje na to, że jest to wymysł zabobonnego gminu, który w ten niewybredny sposób wyrażał swoją pobożną bojaźń przed Bogiem. Oczywiście nie wiemy, jakimi drogami dostała się ta opowieść do tekstu, ponieważ jednak sądzi się, że Dzieje Apostolskie w ciągu wieków przerabiano i uzupełniano, nie można wykluczyć, że mamy tu do czynienia z późniejszą interpolacją. Zresztą z podobnymi, typowo ludowymi opowieściami spotykamy się nie po raz pierwszy. Z ewangelii znamy już dwie inne o bardzo zbliżonym obliczu moralnym, a mianowicie incydent z drzewem figowym, które naraziło się na srogi gniew Jezusa, a także ową istną groteskę ze stadem świni, które opanowane z woli Jezusa przez demonów, wpadają w obłąd i giną w jeziorze. Zobaczymy później, że w tego rodzaju epizody obfituje szczególnie literatura apokryficzna dająca nam jaskrawy przykład, do jakiego stopnia niesforna fantazja ludowa potrafi łać wszelkie szranki rozsądka, grzesząc przeciw regułom dobrego smaku i moralności. Tak na przykład w jednej z tych opowieści Jezus jest mściwym, skłonny do gniewu pacholeciem. Gdy rówieśnik z jego wsi przez nieuwagę go potrącił, pada martwy. Ten sam los spotyka nauczyciela, który skarcił go za kmańność. Rodzice niefortunnego chłopca poszli na skargę do Józefa, wtedy rozsierdzony Jezusik sprawił, że potradali wzrok.

Ale załóżmy, oczywiście hipotetycznie, że historia Ananiasza i Safiry nie jest wymysłem zabobonnego gminu, że naprawdę się wydarzyła. Wówczas powinniśmy się zastanowić, czy jej przyuczynowego źródła nie należy dopatrywać się w układzie stosunków międzyludzkich, wśród których powstała. Chodzi o to, czy nieludzka surowość kary, jaka spada na świezo nawróconych, nie dałoby się może uzasadnić tym, że była ona wyrazem zrozumiałego obrażenia ludzi o surowych obyczajach, w sprawach materialnych osobście absolutnie bezinteresownych. Takich ludzi mogło przecięt ogarnąć przerazenie, że do ich przykładowego grona wkraśla się podstępnie para szalbierzy i zaraz po chrczie próbowała wykpić się z obowiązku podzielenia się doczesnym dobrem, naruszając w ten sposób nazarejską regułę wspólnoty majątkowej.

Czyż jednak wśród nazarejczyków istotnie panowały tak idealne, nieochowane surową etyką stosunki? Następne zdania Dzieł Apostolskich zdają się temu przeczyć. Nazarejczycy, jak się okazuje, nie byli w sprawach materialnych tak skrupulatni, jak by należało sądzić po nieprzejędanej postawie Piotra. Ale niechaj zabierze głos sam autor Dzieł Apostolskich: „... zaczęli szemrać helleniści przeciw Żydom, że przy doczesnym posługiwaniu zaniedbywano ich wdowy. Toteż dwunastu zwoławszy rzeszę uczniów, rzekło: Nie jest słusznym, abśmy opuszczali słowo Boże, a obsługiwali stoły. Upartycie tedy, bracia, spomniędy siebie siedmiu mężów... których moglibyśmy wyznaczyć do tej sprawy. My zaś pilnować będziemy modlitwy i posługi słowa” (6, 1-4).

Dla prawidłowego zrozumienia tego cytatu musimy nasampróżd wyjaśnić sobie znaczenie niektórych określeń. Helleniści i Żydzi to oczywiście nazarejczycy, z tym tylko, że pierwsi byli Żydami z diaspori mówiącymi po grecku, a drudzy jerozolimczykami, znającymi tylko język aramejski. Podział językowy był tak krancowy, że jedni i drudzy posiadali swoje odrębne domy modlitwy, chociaż należeli do tej samej nazarejskiej wspólnoty, której przewodziło dwunastu apostołów.

Nie sposób oprzeć się podejrzeniu, że przebieg konfliktu przedstawiono w Dziejach Apostolskich z rozmysłem dość metnie, tak jakby chodziło o ukrycie jego prawdziwego charakteru. Mimo to potrafimy ustalić szereg podstawowych faktów i w ten sposób chociaż z grubsza zrekonstruować to, co się w istocie rzeczy wydarzyło. Ale Żydów jerozolimskich, którzy zarządzali z wspólnym imieniem seki przypuszczalnie z tej racji, iż jako gospodarze mieli liczebną przewagę w gminie, oskarżono, że przy „codziennym posługiwaniu”, to znaczy przy doczesnym zaopatrywaniu w żywność i odzież, krzywdzili wdowy po Żydach-hellenistach. Był to poważny zarzut, który w końcu doprowadził do otwartego zatargu. Apostołowie widocznie uznali oskarżenie za słuszne, gdyż zgodzili się na to, aby odpowiedzialność za gospodarkę w gminie przejęli na siebie „helleniści”. W tym celu wybrano komitet siedmiu helleniistów ze Szczepanem na czele, prowodyrem protestacyjnego wystąpienia. Komitet siedmiu miał, jak powiada autor Dzieł Apostolskich, „obsługiwać stoły”. Dawniej rozumiano to w tym sensie, że miał on sprawować nadzór nad wspólnymi posiłkami. Ostatnio jednak przynajmniej w temu określeniu szersze znaczenie treściowe. Zwolennicy tej nowej interpretacji powołują się na język aramejski, w którym „ludzi stołu” nazywa się handlarzy walutami, ze względu na to, że stawiali oni swoje stoły na dziedzińcu świątyni. Powołany komitet miał więc nie tylko zająć się podziałem dóbr w naturze, ale zarządzając także gotówkowymi zasobami wspólnej kasy. Helleniści odnieśli, jak widzimy, całkowite zwycięstwo nad swymi antagonyzami z Jeruzolimy, nawiasem mówiąc, przegryszalnie dlatego, że jako ludzie zamocnieji wnosili do wspólnoty więcej niż tamci, a zatem od ich dobroci woli zależał stan kasy.

Wróćmy do historii z Ananiaszem i Safirą. Otóż nie jest wykluczone, że Ananiasz i Safira wstąpiłi do sekty właśnie w tym okresie, kiedy wśród członków wzbuchały wspomniane w Dziejach Apostolskich niesnaski. Gdyby iść za tą myślą, wówczas drakońska reakcja na ich w gruncie rzeczy drobne przewinienie można by wytłumaczyć ogromnym rozdrażnieniem, które przywódców sekty pchnęło do tej ponurej decyzji. Nie dosyć bowiem, że w tym momencie borykali się oni z wewnętrznymi, bardzo irytującymi zamieszkami, ale na domiar wszystkiego spotkał ich bolesny zawód z nieoczekiwanej zgola strony, że strony świezo przez nich nawróconych wyznawców. Z drugiej strony latwiej nam w tych okolicznościach wczuć się w motywy postępowania niefortunnnych małżonków. Czyż nie mieli powodów obawiać się, że podobnie jak skrzywdzone wdowy „hellenistów”, także i oni mogliby kiedyś stać się ofiarą dyskryminacji? Patrząc na sytuację ich oczami dochodzimy do przekonania, że postępek ich był nie tyle przejawem egoizmu i małoduszności, co uzasadnionym odruchem samozachowawczym ludzi bezradnych i załkniętych, którzy na wszelki wypadek woleli nie zdawać się bez reszty na łaskę i niełaske tak niepewnego i skłóconego środowiska. Są to, rzecz oczywista, jedynie tylko domysły. Ale pewną wskazówką i miarą, ile w tych domysłach może być prawdy, jest do pewnego stopnia fakt historyczny, że sam Kościół po upływie niezbyt długiego czasu odstąpił od pierwotnie tak bardzo bronnej zasady wspólnoty majątkowej. Odstaąpił nie

dlatego, że chciał, ale że przymusiło go do tego życie. Wydarzenia, które tak lakonicznie opisują Dzieje Apostolskie, dowodzą, że już bardzo wczesnie w środowisku chrześcijańskim rozpoczął się proces dezintegracji. Wiemy skądinąd, że tego rodzaju przeobrażenia nie przebiegają bezkonfliktowo. Toteż na pewno i temu procesowi przemian towarzyszyło немало spięć dramatycznych, a może nawet nie było się bez ofiar ludzkich.

Czyżby wobec tego historia Ananiasza i Safiry była jakimś echem, hagiograficznym przeinaczeniem jednego z takich właśnie tragicznych incydentów, który mocniej niż inne utkwił w zbiorowej pamięci ludu? Jeżeli uznamy za możliwe odpowiedzieć na to pytanie twierdząc, to w takim razie nie mielibyśmy tu do czynienia, jak na początku się powiedziało, z samostojnym plodem fantazji ludowej, lecz z jednym z przykładów potwierdzających tezę, że w legendach tkwi często jądro jakiejś historycznej prawdy.

MĘCZENSTWO SZCZEPANA

Następna z kolei relacja w Dziejach Apostolskich dotyczy działalności i męczeństwa Szczepana. Interesuje nas ona nie tylko ze względu na jej treść dramatyczną, ale głównie dlatego, że dzięki niej możemy poczynić wiele frastrujących spostrzeżeń i lepiej zrozumieć drogę rozwoju wczesnego chrześcijaństwa.

A więc przede wszystkim odkrywamy, że spór o podział majątkowy będący bezpośrednią przyczyną otwartego buntu „hellenistów”, sygnalizował w istocie rzeczy antagonizm daleko głębszy i brzemiennejszy w skutki, niż by się wydawało. „Helleniści” i nazarejczycy jerozolimscy były to dwa ugrupowania bardzo niepodobnych do siebie wyznawców. Różnica w mentalności, obyczajach, w sposobie myślenia, a przede wszystkim w stosunku do judaizmu były tak znaczne, że nawet wspólna wiara w Jezusa-Mesjasza nie mogła ich złagodzić. „Helleniści”, od dziecinstwa przesiąknęci kulturą grecką, przywykli do demokratycznych swobód ludnych metropolii leżących w basenie Morza Śródziemnego, byli raczej ludźmi liberalnymi. Tych przybyszów z szerokiego świata musiała zapewne śmieszyć i razić parafiańska ciasnota współwyznawców jerozolimskich, którzy uważali siebie za prawowiernych, ortodoksyjnych Żydów i pieczołowicie stosowali się do wszelkich nakazów judaizmu.

Łatwo wyobrazić sobie, jakie niepokój musiał ogarnąć tych spokojnych, oddanych świątyni nazarejczyków, gdy w ich gromadzie zaczęli rej wodzić „helleniści”, a szczególnie Szczepan, młody agitator kipiący gorącym temperamentem, pełen ognia mówca, który swoimi śmiałymi poglądami narażał sekwy na wielkie niebezpieczeństwo. Jakoś istotnie obawy ich rychło sprowadziły się w sposób tragiczny. Szczepana aresztowano i postawiono przed sądem Sanhedrynu. Świadkowie oskarżyli go, że w swoich przemówieniach bluźnił, zapowiadając zbурzenie świątyni i głosząc, że słowo Jezusa stoi ponad Prawem Mojżeszowym. Ale Szczepan, natura rogata, zamiast się bronić przybrał ochotę oskarżyciela. Powołując się na Stary Testament, w namietnej mowie wytknął Żydom, że już od czasów patriarchów stale sprzeciwiali się woli Boga, ostatnio zaś ukrzyżowali Jezusa: „Twardego karku i nieobrzezanych serc i uszu, więcście się zawsze sprzeciwiali Duchowi Świętemu, jak ojcowie wasi, tak i wy. Któregoż to z proroków nie przesłaowali ojcowie wasi? Zabili tych, którzy przepowiedzieli przyjście Sprawiedliwego, a którego wy teraz stalicie się zdradcaimi i mordercami...” (7, 51-52). Zuchwała mowa wywołała oczywiście niebывale zamieszanie. Rozwścieczony motloch, podjudzony przez fanatycznego faryzeusza imieniem Szawel, wywłók Szczepana za miasto i ukamienował. I w tych oto dramatycznych okolicznościach spotykamy się po raz pierwszy z późniejszym apostołem Pawłem, genialnym krzewicielem chrystianizmu.

W relacji o męczeństwie Szczepana są pewne niedopowiedzenia, które dają wiele do myślenia. Z tekstu odnosimy wrażenie, że tłum porwał Szczepana zrywając postępowanie sądowe, że przeto Sanhedryn nie zdążył go skazać formalnie na ukamienowanie, czyli na karę stosowaną u Żydów za zbrodnie bluźnierstwa. Tymczasem zaraz potem czytamy, że „świadkowie złożyli swoje płaszczki u stóp młodzieńca, zwanego Szawłem” (7, 58). Ta drobna wzmianka, wbrew naszym przypuszczeniom, przemawiałaby raczej za tym, że mamy tu do czynienia z prawomocnym wykonaniem wyroku, a nie z samosądem. Wiemy bowiem skądinąd, że w procedurze żydowskiego sądownictwa istniał uswoniony tradycją zwyczaj, według którego wykonawcy wyroku śmierci, szukający się do ukamienowania skazańca, składali swoje płaszczki u stóp oskarżyciela.

Koniec końców nie umiemy powiedzieć, czy winą za śmierć Szczepana należy obarczyć kapłanów, czy też wiążemy Szawła. Z opowieści można by sądzić, że to Szawel- Paweł wszczął przesłađowanie „hellenistów” na własną rękę, jednakże w późniejszej swojej mowie do króla Agryppy aż dwa razy podkreśla, że czynił to z upoważnienia kapłanów. Męczeństwo Szczepana dało początek ogólnym przesłađowaniom, a Szawel w tym terrorze wodził prym pod względem okrucieństwa i fanatyzmu. Autor Dzieł Apostolskich bez ogródek powiada o nim, że „burzył Kościół, wchodząc do domów, porwijąc

mezczyzn i niewiasty i wtwarzajac ich do wiewienia" (8, 3). A nieco pozniej przedstawia go jako czlowieka, ktory dyszal „pragnieniem mordow przeciw uczniom Panskim” (9, 1). Przeladowanym ogarnela panika. Kto mogl, uchodzil z Jerolimii i szukal schronienia w innych krajach. Ta droga, jeszcze przed misyjnymi podrozami Pawla, powstawaly nowe ośrodki chrześcijaństwa w Judei, Galilei, Samarii, Fenicji i na Cyprze, szczególnie zaś w Antiochii, wspalniane metropolii hellenizmu. Niebawem tez pozyskano nowych wyznawcow wśród innych ludów, przede wszystkim jednak wśród tych, które posluguwaly się językiem greckim. Jeden z członkow komisji siedmiu „hellenistów”, Filip, nawrócił w Samarii dostojnika królowej Etiopii, a Piotr ochrzcił setnika rzymskiego Korneliusza i jego domowników, nawet nie wahal się zasiać z nimi do wspólnego posilku wbrew żydowskim przepisom religijnym.

W sprawozdaniu o przesladowaniu natrafiamy na wzmianke, dzieki której dowiadujemy się, że „wszyscy z wyjątkiem Apostolów rozprzezchli się”. Jej zagadkowalakończność intryguje, pobudza do rozmyślań i domysłów. Co kryje się za stwierdzeniem, że apostołowie mimo tak krwawego terroru pozostali w Jerolimii? Postaramy się zanalizować wszystkie możliwe odpowiedzi na to pytanie.

Żalonymy więc jako rzecz najprawdopodobniejszą, że apostołowie po prostu gdzieś w mieście dobrze się ukryli, pozostawiając na pastwę przesladawców swoich podopiecznych braci. W tym wypadku musielibymy dokonać wyboru między dwoma możliwymi motywami ich postępowania: mianowicie, że stochrzoży oni tak, jak juz raz stochrzoży na Górze Oliwnej; albo te, że wbrew zaleceniom terrorowi postanowili wytrwac na posterunku, jak przyslalo na ludzi meznego serca. Wszelako, gdybyśmy mieli wypowiedzieć się na rzecz jednego z tych dwóch wariantów, bylibyśmy w kłopotcie, gdyż w tekście, jak latwo się przekonac, nie ma żadnych danych, na które moglibymy się powolac. Inaczej mówiac, nie umielibymy odpowiedzieć na pytanie, czym powodowali się apostołowie pozostajac w Jerolimii: bojaźliwością czy odwaga.

Wyjdać się jednak, że owe rozważania na tematy etyczno-psychologiczne okazujac się bezprzedmiotowal spekulacja. Z różnych bowiem drobnych wzmianek tu i ówdzie tkwiacych w narracyjnym dzieciu Dziejów Apostolskich možna odczytać, że sytuacja apostołów byla w istocie rzeczy inna, niż to na pierwszy rzut oka nam się wydawalo. Mianowicie, ku naszemu zdumieniu, odkrywamy, że przywódcy przesladawanych nazarezczyków nie tylko się nie ukrywali, ale zachowywali się tak, jakby w ogóle nie czuli się zagrożeni. Odnosi się wrazenie, że nawalnica terroru przechodzi obok nich, tak jakby ich nie dotyczyła. Niezwyczajność tej sytuacji podnosi jeszcze ten fakt, że, jak się wydaje, również ich bracia we wspólnocie, którymi bezpośrednio się opiekowali, nie doznali ze strony przesladawców żadnego uszczerbku.

Co prawda apostołowie dwukrotnie stanęli przed Sanhedrynem w roli oskarzonych, ale dzialo się to przed ukamienowaniem Szczepana i przed wybuchem przesladawania, nie miało więc żadnego przyczynowego zwiazku z akcją terrorystyczną Szawła. Zresztą w obu wypadkach apostołowie szybko odzyskali wolność, pierwszy raz z ostrzeżeniem, drugi raz po otrzymaniu karty chłosty, a z mowy obronnej Gamaliela wynika, że kapłanscy sędziowie wcale się nie obrażali, gdy ten wysunal argument, że może nauka o nowym Mesjaszu „z Boga jest”, czyli że jest prawdziwa. Chodziło tu więc, rzecz jasna, o spór doktrynalny w ramach judaizmu, o jeden z licznych spórów, jakie wówczas toczyły się w Jerolimii między mnóstwem sekt i stronnictw żydowskich. Z tej zapewne względów apostołowie mimo ostrzeżenia nie czuli się zmuszeni ograniczyć i zakonspirować swej dzialalności misyjnej; nadal występowali publicznie w mieście i na dziedzińcu świątyni, nie doznajac żadnych przeszkód ze strony jerolimolmicyków.

Jeżeli natomiast przedstawiała się sytuacja tuż po wielkiej fali przesladawania? Uderza nas przede wszystkim to, że apostołowie z własnej i nieprzymuszonej woli opuszczają Jerolimie i wracajac do niej z całą swobodą, utrzymujac bez przeszkód żywe kontakty z nowymi ośrodkami chrześcijańskimi w innych krajach i miastach. Tak więc Piotr i Jan pospieszyli do Samarii, by pomóc Filipowi w nawracaniu pogan. Następnie Piotr wybrał się do Lyddy, Joppy i Cezarei, gdzie uzdrawiał chorych, wskreszył nawet zmarłą dziewczeczkę Tabitę i zasnajac takimi sukcesami w swojej misji, jak nawrócenie setnika rzymskiego Korneliusza. O tym, że również wspólnota nazarezczyków jako organizacja nie przestala istnieć i dzialac, dowiadujemy się w sposób pośredni, ale dość pewny, z paru znamiennych informacji. Boć przecież nie mogla nie istniec, skoro delegowała swoich emisariuszy do innych ośrodków chrześcijańskich, jak na przykład do Antiochii Barnabę i „proroków” z prośbą o pomoc w ratowaniu braci jerolimolmicyków przed grozącym im głodem. Pieniądże uzyskane ze zbiorki przysięgli Barnaba i Szawel, a wracajac do Antiochii zabrali ze sobą Jana, zwanego Markiem, o którym nieraz jeszcze będzie mowa. Przed zarzutami ze strony tej wspólnoty musiał bronnić się sam Piotr, gdy po powrocie z Cezarei wrócił do Jerolimii i

poganami. Świadczy to nie tylko o ortodoksyjności wspólnoty, ale teo o silie autorytetu w sprawach doktrynalnych. W tych warunkach autor Dziejów Apostolskich rzeczywiscie miał prawo stwierdzić, że „Kosciół cieszył się pokojem w całej Judei, Galilei i Samarii...” (9, 31).

Wyznawcy galilejskiego Mesjasza żyli zatem w atmosferze pokoju i tolerancji również w Jerolimii. Ten stan rzeczy trwał do do chwili, kiedy postanowili oni na parę lat (okolo r. 64) przedoblewieniami miasta wywudrowac za Jordan. Co prawda na początku lat czterdziestych zginął od miecza apostoł Jakub Starszy, brat Jana, i zostal uwięziony Piotr, ale stalo się to z rozkazu Heroda Agryppy, a nie Sanhedrynu. Była to więc niewątpliwie represja umotywowana politycznie, a nie akt religijnego przesladawania. Dodajemy jeszcze, opierajac się tym razem na innych źródłach, mianowicie na Józefie Flawiuszu i Euzebiuszu, że „brat Pański” Jakub Sprawiedliwy, który był przelozonym gminy jerolimolmicy przez osiemnascie lat, zostal w 62 r. skazany na ukamienowanie przez arcykapłana Ananosa II. I tu znnowu chodzil o wydarzenie osobno. Jakub, jedna z najbardziej fascynujacych postaci wczesnego chrześcijaństwa, której później poświęcimy więcej uwagi, pozostala cale zycie zakamienialym wyznawcą religii Mojżeszowej i dzieki swojej pobożności cieszył się ogromnym autorytetem nie tylko wśród nazarezczyków, ale w całym społeczeństwie żydowskim. Nikomu nie przyszłoby nawet do głowy pomawiac go o herezje, totez wyrok wywołal w Jerolimii niebywale oburzenie. Żydzi wnieśli gwałtowny protest do prokuratora rzymskiego i Ananos, po zaledwie trzech miesiacach urzędowaniu, zostal wzyty z godności arcykapłana. Przebieg tego zajścia nie pozostawia żadnej wątpliwości, że chodzil o jedynie o jakiś konflikt w lonie samego żydostwa, może nawet o jakiś osobiste porachunki czy rywalizację między nielubianym arcykapłanem a więcej popularnym mężem, który wydawal się zagrazac jego władzy.

Do jakiego stopnia był Jakub prawowiernym Żydem, dowiadujemy się z Listu Pawla do Galatów. Czytamy tam między innymi: „A gdy Kefas [Piotr] przybył do Antiochii, sprzeciwiłem mu się w oczy, gdyż był wart nagany. Przedtem bowiem, zanim przybyli niektórzy od „Jakuba, jadac z poganami, a skoro ty przybył, usunął się i odłączył z obawy przed Żydami. Za nieszczerzym jego postępowaniem poszli i inni Żydzi, tak że nawet Barnaba dal się wciagnac w to udawanie” (2, 11-14). Z tych pełnych gorzycy wyrzurner możemy wyrobic sobie zdanie, jak ogromny i bezapelacyjny był autorytet Jakuba, z jaką stanowczoscią potrafil on przywolac do porzadku nawet chwignego w tych sprawach Piotra i zadbac o to, by wspólnota nazarejska ani o krok nie odstapila od judaizmu.

ZMAGANIA O KONCEPCJE CHRZEŚCIJANSTWA

Po zatargu w Antiochii kłopoty Pawla bynajmniej nie ustaly. Niemalze we wszystkich miastach śródziemnomorskich, gdzie bawil podczas trzech podróży misyjnych, spotykac się z gwałtowną, zagrażajacą jego zyciu opozycją ze strony ortodoksyjnych Żydów. W tych atakach wyczuwa się jakas regularność. Totez niektórzy badacze biblijni podejrzewajac, że organizowali te incydenty agencji wyslani z Jerolimii przez Jakuba lub przynajmniej przez kogos, kto byl z nim blisko zwiazany. O jednym z najciekawszych epizodów tych dlugoletnich zmagac o koncepcje chrześcijaństwa dowiadujemy się z Listu do Galatów. Pawel walczyło uniwersalistyczny charakter nowej religii. Chodzil o umożliwienie ludziom ze swiata poganaiskiego konwersji bez obowiazku podporzadzkania się rygorom tak zwanego „jarzma Tory”, czyli drobiazgowym przepisom rytualnym judaizmu, szczególnie zaś obrzezaniu. Jakub, Piotr i inni nazarezczyccy czuli się prawowiernymi Żydami i trudno bylo im pogodzić się z myślą, że do ich wspólnoty maja wejsc ludzie obcy judaizmowi, nie podlegajacy temu przepisom. Pawel doskonale wiedzial, jak wazna to sprawa dla dalszego rozwoju chrześcijaństwa i dlatego wolal się narazic na przykrości ze strony braci żydowskich, niz rezygnowac ze swej koncepcji.

Nie spodziewal się jednak, że właśnie niektórzy nawrócenie z poganstwa wyznawcy Jezusa, mówiac w przenośni, zadadzą mu w tej walce cios w plecy. Okazalo się bowiem, że gmina Galatow, prawdopodobnie ulegajac moralnej presji agitatorów judeochrześcijańskich, przeszla na judaizm, a nawet wprowadzila obowiazek obrzezania. Pawel był zaszokowany i chyba nie umial sobie wytłumaczyc, dlaczego hellenscy Galatowie, nie majacy nic wspólnego z żydostwem, ni stad ni zowad przeczycielzy swoję wstrę do tego zabiegu. Otóz wyjaśnienia tego faktu szukac trzeba w kontekście kulturowo-religijnym Galacji.

Galatowie, lud pochodzenia celtyckiego, opuścili swą siedzibe w Galii i ruszyli w swiat w poszukiwaniu nowej siedziby. W 320 r. p.n.e. zdobyli Rzym, a potem przemiešili się do Azji Mniejszej. W Anatolii stworzyli swoje państewko i po latach całkowicie się zhellenizowali. Otóz w Anatolii uprawiano od niepamiętnych czasów kult bogini frygijskiej Kybele i jej młodzieńczego kochanka Attysa, który w przystępie szału pozbowal się meškosci. Na wiosne, w święto boskich kochanków, wystawiano dramat -

misterium, którego treścią bylo okaleczenie się Attysa, jego śmierć i zmartwychwstanie. Odbuywały się takze festyny i procesje, a przede wszystkim orgiastyczne tańce, podczas których doprowadzeni do świętej ekstazy Anatolijczycy na cześć Attysa kaleczyli swoje ciała. Mit o zmarłym z okaleczenia i zmartwychwstalem bożku symbolizowal oczywiscie rytm zamierajacej i odradzajacej się przyrody. Kult był więc zwiazany z rolnictwem, podstawa bytu tamtejszej ludności. Galatowie, opierajac swój byt również przede wszystkim na uprawie ziemi i już przeszło trzysta lat mieszkajac w Anatolii, nie mogli nie ulec wpływowi tego kultu, któremu towarzyszył przemawiajac do wyobraźni uroczyštosci i nadzieje ludności, zależnej od kapryšów przyrody.

Obrazenie nie bylo więc dla Galatów czymś obcym i odradzajacym. Wystarczy silniejszy impuls ze strony współwyznawców wiernych judaizmowi, by ten staro hebrajski zabieg rytualny uotamsi z zakorzenionymi w tradycji ludowej praktykami anatolijskiego kultu. Nie tylko na przykładzie Galatów widzimy, jak dlugotrwaly i silny był nacisk judaizmu na środowiska chrześcijańskie. Bo oto w poczatkach II wieku ojciec Košciola Ignacy Antiocheński w liście do Magezjan karcił swoich adresatów za to, że padajac na judaizm. A nawet jeszce w IV wieku (364) Synod w Laodocyi, jak pisze Euzebiusz, napominal wiernych, by zaprzestali „judaizowac i świętowac w szabat”.

Pawel musial borykac się z tą wroga nagonką w obronie nie tylko swej uniwersalistycznej idei, ale nawet własnego autorytetu. Doszło bowiem do tego, że rozglazano, iż nie ma prawa mienić się apostołem, skoro nigdy nie był uczniem Jezusa, a nawet przesladawal jego wyznawców.

Gdy po zakonczenu trzeciej podróży misyjnej Pawel zawital znnowu do Jerolimii, minęło już dwadziescia lat z okladem, odkąd wyprawl się do Damaszku jako wyslanik Sanhedrynu. W tym dwudziescioleciu w jerolimolmicy gminie nazarezczyków nic się nie zmienilo. Sekta pod przewodnem „brata Pańskiego” Jakuba pozostala dokladnie tym, czym byla od samego poczatku: jedną z wielu sekt w ramach Starego Zakonu.

Trudno się przeto dziwic, że Pawel, gdy zglosil się u Jakuba i „Starszych Gminy”, znalazł sie od razu pod ostrzałem ciekich zarzutów. „Widzisz, bracie - czytamy w Dziejach Apostolskich - ile jest tysięcy Żydów, którzy uwierzyl, a wszyscy gorliwie trzymajac się Zakonu. O tobie jednak słyszeli, że nauczasz odstępstwa od Mojżesza tych Żydów, którzy żyją między poganami, powiadajac, że nie nalezy poddawac obrzezaniu ani tez zachowujac zwyczajów” (21, 21-22).

Pawel poslusznie zastawal się do zyczenia „Starszych”, gdy żadajacy, by przez siedem dni oczyszczal się w świątyni z grzechów i skladal ofiary. A gdy mimo tej pokutnej ekspiacji rozagitowany tłum uliczny chcial dokonac na nim sarnosadu, zaklinal się na wszystko rozpaczalwie, że nigdy nie przestal być jednym z nich: Żydem mówiacym po hebrajsku. Cofnijmy się jednak o dwadziescia lat wstec do sprawy Szczepana i jego towarzyszy. Uderzajacą rzecz jest to, że Szawel, wyszczynajac przesladawania „hellenistów”, jakby nie nic slyszal o apostołach. Trudno jednak uwierzyc, aby w tak malym mieście, jakim byla wówczas Jerolimia, nie miał wiedziec o ich istnieniu. Dziš jesteśmy w stanie wyjašnic, na czym to polegało. Skoro gmina jerolimolmicy, jak stwierdziliśmy, mimo upływu dwudziesciu lat na kierunek i judaizmu, nie moze ulegac wątpliwości, że tak musialo być tym bardziej na samym poczatku jej istnienia. W tych okolicznosciach Szawel po prostu nie widzial żadnej różnicy między nazarezczykami a ogółem bogobojnych Żydów, podzielonych wówczas na rozmaite sekty i stronnictwa religijne. Również mesjanizm nazarezczyków nie był dlań czymś nadzwyczajnym, wszak wyznawaly go także niektóre inne sekty żydowskie nie podejrjane o herezje, jak np. esseńszczyki. Wiara w Mesjasza nie byla u Żydów przestępstwem, skoro jego przyjšcie zapowiadali od niepamiętnych czasów prorocy. Adeptom nowej sekty nie brano za złe, iż czcili Jezusa jako Mesjasza, pod warunkiem, że pozostali wierni nakazom Tory. A Jakub i jego towarzysze codziennie odprawiali modły w świątyni, budzac ogólny szacunek wielką pobożnością, czystością obyczajów i skrupulatnością w wykonywaniu rytualnych przepisów religii Mojżeszowej.

Powód do niepokoju dawal natomiast jedynie tylko ten odlam wyznawców Jezusa, których autor Dziejów Apostolskich okresla mianem „hellenistów”. Przysbywscy z różnych miast swiata hellenaiskiego, gorzybli parafianaiskich jerolimolmicyków swobodą w sposobie bycia i wypowiedzianiu krytycznych uwag na rózne drażniace tematy. Niektóre z tych uwag zakrawaly wręc na bluźnierstwo, herezje i bunt przeciwko władzy Sanhedrynu. Mowa obronna Szczepana, której fragment przytoczylismy poprzednio, świadczy, jak daleko posuwali się „hellenisci” w swym radykalizmie. Szczepan potepial tam w czambul całą historie narodu żydowskiego, przedstawiajac ją jako nieprzerwane psmo buntu przeciwko woli Boga, a pokolenia Żydów jako zbrodniarzy, którzy mordowali swoich proroków i ostatnio ukrzywizowali Jezusa Nazarejskiego. Jest więc zupełnie jasne, że „hellenisci” wyraznie odwracali się od Starego

Zakonu, przeciwstawiali się mu, a nawet, świadomie czy nieświadomie, zmiarlali do apostazji. Nic dziwnego przeto, że Szawel tolerujac lojalnych judeochrześcijańców, równocześnie uwazal „hellenistów” za niebezpiecznych awanturników, których za wszelka cenę nalezalo poskromic. Wnosili oni przecież do miasta niebezpieczne fermenty ideowe, grzejac nieobliczalnymi konsekwencjami dla żydostwa: zamieszkaniem, które moglyby Rzymianom dać powód do interwencji zbrojnej, może nawet schizmą religijną.

Czy Szawel rzeczywiscie traktowal obie grupy nazarezczyków w tak odmienne sposób, jak to próbwalismy udowodnic? Czy przypadkiem nie jest to hipoteza na zbyt dowolnych zalozeniach parta? Autor Dziejów Apostolskich nie przychodzi nam tu w sukurs z jakas bardziej precyzyjną informacją, ale w jego narracji znajdujemy pewne szczegóły, które pośrednio przesadzajac sprawe, na korzyść naszego stanowiska.

Tak więc z lektury Dziejów Apostolskich dowiadujemy się, że po dramatycznej wieczce z Damaszku, Szawel pojawia się znnowu w Jerolimii. Nastapila tedy rzecz zastanawiajaca: udaje się wprost do Piotra i Jakuba, a oni, skoro Barnaba przekonal ich o szczerzym nawróceniu przybysza, przyjmujac go do swego towarzystwa - bez zastrzezeń. I otad, jak pisze autor Dziejów Apostolskich, „przeslawal z nim swobodnie” (9, 28). Szawel postapil więc tu jak czlowiek nieskropowany poczuciem jakiejś winy, apostołowie zaś zdejaja się nie mieć do niego żadnej urazy. Natomiast „hellenisci”, z którymi również chcial nawiązac kontakt, zareagowali zupełnie inaczej: ušiwalego go zabic, tak że musial uchodzic z miasta. Dzlawce nastawiali na jego zycie z taka furia i zawziętością? Rzecz jasna, że oni właśnie, a nie podopieczni Jakuba byli ofiarami jego terroru, oni to z jego winy potracili swoich najbliższych i przyjaciol, oni niedawno musieli kluczyć i kryć się przed jego oparami.

„HELLENISTI” ORAZ INNI

Wszystkie te okolicznosci i wydarzenia świadcza dowodnie, że już bardzo wczesnie środowisko chrześcijańskie w Jerolimii rozpadlo się na dwa odrębne obozy. W Dziejach Apostolskich mamy pewne dane, które wskazujac nam oceniac, jak dalece od czosów buntu i secesji „hellenistów” ten rozlam się poglobil. Nie nalezy zapominać, że Jerolimia byla wtedy miastem w gruncie rzeczy malym i zatloczonym ruchliwą masą ludzi. Trudno uwierzyc, by nie znali się oni nawzajem, co najmniej z widzenia. Dzień w dzień przeciwie, przepychajac się przez ciasne uliczki i zaułki, ocierali się niemal o siebie lokami, a także wiele czasu spędzali na dziedzińcu świątyni, który był dla Jerolimolmicy tym, czym bylo forum dla Rzymu i agora w miastach greckich. A jednak, rzecz nie do wiary, „hellenisci” przez jakiś czas nie mieli najmniejszego pojecia, że Szawel przybysza w mieście, że pokumal się z apostołami i w najlepsze występuje ze swoimi naukami w ich środowisku. O jego obecności dowiedzieli się dopiero wtedy, gdy on sam dal im znać o sobie. Nie moze to być lepszego dowodu, jak daleko postapil proces rozejšcia się obu odlamów nazarezczyków.

Nie doszyc na tym, bo oto co czytamy w Dziejach Apostolskich: „Bracia dowiedziaszycy się o tym [o zamiarze zabicia Szawla], odprawdzili go do Cezarei i odeslali do Tarsu” (9,30). A więc Jakub nie szczedzil sil i kosztów, by wyrwac Szawla z rąk „hellenistycznych” mšciocieli, chociaż na pewno musieli wiedziec, ile ci ostatni wycierpieli z rąk niedawnego przesladawcy. Czym powodowali się judeochrześcijańscy postępac tak poblaźliwie? Czy moze to w skrotyci ducha zwyli przekonanie, że Szawel poskromil słusznie niebezpiecznych i heretyckich awanturników? Czy raczej kierowali się po prostu ludzkim uczuciem przebaczenia w stosunku do czlowieka, który przekrešil swoją straszną przeszłość i przystal do nich? Niezalenie od tego, jakie byly w istocie rzeczy motywby ich postępowania, faktem niezaprzeczalnym jest to, że oba ugrupowania chrześcijańskie szly już wówczas swoimi własnymi drogami, że nawet byli głęboko ze sobą powašnione. Pokazalismy przed chwila, jak droga logicznej dedukcji možna odczytać, co autor przemielczal świadomie czy nieświadomie, a co jakby bezwiednie ujawnial pośrednio między wierzami. Rezultaty, jakie dzieki tym krytycznym dociekaniom uzyskalismy, są zaskakujace i niezmiernie przydatne dla lepszego zrozumienia tego, co naprawde się dzialo w pierwszych latach chrześcijaństwa.

Tak więc dochodzimy do wniosku, że Szawel przesladawal nie nazarezczyków, lecz wyłacznie przedstawicieli ich radykalnego skrzydla „hellenistów” i głównego ich antagoniste, Szczepana. I bynajmniej nie za to, że wyznawali naukę galilejskiego proroka, lecz za ich wojowniczą postawe, która mogla doprowadzic do wybuchu zamieszek politycznych w mieście. Żydzi tego rodzaju krańcowe manifestacje tłumili w zarodku, gdyż balo się, nie bez sluszności, zbrojnej interwencji okupantów rzymskich. Szawel nie stawal więc w obronie religii Mojżeszowej, której w jego mniemaniu ze strony nazarezczyków nie zagrozalo, lecz w obronie podwazanego przez „hellenistów” ustroju, na którym oparty był starodawny dal spoleczny narodu

żydowskiego i władza Sanhedrynu. Działal zatem jedynie tylko z pobudek politycznych, a nie wyznawiochy. Nie będzie więc chyba ekstrawaganca, jeżeli powiem, że prześladować chrześcijaństwa, w tym sensie, jak przekazuje nam tradycja Kościoła, w ogóle wówczas nie było. Stwierdzenie to, natomiast mówiąc, jest dla nas o tyle jeszcze interesujące, że pozwala nam głębiej zrozumieć fascynującą sylwetkę duchową Pawła. Jak wiadomo, przejście jego na wiarę nazarejczyków było nagłe i, wydawałoby się, paradoksalne. Był to jakby blyk wewnętrznej rewelacji, którą nazwalibyśmy dzisiaj twórczym natychmiastem. Cóż przeto dziwić się, że ludzie, którzy żywo jeszcze mieli w pamięci ekscesy tego srogięgo wysłannika Sanhedrynu, dopatrywali się w tej niespodziewanej odmianie po prostu cudu.

My jednak, ubrojeni w powychwytywane z tekstu szczegóły faktograficzne, wiemy już dzisiaj, że ten nagły zwrot był właściwie nieunikniony. Szawel bowiem miał w swoim uosobieniu warunki po temu, by stać się Pawłem. Przede wszystkim, jak to ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, nie żył on żadnych osobistych uprzedzeń czy religijnych zastrzeżeń w stosunku do ludzi, którzy zachowywali werność judaizmowi i wierzyli w boskie posłannictwo Jezusa. Nie tylko nie podnosił na nieh ręki, ale w gruncie rzeczy był oni mu bliżsi, niż zrazu sobie to uświadamiał. Przecież był faryzeuszem, a faryzeusze w przeciwnieństwie do saduceuszów także wierzyli w nieśmiertelność duszy, w zmartwychwstanie i przyjscie zapowiadzanego przez proroków Mesjasza. Wiarę w Mesjasza od przekonania, że jest nim Jezus, dzielił tylko jeden krok. Szawel w pewnej chwili w czasie podróży do Damasku krok ten uczynił. Wszystko, czegośkolwiek dowiedzieliśmy się z relacji zarówno samego Pawła, jak też autora Dziejów Apostolskich, wskazuje na to, że nie był to akt dobrowolnego wyboru, lecz psychologiczna niejako konieczność wynikająca z jego duchowej predyspozycji i fenomenalnej chwytliwości umysłu. Wynika, jakie uzyskaliśmy dzięki dokładniejszemu odczytaniu tekstu, mają znaczenie również pod innym względem. W jednym z poprzednich rozdziałów, zgodnie z poglądem większości biblistów, wyraziliśmy przekonanie, że zburzenie Jerolimolimy (w 70 r.) było niejako cesurą dzielącą historię Kościoła na dwa wyraźne zarysowane okresy: na fazę judeochrześcijańską oraz na erę uniworsalistyczną, kiedy chrystianizm krzewił się na rozległych obszarach świata grecko-rzymskiego. Obecnie jednak dochodzimy do przekonania, że rok 70 to data zbyt późna dla określenia owego demarkacyjnego pogranicza w rozwoju wczesnego Kościoła. Albowiem tendencje wyrażone rozłamem występowały już w buncie „hellenistów”, szczególnie zaś w pamiętnej mowie Szczepana przed Sanhedrynem, zakrawającej w swej treści właściwie już na apostazję.

Zgodnie z ustaloną przez biblistów tablicą chronologiczną wydarzenia te przypadają mniej więcej na lata 35-36, zatem miały miejsce nie i mniej, ni więcej jak trzydzieści pięć lat przed zburzeniem Jerolimolimy, a co dziwniejse, niewiele lat po śmierci Jezusa. Rzecz powołującą, jak widać, nauką jego zaczęła odrywać się od swego judaistycznego pnia. Stało się to, jak wiemy, za sprawą tak zwanych „hellenistów”, a więc Żydów mówiących po grecku, którzy musieli opuścić Jerolimolę i osiedliwszy się, nie na stałe w hellenickich metropoliach Morza Śródziemnego, stawali się tam pionierami chrystianizmu, ale równocześnie stopniowo ulegali przeobrażającym wpływom nowego otoczenia. Gminom chrześcijańskim, które jak grzyby po deszczu powstawały wzdłuż wybrzeża śródziemnomorskiego, przybyszało coraz więcej adeptów, ale w pojęciu tych nowych wyznawców Jerolimolima była już jakąś egzotyczną miejscą gdzieś na krańcach świata. I w gruncie rzeczy nie mieli pojęcia, kim w rzeczywistości był Jezus, jakie były prawdziwe koleje jego żywota. To, co im opowiadano, dotyczyło głównie jego boskiego posłannictwa i dni pasyjnych, kiedy zawisł na krzyżu i po trzech dniach zmartwychwstał. Kochali go za to, że dla ich zbawienia wybrał taką samą śmierć, jaką karano ich samych: plebejusz imperium rzymskiego - holyszów wzytuch z wszelkich praw ludzkich. I oczywiście w swojej miłości, ukłnieniu i uwielbieniu dla Jezusa pragnęli wiedzieć, jakim był człowiekiem, co mówił, jak zachowywał się w codziennym, jak wyglądał. Każdy zstęp wiadomości na ten temat chłonęli przeto chciwym szerm i rozpowiadali innym.

Ale z powściągniętych żydowskiej wieści docierały do nich bardzo skądne, na domiar mocno znieskształcone, i spłowiełe przez odbycie dalekiej drogi. Jeżeli chodzi o naocznych świadków, którzy okazynie pojawiali się w metropoliach hellenickich, to szansa spotkania ich była zaiste mała. Ileż bowiem mogło ich być, a chrześcijanie liczyli już wtedy tysiączne rzesze kobiet i mężczyzn. Na domiar wszystkiego ci prawdziwi lub rzekomi towarzysze Mistra, jeżeli ich wypytywano o te szczegóły, przeważnie zawodzili. Dla nich ważny był jedynie tylko boski Zbawiciel, który czynił cuda, umarł na krzyżu i zmartwychwstał. Była to jedyna prawda, która się liczyła; a to, co składało się na ziemską biografię Jezusa, zatlarło się rychło w ich pamięci. Typowym przykładem takiego stanu umysłów jest Paweł. Z listów jego, a więc z najstarszych dokumentów chrześcijaństwa, ówczesny czelnik mógł dowiedzieć się o Jezusie właściwie

tylko tyle, że umarł na krzyżu i zmartwychwstał. Autor nie wymienia nawet jego rodziców, Józefa i Marii. Dla ludzi praktycznych, przyzwyczajonych czuć i myśleć w uchwytnych, realistycznych obrazach życiowych, taka próżnia była nie do zniesienia. Wypełniała ją przeto naiwna fantazja ludowa, rodziły się pełne uroku i głębszego znaczenia legendy, anegdoty i przypowieści, powoli rysował się hagiograficzny zyciorys boskiego Nauczyciela, powstały z pomieszania faktów z fikcją. Pokarm do tej folklorystycznej twórczości wierni czerpali nie tylko z własnych tęsknot, marzeń i nadziei, lecz także ze starodawnych tradycji mesjańskich judaizmu oraz z greckich misteriów religijnych, z którymi byli dobrze obeznani, gdyż w miastach hellenickich niemal codziennie spotykali się z tego typu uroczystościami i obrzędami. W ten sposób, niemal bezpośrednio po śmierci Jezusa, zaczął się ferment, owa synkretyczna fuza żydowskich i greckich elementów, z której w ostatecznym rezultacie powstała nowa religia. Jej podstawą była chrystologia sformułowana przez Pawła z Tarsu oraz mitologiczny portret Jezusa Chrystusa przekazany nam przez autorów ewangelii, portret niewiele podobny do żydowskiego proroka z Galilei.

JAK PAWEŁ STAŁ SIĘ APOSTOŁEM?

Druga, nieco obszerniejsza część Dziejów Apostolskich, jak to już wspominaliśmy, poświęcona jest wyłącznie działalności i perypetiom życiowym głównego protagonisty tych epokowych przemian: Pawła z Tarsu. Rozpoczyna się ona od rozdziału trzynastego, ale już poprzednio spotykamy się jakby z introdukcją do niej, mianowicie z nagłym przejściem groźnego agenta Sanhedrynu na stronę nazarejczyków.

Paweł nie przerwał swych zamierzonej podróży do Damasku, ale, jak wynika z opowieści, nie pobyl tam zbyt dugo. Tamejsi ortodoksyjni Żydzi, chcąc pomsic jego zdradę, nastawali na jego życie z taką zjadłością, że musiał ratować się ucieczką. Przy bramach miejskich czyhała na niego zasadzka, wobec tego wierni uczniowie, których zdążył już sobie pozyskać, spuścili go pod osłoną nocy z wysokościami muru warownego w przycoczonym do liny koszu. Autor Dziejów Apostolskich utrzymuje, że uciekinier skierował się wprost do Jerolimolimy, gdzie wpadł, mówiąc w przenośni, z deszczu pod rynnę, bo tam na odmianę „hellenistów” postanowili załatać z nim swoje porachunki, z tym skutkiem, że w ucieczce przed ich napastliwością wyładował w końcu w swoim rodzinnym mieście - w Tarsie.

Posiadane źródła nie informują nas, jak długo tam przebywał. Są jednak w listach Pawła poszlaki, z których można by wnioskować, że spędził tam całe lata. Cóż tam porabiał przez tak długi czas? Nie mamy w tej mierze żadnych bezpośrednich wiadomości, jednakże to, co się potem stało, daje nam podstawę do pewnych przypuszczeń.

W tym właśnie okresie, kiedy chwiliwo Paweł schodził ze sceny historii, coraz ważniejszą rolę w dziejach chrześcijaństwa zaczęła odgrywać Antiochia, stolica Syrii. Było to wówczas trzecie co do wielkości miasto w imperium rzymskim, liczące około pół miliona mieszkańców i nazwane z racji swych wspaniałych budowli, placów i ogrodów „Królową Wschodu”. Oczywiście panowała tam kultura helleniska, a ludność, jakkolwiek różnorodniego pochodzenia etnicznego, posługiwała się językiem greckim.

Istniała tam od dawna duża kolonia żydowska, o której Józef Flawiusz powiada, że korzystała z wielu przywilejów obywatelskich. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że „hellenisci”, którzy uchodzili z Jerolimolimy przed prześladowaniami, przede wszystkim w Antiochii szukali schronienia. Dzięki tym uchodźcom powstało tam najbliższe, najrichulsze środowisko chrześcijańskie poza Jerolimolimą. A także najzamowniejsze, gdyż jak to wynika z dalszej opowieści Dziejów Apostolskich, członkowie tej gminy wspomagalni materialnie braci jerolimolskich, gdy za panowania Klaudiusza nekął ich głód.

Więści o antiochijskich wyznawcach Jezusa Chrystusa rychło dotarły do Jerolimolimy i Jakub, zapewne nie bardzo ufając „hellenistom”, postanowił wysłać do nich swego zaufanego człowieka, aby sprawował nad nimi nadzór i pokierował ich działalnością. Wybór padł na znanego nam już Barnabę. Był to kiedyś zamożny lewita z Cypru, który cały swój majątek sprzedał, a uzyskane pieniądze oddał apostołom na cele utrzymania gminy. W Dziejach Apostolskich czytamy o nim, że był to mąż „dobry, pełny Ducha Świętego i wiary”. W Antiochii Barnaba zakrztałnął się żywo i pozyskiwał dla nowej wiary coraz więcej prozelitów. Gmina szybko się rozrastała i coraz trudniej było mu sprostać zadaniom. Rozglądał się więc za jakimś pomocnikiem. I teraz, po tej dysgresji, wracamy do głównego bohatera naszego opowiadania: do Pawła. Albowiem Barnaba decyduje się na niewygodny pobyt do Tarsu, aby stamtądściągnąć do Antiochii tego byłego pełnomocnika Sanhedrynu, nawróconego przed laty na wiarę chrześcijańską. Czyż byby to uczynił, gdyby Paweł siedział w Tarsie cicho, oddając się wyłącznie pospolitym sprawom dnia codziennego? Rzecz jasna, że tak nie bylo. Paweł musiał chyba głosić nową wiarę w swoim rodzinnym Tarsie, a także w rzymskiej prowincji

Cylicji, w której znajdowało się miasto Tars. I to tak gorliwie, że wieść o jego działalności musiała dotrzeć do samej Antiochii. Trudno inaczej wytłumaczyć sobie postępowanie Barnaby. W tym momencie mógłby ktoś zapytać, czy cała ta sprawa nie jest zbyt marginalna, by poświęcać jej aż tyle uwagi. Odpowiadamy na to, że wprost przeciwnie. To, co metodą dedukcji zdolaliśmy ustalić, jest dla paroparcia naszej naczelnicy tezy ogromnie pomocne. Bo oto, jaka jest sytuacja. Zapamiętaj patriotę żydowski i faryzeusza nawraca się nagle na wiarę, z którą zetknął się o tyle tylko, że tępił jej najbardziej żarliwych głosicieli, a tych spośród ich grona, którzy mogliby mu coś dokładniejszego opowiedzieć na temat Jezusa i jego nauki, według wszelkiego prawdopodobieństwa w ogóle nie widział na oczu. Nie było to zaaden głosowny domysł, stwierdziliśmy ten stan rzeczy poprzednio w wyniku krytycznej analizy przekazanej nam relacji w Dziejach Apostolskich. Ta sama relacja, przypominamy, utrzymuje, że niedługo po swojej konwersji Paweł musiał uciekać z Damasku i powrócić do Jerolimolimy, gdzie ponoć spotkał się z Jakubem. I tutaj jesteśmy zmuszeni zwrócić uwagę na fakt, że autor Dziejów Apostolskich coś widocznie pogmatwał, bo jego wersja nie zgadza się z tym, co sam Paweł pisze w swoich listach. W Liście do Galatów (1,17-18) utrzymuje on (a przecież jemu możemy chyba wierzyć), że z Damasku wyprawił się do Arabii, że nie przedzej niż po trzech latach wrócił do tegoż miasta sryryjskiego i dopiero wówczas stamtąd podążył do Jerolimolimy. To prawda, że w Drugim liście do Koryntian (11,32-33) wspomina coś o ucieczce z Damasku, ale twierdzi, że jej powodem była wrogość króla Nabatej Aretesa, a nie Żydów. Być może, że jeżeli chodzi o Dzieje Apostolskie, to mamy tam do czynienia z wypadkiem wyraźnego pomieszania chronologii, bo sławetna ucieczka chyba rzeczywiście miała miejsce, tyle tylko że dopiero później, po trzyletnim pobycie Pawła w Arabii, no i z innej zgoła przyczyny.

Tak czy owak, z tych sprzecznych relacji da się wysnuć jedną, zastanawiającą prawdę: Paweł, świezo pozyskany wyznawca Jezusa, nie odczuwa żadnej, ale to żadnej wewnętrznej potrzeby nawiązania kontaktu z jego autentycznymi uczniami w Jerolimolimy, by od nich dowiedzieć się czegoś o naukach i żywocie swego nowego Mistra. Zjawia się, owsem, w Jerolimolimy, ale dopiero po upływie trzech lat i w dodatku prawdopodobnie pod przymusem, uciekając przed pościgiem króla Aretesa. I wtedy jednak zachowuje się niezwykajnie, bo bawi tam tylko dni piętnaście i spotyka się wyłącznie z Piotrem i „bratem Pańskim” Jakubem. Wygląda więc, jakby stonił od innych apostołów i członków nazarejczykiej sekty (Gal. 1,18-19).

A teraz w związku z oym nie określonym chronologicznie pobylem w Jerolimolimy inny zastanawiający fakt. Jeśli wierzyć autorowi Dziejów Apostolskich, Paweł nie zachowywał się tam bynajmniej jak skromny uczeń, jak nowicjusz spragniony wiedzy, lecz, o dziwo, występuje od razu w roli pewnego siebie nauczyciela, „... odważnie nauczając w imię Pana” (9,28), jak czytamy w Dziejach Apostolskich. Potem spędził parę lat w Tarsie, gdzie jak to już wiemy, propagował nową wiarę, i to z takim skutkiem, że wieści o nim zawędrowały aż do Antiochii.

Z ewentualną przerwą piętnastu dni pobytu w Jerolimolimy, ileż w takim razie czasu przeżył w izolacji od macierzystego źródła wiary; od ludzi, którzy byli prawdziwymi uczniami i spadkobiercami ukrzyżowanego Mesjasza! Ileż lat pobytu w środowisku ludzkim, w mieście hellenickim, gdzie niepodzielnie panowała kultura i filozofia grecka, a życie religijne toczyło się na oczach mieszkańców pod znakiem mitów o umierającym i zmartwychwstałym bogu! Gdy sobie to uprzymomimy, nie możemy nie zapytać, skąd Paweł wiedział to wszystko, czego z taką apodyktyczną pasją nauczał innych? Z jakiego tytułu występował w imieniu żydowskiego prorok z dalekiej Galilei, o którym, jeżeli nawet cokolwiek wiedział, to tylko ze słyszenia?

Paweł wprawdzie utrzymywał, a na pewno sam był o tym głęboko przekonany, że Jezus ukazał mu się osobście podczas podróży do Damasku i taką misję mu powierzył. W tym jednak bieda, że nie wszyscy mu dawali wiarę. Wytknięto mu wręcz, że podaje się za apostoła samozwańczo. Oskarzenie widocznie mocno go ubodło, bo w listach swoich broni się z nie ukrywana gorczyca. Więcej jednak przykrości miał z tego powodu, że jego rozszczenia najwidoczniej nie sprawiły wrazenia także na przywódcach braci jerolimolskich. Świadczą o tym liczne konflikty, jakie na tle osobistym i doktrynalnym miał z takimi czelowymi przedstawicielami nowej nauki, jak Piotr, Jakub Sprawiedliwy, Barnaba i Jan Marek. Czyż ganiliby oni z taką surowością jego doktrynalne odchylenia i zmuszali go do kajania się w swiętyni jerolimolskiej, gdyby brali na serio jego twierdzenie, iż jest wybranecem samego Jezusa Chrystusa? Paweł w pewnym sensie istotnie mógł w oczach swoich współczesnych uchodzić za samozwańca. Tworzył on właściwie nową teologię, nową religię, z dala od wpływów jerolimolskiej sekty nazarejczyków, w całkowicie odmiennych warunkach społecznych, etnicznych, obyczajowych i kulturowych. W jego koncepcji religijnej Jezus niewiele ma wspólnego z wdrowym nauczycielem

z dalekiej Galilei, czy też z żydowskim Mesjaszem, tak jak wyobrażali go sobie nazarejczycy. Wracając do kwestii sprowadzenia Pawła do Antiochii warto tu dla dokładniejszego podmalowania jego ta zaznaczyć, że niektórzy badacze biblijni (między innymi słynny amerykański biblista Powell Davies w książce Pierwszy chrześcijanin), wiązą tę sprawę z wielkimi przeobrażeniami politycznymi, które właśnie w tych czasach dokonywały się w imperium rzymskim. Na Bliskim Wschodzie sytuacja była bardzo ciężka, panowała tam posucha i głód porażł ludziom zgładząc do oczu. Jak to często w takich wypadkach bywa, pospółstwo szukało winowajców swego ciężkiego położenia i w Aleksandrii na przykład wybuchł krwawy pogrom Żydów. Na domiar nieszczęścia Kaligula wydał rozkaz, by w swiętyni jerolimolskiej stanął jego posag. Publiusz Petroniusz, rzymski namiestnik Syrii, któremu podlegała Jerolimolima, był przerażony. Znał dobrze Żydów i wiedział, że grozi to rewolta i potworna rzezią. W desperacji, narażając własne życie na niebezpieczeństwo, wstrzymał wykonanie rozkazu i w błągalnym liście prosił cesarza, by cofnął swoją decyzję. Kaligula w odpowiedzi polecił mu popelnić samobójstwo za nieposłuszeństwo. W pewnej chwili wszystko zaczyna odmieniać się na lepsze. Gdy Petroniusz zdobył się na odwagę wysłania petycji do szwankującego na umyśle tyrana, nagle długotrwała posucha kończy się ulewem deszczem. Kaligula pada od miecza setnika pretorianów, a przypadek, ten wiecyni ironista, sprawia, że wieść o zamachu nadchodzi do Antiochii wprostwiecyni niż dokument z wyrokiem cesarskim: Petroniusz był uratowany. Cesarzem, wbrew wszelkim rachubom, zostaje Klaudiusz, znany ze swojej przychylności dla Żydów. (W dziesiątym roku swego panowania wypędził jednak Żydów z Rzymu). I w końcu największa sensacja: nowy władca mianuje swego przyjaciela Heroda Agryppę królem Judei.

ANTIOCHIA, DRUGA STOLICA CHRZESCIJANSTWA

Żydom to szczęśliwe odmiany wydawały się cudem: Kaligula nie żył; ich protektor został władcą imperium rzymskiego; obrońca swiętyni Petroniusz ocalał; posucha się skończyła; znowu mieli swego króla.

Żydy w Antiochii podnieśli w 39 r. rebelię, która skończyła się zburzeniem ich domów modlitwy i krwawym odwetem Greków. Zagrozeni odtąd pogromami i szukaniami odetchnęli teraz z ulgą. Nastądy dla nich lepsze czasy, rośli więc w liczbę, bogacili się na handlu i rzemiośle. Zakładali też coraz więcej domów modlitwy, chociaż, jeżeli chodzi o ich życie religijne, rozbiłi byli na różne sekty, które wiodły ze sobą krwawie spory. Istniała wśród nich od dawna sekta esseńcyków zapowiadająca przyjscie Mesjasza, z której na pewno wielu przechodziło do grona czciwicieli Jezusa.

W tych warunkach tolerancji rozwijała się również, jak to już wiemy, gmina chrześcijańska. Przystępowało do niej nie tylko Żydy ze zbliżonych ideowo sekt judaistycznych, ale także ludzie innego pochodzenia etnicznego. Co przyciągało tych ludzi do tej nowej religii? Jest to zagadnienie złożone, którym zajmmy się później nieco dokładniej. W tej chwili wystarczy przytoczyć parę charakterystycznych szczegółów o Antiochii, by zrozumieć, dlaczego ta nowa, przeszczerzona z Jerolimolimy sekta stała się atrakcją dla niejednego z jej mieszkańców.

Grą Paweł przybył do Antiochii, było to miasto już o czterechsetletniej historii. Założona przez jednego z wodzów Aleksandra Wielkiego nad sryryjską rzeką Orontes, zaludniona przez macedońskich i ateńskich kolonistów, stała się, jak powiedzieliśmy, jednym z najważniejszych miast imperium rzymskiego, duchową metropolią hellenizmu w tej części świata, a także stolicą Syrii, co uwidacznialo się w składzie etnicznym jej ludności. Widziało się tam więcej ludzi Wschodu, niż Greków czy Rzymian. Przechyphali się oni przez ulice wśród gwaru i owizwienia w malowniczych strojach plemiennych, nadając miastu koloryt orientalny. Była to istna wieża Babel języków, ale tę całą pstrokaciznę ludzką łączyła lepsza lub gorsza znajomość języka greckiego - koine.

Ulice byby podobno brukowane płytami z białego marmuru i obramowane szpalermi posagów, a w nocy oświetlały je lucyza i lampki oliwne, zawieszona na ścianach domów. Dziewcipisarze rozplywały się nad urodą miasta, nad jego swiętyniami, placami z wodotryskami i gmachami publicznymi; opisyują domy mieszkalne, wysokie na trzy pietra, z dachami płaskimi, na których po dziennej upałach mieszkańcy urządzali sobie noclegi. Największy jednak podziw budził gigantyczny posag Apollina grającego na harfie. Ciało boga, wyrzeźbione w białym marmurze, udrapowane było w polzacane peplos. Pozłota błyszcząca także kędziory, wieniec laurowy na głowie i harfa. Oczy zrobione z różowych hacynatów (odmiany cyrkonu), świeciły jakby własnym światłem. W gorącym słońcu Syrii posag rozswalał niby latarnia morska swe blaski, służył za drogowskaz podróży i karawanom idącym do miasta. Chłubą miasta był również rzędy gaj laurowy, nazwany imieniem Dafne, owej nimfy z uroczej legendy greckiej, która wrola dać się zamienić w drzewo laurowe, niż ule natrętym zalotom

Apollina. Park sływał jeszcze z tej osoblowości, że przestępcom przysługiwano w jego granicach prawo azylu. Cały okrągły rok odbywały się tam zawody sportowe, festyny i rozmaite igrzyska. Istniały jednak w gaju zakątki również zaciszne, zamknięte dla pospółstwa. W pałacach i willach, ukrytych w morzu zieleni, zazywali ochłody monarchowie i dostojnicy aż do czasów panowania Seleucydów; spośród Rzymian upodobał sobie to miejsce szczególnie Pompeusz. Miasto odznaczało się także bujnym życiem umysłowym, a jego głównymi ogniskami były wysoko cenione szkoły filozofii, logiki i retoryki. Miewali tam swoje wykłady sławni sofisci, u których stóp siadywali nawet synowie patrycjuszki rzymskich. Jednakże największym rozgłosem cieszyli się wiosenne uroczystości kultowe na cześć młodocianego bóżka Adonisa, kochanka bogini Astarte. Odprawiano te obrzędy - zwane Adoniami - przez osiem dni. Urodziwy bożek pod koniec lata umierał z nadmiaru miłości i wracał do życia na wiosnę. Dramatyzując te wydarzenia ludność antiochijską, zanosząc się płaczem i lamentem, gromadziła się przez pierwsze cztery dni nad symbolicznym grobem bóżka, zaś następne cztery dni w radosnym pochodzie obnosiła jego posązek po ulicach miasta.

W pozostałych porach roku również nie brakowało uroczystości tego rodzaju: stale wylegały na miasto procesje rozmaitych kultów i świątyni. Oslawieni byli pozabawieni męskości kapłani Wielkiej Matki, bogini otaczanej uwielbieniem i miłością przez najniższe warstwy ludności. Płaszając w ekstazie, kaleczyli się sztyletami i opryskiwali krwią ulicznych gapiów. Podobną sławą cieszyła się świątynia płodności z kapłankami, które nierządem zarabiała na jej utrzymanie.

Antiochia w ogóle uchodziła za miasto rozpusty i stręczycielstwa, gdzie kupczono pięknymi nierządnicami. Poeta Juwenal w jednej ze swoich ciętych satyr obczyżajowych przedstawił rzekę Orontes jako symbol wszelkiego bezczeststwa idącego ze Wschodu. Czytamy tam między innymi:

Sprośny Orontes, znikając pod ziemią, Splukując swe bogactwa na zglodniałe brzegi Tybru Karmi Italię swoimi ladacznicami...

Mając w pamięci scenieri Antiochii, możemy spojrzeć na tamtejsze środowisko chrześcijańskie z właściwej perspektywy historycznej. Nie trzeba zapominać, że w tym półmilionowym mirowsku ludzkim, huczającym gwarem i ożywieniem Żydzi stanowili w gruncie rzeczy stosunkowo niewielką, wyosobioną enklawę, a w obrębie tej enklawy tkwiła mniejsza jeszcze grupa wyznawców Jezusa. Jeżeli więc słyszy się, że Antiochia stała się w tych czasach drugą po Jeruzolimie stolicą chrześcijaństwa, trzeba to określenie sprowadzić do właściwych wymiarów. Co bowiem dla dziejopisów chrześcijańskich było ze wszech miar doniosłe, dla większości mieszkańców syryjskiej metropolii, zajętych swoimi własnymi sprawami, po prostu nie istniało. Owšem, zamł dobre Żydów, jest jednak rzeczą wątpliwą, czy słyszeli coś o jakiejś świeżo w ich środowisku powstałej sekcie wyznawców Jezusa. Były to wewnętrzne sprawy społeczności żydowskiej, które ich zgola nie obchodziły, tym bardziej że mieli Żydów w pogardzie i nienawiści.

To wszystko, jak powiedzieliśmy, naraz uległo zmianie. Dla Żydów nastął okres wielkiej pomyślności. Musiało to oczywiście sprawić wrażenie na wielu oportunistach wśród obywateli miasta, zawsze gotowych do poddawania się kaprysom władzy. Wśród nich było wielu niewolników i biedaków, którzy po prostu pragnęli znaleźć przytulne w tej zgranej, uprzywilejowanej wspólnocie w nadziei, że odyskają tam to, co utracili na skutek okupacji rzymskiej: lepsze warunki bytu materialnego oraz poczucie bezpieczeństwa wynikającego z przynależności do jakiegoś zorganizowanego diaspory.

Przy synagogach biastrowy żydowskiej istniała ponadto od dawna dość liczna grupa pogan, którzy porzucili swoje wierzienia plemienne i stali się monotheistami. Nazywali się „ci, którzy bali się Boga” i brali udział w modlitwach, lecz wolno im było stawac tylko przy wezwaniu „Bogobojni” nie chcieli się poddacz przepisom rytualnym judaizmu, chociaż pociągał ich kodeks moralny proroków i wiara w jedyne Boga.

A więc dostępu broniony im surowo przestrzegane nakazy i zakazy rytualne, wysoki mur żydowskiej ortodoksji. Znalazła się jednak furka do tego zamkniętego kręgu. Rolę tę furki spełniła sekta chrześcijańska. Jej członkami byli, przeważnie zbiegli z Jeruzolimy „helleniści”, liberalniejsi, jak wiadomo, w poglądach religijnych i bardziej otwarci na sprawy otaczającego ich świata. W stosunku do ludzi pochodzenia nieżydowskiego, którzy garnęli się do nich, szli na daleko idące ustępstwa, byleby ich nie odrzucił. Zwalniali ich nie tylko z obowiązku poddania się obrzezaniu, ale nawet nie narzucali im nakazanych przez judaizm przepisów dietyetycznych. Wystarczyło im, że wierzeli w Jezusa Chrystusa. I jakby prawem sprężenia zwrotnego oni sami, mimo że czuli się Żydami, z tych przepisów często się wylamywali. Zresztą nie tylko „helleniści”, ale czasami również tacy wierni judaizmowi nazarecy jerozolimscy, jak Piotr i Barnaba. Prawdopodobnie pod wpływem Pawła siadywali oni

do wspólnych posiłków z „poganami”, narażając się na gniew Jakuba Sprawiedliwego, gdy zaś pod presją jego wysłańców wrócili na pozycje rygorystycznej ortodoksji, gorzkie wymówki czynił im Paweł. Mimo tych zakłóceń, pomyślna sytuacja Żydów i liberalizm „hellenistów” sprawiły, że sekta wyznawców Jezusa zyskiwała sobie coraz większą liczbę zwolenników wśród plebejskich warstw Antiochii. Byli to ludzie, których przyciągały nie tylko mesjanistyczne obietnice nowej religii, ale także, jak to już wspomnieliśmy, nadzieja na korzyści wynikające z przynależności do braterskiego zrzeszenia i uczestnictwa w jego wspólnych dobrach materialnych. Ten napływ neofitów pochodzenia obcoplemiennego miał daleko idące konsekwencje: wnosili oni do sekty ferment swoich własnych wyobrażeń religijnych, chrystianizm pod ich wpływem zaczął się hellenizować. Może to właśnie skłoniło Barnabę do wezwania na pomoc sławnego już wówczas Pawła, sam bowiem nie był w stanie uporać się z tym wielkim napływem nowych wyznawców.

Wieloplemienna struktura gminy chrześcijańskiej miała chyba jakiś związek przyczynowy z faktem, że Antiochia stała się z biegiem czasu nie tylko jednym z najruchliwszych ośrodków teologii chrześcijańskiej, ale także kuźnią rozmaitych herezji. Z jednej strony działał tu ojciec apostołski Ignacy Antiocheński, jeden z najpopularniejszych świętych owych czasów, który marzył o poniesieniu śmierci męczeńskiej za wiarę i rzeczywistości poniósł ją w 110 r. za panowania Trajana. Z drugiej strony w tym mieście zyskały sobie zwolenników doktryny niezgodne z tradycyjną teologią chrześcijańską. Tak więc biskup Antiochii, Paweł z Samosat, lansował tak zwany adopcjanizm twierdząc, że Jezus urodził się zwykłym człowiekiem i dopiero przez adopcję stał się Synem Bożym. Tutaj też najpotradniejszy grunt znalazł arianizm, zaprzeczający boskiej naturze Jezusa. Ten potężył w chrześcijaństwie nurt teologiczny cieszył się przez pewien czas poparciem nawet samego Konstantyna Wielkiego i przetrwał do VII wieku wśród ludów germańskich.

Lata świetności i rozkwitu Antiochii przypadają na okres panowania rzymskiego. Wraz z powolnym upadkiem potęgi rzymskiej, Antiochia zaczęła również tracić na znaczeniu i podupadać. Później, w XIII wieku zburzyli ją egipscy Mameluci, wreszcie zajęli ją Otomani. Gdy wreszcie odbili ją krzyżowcy, wrzeli w pień, jak sami się przechwalali, tysiące wyznawców islamu. Za czasów ich rządów wybuchła w mieście straszliwa kłosa głodu. Przywódcy krzyżowców odkopali w katedrze zardzewiałą lancę i aby ludność podtrzymała na duchu, obnosili ją w procesji jako cudownie odnalezioną lancę, którą żołnierz rzymski przebił bok ukrzyżowanego Jezusa.

Na stanowisku, gdzie dawniej była Antiochia, prowadzili od 1932 r. prace wykopaliskowe ekspedycje francuskich i amerykańskich archeologów. Odkopano dotychczas ruiny jednego z największych cyrków rzymskich, akropola na wzgórzu, licznych term, murów obronnych i pałaców bogatych Rzymian, a nawet marmurowy posag bogini Tyche, patronki miasta. Do największych skarbów wśród wykopalisk należy zaliczyć wspaniałe mozaiki posadzkowe, niektóre pochodzące z lat apostołskich. Bardzo często motywem tych kompozycji jest kult Izdy, co świadczy o wielkiej popularności tej bogini w Antiochii. Inna mozaika, znajdująca się obecnie w Luwrze, przedstawia ptaka Feniksa z aureolą na głowie. Mit o legendarnym ptaku, który spłonął na stosie, by następnie wylecieć z popiołów do nowego życia, przyczylnił się w jakimś stopniu do powstania symbolu wczesnych chrześcijan wiary w cielesne zmartwychwstanie. W 1910 r. robotnicy kopający studnię znaleźli pięknie rzeźbiony puchar srebrny. Według opinii niektórych archeologów figuralny ornament przedstawia najdawniejszy portret Jezusa i jego uczniów. Znaleźli się też autory, którzy utrzymywali, że jest to kielich Jezusa z Ostatniej Wieczery.

ZAGADKA SORBORU JERUZOLIMSKIEGO

Z chwilą urzędzenia się w Antiochii, Paweł rozwiął z niebywałym zapalem i ofiarnością akcję misjonarską, która według obietnic „większości bibliistów trwała bez mała dwadzieścia lat. Autor Dziejów Apostolskich utrzymuje, że Paweł odbył w tym czasie trzy wielkie wyprawy, podczas których odwiedził macierzystą wyspę Barnaby - Cypr, a potem miasta i miasteczka na obszarze wschodniego wybrzeża Morza Śródziemnego i Morza Egejskiego, zapuszczając się daleko na północ do Troady, miasta potopzonego krainy, której stolicą był ongiś Iljon, czyli Troja. Stamtąd przeprowadził się na okęcie do Macedonii i skierował ładem do Aten.

Wśród rozlicznych miejscowości, gdzie zastawał istniejące już gminy lub zakładał nowe, nawracając Żydów i pogan, warto tu wymienić przede wszystkim Efez, Filipi, stolicę Macedonii Tessaalonikę, Korynt i wiele innych.

W niektórych miastach zatrzymował się na dłuższy okres. Tak np. w Koryncie zaprzyjaźnił się z wygnańcą z Rzymu parą małżeńską Akwilą i Pryscyllą. Mieszkał u nich przeszło półtora roku, zarabiając wraz z nimi na życie wyrobem namiotów. Podczas trzeciej podróży osiadł aż na trzy lata w Efezie, który

obok Antiochii stał się drugą bazą wypadową jego szeroko rozgałęzionych wędrowek.

Nigdy nie wybierał się w drodze samotnie, miał zawsze przy sobie towarzyszy, którzy z tych czy owych powodów z każdą podróżą się zmieniali. W pierwszej podróży byli to Barnaba i Jan Marek. Obaj jednak, jak to już wiemy, poróżnili się z Pawłem i udali się na Cypr. Zastąpili ich w drugiej podróży Sylas i Tymoteusz. W trzeciej natomiast miał ze sobą liczniejsze już towarzystwo, bo aż siedem osób, mianowicie Sopatera, Arystarcha, Sekundusa, Gajusa, Tymoteusza, Tychika i Trofima. Autor Dziejów Apostolskich utrzymuje, że Paweł każdą z trzech podróży zamykał pobylem w Jeruzolimie. Zawoził tam pochodzącą ze zbiórki jalmużnę dla biedujących braci judeochrześcijańskich. Głównie jednak jakoby zależało mu na utrzymaniu poprawnych stosunków z Jakubem i na polubownym rozwikłaniu powstałych między nimi rozdziewków i sporów doktrynalnych. Podczas pierwszego pobytu w Jeruzolimie odbył się podobno tak zwany sobór jerozolimski. Ustalono ponoc na nim warunki, na jakich Paweł mógł nadal nawracać pogan. Pozwolono mu mianowicie zwałnicz ich z obowiązku poddawania się obrzezaniu, o ile tylko zachowują tak zwane cztery klauzule Jakobowe: 1) nie będą spożywali mięsa pochodzącego od zwierząt ofiarowanych bożkom poganskim, 2) powstrzymają się od porubstwa, czyli od stosunków z nierządnicami świątyni poganskich, 3) nie będą jedli mięsa zwierząt zdlawionych, 4) nie wezmą do ust krwi zwierzęcej. Kościół przywiązuje do tego soboru ogromne znaczenie historyczne, gdyż jego rezultatem było formalne uznanie Pawła jako apostoła, a tym samym przez implikację także usankcjonowanie jego chrystologii. Jednakże wielu badaczy wyraziło poważną wątpliwość, czy taki sobór w rzeczywistości się odbył. Przede wszystkim powołują się oni na świadectwo samego Pawła. W jego listach bowiem nie ma absolutnie żadnej wzmianki o tego rodzaju soborze. Czyż jest do pomyślenia, aby nie wspominał o tak ważnym dla podbudowania swojego autoritetu wydarzeniu? Byłaby to przecież znakomita legitymacja wobec antagonistów, którzy odmawiali mu prawa nauczania.

Uderzający jest ponadto fakt, że Paweł cały czas zupełnie nie czuł się skrepowany trzecią z kolei klauzulą Jakobową. Później zobaczymy, co było przyczyną, że ten nieodrodny Żyd pozwolił swoim prozelitom jeadać i że sam z nich jadł mięso skazanego pochodzenia. Nie chce się jednak wierzyć, by małz o tak wygórowanych wymaganiach miał łamać przyjęte na siebie zobowiązania w sposób do tego stopnia nonszalancki. Można chyba przypuszczać, że tych zobowiązań soborowych nigdy na siebie nie brał. Ciekawą rzeczą jest to, że autor Dziejów Apostolskich mimo woli potwierdza nasze przypuszczenie i tym samym tu znowu sobie zaprzecza. Opowiada mianowicie, że w czasie ostatniego pobytu Pawła w Jeruzolimie i tuż przed jego arestowaniem, a zatem wiele lat po rzekomo odbytych soborze, Jakub tak oto miał do niego przemówić: „A co się tyczy nawróconych pogan, tośmy już na piśmie rozstrzygnęli, aby się powstrzymali od rzeczy ofiarowanych bałwanom, krwi, zwierząt zdlawionych i porubstwa” (21,25).

Uważnego czytelnika od razu musi uderzyć, że Jakub przemawia tu do Pawła jak do człowieka, który o tym sekrecie słyszy raz pierwszy. Boć przecież nie miaoby sensu odbywać się w ten sposób do kogoś, kto już od wielu lat dobrze był obeznany z jego postanowieniami i przyjął na siebie obowiązek przestrzegania ich w swojej działalności misyjnej. Jest więc jasne, że autor Dziejów Apostolskich, zapominając, co niedawno pisał na temat soboru jerozolimskiego, zabnął w ślepej uliczce niekonsekwencji. Oczywiście skutek jest ten, że nachodzą nas poważne wątpliwości co do prawdy historycznej jego relacji. Zestawiając to demaskujące go potknięcie z bardziej uderzającym faktem milczenia Pawła w jego autentycznej korespondencji, rozumiemy stanowisko tych bibliistów, którzy opowieść o soborze jerozolimskim wręcz między bajki włożyli.

Autor Dziejów Apostolskich, przekazując nam tego rodzaju wiadomość, chyba powodował się aktualnymi potrzebami propagandowymi. Nietrudno zorientować się, że Piotra potraktował raczej zdawkowo, natomiast jego bohaterem jest Paweł. Z podziwem i uwielbieniem rozpisyje się na temat jego niezłomnej odwagi i działalności misyjnej i nauczycielskiej. Podkreślając nieprzeciętną osobowość, hart ducha i zasługi apostoła dla Kościoła, równocześnie pragnie przekonać czytelników, że Paweł nie działał samowolnie, lecz za wiedzą i przyzwoleniem macierzystej gminy w Jeruzolimie. Jednym słowem, nakreślony przezeń portret Pawła to raczej tendencyjnie zabarwiony dokument, napisany w duchu istniejącego w chrystianizmie nurtu paulińskiego.

Dlaczego autorowi Dziejów Apostolskich zależało na utrzymaniu takiej wersji? Otóż chrystianizm Pawła, chociaż wolny już od balastu niektórych rytualnych rygorów Starego Zakonu, nie mógł wyprzeć się swego judaistycznego rodowodu. Bez Starego Testamentu zawnisnęby po prostu w próżni, straciłby

swoją duchową i historyczną podstawę. Dla pierwszych chrześcijan Jezus Chrystus był przecież Żydem, potomkiem królewskiego rodu Dawida i Mesjaszem zapowiedzianym przez starostamentowych proroków, których ewangelie często cytują na dowód, że oczekiwanym Mesjaszem był właśnie on, a nie kto inny.

Autentycznymi uczniami i spadkobiercami byli apostołowie oraz inni towarzysze jego wędrowek, a więc także „Starsi” gminy jerozolimskiej i „brat Pański” Jakub. To znaczy, że Paweł uzyskiwawszy na specjalnie odbytych soborze ich aprobatę, głosił wiernie to, co nauczał Jezus Chrystus. Sobór jerozolimski był tu owym ważnym ogniwem, który wiązał Pawła z judeochrześcijańską faza Kościoła. Intencją autora Dziejów Apostolskich była więc najwidoczniej obrona Pawła jako wiarogodnego kontynuatora apostołów. Czyż jednak tego rodzaju obrona była potrzebna? Wszak w chwili, kiedy powstawała jego kronika, antagości Pawła właściwie już się nie liczyli. Jeruzolima leżała w gruzach, a członkowie gminy jerozolimskiej, z którymi Paweł, jak wynika z dokumentów, w rzeczywistości miał ciągle konflikty, albo przenieśli się za Jordan do Pelli, albo rozproszyli się po miastach i miasteczkach imperium rzymskiego. Jednak mimo tego historycznego kataklizmu żydostwa wpływy judeochrześcijan i przeciwników Pawła w gminach musiały być jeszcze wówczas dość silne, skoro autor Dziejów Apostolskich uważał za potrzebne przeciwstawić się im odpowiednią repliką. Odrzucali oni naukę Pawła, nie uznawali go za apostoła, a sprzeczą z judaizmem deifikację Jezusa pietroją jako herezję. Zgodnie z ich starostamentowymi pojęciami Jezus, chociaż był zapowiedzianym Mesjaszem, wybrańcem Boga, prorokiem i cudotwórcą, nie miał jednak natury boskiej, lecz był tylko człowiekiem. Kontrowersja ta bynajmniej nie wygasła, lecz trwała bardzo długo jeszcze po śmierci autora Dziejów Apostolskich, co świadczy, że relacja o rzekomo odbytych soborze jerozolimskim u przeciwników Pawła nie znalazła wybie. Jeszcze w IV wieku, a więc w trzyzsta lat później, potomkowie judeochrześcijan, tak zwani ebionici (ubodzy), odsądzała Pawła od czci i wiary, piętnując go jako odstępcę i fałszerza nauki Jezusa.

W 1965 r. dokonano w tej dziedzinie rewelacyjnego odkrycia. Profesor Uniwersytetu Hebrajskiego w Jeruzolimie, Szlomo Pines, zainteresował się bliżej zagadkowie, sześćset ston laternym manuskryptem arabskim, który znaleziono w Stambule. Okazało się, że jest to tysiąc lat liczący traktat polemiczny, napisany przez teologa arabskiego nazwiskiem Al-Jabbar. Nie to jednak było ważne. Sensację wywołał dopiero fakt, że jeden fragment manuskryptu okazał się judeochrześcijańskim tekstem, przetłumaczonym w V lub VI wieku z dialektu aramejskiego, będącego ongiś w powszechnym użyciu na obszarze Syrii. Prof. Pines wyraża przekonanie, że autorami tekstu byli autentyczni członkowie gminy nazarejców w Jeruzolimie. Opowiadają oni, jak sekta z dnia na dzień stawała się coraz liczniejsza. Jednocześnie jednak donoszą z rozgorczyeniem, że ostre konflikty rozbiły ją na rywalizujące ze sobą ugrupowania. Czyżby ta interesująca relacja miała jakiś związek z dramatycznym buntem „hellenistów”?

Najważniejszą rzeczą jest jednak dla nas to, co piszą oni o Pawle. Podkreślając, że nazarecyjący zawsze pozostawali wiernymi wyznawcami Prawa Mojzeszowego, że Jezusa czcili nie jako Boga, lecz jako Męza Sprawiedliwości i proroka izraelskiego, piętnowali Pawła jako fałszerza nauki Jezusa i renegata, który opowiedział się po stronie Rzymian.

NIENZYKLE PRZYGODY PAWŁA

Drugą część Dziejów Apostolskich odznacza się wyjątkowo dramatyczną fabulą, jest bowiem dosłownie naszpikowana niezwykłymi wydarzeniami i elementami cudowności. Odnosi się przeto wrażenie, że autor świadomie posłużył się konwencją przygodowej opowieści, której w czasach hellenizmu holdowali niektórzy dziejopisarze i biografowie. W duchu tej konwencji Paweł dostaje się ustawicznie w najtrudniejsze opaly, które następują po sobie w tempie wręcz oszalałym. Poturbowany i upokarzany chłostą, potrafi jednak wybrnąć z tych tarapatów obroną głę, jak przystało na bohatera opowiadań tego rodzaju.

Autor, rzecz oczywista, dokonał tu charakterystycznego zabiegu literackiego. Wybierając z dwudziestu lat życia Pawła i kumulując w swojej relacji przede wszystkim te ewenementy, które swoją sensacyjnością mogły zaprzafować czytelnika, jednocześnie jednak pragnął mu zasugerować, ileż Paweł musiał się natrudzić i nawalczyć w służbie Jezusa Chrystusa.

Żywoć Pawła, skonstruowany w sposób tak selektywny, sprawia wrażenie, jakby zawsze był pełen niezwykłych i bulwersujących wydarzeń, jakby stanowił pasmo udręć i szamotania się z przeciwnikami. To natomiast, co w jego osobowości było naprawdę brzemienne w historyczne skutki, mianowicie jego chrystologia, zostało potrakowane raczej marginesowo. Toteż, jeżeli duchową sylwetkę i naukę Pawła znamy coś niecoś lepiej i gruntownie, nie Dziejom Apostolskich to zawdzięczamy, lecz temu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, że ocaliły niektóre jego listy.

Wgląd w mechanizm owej metody pisarskiej daje nam następujące wyliczenie: w tekście zamkniętym w szesnastu krótkich rozdziałach, a więc w narracji, którą ze względu na rozmiary nazwalibyśmy dziś nowelą. Paweł aż sześćdziesiąt razy narazony jest na wielkie niebezpieczeństwa, na konflikty z otoczeniem, które niekiedy swym gwałtownym, dramatycznym przebiegiem musiały chyba u starszych czytelników budzić groźę i podziw dla ich protagonisty.

Pierwszą przygodę miał Paweł na wyspie Cypr, dokąd udał się z Barnabą zaraz na początku swej pierwszej podróży. Tam nawrócił prokonsula rzymskiego Sergiusza Pawła. Zanim to jednak nastąpiło, musiał zwalkać opór magika imieniem Elymas i unieszkodliwić go w ten sposób, że na pewien czas go oślepił.

W Antiochii Przydyjskiej pobożne niewiasty i przełożone tamtejszej gminy żydowskiej, z którymi wdał się w ostrą dysputę religijną, wypędził go z miasta. W Ikonium poganie i Żydzi zmówili się, aby go ukamienować, ale on, ostrzeżony zawsze przez przyjaciół, wymknął się z niegodziwego miasteczka i skierował do Lystry na spotkanie jednej z najdziwniejszych przygód, którą można by nazwać komieczną, gdyby nie zakończyła się dotkliwym pobiciem apostoła.

A rzecz miała się tak. Paweł, przybywszy do Lystry, uzdrowił człowieka, który był sparaliżowany. Wieść o cudownym uleczeniu szybko się rozniósła w mieście. Ludzie wprowadzeni w stan najwyższego uniesienia, wykrzykiwali, że przybyli do nich w ludzkiej postaci bogowie; Barnabę, bardziej postawnego, okrzyknęto Jowiszem, a drobniejszego i ruchliwszego Pawła Merkurym. Doszło do tego, że kapłan pobliskiej świątyni Jowisza, wciągnięty w zborową psychozę, przywydł ozdobione girlandami woły, by złożyć ofiarę domniemanym boskim przybyszom. Paweł i Barnaba w najwyższej desperacji wmięszali się w to rozegzaltowane zbiegowisko i rozdzierając szaty wołali: „Mężowie, czemu to czynicie? I myśmy śmiertelnicy, podobni wam ludzie”. W ten sposób tłumacząc im, kim są i jaką głoszą naukę, powstrzymali ich od składania krwawej ofiary.

Rychło jednak przekonali się, jak zmienne potrafią być nastroje tłumów. Okazało się bowiem, że Żydzi zarówno w Antiochii, jak też z Ikonium byli پایگئی i nie dali za wygraną. W ślad za uciekinierami, którzy tak łatwo im się z ręką wymknęli, wysłali posiłki. Wysłać tych gmin żydowskich podburzył miasteczko Lystry, a oni wywętkli Pawła i Barnabę za miasto, obrzucili kamieniami i pozostawili na polu w mniemaniu, że nie żyją. Nieszczęśliwi stracili jednak tylko przytomność i ocknawszy się nad ranem, powlekli się do Derbe.

W sławnym macedońskim mieście Filipi Pawłowi przydarzyła się inna przygoda, która wprawdzie także zaczęła się dosyć dramatycznie, na odmianę jednak skończyła się raczej humorystycznie. Jego towarzyszem podróży był tym razem Sylas. Otóż ile razy obaj zmierzali do żydowskiego domu modlitwy, wyrastała jakby spod ziemi jakaś młoda wieszczka i idąc krok w krok za nimi, z uporem wydzierała się na cały głos: „Ci ludzie są sługami Boga!”

Zdarzało się to tak często, aż Pawłowi w końcu się sprzykrzyło. Wypłoszył więc z niej ducha wczeszego i sprawił, że stała się normalną niewiastą. Okazało się jednak, że w ten sposób naraził się pewnym obrotom obywatelom miasta, którzy z wrobiaństwa owej niewiasty ciągnęli stałe dochody. Zawlekli oni wścibskich intruzów przed oblicze władzy i oskarżyli o stanie niepokojów w mieście. Pod presją podburzonego przez nich motłochu ulicznego, który wrzaskliwie domagał się ich ukarania, przedstawiciele władzy miejskiej kazali ich obnażyć, wychostać różgami i zakutych w dyby wtrącić do najciemniejszego lochu więzienia.

Sytuacja, zadowaloby się, bez wyjścia. Ale, jak to z reguły w takich dramatycznych wypadkach bywa w Dziejach Apostolskich, naszym bohaterom przychodzi w sukurs żywiołowe siły z zaświatów. Nagle bowiem zatrząsa się ziemia, więzienie zachwiało się w posadach, bramy rozwarły się na oścież, a z ich ciał odpadły wszelkie więzy. Strażnik, myśląc, że więźniowie uciekli, chciał pełnieć samobójstwo, spostrzegł jednak, że tego nie uczynili, więc pełen wdzięczności ugościł ich posiłkiem i dał się nawrócić na wiarę chrześcijańską.

Z nastaniem dnia sprawa wzięła zupełnie nieoczekiwany obrót. Gdy bowiem do więzienia przybył liktor z rozkazem uwolnienia ich, Paweł i Sylas umieśli się honorem i oświadczyli, że nie ruszą się, aż nie zostaną przeproszeni. „Jawnie, bez sadu - rzekł Paweł - nas Rzymian wychłostałszy, wtrąć do więzienia, a teraz potajmniej nas wyrzucają. Tak nie będzie, ale niech sami przyjdą i nas wyprowadzą”. Jakoż istotnie, skoro tylko przedstawiciele miasta usłyszeli, że dopuścili się poważnego bezprawia skazując na chłostę ludzi, którzy jako obywatele rzymscy nie mogli być w ten sposób karani, pospieszyli co tchu do więzienia i wśród przeprosin wyprowadzili ich na wolność, błagając, aby jak najprędzej opuścili miasto. Pozostało niestety tajemnicę Pawła i Sylasa, dlaczego tak potulnie dali się sponiewierać, skoro wystarczyło jedno słowo, by w porę temu zapobiec.

Po krótkim pobycie w stolicy Macedonii Tessalonice, skąd znowu musieli obaj uciekać przed agresywnością tłumy żydowskiego, znaleźli się na

odmianę w Atenach. Paweł z właściwą sobie pasją przystąpił tam do szeroko zakrojonej kampanii propagandowej w dążeniu do najambitniejszego celu swego życia: zaszczerpienia chrześcijaństwa w samym sercu kultury greckiej. Wiódł w tym celu gorące dysputy z epikurejskimi i stoickimi filozofami, co wreszcie skończyło się w ten sposób, że zaprowadzono go na areopag, gdzie swoje przekonania mógł na nowo wyслуszac w obecności najwyższego trybunału Aten. Zasady swej nauki Paweł ujął lapidarnie w krótkim przemówieniu, które nawiasem mówiąc trudno uznać za historycznie autentyczne. Jest to typowo literacka kompozycja autora Dzieł Apostolskich, może nawet odbicie jego osobistych poglądów, a nie samego Pawła. Spisano przeciw tekst tego przemówienia sporo lat po śmierci Pawła i trudno przypuszczać, by ktokolwiek mógł otworzyć je z pamięci tak dosłownie. Niemniej treść tego przemówienia, przez to, że w nowatorski i celny sposób definiuje podstawową różnicę dzielącą chrześcijaństwo od pozostałych wizerzeń ówczesnego świata, stanowi jeden z tych fragmentów Dzieł Apostolskich, które zasługują na szczególną uwagę. Paweł, stanowiąc przed areopagiem, rozpoczął swoją orację iście dyplomatycznym chwytem, by od razu zdobyć sobie zwycięzcy posłuch. Powołał się mianowicie na epigraf składający na ołtarzu jednej świątyni ateńskich, który składał się z dwóch słów: „Nieznamu Bogu”. Wskazując na siebie jako na „wyznanca” i zwiastuna właśnie tego Boga, Boga czczonego także przez Ateńczyków, powiedział między innymi:

„Co tedy, nie znając, czcicie, to ja wam zwiastuję. Bóg, który stworzył świat i wszystko, co na nim jest, będąc Peanem nieba i ziemi, nie mieszka w świątyniach ręką uczynionych. I nie odbiera posługi z rąk ludzkich, jak gdyby czegoś potrzebował, bo sam daje wszystkim życie, tchnienie i wszystko. On to uczynił, że od jednego (człowieka pochodzący) cały rodzaj ludzki zamieszkuje na całej ziemi. Zakreślił też czasy i granice ich zamieszkania, żeby szukając Boga, znaleźli go niejakó po omacku, choć nie jest daleko od każdego z nas. Albowiem w nim żyjemy i ruzamy się, i jesteśmy, jak i niektórzy z waszych poetów powiedzieli, że i z rodu jego jesteśmy. Będąc przeto rodem Bożym, nie powinniśmy sądzić, że Bóstwo jest podobne do wyrzeźbionego sztuki i myślą ludzką złotą, czy srebra, czy kamienia” (17, 23-29).

Ten cudzoziemiec, pełen niezwykłego ognia i mądrości, musiał chyba zaskoczyć dostojników greckich przypochlebną formą swego oratorskiego wywodu, toteż z początku słuchoł go z zainteresowaniem. Gdy jednak przesyedł do zapowiedzi Sądu Ostatecznego i cielesnego zmartwychwstania umarłych, cała ich natura, przepojona wielką tradycją filozoficznego myślenia i sceptycyzm, wzdrzygnęła się odruchowo. Poglądy owego wędrowca z Azji wydawały im się do tego stopnia niedorzeczne, że skwitowali je szderczym śmiechem.

Gdy Paweł rozstawał się z nieprzyjaznym miastem, miał chyba jeszcze w uszach pogłos tego uragliwego śmiechu. Możemy jednak wyobrazić sobie, że nie czuł się tak całkowicie pokonany. Zdążył bowiem zjeżdżać sobie nieco adeptów, pionierów pierwszej gminy chrześcijańskiej na obszarach Europy. Autor Dzieł Apostolskich z grona tych świeżo nawróconych wyznawców wymienia po imieniu tylko dwie osoby, niewiastę Damaris oraz, Dionizego Areopagite, o którym historyk kościelny Euzebjusz pisał, że został pierwszym biskupem Aten.

W Koryncie, dokąd Paweł udał się następnie, zabawiał przeszło półtora roku. Zrazu nauczał w tamtejszej synagodze, ponieważ jednak Żydzi z uporem odrzucali to, co głosił, postanowił całą uwagę poświęcić niezjudowskim obywatelom miasta. Wśród Żydów mógł jednak pochwalić się jednym wyjątkowo dużym osiągnięciem, chociaż przysporzyło mu ono niebawem sporo kłopotów. Mianowicie udao mu się pozyskać aż samego zwierzchnika synagogi Kryspusa z rodziną i domownikami. W środowisku żydowskim zawrało jak w ulu. Wybrani pospiesznie na jego miejsce nowy zwierzchnik Sostenes chciał za wszelką cenę pozbędz się Pawła, aby zapobiec dalszemu tego rodzaju porażkom. Nie poszedł jednak za przykładem innych miast i nie próbował wywołać przeciwko niemu rozruchów. Postanowił załatwić to na drodze legalnej i oskarzył Pawła o sianie niepokojów przed rzymskim prokonsulem Gallio. Ale dostojnik rzymski, nie chcąc mieszac się w spory żydowskiej kolonii, kazał rozpedzić zbiegowisko Żydów, którzy przybyli z Sostenesem i wrzaskliwie domagali się ukarania Pawła. Teraz winę swojej porażki zwałili na Sostenesa i rzuciwszy się na niego z wielościelką, poważnie go poturbowali. Paweł pozostał jeszcze pewien czas w Koryncie i opuścił miasto wtedy, kiedy sam zechciał.

Podczas trzeciej podróży misyjnej odwiedził po raz drugi Efes i zatrzymał się tam aż prawie trzy lata. Był to najburzliwszy okres jego podróży misyjnych, tak przynajmniej sądzić należy z opowiadania Dzieł Apostolskich. Główną przyczyną był zatarg, jaki Paweł miał z kupcami i rzemieślnikami Efesu. Jeden z tych kupców, Demetriusz, złotnik handlujący posągami Diany ze srebra, podburzył całe miasto przeciwko Pawłowi, a na zwołanym z tej okazji masowym wiecu powiedział między innymi, co następuje: „Mężowie, wiecie, że z tego rzemiosła ciągniemy zyski. A widzicie także i słyszycie, że nie

tylko w Efesie, ale prawie w całej Azji ten Paweł namówił i do odstępstwa przywydł wielkie mnóstwo ludzi, mówiąc: Nie są bogami ci, co są rękoma uczynieni. I grozi nam, że nie tylko zawód nasz pojedzie w poniewierze, ale i świątynia Wielkiej Diany za nie będzie poczytana i tak znacznie podupać mająst jej, która czci cała Azja i świat cały”. Rozagıtowany motloch porwał towarzyszy podróży Pawła, Gajusa i Arystarcha, na co on sam chciał wystąpić i ich obronie, ale na prośbę uczniów i nawet niektórych urzędników rzymskich zaniechał swego zamiaru. Wresztą interwencja okazała się zbedna, gdyż zamieszki skończyły się manifestacją na cześć Diany w miejscowym teatrze, a potem tłumy na apel pisarza miejskiego rozeszły się spokojnie do domów. Paweł i jego towarzysze mogli wobec tego bez przeszkód opuścić Efes i ruszyć do Macedonii. Relacja, jak widzimy, mocno dramatyczna. Ale jak przedstawia się ona w świetle znanych nam faktów historycznych? Czy rzeczywiście chrześcijaństwo odniosło wtedy sukcesy na tak wielką skalę, że obywatele Efesu mogli czuć się zagrożeni? Spróbujmy choćby w skrócie na to pytanie odpowiedzieć.

Dla porządku trzeba zaznaczyć, że świątynia efeska nie była poświęconą Dianie, lecz Artemidzie i dlatego nazywała się „Artemizjon”. Ta bogini nie była jednak już wówczas greckim odpowiednikiem Diany, lecz przeobraziła się z latami w typowe bóstwo Wschodu. Efes leżał przecież w Azji Mniejszej, gdzie od zamierzchłych czasów uprawiano kult Wielkiej Matki. W nawiązaniu do tej tradycji Artemida efeska stała się boginią płodności i karmicielką ludzkości, a dla wyudzinienia tych funkcji przedstawiano ją w rzeźbach jako niewiastę o mnogich piersiach i odpowiednio obdarzono przydomkiem „Polymastis”. Świątynia została wzniesiona w latach 580-560 p.n.e. Za czasów Pawła liczyła więc sześćset lat z okładem. Co prawda w ciągu swojej długiej historii ulegała nieraz zagładzie, ale zawsze odradzała się z popiołów jeszcze wspanialsza. Między innymi w 356 r. p.n.e. szewc efeski Herostart spalil ją, aby zachować sławę swego imienia wśród potomnych. Ostatecznej zagładzie uległa dopiero w III wieku z rąk barbarzyńskiego plemion Gotów.

Można wyobrazić sobie, jaką czczią i bojaźnią otaczano sędziwą, majestatyczną świątynię. Sława jej docierała nie tylko do pobliskiej Grecji, ale także do Italii i nawet hen do odległej Marsylii. Miarą tej sławy jest między innymi fakt, że król perski Kserkses, który zazwyczaj burzył wszystkie napotymane świątynie greckie, nakazał surowo, by tę pozostawiono nietkniętą. Oczywiście okragly rok oblegany ją nieprzeliczone tłumy pielgrzymów; przybywali oni z bliska i z daleka, by daninami zaskarbić sobie przychylność Wielkiej Matki Artemidy.

Istnieje jednak w tym wszystkim jeszcze druga strona medalu. Otóż świątynia podoła tym, że była miejscem funkcji kultowych, służyła jeszcze innym celom, o czym ci skromni i poborni pielgrzymi zapewne nie mieli najniejszego pojęcia. Była mianowicie jedną z najpotężniejszych placówek ekonomicznych i finansowych ówczesnego świata. Jak właściwie doszło do tej dwoistości? Zeby to zrozumieć, nalezy pamiętać, że Efes był wielkim portem morskim, znanym z ożywionego handlu. U jego nabrzeży spotykały się ładowne statki Wschodu i Zachodu, by wymieniac bogaty wybój towarów, jak wino, egzotyczne pachnidła, dzieła sztuki i wyroby rzemieślnicze. Handel, prowadzony na skalę międzynarodową, nie mógł obyć się bez kredytów i udziałowców dysponujących gotówką. Kapłani Artemizjonu, zgromadziwszy ogromne bogactwa dzięki hojności królów i ofiarności pielgrzymów, w lo zrozumieć te potrzeby. Ich świątynia stała się jednocześnie, instytucją bankową, która za opłatą przyjmowała na przechowanie lub przekazywała do innych miast wkłady pieniężne, udzielała na procent pożyczek i finansowała wyprawy morskie, a rosnące dochody z tych poczynań inwestowała w latyfundiach ziemskich, które nabywała wszędzie, gdzie się dało, nawet w samej Italii. Anglik Wood odkrył w drugiej połowie XIX wieku miejsce, gdzie kryły się pod ziemią ruiny świątyni. Prowadził tam poszukiwania archeologiczne, kontynuowane następnie również przez innych archeologów. Owocem tych prac wykopaliskowych są znalezione, dające wyobrazenie o bogactwie Artemizjonu, mianowicie aż trzy tysiące przedmiotów ze złota i kości słoniowej - nieociekane skarby pod względem artystycznym i historycznym.

Dodajmy jeszcze, że Efes nie był jakimś tam prowincjonalnym osiedlem miejskim, gdzieś na dalekich krańcach imperium rzymskiego; była to prawdziwa metropolia, tkwiąca w głównym nurcie wydarzeń historycznych swoich czasów. Tak na przykład podczas pamiętnej roci obywateli rzymskich, która miała miejsce w Azji Mniejszej w I wieku p.n.e., sprawa tego politycznego kataklizmu król Pontu Mityrdates zatrzymał się również w Efesie i wówczas dopuścił się tam niebywałej profanacji: kazał wyciąć w pień wszystkich Rzymian, którzy schronili się w świątyni Artemidy. Wysłany przeciwko niemu wódz rzymski Lukullus zadawał mu dotkliwe obrażenia, nie zdołał go jednak pokonać.

Mimo to dla uświetnienia swoich militarnych sukcesów urządził w Efesie pierwsze w Azji Mniejszej walki gladiatorów. Mityrdatesa rozgromił ostatecznie dopiero Pompejusz, nie wyszło to jednak na dobre miastu: triumfator ogotcił je ze wszystkich

wartościowych rzeczy i wywiodł do Rzymu jako łup wojenny.

Lepsze doświadczenie miał Efes z Juliuszem Cezarem, pogromcą Pompejusza. Uswolnł on obywateli od niemiernie uciążliwych podatków, za co w dowód wdzięczności został okrzyknięty bogiem i zbawicielem świata. W latach 33-32 p.n.e. bawila w mieście słynna para kochanków, Antoniusz i Kleopatra. Przygotowując się do walnej rozprawy z Oktawianem, która nawiasem mówiąc skończyła się ich kłęką pod Afocjum w 31 r. p.n.e., skoncentrowali tam wszystkie swoje siły lądowe i morskie. Tymczasem oddawali się najrozmaitszym uciechom i zabawom. Ulice Efesu były pełne walejących się legionistów i marynarzy. Nie było dnia, żeby nie odbywały się jakies festyny, przeglądy wojsk, igrzyska cyrkowe, teatralne widowiska lub libacje. Gdy po zwycięstwie Oktawian August objął rządy nad światem, okazywał miastu wielką życzliwość. Dzięki jego hojności Efes przeżywał okres szczególnej pomyślności i w chwili, gdy pojawił się tam Paweł, liczył podobno już około dwustu tysięcy mieszkańców.

FANTAZJA I PIERWSZY W DZIEJACH STOS PLONACY

Nie bez powodu pozwoliliśmy sobie na to dygresję od głównego nurtu naszych rozważań. Pragnielismy bowiem przypomnieć pewne kardynalne fakty z dziejów Efesu, aby je teraz skonfrontować z tym, co z taką siłą przekonania opowiada nam autor Dzieł Apostolskich. Ta konfrontacja, jak zobaczymy, nie przemawia na rzecz jego wiarygodności jako historyka.

Przed wszystkim wierzyć się nie chce, żeby w latach pięćdziesiątych n.e., a więc w początkach swego istnienia chrześcijaństwo moglo w Efesie cieszyć się już tak ogromną wziętością, że przestraszeni obywatele tego dumnego miasta czuli się zmuszeni manifestować swój protest w masowych rozruchach ulicznych. Iluz bowiem członków mogla liczyć ówczesna, przez Pawła kierowana gmina chrześcijańska? W najlępszym razie paruset, powiedzmy nawet parę tysięcy. W metropolii liczącej dwieście tysięcy mieszkańców, nieustannie wypełnionej po brzegi tłumem pielgrzymów, bylo to tyle, co kropła w morzu. Wyznawcy Jezusa, zagubieni w mrovisku ogromnego miasta, tworzyli tam niepokojącą, egzotyczną grupkę ludzi wyodrębnionych od reszty społeczeństwa. Autor Dzieł Apostolskich nie zdaje sobie sprawy z tej oczywistej dysproporcji i beztroško wyolbrzymia rolę chrześcijaństwa do wymiarów wręcz utopijnych.

Jeżeli bowiem naprawdę byłoby tak, jak kaže nam wierzyć autor, to w takim razie Artemida musialaby tracić swoich wyznawców masowo i w tempie wręcz zawrotnym. Tylko w tym wypadku staloaby się rzeczą zrozumiałą, dlaczego bogaci i znani z przedsiobiorczosci kupcy i rzemieślnicy Efesu traciли aż tylu amatorów na wyrabiane przez siebie posaki Artemidy i ponosili z tego powodu tak dotkliwy ubytek zarobków, że wpadli w poploch, majestatyczna zaś, sławna wśród ludów i oplwywająca w bogactwa świątynia pozostala z niepewną przysloscia swojeg egzystencji.

Zresztą ta rzekomo zagrożona w swej egzystencji przez działalność Pawła świątynia prosperowała w najlepsze jeszcze dwa pełne stulecia, a upadła w końcu nie z braku wyznawców, lecz tylko z tego powodu, że w 262 r. zburzyły ją plmiony Gotów podczas najeżdza na Azje Mniejsza. Ale i wtedy kult Artemidy nie dał za wygraną. Na gruzach starej świątyni wyrosła nowa, wprawdzie daleko skromniejsza, bo miasto zubozało, jednak trwała tam jeszcze przez pewien czas, dopóki na jej miejscu nie został zbudowany kościół, pierwszy w chrześcijaństwie kościół poświęcony Matce Jezusa Chrystusa. Mamy tu jeden z typowych przykłałów mądrego konformizmu Kościoła, który zawsze tam, gdzie napotykał żywność gęboko zakorzenionych poganskich wizerzeń lub starodawnych miejsc kultowych, potrafił zρέcznie asymilować je dla swoich potrzeb.

W kościele efeskim odbył się w 431 r. sobór, na którym przy wtórce sporów i krwawych walk ulicznych z opozycją proklamowano Marię jako Matkę Boską. Tym oficjalnym aktem uwięczono długotrwały proces stopniowej transformacji kultu Artemidy w kult Maryjny. Pielgrzymi nadal plynęli nieprzerwanym strumieniem do miasta, z tą różnicą, że na odmianę byli to teraz chrześcijanie; tacy zaś wukowie tych kupców i rzemieślników, którzy niegdyś handlowali posagami Artemidy, sprzedawali wizerunki Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Sprawa opowieści o rozruchach efeskich jest dla nas niezwykle pouczająca. Na jej przykładzie poznalismy, jak autor tej opowieści pojmulwał zadanie dziejopisarza. Nie moze być wątpliwosci, że pod tym wzgledem jest on nieodrodnym dzieckiem swojej epoki. Nie znał on historiografii w pojeciu współczesnym, dla niego była ona przede wszystkim dydaktycznym sposobem przekazywania pewnych nauk lub poglądów, holdował więc mniej więcej tej samej zasadzie, jaka jest zawarta w cyceronskiej dewizie: „Historia est magistra vitae”.

Autor, zresztą nie po raz pierwszy, wyszkal tu swoje uzdolnienia beletrystyczne, by w dramatycznej i porywającej opowieści przedstawiać Pawła w chwale jego charzmatu i wielkich sukcesów w pracy misyjnej wśród ludów poganskich. Byloby

oczywiście z naszej strony anachronizmem, gdybyśmy tu za złe brali, że tak, a nie inaczej rozumiał to, co się składa na tworzący dziejopisarskiego rzemiosła. Niemniej opis wydarzeń efektyczny ponownie przypomina nam, że jak duża ostrożnością należy czytać do wszystkiego, co autor Dziejów Apostolskich podaje nam do wierzenia jako prawdę historyczną.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że awantura efeska całkowicie jest wysyana z palca. Istnieją w tekście dane przemawiające za tym, że jakieś rozruchy rzeczywiście mogły mieć tam miejsce, tyle tylko, że przyczyny ich wybuchu musiały być inne, niż to podaje autor. Nie wolno przecież zapominać, że relację swoją spisujący na trzydziestu, może nawet czterdziestu lat po owych wydarzeniach, że wiadomości o nich czerpał już z drugiej czy trzeciej ręki, mocno przez czas zamazane, a jednocześnie ubarwione przez ludową narrację. Dla człowieka o tak płodnej wyobraźni nie mogło być nie łatwiejszego, niż z tych strzępów wieści skomponować dramatyczną fabułę o triumfach Pawła, które jakoby wywołyta taki popłoch wśród pogańskich czcicieli Artemidy. Tymczasem, jak wynika z zawartych w tekście wzmianek, rzecz miała się chyba inaczej. Przede wszystkim dowiadujemy się, że Paweł w miejscowej synagodze poniósł porażkę, gdyż nauka, jaką tam głosił, została odrzucona. Odrzucił się więc od tamtejszych Żydów i postanowił poświęcić się wyłącznie poganom. W tym celu przeniósł się z synagogi do szkoły niejakiego Tyrranosa, przypuszczalnie greckiego nauczyciela sofistyki, by tam głosić swoją naukę.

To zerwanie nie uchroniło go jednak przed zatargiem z rodakami. Pewnego dnia doszła go wieść, że siedmiu synów arcykapłana żydowskiego, Secew którzy zawodowo uprawiali egzorcyzmy, zaczęło wypędzać złe duchy w imieniu Jezusa Chrystusa. Paweł był oburzony i chciał im tego zabronić. Rezultatem tej interwencji była ostra wymiana słów i w końcu doszło do rękoczynów.

A do bójkii doszło dlatego, że w kłótnię wmixial się całkiem niespodziewanie tenże sam duch, który miał być przepędzony przez siedmiu egzorcystów. Znamy już dobrze przedziwny świat wyobraźni autora Dziejów Apostolskich i zażyliśmy się już przyzwyczajając do tego rodzaju osobliwości. Tym razem jednak autor chyba przeszedł w pomysłowości nieco siebie i zaaplikował czcicielkom specjalną niespodziankę. Bo oto zły duch, na przekór tradycji i logice, występuje tu nie stąd, ni zowąd jako szermierz dobrej, a nie złej sprawy.

A miało się to tak. Oburzony na synów Secewy, że chcieli go wypędzić samowolnie w imieniu Jezusa, zły duch odzywa się do nich w ten oto sposób: „Znam Jezusa i wiem kim jest Paweł, ale wy coście za jedni?” I natychmiast po tych słowach, jak pisze autor opowieści, „skoczył na nich... i zმოგł tak, że nadzy i poranieni uciekli z domu tego” (19,15-16).

Charakter tej historyjki, jej rozbijająca naiwność i niezamierzony komizm, wszystko to przemawia za jej ludowym pochodzeniem. Przypomina ona jakże żywo owe nieprzeliczone dykteryjki o uciśnionych przygodach z diabłem, występujące w naszych ludowych podaniach. Nie znaczy to jednak, by w jej treści nie kryło się jakieś ziarno prawdy historycznej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest ona echem jakichś zajętych sporów między Pawłem a Żydami Efezu. Jak łatwo wnosić z niektórych elementów opowieści, nie obyło się w tych zwadach bez bójkii i rozlewu krwi.

Jeżeliby ktokolwiek miał pod tym względem jakieś wątpliwości, to powinno ostatecznie przekonać go zajęcie, które na pewno było dalszym etapem tych właśnie zatargów. Otóż Paweł po opuszczeniu Efezu udał się do Grecji. Stamtąd chciał popłynąć morzem do Syrii. Wówczas ktoś żyjący wprzódził go, że w drodze do portu urządzili na niego zasadzkę jakys Żydzi. Poniemaw w Grecji, jak wynika z tekstu, Paweł nie miał wrogów, mogli to być jedynie tylko wysłańcy Efezu. Chcąc obejść zasadzkę, musiał wybrać inną, okrężną, daleko dłuższą trasę podróży; wyruszył pieszo do Macedonii, by dopiero w porcie miasta Filippi wstąpić na statek płynący do Syrii. Tumulty i zamieszki w dzielnicy żydowskiej efezjanie może i zauważyli. Jednakże dla wielkiego, kipiącego zyciem miasta były to wydarzenia mało ważne, nad którymi przechodziło się do porządku dziennego. Gorzej, gdy te awantury zaczęły godzić ich własne życie sprawy. Pewnego dnia, pod wrażeniem frenetycznych przemówień Pawła, „wielu z tych, którzy oddawali się zabobonom, znosiło księgi i paliło je wobec wszystkich. Gdy obliczono ich cene, określono ich wartość na pięćdziesiąt tysięcy denarów” (19, 19-20).

Był to zatem ogromny stos płonących zwójów (bo oczywiście w owych czasach nie było jeszcze książek). Widowsko, jak wynika z tekstu, urządzono publicznie na oczach miasta i było ono chyba pierwszym w dziejach ludzkości „autodafé”. Z opowiadań nie wynika jasno, jakie to teksty padły ofiarą plomienia. Autor Dziejów Apostolskich co prawda daje do zrozumienia, że chodziło o pisma zabobonne. Ale nawet jeżeli za takie uchodziły w oczach neofitów chrześcijańskich, nie znaczy to, że większość obywateli efeskich była tego samego zdania. Dla nich te zwójce były na pewno czymś bliskim, czymś, co zrosnięte było z ich tradycją i wierzeniami. Plonący stos musieł chyba odzuceć jako zwalcząca prowokację. Wyległ przeto tłumnie na

ulice i w gniewnych manifestacjach domagali się ukarania świętokradców. I podziwiała trzeba ich rozsądek i smiać, jak w tych warunkach ujawnili, bo w rezultacie winowajcom nie się stało, a manifestujące tłumy, zgromadzone w miejscowym amfiteatrze, na wezwanie jednego z przedstawicieli miasta spokojnie rozesyli się do domów.

Oto co po naszej krytycznej analizie pozostało z pięknej opowieści o triumfalnych sukcesach Pawła i o popłochu, jaki miał z tego powodu ogarnąć sławną metropolię i jej majestatyczną świątynię.

„JA JESTEM ŻYDEM URODZONYM W TARSIE”

Po trzeciej wyprawie misyjnej Paweł postanowił przenieść się do Italii, po drodze jednak wstąpił na krótki pobyt do Jeruzolimy. Gdy wyładował w Cezarei, przyjaciele i życzliwy mu żydowski prorok Agabus ostrzegł go, iż ze strony jerozolimczyków grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, ale on nie usłuchał ich i ruszył w dalszą drogę.

Decyzja, którą Paweł podjął mimo grożącego mu niebezpieczeństwa, była ryzykowniejsza, niż należałoby sądzić z relacji Dziejów Apostolskich. To co ich autor w tej mierze przemilcza, dopowiada nam w swoich dziełach Józef Flawiusz. Od niego dowiadujemy się, jak złowrogie stosunki wytworzyły się wówczas w Jeruzolimie, a w ogóle w całej Judei. Ucisniana, doprowadzona do rozpaczki ludność żydowska raz po raz podnosiła bunt przeciwko rzymskim okupantom. Wszystkie te rodzaje objawy desperacji kończyły się z reguły rzezią winnych i niewinnych, mężczyzn, kobiet i dzieci. Nie można przeto dziwić się, że ten nieszczęśny kraj niezliczonych ofiar, wieszanych na krzyżach lub skatowanych przez rozbestwione żołdactwo, ogarniała psychoza mistycyzmu: ludzie szukali duchowej ucieczki w nacionalistycznych i mesjańskich złudzeniach.

Naprężona sytuacja sprzyjała pojawianiu się różnego autoramentu półobłąkanych fanatyków lub wręcz szarlatanów, którzy wmiawiali sobie i innym, że są prorokami mającymi lud żydowski wyprowadzić z domu niewoli. Pod ich przewodem obalamucone tłumy szły jakby w zamroczeniu w okolice bezładne lub nad brzeg Jordana, gdzie rzekomo czekało ich nowe życie, wolne od jarzma rzymskiego. Prokurator śledził pilnie tego rodzaju ruchy ludnościowe; wysyłał w poście swoje oddziały wojskowe i dokonywał w szereгах nieszczęśliwów okrutnego spustoszenia.

Wśród tych proroków wswiał się szczególnie jakis nieznan z imienia Żyd z Egiptu. Podając się za następcę Jezusowego, wywiódł on podobno aż trzydzieści tysięcy Żydów na pustynię, a potem sprowadził na Górę Oliwną, aby byli świadkami, jak on jednym rozkazem obróci w gruzy mury obronne miasta i rozgromi garnizon rzymski. Wyprawa skończyła się oczywiście katastrofą. Legioniści natarli na zgromadzonych Żydów z całą furią. Gdy miotająca się w rozpaczalnym nieładzie cizba zbierała się na wszystkie strony, pozostawiając na miejscu czterysta trupów, okazało się, że sprawa nie szczęśliwa, ów fałszywy prorok, zdołał umknąć, by nigdy już nie dać znać o sobie. Wspomina go zresztą również autor Dziejów Apostolskich. Mianowicie, gdy aresztowano Pawła w Jeruzolimie, trybun rzymski podejrzewając, że to on jest zbiegnym wichrycielem, rzekł do niego: „Czyż nie jesteś ty Egipcjaninem, który niedawno wszczął rozruchy i wyprowadził na pustynię cztery tysiące skrytojóbców?” (21, 38). Jeżeli chodzi o liczbę uczestników owego wydarzenia, to autor Dziejów Apostolskich był widać w swej ocenie mniej przesadny i tym samym bliższy prawdy niż Józef Flawiusz.

W chwili, gdy Paweł przybył do Jeruzolimy, urząd prokuratora rzymskiego piastował wyzwoleniec Feliks. Jego żoną była księżniczka żydowska Druzylla, siostra króla Agrayppa I. Nie miało to jednak żadnego wpływu na jego stosunek do podporządkowanego jego władzy narodu żydowskiego. Ze źródeł rzymskich wiemy, że był to człowiek nikczemny, bezwzględny i przekupny. Pawła przetrzymywał dwa lata w więzieniu w nadziei, że wymusi na nim jakiś okup. Jego twarde rządy i nadużycia doprowadziły do tego, że społeczeństwo żydowskie wysłało do Rzymu skargę na niego. Ale protest pozostał bez odpowiedzi, ponieważ Feliks miał poparcie swego brata Pallasa, wszechmocnego wyzwoleńca i ulubieńca dwóch cesarzy, Klaudiusza i Nerona.

Patrioci żydowscy w poczuciu strasliwej krzywdy i bezradności dali upust swej desperacji w terrorystycznej partyzantce. Postrachem stali się tak zwani „sicarii”, czyli „sztyletnicy”. Korzystając z toku ulicznego pchnięciem sztyletu zabijali Rzymian i swych własnych rodaków podejrzanych o kolaborację z okupantem. Nie cofnęli się nawet przed sprofanowaniem samej świątyni. Arcykapłana Jonatana, uchodzącego za marionetkę Rzymu, zaszytlowali w obecności wiernych, gdy zajęty był sprawowaniem swych rytualnych obrzędów. Zbrukana krwią posiadka świętego przybytku to znamie owych ponurych nastrojów Jeruzolimy. Nic dziwnego, że nawet najmniejszy objawy odchylenia od judaizmu poczytywano wówczas za zdradę narodu. Wiemy już z jak burzliwą opozycją spotkała się na emigracji żydowskiej działalność misyjna Pawła. Z ostrzeżeń, jakich nie szczędził mu w Cezarei przyjaciele, wynika niedwuznacznie, że

Sanhedryn doskonale był poinformowany o każdym jego kroku, zarówno przez swoich stałych poborców podatkowych, jaki i też prawdopodobnie przez specjalnie wysłanych agentów. Poprzedziła go więc stęgbna fama, że jest heretykiem, bluźniercą i renegatem. Ową fatalną reputację odczuł na własnej skórze, gdy tylko pojawił się w Jeruzolimie.

Pokazało się, że nawet bliscy mu nazarejczycy, do których od razu kierował się jak do własnych pieleszy, mieli do niego poważne pretensje. „Brat Pański” Jakub, gorliwy wyznawca ortodoksyjnego judaizmu, przywiał Pawła - jak to już pisaliśmy - ciężkim zarzutom, że uczy Żydów odstępstwa, że namawia ich, aby zaniechałi obrzezania i innych zwyczajów nakazanych przez Prawo. I zażądał, aby przez siedem dni poddawał się w świątyni pokutnemu oczyszczeniu oraz by czterem niezamownym współwyznawcom pokrył koszty ofiar, które obowiązywały przy składaniu ślubu wstrzymania się od wina i strawienia wosów.

Łatwo zrozumieć, jak upokorzony musiał czuć się Paweł: on, który głosił wszem wobec, że mandat apostołstwa otrzymał od samego Jezusa Chrystusa w drodze do Damasku. Przyznanie się do winy znaczyło zadanie klam własnym roszczeniem, bo przecież trudno było przyjąć, by pomazanie samego Mistrza, upowazniony przezeń do głoszenia jego nauki, mógł popełnić takie błędy w nauczaniu, że trzeba było je zmazać specjalną ekspiacją. A jednak Paweł ugiął się i tym samym jakby przekreślił całą swoją apostołską przeszłość. Akt oczyszczenia, jakim się poddał w świątyni na polecenie Jakuba, był jakby powrotem marotrawnego syna na łono ortodoksyjnego judaizmu, jakby próbą pojednania się z narodem żydowskim i z jerozolimską teokracją poprzez powrót do chrześcijaństwa reprezentowanego przez gminę nazarejczyków.

Co skłoniło go do powzięcia tej dramatycznej decyzji? Szukając odpowiedzi na to psychologicznie złożone pytanie, musimy powołać się na pewne fakty i okoliczności, które, skojarzone ze sobą logicznie, dają nam podstawę do jakiegoś wniosku, jakim racjami kierował się Paweł w swoim postępowaniu. Śledząc jego nieustanne boje stapczane z Żydami diaspory podczas trzech podróży misyjnych, odniosłmiśmy wrażenie, że miały one charakter wyłącznie religijny, że przedmiotem zatargu była zagrożona przez Pawła integralność judaizmu. Natomiast w Jeruzolimie sytuacja była zgola inna. Tam bowiem ogólnosiwała się walka narodu o przetrwanie, walka, która w tym czasie, kiedy Paweł przybył, przybrała szczególnie ostre formy. Jak to zwykłe było w historii uciemiężonych narodów, religia stała tym przede wszystkim pułkierem politycznym w walce o zachowanie tożsamości narodowej, spoiwem, które cementowało wspólny front Żydów. Najdrobniejsze odchylenie od judaizmu traktowano więc równocześnie jak zbrodnie podważanie tej jedności, a jej sprawców jako pospolicitych zdrajców.

Wiemy z listów Pawła, że nigdy nie przestał on czuć się Żydem, że przeciwnie, zawsze z dumą podkreślał swoje żydowskie pochodzenie. Pod tym względem, jak świadczy meczeństwo Szczepana, potrafił kiedyś być nawet szowinistą. Jakimże przeto szokiem musiało być dla niego, że nagle znalazł się pod przegięciem jako zdrajca narodu i że z tą potępiającą opinią solidaryzowali się bliscy mu nazarejczycy, u których zmiast braterskiego przyjęcia, jak to miało miejsce dwadzieścia lat przedtem, doznał najgorszego w życiu upokorzenia.

Wyrywaj z gronnych rąk ulicznego tłumy i wzięty pod ochronę legionistów rzymskich, otrzymał od nich pozwolenie ogłoszenia przemówienia w swojej obronie. Zaklinał się na wszystko, że jest prawowiernym Żydem mówiącym po hebrajsku (ściśle mówiąc: po aramejsku). Rozpaczliwie zabiegając o łaskę tłumy poniżył się do tego stopnia, że terrorystyczną akcją przeciwko „hellenistom”, z której nie miał powodu być dumnym, bez żadnych oporów moralnych wyusedował jako swoją zasługę i odwój lojalności wobec judaizmu. Opowiadając mianowicie dzieje swego nawrócenia, powiedział między innymi: „Ja jestem Żydem urodzonym w Tarsie w Cylicji, ale wychowałem się tu, w tym mieście, u stóp Gamaliela, wyćwiczony według prawdy w ojcystym Zakonie i jego miłośnik jako i wy wszyscy dziś jesteście. Drogę tę przesładowalem aż do karania śmiercią, wiaząc i wtrącając do więzienia mężów i niewiasty, jak mi tego i najwyższy kaplan jest świadkiem i wszyscy starsi, od których wzgąwszy listy do braci, zdążyłem do Damasku, abym stamtąd uwiezonych przywiódł do Jeruzalem dla wymierzenia kary” (22, 3-5).

W tym konflikcie, jak już wiemy, nie chodziło o taką czy inną postać chrześcijaństwa. Był to konflikt polityczny, dotyczący narodowego bytu Żydów, jakkolwiek z pozoru walka toczyła się jedynie o integralność judaizmu. Jerozolimska sekta wyznawców Jezusa pod przewodem Jakuba, ze swoją dwudziestolletnią historią podporządkowania się świątyni i teokracji kapłańskiej, siłą rzeczy musiała oczywiście solidaryzować się z opinią reszty żydowskiej społeczności i stąd surowości, z jaką potraktowała Pawła, gdy tylko zjawił się w Jeruzolimie.

Trzeba wczuć się w położenie Pawła, żeby zrozumieć, dlaczego tak potulnie ugiął się przed żądaniai Jakuba i zdobył się na akt tak upokarzający. Ostrzegano go wprawdzie w Cezarei

przed jerozolimczykami, jednakże to, czego znał, przeszło chyba najgorsze obawy. Wszędzie, gdzie tylko się pokazał, spotykał się z zajądłą wrogością i z oszczerstwami. Cała Jeruzolimia ziała w stosunku do jego osoby fanatyczną nienawiścią, podsycaną przez kapłanów. Jego bracia w wspólnej wierze, jakkolwiek nastąpiło z nimi pojednanie dzięki temu, że się pokajał, nie czuli się jakoś na siłach, by w tej najczarniejszej chwili jego życia stanąć po jego stronie i wesprzeć go moralnie; po prostu poznikali, jakby nie mieli odwagi się przyznać do niego. Czuł się więc w tych zmaganich osamotniony, tak jak Jezus czuł się opuszczony przez uczniów w dniach swojej meki.

Relację o dalszych dramatycznych losach Pawła czyta się z zapartym tchem. Autor Dziejów Apostolskich, opisując te wydarzenia, rozwinął tu cały swój kunszt pisarski. Tok narracji, pełen werwy i dramatycznego napięcia, sprawia wrażenie, jakby to był skrócony scenopis do zaprojektowanego dramatu. Autor chyba świadomie dążył do uzyskania takiego dramatycznego efektu, a jako dowód może posłużyć to, że w tym lapidarnym przeciez opowiadaniu aż siedem razy każde swoim bohaterom wygłaszał dosłownie przytoczone oracje, a w trzech wypadkach na ferworze narracyjnym przechodził bezpośrednio do dialogi, co oczywiście przyczynia się do większego udramatyzowania akcji.

Paweł wygłosił przemówienie w obronie własnej ze schodów warowni Antonii, prowadzących wprost na dziedziniec świątyni. Józef Flawiusz opisał tę budowlę, a wykopaliska archeologiczne potwierdziły ścisłość jego informacji. Forteca wraz ze znajdującym się tam pałacem królewskim rozbudował Herod Wielki i na cześć swego protektora Antoniusza nadał jej nazwę Antonia. Za czasów Jezusa i Pawła stacjonowała tam załoga rzymskiego wojska, mająca za zadanie utrzymanie porządku wśród licznych pielgrzymów tłoczących się ustawicznie na dziedziniec świątyni. Z wysokości fortecnych murów strażnicy widzieli jak na dłoni, co się tam działo, toteż mogli szybko interweniuować, gdy zaszła potrzeba uwolnienia Pawła z rąk rozsierdzonych Żydów.

Rzymianie zabraли Pawła do siebie, zakuli w łańcuchy i na wszelki wypadek chcieli go wybicować. Gdy jednak dowiedzieli się, że mają do czynienia z obywatелеm rzymskim, odstąpili od swego zamiaru. Niemniej nazajutrz postawili go przed Sanhedrynem, aby się usprawiedliwił przed własnymi rodakami. Pewność siebie i odwaga, z jaką odpowiadał na oskarżenia, rozgniewała arcykapłana do tego stopnia, że kazał go spoliczkować. Wtedy padły z ust Pawła słynne, pełne pogardy zdania, w których nazwał arcykapłana „pobiętaną ścianą”.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Paweł wyszedł z tej konfrontacji obronną ręką, gorował bowiem nad zgromadzeniem swoich sędziów sprytem i bystrością umysłu. Szybko bowiem zorientował się, że Sanhedryn nie tworzy jednomyślnego bloku, że dzieli się na dwa powołnione do siebie stronnictwa faryzeuszkie i saduceusze. Pierwsz, jak wiemy, wierzyli w zmartwychwstanie człowieka, drudzy natomiast uważali ten pogląd za herezję. W pewnej chwili Paweł zwrócił się przeciwko saduceuszom z oskarżeniem, że to oni go przesładowali i podburzają lud przeciwko niemu, a to tylko dlatego, że jest faryzeuszem i wierzy w zmartwychwstanie. Tym zręcznym manewrem rozniecił antagonizm działający od dawien dawna oba stronnictwa i sprawił, że Sanhedryn nie mógł uzyskać jedności w jego sprawie. Rozpętała się gwałtowna polemika na temat jego winy lub braku winy, a trybun rzymski, obawiając się, że ci skaczący sobie do oczu kłótnicy w swej zawziętości rozszarpają Pawła na strzępy, wyrwał go z tego ludzkiego tłoku i odprowadził z powrotem do warowni.

Znaleźli się jednak zagorzalcy, którzy ani myśleli skapitulować. Chcieli oni podstępem wymusić jeszcze jedno przesłuchanie Pawła i zamordować go wtedy, gdy będą prowadzić go do Sanhedrynu. O spisku dowiedział się jednak siostrzeniec Pawła i nie omyślał ostrzeż władze rzymskie. Trybun doszedł wobec tego do przekonania, że najbardziej niebezpiecznym będzie odstawić więźnia natychmiast do dyspozycji samego namiestnika rezydującego w Cezarei. Eskorta przeznaczona do ochrony Pawła liczyła czterystu pieszych i siedemdziesięciu konnych żołnierzy. Ten niezwykle silny konwoj jest bardzo wymowny, świadczy bowiem, jak nieubлагanie wrogi był stosunek jerozolimczyków do Pawła, jak wielkie groziło mu niebezpieczeństwo. Trybun rzymski, wyznaczając tak znaczną siłę zbrojną, musiał chyba wiedzieć, co robi, i zapewne nie bez powodu obawiał się odbicia więźnia przez fanatyczny motloch Jeruzolimy. Nawet już wtedy, kiedy Paweł siedział w więzieniu w Cezarei, arcykaplan i inni dostojnicy teokracji jerozolimskiej zjawili się przed obliczem namiestnika i powołując się na argumenty prawne, wygłoszone przez specjalnie najętego prawnika greckiego Tertullusa, usiłowali wywóm na nim, by skazał na śmierć zmiawionego więźnia. Po dwóch latach władze objął nowy namiestnik Festus. Zajął się on natychmiast głośną już teraz sprawą Pawła, przesłuchiwał go i prosił nawet króla Agrayppę, by wybaławił więźnia i wyprowadził się, co o nim sądzi. Dramatyczna rozmowa odbyła się w obecności jego królewskiej małżonki Bereniki, sławnej z tego, że później stała się kochanką cesarza Tytusa. Wyjaśniając swoją naukę, Paweł czynił to z takim zapalem i siłą przekonania, że Agrayppa,

członek nastawiony raczej sceptycznie, zawołał ironicznie: „Niebawem namówisz mnie, żebym został chrześcijaninem”.

Mimo uporczywych starań Jerolimolym, namiestnik Festus nie mógł jakoś przekonać się o winie Pawła i w końcu, aby wybrnąć z kłopotliwego dylematu, stawił go przed wyborem: albo zgodzić się na ponowną rozprawę przed Sanhedrymem, albo skorzystać z prawa obywatela rzymskiego i apelować do cesarza.

Paweł wiedział, co go czeka w Jerolimolym, toteż bez namysłu wybrał tę drugą możliwość. Wsadzono go więc wraz z innymi więźniami na statek pod eskortą setnika rzymskiego. W Lystrze w Licji przesiadli się na inny statek, który miał popłynąć do Italii, po drodze jednak w pobliżu Krety natknął się na huragan i dryfując rozbił się na brzegu Malty. Dzięki przytomności umysłu Pawła załoga i więźniowie zdolali się uratować. Rozbitkowie spędzili trzy miesiące na gościnnej wyspie. W tym czasie Paweł zyskał rozgłos jako lekarz-cudotwórca (między innymi uleczył ojca naczelnika wyspy), a pewnego razu okrzyknięty został przez wypsyrry bogiem. Potem na innym statku wysłano więźniów do Rzymu. W porcie Puteoli i na przedmieściu Rzymu Pawła powitała delegacja mieszkających tam rodaków. Władze rzymskie obeszły się z więźniem łagodnie. Przez dwa lata, w oczekiwaniu na werdykt cesarza, pozwolono mu mieszkać w prywatnym domu pod strażą jednego żołnierza. W tym czasie był bardzo czynny: przyjmował gości, wyszczał im swoją naukę i dyktował listy do braci chrześcijanów.

Nie dowiadujemy się, jak mu się powiodło w tej ruchliwej akcji misyjnej. Wiemy tylko, że jeżeli chodzi o przywódców tamtejszej kolonii żydowskiej, to próby pozyskania ich skończyły się ostateczną przegrana. Nie pozostało mu wobec tego nic innego, jak rozstać się z nimi na zawsze, a czyniąc to, oznajmił im cierpko: „Niechże wam tedy będzie wiadomo, że do pogan posłane jest to zbawienie Boże, a oni słuchając będą”.

Na tych znamienitych słowach powieść o życiu Pawła nagle się urywa; z niewiadomych przyczyn autor Dzieł Apostolskich milknie i kończy swoją relację.

ZYCIE BYŁO SILNIEJSZE

Zacytowane słowa skierowane do Żydów gminy rzymskiej bynajmniej nie oznaczały, że dopiero w owej chwili nastąpił rozbrat z ortodoksyjnym judaizmem, a tym samym także z judeochrześcijańską sektą Jakuba, która z tym judaizmem była integralnie zrośnięta. Ten rozłam nastąpił daleko wcześniej, właściwie w chwili, kiedy Paweł rozpoczął swoją działalność misyjną w hellenistycznych miastach i miasteczkach. Działał tam oczywiście w zgoda odmiennych warunkach społecznych i kulturowych niż w Palestynie. Pewne doktryny i rygory, zakorzenione tradycyjnie w małym odciętych od świata kraju, stawały się wręcz nierealne, gdy próbowano je przeszczyć na grunt grecko-rzymskiej kultury i cywilizacji.

Jako ilustracja może tu służyć sprawa zakazu spożywania mięsa zwierząt złożonych w ofierze bożkom pogańskim. Paweł, jak to wiemy z jego listów i z Dzieł Apostolskich, nie egzekwował tego zakazu zbyt rygorystycznie, co ściągalo na niego gromy nie tylko ze strony ortodoksyjnych Żydów, ale także chrześcijan Jerolimolym. On sam często podkreślał swoją wierność wobec judaizmu i jego przepisów rytualnych, toteż ta pobłażliwa postawa może wydawać nam się dziwna i niekonsekwentna. W rzeczywistości wszystko się wyjaśni, jeżeli powiemy, że znajdował się on w sytuacji przymusowej i przerwanoj formie zakazu w ogóle nie leżało w jego możliwościach. Po prostu życie okazało się tu silniejsze niż wszelkiego rodzaju sztuczne, przeniesione z innych warunków ograniczenia. Należy chyba zapisać na dobro Pawła, że to rozumiał, że wykazał w tej sprawie elastyczność i zmysł praktyczny.

Trzeba bowiem wiedzieć, że w świątyniach pogańskich tak zwane ofiary całopalne należały do rzadkości. Przeważnie na pastwę płomieni oddawano jedynie tylko małą cząstkę zwierzęcia, resztę mięsowi kapłani po zaspokojeniu swoich potrzeb sprzedawali obywatelom miasta. Byli oni w handlu mięsnym monopolistami i oczywiście dyktowali swoje ceny. Ubyj prywatny był surowo zakazany, wyjątek czyniono czasami tylko dla Żydów, którym ze względów religijnych pozwalano uprawiać swój własny ubój rytualny.

Wyobraźmy sobie teraz położenie ówczesnej gospodiny chrześcijańskiej, kobiety należącej raczej do najuboższych warstw miasta. Gdyby nie mogła zaopatrywać się w mięso pochodzące z ofiar pogańskich i sprzedawane na legalnym rynku po cenach względnie dostępnych, byłaby zdana na to, by korzystać ze źródeł żydowskich lub czarnego rynku. Obie możliwości nie wchodziły jednak w rachubę. W pierwszym wypadku stawały na przeszkodzie pogłębiające się urazy i uprzedzenia między Żydami i wyznawcami Jezusa, a w drugim wypadku odrzucały ją wyrubowane, spekulacyjne ceny. Tymczasem życie domagało się swoich praw i praktyczna niwiasta, chcąc nakarmić rodzinę, brała to, co było pod ręką, nie troszcząc się o zakazy. Jeśli chodzi o Jerolimolym, to rzecz miała się całkiem inaczej. Tam raczej trudno było pogwałcić zakaz

spożywania mięsa z ofiar pogańskich, ponieważ takiego mięsa właściwie nie było w handlu. Monopol miało bowiem świątynia, która podobnie jak świątynie pogańskie spała na otwartu tylko małą cząstkę zwierzęcia ofiarnego, a resztę przeznaczała na zaspokojenie codziennych potrzeb miasta. Jerolimolimczyk, prawowitym wyznawcą judaizmu, nie był więc narazony na jakiekolwiek pod tym względem pokusy. Dopiero gdy znalazł się w innym kraju, spotykał się z sytuacją niejako odwróconą: z łatwością nabycia pogańskiego mięsa a podróż też ofiobici z rynekowym niedostatkiem mięsa koszer. Sprawa komplikowała się dodatkowo, gdy na domiar dochodziły jeszcze względy towarzyskie. Piotrowi po prostu nie wypadło wymawiać się, gdy setnik rzymski Korneliusz, dopiero co pozyskany dla chrześcijaństwa, zaprosił go do wspólnego posiłku wraz ze swoją rodziną i domownikami. Wyznawcy Jezusa w Jerolimolym, którzy z tego powodu czynili apostołom gorzkie wymówki, dali tylko dowód parafiankiej bigoterii. Również ich przywódca „brat Pański” Jakub, w sprawach judaizmu apodyktyczny rygorysta, nie zgadzał się na żadne ustępstwa, nie rozumiał, że Piotr i Barnaba, goszcząc w hellenistycznych domach Antiochii, nie mogli nie siadać do wspólnego stołu ze świeżo pozyskanymi wyznawcami, którzy w spożywaniu mięsa pochodzącego ze świątyni pogańskich nie widzieli nic złego i odmową czuli by się na pewno urażeni. Mimo to, pod naciskiem emisariuszy Jakuba, obaj zaniechali tych kontaktów, z kolei narażając się na ostrą krytykę Pawła. W Liście do Galatów zarzuca im chwiejność i nieszczerłość w postępowaniu. Oto jak opisuje ten przykry incydent: „Ale gdym ujrział, że nie postępowali szczerze według prawdy Ewangelii, rzekłem do Piotra wobec wszystkich: Jeżeli ty, będąc Żydem, zjysz z zwyczajem pogan, a nie Żydom, jak możesz zmuszać pogan, by żyli obyczajem Żydów?” (2, 14). Niestety, Paweł nie zdradza nam, co na swoją obronę odpowiedział Piotr. Wiemy tylko, że od chwili tego zatargu drogi ich rozeszły się na zawsze. Nigdy nie doszło już do spotkania między nimi, ani w Antiochii, której Paweł wyraźnie unikał, ani nawet w Rzymie, o ile ze względu na niepewność posiadanych źródeł w ogóle można mówić o pobycie Piotra w tym mieście. Był to zapewne jeden z poważniejszych momentów rozłamu między żydowskimi i pogańskimi wyznawcami Jezusa.

Paweł miał bardzo ciekawy stosunek do tego zagadnienia. W Pierwszym liście do Koryntian (10, 27-29) zalecał swoim żydowskim podopiecznym, by nie pytając swego sumienia, kupowali mięso, jakie znajdują w jatkach, a także, by jadalni z poganami, gdy ich zaproszą do stołu. Dopiero gdyby im ktoś z braci żydowskich zwrócił uwagę, że mięso jest pogańskie, wtedy powinni się wstrzymać, ale nie ze względu na własne sumienie, lecz by nie gorszyć innych. Gdyby ktoś sądził, że Paweł zalecał w tej sprawie wykrętny sposób postępowania, to na jego usprawiedliwienie należy tu przytoczyć inne zdanie z tegoż samego listu do Koryntian. Mianowicie czytamy tam: „Co się tyczy zatem pokarmów ofiarowanych bożkom pogańskim wiemy, że nie ma na świecie żadnego bożka, a istnieje tylko jeden Bóg” (8, 4). A więc w jego mniemaniu takie to zagadnienie było bezprzedmiotowe, skoro coś takiego, jak mięso skażone pochodzeniem pogańskim, w ogóle nie istniało. Zalecał tylko, by zachowując w tej sprawie wolność sumienia, nie gorszyć tych współwyznawców religii Mojżesowej, którzy nie byli jeszcze na tyle uświadomieni, by to zrozumieć. Ten sam rozsądny pragmatyzm wobec wymagań życia, który sprawił, że Paweł dla dobra swojej misji wśród pogan odrzucił niektóre przepisy rytualne religii Mojżesowej, określał także jego stosunek do pewnych aspektów pierwotnego chrześcijaństwa, jaki reprezentowała jerolimolimska grupa Jakuba. Był to, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, stosunek w całym tego słowa znaczeniu rewizjonistyczny. Dotyczy to szczególnie ustroju tej gminy, opartego na zasadzie totalnej wspólnoty majątkowej. Wiemy z Dzieł Apostolskich, że jej przyrodzi traktowali ten ustrój jako rzecz sakralną, stanowiącą integralną część nowej wiary. Najdrobniej nawet wykrócenie w tej mierze równało się ciężkiemu grzechowi przeciwko Duchowi Świętemu i dlatego Piotr ukarał nagłą śmiercią nieszczęsne małżeństwo neofitów, Ananiasza i Saffire.

Dowiedzieliśmy się poprzednio, że w związku z rygorystycznym przestrzeganiem nienaruszalności tego ustroju dochodziło wśród jerolimolimskich wyznawców Jezusa do poważnych konfliktów. Nietrudno zrozumieć dlaczego. Tego rodzaju komuną mogła uchować się jedynie tylko w izolacji od pokus biejącego życia, a więc w warunkach klasztornych. Ustrój wspólnoty majątkowej przetrwał dłuższy czas wśród esenezyków, żydowskiej sekty anachoretów, która wybudowała sobie klasztor na skalnym, odludnym wybrzeżu Morza Martwego, w pobliżu dzisiejszej miejscowości Qumran. Pierwszi wyznawcy Jezusa w Jerolimolym byli nieśluziana garstka ludzi bardzo ubogich, uzależnionych od jałmużny przesyłanej im przez współwyznawców zamożniejszych, mieszkających w miastach hellenistycznych. Jałmużnę taką zbierał i przywoził do Jerolimolym również Paweł. W tych warunkach utworzenie wspólnoty majątkowej było nie tylko pożądane, ale nawet konieczne życiowo. Chodziło o gospodarowanie tymi darami w taki sposób, aby wszyscy zostali obdzieleni sprawiawliwie.

Uboży członkowie gminy, których byt zawisł od jałmużny, oczywiście chwaliли sobie taką wspólnotę. Gdy jednak liczba członków ze stu dwudziestu pomnożyła się, jak donosi autor Dzieł Apostolskich, do pięciu tysięcy, ramy ustroju nie wytrzymały tego naporu. Rozsądzająca je infiltracja ludzi zamożniejszych, takich jak Ananiasz i Saffira, a przede wszystkim „hellenistów”, Żydów z diaspory, którzy wnosili do gminy powiew szerokiego świata i zaczęły buntu przeciwko zastanemu układowi stosunków. Wyżej wskazywaliśmy na wyraźne echa tych konfliktowych wydarzeń w tekście Dzieł Apostolskich. Paweł był nie tylko ideologiem religijnym, ale także trzeźwym, praktycznym założycielem wielu ognisk chrześcijańskich. Jako „hellenista” urodzony w Tarsusie znalazł na wyłot stosunki społeczno-polityczne miast i miasteczek, gdzie panowała kultura grecka. Na pewno zdawał sobie sprawę, że ustrój wspólnoty majątkowej, który nawet w prowincjonalnej Jerolimolym tylko z trudnością opierał się falom narastającego życia, stałby się tam utopią i nawet podstawą przeszkoda w rozwoju nowej wiary. Odstraszałby on tych prozelitów z warstw rzeźmińskich, kupieckich i urzędniczych, na których Pawłowi wyraźnie zależało. Byłoby niedorzecznością wymagać od tych dostatnich przedstawicieli stanu średniego, by wyzekli się dorobku swojego życia, do którego przywykli od pokoleń.

Zresztą w tym wypadku Paweł kierował się nie tylko racjami praktycznego działania. Jego pochodzenie społeczne sprawiło, że do tej sprawy miał zasadniczo inny stosunek, jak byśmy dzisiaj powiedzieli: stosunek klasowy. Wychował się bowiem w rodzinie zamożnej. Ojciec jego handlował w Cylciji materiałami tkanymi z koziej sierści, on sam nauczył się wyrobu namiotów. Dzięki zamożności ojca mógł jako młodzieniec udać się do Jerolimolym, aby kształcić się w stóp słynnego uczonego w Piśmie Gamafilea. Była to wyprawa na owe czasy kosztowna, nie każdy mógł sobie na nią pozwolić. Zdaje się jednak, że po konwersji nie wiodło mu się już tak dobrze. Sądzić by można, biorąc pod uwagę dziwne jego milczenie na temat rodziny, że doszło wówczas do zerwania z ojcem, o którym wiemy, że był faryzeuszem, a więc prawdopodobnie także wyznawcą ortodoksyjnego judaizmu. Postępowanie syna musiało wydawać mu się niewybaczalnym odstępstwem od religii ojców. Przynajmniej, że są to tylko domysły, jest jednak rzeczą zastanawiającą, że Paweł, ów dawny zamożny młodzieniec, zdany był wyłącznie na pomoc swoich uczniów, na zbiórki urządzone przez nich w gminach chrześcijańskich.

W Liście do Filipian (4, 12) pisze, że nauczył się zarówno znosić głód, jak i też opływać w dostatkach. Wynika z tego wywnurzenia, iż zasiłki, jak to zwykle bywa z dobrowolnymi zbiorcami, nie nadchodzily zbyt regularnie. Jednakże jego sytuacja materialna nie była chyba zła, skoro w tym samym liście Paweł, dziękując za zapomogę, zapewnia, że ma „wszystko... w obfitości” i że po otrzymaniu przesyłki jest dobrze „zaopatrzony” (4, 18). Pewne wskazówki, zapisane w relacji Dzieł Apostolskich, gdy im się przyrzyjeć uważnie, przekonują nas o tym w sposób dość jednoznaczny. Na przykład z wyglądu Paweł na pewno nie przypominał ubożego wędrowca. Wręcz przeciwnie, ubierając się musiał jak człowiek dobrze sytuowany, skoro rutynowany w wymuszaniu łapówek namiestnik Feliks spodziewał się od niego okupu za wypuszczenie z więzienia. I to takiego okupu, że warto mu było cierpliwie czekać dwa lata, aż wieźien zrozumie, o co chodzi.

Sceptyk mógłby tu wtrącić uwagę, że historyjkę z okupem, podobnie jak wiele innych, należy może policzyć na karb płodnej fantazyj autoru Dzieł Apostolskich, że Feliksowi ani w głowie był okup, bo takiego, jaki byłby wart jego zachodu, nie mógł spodziewać się od jakiegos Żyda z dalekiej Azji. Należy raczej przypuszczać, że Paweł przeszedł w więzieniu tyle czasu, bo nikt nie miał ani głowy, ani ochoty ruszać tej drażliwej sprawy. A więc przyczyna zwłoki - rozumieje ów sceptyk - nie była perfidia przupnego dostojnika, lecz przysłowiowa indolencja biurokracji. Dopiero następny namiestnik, obejmując agendy swego poprzednika, zajął się Pawłem z nową energią.

Jakkolwiek sprawa się miała, na pewno można przyjąć, że Paweł, zgodnie z przyzwyczajeniem wymiesionym z domu, ubierał się dostatnie. Taki jego wizerunek zapewne przekazywała następnemu pokoleniu tradycja, i chyba ona właśnie zainspirowała autora Dzieł Apostolskich do stworzenia wersji o łapówkowych zakusach Feliksa.

Sądząc po wygodnym życiu, jakie Paweł urządził sobie w Rzymie, dochodzimy zresztą do przekonania, że nie był bynajmniej abnegatem. Tylko człowiek dysponujący większą gotówką mógł przez dwa lata dzierżawić na swój własny użytek dom prywatny, a nadto, jak to niektórzy bliżej przypuszczają, utrzymywać na swój koszt owego żołnierza, który był odkomenderowany do jego pilnowania. Paweł nie zasmakował losu niezliczonych, trzymanych w lochach więźniów, lecz należał do tych uprzywilejowanych, którzy mogli sobie na to pozwolić, by oczekiwać swego procesu, jak to mówią dzisiejsi prawnicy „z wolnej stopy”.

Paweł miał zupełnie inny stosunek do bogactwa, niż na przykład Jezus w ewangeljach. Mateusz, wkładając w usta Jezusa słynną sentencję, że „łatwiej wielbłądowi

przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wniść do królestwa niebieskiego”, osądza sam fakt posiadania jako rzecz niemoralną. Tymczasem Paweł najwyraźniej godzi się z istnieniem bogactwa, nie potępia ich w czambuł, ale domaga się, aby biedniejszych braci wspierał jałmużną. „Teraz wasza obfitość niech wzbogaci ich niedostatek” - pisze w Drugim liście do Koryntian (8, 14). A w Pierwszym liście do Tymoteusza czytamy: „Bogaty temu światu przekazuje, aby się nie zmyslił, ani też nadziei świej nie pokładał w niepewnych bogactwach, ale w Bogu żywym (który użyca nam obficie wszystkiego do uzywania). Niechaj dobrze czynią stając się bogaczami dobrych uczynków. Niechaj szczerze innym dają i z nimi się dzielą...” (6, 17-18). Jak z tego wynika, idea ubóstwa i wspólnoty majątkowej była Pawłowi zupełnie obca. Różnice majątkowe między ludźmi zakładał on jako rzecz naturalną i nieuniknioną, zalecał tylko łagodnie je dawaniem jałmużny i uległością wobec Boga.

Ta sama konformistyczna tendencja występuje u Pawła również w jego stosunku do władzy i państwa. Wiemy, z jaką dumą podkreślał, że jest obywatelem rzymskim od urodzenia, i chętnie korzystał z przywilejów, jakie z tego tytułu mu przysługiwały. Jednakże swój lojalizm posunął tak daleko, że zakrawało to już na postawę serwilistycznej uległości. Wpływało to na pewno z jego znanego nam już pragmatyzmu. Trzeba zresztą pamiętać, że swoje dezerytaty dotyczące państwa i władzy sformułował w liście skierowanym do współwyznawców mieszkających w Rzymie. Nie będzie więc chyba od rzeczy, jeżeli postawimy tu tezę, że nakładając im w tak krancowy sposób do wmiernopoddańczego legalizmu miał na celu także przeciwstawienie się oszczerzej propagandzie, jakoby chrześcijanie byli wrogami imperium rzymskiego, a tym samym uchronienie ich od przesławiania.

Oto co czytamy w Liście do Rzymian: „Každy niechaj będzie poddany władzom wyższym. Nie masz bowiem władzy jeno od Boga, a te, które są, od Boga są ustanowione. Przeto kto sprzeciwia się władzy, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu. A kto się sprzeciwia, sam na siebie ściąga potępienie...” (13) Według Pawła, nie tylko każda władza, bez względu na to, jaka jest, pochodzi od Boga, ale nawet pobory podatki woi jako przedstawiciele tej władzy są sługami bożymi. „Dlatego też i podatki płacicie - pisze Paweł - bo przełożeni są sługami bożymi pilnującymi swej służby” (13, 6-7).

Ta sama postawa cechuje Pawła w jego poglądach na niewolnictwo. Podobnie jak władza i państwo, również i ustrój istniejący w tym państwie pochodzi od Boga. A niewolnictwo było jednym z filarów tego ustroju. W Pierwszym liście do Koryntian Paweł tak oto poucza swoich uczniów: „Každy niech trwa w tym stanie, w jakim powołany był” (7, 20), a w Liście do Efezjan wręcz nakazuje tym, którzy byli niewolnikami: „Słudzy, bądźcie posłuszni panom ziemskim z bojąnością i lękiem...” (6, 5). Jako komentarz wyjęty z życia może tu posłużyć historia niewolnika Onezyma. Uciekł on od swego właściciela Filemona, przejął wiarę chrześcijańską i przyciągnął się do otoczenia Pawła. Apostoł przylnął do niego sercem, nie chciał jednak dysponować jego losem, ponieważ uważał, że należy sznawców cudzą własność. Odsyła go więc do Filemona, iżby on sam zdecydował, co z nim zrobić. Jednakże stara się na niego i jego małżonkę wpłynąć, aby swemu niewolnikowi nie tylko pusilił płazem ucieczkę, ale nawet odesłał go z powrotem jako człowieka wyzwolonego. Z niepokoju przebiegającego z treści listu można wyczuć, że Paweł sam rozumiał, iż ryzykowne jest jego postępowanie. Ucieczka niewolnika należała wówczas do najcięższych przestępstw i karana była nawet śmiercią. Miał jednak prawo żywić nadzieję, że jego prośba nie zostanie zlekceważoną, jako że Filemon był żarliwym, oddanym mu prozelita chrześcijańskim.

Wynika z tego, że Paweł wprawdzie nawołuje, aby obchodzić się łagodnie z niewolnikami, gdyż wobec Boga mają oni według niego równe prawa z ludźmi wolnymi, to jednak próbuje wyraźnie instytucję niewolnictwa. Trudno oczywiście dociec, co złożyło się na taką, a nie inną postawę. Przede wszystkim z racji swojej przynależności do określonego stanu społecznego Paweł, przyzwyczajony od dzieciństwa do obecności niewolników, uważał ich za normalny atrybut życia, nad którym nie ma co się zastanawiać. Myśl, że można by instytucję niewolnictwa zlikwidować, na pewno wydawałaby się mu dziwaczna, nawet niedorzeczna. A gdyby nawet taka światoburca myśl przysłała mu do głowy, to prawdopodobnie jako człowiek trzymający się ziemi spróbowałby od razu, co by go mogło spotkać. Stałoby się to, czego przeciecz za wszelką cenę pragnął uniknąć: zadarzył by władzami rzymskimi, które podenerwowane licznymi rebeliami niewolników były specjalnie na te sprawy uczulone.

W fazie rozwoju dziejowego, kiedy struktura ekonomiczna świata miała jako główną bazę rozbudowany system pracy niewolniczej, nie sposób wyobrazić sobie, by Paweł mógł zająć stanowisko inne. Dążył on jedynie do tego, aby w jakiś sposób złagodzić los tych nieszczęśników i uważał, że w imię miłości bliźniego jest to przede wszystkim obowiązkiem braci chrześcijańskich. Solidaryzując się tak ostentacyjnie z potęgą państwa rzymskiego i z jego ustrojem opartym na niewolnictwie Paweł wprawdzie ułatwił chrześcijaństwu jego dziejowy pochoduk ch ostatecznemu triumfowi jako religii państwowej, równocześnie jednak oddalił się od nauki Jezusa i jego uczniów, od tego wszystkiego, co immanentnie było w niej protestem przeciwko niesprawiedliwociom zycia. Poszedł, jak wyraził się już cytowany ks. Zywczyński, pod każdym względem mocno na prawo. Społeczne ostrze chrześcijaństwa zostało stępione.

Nie dziwne, iż niektórzy bibliści uważają, że w porównaniu z Jezusem Paweł był nowym fenomenem, że z jego pojawieniem się chrześcijaństwo rozpoczęło zupełnie inny okres swego rozwoju. Protestancki teolog i głośny biblista niemiecki Heinz Zahrt, autor świętej książki Jezus historyczny powiedział, że „historycznego Jezusa dzieli od Zbawiciela Kościoła taka przepaść, że niepodobna doprzążyć się jakichś wspólnych cech w tych dwóch postaciach”.

Jako uzupełnienie tego obrazu warto tu jeszcze przytoczyć to, co na ten temat pisze katolicki biblista Jean Steinmann, autor monografii Paweł z Tarsu. „Jak różny jest [Paweł] od swego Mistra! Jezus mówił po aramejsku, Paweł po grecku. Jezus był człowiekiem przrody i pól, Paweł to człowiek miejski. Jezus całym sercem był przywiązany do Galilei, Paweł był kosmopolita. Jezus był nieufny wobec intelektualistów i rabinów, Paweł jest rabinem”.

PAWEŁ W TRZECIM NIEBIE

Nie żyje w naszym zamierze przedstawianie tu biografii Pawła. Chcielibyśmy jednak zwrócić uwagę na niektóre szczegóły jego żywota, aby uzyskać jakiś pełniejszy rysunek psychologiczny jego osobowości. Są w tym żywocie nie wyjaśnione zagadki i rzeczy sporne, a do tych kontrowersji należy także kwestia genety jego dwóch imion.

Jako Żyd otrzymał on hebrajskie imię Szaul, spolszczone na Szawel. Tym imieniem niewątpliwie posługiwali się wówczas, gdy przebywał w ośrodkach żydowskich, a więc także w Jerozolimie jako młody uczeń Gamaliela i później jako osławiony prześladowca „hellenistów”.

Jeżeli chodzi o jego drugie imię Paulos - po łacinie Paulus, po polsku Paweł - opinie biblistów są podzielone. Niektórzy z nich, powołując się na to, że „paulos” znaczy po grecku „mały”, przypuszczają, że było to właściwie żartobliwe przezwisko, nadane przez przyjaciół dla podkreślenia niskiego wzrostu Pawła. Natomiast niemiecki biblista Dibelius, mając na uwadze myśl praktyczną Pawła, doszedł do przekonania, że przybrał on to imię dopiero po swoim nawróceniu, gdy uświadomił sobie, że jako obywatel rzymski Paulus znajdzie łatwiejszy posłuch u pogan niż jako Żyd Szaul.

Jednakże według najstarszej tradycji Szawel jakoby miał przybrać sobie przydomek Paulus na cześć prokonsula Cypru Sergiusza Paulusa, którego nawrócił na chrześcijaństwo. Wersję tę przekazali nam Origenes, Hieronim i Augustyn, mimo że autor Dziejów Apostolskich, który jedyny to nawrócenie opisuje, nie czyni na temat tego przydomka żadnej wzmianki. Była to więc zapewne jedna z tych późnych powstałych legend, które miały na celu przypomnienie zasług Pawła.

Zupełnie inaczej spojrzal na tę kontrowersyjną sprawę znakovitý biblista katolicki ks. Eugeniusz Dąbrowski. Zwrócił on uwagę na to, o czym wielu uczestników dyskusji przypominało, że mianowicie wśród Żydów diaspory, posiadających obywatelstwo rzymskie, zakorzenił się snobistyczny zwyczaj przybierania sobie i nadawania synom przydomków grecko-rzymskich. Przynajmniej w Jerozolimie i w gminach żydowskich diaspory był Szaulem, natomiast w srodowiskach grecko-rzymskich występował jako Paulos lub Paulus.

Nie mniejszą łamiogówkę dla historyków przedstawia sprawa zewnętrznego wyglądu Pawła. Autor Dziejów Apostolskich jakoś dzwinnie poskopił nam jakichkolwiek wiadomości na ten temat, toteż jesteśmy tu wyłącznie skazani na przekazy późniejszych daty. Jedyny bowiem opis jego wyglądu, jaki zachował się do naszych czasów, pochodzi dopiero z II wieku i zawarty jest w słynnym apokryfie Dzieje Pawła. Anonimowy autor tego opowiadania donosi nam, że Paweł był małego wzrostu i prawie całkowicie лысы, że miał krzywe nogi, krzaczaste brwi i wydatny, zakrzywiony nos.

Apokryf z racji swego fikcyjnego charakteru trudno oczywiście brać poważnie jako źródło historyczne. Tu jednak sprawa ma się nieco inaczej, bo dziełko

zostało napisane w Cylicji, a więc w kraju rodzinnym Pawła, tam gdzie długo jeszcze zachowano go w pamięci takim, jaki był w rzeczywistości. W historii bywa raczej tak, że wygląd zewnętrzny bohaterów w podaniach pokoleń ulega stopniemu wyidealizowaniu. Jeżeli zatem wbrew owej tendencji dokument z Cylicji przekazał nam tak nieatrakcyjny portret Pawła, możemy spokojnie przyjąć, że jest on wiarygodny. Prawda okazała się tu na pewien czas silniejsza niż sublimujące działanie legendy. Powieździeliśmy rozmyślnie: „na pewien czas”, bo ikonografia, jakby nieświadoma tego realistycznego przekazu, poszła od razu w kierunku portretów i imaginacyjnych. Były to już tylko stereotypy przedstawiające apostoła jako hieratyczną postać dostojnego meża, z brodatym obliczem zamyszonego filozofa. Najstarszy kontekst w tym konwencjonalnym stylu widnieje na medalionie odnalezionym w katakumbach św. Domitelli i pochodzi z wieku drugiego. Inne, jeszcze późniejsze, odkryto dość liczne na sarcofażach i freskach katakumb rzymskich, przede wszystkim zaś w sztuce mozaikowej.

Z fizycznym wyglądem Pawła wiąże się jakaś zagadkowa choroba, która go całe życie gnębiła. Z Listu do Galatów wynika, że wystawiała ona jego uczniów i towarzyszy na ciężką próbę, budząc swoimi objawami odrazę. Paweł doskonale był świadom tego i wyraził im wdzięczność, że nie wzgardzili nim i go nie odstąpili (4,13).

Opisuje on swoją chorobę w tak zawałowany sposób, że właściwie trudno dociec, na czym ona polegała. Naukowcy, którzy próbowali postawić jakąś diagnozę, obracali się w błędnym kole domysłów i nie mogli swoich stanowisk uzgodnić. W ogniu polemiki padały sugestie, że była to jakaś choroba oczu, malaria lub epilepsja. Wszelako, jak dotąd, zdaje się przeważać opinia, że chodzi tu o epilepsję. Wiadomo, że na tę dolegliwość cierpieli niektórzy genialni ludzie, między innymi Cezar, Mahomet i Napoleon. Nie przeskądzało im to wylbić się ponad przeciętność, przeciwnie, istmieje teoria, która dowodzi, że właśnie tej chorobie twórczyli oni swoją wielkość. Jeżeli więc Paweł również chorował na epilepsję, nie przynosi mu to żadnej ujmy, natomiast nam pomaga lepiej zrozumieć bardzo złożoną strukturę jego psychiki. Nie jest bowiem wykluczone, że właśnie epilepsja była źródłem głęboko działającego w nim fermentu twórczego, który przyczynił się do tego, że stał się on współzałożycielem jednej z wielkich religii w dziejach ludzkości.

Niestety, podstawa, na której opiera się hipoteza o epilepsji, nie jest zbyt solidna, bo składa się tylko z jednego zdania, zawartego w Drugim liście do Koryntian (12,7). Paweł skarży się tam, że wysłannik szatana wbił mu klin w ciało i okłada pięściami. To intymne wynurzenie, tak przecież w swej relacji skąpe i w dodatku zaszyfrowane w metaforycznym obrazie, naprowadza nas jednak na myśl, że w gruncie rzeczy może chodzić tu o dramatyczne tortury, jakich doznają zazwyczaj chorzy w czasie ataku epilepsji.

Ciekawą rzeczą jest jeszcze to, co między innymi również cytowany przez nas Steinmann podkreślił w swojej monografii, mianowicie, że Paweł najwidoczniej zdawał sobie sprawę z tego, iż między jego chorobą a ekstatycznymi objawieniami, jakich niekiedy doznawał w życiu, istmieje ścisły stosunek przyczynowy (Por. II Kor. 12,7-9).

O tych niesamowitych przeżyciach może wprawdzie tak jakby dotyczyły one jakiejś trzeciej osoby, z kontekstu wynika jednak jasno, że miał na myśli siebie samego. Opowiada więc swoim braciom w Koryncie, że kiedyś został porwany do „trzeciego nieba”, że jednak nie jest pewny, czy było to porwanie cielesne czy duchowe. Właściwie więc przynajmniej, że nie wie, czy został naprowadzony fizycznie, czy też był to wywołane maligną urojenia.

Paweł, jak wiemy, był na ogół człowiekiem praktycznym i trzeźwym, toteż mistyczna wizja, jakiej naraz doznał, jest dla nas pewnego rodzaju zakoszenie. Zapytujemy ze zdumieniem, skąd nagle wzięło się u niego to niezgodne z jego usposobieniem przeżycie. I dochodzimy do przekonania, iż zagrały tu drzące w nim starozakonne reminiscencje, bo przecież według legendy prorocy Enoch, Elias, Edrasz i Jeremiasz zostali żywcem porwani do nieba. A co do ezoterycznie brzmiącego określenia „trzecie niebo”, stanowczo obcego chrześcijaństwu i dlatego nader niezwykłego w wyznaniach jednego z głównych jego krzewicieli, to wiadomo, skąd ono pochodzi.

Wyjaśnienie znajdujemy w dwóch żydowskich apokryfach, mianowicie w Testamencie dwunastu patriarchów i w Księdze Enocha. Autorzy tych pism pouczają nas, że niebo składa się z siedmiu stopni i że trzecie niebo, dokąd został porwany Paweł, jest siedzią raj.

PELEN PRZECIWIENSTW I PARADOKSALNYCH NASTROJÓW

Zauważyliśmy już przy innej okazji, jak uderzająco awanturczy i pelen gwałtownych spieć był żywot Pawła. Gdziekolwiek się pojawiał, tam wybuchaly z reguły groźne dla niego rozruchy i kontrowersje. Zdawałoby się, że przyniczny tego zjawiska są niewątpliwie: Żydzi reagowali tak gwałtownie, bo uważali Pawła za niebezpiecznego heretyka i renegata, który zdradził judaizm. Są jednak bibliści

(np. Powell Davies), którym to proste wyjaśnienie nie przemawia do przekonania. Ich zdaniem nie uwzględnią ono atmosfery tolerancji, jaka wówczas panowała w srodowiskach żydowskich na emigracji. Składaly się one przecież z tak zwanych „hellenistów”, znanych z liberalizmu w sprawach religijnych. W synagogach ich nie było kapłanów, każdy mógł wystąpić i przemawiać do zgromadzonych. Był to okres, kiedy Żydzi ogromnie się rozdyktowali, kiedy myśl judaistyczna przeżywała głęboki ferment. W dodatku na emigracji mieli liczną zwolenników faryzeusze, w pewnym stopniu zbliżeni w wierzeniach do chrześcijan. W tych warunkach Paweł, podobnie zresztą jak wielu innych wędrownych „uczonych w Piśmie”, nie powinien był zaznaczać specjalnych przykrości. Jeżeli więc więziono go, bicowano, kamiowano i grożno jego życiu tak, że musiał się ratować ucieczką, to chyba przyczyną tej ostrej reakcji nie mógł być sam fakt, że głosił nowinę o Zbawicielu i Królestwie Bożym na ziemi. Źródło tych konfliktów musiało tkwić w nim samym, w jego usposobieniu. Było w jego charakterze na pewno coś wyzywającego i apodyktycznego, co wytworzyło naokoło jego osoby atmosferę niepokoju i wrzenia. Jakoż w Dziejach Apostolskich mamy pewne dane, które pośrednio świadczą, iż tak istomie było.

Tak więc zastanawiającą rzeczą jest to, że w Lystrze podburzony tłum żydowski wyładował swoją wściekłość jedynie i wyłącznie na Pawle, że tylko jego usiłował ukamienować, natomiast Barnabę, jego nieodłącznego towarzysza podróży i również żarliwego wyznawcę Jezusa Chrystusa, pozostawił w spokoju. W Koryncie wytworzyła się identyczna sytuacja: tamtejsi Żydzi zawlekli przed trybunał prokonsula Gallio samego tylko Pawła, ignorując pozostałych wyznawców Jezusa. Wszelako najdrastycznej przejawiała się ta specjalna wrogość wobec Pawła w Berei. Żydzi tego miasta wszczęli uliczne rozruchy przeciwko niemu. Wówczas towarzysze podróży Pawła, Sylas i Tymoteusz, chcąc go ocalić przed gniewem tłumów, wyprawili go szybko z miasta i kazali mu iść ku morzu. Oni jednak nie ruszyli się z miejsca, z czego wynika, że sami, chociaż tak jak Paweł byli chrześcijanami, nie czuli się zagrożeni.

Właściwie nie powinno to nas dziwić, poznaliśmy bowiem niektóre epizody zyciorus Pawła i wiemy, do czego był zdolny, z jaką nieublaganą bezwzględnością i fanatyzmem przesładował chrześcijan. Wiemy też, że on głównie miał na sumieniu śmierć meczulskiego diakona Szczepana. Po przejściu na stronę wyznawców Jezusa, niewiele chyba pod tym względem się zmienił. O jego szorstkości świadczą także przykre incydenty, jak zatargi i zerwanie stosunków z Janem Markiem, z łagodnym Barnabą i poczciwym Piotrem, no i podjudzanie współwyznawców efeńskich do niechlubnego palenia na stosie pism pogańskich. Obraz ten, oparty na Dziejach Apostolskich, uzupełniają listy, w których Paweł maluje swój duchowy autorportret. Są to impulsywne, szczerze wynurzenia człowieka, opetanego pasją swego posłannictwa. Czytając te listy, widzimy w wyobraźni ich autora: drobnego, ruchliwego, nieurodzivego Żyda o niespokojnej inteligencji, wiecznie miotającego się między skrajnymi antypodami uczuć. Ks. Eugeniusz Dąbrowski w swoich Dziejach Pawła z Tarsu tak oto go charakteryzuje: „Była to natura pełna przeciwności i wręcz paradoksalnych nastrojów. Psychiczna depresja łączy się u niego z niezwykłą odwagą, pokora z dumą, wyniosłość i gryząca ironia wobec przeciwnika z matczyną niemal serdecznością w stosunku do swych wiernych”.

Jednakże ocena katolickiego biblisty wydaje się zbyt nagła i dawa, gdyż Paweł w stosunku do swoich przeciwników nie tylko okazywał „wyniosłość i gryzącą ironię”. Potrafił bowiem w polemice z nimi wybuchać gwałtownym gniewem i w narzucaniu swego zdania ujawnić się szokujący fanatyzm. W Drugim liście do Koryntian piętował ich jako fałszywych proroków i przyrównywał do szatana, który przybiera postać anioła światłości” (11, 13-15). W innym wersecie tegoż listu tak oto się odgraża: „Zapowiedziałem już i zapowiadam, że gdy się zjawię, choć teraz jestem nieobecny, tym którzy przedtem zgrzeszyli i wszystkim innym, gdy przybędę powtórnie, nie przepuszczę” (13,2).

Szczytowy punkt osiaga ów ekstremizm w Liście do Galatów, gdzie Paweł w ten sposób gromi swoich braci w wierze, których poglądy mu nie odpowiadały: „Ale choćbyśmy i my, albo nawet anioł z nieba głosił wam coś ponadto, cośmy wam głosili - niech będzie przeklęty. Jakom powiedział przedtem, tak i teraz mówię: Gdyby wam ktokolwiek głosił Ewangelię inną od tej, któraście otrzymali - niech będzie przeklęty” (1,8-9). Można natomiast zgodzić się z ks. Dąbrowskim, gdy pisze, że w stosunku do braci, którzy byli mu wierni, a więc posłuszni, Paweł odnosił się „z matczyną serdecznością”. W samej rzeczy, w Dziejach Apostolskich znajdujemy parę chwytających za serce scen pożegnania, świadczących o tym, jak miłowany był w najbliższym gronie swoich uczniów i towarzyszy. Przypomina się tu przede wszystkim scena pożegnania w Milecie, dokąd przybyli wierni z Efezu, aby Pawła udalać się do Jerozolimy odprowadzić na okręt. „A wszyscy wybuchli płaczem wielkim - czytamy - i rzucając się Pawłowi na szyję, całowali go. Najbardziej zasnużyli ich słowa, które

wypowiedział, że już więcej oblicza jego oglądać nie będą” (Dz.Ap.20 37-38). Powtórzyło się to później w Tyrze i Cezarei, gdzie wierni wraz z wiadomiami i dziećmi z płaczem żegnali apostoła, jakby przeczuwając, co spotka go w Jerozolimie. W Pierwszym liście do Koryntian Paweł dał dowód, że na tę miłość zasługiwał, skoro on sam po brzeży był wypełniony czystym zwirowiem miłości. Bowiem tylko człowiek, który wiedział, co to jest miłość, mógł zdobyć się na tak porwijający, tak strzelisty hymn pochwalny na jej cześć, jeden z najpiękniejszych, jakie wydała literatura światowa. Wersety te są na ogół znane, przytaczamy je tu jednak, aby ich zaraz przepełnione, natchnione, muzyczne frazy jeszcze raz zabrały nam w uszach:

„Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, byłbym jako miedz dzwącząca albo cymbał brzmiający. I gdybym miał dar prorocтва, znał wszystkie tajemnice i posiadał wszelką wiedzę, a wiara miałbym taką, iżbym przenosił góry, a miłości bym nie miał, nieczym nie jestem. I gdybym na zwywanie ubogich rozdał wszystką mająćność swoją, a ciało swoje wydał na spalenie, a miłości bym nie miał, nie mi nie pomoże. Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie działa obłudnie, nie nadyma się, nie laknie czci, nie szuka swego, nie wpada w gniew, nie pamięta urazy, nie cięszy się z niesprawiedliwością, nie współweseli się z prawdy. Wszystko znosi, wszystko wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko wytrzyma. Miłość nigdy nie ustaje, chociaż prorocтва się skończy, choć zniknie dar języków, choć przeminie wiedza” (13,1-8).

W tym miejscu kończył swój wywód, a więc przebiegł także przez „złoty wiek”, choć przemienie wiedza” (13,1-8).

ZMYŚLENIE I PRAWDA

Podczas omawiania treści Dziejów Apostolskich poddaliśmy niektóre fragmenty rozumowej analizie i dosłownie do przekonania, że trudno uznać je za historycznie prawdziwe. Zadajemy sobie wobec tego pytanie, jak ustosunkować się do całosci tego dzieła, czy można je traktować na serio jako autentyczne źródło wiedzy o wczesnym chrześcijaństwie. Zdania biblistów są pod tym względem krancowo odmiennie: od uznania bez zastrzeżeń jego wiarygodności aż do takich nieczym nie skrepowanych poglądów reprezentowanych przez znanego protestanckiego biblistę Marcina Dibeliusa, który określił Dzieje Apostolskie jako zbiór krótkich nowel. Dzieło to powstało, należy pamiętać, parędziesiąt lat po śmierci Pawła, a więc kiedy wymarło już pokolenie naocznych świadków. Autor widać nie miał dostępu do źródłowych informacji i nawet nie znał listów Pawła. Był więc zmuszony korzystać z ustnych przekazów, jakie krążyły wśród ludzi. Owa tradycja, podobnie jak zaprawiona folklorem, legendami i lokalnymi wierzeniami, wyrosła jednak z konkretnego historycznego podłoża. W Efezie na pewno wybuchy jakieś rozruchy, ale fantazja ludowa przeinaczyła ich charakter i rozmiar, aby pokazać, jak silne i wszechobejmujące było już wówczas chrześcijaństwo, a tym samym postawił na chlubnym piedestale Pawła.

Author Dziejów Apostolskich z zadziwiająca łatwowiernością brał za dobrą monię wszystkie te zasłyszane historyjki i bezkrytycznie włączał je do swojej relacji. W ten sposób dostał się do tekstu na przykład moralnie dwuznaczny incydent umiścienia Ananiasa i Saffiry, a także fakty niustannego wracania się aniołów i złych duchów do spraw ludzkich.

Poczet cudów jest dosyć pokąszy, od częstych cudownych uleceń do wskrzeszania umarłych. Many nawet jeden wypadek lewitacji, gdy duch przemo apostoła Filipa z miasta do miasta. Tego rodzaju nadprzyrodzonych wydarzeń naliczyliśmy w Dziejach Apostolskich aż dwadzieścia dwa. Powstaje pytanie, czy autor rzeczywiście był tak łatwowerny. Może w ogóle nie było jego zamiarem napisanie dzieła historycznego, lecz po prostu wierne zarejestrowanie, co za jego czasów opowiadano sobie o Piotrze i Pawle? Inaczej mówiąc, świadomie skompiłował dzieło o hagiograficznym i dydaktycznym charakterze dla zabudowania wiernych, wśród których większość to byli ludzie prości, szczególnie podatni na uroki fantastycznych opowieści.

Przynajmniej, że to ostatnia teza ma jedynie charakter hipotetyczny i nie jest na ogół brana na serio. Natomiast przyjmuje się, że autor Dziejów Apostolskich był przeświadczony, iż opisuje wydarzenia prawdziwe. Ale wówczas trzeba było jakoś rozgrzeszyć go z tych wszystkich nieprawdopodobnictw, które podrywaly zaufanie dzisiejszego czytelnika do jego pisarstwa. Apologeeci jego powiadają, że w ówczesnych czasach dziejopisarstwo było raczej sztuką niż nauką i trudno mieć pretensję do autora, iż nie wyprzedził swojemu epoki. Przykładanie do niego skali dezzyderatów współczesnej historiografii naukowej byłoby w ich mniemaniu grubym anachronizmem.

Z argumentacji tego rodzaju spotykamy się często, ale kryje się w niej zasadnicze nieporozumienie. Bo przecież nie w tym rzecz, co myślał i w co wierzył autor subiektywnie i jaką miał koncepcję historii. Owszem, są to oczywiście rzeczy interesujące, ale nam, czytelnikom jego dzieła, nie o to chodzi. Nas interesuje tylko odpowiedź na konkretne pytanie, do jakiego stopnia można mu wierzyć jako historykowi,

o ile to, co opowiada, jest obiektywnie historyczną prawdą.

W dodatku wspomniana argumentacja wydaje się wychodzić z myślnego rozeznania przeszłości.

Przecież właśnie Grecy byli odkrywcami racjonalistycznie pojętej historii. Taki na przykład twórca historiografii pragmatycznej Tukidydes już mniej więcej pieczętł lat przed ukazaniem się Dziejów Apostolskich wyeliminował z opisanego przez siebie przebiegu wydarzeń historycznych wszelkie interwencje nadprzyrodzonych czynników, uważając, iż wszystko, co dzieje się w realnym świecie, jest wyłącznie wypadkową działań ludzkich.

Dzieje Apostolskie napisane były w języku greckim, przeto należało do tego samego kręgu wielkiej kultury, co autor Historii wojny poloponesej. A jednak nie można powiedzieć, że jako dzieło historyczne reprezentują one swoją epokę. Przeciwnie, gdy się zestawia ich naszpikowany cudami i nieprawdopodobieństwami tok narracji ze zdumiewająco świątyni osiągnięciami intelektualnymi historyków greckich, nie możemy oprzeć się wrażeniu, że w rozwoju pisarstwa historycznego Dzieje Apostolskie stanowią do pewnego stopnia oczywisty regres.

Autor, jak zwróciliśmy już uwagę, niejednokrotnie wybolzybrałmi bądź też nawet przeinaczał opisywane przez siebie wydarzenia historyczne, ierne znowu, przekształcone przez fantazję ludową, biennie tylko rejestrował. Przeanalizowana przez nas sprawa ruchów efeskich może służyć jako typowy przykład tego zjawiska.

Jest jednak w Dziejach Apostolskich inny jeszcze epizod, który w podobny sposób pozwala nam prześledzić metodę pisarstwa autora. Mamy tu na myśli sławetną mowę wygłoszoną przez Pawła przed areopagiem ateńskim. Stwierdzając, że w jednej ze świątyni natknął się na ołtarz z dedykacją „Nieznanemu Bogu”, apostoł wskazał na ten napis jako dowód, że Grecy i chrześcijanie w gruncie rzeczy czczą jednego i tego samego Boga, że przeto łączą ich monoteizm. Otóż prawdą jest, że takie ołtarze istotnie istniały w wielu świątyniach Grecji, między innymi w Olimpii i w Atenach. Stwierdza to wielu pisarzy greckich, jak np. Pausaniasz, Diogenes Laertios i Filostrat. Jednakże wszyscy podają ten napis w liczbie mnogiej: „Nieznany bogom” („agnostis theois”). Ich wersję potwierdziły wykopaliska archeologiczne, przeprowadzone pod koniec XIX wieku w Atenach i w Pergamonie. Znalezione tam rzeczywiście tego rodzaju tablice dedykacyjne, wprawdzie w pogruchoatanych szczątkach, ale na tyle jeszcze kompletne, że można było odczytać, iż mowa jest tam o bogach, a nie o bogu. Sens tych dedykacji jest jasny: Grecy pragnęli w ten sposób zabezpieczyć się w razie, gdyby okazało się, iż istnieją jeszcze inni bogowie, których imienia nie poznali.

A więc napisy nie miały ni wspólnego z monoteizmem. Kogo należy winić za to, że tego rodzaju nieprawdziwa wersja w ogóle powstała? Ks. Dąbrowski wskazuje na samego Pawła: „Wydaje się - pisze w swej monografii - że św. Paweł niekonięcznie wdział ołtarz z napisem w liczbie pojedynczej, ale że użył zwrotu, który szczególnie odpowiadał jego myśli”. Inaczej mówiąc, według niego Paweł świadomie zmienił w napisie liczbę mnogą na liczbę pojedynczą, aby osiągnąć zamierzony efekt oratorski i propagandowy.

Czy werdykt znakomitego bibliisty jest słuszny? Wydaje się, że z rozmyślnych względów wypada odpowiedzieć na to pytanie negatywnie. Paweł, nie należy zapominać, przemawiał w Atenach do Ateńczyków, a więc tam, gdzie powszechnie znano wówczas brzmienie dedykacyjnego napisu. Czyżby odważył się szernować przed tymi ludźmi argumentem, który każdy od razu mógł zdemaskować jako falsyfikat? Sądymy, że Paweł był na to zbyt inteligentnym, zbyt wyrobionym działaczem i mową. Naraziłby się przecież w ten sposób na kpiny, a z nadzieją, że pozyska Greków dla swojej wiary, musiałby pozeńić się na dobre.

Dochodzimy więc do wniosku, że Paweł w swojej mowie przed areopagiem ateńskim, o ile w ogóle taką mowę wygłosił, nie mógł posłużyć się tego rodzaju argumentem. Jest to zatem pomysł autora Dziejów Apostolskich, który te mowę, tak jak prawdopodobnie wszystkie inne, sam skomponował według własnego pomysłu. On przeto jest odpowiedzialny za to, że owa bałamutna wersja dostala się do Nowego Testamentu. Nie sposób oczywiście dociec, czy sam osobiście ją wymyślił, czy też był tylko pośrednikiem, zapisując bezkrytycznie, co niesła wieść gminna. Nie można mieć pretensji do autora Dziejów Apostolskich, że w swoim dziele kazał ludziom przemawiać, tak jakby swego czasu siedział między słuchaczami skrzętnie notując każde słowo. Było to zgodne z konwencją ówczesnych czasów, że w usta opisywanych bohaterów wkładano długie i pięknie ułożone oracje. Robili to Filon z Aleksandrii, Józef Flawiusz, Tukidydes i Liwiusz, a Tukidydes nawet szerzej przynajnie, że mowy zawarte w Historii wojny poloponesej on sam ułożył w przekształcony, że jego bohaterowie tak właśnie mogli w danej sytuacji przemawiać.

Podobnie należy oceniać liczne mowy zapisane niby dosłownie w Dziejach Apostolskich. Dziś nikt już nie odważy się powiedzieć, że są one autentyczne, że istotnie tak przemawiali Gamaliel, Szczepan, Piotr czy Paweł. Ich wartość historyczna jest właściwie znikoma, najwyżej mogą one zainteresować jako

przejaw literackich umiejętności autora lub jako wyraz jego osobistych poglądów. Jedna z tych oracji zasługuje na nieco większą uwagę ze względu na to, że stanowi dobry komentarz do tego, co dotąd zdolałmy dowiedzieć się o autorze jako historyku. Mamy tu na myśli przemówienie Gamaliela wygłoszone przed Sanhedrem w obronie apostołów. W argumentacji tego przemówienia znalazły się rażące potknięcia historyczne. Mówca przytacza dwa powstania: niejakiego Teodasa i Judasza Galilejczyka. O pierwszym nie mógł jednak mówić, skoro wybuchło ono dopiero dziesięć lat później. Drugie powstanie umieścił w czasach chronologicznie późniejszych niż pierwsze, jednak w rzeczywistości minęło wówczas już czterdzieści lat od czasu, kiedy ono wybuchło. Trudno oczywiście winą za te niefrasobliwość obarczać Gamaliela, uczonego w Piśmie i członka najwyższego trybunału jerozolimskiego. Wobec tego wniosek może być tylko jeden: mowa nie ma oparcia w żadnych źródłach historycznych, jest wyłącznie tworem wyobraźni autora Dziejów Apostolskich. No i także świadectwem, jak słabo orientował się on w podjętej przez siebie tematyce historycznej.

Autor w dążeniu do skomponowania dzieła porządkowanego i dramatycznego, po prostu zaniedbał chronologii. W rezultacie nie wiemy, kiedy dokładnie odbywały się poszczególne wydarzenia. Jedną datę, jaką dziś znamy, nie jemu zawdzięczamy, lecz archeologii. Ze znalezionej bowiem napisu w Delfach wynika, że prokonsul Gallo, przed którego trybunałem stanął Paweł, przebywał w Koryncie w 51 r. n.e. Owa data sprzecyzowała nam czas, kiedy apostoł bawił w tym mieście i stała się w ten sposób punktem odniesienia dla wykaulkulowania innych dat w jego biografii.

W Dziejach Apostolskich wyczytałmy nie potwierdzoną w listach wiadomość, że Paweł odbył trzy wielkie podróże misyjne i że w obrębie tych podróży mieściły się wszelkie dole i niedole, jakich doznał przed ostatnim pobytom w Jerozolimie i Rzymie. Między innymi dowiedzieliśmy się, że Paweł był wychłostany i kamieniuwany, że przeżył szczęśliwie jedną katastrofę morską! Tymczasem okazuje się, że autor Dziejów Apostolskich miał i pod tym względem bardzo niekompletne wiadomości. Albowiem w Drugim liście do Koryntian (11,24-25) Paweł zwierza się, że pięciokrotnie otrzymał od Żydów po trzydzieści dziewięć plag, że trzy razy był smagnany różgami, że przeżył aż trzy katastrofy okrętowe i raz nawet dzień i noc dryfował na morzu jako rozbitek. Nie zgadnąć, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach przydarzyły mu się te wszystkie zyciowe przygody. W każdym razie sam fakt, że Paweł aż trzy razy rozbił się na morzu, jest chyba dostatecznym dowodem, iż musiał odbyć wście podróży, niż to wynika z Dziejów Apostolskich. Autor tego dzieła, będąc w posiadaniu pozbieranego na chybił trafił i nie uporządkowanego materiału biograficznego o Pawle, podzielił go zapewne według własnego widzimisie na trzy podróże, kierując się ulubioną w tych czasach kompozycyjną zasadą symetrii. Z niekompletnego materiału biograficznego powstał w ten sposób jakby tryptyk, a więc twór sztuczny, papierowy, nie odpowiadający historycznej prawdzie. Najwymowniejszym przyczynkiem do tej charakterystyki jest fakt, że tenże autor potrafił ponadto być w granicach swojej własnej relacji niekonsekwentny, że sam sobie zaprzecza, niepompy, co pisał poprzednio. I to w sprawie niebagatelnej, bo chodzi tu o przebieg cudownego nawrócenia Pawła - a więc o rzecz ogromnej wagi dla Kościoła - gdzie, zdawałoby się, wszystko powinno być jasne i w każdym szczególe ustalone ponad wszelką wątpliwość.

Mamy w Dziejach Apostolskich aż trzy opisy tego ważnego wydarzenia: raz od autora, dwa razy z ust samego Pawła w jego przemówieniach do ludu jerozolimskiego i do króla Agryppy. W wersjach tych wspólne jest to, że Jezus nie ukazał mu się osobiście, że na niebie zabyśło ośniewające światło i słychać było jego głos. Ale już inne szczegółowo wyraźnie że sobą się nie zgadzają. Tak więc w pierwszej wersji (9,7) towarzysze podróży Pawła stanęli zdumieni, bo „głos wprawdzie słyszeli, ale nikogo nie widzieli”. W drugiej wersji (22,9) jest na odwrót: ci sami towarzysze widzieli światło, ale nie słyszeli głosu. W trzeciej wersji (26,14) padli oni wraz z Pawłem na ziemię, a więc razem z nim widzieli światłość i słyszeli głos.

W dwóch pierwszych wersjach Jezus wypowiada mniej więcej te same słowa: „Szwale, Szwale, czemu mnie przesławdujesz?... trudno ci przeciw ośniewaniu wierząc”. Ale już w trzeciej wersji mówi coś zgola innego: „Jam jest Jezus, którego ty przesławdujesz. Ale podnieś się i stań na nogi, albowiem na to ci się ukazałem, abym cię ustanowił sługą i świadkiem tego, coś wdział, i tego, co ci objawię. Wytrałem cię z tego ludu i spośród pogan, do których cię teraz posyłam, dla otworzenia im oczu, aby nawrócili się z ciemności do światła i z mocy szataniekiej do Boga, aby dostąpili odpuszczenia grzechów, a przez wiarę we mnie współdziałali ze świętymi” (26, 15-18). Jest aż nadto jasne, że autor Dziejów Apostolskich wkłada w usta Jezusa swoją własną doktrynę na temat roli i znaczenia Pawła w Kościele. Widzimy na tym przykładzie, jak niefrasobliwie przekształcał nawet usłowne przez tradycję wypowiedzi Jezusa, jeżeli to było mu potrzebne dla własnych celów propagandowych. Nie liczył się przy tym z

tekstowymi niekonsekwencjami, jakie z tego wynikały w jego relacji i rzucił cień na jego prawdomówność. Zajrzyjmy teraz do listów Pawła, aby dowiedzieć się, jak on sam przedstawia to spotkanie z Jezusem. W Liście do Galatów jest werwet, który musi nas głęboko zastanowić: „Lecz gdy się podobało temu, który wybrał mi się w Ionie matki mojej i wezwał przez łaskę swoją, aby objawił Syna swego we mnie...” (1,15).

Jest rzeczą oczywistą, że sam Paweł przedstawia ów akt nawrócenia jako wewnętrzną rewelację, jako doświadczenie o charakterze ściśle subiektywnym. Jest to jego osobiste wyznanie, zawarte w liście niekwestionowanego autorstwa. Trudno więc tej wypowiedzi odmówić wagi autentycznego wyznania. Natomiast Dzieje Apostolskie, napisane kilkadziesiąt lat później, podają nam przebieg tego ewenementu już w wariancie mocno przeobrażonym przez czas i legendę. Jest to już twórczy żywej fantazji ludzi wierzących żarliwie, lecz prostych, którzy tego historycznego dla Kościoła momentu nie mogli wyobrazić sobie inaczej, jak tylko uzewnętrznionej w dramatycznej scenierii wielkiego cudu: światłości na niebie, głosu niewidzialnego Jezusa i ludzi porażonych tym znakiem z zaświatów. Można by tu powiedzieć, że legenda jest nie tylko upoetyzowana, lecz częstokroć również udrumatyzowana historią. W świetle naszych krytycznych rozważań Dzieje Apostolskie nie mogą być uznane za dzieło historiograficzne. Mają one typowe atrybuty hagiografii, przetłaczanej gestu cudami i nieprawdopodobnymi wydarzeniami.

Nie chcemy przeto powiedzieć, że nie ma w tym dziele rzeczy zasługujących na wiarę. Jest to konglomerat prawdy i fikcji, do którego dobrze przylegałby tytuł znanego dzieła Goethego Zmyślenie i prawda. Na pewno możemy przyjąć jako fakt historyczny to, co autor donosi nam o działalności misyjnej Pawła w miastach hellenickich, o konfliktach, w jakie uwiękwał się przy tej okazji, i w ogóle o jego zasługach dla Kościoła. Również niektóre przytaczane przezeń wydarzenia i osoby, dzięki porównaniu z innymi źródłami historycznymi, między innymi z Józefem Flawiuszem, okazały się prawdziwe. Odnosimy poza tym wrażenie, że wykazuje on zupełnie dobre rozeznanie, jeżeli chodzi o trasy i warunki żeglugi po Adriatyku i Morzu Śródziemnym, że orientuje się w obyczajach i stosunkach społecznych krajów, które opisuje. Wśród zagadek, jakimi zajmowaliśmy się w tym rozdziale, najbardziej może intrygujący jest fakt, że Dziejom Apostolskim brak jest zakończenia, że tok narracji urywa się nagle i niespodziewanie. Po burzliwym spotkaniu z Żydami kolonii rzymskiej, Paweł nauczał jeszcze dwa lata bez przeszkód. Ale co potem się stało? Dlaczego autor zamilkł w tej chwili, kiedy właśnie nastąpił najdramatyczniejszy okres w życiu Pawła, kiedy według tradycji stanął on przed trybunałem rzymskim i został skazany na ścięcie? Czyż miał on powody cofnąć się przed opisaniem tego wydarzenia? Bynajmniej! Nawet gdyby Paweł został w procesie uniewinniony, mógłby go przecież przedstawić jako triumfatora, a znowu skazanie na śmierć i jego meczeństwo byłoby ukoronowaniem jego działalności pełnej poświęcenia i zasług. Tak właśnie w aureoli meczeństwa przedstawia nam Pawła usna tradycja.

Jaka tajemnica kryje się za tym faktem, że autor nagle milknie? Komentarzcy biblijni proponują tu różne wyjaśnienia. Jedni utrzymują, że istniała jeszcze trzecia część dzieła zawierająca opis końcowych losów Pawła, która zaginęła podczas pożaru Rzymu w 64 r. W tym pandemonium ofiarą płomieni padły całe dzielnice z tysiącami domów i ofiar ludzkich, z bibliotekami, archiwami i pałacami. Czyż w tych warunkach nie mógł spłonąć w jakimś domu skromny zwoj zawierający ową trzecią część dzieła? Nie wszyscy jednak akceptują to wyjaśnienie. Niekilkozy proponują prostsze rozwiązanie zagadki, mianowicie sądzą, że autor chciał, ale nie zdążył dokończyć swego dzieła, ponieważ wraz z Pawłem pochłonięty został przez prześladowanie Nerona.

W rezultacie zwolennicy tej interpretacji przypuszczają, że ciało Pawła pochowano w masowym grobie wraz z innymi męczennikami nieznanego imienia, że zginął anonimowo. Według nich tradycja, jakoby Paweł został ścięty w indywidualnej egzekucji i pochowany przez swoich wiłbelcili w osobnym grobie, nie ma żadnego udokumentowania. Grób Pawła, tak gorliwie poszukiwany przez archeologów, po prostu nigdy nie istniał. Jak to było możliwe, że bohatera śmierć jednego z najbardziej czynnych pionierów chrześcijaństwa przesłonięta została taką mgłą niepewności? Przecież istnieli towarzysze, uczniowie, a nawet przeciwnicy Pawła, którzy byli z nim razem w Rzymie i coś o jego śmierci wiedzeli musieli. Dlaczego milczeli i dopiero znowodna tradycja usna podaje temat z dużym opóźnieniem, wiele lat po tym wydarzeniu? Otóż podobno tych towarzyszy i uczniów w ogóle nie było w jego otoczeniu, gdy umierał. Tak właśnie zapewnia nas znany biblista Powell Davies. Według jego teorii Paweł w chwili swojej najcięższej próby życiowej był do cna osamotniony. Można to odczytać z pewnych fragmentów Dziejów Apostolskich. W Puteoli i na Forum Appiusza bracia w wierze wprawdzie go witają zyczliwie, ale później uderza ich nieobecność w jego otoczeniu. Rozmowy i polemiki prowadzili z nim wyłącznie tylko przywódcy tamentej kolonii żydowskiej; kończą się one przykrą sceną rozstania. Nic dziwnego przeto, że Paweł, gdy

stanął przed sądem i położył, głowę na pniu katowskim, był w swej mecie całkowicie sam. Nikt nie zatroszczył się o jego los, może nawet nie wdział, co się z nim stało. Paweł oddał życie w gorzkim poczuciu zupełnego opuszczenia. Zaskoczyć może nas to, że ta pozornie fantastyczna interpretacja angielskiego bibliisty w rzeczy samej nie jest pozbawiona pewnego udokumentowania. Davies powołuje się dla poparcia swej teorii na dwa fragmenty z Drugiego listu do Tymoteusza. W jednym Paweł tak oto wytkła swa gorączka: „W czasie pierwszej meji obrony nikt nie był przy mnie, ale wszyscy me opuścili, niechaj to im nie będzie poczytane” (4,16). W innym znowu miejscu rozwdzi się nad swoim położeniem nieco szerzej. Oto co czytamy: „Wiesz o tym, że wszyscy w Azji, a wśród nich Figelos i Hermogenes, odeszli ode mnie. Oby Bóg okazał miłosierdzie swoje nad domem Onesyfóra za to, że mnie często pokrzepiał i więzów się moich nie wstydził, ale gdy przybył do Rzymu, usilnie mnie szukał i znalazł?” (1, 1.5-16).

Informacja zawarta w teście tych werwetów jest aż nadto jednoznaczna: w chwili, gdy Pawła przeniesiono do więzienia zakutego w kajdany, naraz zabrałko jego miejscowych przyjaciół i towarzyszy. Wszyscy rozproszyli się, bo „wstydzieli się” więzienia i woleli dla ostrożności nie przynazać się do niego. Dokładnie tak jak postąpił Piotr wobec uwiezionego Jezusa. Nic przeto dziwnego, że Onesyzor, gdy przybył i dopytywał się o Pawła, nie mógł się dowiedzieć, gdzie go znaleźć. Musiał więc szukać go po wszystkich więzieniach Rzymu. Można by tu wtęzić zastrzeżenie, że cytowany list do Tymoteusza nie został uznany za autentyczny, że przeto cała historia być może jest wymysłem jego nieznanego autora. Trudno jednak uwieryć, aby tradycja, która nie głosi chwały towarzyszy Pawła, wręcz stawia ich w niepoehlebionym świetle, mogła być wysana z palca. Jakis okruh prawdy kryje się w tej rozdzierającej smutnej opowieści. Jako komentarz mógłby tu służyć znany nam już fakt, że listy Pawła na długie lata poszły całkowicie w zapomnienie, że bardzo szybko zanikają jego popularność i to nawet już w ostatnich dwóch latach jego życia, kiedy siedział w Rzymie odizolowany od założonych przez siebie gmin chrześcijańskich. Dziesiątki lat minęły, zanim nastąpił renesans jego wpływów i moralnego autoritetu.

Tradycja dotycząca meczeństwa i śmierci św. Pawła jest bardzo zajmująca. Pisarz księgi II wieku Tertulian donosi, że Paweł został ścięty w pobliżu trzech źródeł, zwanych dziei Tre Fontane. Ciało jego miała ponoć zabrać pobożna matrona imieniem Lucyna i pochować w grobie rodzinnym wśród winnic przy drodze do Ostii. Podczas prześladowań cesarza wierni przenieśli je wraz z ciałem św. Piotra do katakumb św. Sebastiana, gdzie spoczywały przez czterdzieści lat. Konstantyn Wielki złożył potem relikwie do podwójnego sarkofagu z marmuru i ze srebra, a nad grobowcem wybudował świątynię, zwaną dzisiaj Baziliką św. Pawła za Murami. Archeolodzy poszukiwali tego sarkofagu w podziemiach kościoła, nie znaleźli jednak nic poza żelaznymi kratami, które zostały miały stanowić fragment grobowca. Inna świątynia, zwana Kościołem św. Pawła przy Trzech Źródłach, zbudowana została w V wieku na miejscu kaźni Pawła. W 1599 r. przebudowano ją do tego stopnia gruntownie, że nie zalecono po niej żadnego śladu. W dzisiejszym kościele pokazują jedynie kolumnę, do której Paweł jakoby miał być przywiązany przed egzekucją.

Istnieje jednak jeszcze inna tradycja, może nawet lepiej udokumentowana. W Liście do Rzymian, powszechnie uznanym za autentyczny, Paweł donosi swoim adresatom, że ma zamiar udać się do Hiszpanii i że po drodze na pewien czas wstąpi do nich. Piszę o tym aż dwa razy, a więc był jak najbardziej w swoim postanowieniu zdecydowany (15,24,28).

Ale czy apostoł swój plan podróży do Hiszpanii rzeczywiście zdołał przeprowadzić? Wydaje się, że istnieje pod tym względem duże prawdopodobieństwo. Możemy tu powołać się na bardo poważnego świadka, mianowicie na ojca apostolskiego i jednego z pierwszych papieży Klemensa Rzymskiego (ok. 95 r.). Wspomina on o pobycie św. Piotra w Rzymie, a o Pawle powiada, że „osiągnął granice Zachodu”. „Granica Zachodu” nazywano w owych czasach właśnie Hiszpanie. Notatkę o wyjeździe Pawła do Hiszpanii znaleźniono także w jednym z dokumentów z II wieku, odkrytym w 1740 r. w Mediolanie przez wybitnego archeologa włoskiego Muratoriego. Ciekawe jest jeszcze to, że Klemens Rzymski czyni jakąś aluzję o skazaniu Pawła na wygnanie. Czyżby więc odbył się proces i Paweł zamiast na ścięcie został skazany na wygnanie? Rzymianie nagminnie stosowali ten rodzaj kary, jednym zaś z miejsc wygnania była właśnie Hiszpania. Dlaczego nie zachował się żaden ślad jego pobytu w tym kraju? Wyluczeniem mogą być burzliwe dzieje Półwyspu Iberyjskiego: najazdy barbarzyńskich plemion, chaos po upadku imperium rzymskiego i w końcu długie panowanie Maurów, które być może wymazały wszelki ślad po Pawle.



Jesus - postać enigmatyczna

JAK WYGŁADAŁ JEZUS?

Gdy w chwili refleksji zapytujemy siebie, jak właściwie wyglądał Jezus, odkrywamy, o dziwo, że ewangelie nie na ten temat nie mówią. A przecież Galilejczyk jest w nich wszechobecny, jest też centralną postacią wszystkich zawartych w nich przypowieści i anegdot. Wprawdzie góruje on w narracji nad otoczeniem swą suwerenną, niezmierną osobowością, ale poza tym jest, tak jak my wszyscy, człowiekiem zwichoczanym z jego ułomnościami i niedostatkami. Wędrując po ścieżkach Galilei i Judei, chętnie wdaje się w rozmowy z przygodnie napotkanymi ludźmi, bywa gościem w domach przyjaciół i znanych, a nawet, jeżeli wierzyć Janowi, nie widzi w tym nic zdrożnego, by wziąć czynny udział w hucznym weselisku. Jak każdy śmiertelnik, cierpiął, łamał się i wpadał w wewnętrzne rozterki, a swój dramatyczny żywot przypięczętował straszliwą, męczenną śmiercią na krzyżu.

Jeżeli nawet założymy, że ewangelicysty nie pisali i nie mieli zamiaru pisać biografii Jezusa, to i tak wydaje się zastanawiające, że na temat jego wyglądu nie mają nic, ale to absolutnie nie konkretno do powiedzenia. Nie mówią nam nawet aluzjnie, czy był wysoki czy niski. Wzrostem, czy urodziwy czy brzydki, jaki miał kolor włosów i oczu, jak się ubierał. Jezus w ich opowiadaniach jest odmaterializowany, zadiwadniający niewidoczny, jakby nakryty czapką niewidką.

Czy ten brak opisu Jezusa jest świadomie zamierzony? Wydaje się, że stanowiąc dodatkowe dowody, potwierdzające teorię o źródłach i warunkach powstania ewangelii. Ich autorzy, jak to stwierdza wielu biblistów, nie byli naocznymi świadkami opisywanych wydarzeń i nie mieli żadnych wiadomości, jak Jezus wyglądał. Nie spisali oni jego biografii, lecz byli kronikarzami otaczających ich wierzeń, jakie o nim krążyły wśród chrześcijan na rozległych obszarach świata rzymsko-greckiego; pisali w oderwaniu od rzeczywistości palestyńskiej, gdzie Jezus spędził życie i gdzie ongiś żyli ludzie, którzy znali go jako człowieka. Wizerunek jego, przewędrowawszy daleką drogę czasu i przestrzeni, dotarł do świadomości tych niezliczonych rzesz rozmówczych w nim hellenickich znawców, wysublimowany z cielesności, osłepiający blaskiem boskości. Jednym słowem: odczłowieczony. O niektórych cechach powierzchowności Jezusa możemy pośrednio wnioskować drogą dedukcji z pewnych wersetów, pozostawiających z tą sprawą nie wspólne. Dlaczego na przykład Judasz musiał w Getsemani złożyć pocałunek na obliczu Jezusa, aby oprawcy arcykapłana mogli go rozpoznać? Nieodparcie nasuwa się tu myśl, że chyba dlatego, iż niczym specjalnie nie różnił się od innych Żydów jerozolimskich, że podobnie jak oni przedstawiał przeciętny typ Semity, tak że pod względem wyglądu zlewał się po prostu z otaczającym go tłumem.

Jezus, jak wiemy, nie był ascetą i lubił towarzystwo innych ludzi. Na pewno też nie chodził ubrany jak abnegat, skoro żoldacy rzymscy, trzymający straż pod krzyżem, uznali jego szatę za dość wartościową, by losować, komu ma ona przypaść na własność. Trafną obserwację zawdzięczamy wielkiemu pisarzowi angielskiemu H.G. Wellsovii. W swojej monumentalnej Historii świata zwraca on uwagę, że Jezus rozpięty na krzyżu wyzynał ducha daleko wcześniej, niż to bywało z innymi skazańcami. Tak właśnie, że gdy doniesiono o tym Pilatowi, miał wątpliwości, czy naprawdę umarł. Otóż Wells wysnuwa z tego faktu słuszny chyba wniosek, że Jezus musiał być z pewnością człowiekiem wątłej i słabowitej budowy ciała.

To, co między wierzącymi można wyczytać w księgach kanonicznych Nowego Testamentu składa się jednak w sumie na wizerunek Jezusa bardzo tyłkogłisty i pełen niedomówień. Zbiorowa wyobraźnia

jego wyznawców, zlakniona wiedzy o Jezusie-człowieku, nie znosiła takiej próżni, toteż rzytcho zaczęła uzupełniać ten obraz bardziej życiowymi szczegółami. W ten sposób powstała tradycja o jego wyglądzie, z pewnością oparta częściowo na jakichś pogłoskach, które z Jerozolimy docierały do miast hellenickich.

Jak wyobrażały sobie Jezusa szerokie rzesze jego wczesnych wyznawców? Osobliwą rzeczą jest to, że wiadomość na ten temat zachowała jednemu z najzjadliwszych wrogów chrześcijaństwa, znanemu nam już Celsusowi, przyjacielowi cesarza Marka Aureliusza. A raczej nie jemu należy się nasza wdzięczność, jako że jego pamflet nie dochował się do naszych czasów, lecz pisarzowi kościelnemu Orygenesowi, który w swej polemicznej repli ce Przymierza Celsusowi tak obficie cytując swego adwersarza, że znamy dziś prawie wszystkie główne jego argumenty w brzmieniu niemalże dosłownym. Oto co pisze Celsus w relacji Orygenes: „Gdyby naprawdę duch boży gościł w jego ciele [Jezusa], należałoby przypuszczać, że wyróżniał się od innych pięknością i wspaniałością ciała, jak też i krasomównością. Nie sposób bowiem uwierzyć, aby ten, w którego ciele jest coś boskiego, nie różnił się niczym od innych. Tymczasem ludzie mówią, że Jezus był niepokazany wzrostem, zaś oblicze miał tak niefortunne, iż budził odrazę”.

Był to typowy pogląd człowieka starożytności: wychowany na mitologii greckiej i rzymskiej, nie mógł wyobrazić sobie, aby Bóg zamieszkał w ciele ludzkim, które by nie odznaczało się doskonałym pięknem. Brzydota Jezusa była dla niego niewątpliwym argumentem przeciwko jego boskości. Czy istotnie ówczesni chrześcijanie wyobrażali sobie Jezusa tak jak to nam przedstawia Celsus? Owszem, potwierdza to w całej pełni pisarz kościelny Tertulian. W swoich polemicznych dialogach ze zwolennikiem Pawła i przeciwnikiem Starożytności Marcjonem tak oto opisuje Jezusa: „Postać jego pozabawiona była wszelkiej piękności i wdzięku. Zaiste, czyżby się znalazł taki śmiełek, który by uczynił najmniejszą szkodę na ciele, gdyby on odbarzone było pięknością nadzwyczajną i oświetlone jasnością niebieską? Któż by pokrył płwocinami oblicze, jeśliby brzydota, którą nałożył na siebie Jezus Chrystus i która uczyniła go przedmiotem pogardy w oczach ludzi, to oblicze nie przedstawiała jako na płwociny tylko zasługujące”. Tertulian, co jest dla nas ogromnie ważne, ujawnia przy tej okazji źródło, skąd w owych czasach brano inspirację do przedstawiania wizerunku Jezusa w tak smętnych barwach. Okazało się, że mamy tu do czynienia z jednym z licznych przykładów jedynie w swoim rodzaju sposobu myślenia, o którym już w niniejszej książce była mowa i któremu poświęcimy później więcej uwagi. Otóż ówczesni wyznawcy Jezusa, wierząc głęboko, że starotestamentowe prorocтва o Mesjaszu odnoszone do jego osoby musiały na pewno się spełnić w jego życiu, korzystali z nich w najlepszej wierze, aby zrekonstruować anegdotycznie te fragmenty jego żywota, o których nie mieli wiedzy lub które w ogóle nigdy nie istniały. Tak więc Tertulian, malując wygląd zewnętrzny Jezusa, otwarcie powołuje się na słynny fragment Prorocтва Izajaszewego. W rozdziale 53 czytamy (według ks. J. Wujka): „A wystąpił jako łatorośl przed nim, a jako korzeń ziemi spragniony, nie ma krasy ani piękności. I widzieliśmy go, a nie było na co spojrzeć, i pożądaliśmy go. Wzgardzonego i najpodlejszego z mętów, męża बोłości i znającego niemoc. A jakoby zasłoniona twarz jego i wzgardzona: skąd aniołszy go mieli zach. Prawdziwe choroby on nasze nosił, a boleści nasze on odnosił. A myśmy go poczytywali za trędowatego, a od Boga ubitego i unizonego”.

Wypada tu podkreślić, że wszyscy przed chwilą wymienieni pisarze żyli w drugiej połowie II wieku, a więc dawali wyraz wierzeniom pokolenia, które od śmierci Jezusa dzieliło okrągłe stulecie z okładem. W epoce, kiedy przeciętny wiek człowieka był bardzo krótki, znacząco to ogromny szmat czasu. Nie tylko więc bunt „hellenistów”, reformistyczna doktryna Pawła Apostoła i zburzenie Jerozolimy odcięło chrześcijan od tego, co naprawdę się działo w Galilei i Judei, ale także pływający nurt czasu, który rozmywa pamięć historyczną pokoleń, torując przed legendzie. Taką właśnie legendą jest opisany przez chwilę wizerunek Jezusa, oparty na szerokiej i dowolnej interpretacji starotestamentowych prorocत्व. Do jakiego stopnia obraz ten jest skomponowany z elementów imaginacyjnych, a zatem pozbawiony jakiegokolwiek podstawy źródłowej, pokazują nam historię Kościoła Euzebiusz. Opowiada on, jak to apostoł Józef Tadeusz w rozmowie z królem Edessy Abgarem opisywał Jezusa jako człowieka niskiego wzrostu, brzydkiego, o postawie potulnego mizera. Św. Cyprian i św. Augustyn, mówiąc przeciw wykształceniu, powtarzają za nim tę charakterystykę z rozbrajającą ufnością i powagą. A przeciw całej rozmowa apostoła Józefa Tadeusza z królem Edessy, jak też słowa, jakie Euzebiusz z właściwą sobie niefrasobliwością wkłada w usta tego pierwszego, uznano jedynym słowem za typowy apokryf, czyli, inaczej mówiąc, za wertywny wymysł. Ot, taka była wówczas łatwowierność wyznawców Jezusa. Orygenes, polemizując z Celsusem, wychodził z założenia, że właśnie w brzydocie Jezusa należy widzieć dowód jego boskości. Według niego w ten sposób uwidoczniła się w jego postaci supremacja ducha nad marnością ciała. Zresztą w tej właśnie

koncepcji stał się on bliski i zrozumiały dla niezliczonych rzesz ówczesnych jego wyznawców, żyjących w ubóstwie i upośledzeniu. Był to Jezus stworzony na ich podobieństwo, ubóstwny i ukochany, swoją niepozornością symbolizujący ich własny nieduży los życiowy.

Nadeszły jednak czasy, kiedy w umysłach chrześcijan zaczęły brać górę wyobrażenia rodem z mitologii grecko-rzymskiej; Jezus był Bogiem, a zatem musiał być mężem pięknej, szlachetnej powierzchowności. W chrześcijaństwie zakiełkowała po prostu od nowa pogańska idea doskonałej harmonii ciała i ducha. Początek nowej tendencji dał św. Jan Chryzostom wręcz oświadczyć awbrew tradycji, że Jezus był piękny.

Najświetniejszy wyraz znalazła ta nowa tendencja w sztuce renesansu. Michał Anioł, żarliwy wyznawca platonizmu, przedstawił w Sądzie Ostatczym w Kaplicy Sykstyńskiej Jezusa jako młodzieńca bez brody, co spotkało się z ostrą krytyką wielu dostojników dworu papieskiego. Bardziej jeszcze uderzająca pod tym względem jest jego nie dokończona rzeźba, znajdująca się po lewej stronie ołtarza w kościele rzymskim S. Maria sopra Minerva. Chrystus przedstawiony jest tam jako nagi, harmonijnie zbudowany młodzieniec z krzyżem w ręku, przypominający bogka greckiego. Rzeźba wywołała burzę zgorszenia wśród pobożników, wobec czego zaopatrzono ją w śmieszny opaskę z brązu. Wśród szerokich mas stała się jednak przedmiotem kultu, tak że jedną stopę trzeba było również pokryć warstwą brązu, aby uchronić marmur przed niezliczonymi pocałunkami wiernych.

Charakterystycznym świadectwem owej tendencji jest Listo Lentulusa. Jest to rzekomo sprawozdanie, złożone senatowi rzymskiemu przez prokonsula Palestyny. Oto co autor donosi swiej władzy o Jezusie: „Człowiek ten ma postać prostą, średniego wzrostu, wspaniałą twarz, szlachetną. Patrząc nań mogą kochać go i bać się zarazem. Włosy ma koloru orzecha dojrzałego, spadają mu one gładko aż do uszu, a dalek widać się w pierścieniach nieco jaśniejszych i polyskujących, na ramionach ma zwirzone, na środku głowy rozdzielone - jak to jest we zwyczaju u Nazarejczyków; czoło ma jasne i pogodne, twarz bez zmarszczek i plam cechuje spokój i siła. Nic nie można zarzucić kształtowi nosa i ust, broda jest gęsta, barwy włosów, niezbyt długa, na środku rozdzielona. Spojrzenie proste i wnikliwe, a oczy niebiesko-zielone, jasne i żywe. Gdy gromi, jest straszny, gdy napomina - przyjazny i delikatny, radosny przy swiej powadze. Czasem płakał, ale nigdy się nie śmiał. Postawa ciała wyniosła i prosta, ręce i ramiona pełne wdzięku, w rozmowie poważny, skromny i małomówny, tak że słusnie według proroka może być nazwany: Najpiękniejszy urodzaj synów ludzkich”.

Taki oto panegryk miał wypisywać wysoki urzędnik rzymski do swoich przełożonych w senacie. I dziwną rzeczą jest to, że całe wieki, nawet w niektórych kołach ludzi wykształconych, wierzone w autentyczność Listu Lentulusa, rozpowszechniano go bowiem często w druku ku zbudowaniu wiernych, z pełnymi powagami komentarzami. Dziś wiadomo, że apokryf, albo raczej gruba nicia szyć falsyfikat, powstał dopiero w XIII wieku, a opublikowany został po raz pierwszy w 1474 r.

W związku z tą sprawą zasługuje na przypomnienie nader ciekawa postać, mianowicie Lorenzo Valla, humanista i sekretarz papieża za pontyfikatu Mikołaja V. Władza świecka papieża w Italii legitymowała się aktem nadania cesarza Konstantyna. Dokument ten, pisany na dużych arkuszach pergaminowych złotymi literami i bogato zdobiony iluminacjami, jest przechowywany w Watykanie. Lorenzo Valla, który żył w pierwszej połowie XV wieku (1405 - 1457), ogłosił traktat, wykazując za pomocą ściśle naukowej analizy tekstowej i znajomości prawa rzymskiego, że ten brzemienisty w historyczne skutki dokument jest podrobiony. Władza papieska w Italii była wobec tego uzurpacją.

Lorenzo Valla także jako jeden z pierwszych badaczy posłużył się w badaniach nad Biblią metodą krytyki tekstowej i odkrył w niej mnóstwo niezgodności. Jego racjonalistyczną metodę badań tekstowych i znajomości prawa rzymskiego, że ten brzemienisty w historyczne skutki dokument jest podrobiony. Władza papieska w Italii była wobec tego uzurpacją.

Lorenzo Valla także jako jeden z pierwszych badaczy posłużył się w badaniach nad Biblią metodą krytyki tekstowej i odkrył w niej mnóstwo niezgodności. Jego racjonalistyczną metodę badań tekstowych i znajomości prawa rzymskiego, że ten brzemienisty w historyczne skutki dokument jest podrobiony. Władza papieska w Italii była wobec tego uzurpacją.

Lorenzo Valla także jako jeden z pierwszych badaczy posłużył się w badaniach nad Biblią metodą krytyki tekstowej i odkrył w niej mnóstwo niezgodności. Jego racjonalistyczną metodę badań tekstowych i znajomości prawa rzymskiego, że ten brzemienisty w historyczne skutki dokument jest podrobiony. Władza papieska w Italii była wobec tego uzurpacją.

Najsławniejszym przedstawicielem tej sztuki ludowej w Polsce był Wórow, góral beskidzki spod Wadowic, opiewany w poematach Emila Żegadłowicza. Ciekawą rzeczą jest to, że sprawa fizycznego wyglądu Jezusa, ściśle mówiąc jego wzrostu, wypłynęła ponownie kilkadziesiąt lat temu. Asumptem z tych współczesnych rozważań dał słynny, otoczony wielką czcią wiernych, „całun turyński”, przescieradło śmiertelne, w które podobno Józef z Arimatei miał owinąć ciało Jezusa Chrystusa. Na płótnie utkanym z

nici lnianych widać zamazany zarys ciała ludzkiego rdzawego koloru. W 1898 r. pewien turyński fotograf sfotografował całun i wtedy wyszła na jaw rzecz rewelacyjna. Okazało się, że kontur jest negatywem, takim, jaki uzyskuje się na filmie za pomocą wywoływacza w ciemni. Odbicie w sposób już wyraźnie zarysowany ujawnia kontury nagiętego, brodatego, dobrze zbudowanego mężczyzny od przodu i tyłu, z bliznami od gwóźdźi na rękach i nogach oraz z pregami na plecach, których naliczono aż 125. Widać nawet ślad po ukuciu lancą na klatce piersiowej i liczne ukłucia na czaszce, przrywające na pamięć koronę cierniową. Należy tu jeszcze wyjaśnić, jak ten podwójny kontur powstał. Ciało położono na połowie przescieradła, potem drugą, wolną połowę użyto jako nakrycie. W ten sposób powstało odbicie mężczyzny z przodu i z tyłu, stające się z sobą sączytymi czaszki.

Medycy i chemicy już od wielu lat zastanawiają się, jak tego rodzaju odbicie mogło powstać. Na ogół sądzi się, że nastąpiła w tym wypadku reakcja chemiczna amoniakalnych wyziewów ciała, mirry i aloesu, którym płótno było nasiąknięte. Wśród innych też warto przytoczyć taką ciekawostkę: niektórzy bezkrytycznie autorzy nie wykluczają możliwości, że podczas zmartwychwstania wyładował się z ciała Jezusa polećny wstrząs elektryczny powodujący ową reakcję chemiczną. Trzeba tu dodać, że wszyscy ewangelicysty rzeczywiście wspomnieli o tym przescieradle. Jednak tylko u Jana Ewangelisty czytamy o mirrze i aloesie, które to wonności przyniósł tajemniczy Nikodem. Pod naciskiem opinii publicznej arcybiskup Turynu powołał w 1969 r. komisję specjalistów, której powierzono zadanie rozstrzygnięcia, czy przescieradło jest autentyczne. Zanim jednak do tej sprawy wrócimy, zajmijmy się problemem, którym w tej chwili się interesujemy, a który przy tej okazji się wyłonił. Badacze doszli do przekonania, że będzie można na podstawie konturu na przescieradle stwierdzić, czy wzrostu był Jezus. Jednakże, o dziwo, nawet w tak wymiernej sprawie nie osiągnęto jednomyślności. Profesor włoski Nicolo Miah i prałat Guilo Ricci wykalkulowali, że Jezus miał 162,56 cm wysokości. Natomiast rzeźbiarz i specjalista od anatomicznych prof. Lorenzo Ferri obliczył, że miał przetrzymać 182 cm. Ogromna różnica tłumaczy się tym, że kontur na płótnie nie jest zarysowany ostro, a raczej jakby rozmyty.

W rezultacie nie dowiedzieliśmy się czy Jezus był niski czy wysoki. I trudno nie dojść do przekonania, że wszystkie te spekulacje, spory i liczenia centymetrów mają coś z niepozornej, jałowej zabawy. Przede wszystkim dlatego, że autentyczność całun, mimo rozpaczyliwych wysiłków jego zwolenników, nie została udowodniona w sposób przekonujący. Nawet przy wspomnianej poprzednio komisji ekspertów, złożoną głównie przecież z katolików. Gdy głównego rzecznika teże komisji prof. Cordiglia, słynnego specjalistę w dziedzinie medycyny sądowej, zapytano, czy wierzy w autentyczność płótna, odparł z uśmiechem: „Jako wierzący odpowiadam: tak, ale jako lekarz: jeszcze chwileczkę”. Jednakże z tej chwileczki zrobił się już lata i dotąd sławetna komisja nie wypowiedziała się w tej sprawie. Nawet sam papież wstrzymując się od zajęcia ostatecznego stanowiska, a kardynał Pellegrino, arcybiskup Turynu i najwyższy opiekun całun, oświadczył, iż nie zdolano udowodnić, że jest on tym, który znajdował się w Konstancynie przed 1300 r. Nie dopuszczono jednak do przeprowadzenia jedynie pewnych badań wieku tkaniny za pomocą izotopu węgla C14, tłumacząc, że trzeba by było zbyt dużą część całun na ten cel poświęcić.

Argumenty przeciwko autentyczności całun są zbyt liczne i poważne, by je lekceważyć. W kościołach znajduje się na przykład aż czterdzieści całunów, rzekomo autentycznych. Jasno i wzięwle przedstawił to zagadnienie wybitny polski archeolog, prof. Włodzisław Szafranski w swoim artykule Całun z Turynu („Argumenty” z 16 VI 1974). Wypłynął ten całun dopiero w 1204 r. podczas zdobycia Bizancjum przez krzyżowców. Dziwnym zbiegiem okoliczności był to okres, kiedy pieniś się handel fałszywymi relikwiami. Do dnia dzisiejszego różne kościoły w Europie przechowują aż 32 gwóźdźie, którymi Jezus był przybit do krzyża, piętnaście świętych włóczni, sześć świętych gąbek, z których pił Jezus, mnóstwo szat, o które żołnierze rzucali kości i in.

Przy podziale lupów w Konstancynie całun turyński przypadł w udziale francuskiemu rycerzowi Ottonowi de la Roche, a ten posłał go w darze swemu ojcu. Odtąd koleje losu relikwii są na ogół znane. Co było jednak przed 1204 r.? Bez mała 1200 lat od śmierci Jezusa jest o nim na świecie mało, aż nagłe pojawia się w okresie znanym z masowej produkcji fałszyfikatów. Nie ma o nim także najdrobniejszej wzmianki w tak bogatych i dokładnych kronikach bizantyjskich. Zachodzi tu alternatywa: albo znowa milczenia; albo całun wdziany w ogóle nie istniał. Dopki ta ogromna luka w historii relikwii nie zostanie wypełniona, nikt myślarz trzeźwo nie ma obowiązków wierzyć w jej autentyczność.

W dodatku biblicy wysuwają przeciwko jego autentyczności zarzut o daleko wiodącym ciężarze gatunkowym. Otóż fakt odbicia ciała na całunie kłóci się najwyraźniej z ówczesnymi zwyczajami pogrzebowymi Hebrajczyków. Rytuał ściśle przestrzegany polegał na tym, że zwłoki namaszczano i zawijano w bandażę, a głowę przykrywano chustą, tak jak to na przykład czytamy w opowieści o

wskrzeszeniu Łazarza (J. 11,44). Ciało, jak pisze katolicki biblista, ks. prof. E. Dąbrowski, „nie mogło wejść w kontakt z przeszcieraniem”, i konkluduje: „Cały nakreślony powyżej rytuał pogrzebowy zdaje się wykluczać możliwość autentyczności Ciału turyńskiego”. Prof. W. Szafranski wylicza w swoim wyżej wspomnianym artykule szereg innych wybitnych katolickich biblistów, którzy stanęli na tym samym stanowisku. Czas już na zamknięcie tego przeglądu, aby odpowiedzieć sobie na pytanie, czego dowiedzieliśmy się o fizycznym wyglądzie Jezusa. Odpowiedź może być tylko jedna: absolutnie nic. Wszystko, co na ten temat przeczytaliśmy, jest wytworem fantazji lub spekulacji, a także wyrazem poboznych życzeń. Jednym słowem, mamy tu do czynienia z mitologią czystej wody. Malarze i rzeźbiarze przedstawiali wizerunek Jezusa tak, jak dyktowała im ich wyobraźnia i duch epoki. Jezus już od samego zarania chrześcijaństwa był postacią nieznaną, zagadką.

GDZIE I KIEDY URODZIŁ SIĘ JEZUS?

Dla wielu czytelników będzie zapewne także niespodzianką, gdy dowiedzą się, że podobnie jak wygląd zewnętrzny również wiek Jezusa nie jest nam znany. Nie mamy pewności, kiedy się urodził, ile miał lat, gdy zgasł na krzyżu. Niekiedy odpowiadają nam na to ze zdziwieniem: Jak to? Przecież Łukasz pisze, że Jezus, gdy rozpoczął działalność publiczną, miał lat około trzydziestu (Lk. 3,23). Owszem, ale Jan zdaje się zaprzeczać temu. Czytamy bowiem w jego ewangelii: „Rzekli tedy Żydzi do niego: Pięćdziesięciu lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś?” (8,57). I Jezus bynajmniej ich nie poprawia, niejako milcząco potwierdzając, co oni powiedzieli. Między Łukaszem i Janem istnieje tu wyraźna sprzeczność, toteż, jak to w takich wypadkach bywa, niektórzy bibliści usiłowali znaleźć jakiś wyjście z tego dylematu. Powiadają oni, że Jezus miał około trzydziestu lat, tylko że wyglądał na starszego. Argument niczym nie uzasadniony, całkowicie zawieszony w powietrzu. Trudno wymagać, aby owa gęb w domyśle była poważnie. Jedną rzeczą jest chyba pewna: Jan Ewangelista nie wymyślił sobie owych pięćdziesięciu lat; wypowiedź Żydów jest echem pogłosek i przekonań, jakie naówczas były w obiegu w pewnych środowiskach chrześcijańskich. Zresztą zastanawiające jest to, że nawet Łukasz określa wiek Jezusa tylko w przybliżeniu, nie miał więc pod tym względem dokładnych danych. Ponadto zachodzi tu uzasadnione podejrzenie, że pogłoski o wieku Jezusa nie pochodziły z Palestyny, że nie opierały się na realnych informacjach. Stanowiły one zlepek reminiscencji ze Starego Testamentu i z religii perskiej; z czasów, gdy Żydzi przebywali w niewoli babilońskiej. Pod przymierzony byłym tych źródeł w umysłach ludzi wytworzyło się stereotypowe pojęcie, iż przywódcy narodów, reformatorzy religijni i wyzwoliciele, gdy rozpoczęli swoją dziejową misję, winni mieć trzydzieści lat, to jest winni osiągnąć wiek dojrzałości mężczyzny.

W tym właśnie wieku rozpoczął swoje panowanie król Dawid (II Sam. 5,4). Józef stał się wicekrólem Egiptu (I Mojż. 61,46), a reformator religijny Iranu Zaratusztra (VI wiek p.n.e.) jął głosić swą naukę o Aryamie i Ormuzdzie. Nic przeto dziwnego, że z wyznawcy Jezusa, pozabawieni danych z jego życia ziemskiego, zastosowali wobec niego ten głęboko w ich umysłach zakorzeniony szablon myślowy. Jezus, podobnie jak Józef i Dawid, miał trzydzieści lat, gdy rozpoczął swoją publiczną działalność.

Dowiedzieliśmy się już poprzednio, że o narodzinach Jezusa pisali tylko Mateusz i Łukasz. Obaj jednak opowiedź swą wiążą z odmiennymi współczesnymi faktami historycznymi, znanymi nam skądinąd i pozwalającymi na ustalenie w przybliżeniu daty tego wydarzenia. U Mateusza czytamy o rzezi niewiastek nakazanej przez Heroda oraz o ucieczce do Egiptu. Łukasz natomiast tłumaczy nam pobyt Świętej Rodziny w Betlejem tym, że wymagał tego spis ludności, zarządzony w Judei przez namiestnika rzymskiego Kwiryniusza. Niestety, stwierdzić musimy z przykrością, że obie wersje nie dadzą się ze sobą pogodzić, że przeto nie zasługują na wiarę. Jeżeli chodzi o Mateusza, to według niego Jezus musiał urodzić się za panowania Heroda, o którym wiemy skądinąd, że umarł w 4 r. p.n.e. Nakazana przezeń rzeź dzieci rodzaju męskiego musiała więc odbyć się przed tą datą, a Jezus był wówczas dzieckiem mającym przynajmniej rok życia. Tak więc data tego urodzenia przypadłaby na 6 lub 5 rok p.n.e.

Tymczasem wspomniany przez Łukasza spis ludności zarządzony przez namiestnika rzymskiego Kwiryniusza, jak to wiemy na pewno dzięki wiarygodnym źródłom historycznym, był przeprowadzony w Judei dopiero w 6 lub 7 r. n.e. Inaczej mówiąc, jeżeli uwierzyć Mateuszowi, Jezus był już wówczas pacholeciem mającym, powiedzmy sobie, około dwunastu lat. Nie mógł więc leżeć wówczas w żłobku betlejemskim, tak jak opisuje to w bańkowym sposób ewangelista Łukasz. Krażąc w rozbieżności w relacji obu ewangelistów usiłowali oczywiście zniwelować chrześcijańscy bibliści, posługując się niestety i w tym wypadku niczym nie umotywowanymi domysłami. Mianowicie podają jako możliwość, że taki spis ludności odbył się również za czasów panowania Heroda i że

specjalnym komisarzem do przeprowadzenia tego spisu mógł być wydelegowany z Rzymu Kwiryniusz. Wpłynął spis ludności i rzeź niewiastek przypadłyby jednocześnie na lata 7 do 6 p.n.e. Argumentacja jest niestety pozbawiona jakiegokolwiek podstawy dowodowej, w źródłach historycznych nie ma najmniejszego śladu, że taki spis naprawdę się odbył. Zresztą, jak się zaraz przekonamy, wszystkie te wysiłki spekulacyjne są właściwie bezprzedmiotowe, gdyż jedna i druga relacja już w samej swej treści merytorycznej budzi poważne wątpliwości. Bardzo wątpliwe jest również to, czy istotnie Herod zarządził rzeź niewiastek. Był to monarcha, który wprowadził kazał zgładzić swoją żonę, teściową, trzech synów i wielu innych krewniaków. Ostatnie lata jego panowania były istnym pasmem okrucieństw, intryg dworskich i krwawych porachunków. W dodatku w oczach szowinistów żydowskich i ortodoksyjnych kapłanów uchodził za renegata, gdyż w stosunku do Rzymu prowadził ugodową politykę sprzymierzenia. Nic przeto dziwnego, że otaczany był powszechną nienawiścią, że o jego ekscesach krążyły najgorsze wieści. W tej atmosferze grozy mogła oczywiście zrodzić się plotka o rzezi niewiastek. Zastanawiające jest jednak to, że Józef Flawiusz, historyk skrupulatny, który ział nienawiścią do Heroda i nie przepuścił mu żadnej popełnionej przezeń zbrodni, nic o tej rzezi nie wspomina. Czyżby on, zacięty wróg monarchy żydowskiego, miał taką gratkę przeoczyć? Wydaje się, że rzezi niewiastek nigdy nie było, jest to chyba jedna z tych legend, z jakimi spotykamy się podczas uważnej lektury ewangelii.

Jesteśmy nawet w szczęśliwym położeniu, że możemy wskazać na źródła tej legendy. Pomaga nam w tym Mateusz, który zawsze dba, by to, co opowiada, było wypełnieniem starotestamentowych proroctw. Ból rodzin pomordowanych przez Heroda dzieci opisuje posługując się wyjątkiem z Jeremiasza (31,15), w którym matki judzkie biadała nad losem swoich dzieci, deportowanych przez Nabuchodonozora do Babilonu po zajęciu w 586 r. p.n.e. Palestyny. W rozdziale drugim (17-18) czytamy: „Wówczas wypełniło się, co jest powiedziane przez Jeremiasza proroka, mówiącego: Głos usłyszano w Rama, płacz i jęk wielki: Rachel płacząca synów swoich a nie chciała się dać pocieszyć, że ich nie masz”. Ponadto mamy tu wyraźną analogię z narodzinami Mojżesa. Legenda powiada, że faraon miał przy tej okazji sen, który magowie interpretowali jako ostrzeżenie, iż Egipcjowie grozi zagłada ze strony dziecka izraelskiego. Kazał więc wymordować wszystkie dzieci żydowskie płci męskiej, ale Mojżesz - jak wiadomo - ocalał.

Jest rzeczą widoczną, że spotykamy się tu ponownie ze znanym nam zjawiskiem szukania wskazówek w Starym Testamencie dla zrekonstruowania zagubionej biografii ziemskiej Jezusa.

Również i sam sposób przeprowadzania spisu ludności, tak jak przedstawia to w swojej ewangelii Łukasz, nie wytrzymuje krytyki, jest bowiem niezgodny z tym, co o tych sprawach wiemy z historii. Otóż spis ludności, przeprowadzony przez Rzymian, nie mógł odbyć się w Judei za panowania Heroda. Formalnie był on suwerennym władcą i przyjacielem Rzymian, a oni w swojej mądrości politycznej nie mieli wyczuwać mieśnię się do tego rodzaju spraw wewnętrznych swoich klientów i sprzymierzeńców. Sytuacja odmiennie się po śmierci Heroda. Jego syn Archelaus pozbawiony został tronu i w latach 6 i 7 n.e. Judea była już prowincją rzymską administrowaną przez prokuratora. Oczywiście jest także rzeczą zrozumiałą, że przy okazji świado anektowanego terytorium okupanci zarządzili spis ludności, żeby zorientować się, ilu podwładnych im przybyło.

Nie mogli jednak tego zrobić w ten sposób, jak to opowiada Łukasz. Nie mogli żądać, aby przy tej sposobności ludzie udali się do miejsca swego urodzenia i dopiero tam się rejestrowali. Tak postępowali Żydzi, u których tradycja dwunastu pokoleń była zawsze żywa. Zależało im na tym, aby nie tylko ustalić liczbę ludności, ale także jej podział według przynależności plemiennej. Rzymianom były te sprawy absolutnie obojętne i jako praktyczni administratorzy uważaliby za absurd powodować niepotrzebnie taką „wędrownkę ludów”. Po prostu, tak jak dzisiaj się to robi, spisywali ludzi tam, gdzie w danej chwili mieszkali, gdzie mieli swoje nieruchomości i placili podatek.

Należy zdać sobie sprawę, że opowieści Mateusza i Łukasza o narodzinach Jezusa mają bardzo niewiele punktów stycznych, a raczej trzeba powiedzieć, że są to dwie odmiennie wersje trudego do pogodzenia. Marii anió ukazal się tylko w relacji Łukasza, jej zwiastował narodzenie się Syna Bożego i następcy na tronie Dawida. Natomiast Mateusz nic o tym nie wie. Według niego anió ukazal się we śnie jedynie tylko Józefowi i uprzedził go, że Maria porodzi syna, który wybawi lud swój z grzechu. Jemu też nakazał, aby z matką i dziecieniem uchodził do Egiptu. Nawiasem mówiąc, uderzająca jest w tym opowiadaniu bierna rola Marii. Nie komunikuje się ona bezpośrednio z aniółem, lecz wykonuje jedynie polecenia małżonka. Odzwierciedla to zapewne upośledzenia socjalne kobiet u Żydów, dla których ta ewangelia była głównie przeznaczona.

Zdawałoby się, że w tak doktrynalnie ważnej sprawie, jak okoliczności narodzin przyszłego Zbawiciela, nie

powinno być żadnych wątpliwości. A jednak obaj ewangelicści, którzy - jak się powiedziało - jedyni o tym pisaży, różnią się w swoich relacjach także, gdy chodzi o wydarzenia następujące po Betlejem. Mateusz każe rodzinie uchodzić do Egiptu, skąd powraca ona do Nazaretu dopiero na wiadomość o śmierci Heroda. Łukasz natomiast opowiada o jej przeniesieniu się z Betlejem do Nazaretu po obrzezaniu ósmiodniowego Jezusa oraz o wyprawie do świątyni jerozolimskiej, gdzie według Prawa Mojżeszowego Jezus, będąc synem pierwotnym, został poświęcony Bogu. Nie ma w tej ewangelii ani słowa o ucieczce do Egiptu. Jeżeli zatem wierzyć obydwom ewangelistom, Jezus wraz z rodzicami był równocześnie w Nazarecie i w odległym o 140 km Egipcie.

Ucieczka do Egiptu jest więc niewątpliwie wyłącznie osobistą kombinacją myślową Mateusza, nie mającą żadnego uzasadnienia w historii. Pomysł zaczerpnął on, jak to u niego zazwyczaj bywa, z proroctw Starego Testamentu, z czym zresztą się nie kryje, gdyż na końcu opowieści pisze: „I pozostał tam aż do śmierci Heroda, aby się spełniło, co powiedziane jest od Pana przez proroka mówiącego: Z Egiptu wzywaleam syna mojego (Oz. 11,1)”. Jeśli uważnie przyjrzyć się tym dwom wersjom, odkryjemy, że mimo ogromnych rozbieżności dążą one do tego samego celu. Ich bowiem intencją jest dowieść, że miejscem urodzenia Jezusa było judzkie miasteczko Betlejem. Szkupulem było jednak to, że rodzina jego mieszkala stale w Nazarecie, trzeba było więc znaleźć jakiś pretekst, by przenieść ją do Betlejem, aby dziecićko się tam urodziło. Tyle tylko, że obaj ewangelicści posłużyli się odmiennymi pretekstami dla uzasadnienia tych przerosin. Był to zabieg apologetyczny. Nie udało się bowiem z proroctwami Starego Testamentu pogodzić, że Jezus urodził się w Nazarecie i wobec tego był Galilejczykiem. Potomek Dawida, przyszedł król izraelski, musiał być pochodzenia judzkiego i urodzić się w mieście rodzinnym swego przodka. Tak bowiem między innymi zwiastował prorok Micheasz w następujących słowach: „A ty, Betlejem Efrata! malutkiś jest między tysiącami judzkimi. Z ciebie wyznidzie ten, który będzie panującym w Izraelu...” (Mich. 5,2).

Trzeba wiedzieć, co to znaczyło w oczach Żydów judzkich być Galilejczykiem. Przede wszystkim podkreślić należy, że Galilea, szczególnie na północy, nie była czysto żydowska, lecz mocno przemieszana ludami pogańskimi, szczególnie pochodzenia greckiego. Język grecki sżyłało się tam na równi z językiem aramejskim, tak że istnieje możliwość, że Jezus mówił płynnie także po grecku, oczywiście w odmiennie ludowej, zwanej „koine”. Toteż Żydzi galilejscy, dzięki wpływowi helleniskim, skłonni byli do liberalizmu w sprawach religijnych. Różnili się oni bardzo od swych pobratymców w Judei, mieli swoje własne obyczaje i praktyki religijne, ba, nawet dialekt aramejski, którym mówili, był dla Judejczyków niełatwy do zrozumienia. Był to lud dumny, niezależny i buntowniczy. Pozostawał on w ustawicznej opozycji nie tylko do okupantów rzymskich, ale także do ortodoksyjnie nastrojonych kapłanów jerozolimskich. Antagonizm, jaki z tego powodu panował między tymi dwoma odłamami narodu żydowskiego, często przybierał charakter nienawiści i pogardy.

Józef Filip spałkował Natanaela i rzekł: „Znaleźliśmy tego, o którym pisał Mojżesz w Zakonie i prorocy, Jezusa, syna Józefa z Nazaretu”, Natanael odparł: „Czy może być co dobrego z Nazaretu?” (J. 1,45-46). A w dramatycznej scenie zaparcia się Piotra jedna z niewiast zagadnęła go: „I tyś był z Jezusem Galilejskim?”. Gdy zaś przerażony Piotr zaprzeczył, obecni tam Żydzi zawołali: „Prawdziwie i tyś z nich jest, bo i mowa twoja cię zdradza” (Mt. 26,69 i 73). Żydzi do tego stopnia byli uprzedzeni do Jezusa, że w pewnej chwili nazwali go Samarytaninem, który ma czarta w sobie (J. 7,48). W ich pojęciu nie mogło być gorszej oceny, gdyż Samarytanie, bliysie sąsiedzi Galilejczyków, uchodzili za schizmatyków i herezyków, bo oderwali się od Jerozolimy i mieli swoją własną świątynię, a nawet ich Pismo Święte różniło się wydźwięm od tego, jak ukazano oficjalnie w Judei.

Dla teologów, usiłujących identyfikować Jezusa z żydowskim Mesjaszem, kłopotliwe było to, że zawsze uchodził za Galilejczyka i Nazarejczyka. Z takimi przydomkami spotykamy się prawie zawsze w ewangelicach i w Dziejach Apostolskich. Nawet wyznawców Jezusa, już po jego śmierci, nazywano nazarejczykami, nie betlejemczykami. W Ewangelii według Jana Żydzi tak oto replikują Nikodemowi, który wystąpił w obronie Jezusa: „Czys i ty Galilejczykiem? Badaj pisma, a zobaczysz, że prorok nie powstanie w Galilei” (7,52). W innym znów miejscu teje same ewangelii (7,41-42) czytamy: „Ci z rzeszy, którzy słyszeli te słowa, mówili: »Ten jest na pewno oczekiwany prorokiem«. Inni zaś mówili: »To jest Mesjaz. A jeszcze inni zaprzeczali: »Czyż Mesjaz może przyjść z Galilei? Czyż nie mówi Pismo: Mesjaz przyjdzie z rodu Dawidowego i z Betlejem, osady, skąd pochodził Dawid? «. (Iłm. z greckiego ks. prof. Seweryn Kowalski). Przytoczone wypowiedzi Żydów niewątpliwie implikują, że u autora ewangelii, jak też w środowisku chrześcijańskim, gdzie działał, istniało głębokie przekonanie, że Jezus był Galilejczykiem, urodzonym w Nazarecie. Nikomu bowiem z biorących udział w tej rozmowie z Jezusem, ani

samemu autorowi ewangelii, nie przyszło nawet do głowy zadawać kłam argumentacji Żydów, tak jakby galilejski rodowód Jezusa postawiał poza wszelką dyskusję. Toteż słuszna jest konkluzja niemieckiego biblisty i autora słynnej monografii o Jezusie, Dawida F. Straussa, gdy pisze: „Jeżeli Mateusz i Łukasz utrzymują, że Jezus jedynie tylko wychował się w Nazarecie, ale urodził się w Betlejem, to kierują się tu raczej wymaganiami dogmatyki, a nie historią”. Kościół związał się doktrynalnie z legendami opowiedzianymi przez Mateusza i Łukasza. Uznał, że Jezus urodził się przynajmniej w 5 r. p.n.e. za panowania Heroda, który umarł na wiosnę 4 r. p.n.e. Jak wobec tego stało się, że Jezus urodził się około 4 lat przed swoimi oficjalnymi urodzinami, od których liczymy naszą, chrześcijańską erę? Zawdzięczamy to, taka bywa nieraz ironia historii, najzwyczajszej pomyłce.

W 525 r. papież Jan I zwrócił się do mnicha scytyjskiego nazwiskiem Dionizy Exiguus z poleceniem ustalenia dokładnego roku narodzin Jezusa, gdyż postanowił, by od tej daty poczęto liczyć nową, chrześcijańską erę. Mních jako punkt odniesienia przyjął oczywiście kalendarz rzymski, zaczynający się od założenia Rzymu („ab urbe condita”), to jest od 1 stycznia 753 r. p.n.e. W swojej rachubie doszedł do konkluzji, że Jezus urodził się w 754 r. według kalendarza rzymskiego, czyli w pierwszym roku naszej ery. Wiemy jednak z relacji Józefa Flawiusza, że Herod zmarł w Jerycho według tego samego kalendarza w 750 r. Zrezygnoby to, że Jezus urodził się cztery lata po jego śmierci, a nie za jego panowania, jak to utrzymują Mateusz i Łukasz. Korektura, gdy sprostrozono pomyłkę (trezba by kalendarz cofnąć co najmniej o cztery lata) była już nie do pomyślenia, wywołałoby to zbyt wielkie zamieszanie na świecie.

25 GRUDNIA ORAZ INNE NARODZINOWE LEGENDY

Wobec tej mieszaniny pomyłek i sprzeczności musimy zaprzyc się ze zdziwieniem, jak w takim razie doszło do tego, że świat chrześcijański uroczystie święci narodzin Jezusa w dniu 25 grudnia. Na jakiej podstawie ustalono tak precyzyjnie datę? I tutaj, gdy prześledzimy tajniki historycznego źródła tego zagadnienia, znajdziemy się naraz w obliczu zjawiska niezmiernie charakterystycznego dla wczesnego Kościoła. Badaże najdziwniejszą rzeczą jest to, że do połowy III wieku chrześcijaństwo w ogóle nie interesowało się urodzinami Jezusa. Toteż nie znaleziono w napisach, zreszbać i freskach z pierwszych trzech stuleci żadnych śladów odnoszących się do narodzin Jezusa. Natomiast w IV wieku został on przedstawiony w katakumbach św. Sebastiana jako niemowlę zawinięte w pieluski na modłę egipską, w aureoli wokół głowy, z Józefem i Marią, włosem i osłem u boku. Była to kompozycja najwyraźniej inspirowana zarówno przez kult Izdydy, jak też przez apokryfy Nowego Testamentu.

Dopiero biskup rzymski Hipolit wyznaczył dzień 25 stycznia jako dzień Bożego Narodzenia. Później jeszcze proponowano inne daty, jak 25 lub 28 marca, 18 lub 19 kwietnia i 20 maja. Na Bliskim Wschodzie i w Egipcie długi czas obchodzono rocznicę urodzin w dniu 6 stycznia. W Jerozolimie trzymano się tej ostatniej daty aż do 549 r., natomiast u armeńskich i ormiańskich chrześcijan obowiązują one i do dzisiejszego.

Z dokumentów wynika, że dopiero w pierwszej połowie IV wieku Kościół łaciński zaczął obchodzić oficjalnie urodzin Jezusa w dniu 25 grudnia. Czym kierował się wybierając właśnie ten, a nie inny dzień? Jest to moment zimowego przesilenia, kiedy jasność dnia zaczyna się wydłużać i wzrasta siła słońca. Rzymianie obchodzili wtedy narodzin niezwykłego słońca „Dies natalis Solis Invicti”. Obchodzili je szaleństwem naturalizm, na zabawkach, libacjach i wymianie podarunków, szczególnie lalek dla dzieci. Ustawało wtedy wszelkie życie normalne, urzędy nie pracowały, szkoły były zamknięte, zawieszano wykonywanie kar, nawet niewolnikom pozwalało swobodnie szaleć.

W III wieku kult słońca, wprowadzony do Rzymu przez cesarza Hellogabala, który był równocześnie syryjskim kapłanem słońca, zaczęto utożsamiać z mitraizmem, jedną z najbardziej rozpowszechnionych religii ówczesnych czasów. Wspaniałe obrzędy związane z narodzinami boga słońca Mitry 25 grudnia, podobieństwa koncepcji teologicznych oraz stare tradycje przyzwyczajania sprawity, że mitraizm stał się najniebezpieczniejszym rywalem chrystianizmu. Zmarły w 220 r. pisarz kościelny Tertulian zawołał zgorszony: „To diabeł podmawia herezyków do naśladowania naszych świętych obrzędów podczas czci oddawanej jich fałszywym bogom. On to każe im zazwyczaj krzyżem czola żołnierzy Mitry”.

Jeden z anonimowych pisarzy religijnych Syrii uzdiała nam wyraźną, szczerą odpowiedź, dlaczego Kościół łaciński wybrał ostatecznie dzień 25 grudnia. Pisse on jak następuje: „Obyczajem bogów było obchodzić w dniu 25 grudnia narodzin słońca, podczas których to obchodów zapalali światła. W tych uroczystościach i świętach brali udział także chrześcijanie. Toteż gdy doktorowie Kościoła zauważyli, że chrześcijanie zdradzają przychylność dla tych uroczystości, postanowili, że w tym dniu nalezy obchodzić Boże Narodzenie...”.

Fakt podczyta się pod święto pogańskie przez Kościół nie do razu i nie w wszystkich znalazł aprobatę. Syryjczycy i Armeńczy oskarżali Latyńczyków, że uprawiają kult pogański, chociaż ich samych można było również o to powinąć, jako że obchodzili Boże Narodzenie 6 stycznia, w dniu przesłania według kalendarza julińskiego, w którym to dniu świętowanym w Aleksandrii urodziny Ozyrysa, uosamianego ze słońcem. Św. Augustyn (przełom IV i V wieku) wzywa swoich braci chrześcijańskich, aby obchodzili święto 25 grudnia nie na cześć słońca, lecz na cześć tego, który to słońce stworzył. Jeszcze w V wieku papież Leon Wielki (440 - 461) wydał list pasterski, w którym między innymi pisze: „Są wśród nas tacy, którzy uważają, że uroczystości należy obchodzić nie tyle z powodu narodzin Chrystusa, co z powodu wschodu nowego słońca”. W innym miejscu tegoż listu spotykamy się z takim oto rewelacyjnym zarzutem: „Gdyż znamy oni wstępują do bazyliki świętego apostoła Piotra, stoją na schodach, odwracając się i schylają pokornie głowę w kierunku słonecznego dysku”.

Wypada tu zaznaczyć ponownie, że Kościół nie walczył o zniesienie święta, lecz o nadanie mu nowego, chrześcijańskiego sensu. Święto 25 grudnia zostało mu niejako narzucone przez wiernych, gdyż zrodziło się ze starodawnych zwyczajów ludowych, z reakcji ludu na pory roku, z chęci zrozumienia tajemnicy przemian w przyrodzie. Były to odwieczne zwyczaje, głęboko zapisane w tradycji pokoleń. Nie przeto dziwne, że chrześcijaństwo, które przeważnie prosi, nie bóg i nie chcieli z nimi się rozstać. Pozostali bowiem dziećmi natury, mimo przyjęcia nowej religii. Kościół natomiast, bezsilny wobec ich żywotności, był na tyle mądry, że je zaadaptował nadając im swój własny sens. W ten sposób chrześcijaństwo przywłaszczyło sobie z mitraizmu kilka innych świąt: święto św. Jerzego w kwietniu zastąpiło pogańskie święto Parilli, Jana Chrzciciela-pogańskie święto wody, Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w sierpniu - święto Diany, a święto Wszystkich Świętych jest kontynuacją pogańskiego święta umarłych.

Stare nawyki i wspomnienia pogańskie były do tego stopnia żywotne w środowiskach chrześcijańskich, że niektórzy biskupi szukali jakiegoś kompromisowego wyjścia z trudnej sytuacji. Biskup Turynu tak rozpoczął swoje kazanie w wigilię Bożego Narodzenia: „Jest rzeczą dobrą, że lud nazywa dzień urodzin Pana naszego dniem »Sol novus« . Nie usiłujmy bynajmniej tego zmienić, gdyż wraz z narodzinami Zbawiciela następuje odnowa zjawienia dla całego rodzaju ludzkiego, ale również jasności słońca. Jezeli podczas meczeństwa Chrystusa słońce się zaciemiło, musi ono z konieczności zaświecić jaśniej w dniu jego narodzin”.

Zgodnie z tymi kompromisowymi próbami chrześcijaństwo pierwszych wieków nazywało Chrystusa „Słońcem sprawiedliwości”, a nawet do dnia dzisiejszego w liturgii rzymskiej mówi się o nowym słońcu, które powstało w Chrystusie. Ze słońcem identyfikuje się go również w antyfonach oraz w modlitwie, która odmawia się w święto Bożego Narodzenia o północy.

Święto Bożego Narodzenia nieodłącznie zrosło się w naszych wspomnieniach z dyliczną sceną, w której głównymi aktorami są wół, osioł, grot i trzej królowie. Jest to radosny, świetlisty, rozziewający obraz. Chwytający za serce nawet ludzi niesklonnych do łatwych wzruszeń i sentymentów, ponieważ przepełniło nasze dzieciństwo niezapomnianymi urokami baśni.

Przekazanie ludzkie są przekonani, że cała ta scenaria jasełkowa wywodzi się z ewangelii. Tych jednak, którzy zechcą przyrzeć się tej sprawie bliżej, spotka nie lada niespodzianka. Bo oto w ewangelii Marka i Jana nie znajduj ani jednego słowa o narodzinach Jezusa, natomiast u Mateusza i Łukasza, w jedynych kanonicznych źródłach opowieści o narodzeniu Jezusa, nie ma ani wola, ani groty. W Ewangelii Łukasza Jezus rodzi się w stajence, a co się tyczy trzech królów, to u Mateusza, który - o dzieło - jedynie o nich mówi, nie są oni wcale królami, lecz mędrcami-magami, którzy przybyli ze Wschodu.

Jezeli więc staniemy na stanowisku tej ostatnio wymienionej ewangelii kanonicznej, musimy niestety powiedzieć, że na świętych obrazach, jak też w jasełkach ludowych ci magowie noszą wspaniałe królewskie korony całkiem bezprawnie, a nawet wątpliwy jest ich tytuł do szacownych imion Kacerp, Melchior i Baltazar. Imion tych nie ma wcale w ewangeliiach, magowie bowiem występują tam anonimowo.

Skąd więc wzięły się te wszystkie szczegóły, nie bilej jak przecież, skoro bez nich niepodobna wyobrazić obie całej sztuki kościelnej i folkloru, owych szopek i kołęd, które setki lat nastrojały wzniośle wszystkich ludzi? Po odpowiedzi musimy sięgnąć daleko w przeszłość, w pierwsze wieki chrześcijaństwa.

Badania ujawniły, że wszystkie opowieści o dzieciństwie Jezusa pochodzą z apokryficznych zbioru podań, które powstały przed V wiekiem, a który zawierał między innymi buddyjskie i perskie legendy.

Z zapożyczeń z owego zbioru powstały dwa apokryfy: Armeńska księga dzieciństwa oraz Arabska księga dzieciństwa. Otóż właśnie z wersji armeńskiej dowiadujemy się, że magowie byli królami perskimi i poznajemy ich imiona. „I wnet Anioł Pański podążył do kraju Persów, aby polecić królom-mędrcom, iż mają ruszyć w drogę i cześć złożyć nowo narodzonemu Dzieciątku. A wiodła ich gwiazda przez dziewięć miesięcy i przybyli, kiedy Dziewica stała się matką. Naówczas bowiem królestwo Persów przez potęgę swoją i zwycięstwa górowało nad wszystkimi królami panującymi w krajach Wschodu. Mędrcami zaś byli trzej bracia: pierwszy Melkon rządził Persami, drugi Baltazar rządził Indiami, trzeci zaś Kacerp panował nad Arabami”. Dodajmy dla informacji, że z Melkona tradycja europejska zrobiła Melchiora.

Autor apokryfu armeńskiego, awansując magów na królów, uczynił to niewątpliwie pod wpływem pism Starego Testamentu, szczególnie Psalmu 71. Ten przepiękny hymn religijny, podobno pióra samego króla Dawida, ma za temat dobrodziejstwa, jakie wyświadczył narodowi jego przysły syn, którym w przekonaniu chrześcijan jest Jezus Chrystus.

„Będzie sądzić ubogie z ludu, i wybawi syny ubogich, a uziwi potwarcę.
I będzie trwał z słońcem, i przed księżycem, na pokolenie i pokolenie.
Znidzie jako deszcz na runo: a jako krople na ziemię kapiące.
Wnidzie za dni jego sprawiedliwości, i obfitość pokoju, aż zgynie mięsąc.
I będzie panował od morza aż do morza: i od rzeki aż do krajów okręgu ziemi.
Przed nim będą padać murzynowie: a nieprzyjaciele jego ziemię lizać będą.
Królowie Tarsys i wyspy przyniosą dary: królowie arabscy i Saby przywiozą upominki.
I będą mu się kłaniać wszyscy królowie ziemscy, wszyscy narოდowie będą mu służyć.
Albowiem wybawi ubogiego: tak możnego i nędznego, który nie miał pomocnika.
Przepuści ubogiemu i niedostatecznemu: a dusze ubogich zbawi.
Z lichwy i nieprawości wykupi dusze ich: a imię ich uwciwie przed nim.
A będzie żył, i dadzą mu z złota arabskiego, i będą zawsze kłaniać mu: cały dzień będą go błogosławić”
A w Proocetwie Iżazasa czytamy: „Tedy oglądać i ophywać będziesz: zadziwi się i rozszerzy serce twoje, gdy się obróci ku tobie zgraja morska, moc poganów przyjdzie do ciebie.
Obfitość wielbłdów odkryje cie, wielbładowie prędcy Madyan i Epha: wszyscy z Saby przyjdą, złoto i kadzidło przynosząc, a chwałę Panu opowiadając” (60.5-6).

Zdaje się, że rodowód wersji o królach i darach, jakie złożyli dzieciątku Jezus, nie może ulegać wątpliwości. Rodowód, z którym spotykaliśmy się już i nadal będziemy spotykali się dość często.

O nabożnych pielgrzymkach królewskich ze Wschodu można by napisać osobną rozprawę pod tytułem: „Przeziwne losy Trzech Królów”. Tradycja ludowa snuła o nich różne historie pełne nadzwyczajnej fantastyki. Pod tym względem na uwagę zasługują szczególnie Arabska ewangelia w wersji syryjskiej. A więc raz pewnego w Persji pojawił się Anioł w postaci gwiazdy, która swoją jasnością zalała cały kraj. Ludzie stawali u progu swoich domów, by podziwiać niebiańskie zjawisko. Czcieliście ognia i gwiazd, królowie, wodzowie i kapłani, ubrani w najwspanialsze szaty, zgromadzili się, by odbyć naradę. Kapłani, zapytani o znaczenie tego wydarzenia, odpowiedzieli: „Król królów narodził się, bóg bogów, światłość światłości”. W drogę wyprawiono trzech synów królewskich, aby złożyli dar boskiemu dzieciątku.

Dalsza narracja trzyma się wiernie ewangelii kanonicznych, z wyjątkiem jednego szczegółu. Oto Maria darowuje im pieluszkę nowo narodzonego dzieciątku. Gdy królewczycy wrócili do domu, wrzucili pieluszkę do rozpalonego ogniska, aby udowodnić, że jest to święta relikwia. I rzeczywiście, płomienie nie miały się pieluszki i ku radości całego narodu wyjęto ją z popiołów w stanie nienaruszonym.

Niejednego z nas zaskoczyło mało na ogół znany fakt, że liczba magów czy królów w tej legendzie przez długi czas ulegała wahaniom. W rzymskich katakumbach widzimy na malowidłach ściennych grupy złożone z dwóch, czterech i sześciu magów, a u Syryjczyków i Ormian jest ich nawet dwunastu. Dopiero z biegiem czasu ustaliła się na dobre liczba trzech, prawdopodobnie w nawiązaniu do trzech synów Naoego: do Sema, praojca Semitów, do Chama, praojca ludów kolorowych (dlatego jeden z trzech królów jest Murzynem) oraz do Jafeta, praojca Europejczyków. Mniej więcej w VIII wieku magowie awansują na królów i stają się znani pod imionami Kacerp, Melchior i Baltazar. Dodajmy jeszcze, iż rzekome szczątki tych królów spoczywają w katedrze kolonńskiej. Relikwie przywieziono podobno w IV wieku u Persji do Konstantynopola, następnie do Mediolanu, aż wreszcie w 1161 r. złożone zostały ostatecznie w Kolonii za sprawą cesarza Fryderyka Barbarossa.

Należy teraz zapytać, jakim sposobem ta uroczą legenda, zawiązująca przecięt swoje powstanie Staremu Testamentowi, została powiązana narracyjnie z Persją. Problem jest oczywiście zbyt złożony, aby można było przedstawić go tu nawet w najwięskim skrócie. Musimy więc ograniczyć się do wskazania na niektóre tylko aspekty tego zagadnienia.

A więc przede wszystkim wypada pamiętać, że Cyrus zwoinił Żydów z niewoli babilońskiej i nawet dopomógł im walnie do odbudowy świątyni jerozolimskiej. Z tego powodu niektórzy Żydzi

głosili, że władca perski jest zapowiedzianym przez Pismo Święte mesjaszem. Wazniejsze jest jednak to, że religia perska wywarła głęboki wpływ na judaizm. Wymieniu tu wywodzącą się z tej religii dualistyczną koncepcję świata oraz wynikającą z niej wiarę, że świat składa się z aniołów i diabłów, z nieba i piekła, z walczących ze sobą żywiołów dobra i zła, uosobionych u Persów w postaciach Ormuzda i Arymana.

Zaratustra, reformator religii irańskiej, zapowiedział przycięcie poprzeczonego przez dwóch mniejszego znaczenia zbawicieli (podobnie jak Jan Chrzciciel poprzedza Jezusa) wielkiego zbawiciela ludzkości z przemocy zła - Suasjanta. Ową dziedziczną sympatię Żydów do Persów siłą rzeczy przejęli judeochrześcijaństwo, czemu dał wyraz Mateusz wyrażając siebie, że w hołdzie złożonym boskiemu dzieciątku nie mogło zabraknąć przyjacielskiej Persji. Był to jednak chyba jego osobisty pomysł, bo Łukasz, drugi piewca dzieiństwa Jezusa, nie o tym nie wie, nie mówiw już o Marku i Janie, przemilczających w ogóle to dzieiństwo.

Należy pamiętać jeszcze o innym, ważniejszym nawet podłożu legendy o trzech królach. W I i II wieku, w okresie rozkwitu literatury chrześcijańskiej, ogromnie rosną w imperium rzymskim wpływy religii Wschodu i Egiptu, szczególnie kultu perskiego boga słońca Mityry, który zyskiwał masowo wyznawców w wojsku i wśród arystokracji, ba, zdobywał nawet popleczników wśród cesarzy. Już za Pompejusza w 67 r. p.n.e. istniały w Rzymie gminy czcicieli Mityry, a na wielką skalę rozpowszechniał się ten kult za panowania Antoniuszów i Sewerów, aż wreszcie pod koniec IV wieku stał się najważniejszą religią świata pogańskiego. Diokleccjan oficjalnie mianował Mitrę patronem odnowionego imperium rzymskiego.

Mitra - jak się już powiedziało - to bóg perskiego reformatora religijnego Zaratustry, a magowie byli kapłanami tego kultu. W pomysle Mateusza zaznacza się wyraźnie tendencja apologetyczna, wynikająca z potrzeby bronięcia chrześcijaństwa przed wrogami i szycercami, oraz z pragnienia wykazania, że Jezusa uznali jako Zbawiciela nawet przedstawiciele tak wszechpotężnego kultu, jakim był w owych czasach mitraizm.

Niektórzy badacze zwracając uwagę na pewne wydarzenia polityczne, które swego czasu odbiło się wielkim rozgosem w imperium rzymskim, a które przypuszczalnie stało się dodatkowym, bezpośrednim bodźcem napprowadzającym Mateusza na ideę o trzech królach. Opisują ten epizod dziejopisarze rzymscy Pliniusz Starszy, Tacyt, Swetoniusz i Dios Kasjusz. Otóż w 66 r. przybył do Rzymu Tryrates, król Armenii, aby złożyć hold Neronowi. Kapiące od złota stroje orszaku królewskiego oraz hojne dary, jakie ofiarował egzytoczyni władca Neronowi, wryły się w sposób niezatarty w pamięć ludu. Wprawdzie bibliści katolicycy zaprzeczają, aby opisywane wydarzenia mogło wpłynąć na Mateusza, ponieważ według nich ewangelia jego została napisana parę lat przed 66 r., to jest w latach 51-60. Jednakże ostatnie badania naukowe ustalily, że powstała ona dopiero około 80 r., a więc paręnaście lat po przyjeździe Tryratesa.

Powróćmy jednak jeszcze raz do naszych miłych zwierząt: wola i osioł. W ewangelii apokryficznej zwanej Pseudo-Mateuszem czytamy, że złożyły one hołd Dzieciątku Jezus, żeby się spełniło proocetwo Iżazasa: „Poznał wół swego pana i osioł złość pana swego...” (2,3), a także proocetwo Habakuka: „Wspśród dwóch zwierząt objawis się...” (3,2). Gdy jednak otworzymy Wulgatę, czyli łaciński przekład Biblii, to zauważymy, że odnośny werwet u Habakuka brzmi inaczej, a mianowicie: „W pośrodku lat oznajmisz...” Wobec tego zaglądamy do Septuaginty, czyli przekładu greckiego, i oto okazuje się, że autor apokryfu z tego właśnie przekładu cytuje proocetwo. Wiadomo jednak, że jest to przekład błędny. Stajemy wobec tego w obliczu bardzo zabawnej rewelacji, że dwa te miłe zwierzęta, które przez wieki tyle uciechy sprawiały dzieciom i dorosłym, zawiądują swoje istnienie, jak zauważa Daniel Rops, nieporozumieniu.

Skoro obracamy się w krainie baśni, fantazji i pomylek, warto skorzystać z tej okazji, by wstąpić do jednej z najstarszych bazylik rzymskich Santa Maria Maggiore, będącej od niepamiętnych czasów celem pielgrzymów z całego świata chrześcijańskiego. W głównym oltarzu przechowywany jest żłobek betlejemski, w którym spoczywało Dzieciątko Jezus. W dniu 25 każdego miesiąca relikwie wystawia się na widok publiczny, a w wigilię Bożego Narodzenia obnosi się ją w uroczystej procesji naokoło kościoła. Stwierdzono, że przedmiot adoracji składa się z pięciu fragmentów drzewa oliwnego, połączonych metalowymi taśmami, przy czym na jednej z taśm odkryto zamazany napis w języku greckim z okresu od VII do IX wieku, zawierający jakiś spis świętych Kościoła. Pochodzenia relikwii nie udało się zweryfikować, fragmentów drzewa nie poddano badaniom metodą C14. Wiadomo tylko, że po raz pierwszy pojawia się ona w spisie inwentarza pochodzący z XI wieku, a więc z epoki masowego fabrykowania relikwii. W tym samym spisie figuruje także inna relikwia, mianowicie „Arka Przymierza”, co daje nam dużo do myślenia na temat autentyczności również Jezusowego żłobka. Skoro jest tu mowa o świętym Bożego Narodzenia, nie uchodzi, abyśmy pominieli miłezniem naszego popularnego św. Mikołaja. Po śmierci doznawał on dość zmiannych i burzliwych kolei losu, ostatnio zaś

zupelnie nie dopisało mu szczęście. Ma to związek z dekretem papieża Pawła VI, który skreślił z rejestru świętych bez mała 200 osobistości, ponieważ okazało się, że są one bądź tworem fantazji, bądź też z tych czy owych względów nie zaslugowały na ten zaszczyt. Nawiasem mówiąc, przy tej sposobności wyszła na jaw niezmiernie przykra sprawa. Wloszech cieszyła się żarliwą czcią św. Filomena. W paru kościołach przechowywano jej relikwie, zaś geograficzne opisy jej pobożnego żywota ukazywały się w wydaniu książkowym w różnych językach. Gdy z polecenia papieża przebadano jej historię w dokumentach watykańskich, okazało się, że Filomena nigdy nie istniała. Wymyślił ją sobie przeor pewnego klasztoru, zbudował oltarz przeznaczony specjalnie na przechowywanie jej relikwii i lansował wśród wiernych wieści o cudownych wyleczeniach, jakie chorzy i ulomni jej zawdzięczali. Oczywiście napływ pofeozymów stał się tak tłumny, że sparty przeor osiągnął swój cel: pusta dotychczas skarbiona klasztorna co dzień napelniała się po brzegi. Na szczęście nie jest tak źle ze św. Mikołajem, ponieważ istniał naprawdę. Tyle tylko, że chyba nie zaslugował na miano świętego, skoro papież tego tytułu go pozbawił. Mikołaj był w rzeczywistości skromnym biskupem licyjskiego miasta portowego Mira (albo Istar), skąd Paweł - jak wiemy - wyruszył w podróż morską do Rzymu jako więzien (Dz. Ap. 27.5). Mikołaj umarł w IV wieku, by rozpocząć tym razem nowo, choć późniertnie życie. Z polecątką stał się opiekunem licyjskich rybaków, ale później awansował na patrona Grecji i Rosji carskiej. Gdy rozeszła się wieść, że jego prochy mają moc leczniczą, zyskał sobie sławę również w Italii. Latyńczycy lasi na wszelkiego rodzaju relikwie, postanęli posiadać je za wszelką cenę. W 1087 r. biskup Bari przy pomocy czterdziestu parafian go prostu postępnie je wywoził i złożył w jednym z kościołów w Bari, gdzie dotąd się znajdują. Miał przy tym nie lada szczęście, bo weneńskie postanowili to samo zrobić, jednakże spóźnili się i na otarcie źle musieli zadowolnić się prochami wuja św. Mikołaja. Nie koniec na tym, nasz święty dopiero w Europie doczekał się prawdziwie błyskotliwej kariery. Objął bowiem funkcję, o której za życia nawet mu się nie śniło, funkcję radownia dzieci europejskich rozdawnictwem prezentów. I zdawałoby się, że wszystko po wsze czasy ustaliło się w jego burzliwym życiu, a tu naraz ów niespodziewany despekt: wypadnicie z rejestru świętych Kościoła.

JEZUS I JEJEGO RODZINA

Trzydzieści lat życia, jakie upłynęło Jezusowi, zanim wystąpił publicznie ze swoją nauką, to okres, który chyba już na zawsze pozostanie tajemnicą. Bo przecież nie można traktować serio opowieści Mateusza i Łukasza o cudownych narodzinach i o dwunastoletnim Jezusie, skoro większość egegetów biblijnych rozpoznała je jako co prawda ujmujące, niemniej żółką niehistoryczne legendy.

O te dotkliwą lukę w naszej wiedzy o życiu Jezusa nie sposób nawet winić ewangelistów. Byli oni niczym więcej, jak tylko rezonatorami i kronikarzami swoich czasów, notując to, co widzieli w świecie helłeńskiego chrześcijaństwa o Jezusie. Niestety, wiedzieli tylko co nic, jako że Palestyna, kraj daleki i egzotyczny, była im całkowicie obca, a wszelka łączność z sekcjarkami judeochrześcijańcami Jerozolimy od czasu buntu Szeczepana, działalności reformatorskiej Pawła i zbурzenia Jerozolimy stopniowo się rozluźniała. Cóż bowiem mógł mieć wspólnego chrześcijańcin Efezu czy Koryntu z nazarejczykami, trzymającymi się wiernie judaizmu i świątyni. Jednakże właśnie u nazarejczyków musiała być żywa i autentyczna tradycja o Jezusie, im przecież przewodził przez osiemnaście lat „brat Pański” Jakub, który o nim wiedział chyba więcej, niż nawet sami apostołowie, ponieważ wychowywał się z nim razem w jednym domu rodzinnym. Owe informacje na temat tego, jaki był Jezus w życiu codziennym, w pracy i we współżyciu z otoczeniem, ci jego bezpośredni uczniowie, wyznawcy i może wśród nich nawet krewni zabrali ze sobą do grobu. Nie mieli możności przekazać ich współwyznawcom helłeńskim, Pella bowiem, dokąd się schronili, leżała gdzieś na krańcach ówczesnego świata, w Jordani. Należy zresztą wątpić, czy by im na tym zależało, skoro zasklepili się w judaistycznej ortodoksy i odizolowali od tego wszystkiego, co na szerokim świecie działo się nowego w chrystianizmie ogłoszonym przez Pawła.

Wszelako, na przekór tym komplikacjom, pewne szczątkowe wiadomości o prawdziwym Jezusie potrafiły się w nurcie przemiana jakoś ostać i znalazły swoje odbicie w ewangeliiach. Konkretną i niezmiernie ważną informację przynosią nam ewangelie według Marka (6,3) i Mateusza (13, 54-57). Są to przytoczone bardzo lakoniczne, jednak dzięki nim dowiadujemy się, że Jezus trudnił się podobnie jak jego ojciec ciecielstwem, że miał czterech młodszych braci: Jakuba, Józefa, Szymona i Jędę, a także siostry. Liczba mnoga, w jakiej je wymieniono, świadczy, że miał ich co najmniej dwie. Zgodnie ze stosunkiem Żydów do kobiet nie uważano za potrzebne podać ich imion, w rezultacie nie wiemy o nich nic ponadto, że mieszkaly w Nazarecie. Przekaz, według którego Jezus miał młodsze rodzeństwo, dla chrześcijan wierzących w dogmat permanentnego dziewictwa Marii był w najwyższym stopniu niewygodny. Toteż już od najdawniejszych

czasów, z chwilą powstania i narastania kultu maryjnego, szukano z tego dylematu jakiegoś wyjścia.
Najstarsza teoria mająca ocalić dogmat została wyłoniona przez anonimowego autora apokryficznej Protoewangelii Jakuba pochodzącej z II wieku. Według niej Jakub, Józef, Szymon i Juda byli jedynie tylko braćmi przrdoinnymi, gdyż pochodzili z poprzedniego małżeństwa Józefa.
Z tą tezę nietrudno się rozprawić, nie ma bowiem najmniejszego dowodu na jej poparcie. Ewangelie kanoniczne nigdy nie przedstawiają Józefa jako wdowca, co gorza: Protoewangelia Jakuba, skąd ta wersja pochodzi, znana jest ze swojej wręcz nieodpowiedzialnej fantastyki. W najlepszym razie można by o niej powiedzieć, że jest nowelistycznym rojeniem jakiegoś naiwnego hagiografa. W każdym razie nie ma nic wspólnego z historią.
Z lektury opowieści dowiadujemy się po raz pierwszy, że rodzicami Marii byli Joachim i Anna, że urodziła się ona po długiej bezdzietności matki i po zwiasutowaniu aniola o bliskich jej narodzinach. Od trzeciego do dwunastego roku życia Maria - nie wiedzieć z jakiego tytułu - przebywała w świątyni jerozolimskiej, karmiona jak synogarlica przez aniola, a gdy nadszedł czas wydania jej za żąd, kapłani szukali dla niej opiekuna wśród wdowców izraelskich, „iżby nie skalała świątyni Boga”. Wybor padł na Józefa, posuniętego już w latach człowieka. Nieco później nastąpiło „zwiasutowanie”. Gdy ocknęto, że Maria jest brzemienna, postawiono ją wraz z Józefem przed trybunałem arcykapłana i uniewinniono dopiero po przeprowadzeniu jakiejś bliżej nie określonej „próby wody”. Dalszy ciąg tej opowieści dotyczy już wydarzeń związanych z narodzinami Jezusa w Betlejem.
Ważniejsza jest jednak inna teza, gdyż do dnia dzisiejszego broni jej oficjalna egzegeza katolicka. Otóż według tej tezy „bracia Jezusa” byli w rzeczywistości jego kuzynami po dziadzi, czyli braćmi ciocielnymi. Jej inicjatorem był pisarz kościelny Hieronim. W swojej diatribie przeciwko Helwidiuszowi (387) twierdzi on w apologetycznym formozie, że „bracia” nie byli dziećmi Marii ani Józefa z poprzedniego małżeństwa, lecz inni Marii, krewnej matki Jezusa i żony Kleofasa lub Alfausa. Wzmiankę o niej znajdujemy w Ewangeli według Jana: „A pod krzyżem Jezusowym stała matka jego i siostra matki jego Maria Kleofasowa oraz Maria Magdalena” (19,25).
W Nowym Testamencie trzy osoby noszą imię Jakub, a między nimi jeden z dwunastu apostołów – „Jakub, syn Alfausa”, znany również z greckiego imienia Kleofasa. Tego właśnie Jakuba katolicy identyfikują z Jakubem „bratem Pańskim”.
Trzeba tu powiedzieć od razu, że Nowy Testament w żaden sposób nie uprawnia do podobnej identyfikacji. W Dziejach Apostolskich mamy werzet, który jak na dłoni wykazuje, że w owych czasach odróżniano zupełnie wyraźnie jednego Jakuba od drugiego. Oto co czytamy: „A gdy przybyli, poszli do wieczernika, gdzie też pozostali: Piotr i Jan, Jakub i Andrzej, Filip i Tomasz, Bartolimej i Mateusz, Jakub Alfauszowy i Szymon Zelota, i Juda Jakubów. Ci wszyscy trwali jednorodnie na modlitwie wraz z niewiastami, z Marią, Matką Jezusa, i z bracią jego” (1,13-14).
Ale i ewangelisci, nazywając Jakuba, Józefa, Szymona i Judę „braćmi” Jezusa, uważali ich na pewno za braci rodzonych, a nie przyrodnich czy kuzynów. Wymieniają ich bowiem zawsze w towarzystwie Marii, matki Jezusa i Józefa, nigdy w towarzystwie Marii Kleofasowej. Oto niektóre przykłady:
„Czyż nie jest to syn cieśli (Józefa) i czyż matki jego nie zwą Marią, a braci jego Jakubem i Józefem, Szymonem i Judą? A siostry jego, czyż nie wszystkie znajdują się wśród nas?” (Mt. 13,54-56).
„Nie jesteście to rzemieślnik, syn Marii, a brat Jakuba i Józefa i Judy i Szymona? Czyż i siostry jego nie przebywają wśród nas?” (Mk. 6,3).
„I przyszli doń matka i bracia jego, a nie mogli przystąpić z powodu tłumu. I oznajmiono mu: Matka twoja i bracia twoi stoja przed domem, chcąc cię widzieć” (Łk. 8,19-20).
Już w jednym z najstarszych źródeł chrześcijańskich, mianowicie w Liście do Galatów, spotykamy się z takim samym określeniem. Bo oto, co tam czytamy: „Potem, po trzech latach przybyłem do Jerozolimy, aby widzieć Piotra i pozostałem u niego dni piętnaście. A z innych Apostołów żadnego nie widziałem oprócz Jakuba, brata Pańskiego” (1,18-19).
Nazywając Jakuba, przelożonego gminy jerozolimskiej „bratem Pańskim”, Paweł nie mógł mieć na myśli, że jest on bratem przyrodnim bądź też kuzynem. List swój adresował przecież do Galacji, do tamtejszych współwyznawców, którzy z powodu swego oddalenia nie orientowali się w stosunkach personalnych Jerozolimy. Czyżby wobec tego miał ich zapoznawać z tymi stosunkami w tak metny, dwuznaczny sposób, aby - jak wyraził się jeden z biblistów - trudniej było zgadnąć?
Jeżeli napisał w swoim postaniu „brat Pański” i nie więcej, to wedle wszelkiej logiki należał sądzić, iż przedstawiał Jakuba jako rodzonego brata Jezusa. W przeciwnym razie uściśliłby swoją informację dotyczącą stopnia ich pokrewieństwa, wymieniając, dajmy na to, Marię Kleofasową jako matkę Jakuba, czy też podkreślając, że był on synem Józefa z poprzedniego małżeństwa.
U Mateusza jest ponadto werzet, który te całą argumentację właściwie czyni bezprzedmiotową, bo

sam już chyba przesądza sprawę na niekorzyść doktryny o nieprzerwaniu dziewictwa Marii. Czytamy tam: „I nie poznał jej [Józef], aż porodziła syna swego pierworodnego” (1,25). Z tego wersetu wynika ponad wszelką wątpliwość, że ewangelisci uważali, iż niepokalne poczęcie było wydarzeniem jednorazowym, dotyczącym tylko Jezusa, że Józef i Maria podjęli potem normalne życie małżeńskie, wskutek czego Jezus był pierworodnym, a nie jedynym synem.
Powołując się na werseły zawierające opowieść o zwiasutowaniu i niepokalnym poczęciu, katolicy opierają ponadto swoją doktrynę na raczej grząskich założeniach. W autorytatywnych kołach badaczy biblijnych panuje na ogół opinia, że jest to typowa, pozbawiona historyczności legenda. Najlepszym dowodem jest to, że o owym, jakże doniosłym dla doktryny kościelnej, cudownym ewenemencie Marek, Jan i Paweł nie wspominają ani jednym słowem. Co się zaś tyczy Mateusza i Łukasza, to ideę dziewictwa i niepokalnego poczęcia przejęli oni widać ze Starego Testamentu. Mateusz naprowadza nas na właściwe źródło inspiracji, mianowicie na prorocstwo Izajasza: „Oto Panna pocznie i porodzi syna, i nazwą imię jego Emanuel” (7,14). W jego przekłonuaniu cudowne narodziny musiały niechybnie wydarzyć się w życiu Jezusa, aby wypełniło się to „co jest powiedziane od Pana przez Proroka...”.
Okazuje się jednak, że Mateusz padł ofiarą mylnego przekładu z Izajasza. Greckie słowo „parthenos” oznacza wprawdzie „dziewięć”, nie oddaje ono jednak wszystkich znaczeń hebrajskiego odpowiednika „Almah”, które mieści w sobie nie tylko pojęcie „dziewięć”, ale także „młodej niewiasty”. Egzegeci żydowsko stanowczo upierają się przy tym, że Izajasz miał na myśli „młodą niewiastę”, że pojęcie niepokalnego poczęcia jest obce ludom hebrajskim. Natomiast chrześcijaństwo broniąc swojej doktryny, zarzucał Żydom, że fałszują wypowiedź proroka. O rozstrzygnięciu tej kontrowersji oczywiście nie może być mowy.
Nagininie tekstów Nowego Testamentu do apriorystycznie głoszonej doktryny o permanencyjnym dziewictwie Marii ułatwił katolikom ten fakt, że greckie i aramejskie słowa oznaczające „brat” („Adephi” i „Ach”) są wieloznacznymi synonimami. W ich zakres wchodzi nie tylko pojęcie „brata rodzonego”, lecz także „brata przyrodniego”, „kuzyna”, dalszych krewnych, a nawet towarzysza jakiegoś wspólnoty. Istniała tu zatem możliwość nie kontrolowanego interpretowania synonimu „brat” w takim sensie, aby torował on drogę głoszonej przez nich doktrynie. Wszelkie uzupełnienia narracyjne, jak na przykład wersja o Marii Kleofasowej i o poprzednim małżeństwie Józefa, to tylko dowolna spekulacja teologów.
Nie można oprzeć się pokusie, by nie przytoczyć tu zdania wielkiego powieściopisarza katolickiego Francois Mauriaca, który powiedział, że „egzegeza jest nauką najbardziej ze wszystkich nauk opartą na domniemaniach” (Co zostało dane tu na ziemi - „Kierunki” z 22 II 1976).
Uderzającą rzeczą jest to, że Maria tak rzadko występuje w Nowym Testamencie, że właściwie pozostaje na jego marginesie. U Marka, w najstarszej ewangelii, tylko jeden raz jest wymieniona i nawet nie dowiadujemy się, jak było jej na imię; u Mateusza i Łukasza po cztery razy; w Ewangeli Jana trzy razy i znowu bezimiennie; w Dziejach Apostolskich trzy razy. Natomiast Paweł w listach swoich w ogóle jej nie wymienia, tak jakby o niej nie słyszał. Czyżby tak postąpił, gdyby wiedział i wierzył, że była ona wybranką Ducha Świętego i że narodzinom jej syna towarzyszyły takie nadprzyrodzone zjawiska, jak to tym kilkadziesiąt lat później zapewnią nas Mateusz i Łukasz?
Wprawdzie, jak czytamy w Dziejach Apostolskich, Maria w wiecierniku modliła się z apostołami, a Jan, zresztą jedyny wśród ewangelistów, informuje nas, że stała pod krzyżem Jezusa, ale poza tym uderza jej nieobecność w najbardziej dramatycznych i przełomowych wydarzeniach w życiu syna; w scenach Męki Pańskiej, ukrzyżowania, w wersji innych ewangelistów: złożenia do grobu i zmartwychwstania.
Nie ujrzała go też po zmartwychwstaniu, gdy ukazywał się innym ludziom, a nawet nie wzięła udziału w ostatniej triumfalnej scenie wniebowstąpienia, kiedy mogła była pożegnać go po raz ostatni. I słuszenie wypadaloby zapytać gdzie przebywała, gdy to wszystko się działo.
Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że Marię wyobrażano sobie w owych czasach jako skromną kobietę semicką, podporządkowaną mężowi, zajęta bez reszty dziećmi i domem. To co stało się z Jezusem, przerażało jej intelektualne możliwości i na pewno, jak to niebawem zobaczymy, wstrząsnęło wewnętrzną. Trzeba tu przypomnieć, jaka była społeczna pozycja ówczesnych kobiet. Paweł na przykład, wierny tradycji swoich semickich przodków, nauczał, iż kobieta na znak uległości musi wchodzić do domu modłitiwy z głową nakrytą chustą, a w Liście do Tymoteusza czytamy, że obowiązkem kobiety jest milczeć, a nie nauczać. Wprawdzie wiadomo dziś, że list ten nie wyszedł spod ręki Pawła, ale mimo to wyraża on charakterystyczny dla owych czasów stosunek do kobiety.
Jakże tu się dziwić, że ewangelisci, powodowani atawistycznie takim samym uprzedzeniem, nie wyobrażali sobie, aby Maria, będąc kobietą, mogła w dramatycznym życiu Jezusa odegrać jakąś znaczącą

rolę. Widzieli ją realistycznie taką, jakimi w codziennym życiu Galilei były wszystkie inne jej towarzyszyki. Dla Mateusza i Łukasza nie istniał dlatego teologiczny problem dożywotnego dziewictwa Marii, nie przyszło im nawet do głowy, że określenie „brat Pański”, jakim się posługiwali, może być kiedyś interpretowane opacznie, że wobec tego należało je bardziej sprzecywać. Bo przecież narodziny Jezusa poczętego w stanie dziewictwa jego matki podejmowali oni jako wydarzenie jednorazowe, zgodnie z tym, co na swój sposób wyczytali w proroctwo Izajasza. W konsekwencji - jak to już udowodniliśmy za pomocą cytatu - poczytywali oni braci i siostry Jezusa za jego naturalne rodzeństwo.
W tych warunkach staje się zrozumiałe, dlaczego w pierwszych stuleciach chrześcijaństwa nie ma mowy o jakimkolwiek kulcie Marii. Biblista niemiecki Martin Dibelius w słynnej pracy Syn dziewicy i dziecko stajenki (1932) oraz historyk Kościoła Hans von Campenhausen w studium Niepokalane poczęcie w teologii samego Kościoła (1961) udowodnili ponad wszelką wątpliwość, że „niepokalne poczęcie” jest legendą powstałą po śmierci Jezusa. Stwierdził to również po długiuletnich studiach między innymi wybitny specjalista w tej materii Walter Delius, autor głośnej książki Historia gloryfikacji Marii.
Gdy jednak pod wpływem kultu Matki-Bogini, istniejącego od zamierzchłych czasów na Wschodzie, pojawiła się tendencja do apoteozowania Marii, spotkało się to ze sprzeciwem niektórych pisarzy kościelnych. Tertulian stał na stanowisku, że Maria po urodzeniu Jezusa wiodła z Józefem normalne życie małżeńskie. Orygenes polemizując z wyznawcami doketyzmu, wychodził z założenia, że Jezus miał braci rodzonych. Nawet Jan Chryzostom i Augustyn nie byli przekonani o „bezgrzeszności” Marii, to znaczy, nie zaakceptowali doktryny o jej calożywym dziewictwie.
W latach 431 i 449 odbyły się dwa sobory powszechne w Efezie, w starodawnej siedzibie kultu bogini-matki Artemidy. Pod naciskiem potomków jej wyznawców potępiono wówczas naukę patriarchy Nestoriusa, który głosił, że wobec dwójakiej natury Jezusa: ludzkiej i boskiej, Maria nie może być nazwana Matką Boską, bo była tylko ludzką matką ludzkiego Jezusa, i uchwalono, że jest ona „Bożą rodzicielką” (Theotokos). Jednakże okoliczności, w jakich ową apoteozę Marii zdolano przeforsować, były nie tylko burzliwe, ale niekiedy nawet groteskowe. Pisaliśmy już w tej książce o krwawych bojach ulicznych, jakie wybuchaly w Efezie między zwolennkami i przeciwnikami kultu maryjnego. Trudno się jednak dziwić tym gwałtownym ruchom, skoro stronnicy Marii zapewnili sobie zwycięstwo w dość uproszczony sposób: zwyciężajnie postawili przy wejściu do pomieszczenia, gdzie odbywał się sobór, strażę, która nie wpuszczała opozycjonistów do środka.
Biskupi, którzy nie podlegali takiej selekcji, tak się zaperzali w dysputach, że wreszcie obrzucali się kłatwami, a nawet szarpali się za brody. Zachowyali się do naszych czasów stare relacje o tych wydarzeniach. Był ich, kiedy posiedzenia soboru kończyły się ogólną bijatyką między mnichami, księżmi i ludem, podczas gdy biskupi kryli się pod ławkami.
Kult maryjny, po zwycięstwie w Efezie, szybko przerzucił się do Italii. Papież Sykstus III (432-440) wybudował w Rzymie bazylikę Santa Maria Maggiore na miejscu świątyni poświęconej bogini-mate Junonie-Lucynie, do której uczęszczało jeszcze dużo rzemiełnek. Chciał je w ten sposób od kultu pogańskiego odciągnąć i skłonić, aby modliły się do Najświętszej Marii Panny.
Jednakże kontrowersja na temat niepokalnego poczęcia bynajmniej nie umilkła. Gdy w początkach XII wieku w klasztorach Normandii i Bretanii wprowadzono święto Niepokalnego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, wystąpił ze sprzeciwem jeden z najwpływozszych działaczy kościelnych i założyciel wielu klasztorów cysterskich we Francji Bernard z Clairvaux, motywując swoje negatywne stanowisko tym, że święto jest sprzeczne z doktryną św. Augusta i o grzechu pierworodnym.
Spory doktrynalne na temat tego problemu teologicznego toczyły się również między zakonami dominikanów i franciszkanów. Powołany do rozstrzygnięcia tej sprawy sobór w Bazylei ciągnął się przez dwa lata w napiętej atmosferze ostrej wymiany zdań i pretargów. Gdy wreszcie w 1439 r. przeważył pogląd, iż wiara w niepokalne poczęcie jest zgodna z religią katolicką i nabożnym oddaniem chrześcijan, zaprotęstował oficjalnie Uniwersytet Paryski uchodzący w owych czasach za najwpływozniejszy autorytet w teologii katolickiej. Moze dlatego musiało upłynąć jeszcze trzydzięści siedem lat, zanim w 1476 r. papież Sykstus IV zdecydował się zatwierdzić święto oficjalnie. W 1854 r. papież Pius IX osobną bullą (Ineffabilis Deus) proklamował Niepokalne Poczęcie NMP jako obowiązujący artykuł wiary.
W gruncie rzeczy nie można jednak uznać, że był to wyłącznie triumf dostojników kościelnych i teologicznych teoretyków. Byli oni jedynie tylko rezonatorami ogólnych nastrojów wśród wiarynych, wyrazieliłami tego, co proci ludzie od dawien dawna odczuwali w swoim sercu. Po zaniku pogańskiego kultu Bogini-Matki wzmagała się potrzeba jakiejś innej macyznej pośredniczki między nimi a Bogiem, pośredniczki zbliżonej do spraw ludzkich, tkliwej i

wyrozumiałej, u której można było szukać ucieczki i pociechy w chwilach niedoli.
Adoracja Najświętszej Marii Panny wypowiadała się nie tylko w sztuce wysokiego lotu: w malarstwie, rzeźbie, muzyce i poezji, lecz także w formach jak na gust dzisiejszy raczej wątpliwych.
Głęboko ludzki, zaiste wzruszający ślad tej adoracji odkryto w opactwie Ramsey w angielskim hrabstwie Hant. Odkrycia dokonano podczas reatauracji kościoła klasztornego. Za freskami ściennymi nad wejściem do kaplicy Marii Panny kryła się nisza, a w niej symbolizująca Marię róża licząca sobie aż 850 lat. Wprawdzie była już wyschnięta i szara jak popiół, zachowała jednak swój kształt, w którym można było odróżnić poszczególne misterne płatki. Archeolodzy przypuszczają, że podczas wznoszenia kościoła klasztornego jakiś murarz w ten sposób pragnął złożyć cichy hołd uwielbianej Marii. Jest to posłanie z dalekiej przeszłości, bo aż z początków XII wieku, posłanie mówiące nam o tym, jak żywy był kult Marii wśród prostego ludu.
Inny, raczej zabawny wypadek pokazuje nam, do czego jest zdolna nabożna egzegeza. Ofiarą jej padł nie kto inny, jak sam Owidiusz, poeta rzymski i autor zbioru erotycznych poezji Szuka kochania (Ars amandi). Zbiorek wywołał sensację i zgorszenie w Rzymie i niektórzy historycy przypuszczają, że po jego przeczytaniu cesarz August wysłał poetę na dożywotnie wygnanie w dalekie okolice Morza Czarnego. Otóż w 1497 r. pewien młody paryski wydał Szukę kochania, dedykując książeczkę Najświętszej Marii Pannie, w głębokim przekonaniu, że Owidiusz gorące strofy milosne do niej skierował. Przywoździ to na pamięć analogię ze starotestamentową Piesnią nad pieśniami, rzekomo napisaną przez króla Salomona. To arcydzieło starotytniej liryki miłosnejowego czasu zaanektowali na swój użytek niektórzy egzegeci kościelni, twierdząc, że oblubieniec poematu to postać alegoryczna, w której kryje się sam Jezus Chrystus, że oblubienica symbolizuje Kościół katolicki lub duszę chrześcijańską i że pod postacią przyjaciół oblubieńców występują anioły, prorocy i patriarchowie.
Dla uzupełnienia tego obrazu warto tu jeszcze wspomnieć, że w ośrodku kultu Marii w Europie, mianowicie w Loretto wierni otaczają wciąż mały, prymitywnie zbudowany domek, ongiś podobno zamieszkały przez matkę Jezusa, który jakoby w 1295 r. samemu przeniesiony został z Nazaretu przez anioły. Wreszcie, aby pokazać, na jakie manowce potrafił kult maryjny sprowadzić ludzi dobrej woli, ale nad wszelkie pojęcie naiwnych i łatwowiernych, warto tu wskazać na listę relikwii ofiarowanych przez Bolesława Krzywoustego i jego żonę Salomeę klasztorowi w Zwiefalten nad Dunajem. W tym nader fascynującym spisie znajdujemy wśród innych pozycji także „mleko Panny Marii”.
Przekonałmy się, jak mało wiemy o doczesnym życiu Marii. Ewangelisci wspominają ją tylko mimochodem w migawkowych epizodach, widoczną jakby przez mgłę. Z wyjątkiem legendarnych scen o narodzinach Jezusa oraz „Uciecy w Kanie”, gdzie wypowiada parę pełnych kabocię uległości zdań, we wszystkich innych częściami ewangelii Maria nie wypowiada ani jednego słowa, zachowuje się jak niema osoba.
Nie wiemy też dokładnie, kiedy i gdzie zesłała z tego świata. Istnieją dwie tradycje, które wzajemnie się wykluczają, a więc niewielką posiadają wartość historyczną. Pierwsza utrzymuje, że Maria umarła w 52 r. w Jerozolimie i została pochowana w pobliżu Getsemani. Druga jest bardziej fantazyjna. Sprrowadza się ona do tego, że apostoł Jan, któremu w czwartej ewangelii dogorywający na krzyżu Jezus powierzył opiekę nad swoją matką, zabrał ją ze sobą do Efezu, gdzie żyła jeszcze bardzo długo, bo umarła dopiero w osiemdziesiątym roku życia. Jest tylko rzeczą przeosobiłą, że Paweł, który przecieć też lata bawił w Efezie i powinien był ją tam spotkać, nie na ten temat nie pisze w swoich listach. Czyż jest do pomysłenia, aby tak manifestacyjnie miał zlekceważyć matkę Zbawiciela?
W swoim czasie słynna mniszka, wizjonerka i stygmatyczka Katarzyna Emmerich (1774-1824) odtworzyła w swoich widzeniach cały żywot Marii i wskazała na miejsce, w Efezie, gdzie miała spędzić ostatnie swoje lata. Wtedy grupa księży katolickich udala się do Efezu, aby idąc za jej wskazówkami odnaleźć domek. Po długich archeologicznych poszukiwaniach natknęli się na ruiny małej budowli, która w ich przekonaniu odpowiadała opisowi wizjonerki. Związek i wiewądzieli, obok wzniesli hotelik i zawiadomili świat o swoim odkryciu. Nowe sanktuarium zasłynęło wkrótce cudownymi uleczeniami i stało się celem tłumnych pielgrzymek. W święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, w dniu 15 sierpnia, są tam odprawiane specjalnie uroczyste nabożeństwa połączone z procesjami. Ale ongiś był to dzień również prawdnej miejscowej bogini-matki Artemidy, czyli Diany po łacinie. Ludność miejscowa z zabobonną grozą opowiada, że w dniu tym rozlegają się w powietrzu gromkie okrzyki zmarłych pokoleń miasta: Niech żyje Diana Efeska!
Teolodzy nie mogli jednak pogodzić się z faktem, że Maria umarła śmiercią naturalną jak zwyčajny człowiek. Była przecież matką Boga i nie mogła podlegać prawom natury, jej ciało nie mogło ulec rozkładowi. Przeto opierając się na apokryficznym, a więc przez Kościół odrzuconym cyklu Transitus

Mariae, zaaprobowali oni między innymi uroczą wersję, że Maria co prawda umarła śmiercią naturalną, że pochowano ją w Getsemani, ale wiadc została zabrana do nieba cieleśnie, bo gdy otworzono jej grób, znalezione tam zamiast zwłok bukiet świeżych róż, tak jakby je przed chwilą tam położyono.

Uroczystość Wniebowzięcia wprowadzono zrazu tylko w Kościele wschodnim i to dopiero w IV wieku. Jeżeli natomiast chodzi o Kościół rzymskokatolicki, to musiało jeszcze upłynąć aż dwieście lat, nim zdecydował się on włączyć to święto do swojego kalendarza liturgicznego.

W 1950 r. Pius XII proklamał Wniebowzięcie Marii dogmatem. Nowy artykuł wiary, poza ustań tradycją, nie mógł jednak wyklęgotymować się żadnym innym źródłem pisanim, jak tylko apokryfami. Wobec tego należało znaleźć oparcie w tekstach ewangelii kanonicznych. Po odpowiednio swobodnej interpretacji nadawał się do tego jeden jedyny werset, mianowicie zdanie, stanowiące początek dwunastego rozdziału Apokalipsy. I ten werset właśnie, jak to podkreśla w swojej książce Tradycja i zmiana w Kościele wybitny irlandzki teolog prof. James P. Mackey, stał się dodatkową motywacją dla nowego dogmatu. Brźmi on następująco: „Potem ukazał się znak wielki na niebie: Niewiasta obleczona w słońce i księżyc u jej stóp, a na głowie jej korona z gwiazd dwunastu. A będąc brzemienną wołała, bojącą i jęczącą w bólach porodu”.

Jedną z najbardziej intrygujących postaci Nowego Testamentu jest Józef, ojciec Jezusa. Mateusz i Łukasz wymieniają go w swoich genealogiach i opowieściach narodzinowych, później jednak konsekwentnie pomijają go milczeniem. Bardziej jeszcze zagadkowo wygląda sprawa u Marka i Jana, tudzież w Dziejach Apostolskich i w listach Pawła: autorzy tych pism w ogóle nie wymieniają Józefa, tak jakby nie zdawali sobie sprawy z jego istnienia. Jest to tym dziwniejsze, że Józef odegrał przecież w życiu Jezusa rolę nie byle jaką. Jeżeli wierzyc Mateuszowi, Anioł Pański jemu, a nie Marii zwiastował Dobrą Nowinę. Ponadto Józef bądź co bądź był wychowawcą Jezusa w jego latach dziecięcych, obojętne, czy jako rzeczywisty rodzic, czy jako opiekun tylko. Jednakże najwazniejszą rzeczą było to, że uchodził on za potomka Dawida w prostej linii i że od jego osoby zawisa teoria o królewskim pochodzeniu Jezusa. Mateusz i Łukasz właśnie w tym celu ułożyli swoje listy rodowodowe, aby to udowodnić niedowiarkom.

Niestety, zabrali się do tego każdy na swój sposób, niezależnie od siebie. Skutek był taki, że mamy w Nowym Testamencie dwie różne genealogie, wyliczające się wzajemnie w wielu ogniwach pokoleniowych, co oczywiście stawia ich autentyczność historyczną pod znakiem zapytania. Wystarczy tu dla zobrazowania tych rozbieżności powiedzieć, że u Mateusza Józef jest synem Jakuba, u Łukasza zaś synem Helega. Zresztą już sam fakt, że Łukasz wywodzi rodów Józefa od samego Adama, wyliczając dokładnie antenata za antenatem po imieniu, świadczy o fantastycznym charakterze jego genealogii. Przypomina się tu Pierwszy list do Tymoteusza, w którym pseudo-Paweł napomina braci z Efezu, aby „nie zajmowali się baśniami i nie kończącymi się rodowodami” (1.4). Wiodencie taka panowała w owych czasach moda i obaj ewangelicisci również nie zdolali się jej oprzeć.

Tego rodzaju sprzeczne relacje właściwie nie powinny nas dziwić. Spotykaliśmy się już niejednokrotnie z podobnymi i nadal będzimy się z nimi spotykać, tak że poniekąd można by powiedzieć, że są one nieodłączną cechą Nowego Testamentu. Gorzej, że Mateusz i Łukasz wykazują zadziwiający brak wyobraźni i przezorności logicznej w jednej z najbardziej merytorycznych spraw chrystologii. Otóż królewskie pochodzenie Jezusa wyprowadzają oni, jak się już powiedziało, z ojostwa Józefa, zapominając, że wobec ogłoszonego przez siebie niepokalanego poczęcia Marii Jezus nie mógł być synem Józefa z krwi i ciała, inaczej mówiąc, nie mógł być potomkiem Dawida. Ten rażący brak konsekwencji w tak ważnej sprawie tłumaczy się chyba tym, że ewangelicisci zgubili się we własnej relacji na skutek nadgorliwej chęci udowodnienia, iż w osobie Jezusa wypełniło się proroctwo Staroego Testamentu, według którego przyszedł Mesjasz miał być z domu Dawidowego.

Niektórym biblistom już od pierwszych wieków chrześcijaństwa owa logiczna nieporadność mocno dolegała. Wyczołżyli więc całą swą egzegetyczną kazuistykę, aby zenuączyć sprzeczność jakoś wyekspikować. Niektórzy spośród nich, jak to możemy wyczać z tekstu odpowiedniego hasła Przędrejnej encyklopedii biblijnej pod red. ks. E. Dąbrowskiego (tom I, str. 415), wpadli na pomysły zaiste rewelacyjne: Maria, orzekli, była bliska krewną Józefa, a więc tym samym miała także w sobie krew domu królewskiego.

Jednak trudniejszym zadaniem było owa też udokumentować. W całym Nowym Testamencie nie ma ani jednego wersetu, który by choć aluzynie ją popierał. Wobec tego sięgnęli oni dalej w przeszłość, aż po starożydowskie prawo lewitaru. W myśl tego prawa bezdzietna wdowa miała obowiązek poślubić brata zmarłego męża lub innego krewnego. Maria wprawdzie nie była wdową, ale i na to znalazeli sposób. Była ona, powiadają, „córką-dziedziczką” i jako taka podlegała temu samemu prawu. Jeżeli więc

wydano ją za mąż za Józefa, to eo ipso musiały z nim być blisko spokrewniona.

Cały wywód ma niestety wyraźne piętno sofizmu, wychodzi bowiem z założen zgoła wydmuchanych. W źródłach pisanych nie ma najmniejszych danych, które pozwoliłyby nam uwierzyć, że u Hebrajczyków istniało coś takiego, jak „córkidziedziczki” podlegające specjalnym prawom, no i że Maria do tej kategorii niewiast się zaliczała.

Wiemy ponadto na pewno, iż zadnemu Żydowi tych czasów nie wypadłoby nawet do głowy, aby swój ród wyprowadzać z przodków rodzaju żeńskiego. W społeczeństwach semickich, opartych na prawie ojcowskim, przeszłość rodów określano wyłącznie linią antenatów męskich. Kobiety mało się liczyły w tych rodowodach.

Pisałiśmy już, jak nader rzadko Józef jest wymieniany w tekście Nowego Testamentu. Ewangelicisci nawet i wtedy, gdy wprowadzają do swoich relacji rodzinne Jezusa, pomijając milczeniem głowę tej rodziny. Na pierwszym planie są zawsze Maria i jej synowie, w osobobionych wypadkach także jej córki.

Bibliści wysuwali najróżniejsze przypuszczenia, co mogło dziać się z Józefem, skoro tak byłwał przemilczany. Na przykład Dawid F. Strauss podaje trzy ewentualności, mianowicie, że „albo wędznie umarł, albo nie zgadzał się z późniejszą działalnością syna, albo został wyeliminowany z tradycji ze względów dogmatycznych, ponieważ według późniejszej doktryny chrystologicznej nie mógł być rzeczywistym ojcem Jezusa”. Wydaje się jednak, że, biorąc na rozum, pierwsze przypuszczenie jest najslusniejsze: Józef mógł po prostu umrzeć i Maria stała się wdową.

Kiedy mógł jego zgon nastąpić? Gdy Jezus miał dwanaście lat, opuścił, jak powiada nam Łukasz, swoich najbliższych cichaczem i wrócił do Jerozolimy, gdzie w świątyni popisował się swoją mądrością, Maria musiała zawrócić z drogi do Nazaretu i ruszyć na jego poszukiwanie. Gdy go wreszcie odnalazła, rzekła: „Synu, cóżes to nam uczynił? Oto ojciec twój i ja, bojącą, szukaliśmy ciebie” (Lk. 2.48).

A zatem, jeżeli wierzyc Łukaszowi, Józef wciąż jeszcze nie rozstał się z życiem. Zgon jego musiał chyba nastąpić niewiele czasu przed wydarzeniami objętymi ewangeliami. Jezus był już wówczas dorosłym mężczyzną i wyuczonym cieślą, to znaczy musiał przedtem parę dobrych lat terminować w warsztacie ojca. Z tego obliczenia chyba wolno nam sądzić, że pamięć o zgonie Józefa była w rodzinie jeszcze świeża.

Najmłodszy jego bracia Józef, Szymon i Juda znani są nam tylko i wyłącznie z imienia. Wiodencie byli to przeciętni ludzie, stojący z dala od tego, co się działo naokoło osoby najstarszego brata.

Natomiast o Jakubie wiemy już sporo. Dowiedzieliśmy się, że osiemnastką lat przewodził gminie jerozolimskiej, że jako wyznawca ortodoksyjnego judaizmu rygorystycznie przestrzegał, aby jego sekta pozostawała w ramach tego judaizmu.

Wiemy też, że cieszył się wielkim autorytetem również wśród całego społeczeństwa jerozolimskiego, toteż gdy u ukamienowano, oburzenie wśród Żydów było tak duże, że namiestnik rzymski pozabawił sprawcę tej egzekucji Annasza II godności arcykapłana. Nawet historyk żydowski Józef Flawiusz, sam przecież wyznawca religii Mojżeszowej, wystąpił w obronie Jakuba i potępil gwałt Annasza.

Dzięki historykowi Kościoła Euzebiuszowi, który przekazał nam obszernie wyjątki z zaginionego Pamiętnika Hegezypta (180), dowiadujemy się jeszcze innych, niepomierne ciekawych szczegółów. Według tej informacji Jakub był świętym już w łonie matki i złożywszy ślubny nazireatu nie pił wina ani żadnych innych mocnych napojów, a także nie brał do ust mięsa. Nigdy nie strzygł włosów, nie kąpał się publicznie i nie namaszczał ciała oliwą. Jego kolana były podobno twarde jak kolana wielbłąda, bo całymi dniami klęczał w świątyni, aby od Boga wyłagać przebaczenie grzechów swoich bliźnich.

Nie przeto dziwnego, że długo trwała pamięć po tej niepospolitej indywidualności w chrześcijaństwie. Wspomniany Hegezyp twierdzi, iż jeszcze za jego czasów, to jest około 180 r. i przeszło sto lat po dokonanej egzekucji (62), ludzie pielgrzymowali do grobu Jakuba, który znajdował się w miejscu męczeństwa, w niewielkiej odległości od świątyni. Euzebiusz nawet twierdzi, że w Jerozolimie pokazywano krzesło biskupie, na którym jakoby zasiadał Jakub.

Ślubny nazireatu były surowe. Od gorliwych wyznawców, którzy je składali, wymagały one ascetyzmu i ogromnego poświęcenia. Jakub był więc pod tym względem bardziej podobny do Jana Chrzciciela, niż do Jezusa, na pewno zaś bardziej niepodobny do Pawła, który nie uprawiał ascetyzmu w sposób normalnie jak każdy inny obywatel imperium rzymskiego.

Niektórzy badacze biblijni wysunęli sugestię, że nazwa nazarejczyce pochodzi od nazwy starożydowskiego nazireatu, a nie od miasteczka Nazaret. Według tej koncepcji Jakub stał ponoć na czele zorganizowanej grupy nazarejczyków, liczącej 120 członków. Za życia Jezusa nie wierzył w jego posłannictwo, a gdy wreszcie do jego śmierci przkonał się do niego, przeszedł z całą grupą na nową wiarę i stał się z racji swoich wpływów automatycznie głową jerozolimskiej gminy chrześcijańskiej. Co prawda inni bibliści argumentują

że była to raczej grupa esseńczyków, wszelako biorąc pod uwagę płynność granic między ówczesnymi żydowskimi sektami a ideologią mesjańską, nie można wykluczyć, że jedni i drudzy mają równe podstawy tak sądzić. Zresztą do tego problemu wrócimy jeszcze raz przy innej okazji.

Nas interesuje obecnie ze wszech miar niezwykle fakt, że małomiasteczkowa rodzina rzemieślników wyłoniła z siebie aż dwóch przywódców religijnych tej miary. To przecież mówi nader wiele o tej rodzinie. Hegezyp, jak przed chwilą czytaliśmy, powiada, że „Jakub był świętym już w łonie matki”. Słów tych nie można interpretować inaczej, jak tylko w tym sensie, że matka jeszcze przed jego urodzeniem poświęciła go Bogu, przyrzekając, że złoży później ślubny nazireatu. I trzeba tu wtńczyć, że taki zwyczaj, jak wynika ze Staroego Testamentu, istotnie od dawna panował wśród Żydów. W taki sposób również Samson, będąc jeszcze w łonie matki, został poświęcony Bogu i naznaczony do przyszłego złożenia ślubów nazireatu.

Podane tu informacje nasuwają przypuszczenie, że rodzina Jezusa miała coś wspólnego z nazarejczykami, że w jej domu panowała surowa atmosfera ortodoksyjnej prawomysłności i zarliwego przywiązania do tradycji ojców. Jakub był na pewno nieodrodnym synem tej rodziny. Wszystko, co go cechowało: surowy tryb życia, skłonność do ascetyzmu i ślepe oddanie nakazom religii Mojżeszowej, wszystko to miał po rodzicach. Nawet mesjanizm, czyli wiarę w przyjście Mesjasza wyniósł chyba z rodzinnego domu, a tylko to zmieniło się później w jego poglądach, że uwierzył, iż jego zmarły starszy brat istotnie był owym tęsknie oczekiwanym Mesjaszem.

Wobec takiego pochodzenia nie jest rzeczą dziwną, że i sam Jezus, jak to podkreślił słynny niemiecki biblista Julius Wellhausen, był wyłącznie nauczycielem żydowskim. Nauczał przecież, że przychodzi, by wypełnić Prawo i proroków, a nie, by burzyć. Swoim uczniom oświadczył wyraźnie: „Nie jestem posłany jeno do owiec, które zgineły z domu Izraela” (Mt. 15.24).

Co więcej, cechowały go te same pogardliwe uprzedzenia do ludzi obcych narodowości, co innych Żydów. Tak na przykład pogan nazywał pogardiwiie „psami”, a tylko z wewnętrznymi oporami zdecydował się ulec błaganiem zrozsapanej matki chanańskiej i przywrócić zdrowie jej córeczce (Mt. 15.26).

Swoim uczniom zakazał wszelkich kontaktów z poganami i z heretykimi Samaritanami. Wysyłając w świat dwunastu apostołów zaleca im: „Na drogę pogan nie zachodźcie i do miast samarytańskich nie wchoźcie” (Mt. 10, 5).

Tutaj na pewno podnosią się protesty, że przecież Jezus później zmienił zdanie i głosił uniwersalizm, posyłając apostołów do wszystkich narodów świata. Otóż odpowiedź może być tylko jedna: Jezus, póki żył, nigdy swego zdania w tej sprawie nie zmienił. To prawda, że w ewangeliach wydaje on aż trzy razy takie uniwersalistyczne nakazy. Nie wolno nam jednak nie zauważyć, że uczynił to dopiero po śmierci, już jako zmartwychwstały Chrystus, przy czym zaznaczyć należy, że u Marka, a więc chronologicznie najbardziej zbliżonej do czasów Jezusa ewangelii, wypowiedź znajduje się w końcowym rozdziale, doczepionym, jak to zgodnie wszyscy bez wyjątku bibliści przyznają, przez jakiegoś późniejszego skrybę. Jest to więc tekst podobno tendencyjnie dla celów teologicznych (Mt. 28, 19; Lk. 23.37; Mk. 16, 15).

Stajemy wobec tego w obliczu dylematu, którą z tych dwóch krąncowo przeciwnych wypowiedzi Jezusa uznać za autentyczną. W kołach racjonalistycznych badaczy Biblii ustaliła się opinia, że jako historycznie prawdziwe lub zawierające rdzeń prawdy można w ewangeliich poniekąd uznać te wszystkie relacje i sentencje, które wyraźnie kolidują z naczelną transcendentną ideą tychże ewangelii. Są one reliktem jakiejś prawdy, zachowały się w tekście dzięki temu, że autorzy byli zbyt nieuwważni, czy też zbyt niekonsekwentni, by zatuszować ich treść pierwotną, bądź skoordynować ją z podstawową doktryną swego dzieła.

Wszystkie dane, na zasadzie których dochodzimy do przekonania, że Jezus był prorokiem wyłącznie zrodkiem, są niewątpliwie składnikami podstawowej warstwy ewangelii i zapewne historycznie prawdziwe. Tak przecież rozumieli Jezusa Jakub i jego jerozolimscy podopieczni, którym nawet do głowy by nie przyszło, by wyłamać się z judaizmu.

Nadszedł jednak rychło drugi, hellenistyczny okres chrystianizmu, kiedy do wspólnot chrześcijańskich coraz liczniej napływali ludzie pochodzenia niezżydowskiego. Wobec tego stawała się coraz bardziej palącą kwestia ideowego usankcjonowania tego obcego napływu. Zależeli się więc nauczyciele i teologowie, którzy głosił, że jest to zgodne z wolą Jezusa, ponieważ miał się on po śmierci ukazać apostołom i polecić, by nawracali nie tylko synów Izraela, ale także pogan.

Tymczasem jest rzeczą oczywistą, że problem pogański powstał znacznie później, w parę lat po śmierci Jezusa. A niezbytym dowodem na to jest fakt, że spór o stosunek do pogan wybuchł dopiero wśród jego uczniów, między Jakubem, Piotrem, Pawłem i Barnabą. Gwałtowny przebieg tego sporu jest dostatecznym dowodem, że było to wówczas

zagadnienie całkowicie nowe, niespodziane, narzucone przez odmienne warunki życia. Jeżeli jednak taki spór zaistniał, o czym nie możemy mieć żadnej wątpliwości, to w takim razie wolno nam zapytać: dlaczego wymienieni apostołowie w ogóle się sprzeczałi, skoro rzekomo istniał już w przedmiotcie ich zatargu zdecydowany nakaz zmartwychwstałego Jezusa? Cóż, konkluzja jest jednoznaczna: w okresie, gdy Jakub, Paweł, Piotr i Barnaba się powaśnili na temat pogański, wersja o pośmiertnym nakazie Jezusa jeszcze nie istniała. Była to legenda, która zrodziła już w środowiskach chrześcijańskich znacznie później. Dość wcześniej jednak, aby Mateusz i Łukasz mogli ją uwzględnić w swoich ewangeliach.

Jezus był reformatorem religijnym, ale, powtarzamy, wyłącznie w ramach judaizmu. Walczył więc innymi z bezduśnym, rygorystycznym formalizmem faryzeuszy, którzy w obronie Prawa stworzyli mnóstwo absurdalnych nakazów i restrykcji. Podczas szabatu nikt nie mógł podróżować, nosić szalca, podnosić z ziemi rzemikła, gdy upadł, zwracał kłosa zboża, aby głoś zaspoakoić, a nawet wyćcałać osła jucznego, gdy wpadł do rowu. Jezus protestował przeciwko tym bezmyślnym przepisom, usiłując szabatowi przywrócić jego pierwotny sens. Szabat jest dla ludzi, a nie ludzie dla szabatu - powiedział w jednej z dysput. Dla faryzeuszy, a także dla jego rodziny było to oświadczenie szokujące, heretyckie, buntownicze nawet.

Jego kontrowersja z legalistami miała inną jeszcze, ukrytą rację. Polegała ona, jak to podnosił niemiecki biblista Karl Barth, na żywej sympatii dla ubogich, cierpiących i wszelkich innych ludzi nieszczęśliwych, na głęboko odczutej odradzie do przekonania faryzeuszy, iż ubóstwo i cierpienie nie zasługują na współczucie, bo jest karą za grzeszne życie. Są to oczywiście tylko dwa aspekty wielkiej, epokowej działalności Jezusa, wystarczają jednak, aby zrozumieć, na czym polegała prawdziwa istota jego myśli. Chodziło mu o przywrócenie religii ojców jej etycznego i prawdziwie ludzkiego sensu, o nawiązanie do chlubnej i strzelistej tradycji proroków. Idee jego, jakkolwiek dotyczyły tylko Żydów, były jednak równocześnie tak wszechgarniające i znaczące w swej humanistycznej treści, że wykraczały poza ciasne granice żydowskie i nabierały wartości uniwersalne.

Jezus, jak wiemy, jadał z celnikami i grzesznikami. Byli to jednak, pamiętań trzeba, zawsze tylko Żydzi. Nigdzie w ewangeliiach nie ma najmniejszej nawet aluzji, aby tak jak to później w Antiochii zrobił Piotr, Paweł i Barnaba, kiedykolwiek zasiadł do stołu z poganami. Nigdy też nie wypowiedział słowa w obronie ciężko pokrzywdzonej kobiety żydowskiej, tradycyjnie dyskryminowanej społecznie, pozbawiennej praw ludzkich i traktowanej przez mężczyzn jak własność rzeczową. Pod tym względem nie objawiał żadnych inklinacji reformistycznych. Osobiście jednak, w życiu codziennym, osentaacyjnie postępował na przykład temu starodawnemu obyczajowi, odnosił się do kobiet po ludzku, podkreślał samym sposobem bycia, iż szanuje ich godność.

Tak na przykład pozostawał w przyjaźni zafzłości z siostrami Łazarza, z Marią i Martą, chętnie odwiedzał je w domu i wiódł z nimi długie rozmowy. Przewo Jan szlusznie pisze, że Jezus „kochał Martę i siostrę jej Marię” (11.5). Nie wahał się także włączyć w obronę niewiasty winnej cudzołóstwa, a nawet, jeżeli dać wiarę typowo alegorycznej opowieści Jana, zaszczylił rozmową Samarytanek, spotkaną u Jakubowego studni. Jego postępowanie było na owe czasy tak nadzwyczaj wyjątkowe, że zdziwieni byli nawet jego najbliżsi uczniowie, którzy przecież powinni byli znać go lepiej, niż inni ludzie (J. 4.27). Celnicy, grzesznicy, cudzołostka i niewiasta znieawidzonego przez Żydów pochodzenia - było to niezbyt dobrane dla Jezusa towarzysztwo. Niezwykliwi wspaniólkowie nazwali go „zarłakiem i opojem, przyciaćcielem celników i grzeszników” (Lk. 7.34).

Imi współmieszkańcy Nazaretu, którzy znali go od dzieciństwa i nie mieli pyśnienia, jak niezwykle głębokie przemiany dokonały się w tym pospolitym na pozór synu rodziny ciesielskiej zapytywali ze zwróceniem, jakim prawem wyklada on Pismo Święte, skoro, jak im było wiadome, nie otrzymał on żadnego pod tym względem przygotowania. „A przyszedzsy do ojczyny swojej - pisze Mateusz - nauczał ich w synagogach, tak że zdumiewali się i mówili: Skądże mu ta mądrosć i moc? Czyż nie jest to syn cieśli i czyż matka jego nie zwą Marią, a braci jego Jakubem i Józefem, Szymonem i Judą? A siostry jego, czyż nie wszystkie znajdują się wśród nas? Skądże mu tedy to wszystko? I gorszyli się z niego. A Jezus rzekł im: Prorok bez czci jest tylko w ojczyźnie swojej i w domu swoim” (13.54-57). Łukasz kończy ten incydent akcentem o wiele dramatyczniejszym, twierdzi bowiem, że mieszkańcy Nazaretu byli do tego stopnia oburzeni, że wypędzili Jezusa z miasta i usiłowali go zabić (4.29).

Więści o tych incydentach musiały chyba docierać do rodzinnego domu Jezusa i odbić się tam nader przykrymi reperkusjami. Był to od pewnego czasu dom osierociony, porzucony przez głowę rodziny, jakim po śmierci Józefa był Jezus. Maria odczuła najprawdopodobniej boleśnie, że jej syn pierwotodny wędruje po świecie i sięje wszędzie zgorszenie. To, co donosił jej pozostali synowie, a szczególnie Jakub, najżarliwszy spośród nich judaisty czny purysta, napawało ją serdeczną troską. Jezus głosił

bowiem poglądy, które miały wszelkie znamiona odstępstwa od surowych zasad religijnych, jakie wpały na mu od dzieciństwa. Trzeba tu zaznaczyć, że naszkicowana przez chwilą charakterystyka nie jest bynajmniej oparta na chwałach domysłów, albowiem z Nowego Testamentu można wyczyć z całą pewnością, że rodzina Jezusa nie wierzyla w jego boskie posłannictwo, nie rozumiała ani jego osobistość, ani jego nauki, że wręcz nieprzychylnie przeciwko niemu występowała. Jakże inaczej rozumieć Jana, który pisze: „Bo i bracia jego nie wierzyli weń” (7,5), a znany nam już wiarygodny kronikarz kościelny II wieku Hegezypt twierdzi, że uczeni w Piśmie namawiali Jakuba, by wystąpił publicznie przeciwko Jezusowi. Widać, że jego czasów była jeszcze żywa tradycja o tym, że Jakub nie uwierzył w Jezusa, że nawet był mu przeciwny. Uwierzył, jak wynika z tego, co Paweł pisze w Pierwszym liście do Koryntian (15,7), dopiero wtedy, gdy ukazał mu się po zmartwychwstaniu.

Pomimo że Jezus zasłynął był licznymi cudownymi uleczeniami i pozyskał już nie tylko gromady wyznawców, ale nawet dwunastu mężczyzn jako stałych wiernie oddanych mu uczniów, matka i bracia, jakby ślepi na te zastanawiające sukcesy, doszli w swej desperacji do przekonania, że postradał on rozum i że należy wziąć go jak najprędzej pod kuratelę. „A gdy wy posłyszeliście jego błiszy - powiada Marek, a więc wyraził najstarszej i najbardziej do prawdy zbliżonej tradycji - wyszli, aby go uprowadzić, mówili bowiem, że popadł w szaleństwo” (3,21).

Toteż sądząc po odnośnych wersetach Mateusza, Marka i Łukasza, stosunek między Jezusem a jego najbliższymi nie był zbyt serdeczny (Mt. 12,46 i nast.; Mk. 3,31 i nast.; Łk. 8,19). Najstarszy chronologicznie Marek tak oto pisze: „I przyszyła matka jego i bracia, a stojąc przed domem, posłali po niego, wzywając go. A wokół niego zasiał tłum. Mówią mu wtedy: Oto matka twoja i bracia są przed domem i szukają cie. A odpowiadając im, rzekł: Któż jest matką moją i braćmi moimi? I popatrzywszy na tych, którzy wokół niego siedzieli, rzekł: Oto matka moja i bracia moi. Kto by bowiem czynił wolę Boga, ten bratem moim i siostrą moją, i matką moją jest” (3,31-35).

Jakże wiele jest powiedziane w tym krótkim epizodzie. Uderza nas przede wszystkim, że Jezus nie wyszedł przed dom na wezwanie matki i braci, lecz odpowiadał im przez trzecią osobę. Tak jakby znał ich zamiar i bał się, że zabiorą go siłą do domu. I jakaż to jest odpowiedź! Jest to raczej szorstka odprawa, pozbawiona ciepła, tym bardziej przejmująca, że przecież dotyczyła także jego własnej matki. Aby dość do tego, aby zając taką postawę, Jezus musiał chyba bardzo wiele przeżyć i przecierpieć. Musiał walczyć o zachowanie wierności swojemu powołaniu z rosnącą presją moralną otoczenia. Historia kuszenia Jezusa, pełna popełnionych, apokaliptycznych tonów jest chyba symbolem przeżyć człowieka, który w mecie i w wewnętrznej walce staje wobec wielkiego problemu swego powołania. Bezmyślni w swej ciasnocie ortodoksyjnej bracia zniechęcili do niego ukochaną matkę, rzucali mu kłody pod nogi, aż wreszcie posunęli się do tego, że ogłosili go niepoczynalnym człowiekiem.

Tę walkę z przecznością, jedną z najcięższych walk, jaką musiał stoczyć w swoim życiu, co prawda wygrał, jednak w jego sercu pozostała głęboka rana i uraz do rodziny. Ilekroć wstępuje w jej to jego wypowiedzi, która przetrwała Łukasza: „Jeśli kto przychodzi do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki, żony, dzieci, braci i sióstr, a nadto i życia swego, nie może być uczniem moim” (14,26). Egzegeści zapewne wtęczą tu, że przecież werset zawiera treść alegoryczną, ale gdyby nawet tak było, to już sam fakt, że takiej a nie innej alegorii użył Jezus, jest chyba refleksem jego subiektywnych doświadczeń.

Dramat rodzinny znalazł odpowiednie echo w ostatnich dniach życia Jezusa. Mateusz, Marek i Łukasz zgodnie donoszą, że nikt z jego uczniów ani z najbliższej rodziny nie pojawił się pod krzyżem, gdy on dogorywał, nikt też nie zatroszczył się o jego pogrzebanie, tak że pochował go w swoim grobowcu obcy człowiek, Józef z Arymatei. A przecież nie mieli oni powodów do jakichkolwiek obaw, bo prawo rzymskie pozwalało rodzinom zabierać ciała skazańców, na których wykonano wyrok śmierci. Jan co prawda twierdzi, że Maria wraz z innymi niewiastami czuwała pod krzyżem, wiadomo jednak, że ten ewangelista swobodnie komponował anegdotyczne opowieści dla celów teologicznych, nie licząc się z historią. Synoptycy natomiast zasługują na większą wiarę, a zwłaszcza w omawianym wypadku, bo po co mieliby wymyślać historię, która tak niekorzystnie świadczyłaby o rodzinie Jezusa. Była to po prostu najprawdziwsza prawda, o której wszyscy wiedzieli, a której dlatego nie sposób było pominać milczeniem.

Na tym przykładzie sprawdza się znowu cytowana już egzegetyczna maksyła, że wszystkie relacje zawarte w ewangeliach, jeżeli kłóca się z ich naczelną chrystologiczną ideą, są historycznie autentyczne, lub kryją w sobie jakieś źdźbło prawdy. I rzeczywiście, do tej kategorii należy zaliczyć informacje o konfliktach rodzinnych Jezusa; dyskredytują one jedną z najbardziej uroczych i dla chrześcijaństwa doniosłych legend ewangelii. Jeżeli bowiem Maria wiedziała, że Jezus urodził się Mesjaszem, że jego

narodzinom towarzyszyły takie nadprzyrodzone wydarzenia, jak niepokalne poczęcie za sprawą Ducha Świętego, zwiastowanie archanioła Gabriela, jak gwiazda betlejemską, pasterkę, chóry anielskie i hold trzech króli, jak mogła ona nie rozumieć postępowania Jezusa i przypuszczać, że jest on niespełna rozum? Te głosowi sprzeczność zauważył już Celsus w swoim polemicznym traktacie *Prawdźwie słowo* (178): „Jeżeli chodzi o matkę Jezusa, Maryję - to ona nigdy nie miała świadomości, że porodziła istotą nadziemską, syna Bożego. Przeciwnie, zapamiętali chrześcijanie wymazać z Ewangelií zdanie stwierdzające, że Maryja uważała Jezusa za szaleńca i wraz z krewnymi chciała go uwięzić i odosobnić od otoczenia”.

JEZUS I JAN CHRZCICIEL

Przeciętny czytelnik ewangelii, pozostający pod urokiem ich dostojnej, surowej i żarliwej atmosfery, pochłonięty muzyką ich moralnej i poetyckiej wymowy, zazwyczaj nie zauważa ukrytych w narracji rysów w postaci różnorakich niekonsekwencji, sprzeczności i świadectw że sobą niezgodnych. Są między nimi potknięcia raczej marginesowe, bywają jednak i takie, które zahaczają merytorycznie o sprawy doktrynalne i historyczne.

W toku naszych rozważań już wielokrotnie zwracaliśmy uwagę na tego rodzaju sprzeczności w relacjach ewangelistów. Rejestr ten bynajmniej nie jest jeszcze wyczerpany, toteż w dalszym ciągu będziemy musieli go uzupełniać. Tak więc przykładu obśliwnego pisarskiego rozróżnienia i niekonsekwencji dostarcza nam Jan Ewangelista. Raz bowiem zapewnia nas, że Jezus osobiście chrzczył swoich wyznawców (3,22), by za chwilę stwierdził ko naszemu zdumieniu, że on bynajmniej nie chrzczył, a czynił to tylko jego uczniowie (4,1). Ostatecznie można by ocenić to jako drobne uchybienie, gdyby nie fakt, że chodzi tu przecież o tak ważną sprawę doktrynalną, jaką jest chrzest w kościołach chrześcijańskich.

Dotyczy to również relacji, która jest jeszcze ważniejsza. Otóż Mateusz (3,13-16), Marek (1,9) i Jan (1,31-32) donoszą, że Jan Chrzcieciel ochrzcił nad Jordanem Jezusa. Czytamy nawet w czwartej ewangelii, że nie tylko dokonał on chrztu, lecz jako jeden jedyny człowiek wśród obecnych widział, że na Jezusa zstąpił Duch Święty w postaci gołębiczy.

Tymczasem czytając Łukasza, dowiadujemy się, że Jan Chrzcieciel nie mógł ochrzcić Jezusa ani widzieć zstępującego nań Ducha Świętego, ponieważ wtedy, gdy Jezus poddał się temu obrzędowi, Jan za sprawą Heroda Antypasa był już uwięziony. Kto zaś dokonał tego obrzędu z tekstu nie wynika: „I stało się, gdy wszystek lud chrzczył przyjmując i gdy Jezus był ochrzczonej i modlił się, otworzyły się niebiosy, a Duch Święty widzialnie, jako gołębicą, zstąpił nań. I stał się głos z niebios, mówiący: Tyś jest syn mój miły, w tobie upodobałem sobie” (3,21-22). Jak z tego wersetu wynika, Duch Święty widziany był tym razem przez wszystkich obecnych przy obrzędzie.

W sprzecznościach, jakie ujawniły się w poszczególnych wersjach o Janie Chrzcieciu, wyczuwa się jakaś zagadkę, jakieś intrygujące niedomówienie. Zapoznając się wiec choćby w największym skrócie z historycznymi okolicznościami, które stworzyły podłoże dla tych opowieści. Jan, nazwany przez autorów Nowego Testamentu oraz przez Józefa Flawiusza „Chrzcieciem”, większość swoich lat męskich spędził samotnie na pustyni, żywiąc się szarzańca i miodem leśnym. W piętnastym roku panowania Tyberiusza, czyli w 28 r. n.e. opuścił swą pustelnię i zaczął występować publicznie jako prorok. Odziany w zgrzebną tkaninę z sierści wielbłądziej, opasany skórzanym rzemieniem, nosił gromkim, pełnym zapamiętania głosem bliskie głośnie Królestwa Bożego i wzywał lud do pokuty. Tym, którzy poddawali się obrzędowi chrztu przez ablucję w wodzie Jordanu, zapewniał odpuśczenie grzechów i wstęp do przyszłego Królestwa Bożego na ziemi.

Nie potrzeba tu chyba powtarzać w szczególności niesamowitej i popełnionej w swym egzotycznym pięknie historii jego dalszych losów, opowiedzianej zgodnie przez Mateusza i Marka. Tetrarcha Herod Antypas uwieził Jana w przegranej forciej Macheront, gdy ten oskarżył go o to, że dopuścił się kazirodztwa, ponieważ uwiodł i poślubił Herodiadę, żonę swego brata. Tam odegrał się ponury, ale dziwnie jakoś fascynujący dramat, wielokrotnie wykorzystywany artystycznie w muzyce, malarstwie i literaturze: ucztą Heroda, taniec Salome, mściwość Herodiady, głowa świętego Jana wniesiona na tacy do sali białejstnej.

W imię prawdy musimy tu wtąpić, że córka Herodiady, która swoim tańcem tak oczarowała Antypasa, nie ma w ewangeliach imienia. Dopiero pozaewangeliczne źródła donoszą nam, że miała na imię Salome. Nie znaleźliśmy również miejsca kaźni Jana, gdyż Józef Flawiusz nie poinformował nas, że była to przegraniczna warownia Macheront. Wymieniony historyk żydowski, którego prawdziwość w wielu wypadkach się potwierdziła, inaczej tłumaczy przyczynę opisanego dramatu. Według niego Herod Antypas po prostu obawiał się rosnącej popularności pustelnika, który pełnym gniewnej pasji kazonadzjęstwem zdobywał sobie coraz szerszą reputację, iż jest co najmniej prorokiem, jeżeli nie Mesjaszem. Wiemy to między innymi od Łukasza, który pisze, że „wszyscy w duszy

swiej poczyniali się zastanawiać, czy też Jan nie jest Chrystusem...” (3,15). Nieprzebrane rzesze rozgalantowanego ludu, które cisnęły się do niego, budziły niepokój, nie wróżyły nic dobrego. Każdej chwili mogło dojść do jednej z tych licznych zamieszek, które zazwyczaj kończyły się zbrojną interwencją kohort rzymskich i straszliwą rzezią ludności. Mesjanizm Jana był równie niebezpieczny dla ustalonego porządku, co mesjanizm poprzednio występujących samowzniesionych proroków i przywódców narodu. Nastroje uciskanego, zagrożonego w swoim byciu i oczekującego wybawiciela społeczeństwa żydowskiego były takie, że Herod Antypas miał wszelkie powody bać się wystąpienia Jana i dlatego postanowił go zlikwidować. Co oczywiście nie wyklucza wcale, że gwałtownie karcony przez zuchwalego w jego mniemaniu przybłędę z pustyni kierował się w stosunku do niego także uczuciami osobistej zemsty. Należy jednak tu podkreślić, że Flawiusz przypuszczalnie nic nie wiedział o tej całej romantyczno-posepnej scenierii, która w ewangelii stanowi to egzekucję, gdyż ani słowa nie napisał o moralnym potępieniu Antypasa”, o nienawiści Herodiady i o Salome, która jakoby wytańczyła sobie głowę Jana. To milczenie upowaznia nas do sceptycyzmu i zaliczenia owej anegdotycznej relacji do kategorii fikcji literackiej, co jednak nie przeszkadza nam wyrazić podziwu dla polotu i fantazji nieznanego autora, który ją chyba wymyślił. Ewangelicji, jak to niernudno zauważył, podkreślają z wyjątkową pieczołowitością, że Jan Chrzcieciel podporządkował, się Jezusowi, że widział w nim zapowiedzianego przez Pismo Święte Mesjasza, który jest mocniejszy od niego, bo chrzczył będzie Duchem Świętym, podczas gdy on chrzczył tylko wodą. W Ewangelii według Jana posunął się w pokorze do tego stopnia, że ogłosił siebie za niedołądzonego rozwiaźca rzemienia u sandałów Jezusa.

Niernudno jednak wykaże dowodnie, że twierdzenie ewangelistów nie odpowiadało rzeczywistości, że była to z ich strony propaganda, mająca czytelników przekonaną, że Jezus był nadrzędnym w stosunku do Jana, co więcej, że Jan osobiście uznał to publicznie. Zabiegi ewangelistów miały na celu zatuszowanie faktu, że Jan i Jezus a później także ich następcy pozostawali ze sobą w stosunku antagonizującym, wynikającym stąd, że istniała między nimi silna rywalizacja o pozyskanie nowych akolitów.

Ewangelicji, na skutek znanej nam już niekonsekwencji, nie zdołali wymazać z tekstu resztek pogłosów tej rywalizacji. Tak np. czytamy w Ewangelii według Jana, że gdy Jan Chrzcieciel przebywał w Enon, zjawili się tu niego uczniowie z ostrzeżeniem, że Jezus zyskuje coraz więcej zwolenników, że „wszyscy idą do niego” (3,22-27). Wprawdzie, jak twierdzi ewangelista, Jan zareagował na to ostrzeżenie nową deklaracją uznającą wyższość Jezusa, nie zmienia to jednak podanego w tym wersecie faktu, że obaj niezależnie od siebie werbowali uczniów i że pod tym względem współzawodniczyli ze sobą.

Inny werset tej samej ewangelii, jakkolwiek dość emfaticznie zredagowany, pozwala nam domyślić się, że w związku z ową rywalizacją Jezus miał jakieś poważniejsze kłopoty. Z tej pełnej niedomówień informacji dowiadujemy się, że opuścił Judeę i skierował się do Galilei, ponieważ faryzeusze wyrażali niezadowolnienie z tego, że „więcej uczniów zyskuje i chrzci niż Jan” (4,1-3).

Chwilami mamy wątpliwości, czy Jan Chrzcieciel i Jezus w ogóle kiedykolwiek się spotkali. Wspominaliśmy poprzednio o drastycznej sprzeczności w ewangeliach, mianowicie, że naprzód Jan chrzczył Jezusa, a w późniejszej narracji Jezus otrzymuje chrzest z anonimowych rąk dopiero wówczas, gdy Jan już siedział w więzieniu. Mamy jednak u Mateusza i Łukasza inne sprzeczności, które nas w tych wątpliwościach jeszcze bardziej utwierdzają. Otóż obaj ewangelicji zgodnie opisują podniosłą scenę, kiedy Jan uznaje prymat Jezusa: „Tedy przyszedł Jezus - relacjonuje nam Mateusz - z Galilei nad Jordan do Jana, aby być ochrzczonej przez niego. Ale Jan powstrzymał go, mówiąc: Ja winienem być ochrzczonej przez ciebie, a ty idziesz do mnie?” (3,13-14). U Łukasza, wbrew temu zresztą, co ewangelista później twierdzi, Jan również uznaje wyższość Jezusa, oświadczać publicznie, iż nie jest godzien rozwiązać rzemienia u jego sandałów (3,15-16).

Z tych dwóch wersji wynika taki oto wniosek: Mateusz i Łukasz zapewniają nas, że Jan uznał wyższość misji Jezusa, czyli że wiedział, z kim ma do czynienia. Dla uważnego czytelnika będzie więc zapewne szokiem niemamy, gdy z późniejszych rozdziałów owe ewangelii wyczyta, że Jan będąc w przytemy posłał do Jezusa dwóch swoich uczniów z pytaniem następującem: „Tyś jest, który ma przyjąć, czy też innego czekamy?” (Mt. 1 1,1-2; Łk. 7,19). Inaczej mówiąc, nie stąd, niż zowad dowiadujemy się, że Jan nie wiedział, kim był Jezus. Przyczyną owej kontuzji jest to, że poprzez warstwę propagandy przezierając tu i ówdzie szczytki prawdy historycznej, z którymi obaj ewangelicji jakoś nie potrafili sobie poradzić. A prawda jest to, że od najdawniejszych czasów istniała sekta, która czciła tylko Jana Chrzcieciela, a nie uznawała Jezusa. I musiała to być sekta dość prężna i liczna, skoro bardzo szybko rozkrzewiła się w diasporze żydowskiej i zdobywała nawet wyznawców wśród ludu, którzy już byli chrześcijanami. Ewangelie

synoptyczne niedwuznacznie ujawniają nam, że członkowie sekty tworzili zamkniętą w sobie organizację, mieli bowiem swoje własne pospie (Mt. 9,14; Mk. 2,18; Łk. 5,33), a nawet również odrębne modlitwy (Łk. 11,1).

Po śmierci Jana Chrzcieciela jednym z kolejnych przełożonych sekty był niejaki Apollos, który z Aleksandrii przeniósł się wraz ze swoimi dwunastoma apolostami do Efezu. W Dziesięciu Apostolskich czytamy: „I pewien Żyd, imieniem Apollos, rodem z Aleksandrii, mąż wymowny i biegły w Piśmie, przybył do Efezu. Znal on już drogę Pańską i przemawiając z wielkim zapalem, nauczał gorliwie tego, co dotyczyło Jezusa, a wiedział tylko o chrzczie Jana. I począł odważnie przemawiać w synagodzie. Gdy go posłyszeli Pryscylla i Akwila, wyśledgo do siebie i wywozili mu dokładnie drogę Pańską” (18,24-26).

Relacja, jak łatwo spostrzec, jest dość niekonsekwentna. Według niej, Apollos miał nauczać o Jezusie, a z drugiej strony „wiedział tylko o chrzczie Jana”. Po co w takim razie trzeba było namawiać go na wiarę Jezusa, trudno zrozumieć. Chrześcijańska para małżeńska mimo to podjęła się tego zadania. Podobno jej się to udało, wiemy jednak z Pierwszego listu do Koryntian, że wcale tak nie było. Oto, co pisze Paweł: „Doniesiono mi bowiem o was, bracia moi, przez ludzi Chloi, że kłótnie są między wami. A to mam na myśli, że każdy z was mówi: Ja jestem Pawła, a ja Apollosa, a ja Kefasa, a ja znowu Chrystusa” (1,11-12).

W miastach hellenickich, jak stąd należy sądzić, istniała ostra rywalizacja między poszczególnymi grupowaniami wyznawców, a wśród nich byli także czciciele Jana. Za czasów autora Dziesięciu Apostolskich walka ta bynajmniej nie wygasła; jej echem jest identyczny zabieg polemiczno-propagandowy, jaki synoptycy zastosowali wobec Jana Chrzcieciela i Jezusa. Chodziło o udowodnienie, że sławny, wykształcony Apollos przy z całą sektą czcicieli Jana podporządkował się nauce Pawła.

Zależało im na szerzeniu tej opinii tym bardziej, że kult Jana Chrzcieciela w miarę lat bynajmniej nie przysal, lecz raczej wzmastał. Wzrastał szczególnie u Żydów, którzy zawsze uważali go za proroka żydowskiego. Józef Flawiusz donosi nam, że cała Judea była przekonana, iż klęska, jaką poniósł Herod Antypas z rąk nabatejskiego Aretesa, była karą za usmiercenie Jana. Anchoretą wraził się w pamięć narodu żydowskiego tak głęboko, że wokół jego osoby powstawały różne legendy. Jedną z nich opowiada o tym, jak to wielki rabin, Gamaliel, spostrzegł głowę Jana płynącą nurtem Jordanu i powiedział: Podczas gdy ty chrzcziłeś, otupiło ciebie, dlatego losem tych, którzy ciebie utopił, będzie, że również się utopiaj.

Kult ten znalazł podatny grunt także w chrześcijaństwie, a nawet w islamie. Podczas płażenia Karawanami Karawanami grabowali mnóstwo relikwii, między innymi aż dwie głowy św. Jana Chrzcieciela. Znajdują się one obecnie w dwóch kościołach: w Soisson i w Amiens. Gdy potem Konstantynopol zdobyli Turcy, sultan umieścił w swoim skarbcu i przechowywał w pietzycznym inne relikwie Jana: jedną dłoń i ułamek czaszki.

Trzeba jeszcze uświadomić sobie, że rytualny obrzęd chrztu, który wiąże się głównie z działalnością misyjną Jana, nie był w Palestynie czymś nowym. Nie był inicjacją do nowej religii, tym bardziej nie mógł być obrzędem wyłącznie chrześcijańskim. Stosowały go niektóre judaistyczne sekty, szczególnie zaś sekta esenackich mająca swoją siedzibę w Qumran, z którą Jan musiał mieć jakieś powiązanie. Ale rodowód chrztu jest o wiele starszy, sięga bowiem aż trzeciego tysiąclecia p.n.e., kiedy nad Eufratem narodził się kult wody. Jak świadczą odkryta przez archeologów mozaika wyobrażająca boga rzeki Eufrat, trwał on aż do III wieku naszej ery. Amerykański orientalista W.F. Albright na podstawie starożytnej ikonografii wykazał, że koncepcja chrztu, to jest abluacji duchowej przez zanurzenie w wodzie, jest pochodzenia mezopotamskiego. Chrzest był praktykowany ponadto w Egipcie, a także stanowił magiczny sposób szukania jedności z bóstwem w różnych hellenickich misteriach religijnych, między innymi w misterium eleuzyjskim i orfikim, jak i też w mitraizmie. Był to więc zwyczaj pogański, nierozzerwalnie zrosniony ze światem pojęć religijnych Bliżniego Wschodu.

Chryścianizm, pod naporem atawistycznych nawyków swoich nowych hellenistycznych adeptów, dość swoicenie czuł się zmuszony przejąć chrzest do swego rytuału, nadając mu oczywiście własne teologiczne znaczenie. Nie wiemy jednak, kiedy ta synkretyzacja nastąpiła, bo jeśli chodzi o Nowy Testament, to wiadomości dotyczące tej sprawy są raczej chwiejne. Tak na przykład w ewangeliach Mateusza i Marka Jezus co prawda poleca swoim uczniom chrzczyć, ale czyni to dopiero po zmartwychwstaniu, czyli pośmiertnie. Przy czym dodać trzeba, że u Marka informacja ta znajduje się w części tekstu, która uznana została za późniejszą interpolację, nie napisaną przez najstarszego ewangelistę (Mt. 28,19; Mk. 16,16).

Tymczasem Jan podaje dwie wykluczające się wersje: raz twierdzi, że Jezus chrzczył w ziemi jrdzkiej, a drugi raz, że w ogóle nie chrzczył. Przy czym dodaje w tymże samym zdaniu, że chrzczył jego uczniowie, z czego można by wnioskować, że już w drugim pokoleniu chrzest jako obrzęd chrześcijański zaczął się przyjmować.

Najbardziej jednak frapujące jest to, co Paweł pisze w swoim Pierwszym liście do Korintian. Oto, co tam czytamy: „Dziękuję Bogu, zem zadnego z was nie ochrzcił, jeno Kryspa i Gajusa, aby kto nie mówił, żeście w imię jego ochrzczeni. Ochrzczeni też i dom Stefanasa. Nado nie wiem, czym jeszcze chrcieć Kogo. Bo Chrystus nie posłał mi chrcieć, ale głosić ewangelie...” (1,14-17). Paweł, jak z tych słów wolno nam wnioskować, nie przywiązywał szczególnej wagi do chrczu, sam zaś chrcieł niechętnie i tylko dorywczo. Nie bez słusności powołuje się tu także na Jezusa, który przecie, jak wiadomo, bardzo krytycznie odnosił się do wszelkich formalistycznych, zewnętrznych obrzędów religijnych.

Protagonistom chrześcijańskim, a także ewangelistom zależało na tym, aby zamazać filiację pogańskie chrczu i eksponować mocno jego genetyczne związki z judaizmem, gdzie dzięki esseńczykom miał on bogate tradycje. W ten sposób powstała wersja o Janie Chrzcicielu jako prekursorze Jezusa. Cała jego historia podporządkowana się nowemu Mesjaszowi przypuszczalnie ma charakter typowego mitu etnologicznego, który exp post tłumaczył i sankcjonował obecność chrczu w chrześcijaństwie. D.F. Strauss w swojej słynnej monografii o Jezusie pisze, że Jan Chrzciciel był ascetą i poplecznym odłudkiem, podczas gdy Jezus miał uosobienie pogodne, lubił towarzyszyć ludzi, nie pościł i nawet pił wino. Nie sposób wyobrazić sobie - pisze dalej - aby ów asceta i chmurny prorok mógł znać jako istotę własną Jezusa, który był jego przeciwnstwem.

Pozwała nam to zrozumieć, dlaczego od samego początku istniała sekta wyznawców Jana, tak zwana sekta joanistów. Utrzymała się ona bardzo długo niezależnie od gmin chrześcijańskich i jeszcze w II stuleciu mowa jest o niej w kronikach jako o jednej z utuczonych sekt w ramach judaizmu. Wybitny biblista R. Bultmann identyfikują ją z późniejszą sektą mandejską, znaną w literaturze pod nazwą baptystów lub hemerobaptystów. Mandejszczy, aczkolwiek tylko w liczbie dwóch tysięcy członków, istnieją do dnia dzisiejszego. Mieszają nad dolnym Eufratem w Zatoce Perskiej i mają swoje własne pisma święte, w których Jan Chrzciciel jest nazwany prawdziwym, a Jezus fałszywym prorokiem.

NA GÓRZE OLIWNEJ

Gdyby ktoś próbował wytyczyć na mapie drogi, którymi Jezus wędrował nauczając i uzdrawiając chorych, przekonałby się, że jest to całkiem niemożliwe. Mimo że chodzi tu o niezmiernie długi obszar Jezusowego żywota, autorzy Nowego Testamentu nie potrafili uniknąć skrajnego zamętu. Z jednej strony synoptycy, a z drugiej strony Jan Ewangelista – to dwie odmienne wersje, wobec których czytelnik staje właściwie bezradny, nie wiedząc, komu dać wiarę.

Jeżeli ewangelści w czymkolwiek są zgodni, to jedynie tylko w tym, że kariera publiczna Jezusa rozpoczęła się w Nazarecie i skończyła w Jeruzolimie. Natomiast wszystkie ich relacje, które mieszczą się między tymi antypodami jego życia, nie pokrywają się ze sobą. Synoptycy twierdzą, że jedynym obszarem działalności Jezusa była Galilea. Jeżeli przekraczał jej granice, to tylko sporadycznie i przeważnie pod przykryciem, chroniąc się przed zbliżającą natarczywością tłumów lub faryzeuszów. Tak na przykład trzy razy przeprowadził się na wschodni brzeg jeziora Genezaret, raz dotarł aż do północnej granicy kraju i zatrzymał się w Cezarei Filipi, przebywał także w feničkih miastach Tyr i Sydon.

Należał jednak podkreślić, że przed swoim triumfalnym ostatecznym wjazdem do Jeruzolimy nigdy nie był w relacji synoptyków w tym mieście ani w ogóle w Judei. Gdy zatem go aresztowano, stawiano przed trybunałem Sanhedrynu i przed Pilatem, gdy go bito i krzyżowano, jeruzolimscy musieli go chyba uważać za człowieka obcego i w dodatku przyszyba z pogardzanej, buntowniczej Galilei.

Natomiast Jan Ewangelista opowiada nam zgola coś innego, coś, co jest jakby odwróceniem sytuacji. Według niego Jezus owszem nauczał także w Galilei, jednakże głównym terenem jego działalności była Judea. Tam głosił swoje nauki, tam uzdrawiał i wskrzesił Łazarza, tam miał przyjaciół i potykał się z antagonistami. I należy jeszcze zwrócić uwagę na to, że właśnie do Galilejczyków, którzy według synoptyków mieli nastawać na jego życie, chroni się przed agresywnością Żydów judzkich.

Gdy Jezus wkraczał triumfalnie w mury Jeruzolimy, nie zjawiał się tam w relacji Jana po raz pierwszy w życiu. Bawił tam już poprzednio aż cztery razy z okazji różnych świąt żydowskich. Przebywał ponadto w Betanii i dłuższy czas ukrywał się przed kapłanami w Efrém, miasteczku położonym na skraju pustyni judzkiej. Gdy był w Jeruzolimie, bynajmniej nie unikał ludzi, lecz wiele czasu spędzał na dziedzińcu świątyni otwarcie głosząc swoją naukę, z czego wynika, że nie mógł być tam osobistością nieznaną. Ewangelści różnią się znacznie nawet w opisie Wielkiego Tygodnia i bibliści do dnia dzisiejszego trują się daremnie, aby ustalić choćby w przybliżeniu zarówno kolejny przebieg wydarzeń, jak też ich datę. Dotąd istnieją wątpliwości, w którym roku i w którym dniu Jezus został ukrzyżowany. Nie jest nawet rzeczą pewną, czy Ostatnia Wieczera była sakralnym posiłkiem spożytym w święto Paschy w 14

dnia żydowskiego miesiąca Nizan (tradycja synoptyczna), czy też jakimś innym posiłkiem, przypadającym - jak to wynika z Ewangelią Jana - na 13 dzień tegoż miesiąca.

Nie zamierzamy tu wchodzić w owe dość zawile i zmundne kontrowersje, dla przykładu jednak poświęćmy nieco czasu opisowi pobytu Jezusa w Betanii. Pod tym względem zgodni są tu jedynie Mateusz i Marek. W ich wiersz Jezus był gościem Szymona „tředowatego”. Pewna niewiasta występująca bezzimennie wylała na jego głowę kosztowny olejek. Obecni tam goście, lub też uczniowie, nie kryli swego zgorszenia. W ich mniemaniu Jezus nie powinien był dopuścić do takiego marnotrawstwa, gdyż olejek można było sprzedać, a pieniądze rozdać ubogim. Marek dodaje jeszcze, że w ten sposób można było uzyskać ogromną sumę trzystu denarów. Ponadto, bez związku z tym incydentem, obaj ewangelści informują nas o zdradzie Judasza Iskariota. Gdy odczytujemy odpowiednie wersety z Ewangelii według Łukasza, od razu orientujemy się, że mamy tu do czynienia z zupełnie inną opowieścią. Uczta w Betanii odbywa się tam przede wszystkim o wiele wcześniej niż dwie poprzednie i w żadnym razie nie wiąże się z wydarzeniami Wielkiego Tygodnia.

Gospodarzem domu jest co prawda również Szymon, ale ewangelista nazywa go „faryzeusem”, a nie „tředowatym”. Epizod namaszczenia olejkami wiade napisany został przez autora z inklinacjami beletystycznymi, gdyż zwięzły i rzeczowy opis Mateusza i Marka przeobraził się tu w nastrojową scenkę z morałem, nabrzmiałą dramatyczną, prawdziwie ludzką treścią. Nie występuje już jakaś nieokreślona niewiasta, lecz jawno grzesznica, która w przypływie skrucy zlewa stopy Jezusa łzami, wyciera je swoimi włosami, całuje i namaszcza olejkami. Nie ma w tym głęboko przejmującym opowiadaniu ani słowa o zgorszeniu z powodu marnotrawienia olejku. Natomiast nowością dla nas jest to, że w uciecie brali udział także faryzeusze, którzy skorzystali z tego epizodu, aby zachwiać wiarę obecnych w Jezusa. Gdyby był on rzeczywiście prorokiem - orzekli - nie pozwoliliby, aby dotknęła go grzesznica, bo wiedziabyli zawczasu „kto zacc jest niewiasta”.

Gdy z kolei otworzymy Ewangelię według Jana, przekonamy się, że tych niespodzianek jest jeszcze więcej. Albowiem to, co Jan nam relacjonuje, właściwie niewiele ma wspólnego z poprzednimi trzema wersjami. Uczta w Betanii nie odbywa się tam na dwa dni przed świętem Paschy, jak to jest u Mateusza i Marka, lecz o całe cztery dni wcześniej. A co dziwniejsze, honory domu pełnią golia inne osoby, mianowicie Łazarz oraz jego siostry Marta i Maria.

Tym razem poznajemy po imieniu niewiastę, która stopy Jezusa namaszcza olejkami i wyciera swoimi włosami. Jest nią właśnie Maria. A zgorszenie z powodu marnotrawstwa kosztownych olejków nie wyrażają już osoby nieokreślone, lecz Judasz Iskariot we własnej osobie. Jednakże Jan informuje nas, że była to z jego strony perfidna obłuda, gdyż sam miał chęć na te trzysta denarów, które by uzyskano ze sprzedaży olejku. „A mówił to nie dlatego - wtrąca ewangelista - żeby się troszczył o ubogich, ale że był złodziejem, i mając trzosa, nosił to, co wkładano” (12,6). Według Jana Judasz pełnił zatem funkcję skarbnika i korzystał z tego, by okradać wspólną, powierzoną mu kasę.

Przypatrmy się teraz wydarzeniu na Górze Oliwnej, gdzie Jezus w znajdującym się na jej stoku ogrócu Getsemani przechodził katusze trwogi i zwątpienia i gdzie w końcu został aresztowany. Wersje ewangelistów są tu raczej zbieżne, a różnicę, jakiej w nich spostrzegamy, mają przeważnie charakter uzupełniający. Tak na przykład u synoptyków nie nazwany towarzysysz Jezusa odcina ucho nie nazwanemu słudze arcykapłana i dopiero od Jana dowiadujemy się, że chodzi tu o Piotra i Malchusa. Incydent kończy się w trzech ewangelich poleceniem Jezusa, by jego zbyt popędliwy obrońca z powrotem wszadził miecz do pochwy. Ani słowa o tym, co stało się z okaleczonym sługą. Łukasz, który już nieraz poprzednio wykazywał w tego rodzaju sytuacjach więcej wrażliwości i wrażliwości niż inni ewangelści, zrozmiał, że Jezus ze względu na głoszoną przez siebie zasadę miłosierdzia i miłości bliźniego nie mógł na tym poprzestać. Dlatego on jedyny zakończył epizod uwagą, że Jezus przyniął odciecie ucho rannemu i uzdrowił go.

Ta sama wyobraźnia zagrała u Łukasza w opisie uderki serca, jaką przechodził Jezus w Getsemaniu. Inni ewangelści relacjonują nam, jak Jezus łamał się i modlił, prosząc Boga, aby oddalił od niego kielich gorczy. Łukasz natomiast przedstawia tę scenę bardziej obrazowo i bardziej emocjonalnie, że nie powiem teatralnie. U niego Jezus cierpi tak przerażająco, że zamiast potu spływają z niego krople krwi. Ponadto ukazuje mu się anioł, aby odtrzymać go na duchu w chwili jego niemocy i zwątpienia. W poszczególnych wariantach wyczuwa się wyraźne pewne określone tendencje. Ich autorzy, przypuszczalnie, aby łatwiej trafić do przekonania czytelników, dążą do coraz większego uściślenia realistycznych szczegółów i wzbogacenia ich od strony obrazowej.

Jest w tych odmianach inna jeszcze tendencja, nazwijmy ją teologiczną. Dochodzi ona do głosu w Ewangelię według Jana, gdzie Jezus, jak to wiemy,

różni się od Jezusa synoptyków. Opromienia go bowiem już za życia taki blask boskości, że dostrzegają to nawet ludzie postronni. Zgodnie z tym założeniem Janowi wydawo się bluźnierstwem, żeby Judasz dotknął swymi wargami jego boskiego lica. Dlatego on jeden wśród ewangelistów nie wspomina nie o pocałunku zdradcy. Są u Jana inne jeszcze odrębności. Otóż w akcie pojmania Jezusa w ogrócu Getsemani u boku kapłańskich służbógród udział także żołnierze kohorty rzymskiej. I co dziwniejsze, oni wszyscy, Żydzi i Rzymianie, na widok jego osoby, ogarnięci nagle bojaźnią, padają przed nim na twarze. Jan zapewne pragnął za pomocą tego historycznie nieuprawdopodobnego incydentu pokazać, że nawet wrogowie rozpoznali w nim Syna Bożego. Zgodnie ze swoimi koncepcjami przemilcza on również przejmującą scenę agonii Jezusa w ogrócu, przypuszczalnie aby zbytnio nie eksponować jego cielesnej, ludzkiej natury.

Gdy zastanowimy się nad faktem obecności tylu różnic w krótkiej, ale przecież doktrynalnie ważnej opowieści, musi nas zadziwiać dowolność, na jaką pozwalają sobie ewangelści wobec przekazu, który w ich przekonaniu musiał być historycznie autentyczny, a więc nienaruszalny. Tymczasem każdy z tych autorów manipuluje tym przekazem na swój sposób, zaleśnie od tego, jak dyktowała mu imaginacja lub propagowana przezeń idea. Każdy po prostu dodaje i ujmuje, co mu się żywnie podoba. Toteż niektórzy bławni wyrazili wątpliwość, czy wydarzenia na Górze Oliwnej, przynajmniej w wersji ewangelistów, w ogóle miały miejsce. Narzuca się tu przypuszczenie, że w fantazji ludowej odegrała tu znowu twórczą rolę reminiscencja ze Starego Testamentu i że cały ten epizod w biografii Jezusa powstał pod wpływem sławnej sceny z Mojżeszem na Górze Synaj. Ktokolwiek zada sobie trud porównania obu tekstów, przynajmniej, że istotnie są w nich pewne analogie. Zresztą sami ewangelści naprowadzają nas na trop tego starotestamentowego rodowodu, gdy zapewniamy, że na Górze Oliwnej wszystko działo się tak, iżby wypełnili się przepowiednie proroków (Mt. 25,26; Mk. 14,26; J. 18,9).

Rest rzeczczą możliwą, że Jezus ukrywał się w gestym gaju oliwnym Getsemani i że tam został aresztowany. Wszystkie inne szczegóły, które temu wydarzeniu towarzyszą w wersji ewangelistów, były chyba już dokomponowane przez zbiorową wyobraźnię chrześcijańskich wyznawców, a więc są typowym tworem folkloru. A z folklorem najczęściej bywa tak, że łatwo wlewa odmiannom i uzupełnieniom w miarę przemijania czasu i pokoleń ludzkich. Czy jednak lud prosty mógł zdobyć się na tak wyborną poetycko, tak wstrząsającą i pełną prawdy życiowej scenę Jezusowej meki, na tak dogłębne zrozumienie psychologii człowieka stojącego przed ostateczną decyzją swego życia? Jeśli miałby ktoś pod tym względem jakieś zastrzeżenia, to trzeba tu przypomnieć, że gdzie jak gdzie, ale właśnie w twórczości ludowej kryje się zawsze najczystsza poezja i najautentyczniejsza prawda o człowieku. Wiedzieli o tym pisarze, plastycy i kompozytorzy wszystkich epok, którzy z tego źródła chętnie czerpali. Jeżeli chodzi o czas, kiedy ta historia o mecie Jezusa się rozidła, to pamiętać należy, iż był to okres tragiczny i burzliwy dla ludzi prostych i upośledzonych. Można by powiedzieć, że każdy nędarz, każdy nieznolny przeżywał wówczas swój własny dramat Getsemani. Historia o duchowych katuszach Jezusa na Górze Oliwnej, zanim została zapisana przez ewangelistów, krzątała chyba od dawna wśród wyznawców Jana i była metaforyczną projekcją tego wszystkiego, co oni w większości przeżywali w swoim własnym życiu.

W związku z tymi rozbieżnościami pragniemy tu zająć się jeszcze Ewangelią według Marka ze względu na to, że spotykamy się w niej z pewnym tajemniczym incydentem, który do dnia dzisiejszego fascynuje badaczy biblijnych. Werset zawierający opis tego wydarzenia brzmi następująco: „Wtedy uczniowie jego, opuszczony go, wszyscy pociękali. A młodzieniec pewien szedł za nim, odziany tylko w prześcieradło. I pojmał go. Lecz on, porzućwszy prześcieradło, nagi uciekł od nich” (14,50-52). Sceneria w ogrócu Getsemani była owej nocy ponura i złowroga. Mistrz spędzał ostatnie swoje godziny wśród najgorszych przeczców, w mecie duchowej pełnej wątpliwości i rozterek. Nagle w mroku nocnym między poskręcanymi ze starości drzewami oliwnymi zamigotały pochodnie, rozległy się nawaływania i niebawem zamrowilo się od nasłanych przez arcykapłanów tłumów, uzbrojonych w kije i miecze. W tej dramatycznej atmosferze jakże groteskowa i nawet frywolna wydawać się może anegdota o szybkonomim młodzieńcu, który ratuje się w ten sposób, że w rękach łapaczy pozostawia swoje prześcieradło i nago daje nura w ciemność nocy.

Kim był ów tajemniczy młodzieniec? Dlaczego przebywał w otoczeniu Jezusa odziany tylko w prześcieradło? Dlaczego Marek nie nazywa go po imieniu? Dla ludzi wierzących, przeświadczonych o tym, że wszystko, co się dzieje w ewangelich, jest historyczną prawdą, sprawa była łatwa do zroszyfrowania. Ten młodzieniec - powiadają - to sam św. Marek, autor ewangelii. Według nich najlepszym dowodem na to jest fakt, że on jedyny ten drobny epizod podaje i że podaje go lakonicznie wprawdzie, ale zastanawiająco realistycznie. Mateusz, Łukasz i Jan może o tym zająćmi nie nie

wiedzieli, albo też po prostu zlekceważyli go jako szczegół małego wazy.

A więc kardynałom dowodem według tych przypuszczeń ma być właśnie ów uderzający fakt wyłączenia Marka. Stoją oni na stanowisku, że to, co dla ludzi postronnych mogło nie mieć żadnego znaczenia, a przeciwnie mogło stanowić niepożądany zgrzyt w dramatycznej jednolitości narracji, dla Marka miało waga najintymniejszego wspomnienia z lat młodości. I z tych właśnie powodów nie oparł się on pokusie wtrącenia do ewangelii tych trzech zdań, mających zaświadczyć, że widział Jezusa, że był naooczny świadkiem jego aresztowania.

No dobrze - powiadają na to sceptycy - jeżeli Marek był istotnie tym młodzieńcem, to w takim razie, dlaczego robi z tego tajemnicę? Dlaczego nie podaje jego imienia? Zwolennicy opinii, iż młodzieńcem był Marek, i na to mają gotową odpowiedź: do anonimowości skłoniła Marka wrodzona skromność. Bo przypominamy sobie, co się działo, gdy ujęto Jezusa. Jego najbliżsi towarzysze stochórzyli i po prostu uciekli opuszczając swego Mistrza w zlej doli. „Wtedy uczniowie jego opuścili go, wszyscy pociękali” - powiada Marek, a Mateusz i Jan swym zaświadczałą mu w tym w całej pełni (Mk. 14,50; Mt. 26,56; J. 16,32).

Natomiast gdy chodzi o Marka, to on jeden nie uciekł, lecz krok w krok szedł za pojmanym Jezusem i z tego powodu o mało co wpadłby również w ręce arcykapłańskich siepaczy. Był wówczas jeszcze za młody, by stać się uczniem Mistrza, a jednak postąpił bardziej po meku niż najbliżsi uczniowie Jezusa. Z tej swojej postawy tam w ogrócu Getsemani był w ciichości ducha bardzo dumny i jest rzeczą zrozmiałą, iż pragnął, by pozostał po niej jakiś trwały ślad. Ale z drugiej strony poczucie skromności i taktu nakazywało mu, by nie identyfikować się na kartach ewangelii otwarcie i nie narazić się na zarzut, iż w tak drażliwej sprawie dopuszcza się grzechu chępliwości. Czytelnicy przez implikację mieli się domyślić, kim był ów młodzieniec.

Ten dyskurs, jakkolwiek budzi podziw swą finezyjnością, nie wyjaśnia jednak prostego faktu, który baczny obserwator rzucca się w oczy. Zachodzi bowiem pytanie, jakim cudem znalazł się młodzieńcu Marek w ogrócu Getsemani i to w spośród nocy, skoro nie należał do grona najbliższych towarzyszy Jezusa. Nasz egzeczy odpowiadałą na to w sposób następujący. Otóż w Dziejach Apostolskich zawieramy znajomość z niejakim Janem, który posługiwał się takimże imieniem greckim Marek. Matka jego miała na imię Maria i była właścicielką domu w Jeruzolimie, gdzie zwykłe gromadzili się pierwsi nazarejczyści i gdzie ponoć odbyła się Ostatnia Wieczera. Warto tu wtrącić, że parę lat później, to jest w 44 r., schronił się tam Piotr po ucieczce z więzienia, a więc był to dom o bogatej tradycji chrześcijańskiej. Marek wraz ze swoim krewnym Barnabą brał udział w pierwszej podróży misyjnej Pawła. Po długiej rozłące spowodowanej jakimś niewyjaśnionym nieporozumieniem, stał się wiernym towarzyszem Pawła w Rzymie i podobno jest autorem drugiej ewangelii w Nowym Testamencie, którą jakoby napisał na podstawie osobistych wspomnień Piotra.

Marek jak wynika z tych relacji, nie był człowiekiem ubogim i pod tym względem różnił się od większości pierwszych wyznawców Jezusa. O jego przynależności do warstw posiadających świadczą dwa szczegóły. Po pierwsze: imiona greckie zazwyczaj przydawali sobie żydowscy młodzieńcy pozostający pod urokiem kultury hellenickiej, a więc wyczałecem i obyci w świecie. Po drugie: ludzie w Palestynie na ogół kładli się do snu w tym samym odzieniu, w którym przebywali za dnia, a tylko zamierzający przebraćali się na spoczynek nocy dość kosztowne nawałas Iniane prześcieradło. Ten wyśnająjący komentarz jest bardzo potrzebny w naszych dalszych rozważaniach. Z ewangelii bowiem wynika w sposób oczywisty, że sad oliwny Getsemani był własnością prywatną i że Jezus ze swoimi uczniami nie mógł tam przebywać bez zgody gospodarza. Przeważnie właścicielem gaju musiał być ktoś, kto był dobrym znajomym całej tej grupki pielgrzymów z Galilei.

I oto ognia rozumowania zaczynają się wcale nieźle wiązać ze sobą w logiczną całość, jeśli tylko zaryzykujemy twierdzenie, iż właścicielem ogrodu był Marek. Nazwa Getsemani pochodzi od aramejskiego określenia „gat szemanim”, co znaczy tłocznia oliwy. A więc przy gaju musiały być jakieś zabudowania, gospodarce, gdzie Marek prawdopodobnie podczas upałów chętniej nocował, niż w domu swej matki Marii.

Owe fatalne nocy rozebrał się do naga, otulił w prześcieradło i usnął. Nagle zbuidzał go jakaś pomeszana wrzawa. Zerwał się z postania i tak jak stał pobiegł w głąb sadu. Idzie między drzewami migotały ognie pochodni. Nadszedł właśnie w chwili, kiedy Jezus, już skrepowany i opuszczony przez najbliższych, szedł do więzienia w otoczeniu liczonej strazy.

Rekonstrukcja domniemyanych wydarzeń, jak widzimy, wcale pomysłowa. Gdy jednak zadamy się nad jej wiarogodnością, ogarnięą nas stopniowo wątpliwości. Bo mimo pozorów prawdy jest w tej rekonstrukcji zbyt dużo kombinacji i domysłów, a za mało dowodów. Przynajmniej dla umysłów krytycznych, przywiązyujących wagę do beznamietnego odważania argumentów za i przeciw, nie tak łatwo ulegającym pokusom nęcącym i

fantazyjnych hipotez. Jeżeli zastanowimy się nad całą sprawą nieco dłużej, dojdziemy do przekonania, że nie ma na świecie szanującego się sądu, który by na podstawie przytoczonych wywodów ogłosił werdykt, że młodzieniec z przesiercadłem to był Marek, syn Marii, późniejszy ewangelista.

Niektórzy egzegetyci i pisarze katolicycy, jak na przykład autor monografii o Jezusie, G. Ricciotti, oczywiście zdają sobie sprawę ze słabych stron całego rozumowania i jak zwykle w takich wypadkach powołują się na świadectwo tradycji, która identyfikuje młodzieńca z Markiem. Ale co to jest ta tradycja? To przecież podania przekazywane przez pierwszych chrześcijan, w większości prostych, nieuczonych ludzi, płonących miłością do Zbawiciela, zdanych wszelkich wiadomości o jego doczesnym życiu. Interesowało ich, jakim był Jezus w dzieciństwie, kim byli jego rodzice, jego przyjaciele i towarzysze wędrowek, jak zachowywał się w życiu codziennym i jak doszło do jego śmierci. Odczuwaliśmy jednak pod tym względem niedosyt. Wobec tego nastąpił w ich umysłach ów proces, z którym już kilkakrotnie się spotykaliśmy. W przeświadczeniu, że Jezus jest zapowiedzią przez proroków Mesjaszem, tym samym wierzyli, że wszystko, co oni zapowiadali, musiało się spełnić w jego życiu. Wyszukiwali więc ze Starego Testamentu odpowiednie wersety i przez dostosowanie do potrzeb chwili interpretację tekstu wypełniali brakujące ogniewa w biografii Jezusa.

Badacze, zastanawiając się nad rodzodem anegdota o tajemniczym młodzieńcu w przesiercadle, wyrazili przypuszczenie, że jest ona wytworem właśnie takiego samego procesu myślowego. I dla poparcia swojej tezy wskazywali, iż źródłem inspiracji mogło być proroctwo Amosa, w którym między innymi czytamy: „... i kto meżnego serca między mocarzami, nago uciekać będzie dnia onego, mówi Pan” (2.16). Przyjrzyjmy się jeszcze dokładnie opowieści, w którą wtopione są trzy zdania o młodzieńcu. Gdy owe zdania uświadomimy z kontekstu, spostrzemy że z dzwieniem, że bynajmniej nie powstaje wyrwa w ciągłości narracji, że zdania poprzedzające owe puste miejsce oraz zdania następujące po nim doskonale kojarzą się ze sobą w logiczną sekwencję. Zachodzi tu więc podejrzenie, że anegdota o nagim młodzieńcu jest w Ewangeliu Marka późniejszą interpolicją, wtrąconą do pierwotnego tekstu przez jakiegoś kompilatora czy skrybę. Dlaczego to zrobił, nie sposób dziś dociec. Być może, że miało to jakiś związek z rozgrywkami między zwolennikami bezpośrednich uczniów Jezusa i Pawła, których echo wyczuwamy zarówno w listach Nowego Testamentu, jak też w Dziejach Apostolskich, a także w trzech pierwszych ewangeliach, gdzie rola apostołów jest przedstawiona w niezbyt korzystnym świetle. Postacią bardziej jeszcze zagadkową i fascynującą jest Judas. Wiemy, jak brzemniema w skutki była jego rola w dramacie Wielkiego Tygodnia, a jednak, prawdę mówiąc, właściwie nic o nim nie wiemy. Ewangeliści niewiele mają o nim do powiedzenia, jedynie tylko Mateusz i autor Dziejów Apostolskich informują nas, że pozwałował on swego czynu i popchnął samobójstwo. Jeżeli chodzi o motywy zbrodni, to wypowiedział się w tej sprawie tylko Jan Ewangalista. Ale to, co nam przekazuje, nie jest zbyt przekonujące, a raczej wygląda na chęć wywołania w czytelniku uczucia wzgardy. W jego wersji Judas jako skarbnik nadużywał zaufania Jezusa i okradł wspólną kasę. Był więc niczym więcej, jak tylko marnym złodziejaskiem i ta właśnie chciwość groziła sprawiła, że dał się przekupić przez kapłanów i wydał Jezusa.

Jest to bardzo uproszczona, trudna do przyjęcia wersja, bo Judas nie mógł przecież być aż tak lichym człowiekiem. Niewątpliwie musiały tkwić w jego charakterze jakieś wyższe wartości, skoro poszedł za Jezusem w niepewną wędrowkę i skoro z drugiej strony Jezus nie tylko zaliczył go w poczet dwunastu uczniów, ale nawet powierzył mu funkcję gospodarowania wspólnymi funduszami.

Wtedy dlaczego zdradził Judas swego Mistrza, który okazał mu tyle zaufania? Nie istnieją żadne dane, aby na to pytanie dać jakąś konkretną odpowiedź. Nastęrczalo się tu więc idealne pole do popisu dla domysłowości biblistów i twórczej fantazji artystów, których Judas fascynował nie tylko jako indywidualny problem psychologiczny, lecz także jako metaforyczny, wszechogarniający wyraz pewnych ciemnych i odwiecznych stron ludzkiej natury. Zwrócono przede wszystkim uwagę na niepowność pochodzenia etnicznego Judasza. Przydomek Iszkariot (po aramejsku „isz Kariot”) znaczy dosłownie „człowiek z Kariotu”. Sprawa o tyle jest zwikłana, że istniały dwa miasteczka Kariot i nie wiadomo, które z nich wchodzi w rachubę. Jedna miejscowość o tej nazwie położona była na obszarze Judei. Rzeczaloby tu specyficzne światło na motywy postępowania Judasza. Jezus i jego uczniowie byli, jak wiadomo, Galilejczykami. W takim razie Judas był między nimi jedynym Judejczykiem. Znamy już dobrze uprzedzenia, jakie dzieliły te dwa odłamy ludu żydowskiego. Być może Judas, odczuwając rezerwę i nieufność swoich współwiarowców, czuł się wśród nich obcy, czy wręcz upodlony. Z tego powodu narastało w nim rozgoryczenie, może nawet podświadomie tracił wiarę w Jezusa. Przełom w jego postawie nastąpić mógł podczas tak zwanego kryzysu galilejskiego, kiedy nauka Jezusa o żywym chlebie, który z nieba zstąpił, wywołała zgorszenie nawet wśród jego

najbliższych. Jan powiada: „Od tej chwili wielu uczniów jego odeszło i już z nim nie chodzili” (6,67). Straciwszy wiarę w Jezusa, zaczął spoglądać na niego innymi oczami. Gdy podczas wjazdu do Jeruzolimy pospólstwo okrzyknęło go królem Izraela, w Judaszu odezwał się patriota judejski. Nagle ujrzał w Jezusie jednego z tych galilejskich szalenców, którzy buntowali lud i sprowadzali na kraj tyle nieszczęść. Wówczas w jego głowie mogła powstać ta sama myśl, jaką według Ewangelii Jana wypowiada nieco później Kajfas. Pragnąc uniknąć krwawej interwencji Rzymian, oświadczył, że „lepiej jest, aby jeden człowiek umarł za naród, niż żeby cały naród miał zginąć” (11.50).

Drugą miejscowość nazywaną się Kariot znajdowała się w Moabocie, po wschodniej stronie Morza Martwego. Gdyby Judasz stanął się wywoźcą, to powstałaby ewentualność, że był on pochodzenia pogańskiego, bądź też Żydem wychowanym w tamtejszej pogańskiej atmosferze. Zaważyłoby to na pewno poważnie na jego stosunku do Jezusa. Być może marzył o karierze osobistej w mesjańskim Królestwie Bożym, które, jak wielu innych Żydów, wyobrażał sobie jako królestwo ziemskie, królestwo Izraela. Przecież nawet niektórzy apostołowie tak rozumieli zapowiedź Jezusa, nie jest więc wykluczone, że podobnie myślał również Judasz. Skoro tylko uświadomił sobie, że Jezus ma zupełnie coś innego na myśli i że biernie idzie ku śmierci, spostrzegł nagle z przerażeniem, że jego osobiste nadzieje obróciły się w niniwiec, że został oszukany. Wieg w pierwszym porywie rozpaczy i gniewu wydał Jezusa kapłanom, aby jednak ponieważsze pozwałował swego czynu i zakończyć samobójstwem zmarowaną życie.

Istnieje oczywiście mnóstwo innych teorii na temat motywów zdrady, nie sposób je tu wszystkie przytoczyć. Dla przykładu podajemy w wielkim skrócie niektóre, bardziej interesujące: Judasz wydając Jezusa chciał w ten sposób przyspieszyć nadejście Królestwa Bożego na ziemi; Judasz pragnął przekonać się, czy Jezus potrafił siebie ocalić i dać dowód w ten sposób, iż naprawdę jest tym, za kogo się podaje; Mesjaszem zapowiedzianym przez proroków i królem Izraela; Judasz chciał uchronić Jezusa przed molochem, który zagrażał jego życiu i dlatego spowodował jego aresztowanie. Wierzył, że będzie to jedynie areszt ochronny, a gdy Jezus został skazany, popchnął samobójstwo.

Wreszcie jeszcze jedna teoria, czyniąca z Judasza zawiedzionego idealistę. Według niej wierzył on w nadejście ogłoszone przez Jezusa Królestwa Bożego na ziemi, w którym będzie panowała równość i sprawiedliwość społeczna. Przekonał się jednak, że Jezus nie jest rewolucjonistą i nie spełni jego nadziei, natomiast gubi się w jakichś niezrozumiałych, mistycznych naukach, głoszących przede wszystkim uległość wobec władz rzymskich.

Jak widzimy, interpretatorom biblijnym nie zabrakło w tym wypadku fantazji. Można na przykład łatwo wyobrazić sobie zbiór nowel, w których każda z tych postaw Judasza stanowiłaby osobny temat literacki. Jakże pociągający pomysł, szczególnie dla młodych powieściopisarzy. Ta bójka fantazja o mało nie sprowadziła na stos inkwizycji Wincence Ferrerusa, przyjaciela i kapelana awiniońskiego papieża Benedykta XIII (1394-1423). Jak wynika z zachowanych w Watykanie dokumentów, ów Ferrerusi wygłosił kiedyś kazanie na temat Judasza. Według jego wersji zdradca chciał błagać Jezusa o przebaczenie, nie mógł jednak do niego się docisnąć, gdyż w drodze na Kalwarię otaczaly go tłumy ludzi. Postanowił przeto powiedzieć się, aby dusza jego mogła ulecieć na Kalwarię i uzyskać przebaczenie. I rzeczywiście tak się stało. Dlatego, gdy Chrystus wstąpił do nieba, dusza Judasza znalazła się po jego prawicy wśród innych dusz błogosławionych. (Według książki Marii Ambrosini i Mary Willis Tajne archiwa Watykanu, w przekł. T. Szafrańskiego).

Judasz wśród błogosławionych! Była to niesłychana herezja. Na niefortunnego kaznodzieję zwały się groźne dochodzenia inkwizycji, które mogły skończyć się płonącym stożem. Uratował go jednak jego przyjaciel Benedykt XIII, polecając spalić akta śledcze i unormóz dochodzenie. Niejako na przeciwnym biegunie znajduje się interpretacja, podana przez apokryf znany pod nazwą Arabskiej ewangelii dziecięctwa. Anonimowy autor częściej nas taką oto historyjką o Judaszu: „Pewna kobieta miała syna opętanego duchem nieczystym. Nazywał się Judasz. Ie raz napadł go czart, gryzł on wszystkich, co się zbliżyli do niego, a jeśli nikogo nie było wokół, sam sobie kąsał ręce i inne członki. Wtedy matka postanowiła zaprowadzić go do Marii. Kiedy Judasz opętany uo prawicy Jezusa, chciał go ukąsić, gdy targnął nim czart. Ale nie zdołał tego zrobić, tylko uderzył Jezusa w prawy bok. Jezus zaczął płakać, a wówczas czart opuścił chłopca pod postacią wielkiego psa. Był to Judasz, który zdradził Jezusa, a bok, w który uderzył Judasz, jest tym, który Żydzi przesyli wócną”.

Trzeba tu wreszcie powiedzieć, co może zaskoczyć wielu czytelników, ale co chyba jest prawdą: historia o Judaszu jest po prostu czystym wymysłem. Nigdy nie było żadnego Judasza, a jako świadka możemy tu powołać osobę najlepiej poinformowaną, samego Pawła. W swoim pierwszym liście skierowanym do Koryntian pisze on między innymi o przebiegu Ostatniej Wieczery, a nieco później o tym, jak

bezpośrednio po zmartwychwstaniu Jezus ukazał się dwunastu apostołom. Otóż w opisie wieczerzy nie ma w ogóle mowy o Judaszu i jego zdradzie, co jest zastanawiające, skoro ewangelista ten właśnie incydent dość mocno ekspoznują. Paweł mówi tylko o „wydaniu” Jezusa, przy czym jest to dokładnie takie samo określenie, jakim posługują się Mateusz i Marek w opisie pojmania Jana Chrzciciela.

Drugi fakt, który nas intriguje, to ukazanie się Jezusa dwunastu apostołom, bez wzmianki o tym, że odpadł Judasz. Paweł zachowuje się więc tak, jakby o jego zdradzie i samobójstwie nie miał najmniejszego pojęcia. Pozostaje jeszcze ewentualność, iż z jakichś powodów chciał tę sprawę przemiłczeć, ale trudno sobie to wyobrazić, skoro musiało ona być ogólnie znana w gminach chrześcijańskich.

Jeśli pomylimy, że list Pawła jest wcześniejszym źródłem niż ewangelie i Dzieje Apostolskie, nie możemy uniknąć konkluzji, że z czasów Pawła opowieść o Judaszu jeszcze w ogóle nie istniała, że jest to legenda, która pojawiła się kilkadziesiąt lat później. I możemy się domyślić, dlaczego się pojawiła. Po zburzeniu Jeruzolimy do miast hellenistycznych napłynęły liczne rzesze uchodźców żydowskich. Z tego powodu powstawały konflikty między nimi a wyznawcami Jezusa. Przybierały one, jak wiemy z Nowego Testamentu, bardzo ostre formy i właśnie w takiej napiętej atmosferze zrodziła się postać Judasza jako personifikacji ludu żydowskiego i jego odpowiedzialności za śmierć Zbawiciela. Jest rzeczą znaną, że lud jako zbiorowość często wyrażał swoje nadzieje, uczucia i nastroje w legendarnych przypowieściach. W naszym wypadku sytuacja była o tyle ułatwiona, że pomysł i tworzyno do tej opowieści czekało gotowe w Starym Testamencie. Wystarczyło sięgnąć po odpowiednie wersety, aby na ich podstawie skomponować dramatyczną historię o zdradzie, jakiej ofiarą miał paść Jezus. Zaczęło się może od tego, że ktoś z grona wędrownych kaznodziejów przytoczył te wybrane wersety dla uwydatnienia zdrady narodu żydowskiego, zdrady usymbolizowanej w postaci Judasza. I to, co teraz było niczym innym, jak tylko ortorskim sposobem pogłównego przekazania pewnych nauk moralnych, przeobraziło się z biegiem czasu w wierzenia ludu w realne wydarzenie. Ślady starotestamentowego pochodzenia legendy o Judaszu uwidocznione są całkiem wyraźnie w tekstach Nowego Testamentu. Tak na przykład w Dziejach Apostolskich Piotr przemawia w ten oto sposób: „Mężowie bracia! Musialo się wypełnić Pismo, które Duch Święty zapowiedział przez usta Dawida o Judaszu, przywódcy tych, co pojmal Jezusa” (1,16). Także Jezus w Ewangeli według Jana oświadcza, że musialo się wypełnić Pismo, a na dowód przytacza następujący werset z czterdziestego psalmu: „Ten, który pożywa ze mną chleb, zdradzę kiedy przeuciu mnie” - potem wskazuje na Judasza jako zdradając, podając mu umoczony w winie chleb do spożycia.

Wobec tego nie powinno nas już dziwić, że niektóre inne elementy opowieści są wręcz zapożyczeniami z pism Starego Testamentu. Według Mateusza Judasz, żalując swego czynu, porucił w świętym trzydzieści srebrników, a kapłani zakupili za te pieniądze podobny garncaza na cmentarz. I oto czytamy u proroka Zachariasza: „I rzekłem do nich: Jeśli jest rzecz dobra w oczach waszych, przynieście zapłatę moją, a jeżeli nie, niechajcież. I odważyli zapłatę moją; trzydzieści srebrników. I rzekł Pan do mnie: porucz to do garncaza, piękną zapłatę, którą od nich jest oszacować. I wzięłam trzydzieści srebrników i porzuciłem je w domu Pańskim do garncaza” (11,12-13).

PROCES

Wjazd Jezusa do Jeruzolimy musiał istnieć się wydarzyć, jako że przepowiedział go przecież Stary Testament. Tak przedstawiają sprawę ewangelicisci. W ich relacji jerozolimczycy witali go odpowiednio dobranym werselem z jednego z Psalmów, w którym mowa jest o królu izraelskim; nawet taki szczegół, jak to, że Jezus odbywał podróz na grzbiecie osła, że góry był przewidywanym w proroctwie Zachariasza, a mianowicie w następującym zdaniu: „Nie bój się, córko Syjonu! Oto król przybywa, siedząc na osłcu” (9,9).

Mamy tu więc znowu do czynienia z wyraźną inspiracją Starego Testamentu. Nie wiemy wprawdzie, co wobec tego w opowieści jest fikcją, a co prawdą, można jednak przyjąć jako fakt historyczny to, że wjazd taki istotnie w ten czy ów sposób musiał się odbyć, skoro w Jeruzolimie Jezus spotkał się ze swoim ostatecznym losem. Ewangelicisci dość obrazowo przedstawiają nam radosną egzaltację ludzi, którzy uwierzyli, iż Jezus jest zapowiedzianym Mesjaszem i nowym królem izraelskim, iż wybawi on lud żydowski z niewoli. Sceneria, pełna urody malarskiej, sugestywna i dramatyczna w swym emocjonalnym napięciu, zapisała się dobrze w pamięci pokoleń, oddziaływała twórczo na malarzy, poetów i muzyków. Jezus, uroczysty i nieprzekorny, przepycha się na osiołku przez kotłujące się mrowisko ludzkie. W tym rojem zamięć i zgilek znaleźli się entuzjaści, którzy okrzyknęli go królem, ścicielii mu droge płaszczami i zielonymi gałkami, lub, jak chce Jan Ewangalista, witali go wymachując gałkami palmowymi. Łukasiz informuje nas dodatkowo, że byli tam obecni

faryzeusz, którzy ze zgorszeniem przyglądali się całej scenie, z czego można chyba wnioskować, że zbiegło się tam również mnóstwo innych postronnych ludzi, traktujących dziwny pochód Galilejczyków jak sensację.

Spójrzmy jednak na ten epizod z innej strony, mianowicie że stanowiska przeciwnego obywatela ówczesnej Palestyny, tak jak on go widział przez pryzmat swoich własnych biejących doświadczeń zyciowych. Jest to pożądanie, ponieważ ewangelicisci relację swoją zawiązili niejako w próżni, w oderwaniu od społecznych, religijnych i politycznych realiów życia. Spróbujmy więc osadzić ich opowieść w scenerii ówczesnych stosunków. Przekonamy się wówczas, że wjazd i towarzyszące mu okoliczności miały chyba bardziej decydujące znaczenie w dramacie Jezusa, niżby wykazywało to z ewangelii.

Wypada przede wszystkim pamiętać, że za czasów Jezusa w Palestynie bynajmniej nie panowały stosunki wiejskie. Wystarczy zaznaczyć choćby taki fakt, że przed zburzeniem Jeruzolimy wystąpiło aż trzydziestu proroków, którzy głoszili wyzwolenie Żydów pod wodzą mesjasza z królewskiego domu Dawida. Mesjanistyczne nadzieje sprawiły, że ludność żydowska ochocho odpowiadala na egzaltowane wezwania tych proroków, co zazwyczaj kończyło się zamieszkami i krwawym ich stłumieniem. W tych rozpalczonych warunkach powstało stronnictwo zelotów (gorliców), którzy wypowiedzieli Rzymianom walkę na śmierć i życie. Terrorysty zwani sykariuzami (sztyletnikami) szerryli postach w miastach Galilei i Judei, zabijając w tłoku ulicznym okupantów i ich kolaborantów żydowskich.

Na domiar złego prokuratorem Judei był wówczas Poncjusz Pilat, człowiek gruboskórny i arogancki, o pospolitej inteligencji, w traktowaniu poddanych nie liczący się z psychologią Żydów, słowem tępoczy urzędnik imperium rzymskiego. Zresztą ludność Judei trudno było utrzymać w ryżach: Dumna ze swoich obywateli i tradycji, odznaczała się fanatyzmem religijnym, szovinizmem i buntowniczością. W stosunku do okupantów stosowała sabotaż, cichy opór i taktykę ciągłego prawowania się o specjalnie przywileje.

Stanowisko prokuratora Judei, niezbyt wysokie, bo podlegające władzy namiestnika Syrii, Poncjusza Pilat objął w 26 r., ale już w pierwszym roku swego urzędowania wywołał ogromne wzburzenie wśród poddanych. Swoim oddziałom wojskowym kazał wmaszerować do Jeruzolimy z odznakami cesarskimi, które obok orła miały na tarczy uwidoczniony wizerunek cesarza. Religia Żydów zakazywała oddzwania postaci ludzkich w rzeźbie i malarstwie, toteż król jego odczuł jako wyraźną chęć zbezczeszczenia świątyni. Krowa ogarnął nastroj protestu. Jerozolimczycy sfornaliowali olbrzymi pochód i pociągnęli do odległej o 120 km Cezarei, gdzie prokurator miał stała rezydencję. Mury pałacu otoczyły nieprzebrane rzesze zapamiętałych, gotowych na wszystko fanatyków. Raz po raz podnosiły się wrzaski i groźne okrzyki, domagające się natychmiastowego usunięcia znaków cesarskich ze świętego miasta.

Ale Pilat przez pięć dni nie pokazał się demantrom na oczy, wierzając, że zbiegowisko prędzej lub później rozproszy się. Wreszcie szóstego dnia poleciał Żydom zgromadzić się na miejscowym hipodromie, który mógł pomieścić dwadzieścia tysięcy widzów. (Ruiny tego hipodromu archeolodzy odskopalii w latach sześćdziesiątych naszego wieku i stwierdzili, że istotnie mógł pomieścić tyle widzów). Zjawił się tam na czele silnych oddziałów wojskowych i oświadczył, że ani myśli usunąć odznak cesarskich z Jeruzolimy. Zbuntowanym demantrom rozkazał wracać do domów pod groźbą użycia siły. I na dowód, że nie żartuje, kazał swoim legionistom dobyć mieczy i ustawić się do natarcia. Stała się jednak rzecz zgola nieprzewidywana, bo Żydzi nie dali się zastraszyć. Padli pokodem na ziemię i obnażyli karki, na znak, że woła zginąć od miecza nie ustąpić.

Pilat był tym widokiem wstrząsnięty. Nie wiedział, co począć. Nie mógł przecież dła tak blahej przyczyny powołać w pień tysiące własnych poddanych. Rzym nie puszczył mu tego planem i na pewno zostałyby odwołany, by usprawiedliwić się przed urzędnikami cesarza. Kazał więc legionistom odmaszerować, a Żydom obiecał, że natychmiast usunie odznaki cesarskie.

Był to jednak człowiek jakby upojony władzą i zbyt krewki, by z tego przykrego doświadczenia wysnuć wnioski na przyszłość. Toteż raz po raz wybuchaly za jego rządów nowe perturbacje. Tak na przykład kazał w pałacu Heroda zawiesić tarcze z wizerunkiem cesarza. I znowu na protesty żydowskie nie reagował, aż polecenie usunięcia tych odznak otrzymał z samego Rzymu, gdzie wpływowi Żydzi poskarżyli się na jego postępowanie. Nawet i w tych wypadkach, gdy słuusność była po jego stronie, gdy przysłuchiwało mu dobro publiczne, nie umiał uniknąć zadrażeń i konfliktów z poddanymi. Postanowił na przykład wybudować akwedukt dla sprowadzenia z odległego o 37 km el-Arrub potrzebnej dla Jeruzolimy wody pitnej. I miał prawo sądzić, że koszty tej inwestycji powinni pokryć jej główni użytkownicy, to jest Żydzi jerozolimscy. Nie umiał jednak przekonać ich perswazją, wobec czego załatwił sprawę na swój obecny sposób: zaskwestrował fundusze zgromadzone w świątyni. Chociaż żydowski kodeks prawny Miszna pozwałal

korzystać z funduszy świątynnych na tego rodzaju budownictwo publiczne, kapłani podnieśli wielki krzyk i w mieście wybuchła nowa rewolta. Piłat, jak zawsze, odpowiedział gwałtem i przewrotnością: przebrany po cywilnemu żołdakom kazał zbiegowisko brutalnie rozprędzić. Józef Flawiusz twierdzi, że w tych rozruchach mnóstwo Żydów poniosło śmierć lub nabawiło się kaleczką.

W 35 r., a zatem już po śmierci Jezusa, Piłat przeszedł samego siebie w zaślępieniu i zapalczywości. W kraju Samarytan pojawił się jakiś szaliberz podający się za proroka i swoimi egzaltowanymi przemówieniami namówił tłumy obalamuonych ludzi, by pociągali z nim na górę Garizim, gdzie obiecał pokazać im sakralne przedmioty, które jakoby tam ukrył Mojżesz. Zbiegowisko nie miało zgola charakteru manifestacji politycznej i dla Rzymian nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa. Jednakże Piłat nie umiał trzymać nerwów na wodzy: posłał na górę swoich legionistów i krwawo rozgromił nieszczęśliwych, Bogu ducha winnych pielgrzymów. Tym razem jednak powinieli się nie noga. Samarytanie znani byli z lojalnego stosunku do Rzymian, zły spokojnie i nie buntowali się tak jak ich sąsiedzi, Galilejczycy. Ich młodzież chętnie służyła w rzymskich wojskach zaciężnych i nawet nieraz z tego tytułu brała udział w tłumieniu miejscowych buntów. Gdy przeto zwrócili się do namiestnika Syrii Witeliusza ze skargą, skutek był natychmiastowy: Piłat musiał wracać do Rzymu, aby usprawiedliwić się przed urzędnikami Tyberiusza. Łatwo wyobrazić sobie, z jaką nienawiścią odnosił się do Piłata ogół społeczeństwa żydowskiego. Sytuację pogarszało jeszcze to, że także notable żydowskie nie cieszyli się popularnością. Herod Antypas, tetrarcha Galilei, który w obawie buntu podległego sobie krainy uśmiecił Jana Chrzcieliciela, uchodził za bezwolne narzędzie Rzymu. Kapłani stanowili potężną, bogatą, arystokratyczną kastę wyobcowaną z reszty społeczeństwa.

Od wielu lat w Judei dominowała niepospolita, władca postać byłego arcykapłana Annasza. Godność arcykapłana kupił swego czasu za złoto, jakie nagromadził ze sprzedaży płaćtwa ofiarnego i wymiany walut na dziedzińcu świątynnym. W 16 r. n.e., po dziewięciu latach urzędowania, został zdjęty ze swego stanowiska przez okupanta rzymskiego. Jednakże jego wpływy bynajmniej na tym nie ucierpiały. Nadal miał we wszystkim ostatnie słowo i nikt nie próbował się temu przeciwstawić. Wyjaśnia nam to, dlaczego Jezusa zaprowadzono naprzód do niego, a następnie dopiero do urzędującego arcykapłana Kajfasza i przed Sanhedryn. Dzięki jego zręcznym machinacjom i obfitym środkom finansowym ród Annasza utrzymał się przy władzy przeszło pół wieku: urząd arcykapłana objął po nim najpierw jego syn Eleazar (16-17 r.), a potem zięć Kajfasz (18-36 r.), następnie zaś czterech pozostałych synów: Jonatan (37 r.), Teofil (37-41 r.), Maciej (43-44 r.) i Anasz (62 r.).

Annaszu rodzina wybudowała po śmierci okazałe mauzoleum, które, jak podaje Józef Flawiusz, ulokowane było w reprezentacyjnym miejscu Jerolimy, opodal sadzawki Siloe. Ale społeczeństwo żydowskie nie zachowało o nim zbyt dobrej pamięci. Tradycja rabinistyczna utrwalona w Talmudzie zarzuca mu, że nadużywał swojej władzy, że intrzykami siał niepokój, a nawet że denuncjował swoich przeciwników politycznych. Jedna z talmudycznych aforystycznych sentencji używa odnoszącego się do niego zwrotu „sok wyżowy Annasza”.

Kajfasz w stosunkach z Piłatem zachował wszelkie pozory lojalności i może dzięki temu utrzymał się na stanowisku arcykapłana osiemnaście lat. W skrytości jednak nienawidził go za doznane z jego strony upokorzenia. Toteż przy pomocy swego teścia Annasza, który jak cięś stał zawsze za nim, rozwinął cały swój szajn intrigi, aby spowodować odwołanie prokuratora przez Tyberiusza. W tym celu należało za wszelką cenę uniknąć niepokojów społecznych, które szłyby Piłatowi na dowód, iż słusznie postępuje z Żydami tak bezwzględnie.

Zbliżało się właśnie święto Paschy. Jerolimskie i okoliczne miejscowości, jak zwykle, przepelnione były pielgrzymami. W tym ścisku i zamieszaniu niestrudno było o nowe zamieszki; Rzymianie i kapłani, świadomi tego niebezpieczeństwa, wzmożli czynność i stali się wyjątkowo wrażliwi na wszystko, co zakrawało na jakąś demonstrację polityczną. Piłat przeniósł się na czele wszystkich swoich sił zbrojnych z Cezarei do Jerolimy, by z pałacu Heroda osobiście pilnować ładu w mieście.

W tej pełnej podejrzeń i niepewności atmosferze, kiedy nerwy wstawców napięte były jak struna, pojawia się naraz dzwignąca gromada Galilejczyków, otaczając jakiegoś noworodka siedzącego na oślodku. Z ich pełnych entuzjazmu okrzyków wynikało, że składają mu hołd jako potomkowi Dawida i nowemu królowi Izraela. Na wieść o tym sensacyjnym wydarzeniu zaroilo się na ulicach od ludzi, którzy zbiegli się ze wszystkich stron miasta, podczas gdy mieszkańcy okolicznych domów tłoczyli się w oknach i oblepiali wszystkie dachy. Galilejczycy, ograniczeni mesjanistycznym entuzjazmem, ścielili przed Jezusem płaszcze i gałązki zieleni lub wymachiwali gałązkami palmowymi.

Od tej chwili wszystko, co Jezus czynił i mówił, było w ówczesnych warunkach politycznym otwartym wyzywaniem. Już sam wjazd dokonany w tak demonstracyjny sposób musiał budzić podejrzenie

władz, że oto zjawiał się jeszcze jeden z tych galilejskich zapaleńców, którzy występowali w roli proroków i namawiali ludzi do buntu. Przecież pozwili, aby go włani towarzysze okrzyknęli królem. Gdy zgorszni faryzeusze domagali się od niego, aby im kazał zamilknąć, odparł: „Powiedam wam, że jeśliby ci milczeli, kamienie wołać będą” (Lk. 19,36).

Była to deklaracja o nieobliczalnych skutkach politycznych. Społeczeństwo żydowskie, pozbawione wolności, szukało ucieczki i oparcia w nadziejach mesjanistycznych. Istotą tych nadziei była odbudowa Królestwa Izraela w jego dawnej chwale. Ta odbudowa miała dokonać się za sprawą dwóch mesjaszów: kapłańskiego z pokolenia Lewiego i królewskiego z pokolenia Judy. Faryzeusze w przeciwnieństwie do esenicków uznawali wyższość mesjasza-króla, z tym jednak, że miał go wyprzedzić w czasie mesjasz kapłański w postaci nowego Eliasza. Nazarejczycy wierzyli, że tym Eliaszem był Jan Chrzciel, który utoraował drogę Jezusowi, przyszedłemu wskrzesicielowi Królestwa Bożego na ziemi. I teraz tu w Jerolimie Jezus otwarcie potwierdził swoje mesjanistyczne roszczenia. Ogłoszenie się królem było przede wszystkim aktem buntu przeciwko cesarzowi, ale także wypowiedzeniem wojny rządzącej klice kapłańskiej w Jerolimie.

Jakie miał zamierzania Jezus, tego nie wiemy, gdyż później chrześcijanie, jak powiada Strauss, z tragicznego niepowodzenia jego misji w Jerolimie (nawet uczniowie jego opuszczają go) zrobili coś, co się stać musiało i z góry było zaplanowane. Wiemy jedynie tylko to, że odąd postępowe na bezkompromisowo, nie licząc się z niebezpieczeństwem, jakie sięgał na swoją głowę. Głosił, że do przyszłego Królestwa Bożego będą dopuszczani jedynie tylko ubodzy, pokorni, upośledzeni ludzie, natomiast pyszni, wyniośli, gwałtowni i bogaci jako ulubienicy szatana nie będą mieli tam dostępu. Krytykował Prawo, potępiał religijną obłudę kapłanów, faryzeuszy i uczonych w Piśmie, lekcewazył rytualne przepisy szabatu i spożywania potraw, a przede wszystkim zapowiedział zburzenie Jerolimy, wywołując poploch i oburzenie w mieście.

Jednakże najbardziej rewolucyjnym krokiem było rozprzieszczenie republikanów na dziedzińcu świątyni. Musiało to zaalarmować nie tylko władze świątynne, ale i nie mniejszym stopniu rzymską załogę, która stacjonowała w warowni Antonia, połączonej z dziedzińcem bezpośrednią klatką schodową. Od tej chwili ewangelici w swoich relacjach wyraźnie gubią się i płaczą. Bo kto jak kto, ale właśnie Rzymianie przede wszystkim nie mogli nie zauważyć niewątpliwie buntowniczych poczynań Jezusa, skoro sięgnęli wszystkie swoje wojska do zatłoczonego ludźmi miasta, aby czuć tam nad porządkiem. Toteż nowego pretendenta do tronu królewskiego, tym niebezpieczniejszego, że wyszedł z Galilei, siedliśka wielu innych tego rodzaju proroków, według wszelkiej logiki powinni byli natychmiast ująć i unieszkodliwić, aby zapobiec dalszym zamieszkom.

Tymczasem, co się dzieje według ewangelistów: Piłat, ten brutal i despotyczny urzędnik rzymski, którego trudno chyba posadzać o pobłażanie czy opieszalszość w tego rodzaju sprawach, a który już wiele innych proroków skazał na śmierć, nagle staje się ślepy i głuchy na to, co się dzieje w mieście. A gdy wreszcie Żydy przyprawiają Jezusa przed jego trybunał, oskarżając o to, że buntuje ludzi i mieni się królem Izraela, Piłat na wszelki sposób próbuje go ocalić.

Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że opowieść ewangelistów nie ma nic wspólnego z historią. Ich wersja jest całkowicie sprzeczna z charakterem Piłata, z tym wszystkim, co o nim wiemy sądzają, szczególnie z relacji Filona z Aleksandrii i Józefa Flawiusza. Dzwinnie jest jeszcze i to, że na przykład Łukasz, podając nam tę niedorzeczną wersję, doskonale zdawał sobie sprawę, kim w rzeczywistości był Piłat. Pisze przecież o Galilejczykach, których krew zmieszał on z krwią ich ubogich (15,1), z czego należy wnosić, że Piłat dopadł ich w chwili, gdy składali ofiary. Przez implikację Łukasz oskarża więc Piłata o popelnienie profanacji świątyni. Spotykamy się tu z jedną z tych niezrozumiałych niekonsekwencji w tekstach ewangelicznych, które nie wiadomo, jak sobie tłumaczyć, czy naiwnością autorów, czy też faktem, że ewangelie są może kompilacją różnych, nie skoordynowanych podań ludowych.

A więc według ewangelistów jedynie tylko Żydy zareagowali na postępowanie Jezusa i oni też kazali go pojmać swojej straży świątynnej. Jednakże Janowi nieobecność Rzymian wydawała się wiadą nie bardzo wiarygodną, wobec tego wśród osób aresztujących Jezusa wymienia także kohortę regularnego wojska rzymskiego. Ale w ten sposób zarówno sobie, jak też i pozostałym ewangelistom zadaje kłam, jakoby Rzymianie nie mieli z tym nic do czynienia. To, co w dalszym toku narracji dzieje się z Jezusem, jest dla nas zaskoczeniem. Albowiem przed Sanhedrynem wcale nie oskarża się o to, że podaje się za króla izraelskiego, lecz o to, że otwarcie zwal się Synem Człowieczym, który zasiadnie na prawicy Boga w obłokach niebieskich. Arcykapłan uszył to za tak straszne bluźnierstwo, że rozdarł swoje szaty, a członkowie Sanhedrynu wśród płwiania i bicia skazali

go na karę śmierci. Był to więc proces religijny, a nie polityczny.

Żydy mieli wprawdzie prawo ferować wyroki w sprawach religijnych, wszelako dla wyroków śmierci musieli uzyskać aprobatę prokuratora rzymskiego. Ale w wypadku Jezusa następuje znów coś, co zakrawa na absurd. Zamiast iść prostą drogą najmniejszego oporu i starać się o uzyskanie zatwierdzenia wydanego wyroku, Żydy nie stąd, niż ową komplikują sprawę, oskarżając Jezusa o zbrodnie polityczne. W ten sposób wszczynają niejako zupełnie nowy proces i żądają od Piłata, aby od siebie wydał odrębny wyrok, nie mający z wyrokiem religijnym Sanhedrynu nic wspólnego. Ale nawet ten nowy proces, mający charakter polityczny, wydawał się łatwy do przeprowadzenia. Wszyscy w mieście wiedzieli, co Jezus głosił i czynił, nie potrzebowało na to żadnych specjalnych świadków. Ponadto, jak wiemy, Piłat nie należał do ludzi, którzy mieli w tego rodzaju sprawach jakieś zahamowania. Tymczasem ko naszemu zdumieniu ewangelicista przedstawia Piłata jako wyrzuczonego, nierychliwego i niemalże humanitarnego sędzię, którego z zyczliwością przesłuchuje Jezusa, ogłasza go niewinnym i robi wszystko, aby go ratować przed zawziętością Żydów.

Oto, jak pisze o tym Łukasz: „I wszystko ich mnóstwo powstało i zawiedli go Piłata. I poczęli go oskarżać, mówiąc: Tęgodzy znaleźli podburzającego nasz naród i zakazującego płacić daniny cesarzowi i mówiącego, że jest Chrystusem-królem. I zapytał go Piłat, mówiąc: Tyś jest król żydowski? A on odpowiadając, rzekł: Sam mówisz. A Piłat rzekł do przedniej ściany kapłanów i do reszcy: Wiem znajduję żadnej winy w tym człowieku” (23,1-4). Absurdalność tego opowiadania wprost bije w oczy. Jezus oskarża się o czyny, które w myśl prawa rzymskiego należały do najcięższych zbrodni obrazy majestatu, do kategorii „crimen laesae maiestatis”, a prokurator rzymski nie przeprowadzając żadnego śledztwa uniewinnia go od ręki. Nie uczyniłby tego, ani nie mógłby uczynić żaden, nawet najbardziej liłociwszy przedstawiciel władzy rzymskiej, a cóż dopiero Piłat.

Nawet gdyby Piłat z punktu widzenia prawa rzymskiego uznał Jezusa za niewinnego, to według ówczesnej procedury ydylał go Żydom, którzy wówczas zastosowaliby karę śmierci na swoją zwyczajową modłę, polegającą na ukamienowaniu, spaleniu na stosie, powieszeniu lub ścięciu mieczem. Tymczasem Piłat udaje prejis i groźbom pospółstwa i skazuje Jezusa na typowo rzymską karę ukrzyżowania, przejętą w spadku po Kartaginńczykach, a stosowaną wobec niewolników i przestępców politycznych. Procedura była do tego stopnia rzymska, że nawet ciało Jezusa trzeba było wyprosić od Piłata. A więc spotykamy się tu z nową sprzecznością, która skłania nas do zapytania, kto w końcu jest odpowiedzialny za śmierć Jezusa: Żydy, jeśli wierzyć ewangelistom, czy raczej Rzymianie.

Opanujemy w tych opowieściach zamęcie świadczą jeszcze takie fakty, że w opinii wybitnych historyków lud palestyński nigdy nie posiadał przywileju żądania wymiany jednego przestępcy na innego, w naszym konkretnym wypadku Jezusa na Barabaszę. Ponadto Mateuszowi pomyliło się coś z tym symbolicznym gestem umywania rąk po wydaniu wyroku śmierci. Był to zwyczaj żydowski, a nie rzymski. Wąpić nalezy, czy Piłat zaadapował go do swej procedury sądowej, zwłaszcza że nie znosił wszystkiego, co było żydowskie, a wypieranie się w tak upokarzający oportunistyczny sposób odpowiedzialności za śmierć Jezusa zupełnie nie zgadzało się z jego wyniosłym apodyktycznym usposobieniem. Są to wszystko urojenia autorów, którzy pozbawieni byli wiedzy i wyobraźni historycznej.

Historcy już od dawna mieli poważne wątpliwości co do procesu Jezusa przed Sanhedrynem. Przede wszystkim zapytywali, skąd ewangelicista mogli tak dokładnie znać jego przebieg, skoro nawet najbliżsi towarzysze Jezusa nie byli tam obecni. Przecież według najstarszej wersji ewangelicznej oni „wszyscy, opuściwszy go, uciekli”. Gdy Mateusz, Marek, Łukasz i Jan spisywali swoje wersje, minęło od czasu procesu kilkadziesiąt lat, a już sam fakt, że różni się w tak wielu szczegółach, świadczy, że podana przez nich relacja oparta była na niepewnych i zawodnych przekazach z drugiej czy z trzeciej ręki.

Mateusz i Marek piszą o dwóch procesach przed Sanhedrynem. Pierwszy odbył się wieczorem, a drugi w godzinach rannych. Natomiast Łukasz i Jan wspominają tylko o jednej, porannej rozprawie. Sędzia sądu najwyższego w Izraelu i profesor historii prawa narodu żydowskiego Hairr Cohn twierdzi, że rozprawa sądowa Sanhedrynu po zachodzie słońca, zwłaszcza w Wigilie Paschy, kiedy kapłani zajęci byli przygotowaniem związanymi z rytuałem wielkiego święta oraz z uroczystym wspólnym posiłkiem paschalnym, w żaden sposób nie mogła się odbyć („Israel Review” XI z 1967). A wybitny biblista protestancki, wykładający na uniwersytecie w Getyndzie, E. Lohse wykrył w opowieści ewangelistów aż 21 pogrwałceń procedury prawnej Sanhedrynu.

Mając to na uwadze, niektórzy bibliści doszli do przekonania, że proces Jezusa przed Sanhedrynem w ogóle nie mógł mieć miejsca. I rzeczywistość, jeśli ustęp dotyczący tego procesu wylimnować z kontekstu, okaże się, że pozostała część opowieści

ewangelistów staje się naraz jakby bardziej przekonującej.

Na trop, co naprawdę się stało, naprowadza nas Jan w swojej wersji. Przede wszystkim, jak to już wiemy, twierdzi on, że Jezusa aresztowali nie tylko Żydy, ale że brali w tym czynny udział również Rzymianie. A jeszcze przedtem kapłani na wspólnej naradzie tak oto rzekli: „Jeśli go [Jezusa] tak zostawimy, wszyscy weń uwierzą i przyjdą Rzymianie i zbiorą i kraj nasz, i naród”. Wówczas arcykapłan Kajfasz powiedział: „... lepiej jest, aby jeden człowiek umarł za naród, niż żeby cały naród miał zginąć” (J. 1,48-50).

Wynika z tego nieodprzecie, że Jan jakby mimo woli zdradza to, czego u pozostałych ewangelistów nie widać jasno, mianowicie że aresztowanie Jezusa było umotywowane względami politycznymi, a nie religijnymi. Rządząca kasta kapłanów, mając w rękę władzę i bogactwa, bała się jak ognia wszelkich perturbacji społecznych, które mogłyby Piłatowi podsunąć pretekst do gwałtów i narażić na szwank ich stan posiadania. A Jezus zbył żywo przypomniał swoje mesjaszy i proroków, którzy raz po raz zjawiali się na widowni Palestyny, wywołując zamieszki i rozlew krwi. Kapłani, szczególnie Annasz, któryemu nawet tradycja rabinacka wypomina denuncjację polityczną, przyłożyli rękę do tego, że Jezusa zawleczono przed trybunał rzymski i skazano na ukrzyżowanie jak każdego innego przestępcę politycznego.

Przypuszczalnie tak właśnie wyglądał rzeczywisty przebieg wydarzeń. Proces przed Sanhedrynem, wtopiony w tkankę opowieści bez troski o logiczne powiązanie go z kontekstem, rozbija swoimi rozbieżnościami dramaturgię podstawowej akcji, wyprowadza do niej konfuzję, tak że w rezultacie czytelnik traci orientację, aż do Jezus został właściwie skazany: czy za nazwanie siebie Synem Bożym, czy też za głoszenie, iż jest potomkiem Dawida i królem izraelskim.

Kto dał początek wersji o procesie przed Sanhedrynem i co złożyło się na to, że w ogóle taki pomysł powstał? Można by przypuszczać, że inicjatorem był Marek, że Mateusz i Łukasz tylko powtarzają to, co u niego wyuczali. Ale o procesie pisze także Jan, o którym wiemy, że nie korzystał z ewangelii tych trzech synoptyków. A zatem jego tego pomysłu trzeba szukać gdzie indziej. Już Paweł oskarżył Żydów, że są decydami. Jednakże sam proces, tak jak znamy jego przebieg z ewangelii, jest najprawdopodobniej dramatycznym uprzedmiotowieniem nastrojów wrogości i nienawiści w stosunku do Żydów, jakie panowały w środowiskach chrześcijańskich w pierwszych latach po zburzeniu Jerolimy, kiedy na skutek dużego napływu żydowskich uchodźców do miast helleńskich dochodziło do ostich starć i rywalizacji między gminami obu spokrewnionych ze sobą wyznań.

W trakcie tych sporów i wzajemnych oskarżeń ugrotnowało się wśród chrześcijan przekonanie, że nie Rzymianie są odpowiedzialni za śmierć Jezusa, lecz Żydy, którzy skazali go za to, iż objawił się im jako Syn Boży, że przeto oni są mordercami Boga. Ów ciężki zarzut, który zrazu był niczym innym, jak tylko polemicznym orężem w zaciętej, pełnej gorczy walce, rchył stał się w przekonaniu wyznawców Jezusa niezaprzekalnym faktem historycznym. Toteż ewangelicista, przekazując potomońców będącą w obiegu wieść o procesie, uczynili to na pewno w głębokiej wierze, że piszą prawdę.

W ewangelii można nawet przedśledzić ewolucję tych antyżydowskich nastrojów. W dwóch najdawniejszych, mianowicie w Ewangelii Marka i w Ewangelii Mateusza, o wydanie Jezusa Rzymianom i wymuszenie na nich jego skazania wini się wyłącznie przywódcom żydowskich (Mt. 27,1; Mk. 15,1). Przypuszczalnie ta wersja, chronologicznie przecież najdawniejsza, najbardziej jest zbliżona do prawdy. Natomiast w dwóch pozostałych ewangeliiach oskarżenie to wymierzone było nie tylko przeciwko żydom, lecz także przeciwko wszystkim Żydom w ogóle. Mianowicie według Łukasza śmierci Jezusa domagają się tłumy zebrane przed pałacem Piłata, jeśli zaś chodzi o Jana, to zarzut ten tkwi domyślnie w powiedzeniu, iż „Żydy” wyprowadzili go i ukrzyżowali.

W bezpośrednim związku z antyżydowskimi nastrojami pozostaje łatwo zauważalna w ewangeliiach tendencja rehabilitowania Piłata. Podłożem tego zjawiska były zmiany, jakie stopniowo dokonywały się w strukturze klasowej gmin chrześcijańskich. Nad biedotą, która pierwotnie tworzyła większość wyznawców, brali stopniowo górę przedstawiciele średnich, zamocnijszych warstw społecznych, ludzie posiadający własne własztwa ziemnieczne lub inne prywatne przedsiębiorstwa.

W trosce o zachowanie swego ustabilizowanego trybu życia, zamazywali oni w chrystianizmie wszelkie ślady pierwotnego radykalizmu społecznego, a władze rzymskie pragnęły wszelkimi sposobami przekonać, że wyznawcy Jezusa zawsze byli lojalnymi poddanymi cesarzowi. W czasach, kiedy pamięć o krwawym powstaniu w Palestynie nie wygasła, pierwszym warunkiem pozyskania zaufania władzy było wykazanie, że chrześcijanie nie mają nic wspólnego z Żydami, że, przeciwnie, Żydy byli ich

największymi wrogami, bo torturowali i zabili twórcę ich religii.

Jako świadka podawali Poncjusza Piłata, byłego prokuratora Judei, który jakoby nie miał żadnych zastrzeżeń co do lojalności chrześcijan, bo uznał niewinność Jezusa i jeżeli skazał go na ukrzyżowanie, to uczynił to wbrew swemu przekonaniu pod presją żydowskiego motłochu.

Jak z tego łatwo wnosić, opis charakteru i postawy Piłata podkrywany został przez bieżące potrzeby apologetyczne. Rzecz zadziwiająca, z jaką beztrością ewangeliczy, świadome czy na skutek naiwności ignorowali oczywiste fakty historyczne, a nawet dopasowywali biografie Jezusa do bieżących potrzeb polityki. W formie bardziej zawaolowanej przyznał nawet Kościół. W Konstytucji dogmatycznej o Objawieniu Bożym, uchwalonej na II Soborze Watykańskim, czytamy między innymi: „Święci zaś autorowie napisali cztery Ewangelie wybierając niektóre z wielu wiadomości przekazanych ustnie lub pisemnie; ujmując pewne rzeczy syntetycznie lub objaśniając, przy uwzględnianiu sytuacji Kościołów”. W nawiązaniu do tej uchwały autor katolicki K. Romaniuk („Znak” IV, V z 1975 r.) niejako stawia kropkę na „i”, wyrażając dziwny pogląd, że pojęcie historyczności nie sprzeciwia się „takiemu prezentowaniu problemu Jezusa, by zawsze były uwzględniane potrzeby Kościołów”. Inaczej mówiąc, ewangeliczy mieli prawo do celów utylitarnych przerabiając biografie Jezusa.

Każdy z ewangelistów opisuje przebieg procesu przed trybunałem rzymskim na swój własny sposób, ich warianty łączą jednak wspólna tendencja. Widac w nich wyraźnie stopniowe wzrastanie napięcia w kampanii odcięcia się od Żydów i przedstawienia Piłata jako zdecydowanego obrońcy Jezusa, przy czym Jan w wybieleniu rzymskiego prokuratora posunął się najdalej. W najstarszej ewangelii, jaką jest ewangelia Marka, opis procesu jest jeszcze względnie rzeczowy i zwyczaj. Piłat jest tam wprawdzie przekonany, że Jezus jest niewinnie i usiłuje go ratować przez podstawiwanie na jego miejsce Barabasa, szybko jednak ulega presji Żydów, które go wybielają i odprowadzają na Golgotę. Wyrok więc wydając uderzająco pospiesznie, nie krepując się zbyt skrupuła, jakie wtedy odczuwał.

Matuzszowi, który jak wiadomo znał dobrze ewangeliję Marka, taki Piłat musiał wydawać się zbyt słabo zaangażowany w los Jezusa, aby mógł stanowić dostatecznie mocny argument w apologetycznej kampanii. Wobec tego postawił sobie za cel w procesie wzbogacić o dwa epizody, mające bardziej przekonująco uwidocznić, że Piłat grał na zwłokę i robił wszystko, co mógł, by ocalić Jezusa. Przede wszystkim wprowadza do akcji nową osobistość, o której nie wspomina żaden inny ewangelista, mianowicie małżonkę prokuratora. Pewnej chwili posyła ona do męża posłańca z następującą prośbą: „Nic nie czyni temu sprawiedliwemu, bom dzisiat we śnie wiele cierpiała z jego powodu” (27,19).

Piłat istotnie stara się uratować Jezusa, gdy wszakże napotyka burzliwych opór kapłanów i tłumy żydowskiego, kapitułowe. W tym jednak momencie Matuzsz wprowadza drugi epizod, również nie znany pozostałym ewangelistom, mianowicie pamiętną scenę umywania rąk. Piłat, dokonując tej symbolicznej ablucji, oświadcza Żydom: „Nie winienem ja krwi tego sprawiedliwego. Wasza to rzecz”. (27,24).

Wprowadzając do opowieści ow raczej teatralny epizod, Matuzsz pragnął podkreślić, że mimo wydania wyroku śmierci, Piłat niezłomnie wierzył do końca w niewinność Jezusa i że nie ważył się tego otwarcie powiedzieć w oczy Żydom, którzy wywarli na niego presję.

I oto w tym momencie opowiadania następuje zupełnie nieoczekiwany zgrzyt. Przed ukrzyżowaniem bowiem Piłat wydaje Jezusa na tortury swoim żołdakom, nie zmuszony do tego przez nikogo, a więc z własnej, nieprzymuszonej woli. Jak widac, mamy tu do czynienia z niedorzecznością, zgoda niezrozumiałym brakiem logiki w rysowaniu osobowości Piłata, który raz jest człowiekiem sprawiedliwym, by za chwilę okazać się zwykłym okrutnikiem, jakim zresztą był w rzeczywistości. Matuzsz tym potknięciem mimo woli sprawił, że spoza legendy, którą sam zbudował, wyciera naraz prawdziwa historia procesu i prawdziwe oblicze rzymskiego dostojnika.

Lukas, o którym wiemy, że obdarzony był bogatszą wyobraźnią niż dwaj jego poprzednicy, przeczennie omija tę pułapkę. Po prostu w jego wersji nie ma ani słowa o tym, że w przedsiwnku pretorium żołnierze bicowali Jezusa. Lukas usunął ostatnią przeszkodę, która kompromitowała legendę o niewinności Piłata, a jednocześnie osłabił to, że Żydzi, którzy bili i policzkowali Jezusa przed Sanhedrymem, stanęli samotni pod przegierzem historii.

Zgodnie z tendencją oczyszczenia Piłata z wszelkiej odpowiedzialności, Lukas opowiada o nim, że aż trzy razy ogłosił Jezusa niewinnym i aż trzy razy podjął trud obronienia go przed zawziętością Żydów. Grając wszelkimi sposobami na zwłokę, odsyła go do Heroda Agryppy, aby ten zbadał, na czym polega jego nauka. Herod i jego dworacy wysydzają Jezusa, ale zwracając go Rzymianom obelżonego w białą szatę na znak, że nie dopatrzeli się w nim żadnej winy. Wówczas Piłat tak przemawia do ludu żydowskiego: „Wydaliście mi tego człowieka jakoby

uwodzącego lud, a oto ja badając go w waszej obecności, nie znalazłem w człowieku tym żadnej winy z tego, o co go oskarżacie. Ani też Herod, bom was odesłał do niego - oto nie dowiedziono mu nic godnego śmierci” (23,13-1).

Jan potraktował problem bicowania inaczej niż Lukas. Nie wykreślał tak jak on, tego epizodu z przebiegu procesu, widocznie sądząc, że nie można tego zrobić, skoro bicowanie tak silnie zrosło się z tradycją Wielkiego Tygodnia. Interpretuje je wszakże w tak przemyślny sposób, że nie przynosi ono ujmy Piłatowi, lecz przeciwnie, stawia go w świetle korzystnym. W Ewangelii Jana Piłat chce, jak winnych ewangelich, uwolnić Jezusa i także natrafia na protest Żydów. A nawet każe go wybielować, tylko że przyczyną tej decyzji nie było bezmyślne okrucieństwo, lecz chęć ratowania Jezusa. Miał bowiem nadzieję, iż Żydzi, skoro ujrzą zmaltretowanego skażanca, ulitują się nad nim i wyrażą zgodę na darowanie mu życia. W tym celu wyprowadza Jezusa, uwięzionego koroną cierniową i ubranego w szkarłatną szatę, przed pałac i wola do tłumy: „Oto człowiek!”.

Trud okazał się jednak daremny. W jednej z najdramatyczniejszych, najbardziej wstrząsających scen Nowego Testamentu prokurator rzymski dwukrotnie podejmował walkę o ratowanie życia Jezusa, ale Żydzi byli nieugięci w swym morderczym uporze i wołali: „Ukrzyżuj, ukrzyżuj go!”. Zniciერილერი odwiekaniem sprawy w końcu zagrozili, że zwrócą się z zażaleniem do samego cesarza. Wówczas zrezygnowany Piłat zasiadł na krześle kurulnym, by wydać wyrok. Wciąż jeszcze nie wyzbył „się skrupułów i w ostatniej chwili zapłtył z gorczą: „Króla waszego mam ukrzyżować?” A kapłani na to odparli: „Nie mamy króla, jeno cesarza”.

O popularności Piłata wśród chrześcijan jako urzędnika rzymskiego, który szlachetnie i sprawiło mu obszedł się z Jezusem, świadczy bogata literatura zajmująca się jego rehabilitacją, zaliczana dziś do apokryfów. Jest to cykl o Piłacie, złożony z siedmiu osobnych, rzekomo historycznych sprawozdań, zawierających także cztery jakoby przez niego napisane listy do cesarzy Klaudiusza i Tyberiusza. Autorzy nie są nam znani, jednak byli to ludzie, których cechowała bujna fantazja i bezgraniczna naiwność. To bowiem, co dają nam oni do wierzenia, są to wręcz niewiarogodne rzeczy. Jednakże nie należy zapominać, że w ówczesnych czasach łatwo wierność gorliwych wyznawców, spragnionych wiedzy z życia Jezusa, nie znała granic. Czytali oni te opowiastki z taką samą wiarą i nabożną powagą, jak ewangelie kanoniczne. Oto niektóre próbki tej literatury. Jeden z tych anonimowych autorów opowiada, że Piłat zainteresował się Jezusem, przysлучившись się jego naukom i uznał go za wielkiego mędca. Toteż gdy pod presją Żydów był zmuszony poddać go indagacji, zaprosił go w sposób bardzo uprzejmy przez posłańca, który złożył mu głęboki ukłon i rozpostarł przed nim swój płaszcz. Gdy Jezus wszedł w próg pałacu, stał się cud. Znaki cesarskie, dzierżone w rękę przez żołnierzy straży przybożnej, same się pochylały przed przybyszem. Piłat nie wierzył własnym oczom i kilkakrotnie kazał tę scenę powtórzyć, ale zawsze stało się to samo: znaki przezwyciężając opór rąk żołnierskich pochylały się przed dostojnym gościem. Wtedy prokurator zerwał się ze swego krzesła i przyjął Jezusa stojąco.

Podczas rozprawy Żydzi wystąpili z oskarżeniem, że Jezus urodził się z nierządu (autor nawiązuje tu niewątpliwie do plotek, jakie krążyły o Marii), że był przyczyną śmierci pierwotnych dzieci betlejemskich, a przede wszystkim, że udrzucał chorych w święto szabat. Dwunastu apostołów pełniło rolę świadków obronnych i Piłat w pewnej chwili zawołał: Niechaj słońce będzie mi świadkiem, że nie widzę żadnej winy w tym człowieku! Inny twórca tego samego cyklu utrzymuje, że nie tylko Piłat i jego małżonka przyjęli Jezusowi, ale także sam Tyberiusz. Gdy dowiedział się o jego ukrzyżowaniu, srogo się rozgniewał, sprawozdali Piłata do Rzymu i ukarał go śmiercią. Gdyby ktokolwiek miał wątpliwości, czy ten stroniący od ludzi, ponury i twardy cesarz był w stanie okazać aż tak emocjonalne zainteresowanie dla jakiegos nieznanego proroka palestyńskiego, to z niepewności w tym względzie wyprowadzi go inny apokryf. Dowiase się z niego, że Tyberiusz miał tu swoje bardzo osobiste motywacje postępowania. Mianowicie rzecz polegała na tym, że gdy pewnego razu zapadł na śmiertelną chorobę, u jego łóżka zjawiała się Weronika (znana nam stać, że to ona przyłożyła chustę do umęczonego oblicza Jezusa) i uleciała go dotknięciem ręki. Tyberiusz pod wrażeniem tego cudu stał się wyznawcą Jezusa i kazał się ochrzcić.

Ostatyczny los Piłata nie wszyscy autorzy cyklu przedstawiają w ten sam sposób. Z wyjątkiem chyba jednego autora, który utrzymuje, że Piłat zginął z wyroku cesarza (przy czym cesarzem tym był Neron, a nie Tyberiusz), przeważała opinia, że zginął śmiercią samobójczą, a wersja ta została popartą autoritetem historyka Kościoła Euzebiusza, który informuje nas dokładnie, iż stało się to za panowania Kaliguli. Zastanawia nas to, że człowiekowi, którego przecie na siłę wybielano, przypradła w udziale śmierć tak mało chwalebna, śmierć wyraźnie widziana jako kara. Prawdem było chyba to, że nie dało się wymazać z

świadomości chrześcijan tego oczywistego faktu, że ostatecznie Piłat był tym, który mógł zapobiec ukrzyżowaniu, a nie uczynił tego z chłóbstwa, czy z oportunistycznym względem politycznych. Ta wina ciążyla na nim nadal i musiała być okupiona. Byli jednak pisarze, którzy i z tego dylematu próbowali wybrać. Świadczy o tym jeden z rękopisów listów Piłata adresowany do Tyberiusza, a odnaleziony niedawno wśród starych papierów w Liverpoołu. Wysłany do archiwum watykańskiego dla uzyskania ekspertyzy co do jego historyczności, wrócił z opinią, że jest to apokryf pochodzący z IV lub V stulecia, przy czym nie wyklucza się, że niektóre podane w liście fakty są prawdziwe. Dla nas wartość tego dokumentu polega na tym, że odwiecieciedla panującej w ówczesnych chrześcijańskich tendencji do zdjęcia z osoby Piłata tego ostatniego piętna, o którym mówiliśmy. W tej wersji Piłat czyni rozpaczałe wysiłki, by ratować Jezusa, czuje się jednak bezsilny wobec zburzonego motłochu żydowskiego, groźnie domagającego się ukrzyżowania Jezusa. Miał bowiem przy sobie tylko garstkę podstarzałych weteranów niezdolnych do stawienia oporu tej podburzonej masie fanatyków.

Dwukrotnie błagał Rzym i namiestnika Syrii o posilk, ale odpowiedzią było głuche milczenie. Dopiero nazajutrz po ukrzyżowaniu, kiedy po nie przespanej nocy spojrzal o świecie na miasto, uslyszal nagłe granie tręb i kroki wracającego wojska. Liczyło ono dwa tysiące pieszych i konnych żołnierzy, ale pomoc przyszła za późno, nieszczęścia już nie można było odwrócić. Gdy czyta się tę apoloję, napisaną wyjątkowo żręcnie i sugestystycznie, odnosi się wrażenie, że miała ona przede wszystkim usprawiedliwić proces dążący od lat do kanonizacji nie tylko Piłata, ale także jego małżonki. Wprawdzie w Kościele łacińskim nie doszło do przyjęcia ich w poczet świętych, ale w kalendarzu Kościoła koptyjskiego i etiopskiego 25 czerwca figuruje jako dzień świętego Poncjusza Piłata i świętej Prokli.

Jak wiemy, o żonie Piłata pisze tylko Matuzsz nie wymieniając jej imienia. Pozostali ewangeliczy nie wspominają jej, ani jednym słowem, z czego raczej wynika, że jest to postać fikcyjna, która zrodziła się w wyobraźni samego Matuzsza lub też w lokalnym środowisku, skąd czerpał materiał informacyjny do swojej ewangelii.

Owary legendy osnuwają również dodatkowe informacje, mające w zamierzeniu autora urealnica postać tej kobiety. Tak na przykład apokryf Akta Piłata, nie wiadomo na podstawie jakiego źródła, podaje, że użyła jej na imię Klaudia Prokula. W Kościele wbito ją za nią cichą wyznawczynią Jezusa, chociaż Origenes był innego zdania. W jego przekonaniu była ona prozelitką judaizmu; zapoznawszy się z mesjańskimi prorocztwami Starego Testamentu zrozumiała, kim był Jezus. Inaczej znowu jest w staroruskim przekładzie Wojny żydowskiej Józefa Flawiusza. Nieznany tłumacz tego dzieła podaje w tekście inny motyw jej postępowania: podobno Jezus udrził ją, gdy kiedyś leżała śmiertelną chora.

Zapytajmy teraz, stanawszy na pewniejszym gruncie historii, co działo się z Piłatem z chwilą, gdy został odwołany z Judei. Otóż, niestety, nie mamy nawet najdrobniejszego dowodu potwierdzającego przekazy o jego nienaturalnej śmierci. Przepuszczalnie kontynuował karierę przyklądowego urzędnika rzymskiego, istnieją bowiem pozostałości, że był jeszcze rzdąc jedną z rzymskich prowincji w południowej Galii. Warto tu dodać nawiasowo, że w ruinach odkopanego w Cezarei teatru znaleziono tablicę kamienną z wrytym nazwiskiem Poncjusza Piłata. Jest to nieodparty dowód, że rezydował on tam istotnie jako prokurator.

Nie można się dziwić, że nie przestał on fascynować i niepokoić zarówno laików, jak też i badaczy naukowych. Bo też jest on zjawiskiem w historii raczej rzadkim i osobliwym. Pojawił się na krótko tylko w jednym z epizodów dramatu pasyjnego, a jednak od bez mała dwóch tysięcy lat, rok w rok z nastaniem Wielkiego Tygodnia imię jego jest wymawiane przez miliony ludzi w setkach tysięcy kościołów.

Zapewne nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, że dzięki jakimś nieznanemu żydowskiemu reformatorowi religijnemu imię jego po wszystkie wieki stanie się sławne. Zalicza się on do tych postaci dziejowych, które były tworzone, a nie podjętym historii, które nie żyły w historii, lecz zostały przez nią stworzone. Do jej Panteonu wszedł on jako wybraniec przypadku, bez najmniejszego udziału ze swej strony.

Brak pewniejszych informacji o Piłacie bynajmniej nie skłonił naukowców do opuszczenia rąk. Metodą niejako okrezną, składającą w mozaikę fakt po fakcie, potwierdzili to, co o nim pisał Józef Flawiusz, a także Filon z Aleksandrii, który nazwał go człowiekiem twardym, przepuknym, wzgardliwym i okrutnym. Przede wszystkim zwrócili uwagę na jego pochodzenie klasowe. Jako Samnita i właściciel posiadłości ziemskiej w swojej gorzystej ojczyźnie należał do warstwy ekwitów.

Jak wszyscy Rzymianie był pełen uprzedzeń, uważając, że poza Italią żyją tylko sami barbarzyńcy, ludzkie nieokrzesani i godni pogardy. Oczywiście ten arystrykatyzm dał się we znaki Żydom, którzy podlegali jego władzy.

Ale jego antyżydowska postawa miała jeszcze drugie, ważniejsze źródło. Tkwiło ono w samym Rzymie. Otóż w 26 r. Tyberiusz przeniósł się na Capri, gdzie wybudował sobie wspaniały pałac. W Rzymie rzdził oddat wszechwładnie jego fawory i dowódca straży pretoriańskiej Lucius Aelius Seianus. W tymże samym roku Piłat został mianowany prokuratorem Judei. Ponieważ nie mogło odbyć się to bez zgody Seianusa, należał wnioskować, że Piłat był jego klientem i rzecz jasna trzymał się linii politycznej swego modocady. A Seianus był zacietym wrogiem Żydom, których w Rzymie było około czterech tysięcy: posyłał ich na śmierć lub do błotnistych okolic Sardinii, gdzie ginęli od malarii. Gdy Tyberiusz skazał go na śmierć za przygotowanie zamachu stanu, Piłat utrzymał się w Judei jeszcze pięć lat. Przepuszczalnie dlatego, że stanowisko prokuratora zbiegającej prowincji żydowskiej było zbyt podreżone, by w wielkiej polityce Rzymu mogło zabawić jakiś atrakcyjny przedmiot przetargów. A może w czasie zamieszania, jakie pociągnął za sobą nagły upadek wszechmocnego faworyta, po prostu o nim zapomiano.

Pogląd, że Jezus był w rzeczywistości skazanym przez Rzymianam powstańcem, który usiłował podważyć lud żydowski do walki z okupantami i z kolaborującą z nimi arystokracją kapłańską, bynajmniej nie jest nowy. Już od drugiej połowy XVIII wieku głosiła go plejada znanych bibliistów i historyków, między innymi cytowany wyżej hamburski orientalista H.S. Reimarus, bibliista E. Eisler, teoretyk socjaldemokracji K. Kautsky, głosny lekarz-filozof Albert Schweitzer, A. Robertson, autor znanej książki Pochodzenie chrześcijaństwa, a w latach sześćdziesiątych naszego wieku angielski religioznawca F. Brandon, którego dwie obszerne, naukowo udokumentowane monografie Jezus i zeloci oraz Proces Jezusa z Nazaretu wywołały swego czasu lawinę polemik.

Nie będziemy się tu zajmowali szczegółowym omówieniem poglądów każdego z wymienionych autorów z osobna. Podkreśliśmy w skrócie to tylko, co jest im wspólne, co składa się na główny zgrub ich argumentacji w obronie tezy, której są rzecznikami. Już sam demonstracyjny wjazd Jezusa do Jeruzolimy oraz potwierdzenie, iż jest królem izraelskim, były według nich aktem rewolucyjnym, rękawicą rzucaną Rzymianom i kapłanom świętym. Tym krokiem zamierzal on niejako przymusić Żydom do chwycenia za broń, a pewnym potwierdzeniem tej intencji jest fakt, że ten jego przemówień stawał się coraz bardziej surowy i apokaliptyczny. Jakże wówczas inaczej wytłumaczyć sobie ten samobójczy krok. Trudno przecieć przyjąć dość fantastyczną tezę angielskiego bibliisty Carmichaela, który w książce Śmierć i życie Jezusa z Nazaretu twierdzi, że Jezus szedł dobrowolnie na śmierć, gdyż ją zaplanował, aby spełniło się proroctwo Starego Testamentu. Jednakże głównym argumentem wymienionych bibliistów jest wypędzenie przekupniów ze świątyni. Odrzucają oni wersję ewangelii jako kalkowiec niewiarygodną. Jest bowiem nie do pomyślenia, aby Jezus mógł sam wypędzić z gmazdzicy świątynnego tłumy ludzi, które tam się gromadziły i to tylko bicem ukroczym w powroza. Przecież ludu w świątyni pilnował garnizon wojska rzymskiego liczący podobno tysiąc żołnierzy, tudzież straż świątynia uzbrojona w kije i pałki. Nierozecznością jest przeto utrzymać, że Jezus mialby na osłep rzucić się na te tłumy z gołymi rękami i wyjść z tego szaleństwa obroną ręką. Jeżeli więc cały ten incydent nie jest wymysłem, to w rzeczywistości musiał on wyglądać zgola inaczej.

Przyjmijmy, że Jezus próbował się swoimi zwolennikami opanować świątynię zbrojnie, aby sparaliżować kapłanów i zdobyć korzystną bazę do walki wyzwoleńczej z najeżdźcami rzymskimi. Wtedy postępowanie jego mialoby jakiś określony sens i logikę. Dziedzicznie bowiem miał duże znaczenie strategiczne: był centralnym miejscem Jeruzolimy, gdzie zbierała się ludność i gdzie wykuwały się idee polityczne.

Przede wszystkim jednak stanowił on główne źródło dochodów i wpływów kasty kapłańskiej. Przypominam na swoim tle i gwarem typowy bazar wschodni. Na mnogich straganach sprzedawano tam baranki i gołębie przeznaczane na ofiarę; pielgrzymom żydowskim przybyłym ze wszystkich stron świata wymieniano greckie i rzymskie monety z zakazanymi w judaizmie wizerunkami ludzkimi na hebrajskie sylke i drachmy, którymi oplacano coroczny podatek świątynny. Ogromne zyski, jakie z tych obrotów płynęły, straganiarze musieli dzielić z arcykapłanem. Niszczyć źródło tych dochodów, podcinało się tym samym korzenie jego władzy. I to właśnie Jezus miał zamiar osiągnąć. Plan podważania ludu do powstania skończył się fiaskiem: Jezus nie umarł na krzyżu haniebą śmiercią niewolnika, lecz jako patriota i męcznik za sprawą narodu żydowskiego.

Teza, podana tu zresztą bardzo ogólnikowo, spotkała się oczywiście z ostrą krytyką szczególnie bibliistów kościelnych, ale nawet niektórzy badacze reprezentujący racjonalistyczny kierunek bibliistyki wysuwają przeciw niej różne zastrzeżenia. Francuski bibliista M. Goguel, polemizując z E. Eislerem, nazwał ją na przykład „domkiem z kart i produktem wyobraźni”. Inni polemicy argumentują w następujący sposób: w ówczesnych napiętych warunkach politycznych wystarczyło, że Jezus występował jako prorok głoszący spełnienie mesjanistycznych nadziei Żydom, aby stać się w

oczach Rzymian potencjalnie niebezpiecznym buntownikami; nie trzeba było na to koniecznie wywołać zbrojnych ruchów. Zwolennicy tezy natomiast zapytują, jak Jezus mógł rozpędzić setki straganiarzy na dziedzińcu świątynnym samym tylko biczem z powrozu, w dodatku nie narażając się na ostrą reakcję ze strony garnizonu rzymskiego i strazy kapłańskiej ani nie doznając przy tym osobistego uszczerbku. Opowieść o gwałtownym uderzeniu przeto za naiwną bajkę albo też za relację nie do poznania zretuszowaną. Bronią swego punktu widzenia wskazują oni na liczne poszlaki w ewangeljach, z których pośrednio wynika, że działalność Jezusa miała charakter zbrojny. Tak na przykład dowiadujemy się, że jego zwynawcy na Górze Oliwnej mieli przy sobie miecze. Widząc, że Jezus jest zagrożony, zapytali go: „Panie, czy mamy udzielić mieczem?” (Lk. 22,49). Okazuje się, że nawet najbliższy towarzysz Jezusa, sam apostoł Piotr nosił pod płaszczem miecz, którym uciął ucho Malchusowi. Czyż Jezus mógł o tym nie wiedzieć? On sam zresztą wypowiedział parę zdań, które bynajmniej nie brzmią pokojowo. Oto one: „Nie mniemajcie, że przyszedłem zyskać pokój na ziemi; nie przyniosłem pokoju, ale miecz” (Mt. 10,34).

„Ogień przyszedłem rzucić na ziemię, a czego chce, jeno aby zapłonął” (Lk. 12,49). „Czyż sądzicie, że przyszedłem ustanowić pokój na ziemi? Bynajmniej, powiadam wam, ale rozłączenie” (Lk. 12,51). „A teraz, kto ma trzos, niech weźmie także i torbę podróżną; a kto nie ma, niech sprzeda tunikę swoją, a kupi miecz” (Lk. 22,36).

„A oni rzekli: Panie, oto tu dwa miecze. On zaś powiedział: Wystarczy” (Lk. 22,38). Apokryficzna Ewangelia Piotra, której fragment odnaleziono w 1887 r. w Akhim w Egipcie, świadczy, że pamięć o powstańczej zamierzeniach nazarejskiego ruchu jakis czas błąkała się jeszcze w gminach chrześcijańskich. Z ewangelii kanonicznych wiemy, że uczniowie opuścili Jezusa w ostatnich dniach jego życia, przy czym Jan informuje nas, że ukryli się za zamkniętymi drzwiami, ponieważ bali się aresztowania. Otóż Ewangelia Piotra wyjaśnia, dlaczego bali się aresztowania: mianowicie byli podobno poszukiwani przez władzę pod zarzutem, iż chcieli podpalić świątynię. Widocznie wypowiedzi Jezusa na temat zagłady świątyni rozumiano jako realną groźbę, a nie jako apokaliptyczne widzenie proroka.

Jezus, jak ponadto podkreślają rzecznicy tezy powstańczej, miał bodajże jakieś powiązania z zelotami, z przedstawicielami owego radykalnego stronnictwa, dążącego do rozpraw zbrojnej z okupantem, których fanatyzm doprowadził później do wojny z potęgą rzymską i zagłady Jerozolimy. Zeloci rekrutowali się przeważnie z mieszkańców Galilei. Nie można więc wykluczyć, że Jezus miał między nimi znajomych krajanów, a nawet może krewniaków, co oczywiście czyni te kontakty zrozumiałymi. To również wyjaśnia nam w pewnym stopniu uderzający fakt, że Jezus ostro występuje przeciwko faryzeuszom, ale nigdy nie wypowiada się w sprawie zelotów, którzy przecież w owych czasach stanowili jeden z aktualnych problemów społeczeństwa palestyńskiego. Brandon posuwa się z tego powodu do twierdzenia, że Jezus, jeżeli sam nie był zelotą, to przynajmniej skrycie z nimi sympatyzował.

Jakkolwiek by było, jedno jest pewne: Jezus tolerował w gronie swoich bliskich co najmniej jednego autentycznie zelotę. Był nim, jak donosi nam Łukasz, apostoł Szymon (6,15). Poza tym pewne poszlaki pozwalają nam przypuszczać, że do stronnictwa zelotów należał Piotr (miecz na Górze Oliwnej) i jego brat Andrzej, a także Judasz Iszkariot, którego nazwisko niektórzy tłumaczą na „Judasz Waleczny”, a nie? „Judasz z Kariotu”. Hipotezę co do trzech ostatnio wymienionych osób postawił Cullman w swojej książce Jezus i Cezar, a przytacza ją nie tylko jako autorytet, bo wybitny biblista francuski ks. kardynał Danielou.

Do myślenia daje jeszcze ten fakt, że w 42 r., a więc mniej więcej osiem lat po śmierci Jezusa, apostoł Jakub, syn Zebedeusza i brat Jana (nie mylić z „bratem Pańskim” Jakubem Sprawiedliwym), zwany przez Jezusa „synem gromu”, został przez króla Agryppe I skazany na ścięcie. Ten sposób wykonania egzekucji był w kodeksie żydowski przewidywany tylko dla ludzi winnych zabięcia. Ponieważ trudno przypuszczać, aby apostoł Jakub był pospolitym zbrodniarzem, należy sądzić, że brał udział w jakichś zbrojnych ruchach o charakterze politycznym, podczas których stracili życie również pachołkowie żydowskiego władcy. Nie jest więc wykluczone, że Jakub należał do niepodległościowego stronnictwa zelotów.

Jest rzeczą oczywistą, że zacytowane przez nas wersetu swoim jowiszczym tonem odstają drastycznie od ogólnej tendencji ewangelii, głoszących przecież miłość bliźniego, pokój i posłuszeństwo wobec władz świeckich. Wystarczy dla przykładu zestawić dwa wersetu wzięte z jednej i tej samej ewangelii, mianowicie z Mateusza, by o tym się przekonać: „Nie mniemajcie, że przyszedłem zyskać pokój na ziemi, nie przyniosłem pokoju, ale miecz” (10,34). „Błogosławieni który czyniący, albomwie synami Bożymi będą nazwani” (5,9).

Inna nie mniej zastanawiająca sprzeczność dotyczy koncepcji Królestwa Bożego, zapowiedzianej przez mesjanizm żydowski. Jak wiemy, Żydzi rozumieli te prorocтва jako obietnicę przywrócenia chwały i niepodległości królestwa izraelskiego. Miało się to stać za sprawą potomka Dawida, który zasiądzie na tronie, dokonawszy jednak przedtem społecznego przewrotu, na skutek którego biedni wezmą górę nad bogatymi. „A wielu pierwszych będzie ostatnimi, a ostatnich pierwszymi” – powiada Mateusz (19,30). Królestwo Boże pojmowano więc pierwotnie w sensie politycznym, doczesnym. Tak rozumieli je nie tylko mieszkańcy Jerozolimy witający wkraczającego do miasta Jezusa, ale nawet sami apostołowie. Klócili się przecież o miejsce w hierarchii przyszłego królestwa (Mt. 20, 20-28; Mk. 10, 35-45), a dwaj uczniowie z Emaus, przysięgnięci i rozczarowani po ukrzyżowaniu Jezusa, wykrzyknęli z zalem: „A myśmy się spodziewali, że on miał odkupić Izraela” (Lk. 24,21).

Nie dziwny się przeto, że według synoptyków Jezus tym wszystkim, którzy pójją za nim, obiecuje nie tylko żywot wieczny, ale także większe dobra materialne niż posiadali. U Łukasza czytamy: „Zaprawdę powiadam wam, że nie masz nikogo, który by opuścił dom, albo rodziców, albo braci, albo żonę, albo dzieci dla królestwa Bożego, a nie otrzymał daleko więcej w tym życiu, a w przyszłym żywot wieczny” (18,24-30). U Marka zaś Jezus obiecuje, że tych dóbr materialnych, między innymi pół uprawnych, otrzymają jego zwynawcy stokroć więcej, niż posiadali (10,30).

W ewangelii według Jana sens Królestwa Bożego jest zupełnie odmienny. Okazony przed Piłatem, iż mieni się królem, żydowski, Jezus oświadcza: „Królestwo moje nie jest z tego świata” (18,36). Tu już koncepcja Królestwa Bożego, przyobiecane dopiero w życiu pozagrobowym, ma charakter duchowy, eschatologiczny. Pozbawiona doraźnego ostrza politycznego i nacjonalizmu żydowskiego, staje się idea uniwersalistyczna, bardziej pogłębiając teologicznie i moralnie, a jednocześnie torując drogę wyznawcom Jezusa do kompromisu z potęgą rzymską.

Powstaje teraz pytanie, jak te ewidentne sprzeczności mogły się znaleźć w ewangeljach. Otóż Robertson oraz niektórzy inni biblisty doszli do przekonania, że teksty wykazują wyraźnie dwie nałożone na siebie warstwy. Najstarsza warstwa, stanowiąca substrat opowieści, miała za temat jedynie tylko jeden z dramatycznych epizodów żydowskiego ruchu powstańczego, skierowanego przeciwko Rzymowi, Herodiadom i kapłanom. Jego protagonistą był Galilejczyk imieniem Jezus, który przejął na siebie spadek po Janie Chrzcielu, ściętym za nawoływanie do rewolucji. Z tego najdawniejszego przekazu pozostały w tekście jedynie tylko szczytki; reszta uległa przeróbkom i uzupełnieniom późniejszych redaktorów, usiłujących wykażać, że chrześcijaństwo jest ruchem pokojowym, nie mającym nic wspólnego z zydostwem.

Owe zmiany zapoczątkował Marek. Należy uświadomić sobie czasy, kiedy pisał on swoją ewangelię. Było to niewiele lat po krwawej czterolatniej wojnie żydowskiej i zburzeniu Jerozolimy. Pochód triumfalny Tytusa w Rzymie z jeńcami żydowskimi i trofeami ze świątyni wywołał w odbicie nastroje wrogości i pogardy wobec Żydów, co odbiło się bardzo niekorzystnie także na wyznawców Jezusa, których nie odróżniano od Żydów. W tej atmosferze terroru Marek usiłował oczyścić Jezusa ze wszelkich podejrzewanych udziału w powstaniu, i to do tego stopnia, że na przykład przemilczał fakt, że apostoł Szymon był zelotą. Jednym z argumentów, jak już wiemy, było rzekomo pozytywne ustosunkowanie się Piłata do Jezusa oraz ślepa nienawiść Żydów.

Istniejące prawdopodobieństwo, że Marek dokonywał tych zmian w szczerym przekonaniu, że nie sprzeciwiera się historii. Pozostawał bowiem już wówczas pod wpływem teologii Pawła, który historycznego Jezusa przeobraził w boskiego Zbawcę ludzkości i Syna Bożego. Inicjatywę Marka podjęli i kontynuowali pozostali ewangelisti, podkreślając z coraz większą siłą pokojowość i transcendencję królestwa Jezusa. Rezultatem tych zabiegów są prawdopodobnie cztery relacje, znane pod nazwą ewangelii według Mateusza, Marka, Łukasza i Jana.

UKRZYŻOWANIE

Ten najstraszliwszy sposób karania, jaki człowiek wymyślił, ma bardzo stary rodowód. Na krzyżu wieszali swoich przestępców Babilończycy, Persowie, Fenicjanie i Kartagńczycy. Na dobro Greków i Egipcjan trzeba powiedzieć, że nie przejeź po nich tego zwyczaju, czego nie można powiedzieć o Rzymianach. Stosowali oni karę krzyżową wobec niewolników, ludzi pochodzących z najniższych warstw społecznych i przestępców politycznych winnych zdrady stanu i rebelii. W wyjątkowych tylko wypadkach krzyżowano także obywateli rzymskich. Ciał skazańca przybijano gwoźdźmi lub przywiązywano powozem do pionowego bierwiona. Rzymianie posługiwali się trzema rodzajami krzyża. „Crux commissa”, zwany także krzyżem św. Antoniego, miał kształt litery T; „crux immissa” albo krzyż łaciński miał cztery ramiona jednakowej długości, a więc kształt I ; wreszcie „crux decussata”, czyli krzyż św. Andrzeja w kształcie litery X.

Nie mamy pewności, na jakim krzyżu zawisł Jezus. Istnieją w tym względzie dwie sprzeczne tradycje. Jedna utrzymuje, że umarł na krzyżu o kształcie litery T, druga zaś wypowiada się za krzyżem czteroramiennym. Jest faktem historycznym, że w wielu wypadkach skazańca przed ukrzyżowaniem bicowano. Była to kaźń nad wszelkie pojciec okrutna. Oprawcy posługiwali się dyscyplinami z przyczepionymi na końcu ołowianymi kulkami, które rozszarpały ciało, aż do obnażenia kości. Aby zapobiec przedczesnemu zgonowi skazańca, ograniczono bicowanie do czterdziestu uderzeń. Stary zwyczaj wymagał, by przestępca sam dźwigał swój krzyż na miejsce egzekucji. Bywało jednak często, że osłabiony torturą, nie był w stanie tego uczynić. Wówczas wyznaczano w zbiegowisku gapiów kogoś, kto akurat się nawiął, aby pomógł mu nieść ten ciężar. Według oceny historyków krzyż zbiegów z grubych bierwion ważył około siedemdziesięciu kilogramów. Jezus musiał go wlec 600 do 700 metrów drogą krzyżową, która składała się wówczas z szeregu wyboistych, kamieniami polnymi wybrukowanych uliczek. Nic przeto dziwnego, że trzykrotnie zalał się i padł na ziemię, aż w końcu, wyczerpany do ostateczności, nie był w stanie iść dalej. Wtedy zatrzymano rolnika Szymona Cyrenejczyka, który wracał wozem z polia, i przmuszono, by wziął krzyż za swoje mocne barki i zaniósł na Golgotę.

Tak nazwali to miejsce straceń Mateusz i Marek, bo Łukasz nazywa je Kalwarią, a Jan posługuje się oboma określeniami pisząc, że „nazywa się Kalwarią, a po hebrajsku Golgota”. Ta ostatnia nazwa w rzeczywistości pochodzi z języka aramejskiego „gulgutta” i znaczy „czaszka”. Natomiast Kalwaria jest odpowiednikiem łacińskim. Przypuszczalnie miejsce, gdzie wieszano przestępców na krzyżach, to był pagórek o kształcie czaszki. Niepewność istnieje nie tylko co do tego, na jakim krzyżu powieszono Jezusa, ale także co do procedury, jaką wobec niego zastosowano. Bywały dwa sposoby wieszania. Niekiedy skazańca przytraczano do leżącego na ziemi krzyża i potem dopiero podnoszono go górę, w drugim wypadku natomiast najprzód stawiano krzyż pionowo, a ofiarę przygwałdzano lub przywiązywano z drabiny. Tradycja kościelna na ogół przyjęła, jak to wykazuje stara ikonografia, pierwszą wersję, jednakże niektóre miniatury i malowidła średniowieczne przedstawiają Jezusa, jak wchodził na drabinę, aby być ukrzyżowany.

Głównym celem ukrzyżowania było przede wszystkim torturowanie skazańca, rozciąganie straszliwych jego cierpień na wiele godzin, niekiedy na całe dni. Lekarze zastanawiali się już od dawna nad tym, jak z punktu widzenia medycyny przeybać agonia i co było bezpośrednią przyczyną jego śmierci.

Ciekawą i głęboko przejmującą jest pod tym względem ekspertyza czeskiego lekarza i autora godnej książki Święty całun z Turynu R.W. Hyntky. Odnajmy mu głos i zacytujmy niektóre fragmenty tej ekspertyzy, w przekładzie lekarza polskiego St. Karwowskiego: „Lekarze brali doświadczenia, jak ukrzyżowany został przybity. Gwoźdź wbijano między pierwszym a drugim rzędem kostek nadgarstkowych, gdzie liczne silne wiązadła nadgarstkowe związują te kostki w twój jednolity. Powyżej znajduje się bardzo silne ścięgno, które samo mogło utrzymać brzemień ciała. Mimo to nie naruszało gwoźdź żadnej kości. Według badań dr Pierre Barbet z Paryża przy takim sposobie przybicia naruszał nadzwyczaj wrażliwy i podesiwy nerw, co powoduje straszliwe bóle i przykurczenie się kciuka do dłoni. Straszliwy ból krzyży mięśniowych... spotęgował się wprost do szaleństwa przez bolesność nerwu.

Ramię przybito pod kątem 90 stopni w stosunku do osi ciała. Tym samym klatka piersiowa była znacznie rozszerzona, a mięśnie jej, jak i mięśnie ramion, były maksymalnie napięte. Przy tym sposobie przybijania skazaniec wisi na samych tylko mięśniach, gdyż kości i ścięgna stawów nie mogły brać udziału w akcie utrzymania ciała w tej mierze, jak przy przybiciu rak pionowo”.

„Przy długotrwałym rozpostarcu ramion powstaje niezwykłe napięcie przepony powodując znaczne ograniczenie możliwości w oddychaniu. Powoduje to uduszenie - sufokację i zsinienie: cyjanozę. Ciało w obrzniętym napięciu, przecięzione mięśnie, kurcze mięśni, zły obieg krwi. Następuje bardzo bolesny stan zwany tetanizacją, podobny do stanu, jaki następuje przy zakażeniu bakteriami tężca. Stałe, tetaniczne przykurcze a bóle do szaleństwa przy świadomości ukrzyżowanego. W końcu ciało wygina się w pałąk. Bolesne kurcze ramion, zeszytowanie ramion, kłatkii piersiowej, krzyża, bioder i dolnych kończyn. Na skutek tego napięcia kurcowego obieg krwi osłabia się. Oddychanie silnie utrudnione, powolne pozabawianie tlenu mięśni, podniesienie temperatury, pocienie się, stężenie pośmierne”.

Na temat tego problemu wypowiadali się ostatnio również inni przedstawiciele medycyny. W 1947 r. zabrał w tej sprawie głos wybitny chirurg kanadyjski James Lyle Cameron. Powołując się na swoje doświadczenie zawodowe, wyraża on opinie, że Jezus umarł po prostu na skutek dozanego szoku. Największy rozgłos zyskały sobie jednak enuncjacje lekarza Jacques Brehnata, zamieszczone w 1966 r. na łamach dwóch pism: „La Presse Medicale” oraz „Le Monde”. Swoje rozpoznanie oparł on nie tylko na

własnych doświadczeniach, ale także na skrupulatnym przestudiowaniu wszystkich dostępnych przekazów rzymskich dotyczących ukrzyżowania oraz zezań ludzi, którzy przeżyli hitlerowskie obozy koncentracyjne i byli mimowolnymi świadkami tego rodzaju uśmiercania ofiar.

Według niego skazaniec przygwałdzony do krzyża, w rozpaczliwej walce o powietrze, zmienia stale swoją pozycję przekładając ciężar ciała z rąk na nogi i z powrotem, aż w końcu zwisa biernie z wycieńczenia. Z tułowiem zawieszonym jedynie na ramionach, przepona nie może już z płuc wydalac dwutlenku węgla i w ten sposób następuje śmiertelne zatrucie organizmu. Mimo że Brehnajt jest katolikiem, twierdzi on, że ukrzyżowany Jezus nie mógł żyć nawet trzech godzin, jak by to wynikało z relacji Jana. Nie mówiąc już o Marku, na podstawie którego należałoby sądzić, że agonia trwała aż sześć godzin. Już tylko jako ciekawostkę warto tu przytoczyć replikę, z jaką przy tej okazji wystąpił rzecznik paryski „Kola imienia Ernesta Renana”, zajmującego się badaniami nad historycznością Jezusa. Twierdzi on, że rozważania Brehnata są bezprzedmiotowe, gdyż według ówczesnego zwyczaju Jezusa prawdopodobnie powieszono lub uduszono, a potem dopiero przybito jego martwe ciało do krzyża.

Pod koniec lat sześćdziesiątych naszego wieku odkryto w najstarszej dzielnicy Jerozolimy katakumbę żydowskie z nietkniętym sarkofagiem z kamienia wapiennego. W środku leżał doskonale zachowany szkielet ludzki. Były to, jak się okazało, szczątki młodzieńca, który niewątpliwie zginął na krzyżu jako skazaniec. Przemawiają za tym nie tylko ślady charakterystycznych uszkodzeń od gwoździ na stopach i przeżubach rąk, ale także cztery gwoździe należące długości 17 centymetrów, luźno leżące w sarkofagu. Pod główką jednego z tych gwoździ zachowały się miniaturowe resztki drewna, wskazujące na to, że krzyż był wyciosany z drzewa oliwnego. Na pokrywie sarkofagu można było wyczytać, że młodzieniec miał na imię Jochannan (Jan). Archeolodzy izraelscy w wyniku szczegółowych badań wyrazili przypuszczenie, że był on uczestnikiem krwawego powstania przeciwko Rzymianom, które wybuchło za panowania króla judzkiego Aleksandra Jannesausa (103-76 r. p.n.e.). Męczsńska śmierć na krzyżu wywoływała oczyszczenie u ludzi uczucie grozy i obrzydzenia. Nawet Rzymianie, którzy przecież tej haniebnej karze nie podlegali, nie mogli oprzeć się podobnym uczuciom. Co więcej: zdarzało się, że egzekucja przez ukrzyżowanie spotykała się z ich stroną z potępieniem. Cyceron na przykład nazwał ukrzyżowanie najokrutniejszą z rodzajów śmierci wymyślonym przez człowieka, a Seneka podmierał z odrazą, że skazańcom życie wyciekalo powoli kropła po kropli.

W pierwszych latach chrześcijaństwa wyznawcy Jezusa czuli głęboką, nieprzewycięzioną awersję do znaku krzyża. Mimo że już Paweł w swojej chrystologii uczynił z krzyża symbol zbawienia ludzkości przez ofiarę śmierci Chrystusa i tym samym ostatecznego triumfu chrześcijaństwa, krzyż długo jeszcze pozostał w ich odczuciu oznaką szkodliwego ponizienia i śmierci. Trudno było im przywyknąć do niego jako symbolu zbawienia i nowego życia, skoro w życiu codziennym znał go jako potworne narzędzie tortur, a w V Księdze Mojżeszowej czytali, że „przekłety od Boga jest, który wisi na drzewie” (21,23).

Cheąc jakoś obejść ten dylemat, niektórzy teolodzy twierdzili, że Jezus nie umarł na krzyżu, jak inni śmiertelnie. Byli to głównie zwynawcy doketyzmu, herezi jej zwalczanej przez ojca Kościoła Ignacego Antiocheńskiego. Ich głównym argumentem było, że Jezus jako istota boska nie podlegał prawom przyrody i że wobec tego nie mógł umrzeć na krzyżu. Autor apokryfu Dzieje Jana (ok. 170 r.) twierdzi na przykład, że Jezus ukazał się Janowi na Górze Oliwnej, podczas gdy na krzyżu wisił jego fantom. Parę lat temu odkryto w Stambule wspomniany już w tej książce stary tekst pochodzenia nazarejskiego. Między innymi odczytano w nim fatalistyczną historię, według której na skutek pomyłki ukrzyżowano zamiast Jezusa kogoś innego. A rzecz miała się tak. Judasz, przekupiony przez kapłanów, miał zidentyfikować Jezusa złożeniem na jego policzku pocałunku. Działło się to jednak nie na Górze Oliwnej, lecz na zatoczonym rynku miejskim, gdzie lato było o pomyłkę. I rzeczywistnie, Judasz wziął kogoś innego za Jezusa. Gdy przeto ujrzał na krzyżu jakiegoś obcego człowieka, zawołał: „On jest niewinią!” Potem w rozpachy powiesił się. Jezus natomiast wstąpił do niebios, nie doznawszy cielesnej śmierci zwykłego człowieka. Wspomnijmy jeszcze tylko, że ową osobliwą wersję przyjął do swojej nauki islam.

Wszystkie tego rodzaju doktryny teologiczne i twory bujne fantazji, jakkolwiek naiwne i niekiedy preostackie, są o tyle znamienne, że odzwierciedlają nastroje, jakie panowały wśród ówczesnych chrześcijan. W ich odczuciu krzyż wciąż jeszcze był tabu jako symbol haniebnej śmierci, a nie triumfu. Świadcza o tym między innymi malowidła ścienne, w katakumbach rzymskich. Spotykamy na nich jako symbol Chrystusa postać dobrego pasterza, baranka ofiarnego w nawiązaniu do Iżajasza (53,7) oraz Jeremiasza (11,19), najczęściej jednak tajemniczy znak ryby, natomiast nigdy znaku krzyża.

Ryba od zamierzonych czasów była symbolem wielu pogańskich bogów, między innymi syryjskiej Atargatis, aramejskiej Atari, kananejskiej Astartarot (Astarte). Chrześcijaństwo drogą znaną nam już syntezy religijnej przyswoiło sobie ten znak, a stało się to tym łatwiej, że przypadkowym zbiegiem okoliczności litera greckiego wyraża „ryba” („ichthys”) twory równocześnie inicjały imienia i tytułów teologicznych Jezusa: „Jezus Chrystus, syn Boga, Zbawiciel”.

Natomiast krzyż jako symbol Chrystusa wchodził w powszechne użycie dopiero w V czy VI wieku. Stało się to przelotem do zniszczenia przez Konstantyna Wielkiego kary śmierci przez ukrzyżowanie. Obraz krzyża jako narzędzie katowskie spławił już znacznie w pamięci ludzkiej i przestał budzić dreszcz grozy.

Kult krzyżowców powstał w krajach Bliskiego Wschodu. Tamtejsi artyści przedstawiali ukrzyżowanego Jezusa nago z paską tylko, przypuszczalnie w opozycji do monofitycznej, herektycznej sekty, która głosiła, że Chrystus posiadał tylko jedną, boską, naturę. Do krajów Zachodu kult krzyża dostał się dzięki pośrednictwu kupców i niewolników syryjskich, którzy znaleźli się w Italii. Z tą jednak różnicą, że Jezus Chrystus, chociaż ukrzyżowany, odziany był w szaty i otoczony chwałą boskości, nie tknięty ludzkim cierpieniem. Dopiero w połowie X wieku, kiedy za panowania skłonnego do mistycyzmu cesarza Ottona I i jego syna Ottona II zaczęły się stosunki kulturalne Zachodu i Bizancjum, rozpowszechnił się krucyfik z odartym z szat i udręczonym Jezusem, ofiarne ginącym dla zbawienia ludzkości. Ten ortodoksyjny realizm znalazł najbardziej pogłębiającą i przedmiotową ekspresję w rzeźbie i malarstwie epoki gotyku.

W 1939 r. dokonano w Herkulanum odkrycia, które zdawało się obalać twierdzenie historyków, że znak krzyża tak późno został zaadaptowany jako symbol wiary chrześcijańskiej. Bowiem na ścianie jednej z willi mieszkaniej tego miasta wyrył w dość nieporadny sposób krzyżyk. Jak wiadomo, Herkulanum wraz z Pompeją zostały zasypane przez popioły Wezuwiusza w 79 r. n.e., toteż niektórzy historycy, między innymi sławny francuski orientalista P. Parrot, poczytują za rzecz możliwą, że krzyż był symbolem chrześcijaństwa już w drugiej połowie I wieku. Większość jednak badaczy nie zgadza się z tym wnioskiem. Zauważają oni słusznie, że ten, kto ów krzyż wyrywał, niekoniecznie musiał być chrześcijaninem. Wiadomo przecież, że jako symbol religijny krzyż pojawił się w zaraniu kultury ludzkiej. Przedmioty z ornamentem krzyża rozmaitego kształtu znaleziono w ruinach sumerskich i babilońskich miast Mesopotamii, w Indii, Syrii, Persji oraz w wykopankach Europy z czasów epoki kamiennej. Bardzo często spotyka się go nawet wśród wykupłych ornamentów zdobiących budowle starożytnych kultur indiańskich obu Ameryk. W Egipcie krzyż z kółkiem na szczycie był hieroglifem oznaczającym pojęcie boskości. W Galii Zaalpejskiej, czyli na obszarze późniejszej Francji, były w obiegu monety z krzyżem umieszczonym w kole.

Znak krzyża był integralnie związany z kultem przyrody. Nie jest przeto wykluczone, że ta starodawna tradycja, głęboko osadzona w podświadomości pokoleń, odegrała jakąś rolę w psychologicznym procesie, który doprowadził do tego, że krzyż stał się świętym emblematem chrześcijaństwa. W tym wypadku mielibyśmy tu do czynienia z nierzadko spotykanym zjawiskiem synkretyzmu, polegającym na dokonywaniu zapożyczeń z bogatych zasobów pogańskich kultur i adaptowaniu ich na użytek nowej religii. Oczywiście podanie, jakoby Konstantyn Wielki przed bitwą ze zwolennikami pogaństwa Maksencjusza przy moście Mułwijskim pod murami Rzymu miał na niebie ujrzeć krzyż i usłyszeć głos: „In hoc signo vinces” - „Pod tym znakiem zwyciężysz”, należy zaliczyć do legend. W 312 r., kiedy bitwa ta się rozegrała, krzyż nie był jeszcze arcy symbolem chrześcijaństwa, a zwycięski władca imperium rzymskiego dopiero na łożu śmierci dał się ochrzcić. Niektórzy historycy twierdzą, że wyprzedził ten czas był popiecznikiem herezji ariańskiej. Wspomniany przez nas lekarz francuski Jacques Brehant zauważył, że na skutek zniesienia kary ukrzyżowania ludzie zapomnieli szybko, jak tego rodzaju śmierć przebiegała. Dlatego według niego w sztuce plastycznej Zachodu trudno natopkał portret ukrzyżowanego Jezusa, który byłby medycynę i naukowo prawdziwą. Artyści musieli odwoływać się w tej sprawie do własnej wyobraźni, ponieważ nie dysponowali naoczными świadkami, ani też autentycznymi przekazami z czasów, kiedy krzyż był jeszcze narzędziem egzekucji.

W istocie rzeczy jednak nie było to najważniejsze. Ewangelistom oraz ich plastycznym ilustratorom chodziło o przedstawienie ukrzyżowania w ten sposób, aby z klęski stało się ono obietnicą i triumfem, aby symbolizowało wydarzenie przełomowe dla ludzkości. Na krzyżu nie wisiał już Jezus cieleśnie udręczony, lecz Syn Boży, Zbawiciel świata.

Zgodnie z tą intencją rzeźbiarze i malarze wyobraźli Jezusa wiszącego na wyższym krzyżu niż krzyże obu towarzyszy niedoli, a także wysoko nad głowami tych, którzy u jego stóp się gromadzili. Natomiast w relacjach ewangelistów zgon Jezusa jest jakby

wydarzeniem o wymiarach kosmicznych, wywołującym szereg nadprzyrodzonych reperkusji. W miarę upływu czasu możemy obserwować ciekawy proces mnożenia i potęgowania się tych cudów. U Marka ziemia pogrąży się w ciemności, drogocenna zasłona oddzielająca miejsce Święte od Świętego świątyni w Świątyni jerozolimskiej rozdiera się na dwoje. U Mateusza nierzadko się tych cudów więcej: ziemia zadrzęła w posadach i skały popekały, czyli mówiąc inaczej nastąpiło trzęsienie ziemi. Poza tym stała się rzecz niesamowita: z grobów powstawali ludzie zmarli, ukazując się wielu osobom w mieście. Nie dowiadujemy się jednak, co się z nimi stało, jak i kiedy wrócili do swoich mogił.

Ale wyobraźnia ludowa nie zna pod tym względem granic. Jako przykład może tu służyć apokryficzna, w owych czasach bardzo poczytna Ewangelia Piotra. Według niej ciemności nastąpił tak głęboki, że ludzie chodzili po mieście z zapalonymi lampami. Wywarło to ogromne wrażenie nawet na wrogach Jezusa. Autor apokryfu tak oto pisze: „Wówczas Żydzi, starszyzna i kapłani, pojmując, jakie zło uczynili samym sobie, jeśli bić się w piersi i mówić: Biada grzechom naszym! Bo sąd i zagłada Jerozolime będzie”.

Natomiast, nie od rzeczy będzie powtórzyć to, co wyżej już poruszyliśmy, że mianowicie w dziejopisarstwie starożytnym jakiś głucho o tych niesamowitych cudach. Żydowscy kronikarze, opisujący dzieje świątyni jerozolimskiej, nie nie wiedzą o jakims wypadku rozdarcia się na dwoje zasłony, a Pliniusz Starszy, autor Historii naturalnej, który podróżował po krajach Palestyny, znał jej przeszłość, a nawet cały rozdział poświęcił zjawiskom zaćmienia słońca, ani słowem nie wspomina o ciemnościach opowiedzianych przez ewangelistów.

Wszystkie te nadzwyczajne rzeczy działy się więc w irracjonalnym kręgu fikcji i urojeń, w którym żyli wczesni wyznawcy Jezusa, a także autorzy ewangelii. Nie przeto dziwne, że nawet w tak chrystologicznie doniosłym sprawozdaniu o przebiegu wydarzeń na Golgocie każdy z nich opowiada coś innego; widocznie każdy, nie będąc naocznym świadkiem, czerpał informacje z innych podawanych z ust do ust pogłosek i opowieści. Czasami odnosi się też wrażenie, że ten czy ów autor dla udratamentowania narracji, czy też dla wydudnienia jakiejś tezy, dorzuca swoje własne twory wyobraźni.

Jako przykład może służyć tu scena ze złoczyncami ukrzyżowanymi po obu stronach Jezusa. Marek i Mateusz, a więc autorzy chronologicznie najdawniejszych ewangelii, i prawdopodobnie najbliżsi prawdy, przedstawiają tych złoczyńców w zdecydowanie niepochebnym świetle twierdząc, że obaj w wykpiwaniu Jezusa wtórowali kapłanom, uczonym w Piśmie i starszym. Natomiast Jan, co jest niezmiernie intrygujące, nie wypowiada się w ogóle na ich temat, ogranicza się tylko do zaznaczenia ich obecności na bocznych krzyżach i każe im milczeć.

Nie tak powściągliwie podszedł do tej sprawy Łukasz (29, 39-43). Przytacza on dramatyczną rozmowę Jezusa ze złoczyncami, podczas której jeden z nich okazał się nieoprawnym grzesznikiem, a w drugim zbudził się lepsze strony jego natury. Dialog kończy się pamiętnym zdaniem Jezusa: „Zaprawdę powiadam ci, dziś z mną będziesz w raj”.

Nie można oprzeć się podejrzeniu, że jest to znówu jeden z tych beletrystycznych pomysłów, w których Łukasz w tak podziwu godny sposób celuje. Jakże bowiem wylumaczyć sobie fakt, że wszyscy trzej pozostali ewangelisci tej rozmowy nie zarejestrowali, chociaż ze względu na swój dramatyczny przebieg i głęboki sens moralny całkowicie na to zasługiwała. Jeżeli więc tego nie uczynili, musi to niechybnie znaczyć, że po prostu jej nie znali, że wymyślił ją dopiero później Łukasz lub ktoś inny z jego środowiska, komu ją zawdzięcza.

Jest jeszcze druga, może bardziej zagadkowa kwestia, także dotycząca ostatnich chwil Jezusa. Jak wiadomo, uczniowie porzucili go w ogróje Getsemani i jak wynika z ewangelii, nie byli przy nim obecni w godzinach jego męczeństwa. Natomiast niewiasty, które znajdowały się w jego orszaku już w Galilei, okazały się wierniejsze i bardziej odważne. Szły za nim aż na Golgotę i wstrząśnięte do głębi przyglądały się, jak ginął na krzyżu.

Dowiadujemy się o tym z relacji Mateusza, Marka i Jana, bo Łukasz, rzecz zaskakująca, nie porusza tego tematu w ogóle. Trzej pierwsi ewangelisci podobnie jak obecność wśród tych niewiast Marii Magdaleny oraz Marii, matki Jakuba Mniejszego i Józefa. Pod tym względem są oni całkowicie zgodni ze sobą. Jednakowoż Jan różni się od nich w jednej wcale nie byle jakiej sprawie, mianowicie twierdzi, że pod krzyżem czuwała także matka Jezusa i jego umiłowany, nie nazwany po imieniu uczeń. Narzuca się więc z wielką natarczywością pytanie, kto mówi prawdę; jak to rozumiemy, że dwa najstarsi ewangelisci nie wymieniają tak potocznej osoby, jaką była przecież matka Zbawiciela? Do wyboru mamy tu trzy odpowiedzi: ze uczynili to albo świadomie, albo przez zapomnienie, albo też z tego prostego powodu, że jej naprawdę pod krzyżem nie było. Mamu podstawy, aby zdecydować się na przyjęcie tej ostatniej możliwości. Wiadomo nam, że Jan najmniej ze wszystkich ewangelistów kierował się historią i że dowolnie stylizował zyciorys Jezusa, aby udowodnić swoje teologiczne tezy. Raczej należy wierzyć Markowi i Mateuszowi, że matka Jezusa nie była obecna pod krzyżem.

W takim razie dochodzimy niestety do przekonania, że cały ten wzruszający piękny epizod, w którym Jezus w ostatniej chwili powierza swemu uczniowi opiekę nad matką, jest fikcją literacką. Zresztą są jeszcze inne argumenty podważające jego historyczność. Na rozum biorąc, czy żołdacy pełniący straż przy skazanych pozwoliliby komukolwiek podejść do krzyża tak blisko, by tego rodzaju intymna rozmowa mogła się odbyć. Pod tym względem Mateusz i Marek wykazują większe poczucie realizmu, podkreślając, że niewiasty Jezusowi na krzyżu „przytapywały się z daleka” (Mk. 15, 40). Wobec tych faktów nie dziwimy się, że konfuza panuje także co do ostatnich słów, które Jezus miał wypowiedzieć przed śmiercią. Zgodni są tu znówu Mateusz i Marek. W ich wersji Jezus wygłasza owe podobne do krzyku rozpaczliwy słowa, rozbrzmiewające niewygasłym echem przez wieki „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?” („Eli, Eli, lamma sabaktani?”). W Ewangelii Łukasza Jezus, zachowując w obliczu śmierci jakby większą równowagę i godność wewnętrzną, ufny i zrezygnowany wyrzeka: „Ojczy, w ręce Twoje oddaję ducha mego”. Inaczej jest znówu u Jana. Po oddaniu matki pod opiekę ucznia i wypiciu octu z gąbki, wreszcie umierając, „Wykonało się”.

Powróćmy do spraw krzyża, jednak tym razem nie jako do emblematu chrześcijaństwa, lecz do tego prawdziwego, drewnianego krzyża, na którym zawisł Jezus. Nie ma chyba chrześcijanina, który by nie słyszał o tym, że odnalazła go św. Helena, matka cesarza Konstantyna. Przecież w kalendarzu kościelnym dzień 3 maja naznaczony jest jako święto upamiętnienia tego wielkiego wydarzenia, a 14 września obchodzi się uroczystość „Podniesienia Krzyża Świętego”.

Tradycja powiada, że pobożna monarchini, która żyła niewiele lat w latach 247-327, odbyła u schyłku swego życia pielgrzymkę do Jerozolimy. Tam jakiś stary Żyd zaprowadził ją na miejsce, gdzie Jezus miał być ukrzyżowany, zapewniając, że tradycja o tej lokalizacji przechodziła w rodzinie z ojca na syna. Rozpoczęto tam wykopaliskowe poszukiwania i z szybkością, o jakiej archeolodzy nawet marzyć nie śmia, wydobyto z zagruwaną cystem w jednej z pieczar trzy krzyże, garść gwoździ, tabliczkę z napisem „Jezus Nazarejski, król Żydów”, koronę ciemnową, lanecę, którą przebito pierś Jezusa oraz gąbkę, za pomocą której napojono go octem.

Z problemem, który z trzech krzyży jest krzyżem Jezusa, uparano się z łatwością. Po prostu ułożono kolejno na wszystkich krzyżach smiertelnie chłodną niewiastę, która na krzyżu Jezusa natychmiast odczuła zdrowie. Dla pewności powtórzono ten sam eksperyment z umartwioną mężczyzną z tym wynikiem, że wrócił on natychmiast do życia. Konstantyn wznosił później na tym miejscu świątynię, która dwiema cała była celem pielgrzymek wiernych. Trudno zowieć się, skoro w tej świątyni, przed jej zburzeniem przez Persów w 614 r., wystawiano na widok publiczny poza wymienionymi relikwiami takie skarby, jak pierścien Salomona, puchar Dawida, miś, na której leżała głowa Jana Chrzciciela, onyksowy Kielich z Ostatniej Wieczerzy i nawet trzęcinę, na której zatknięto gąbkę napełnioną octem, podany przez żołnierza umierającemu Jezusowi.

Dziś trudno chyba zaprzeczyć, że ta cała historia z odkryciem krzyża i innych relikwii jest typową legendą. Tak na przykład w tym samym czasie, kiedy św. Helena miała dokonać tego odkrycia, biskupem Kościoła Cezarej był nasz znajomy, pierwszy historyk Józef Euzebiusz (263-340 r.), zaś biskupem Jerozolimy wybitny teolog Cyryl (315-386 r.). Euzebiusz piastował godność biskupa całe dwadzieścia pięć lat i był tak wpływowy, że nazywano go „królem Judei”. Jest stanowczo nie do pomieslenia, aby obaj nie podejmowali osobiście matki cesarza i nie wiedzieli, jeżeli nie z autopsji, to przynajmniej ze słyszenia o tym wielkopomym dla Kościoła odkryciu. A jednak jeden i drugi, chociaż rozpiszyli się w swoich dziełach szczegółowo na temat historii chrześcijaństwa, nie a nie o tym nie wspominają.

Wiemy już, dlaczego milczeli. Badania wykazały ponad wszelką wątpliwość, że legenda o św. Helenie i jej odkryciu powstała o cały wiek później, mniej więcej w tym czasie, kiedy rodził się i rozpowszechniał kult krzyża jako symbolicznego znaku chrześcijaństwa. Przypuszczalnie od tego czasu zaczęła się rozrastać istna plaga masowego fabrykowania relikwii i zwyczaj oddawania im czci graniczącej z fetyzmem. Przykładem mogą być tu gwoździe Świętego Krzyża. Mogło ich być oczywiście tylko cztery i legenda informuje nas, co się z nimi stało. Jeden podobno wprawiono w obręcz sławnej żelaznej korony przechowywanej w katedrze dawnej stolicy królów Lombardii Monza; drugi przekuto na podkowie dla konia cesarza Konstantyna; trzeci zdoł helm teoza cesarza, a czwarty Helena, wracając do domu statkiem, wrzuciła do morza, aby uśmierzyć wzburzone fale. Tymczasem gwoździe ze Świętego Krzyża znajdują się w tyłu kościołów (między innymi w katedrze wawelskiej), że dołączono się ich aż trzydzieści. Jasne, że w najpóźszym razie dwadzieścia sześć gwoździ to falsyfikaty. Te same oszukańcze praktyki zastosowano w stosunku do samego krzyża, o którym już św. Cyryl powiedział, że „cały świat jest pełen jego fragmentów” (Catechesis 12,4), a Herbert J. Muller,

wybitny historyk amerykański i autor słynnej książki The Loom of History ocenili, że gdyby te fragmenty zebrac w jedno miejsce i krzyż, okazałyby się, że ciężar ich wynosi parę ton.

Spory ułamek drewna z krzyża przechowuje się ponoć w Bazylice św. Piotra, tudzież w rzymskim kościele S. Croce in Gerusalemme. Badania archeologiczne wykazały, że ten ostatni kościół kryje w swoich murach pozostałości dawnego pałacu, który w latach 317-322 był siedzibą św. Heleny. W 1492 r. podczas rekonstrukcji kościoła odkryto naraz wymurowaną niszę z relikwii Świętego Krzyża. Dziwne jest to, że odkrycia dokonano tak późno i że stało się to akurat w tych latach, kiedy kult relikwii przybrał rozmiary epidemiczne i stanowią znakomite źródło dochodów. W tym samym kościele jest jeszcze inna relikwia: przysłana na darze przez Konstantyna tablica z napisem: „Jezus Nazarejski, król Żydów”.

Ciekawe były losy włóczni i korony ciemnowej. Cesarz Konstantynopola Baldwin II, znalazłszy się w ciężkich opałach politycznych i finansowych, sprzedał w 1239 r. włócznię Wenecji, a koronę królowi francuskiemu Ludwikowi IX. W końcu jednak różnymi drogami obie relikwie spotkały się w Paryżu, gdzie zbudowano dla ich przechowania gotycką kaplicę Sainte Chapelle. Włócznia, przeniesiona w końcu XVIII wieku do Muzeum Narodowego, znikła bez wieści, natomiast korona ciemnowa umieszczona w 1806 r. w katedrze Notre-Dame, dotąd się uchowała.

Nie od rzeczy będzie tu zaznaczyć, że ów kult relikwii wyjątkowo nie był specyficzną właściwością wczesnego chrześcijaństwa. Był on raczej reminiscencją starych ateizmów pogańskich, a właściwie nie tak znówu starych, skoro jeszcze w IV wieku naszej ery Egipcjanie, jak to ze zgorszeniem stwierdza biskup Aleksandrijski Atanazy (ok. 293-373 r.), w zaobłych ceremoniach i procesjach oplakiwali śmierć boga Ozryrysa, zanim nie został on na nowo wskrzeszony do życia przez boga słońca Ra. Świątynię w Abydos i Memfis równocześnie chlubili się posiadaniem prawdziwej głowy Ozryrysa, a wiele innych jakoby przechowywało tyle części jego ciała, że można by, jak kto obliczył, złożyć z nich paru Ozryrysov. Jakże żywo przypomina to rywalizację niektórych średniowiecznych kościołów, które utrzymywały stanowczo, że to one właśnie są w posiadaniu prawdziwej głowy Jana Chrzciciela. Jednym z najbardziej fascynujących przykładów powstawania legend jest związana z ostatnimi chwilami życia Jezusa opowieść o Żydnie, wiecznym tułaczku. Po raz pierwszy ukazała się ona w Broszurce, drukowanej podobno w 1602 r. w Leyden i błyskawicznie zyskała sobie ogromną popularność. Nieznany autor tej historii twierdzi, że biskup Szelewicki Paweł z Eizen spał w 1542 r. Żyda nazwiskiem Ahaswer. Oświadczył on zdumionemu dostojnikowi Kościoła, że był jednym z tych, którzy bluźnili Jezusowi wiszącemu na krzyżu i że dlatego został skazany na wieczną tułaczkę. Dopiero w chwili drugiego pojawienia się Jezusa na ziemi miał otrząsnąć przebaczenie i wyzwolenie z katuz. O wrażeniu, jakie ta historia wywarła, świadczy to, że w jednym tylko roku 1602 ukazało się osiem, a do 1700 r. aż czterdzieści wydań tej broszury. Poza tym przetłumaczono ją niemal na wszystkie języki świata chrześcijańskiego.

Pod wpływem broszury nastąpiła w Europie prawdziwa psychoza. Ludzie żyli pod znakiem tajemniczego Żyda, który pojawiał się i znikał w różnych krajach. W początkach XVII wieku jakoby widziano go w Pradze, Lubecie, w Monachium, w Brukseli i w Paryżu, nawet w Stanach Zjednoczonych, w stolicy mormonów Salt Lake City. Oczywiście jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się najróżniejsze warianty owej legendy. W Anglii na przykład wysłał książka pióra Rogera of Wendorp pt. Kwiaty historii (Mores Historiarum). Według znajdującej się tam opowieści angielski arcybiskup arzeński, który przebywał w Pwliem, odwiedził także klasztor St. Alban. Wówczas został zapytany, czy wie coś o dalszych losach Józefa z Armaty, który umieścił ciało Jezusa w swoim grobie. Arcybiskup, nie pozbowiany widocznymi fantazji, oświadczył młuchom, że owsem, wie coś o nim, gdyż spotkał go niedawno w swoim kraju pod imieniem Carthaphilus.

Józef jakoby przyznał mu się, że był jednym z tych, którzy naśmiewali się z Jezusa i za karę skazany został na wieczne tułacze życie. Później dopiero zaował swego postępowania, zaopieczniał się świętymi zwłokami i nawet dał się ochrzcić. Ale kara nie została mu darowana. Tajemnicza postać Żyda wiecznego tułacza przemawiała, rzecz jasna, do wyobraźni pisarzy i artystów plastyków. Na jego temat, szczególnie w okresie romantyzmu, pojawiały się poematy, sztuki teatralne i powieści, wśród których największy rozgłos zdobyła powieść autora francuskiego Eugene Sue Le Juif errant, wydana w 1844 r. Tematowi temu poświęcił cykl głęboko przejmujących rysunków mistrz francuski Gustave Dore.

ZMARTWYCHWSTANIE

W 335 r. odbyła się w Jerozolimie uroczystość konsekracji Bazyliki Grobu, ufundowanej przez Konstantyna Wielkiego. Okazała świątynia kaplica od złota i drogocennych klejnotów, pełna marmurów i mozaikowych ozdób, miała za zadanie chronić w godnych warunkach największe miejsce chrześcijaństwa: wierzchołek skały Golgoty, grób

Jezusa i cysternę, skąd cudem wydobyto drzewo Świętego Krzyża. Były to czasy bardzo burzliwe, ale budowała sakralna przetrwała 279 lat bez uszczerbku. Jej kres nastąpił dopiero w 614 r. na skutek wojny cesarstwa bizantyjskiego z władcami Persji z dynastii Sasanidów. Podczas niszczyckiego i krwawego najeźdu perskiego na Palestynę świątynia Konstantyna obróciła się w perzynę. Bez mała 25 lat później nowa katastrofa. Palestynę zajęli muzułmanie. Okazali się jednak władcami tolerancyjnymi i świątynię, wprawdzie w skromnych rozmiarach i bardzo ubożuchną architektonicznie, zdolano podźwignąć z gruzów dzięki zapobiegliwości pewnego mnicha i ofiarności pielgrzymów. Taki stan rzeczy trwał całe 370 lat, a więc prawie cztery stulecia. W 1009 r. kaprąsny, okrutny i chory umysłowo kalif Hakem, którego można by nazwać Kaligulą islamu, ogłosił się wcieleniem Najwyższego Bóstwa, weszczął prześladowania Żydów i chrześcijan, narzucał podwalnym kult swojej osoby i burząc zniewiedzone budowlane sakralne zwrócił na ziemią również Bazylikę Grobu. Przy tej sposobności uległa doszczętnie zagładzie postać grobowa, tak że właściwie nie po niej nie pozostało. Reperkusje tego wydarzenia w Europie były przerażające i zgola nieoczekiwane. Struchlała społeczność chrześcijańska, pod wpływem krążącej plotki, że do tego świętokradztwa namówił Hakema jego tajni doradcy pochodzenia żydowskiego, weszczła w gettach żydowskich pogrom, jeden z tych pogromów, które tak szpeczą karty europejskiej cywilizacji. Hakema zamordowano z polecenia jego własnej siostry. Następni kalifowie wrócili do tradycyjnej polityki tolerancji wobec religii chrześcijańskiej i pozwolili bizantyjskiemu odbudować zrujnowaną świątynię. W 1048 r. odbyła się ponownie jej konsekracja. Nie stało jednak funduszów, by przywrócić jej dawną świetność. Był to już tylko zespół paru niepozornych kapliczek; jedynie rotundę starano się odbudować w jej dawnym kształcie architektonicznym. Ale mury jej nie obejmowały już dawnej autentycznej pieczary grobowej z czasów cesarza Konstantyna. Nie pozostał z niej prawie ani jeden kamień. Była to już tylko podobrzona kopia. W 1099 r. krzyżowcy podczas pierwszej swej wyprawy wtargnęli po krwawym oblężeniu do Jerozolimy. Z furią siekli i mordowali na prawo i lewo bezbronną ludność miasta. Krwawa masakra trwała trzy doby. Ulice zalegały zwalą trupów. Pod ich mieczem zginęło podobno aż siedemdziesiąt tysięcy muzułmanów. Nie lepszy los spotkał Żydów. Zapędzono ich do synagogi i puszczono z dymem. Meczety został spalowane i zdemolowane. Lupem najeżdżców padło między innymi siedemdziesiąt waz i lamp ze złota i srebra. Wśród ogólnego rozbustnienia tylko jeden z wodzów Raymond zachował postawę rozwagi i rycerskości: założył cetydeli, która bohatercko broniła się do końca, ariarował honorowe warunki kapitulacji i pozwolił jej opuścić miasto z bronią w ręku.

Grob Jezusa Chrystusa był uwolniony, ślub złożony przez krzyżowców został spełniony. W radosnym i pobóznym uniesieniu ryerstwo obmyło się z krwi, przebrzło w szaty odświętne i w procesji ruszyło do pieczary. Ci srodzy ryerzte krzyża szli przed siebie jak urzeczeni, wśród modłów i pieśni pobożnych. Na widok rotundy grobowej padli na twarz, całowali ziemię i płakali, podczas gdy zamretlowane miasto dymilo jeszcze świeże rozlaną krwią i pożoga. Panujący otąd królowie Franków postanowili świątynię odbudować w jej dawnej okazałości. Ale budowa wlokła się przez 50 lat, ukończono ją dopiero w 1149 r. Ta właśnie świątynia zachowała się do naszych czasów, liczy więc obecnie 800 lat. W tym czasie była nieraz poważnie zagrożona. W 1187 r. sułtan Egiptu Saladyń obdział Jerozolimę dla islamu, na szczęście jednak był bardziej tolerancyjny niż swego czasu krzyżowcy i rzekłaz oszczędzić świątynię, zadowalając się zbuieniem jedynie dzwonnicy. W latach 1545, 1927 i 1937 jej posadami wstrząsnęły trzęsienia ziemi, nie wyrządziły jednak w budowlę większych szkód. W 1808 r. ogarnał ją gwałtowny pożar, również bez poważniejszych skutków. Pieczara, jak powiedzieliśmy, jest całkowicie sztucznie zrekonstruowana, niewiele więc, poza umiejscowieniem, ma wspólne z grobem otoczymim kultem za czasów cesarza Konstantyna. Czyż jednak ów pierwotny, wykuty w skale grób był naprawdę tym, w którym za sprawą Józefa z Arymatei trzy dni spoczywało ciało Jezusa? Wielu historyków i badaczy Biblii wyraziło co do tego poważne wątpliwości. Na parpicie swego stanowiska wysuwają szereg trudnych do odparcia argumentów. Przytacza je wielki francuski orientalista Andre Parrot w swojej książce Golgota i Kościół Świętego Grobu, chociaż on sam, należy to lojalnie zaznaczyć, nie wypowiada się ostatecznie w sprawie tej kontrowersji, wychodząc z założenia, że tradycja topograficznego położenia grobu nie mogła być wyssana z palca, że musiała mieć jakieś konkretne uzasadnienie.

można było ich lekceważyć. I trudno się temu dziwić, jeśli uświadomimy sobie, że od chwili ukrzyżowania Jezusa aż do położenia kamienia wewnęgiego pod Bazylikę Grobu minęły prawie trzy stulecia, w czasach bardzo krótkiego przeciętnego życia człowieka - co najmniej dziesięć pokoleń. Nawet gdyby w tych latach Jerozolimy nie dotknęły wojny oraz inne kataklizmy, to i tak pamięć o topograficznym położeniu grobu Jezusa musiała być chyba dość niepewna. Ale Jerozolima bynajmniej nie zanałał spokoju. Ciągłość tradycji, niezbędny warunek uchwiania się takiej pamięci w kolejnych pokoleniach, gwałtownie się przerała. Przecież w 70 r. Jerozolima została zdobytą przez Rzymian i zburzona, a podczas powstania Bar Kochby (131-134 r.) ostatecznie wymazana z powierzchni ziemi. Żydów i nielicznych chrześcijan, którzy ocalili, zmuszono do pójścia na wygnanie i poniewierkę, bez prawa powrotu do rodzinnego miasta. Na miejscu nie pozostał nikt, kto mógłby świadczyć o grobie Jezusa. Na gruzach dawnej stolicy juddziej cesarz Hadrian założył typowo rzymskie miasto Aelia Capitolina. Forum postanowił umiejscowić tam, gdzie dawniej była Golgota. Ponieważ był to teren wyboisty, trzeba go było zniwelować. Podczas tych prac zasypano wywłaszczając tam, powykucwane w czasie groby żydowskie, nad nimi zaś wznieziono publiczne gmachy okalające rynek. Gdy przeto Konstantyn Wielki zarządził budowę bazyliki tam, gdzie rzekomo znajdował się grób Jezusa, to jest na Gologicie, trzeba było wydobyc ją spod zwalów gruzów i ziemi. I wówczas odkryto tam nie jeden grób, lecz całą nekropolię wykutą w skale. Tego rodzaju groby żydowskie pod względem wewnętrznego układu komór i sposobu ich zamykania były do siebie podobne, a jednak zidentyfikowano grób Jezusa. Jak wobec braku świadków oraz innych danych źródłowych udało się to przeprowadzić? Pytanie jest usprawiedliwione zwłaszcza wobec przoosobliwego faktu, że piśmienne źródła II i III wieku, wymieniając różne inne groby, jak na przykład groby Dawida i Salomona, całkowicie zachowują milczenie na temat grobu Jezusa. A są to przeważnie źródła chrześcijańskie. Pierwszy historyk Kościoła Hegezyp donosi, iż za jego czasów (ok. 175 r.) pokazywano podróżnym grób „brata Pańskiego” Jakuba Sprawiedliwego, a płodny pisarz kościelny, Biskup Meliton z Sardes, zaleca zwiedzić w Jerozolimie mnóstwo innych miejsc świętych. Obaj jednak nie wspominają ani jednym słowem grobu Jezusa. To prawda, że grób ten był wtedy jeszcze głęboko ukryty pod budowlami Hadriana, ale to samo można powiedzieć także o grobie Jakuba. Czyż nie jest to dziwne, że wymienia się jeden grób, a pomija milczeniem drugi, o wiele cenniejszy dla chrześcijaństwa? Najbardziej jednak intrygującą rzeczą jest to, że już sam Paweł w swoich listach (ok. 50-55 r.), mimo że rozpizuje się na temat ukazywania się zmartwychwstałego Jezusa, zachowuje głuche milczenie o grobie i cudach, które miały się tam zdarzyć. A przecież byłwał w Jerozolimie, rozmawiał z Piotrem i Jakubem i chyba odwiedzili grob swego Mistra, gdyżby istniał, zwłaszcza że nie był jeszcze zasypany gruzami i ziemią. Jaka tajemnica kryje się za tym faktem milczenia? Jak wyjaśnić tę obojętność wobec miejsca, które w późniejszych latach chrześcijaństwa stanie się najświętym obiektem kultu? Milczenie i obojętność trwająca całe trzysta lat? Wybitny teolog i egzegeta francuski, były ksiądz katolicki Alfred Loisy doszedł do wniosku, że grobu nigdy nie było, gdyż ówczesnym zwyczajem ciała Jezusa wraz z innymi skażaczami pogrzebano bezimiennie we wspólnym dole. Natomiast inny, nie mniej sławny biblista francuski M. Goguel wyraża przypuszczenie, iż kapłani kazali Jezusa pochować w nieznanym miejscu, aby jego wynawcy nie mogli zbierać się przy grobie. Co w takim razie sądzić o Józefie z Arymatei, który jakoby pochował Jezusa w swoim świeżo wykutym grobowcu? Jest to niewątpliwie jedna z najbardziej zagadkowych postaci w historii chrześcijaństwa. Wiemy, że najbliżsi uczniowie Jezusa uciekli, gdy Jezusa ujęto i ukrzyżowano. Tradycja tej ucieczki utrzymała się jeszcze w II wieku; Justyn Męczennik pisze w Dialogu z Zydem Trytonem, że uczniowie odczuwali z powodu niej głęboką skruchę. Na tle ich słabości ducha tym jaskrawiej wydatnia się godna postawa, odwaga i miłosierdzie tego zamożnego Żyda, który nie należał do otoczenia Jezusa, lecz był po prostu dobrym człowiekiem. A jednak wszyscy ewangelicisi potraktowali go uderająco lakonicznie, tak że nie bliźszego o nim nie wiemy. Zjawia się i znika z kart ich opowieści, jak tylko spełni swoją misję. Odnosi się wrażenie, że dwuwymiarowość tej postaci ma swoje ukryte uzasadnienie, że powołano ją do życia tylko po to, aby spełniła jeden, z góry założony cel. Niektórzy biblicyści sądzą, że Józefa z Arymatei wymyśliły późniejsze pokolenia chrześcijan, ponieważ trudno było im się pogodzić z myślą, że ciałem Zbawiciela nikt się nie opiekował, że wrogowie zagrzebali je we wspólnym grobie przeznaczonym dla skażców i nędzarzy. Pozostaje jeszcze odpowiedzieć, dlaczego szukano tego grobu dopiero za czasów Konstantyna i właśnie na terenie rzymskiego forum. Otóż przypuszczalnie spotkamy się tu znowu ze znanym nam już synkretycznym zjawiskiem adaptacji starzych

pogańskich miejsc kultowych do potrzeb wczesnego chrześcijaństwa. Taką opinię uzasadnia w swoim świetnym studium Grób Jezusa profesor Instytutu Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk Włodzimierz Szafranski („Argumenty” z 9 V 1976 r.). Euzebiusz donosi, że na wzniesionym terenie forum, tam gdzie była dawniej Golgota, Hadrian kazał wybudować świątynię z grobem Afrodyty. Ponieważ już prorok Ezechiel (IV wiek p.n.e.) narzekał, że niewiasty żydowskie oplakiwały na dziedzińcu świątyni śmierć Tammuza i Adonisa, Szafranski nie wyklucza możliwości, że grób Adonisa był czczony w Jerozolimie od niepamiętnych czasów: „Wszystko wskazuje na to, że to raczej chrześcijanie zaanektowali sobie w IV wieku prastare sanktuarium pogańskie i za czasów Konstantyna Wielkiego z chwilą zwycięstwa chrześcijaństwa zaadaptowali do własnych potrzeb chrześcijańczą je”. Proces adaptacji pogańskich ośrodków kultowych dla celów kultu chrześcijańskiego, zresztą znany nam już z poprzednio podanych przykładów, odbywał się spontanicznie, drogą naturalnej kontynuacji, a jego siłą sprzączą były atawistyczne nawyki szerokiej mas ludowych, które nie mogły i nie chciały zostawać się z miejscami, gdzie od niepamiętnych czasów wyrażały swoją pobożność, swoje nadzieje, zale i tęsknoty. Dzięki właśnie temu procesowi grób Adonisa stał się grobem Jezusa. Oto co na ten temat pisze prof. W. Szafranski: „Ta paradoksalna koncepcja grobu nieśmiertelnego Boga nie była niczym szczególnym ani wyjątkowym w starożytnych religiach, wyprzedzających pojawienie się chrześcijaństwa. Stąd kształtujący się na początku naszej ery kult Jezusa zastał od dawna istniejące modele, gotowe wzorce tradycyjne dla tej tak osobliwej jidei grobu bożego. Powszechnie znany jest grób Zeusa w jaskini w górach Ida na Krecie. W świątyni delfickiej pokazywano grob Dionizosa. Według innej wersji miał się ten grób znajdować w Tebach. Grób Ozyrysa lokalizuje Herodot w Saiz w Dolnym Egipcie. Również Abydos w Górnym Egipcie miało posiadać grób tego bóstwa. Było ich zresztą w Egipcie więcej. W świątyni Dendara zachowała się inskrypcja, zawierająca spis egipskich grobów boga Ozyrysa. James George Frazer twierdzi, iż grób Ozyrysa był dla Egipcjan tym samym, co kościół Grobu Świętego w Jerozolimie dla chrześcijaństwa”. A więc, jak wskazują wyniki badań, relacja ewangelistów o pustym grobie powstała znacznie później, jako konsekwencja wiary w cielesne zmartwychwstanie Jezusa. W ogóle wszystko, co wydarzyło się Jezusowi w życiu, widziano retrospektywnie przez pryzmat tej wiary w nowym świetle, pojmnowano jako komentarz do tego nadwyśczonego cudu. Gdy przeto chcemy zrozumieć ewangelie, musimy odczytywać je od końca w takiej kolejności, jak ich opowieści kształtowały się w środowiskach chrześcijańskich pod wpływem przekonania, że Jezus zmartwychwstał i ujawnił w ten sposób swą boską naturę. W Pierwszym liście do Koryniant Paweł napisał: „A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremny jest tedy przepowiadanie nasze, daremna jest i wiara nasza” (15,14). Zdawałoby się, że w relacjach o tak centralnym, kluczowym fakcie w chrześcijaństwie jak zmartwychwstanie powinna istnieć idealna zgodność. Niestety, tak nie jest. Juz Lessing odkrył w tych relacjach aż dziesięć sprzeczności nie do pogodzenia. Gdyby je traktować jako zeznanie świadków, żaden sąd nie byłby w stanie wydać na ich podstawie jakiegosi ostatecznego werdyktu. Jezuita Xavier Leon-Dufour, wskazując w swojej książce Zmartwychwstanie Jezusa i orędzie paschalne (Resurrection de Jesus et message paschal) na liczne sprzeczności w relacjach, wyraża wątpliwość, czy metodą konkordyzmu, czyli wybrania z tych opowieści i zestawienia listy zgodnych faktów można by zrekonstruować -logiczną opowieść o tym, co Jezus robił, gdzie i jak długo przebywał po zmartwychwstaniu. Lew Tolstoj, jak wiadomo, głęboko przywiązany do chrześcijaństwa, w artykule O cudne zmartwychwstania Jezusa odrzuca te opowieści jako „naiwne i protacki wymysł ewangelistów” wychodząc z założenia, że „cud wskrzeszenia jest wręcz przeciwnie nauce Chrystusa”. Żeby zrozumieć, jak mogła powstać wiara w zmartwychwstanie Jezusa, trzeba przede wszystkim wziąć pod uwagę wyobrażenia, jakie cechowały ludzi starożytnego świata. Dla nich myśl, że człowiek może powstać cielesnie z grobu, nie była czymś nowym, czymś szokującym. Jest to jedna z najstarszych eschatologicznych koncepcji ludzkości. Jak świadczy obecność narzędzi, przedmiotów domowego użytku i żywności w grobach, już prymitywne ludy epoki paleolitycznej wierzyły w cielesną nieśmiertelność człowieka. Wszelako bezpośredni, aktualny wpływ na ówczesną umysłowość wywarły wierzenia Egiptu, Persji i wywodzących się z nich niektórych odmiann sekciarskich judaizmu. Egipcjanie wyobrażali sobie, że zmarli, po osadzeniu przez Ozyrysa ich dobrych i złych uczynków na ziemi, powrócą do swoich poklów cielesnych, które z tego powodu mumifikowali i przechowywali w piramidach lub skalnych grobowcach. Nieśmiertelność cielesną głosiła także religia Zoroastra, a szczególnie kult perskiego boga Mitry. Mitraizm, groźny konkurent chrześcijaństwa w pierwszych wiekach naszej ery, wśród swoich artykułów wiary gówny akcent kładł na obietnicę zmartwychwstania zmarłych.

Jeżeli chodzi o judaizm, to idea cielesnej nieśmiertelności, mająca przypuszczalnie swój rodowód z źródeł perskich, uwidacznia się niedużo w apokaliptycznych księgach Starego Testamentu. Według tych ksiąg miał nastąpić kiedyś „dzień Jahwe”: sąd ostateczny i nowa, szczęśliwa era w dziejach ludzkości. W dniu tym powstażą z grobów zmarli, aby stanąć przed sądem Bózym i otrzymać uniewinniający lub potępiający wyrok. W tych wierzeniach istnieją jednak różnice: niektóre apokalipsy głoną, że wszyscy ludzie zmartwychwstaą i będą sądzeni; inne znowu twierdzą, że dotyczy to tylko Izraelitów; są i takie, które utrzymują, że zmartwychwstaą tylko sprawiedliwi, a wszyscy inni, obarczeni ciężkimi winami, skazani będą na wieczny pobyt w „szoeulu”, w podziemnej krainie cieni. W Księdze Psalmów Dawid weseli się, że Bóg nie zostawi jego duszy w piekle („w szoeulu”), a ciało jego nie ulegnie rozkładowi (15,9). W Prorocictwie Iżajaszowym czytamy, że umarli ożyją i polegli powstażą z grobów (26,19). Wreszcie w Prorocictwie Danielowym autor pisze dosłownie: „A mnożyć z tych, którzy śpią w prochu ziemi, oczuą się, jedni do żywota wiecznego, a drudzy na hańbę...” (12,2). Tego rodzaju cytatów można by przytoczyć więcej, ich znaczna liczba świadczy, jak silnie umysłowość żydowska była zaabsorbowana myślą o śmierci i cielesnym zmartwychwstaniu. Jak wynika z ewangelii, w środowiskach żydowskich rozniósł się pogłosk, że Jezus to powstał z grobu prorok Elias lub Jan Chrzciciel. W Ewangeliu Marka czytamy: „Posłyszawszy to, Herod rzekł: To Jan, którego ściałem głowę, ten powstał z martwych” (6,16). W tych warunkach łatwo zrozumieć, dlaczego uczniowie Jezusa tak spontanicznie uwierzyli w jego zmartwychwstanie. Tłumaczy się to nie tylko faktem, że jako nieodrodnii synowie epoki przesiąknięci byli panującymi wówczas wyobrażeniami i przekonaniem, lecz przede wszystkim chyba stanem duchowym, w jakim się znajdowali po brutalnej śmierci ukochanego Mistra. Przylotcznym żalem, rozpaczą i wyrzutami sumienia, że odstąpili go i zromotnie zawiedli w najtraficniejszej chwili jego życia, a nadto gniebieni zachwianiem wiary w jego postanicstwo i niemożnością zrozumienia sensu jego haniebnej śmierci na krzyżu, nagle doznali otuchy i radosnego oślnienia: Jezus zmartwychwstał! Pierwszą osobą, która go ujrzela, była przypuszczalnie Maria Magdalena, szczególnie do tego predysponowana. Z niej przecież Jezus wypędził swego ciada siedem demonów, z czego wolno wnioskować, że okresowo zapadała na jakieś zaburzenia psychiczne. W psychologii znana jest dobrze zaraliwość takich przywizdzeń. Droga reakcji łańcuchowej niebawem ujrzał go różni inni jego towarzysze. Wiące o tych spotkaniach z Mistrzem podawano sobie z usto do ust. W dusznych jego wynawców zająśniała nowa nadzieja. W tego rodzaju sytuacjach, pełnych nerwowego napięcia, ludzie, nawet ci obdarzeni równową umysłu, często padają ofiarą samoudu. Nie rozpoznają, co jest subiektywne, a co obiektywne, co halucynacja, a co rzeczywistość. Wydaje im się, że zisyci się ich własne ukryte życzenia. Dopastawszy widzenia Jezusa, nabrli niewzruszonego przekonania, że on zmartwychwstał. Zapewne o tej chwili zaczęli Jezusa utożsamiać z zapowiedzianym w Starzym Testamentem Mesjaszem. W księgach proroków, szczególnie w Prorocictwie Iżajaszowym, wykryli wszystko, co się wydarzyło w jego życiu: że słuą Jahwe będzie porwany spomiędzy ludzi żywych, że umęczony i sponiewierany umrze wśród przestępców, a złożony ofiarę życia za grzechy ludzkości powstanie dnia trzeciego i będzie żył między mocarzami. Inspiracją stał się dla nich niewątpliwie werwet z II Księgi Królewskiej, który brzmi: „Słyszałem modlitwę twoją i widziałem jej twoje: a oto udurowilem cę, dnia trzeciego wnjdziesz do domu Pańskiego” (20,5), a także to, co wyczytali w prorocictwie Ozeasza: „Ożywi nas po dwóch dniach, a dnia trzeciego wzbudzi nas, i żyć będziemy przed obliczem jego” (6,3). A więc ukrzyżowanie okazało się triumfem Jezusa, a nie klęską, ofiarą z góry zaplanowaną przez Boga. Wkrótce pojawi się on znowu, aby zaprowadzić nowy, sprawiedliwy ład na ziemi. Była to owa „dobra nowina”, która pierwsi chrześcijanie z gorliwością rozgłaszali, a ludzie, gdziekolwiek byli, w Jerozolimie, Antiochii, Damazku czy w Efezie, uwierzyli im z zadiwiającą gotowością. W ten sposób powstały załączki przyszłego Kościoła: gminy pierwszych chrześcijan. Uczniowie Jezusa byli głęboko przekonani o prawdziwości jego zmartwychwstania. Było to jednak ich osobiste doświadczenie, które nie wystarcza za dowód. Ustosunkowia się do ich świadczeń jest przeto tylko kwestia wiary, a nie rezultatem naukowej postawy. Paweł mówi o zmartwychwstaniu Jezusa, nie próbuje nawet swego twierdzenia udowodnić, lecz żada, by w nie wierzone. Oczywiście subiektywny charakter pierwotnych świadczeń uznała większość badaczy biblijnych, między innymi tak wybitni specjaliści, jak Marxsen i Bulتمان. Ten ostatni napisał, że zmartwychwstania nie sposób brać historycznie, bo „krytyka historyczna może jedynie ustalić fakt, że pierwsi uczniowie wierzyli w zmartwychwstanie, nie może jednak udowodnić, że istotnie się kiedyś wydarzyło naprawdę”.

Ich sąd krytyczny, jak się przekonamy niebawem, bynajmniej nie jest głoszony. Tak na przykład jednym z ich argumentów jest uderzający fakt, że Jezus ukazuje się wyłącznie swoim żywnym, a więc ludziom podatnym na autogesugię. Świadczy o tym fakt, że Jezus ukazuje się wyłącznie swoim żywnym, a więc ludziom podatnym na autogesugię. Świadczy o tym fakt, że Jezus ukazuje się wyłącznie swoim żywnym, a więc ludziom podatnym na autogesugię.

Chcąc wyrobić sobie właściwy pogląd na zawarte w Nowym Testamentem relacje o zmartwychwstaniu, należy pamiętać o ich chronologii. Nie powstały one w tym samym czasie, lecz kolejno na przestrzeni bez mała stu lat. Najstarszy zapis, jaki mamy, to Pierwszy list Pawła do Koryntian z 57 lub 58 r., a więc napisany mniej więcej ćwierć wieku po śmierci Jezusa. Następne relacje pojawiają się w takiej oto kolejności: Marek ok. 70 r., Mateusz ok. 75 r., Łukasz ok. 90 r. i Jan w latach 90 - 100, przy czym należy tu wtrącić, że podane daty mają wartość jedynie tylko hipotetyczną. Poszczególne relacje stanowią jakby fazy w procesie mnożenia się legend naokoło Jezusowego grobu.

W tej ocenie należy jeszcze uwzględnić fakt, że autorzy ewangelii, jak to wykazała nauka, nie byli apostołami, a więc nie mogą uchodzić za naocznych świadków zmartwychwstania. Wiadomości na ten temat mieli oni z drugiej ręki, czyli przedstawili oni to wydarzenie w taki sposób, jak sobie je wyobraźli ludzie prawie pół wieku później. W dodatku pozbarane informacje przerabiali dowolnie, zgodnie ze swoimi aktualnymi potrzebami.

Jeżeli przeto w ich opowieściach jest jakieś jądro prawdy, to ginie ono w otchłonie dodanych przez nich legendarnych i beletrystycznych szczegółów. Dość lapidarnie określili to niemiecki jezuita Gunter Schiwe w artykule opublikowanym w czasopiśmie „Die Stimmen der Zeit” (kwiecień 1966 r.): „Ewangelicji swoją opowieść o Zmartwychwstaniu wzajemnie sobie odpisywali i pewne mgliste namipomnienia rozbudowali scenicznie, przy czym nie mieli najbujniejszych skrupułów, by owe i tak mało wiarygodne historie przeinaczać i swobodnie teopracowywać zgodnie ze swoimi zamierzeniami teologicznymi, pedagogicznymi i apologetycznymi”.

W tych warunkach jedynym źródłem, na którym historyk może do pewnego stopnia polegać, jest informacja Pawła, zawarta we wspomnianym już Pierwszym liście do Koryntian. Nie tylko dlatego, że jest ona chronologicznie najdawniejsza, ale także dlatego, że Paweł to jedyny autor w Nowym Testamentem, który osobiście miał widzenie Jezusa i autentyczny opis swego przeżycia przekazał nam bez pośredników.

Odnośnie werset brzmi następująco: „Przed wszystkim przekazałem wam to, co mnie samemu podano: mianowicie że Chrystus umarł za nasze grzechy, wedle Pisma; że został pogrzebany i że wedle Pisma trzeciego dnia zmartwychwstał. Ukazał się Kefasowi, potem Dwunastu, potem więcej niż pięćset braciom pospołu, z których większość żyje dotychczas, a niektórzy już pomarli. Potem ukazał się Jakubowi, później wszystkim apostołom. A na koniec ukazał się także mnie, który jestem jakoby płód poroniony” (I Kor. 15, 3-8, przeł. z greckiego ks. prof. Seweryn Kowalski).

Passus, jak widać, jest w swym wyliczającym tonie aż do oszczędności rzeczowy i lakoniczny. A jednak zawiera immanentnie sporo pouczających informacji. Przed wszystkim frapujące jest to, jak niezwykle dużo było osób, którym miał ukazać się Jezus. Jest to lista pod wieloma względami pozostająca w sprzeczności z wersją ewangelistów.

Skąd wziął Paweł ową wiadomość? On sam nie daje nam odpowiedzi na to pytanie, powiada tylko w sposób niejasny, że ją „otrzymał”, nie precyzując od kogo. Nie powołuje tu na świadków tak kompetentnych osobistości, jak Piotr czy Jakub, z którymi podczas swego pobytu w Jerozolimie musiał chyba niekiedy na ten wątki temat rozmawiać. W gminie chrześcijańskiej Koryntu znaleźli się sceptycy wątpiący w zmartwychwstanie i Paweł usiłuje nawrócić ich na drogę wiary. Aż się prosiło, żeby posłużyć się tu świadectwem tych dobrze poinformowanych i wiarygodnych apostołów dla przekonania niedowiadków o prawdziwości zmartwychwstania. Jeżeli tego nie uczynił, mamy prawo przypuszczać, że nie od nich otrzymał ową listę, że powtórzył tylko to, co zasłyszał od innych, co jako anonimowa pogłoska krążyła wśród ówczesnych braci chrześcijańskich. Znamienią rzeczą jest także to, że na liście nie ma żadnej kobiety. Nie figuruje na niej ani matka Jezusa, ani Maria Magdalena, ani inne niewiasty występujące w dramacie pasyjnym ewangelii. Paweł przemilczał je tak, jakby o nich nie wiedział. W jego relacji zmartwychwstania ponadto kompletny brak konkretnych okoliczności, opisanych w tak dramatyczny sposób przez ewangelistów. Koryntianie nie dowiedzieli się o pustym grobie Jezusa, o cudach, jakie się tam działy, o dobrym uczynku Józefa z Arymatei, o dwóch uczniach z Emaus, o niewiernym Tomaszu, który dotknął rany Jezusa, o tym, że Jezus udał się z apostołami smółną rybę, że czterydzieści dni przebywał na ziemi i w końcu na oczach towarzyszy wszedł do nieba. Czyż Paweł mógł nie dziwy nad dziwami przemilczeć świadomości? Nie ma zgola żadnego przekonywującego argumentu, który by przemawiał za taką tezą. Wobec tego należy alternatywnie przyjąć drugi wariant: nic o

nich nie wiedział, ponieważ wszystkie te szczegóły narracyjne są legendarnym tworem późniejszych czasów, rozpropagowanym dopiero przez ewangelistów.

Thumaczy to może, dlaczego Paweł o wstrząsającym cudzie zmartwychwstania „Jezusa napomyka tylko krótko i ledziwato, że „ukazał się” lub że „był widziany” (po grecku: *ophe*), nie komentując, gdzie i w jakich konkretnych okolicznościach się to wydarzyło. Jest to tym dziwniejsze, że list skierowany był do braci w Koryncie, którzy z racji swego oddalania odczuwali wręcz nienasycony głód tego rodzaju anegdotycznych wieści.

Paweł nie mógł jednak dostarczyć im bliższych danych związanych ze zmartwychwstaniem z tej prostej przyczyny, że ich sam nie miał. To bowiem, co w swojej relacji zaledwie wspomina w dwóch lakonicznych określeniach, w istocie rzeczy działo się w nim samym, było wewnętrznym, nie osadzonym w realiach życia, czysto osobistym przeżyciem. Dopiero późniejsi katecheci, jak to wykazaliśmy podczas krytycznej analizy Dziejów Apostolskich, zrehabilitowali ów ściśle psychologiczny element w dramatycznej widowisko, pełne nadzwyczajnych wydarzeń.

Wyrażenie „ukazał się” i „był widziany” Paweł odnosi niejako jednym tchem i do siebie, i do pozostałych wymienionych na liście osób. Sugeruje więc pośrednio, że widzenie Jezusa, jakiego doznali apostołowie, Piotr, Jakub i pięćset braci, było tego samego rodzaju, jakiego on sam doznał. O sobie, jak też i o nich nie mógł powiedzieć nic ponad to, że widzieli Jezusa. Wydaje się, że sprawdza się tu poprzednio przez nas wypowiedziana teza, że oni wszyscy, będąc w stanie niemalże ekstazy, padli ofiarą własnych urojeń, utożsamiając swoją wizję z rzeczywistym zmartwychwstaniem Jezusa. Z biegiem czasu, jak to już powiedzieliśmy, to subiektywne wydarzenie ludzie zaczęli konkretyzować, inscenizować anegdotycznie.

Pierwsza faza tego procesu znalazła swój wyraz w najwcześniejszej relacji, zawartej w Ewangelii Marka. Według niej Maria Magdalena, Maria Jakubowa i Salome, pragnąc nadać ciało Jezusa, zastały grób otwarty i pusty. W środku siedział jakiś młodzieniec w białej szacie i oświadczył im: Jezus „powstał, nie masz go tu”. Polecił także, aby zawiadomili apostołów, że spotka się z nimi w Galilei. Nie wiasty tak jednak się przeraziły, że nikomu o tym dziwnym spotkaniu nie powiedziały. Tak kończy się opowieść Marka. To bowiem, co dalej czytamy, a co ujęte jest w ostatnich dwunastu wersetach (9-20), można by, nazywając rzecz po imieniu, określić mianem fałszyfikatu. Tych wierszy, noszących naukowy termin „klauzury”, nie ma na przykład w Kodeksie Watykańskim i w Kodeksie Synajskim. Odcinając się one ponadto od reszty tekstu innym słownictwem, stylem i sposobem wyrażania się. Toteż dziś już na ogół uważa się za sprawę przesadzoną, że mamy tu do czynienia z późniejszą interpolacją.

Ów nieznan dorabiacz, zapewne w pobójnej intencji dopomożeniu wierze, beceremonialnie przypisyje Markowi rzeczy, o których ani mu się śniło. Według tej podrzuconej wersji Jezus miał ukazać się naprzód Marii Magdalenie, potem dwom nie nazwanym po imieniu uczniom, którzy spieszyli do swojej wsi, i ostatecznie jedenaście apostołom. Poleciliśmy im, by poszli w świat i głosili ewangelie, wstąpił do nieba i zasiadł na prawicy Bożej. Pełno tu, jak widzimy, mitologizacji i teologii, obcej duchowi ewangelii. Cóż więc w rzeczywistości pisze najdawniejszy i najbardziej rzetelny wśród czterech ewangelistów? Przed wszystkim trzeba zauważyć, że w jego relacji, jak to przyznaje ks. E. Dąbrowski, nie ma ani słowa o zmartwychwstaniu Jezusa. Młodzieniec w białej szacie, nie nazwany jeszcze, jak w następnych ewangeliach, aniłom, oświadcza jedynie tylko w sposób dość enigmatyczny, że Jezus „powstał”, że nie ma go w grobie. W tej relacji, pozbawionej wyraźnego elementu nadprzyrodzonego, po raz pierwszy pojawia się „pusty grób”, jednakże nie spełnia on jeszcze tak zdecydowanie funkcji dowodu, że Jezus zmartwychwstał. Motyw ów, jak zobaczymy, wyzyskują w całej pełni dopiero następni ewangelicji. Tak więc w Ewangelii Marka spotykamy się niejako „in statu nascendi” z ciałem podań, które w następnych fazach rozwoju tkadł coraz mocniejszą naciśk na wymowę pustego grobu i realność zmartwychwstania.

Jednakże pusty grób jako dowód zmartwychwstania okazał się argumentem obsciesnym. Z chwilą jego pojawienia się, Żydzi natychmiast puścili w obieg pogłoskę, że uczniowie Jezusa wykradli jego ciało i ukryli gdzie indziej, zarzucali im więc szalbierstwo. Echem tych poglosek jest opowieść Jana, według której Maria Magdalena, urzawszy odwalony kamień grobowy, pobięła do Piotra i Jana, wołając: „Zabrano Pana z grobu, a nie wiemy, gdzie go położono” (J. 20,2). Gdy później zjawił się przed nią Jezus, nie poznała go, lecz wzięła go mylnie za miejscowego ogrodnika. Odezwała się więc doń w ten sposób: „Panie, jeśliś ty go zabrał, powiedz mi, gdzieś go złożył, a ja go wezmę” (J. 20,15). Rodowód tego osobliwego „qui pro quo” jest prawdopodobnie zasyfrowany w innym wersecie Jana; czytamy tam: „A na miejscu, gdzie go ukazywano, był ogród, w ogrodzie zaś grobowiec niezamknięty, w którym nikt jeszcze nie był złożony. Tam tedy z powodu żydowskiego dnia Przygotowania, bo grobowiec był blisko, złożył Jezusa” (19,41-42).

Ten werset właśnie przyczynił się chyba do powstania zanotowanej pod koniec II wieku przez pisarza kościelnego Tertuliana wieści o właścicielu ogrodu, który ukrył ciało Jezusa, ponieważ bał się, że ludzie, tłumnie zwiedzający jego grób, stratają mu warzywa (De spectaculis, XXX). Pogłębiony wariant tej historyki znajdujemy w odnalesionym w Egipcie koptyjskim tekście, noszącym tytuł Księga Rezurekcji. O tym ogrodniku dowiadujemy się, że miał na imię Filogen i że był Jezusowi oddany, gdyż udroził mu syna. Spokazyw przy grobie matkę ukrzyżowanego, oświadczył jej, co następuje: „Po ukrzyżowaniu Jezusa Żydom zalezało na tym, aby pochować w ukrytym miejscu. W ten sposób pragnęli zapobiec porwaniu zwłok przez jego uczniów. Rzekłem im tedy: w moim ogrodzie wyrzynamy jest grób. Złóżcie go tam, a ja przypłynię, by nikt go nie zabrał. Jednakże w głębi duszy powiedziałem sobie, że skoro tylko Żydzi udadzą się do domu, zabiorę ciało, namaszczę je wonnymi olejkami i pochowam gdzie indziej”.

Mateusz donosi nam, że pogłoska o wykradzeniu zwłok jeszcze za jego czasów krążyła wśród Żydów (28,15). Jak się można domyślić z słów Marii Magdaleny oraz z apokryficznej anegdoty o oddanym Jezusowi ogrodniku, znalazła ona posłuch także w środowiskach chrześcijańskich. Stanowiła więc ogromne niebezpieczeństwo dla nowej religii, której rąba była oparta była na wierze w zmartwychwstanie. Przeto w walce z tymi plotkami nie przebierano w środkach, a jej metody łatwo rozpoznać w ewangelich Mateusza, Łukasza i Jana. Trzeba od razu powiedzieć bez osłonek, że w apologetycznym ferworze, w nabożnej chęci zdławienia wszelkich wątpliwości wśród braci i antagonistów, wymienieni ewangelicji, szczególnie Mateusz, obficie korzystali ze swej beletrystycznej pomysłowości. Nie była to jednak owa tak charakterystyczna dla folkloru, beztroška gra fantazji, z której zazwyczaj rodzą się baśnie, legendy, mity i cuda, lecz celowa akcja polemiczna, mająca nieopdarcie wykazać, że było rzeczą niemożliwą wykraść zwłoki Jezusa i że wobec tego pusty grób nie mógł oznaczać nic innego, jak tylko jego cudowne zmartwychwstanie.

Jeśli jednak od razu wiadać, że ewangelistom przyswiewca jeden i ten sam cel apologetyczny, to rozbieżna są drogi, jakimi do tego celu dąży. Każdemu z nich wyobraźnia podsuwa inne rozwiązania problemu. W rezultacie mamy w Nowym Testamentem relacje trzy narracyjne wersje, w wielu szczegółach ze sobą sprzeczne i niewiele mające wspólnego z prawdziwym przebiegiem wydarzeń. Według zapewnień Mateusza o wykradzeniu zwłok nie mogło być w ogóle mowy, jako że grób był przez Żydów opieczętowany i otoczony strażnikami. Jeśli mimo to grób był pusty, to można wyjaśnić, jak się to stało. Otóż Maria Magdalena i „druga Maria” widziały na własne oczy, jak przys wtórce zrzenia ziemi z nieba zstąpił anioł, jak odwalił kamień grobowy i oznajmił, że Jezusa nie ma już w grobie, albowiem zmartwychwstał. Wbrew relacji Marka niewiasty bynajmniej nie są przestraszyły i nie potroszwały incydentu trzymać w tajemnicy. Wręcz przeciwnie: pobiegły zaraz do uczniów Jezusa, by przekazać im otrzymaną przez anioła radosną nowinę. Zdarzyło się jeszcze to, że wówczas drogę zastąpił im we własnej osobie Jezus zmartwychwstały i polecił zawiadomić apostołów, iż wyznacza im spotkanie w Galilei.

Mateusz twierdzi także, iż jako świadkowie mogłyby wystąpić nawet strażnicy pilnujący grobu, gdyby nie byli tak lasi na pieniądze. Oni przecież również urzeli anioła Pańskiego i na jego widok zapadli nawet w podobne do śmierci omdlenie. Przekupieni jednak przez kapłanów, kłamliwie rozpowiadali, że ciało Jezusa wykradli jego uczniowie, kiedy na posterunku sen ich zmorzył. W ten oto sposób dali początek plotce, która uporczywie krążyła wśród wielu pokoleń Żydów, która uporczywie krążyła wśród wielu pokoleń Żydów. W obronnych zabiegach poszedł jeszcze dalej Łukasz. W jego wersji już nie tylko jeden, ale dwóch aniołów obwieściła zmartwychwstanie Jezusa. I nie tylko trzy albo dwie niewiasty były wówczas obecne przy grobie, lecz poza Marią Magdaleną, Joanną i Marią matką Jakuba jeszcze inne niewiasty, których imion ewangelista nie uważał za potrzebne wymienić. A więc poczet świadków się powiększył.

Jezus zmartwychwstały nie ukazał się tym razem dwóm Mariom, za to rozmawiał z nim i gościł posiłkiem dwaj uczniowie z Emaus, a później także apostołowie. Jezus pragnął przekonac ich, że zmartwychwstał rzeczywistość, spożył na ich oczach kawałek pieczonej ryby i plaster miodu, nawet pozwolił się dotknąć. Wobec takich dowodów, któz jeszcze wśród wiernych mógł wątpić, że Jezus zmartwychwstał naprawdę! Dalszą konfuzję w sprawę wprowadza Jan Ewangelista, bo i on opowiada swoją własną, może nawet najbardziej odmieną wersję na temat pustego grobu. Nie ma w niej mowy o jednym czy dwóch aniołach, grób już otwarty zastała Maria Magdalena, bo tym razem jedynie tylko ona sama jest wymieniona. Piotr i „drugi uczeń, którego miłował Jezus”, zaalarmowani przez nią okrzykiem, że „zabrano Pana z grobu”, pobiegli na miejsce i urzeli - zacytujmy tu słowa ewangelii - „leżące przecięciadła oraz chustę, która była na głowie jego, leżącą nie razem z przecięciadłami, ale zwinętą osobno na jednym miejscu”. Wówczas dopiero nie nazwany po imieniu uczeń uwierzył, że Jezus zmartwychwstał

przypuszczalnie pod wpływem myśli, że przeciez poryczenie nie traciłoby czasu na rozbieżanie zwłok i staranne ułożenie jego bielizny na lawie. Jak widzimy, Jan wprowadza tu zupełnie nowy argument na rzecz zmartwychwstania. Ale poza tym przytacza, inne, jeszcze mocniejsze dowody. Gdy bowiem Maria Magdalena smutna i zapłakana spojrzala do wnętrza grobu, urzela przez lzy dwóch siedzących aniołów w biel, a gdy potem spojrzala za siebie, spostrzegła postać samego Jezusa, biorąc go zreszta za ogrodnika. Jak tylko nieporozumienie się wyjaśniło, Jezus rzekł jej, co następuje: „Nie dotykaj mnie, jeszcze bowiem nie wstałem do Ojca mego, ale idź do braci moich i powiedz im: Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego, Boga mego i Boga waszego”. Tego samego dnia ukazał się także swoim uczniom, by po ósmiu dniach powrócić do nich i pozwolić Tomaszowi dotknąć palcami swoich ran. Widzieliśmy, jak katecheza o zmartwychwstaniu postępuje od prostego opowiadania o pustym grobie do samego zmartwychwstania Jezusa, widzianego nawet przez jego wrogów. Kolejne fazy tego rozwoju polegają na tym, że do starych twierdzeń dodano nowe, by za wszelką cenę uprawdopodobnić zmartwychwstanie i bronić się przed krytyką zarówno niedowiadków we własnym obozie, jak i też pamflelistów w obozie pogańskim.

Tendencja do spietzrania coraz to nowych fikcyjnych dowodów występuje szczególnie drastycznie w tak zwanej Ewangelii Piotra. Jest to jeden z tych licznych religijnych tekstów, nie przyjętych do pism kanonicznych i nazwanych apokryfami. Ewangelia cieszyła się jednak ogromnym autorytetem i poczytnością. Justyn Apologeta, jak to wynika z jego Dialogu z Żydem Tryfonym (II wiek), był święcie przekonany, że jej autorem był apostoł Piotr. Dopiero w 496 r. dekretem papieża Gelazego I zdecydowano ją oficjalnie jako apokryf. Upłynęło więc bez mała trzysta lat, zanim wyeliminowano ją z szerokiego nurtu uznanego przez Kościół piśmiennictwa religijnego. Przez ów jakże długi okres liczne pokolenia wiernych jakimś się z nabożną latwowiernością jej dziedzina, pełną cudów i nieprawdopodobnictw fantastyką. Decyzja papieża zapewne sprawiła, że tekst ewangelii zagubił się bezpowrotnie. I tylko wzmiarkom Orygenesa i Euzebiusza należy zawiadczająca, że nie zapomniał o jej istnieniu. Łatwo wobec tego zrozumieć poruszenie w kołach biblistów, gdy w 1892 r. odkryto w pobliżu wsi Akhlim w Górnym Egipcie starożytność z V wieku, a w jednej z trumien, w której leżały proch jakiegoś mnicha, fragment zagubionej Ewangelii Piotra dotyczący wydarzeń tygodnia pasyjnego. Nieznany autor twierdzi, że z chwilą pochowania Jezusa lud żydowski, nie wyłączając kapłanów i starszyzn, biadał i bił się w pierś, ponieważ zrozumiał grzech, jaki popełnił. Przydwoję, przestraszeni szmeraniem i rozpaczą ludu, zwrócili się do Piłata o wystawienie strazy przy grobie. Tak więc liczny oddział żołnierzy pod dowództwem setnika Petroniusza przy pomocy Żydów zabłokował wejście do grobu ciężkim głazem, nałożył siemkom pieczęci, rozbił namioty i nieprzerwanie pilnował, aby zwłok nie wykadziono.

I tutaj warto dla ilustracji przytoczyć główny fragment opowieści:

„O to w nocy z soboty na niedzielę, podczas kiedy żołnierze trzymali straż po dwu na zmianę, uczynił się szum w niebiosach. I urzeli niebo otwarte i dwu mężów zstępujących zeń w wielkim blasku i zbliżających się do grobu. A oto kamień, którym przywalono wejście, tocząc się sam, odsunął się na bok. Grobowiec odemknął się i dwaj młodzieńcy weszli do środka. Na ten widok odwalili setnika i starszynie, którzy także tam byli, trzymające straż. A gdy opowiadali, co wdziali, urzeli znów trzech mężów wychodzących z grobu: dwaj młodzieńcy podtrzymywali trzeciego, a krzyż posuwał się za nimi. Głowy dwóch pierwszych sięgały nieba, ale głowa tego, którego wiedli, przenosiła niebo”.

Pod wrażeniem niesłychanego cudu sam Piłat zrozumiał, że Jezus jest Symem Bożym. Mimo to, ulegając prasom kapłanów żydowskich, surowo nakazał swoim żołnierzom, aby nikomu nie mówili, co przy grobie się wydarzyło. Kapłani bowiem byli strzepy przerażeni i rzekli: „Bo lepiej dla nas odpowiadać przed Bogiem za najcięższe ze zbrodni, niż wpaść w ręce ludu żydowskiego, aby ukamienował nas”. Kampania w obronie doktryny zmartwychwstania trwała jeszcze bardzo długo. W XI czy XII wieku nieznaną tłumacz na język staroruski Dziejów wojny zdrowskiej Józefa Flawiusza przemycił do oryginalnego tekstu interpolację, z której się dowiadujemy, że grobu Jezusa pilnowało nie tylko trzydziestu żołnierzy rzymskich, ale w dodatku aż tysiąc pachokłów kapłańskich (5,5,4). Wobec tak ogromnej masy strażników któz jeszcze śmiałyby podnosić zarzut, że zwłoki Jezusa zostały wykradzione!

Drugi nurt, jaki najwyraźniej przebiega się przez Nowy Testament, to walka w obronie wiary w cielesny charakter zmartwychwstania Jezusa. Była to doktryna, która od zarania chrześcijaństwa spotykała się wśród wiernych z oporem i wątpliwościami. Już Paweł musiał się z nimi borykać. W Pierwszym liście do Koryntian pisze: „A jeśli głosimy o Chrystusie, że zmartwychwstał, jakże niektórzy z was mogą mówić, że nie masz zmartwychwstania?” (15,12). Dla

obywateli Koryntu, wychowanych od dzieciństwa w atmosferze filozofii platońskiej, doktryna cieleniego zmartwychwstania była pomysłem wręcz groteskowym. W ich pojęciu jedynie dusza była niemierna, ciało natomiast jej więzieniem. Śmierć więc oznaczała dla nich wyzwolenie duszy z ciężaru materii, oczyszczenie istoty ludzkiej z tego wszystkiego, co było łaź i przyziemne. Paweł, jak wynika z jego listu, zdawał sobie sprawę z trudności przekonania korynckich „hellenistów”, z tego dualistycznego dylematu usiłując wybrnąć tłumacząc w zawyłym wywodzie, że ciało zmartwychwstałego nie jest doczesnym ciałem przywróconym do życia, lecz ciałem duchowym, utkanym z materii niebieskiej. Albowiem, jak podkreśla w liście z naciskiem, „ciało i krew nie mogą posiadać królestwa Bożego” (15,50). Jednakże wątpliwości chrześcijan w tej sprawie bynajmniej nie ucichły. Tak na przykład w Drugim liście Jana (ok. 67 r.) czytamy: „Bo wielu zwodzicieli zjawilo się na świecie, którzy nie uznają, że Jezus Chrystus przyszedł w ciełe”. Owe nastroje niewiary pojawiają się kolejno z zastawiającą regularnością również w czterech ewangeliach. Uczniowie Jezusa, jak łatwo z nich wyczytać, nie od razu uwierzyli w cielenie zmartwychwstanie Mistrza i trzeba było ich przekonywać przykładami naczelnymi. Łukasz posuwa się jeszcze dalej i nie waha się napisać, iż wieści o pustym grobie „zdały im się nierozumnosciami”. Jeszcze w V wieku wpływy tych sceptyków musiały być niepokojąco duże, o czym świadczą pełne goryczy wypowiedzi dwóch najwybitniejszych przedstawicieli Kościoła w tych czasach. Św. Hieronim tak oto się skarży: „Wtedy nawet, kiedy w Judei nie wyszła jeszcze krew Chrystusa, znaleźli się ludzie, którzy nie przyznają, że Jezus Chrystus przyszedł w ciełe”. A św. Augustyn stwierdza z zalem, że doktryna o zmartwychwstaniu należy wciąż jeszcze do najgwaltowniej odrzuczanych nauk chrześcijańskich. Nie przeto dziwnego, iż rzecznicy chrześcijaństwa dokładali starań, by zwalczac te wątpliwości i za wszelką cenę przekonać sceptyków, że cielenie zmartwychwstania Jezusa nie podlega dyskusji. W tych usilowaniach zaznacza się ta sama tendencja do spietrzania zmyślonych dowodów, jak to widzieliśmy w związku ze sporem o pusty grób. W miarę upływu czasu w wyniku tych zabiegów zmartwychwstanie Jezusa nabiera coraz wyraźniejszych cech fizycznych. W końcu dochodzi do tego, że ukazujący się po śmierci Jezus ma ciało i krew, jest przyziemnie głodny i dwa razy pożywia się pieczoną rybą, że można było włożyć palce w jego rany i że widzielo go przeszło pięćset osób. W ewangelichach nietrudno zauwazyć, kiedy ów zespół legend powstał i bujnie się rozrastał. Marek i Mateusz wolni są od wszelkiej odpowiedzialności. Na ten temat zachowują głuche milczenie i chyba wolno przypuszczać, że w ogóle tych podań nie znali. Cały ciężar polemiki z niedowiarkami wzięli na siebie Łukasz i Jan, chociaż tego ostatniego dotyczy to tylko częściowo, gdyż w opinii egzegztów biblijnych koncowa scena zawierająca opowieść o łowieniu i spożywaniu pieczonych ryb nad Jeziorem Galilejskim jest późniejszą interpolacją, dopisaną przez jakiegoś teologa, usiłującego wykazać, że Jezus wyznaczył Piotra swoim następcą na ziemi. Dziś oczywiście niepodobna przeniknąć motywów postępowania Łukasza i Jana. Nie dowiemy się nigdy, czy wysuwając tak fantastyczne twierdzenie w obronę cieleniego zmartwychwstania, czynili to z wyrachowania jako polemiki, czy też ze szczerą łatwowiernością zanotowali to, co obito się o ich uszy jako pogłoska krążąca wśród wyznawców Jezusa. Jakkolwiek by było, lansowana przez nich wersja poważnie zaważyła na doktrynie chrześcijańskiej. W 1215 r. Sobór Laterański ogłosił obowiązujący artykuł wiary, według którego wszyscy ludzie, zbawieni i nie zbawieni, powstają z grobów w tym samym ciełe, jakie mieli przed śmiercią. Współczesnemu człowiekowi jeszcze trudniej w to uwierzyć, niż skarconym przez Pawła „hellenistom” chrześcijańskim w Koryncie. Ewangeliści, jak widzieliśmy, stworzyli swoje własne wersje zmartwychwstania, nie licząc się z tym, co inni pisali na ten sam temat. Siła rzeczy ich relacje musiały być niezgodne i niekonsekwentne. Wiemy już, jak odmienny jest u Pawła i ewangelistów poczet osób, które widziały zmartwychwstałego Jezusa. Jeśli chodzi o Pawła, to pomijając brak niewiast, w jego spisie, najbardziej frapująca rzeczą jest to, że czego dowiedział się od innych, nieokreślonych braci, mianowicie, że tych wyróżnionych osób miało być przeszło pięćset. Tymczasem z Dziejów Apostolskich wynika coś wręcz przeciwnego, mianowicie, że przywilej urzecz zmartwychwstałego Jezusa przypadł w udziale tylko wybranym. Piotr, a więc maż w tych sprawach najbardziej autorytatywny, mówi bowiem do Korneliusza: „Ale Bóg wskrzesił go dnia trzeciego i dozwolił mu ukazać się nie całemu ludowi, ale upatrzonym przez Boga świadkom, tj. nam, którzyśmy z nim jedli i pili po jego zmartwychwstaniu” (10,40-41). Mamy tu prawo zapytać, jak w końcu było naprawdę, komu ukazał się Jezus, a komu nie. Inna sprawa ma posmak identyczny. Jan Ewangeliista opowiada nam, jak to zaraz, po zgonie Jezusa Józef z Arymatej i Nikodem namalili jego ciało wonnościami. Inaczej jest u Łukasza. To kobiety

chciały go namaścić i dopiero wtedy, gdy już dwa dni leżał w grobie. Ewangeliista potrzebował tej sceny w argumentacji na rzecz zmartwychwstania, ale w ferworze przedstawiania swojej racji nie spostrzegł, że mówi od rzeczy. Bo przecież w takim kraju jak Palestyna ciało ludzkie już na drugi dzień znajdowało się zwykle w stanie początkowego rozkładu. Ponadto grób był zablokowany ciężkim głazem, którego niewiasty w żadnym razie nie miały siły odwalic. Jak zatem chciały się dostać do komory grobowej, by dokonać tej koszmarniej ekshumacji? Wypada przeciw pamiętać, że nie mogły one przewidzieć zmartwychwstania Jezusa ani tego, że zastaną grób otwarty i pusty. Nie mniej kłopotliwe pytanie dotyczy miejsca, gdzie zaraz po śmierci Jezus ukazał się apostołom. Mateusz utrzymuje, że spotkanie nastąpiło w Galilei, natomiast Łukasz i Jan twierdzą zupełnie coś innego: według ich wersji Jezus trzykrotnie rozmawia i dzieli posiłek z nimi w Jeruzolimie i okolicy, a zatem w Judei. (Koncowa scena galilejska w Ewangelii Jana jest, jak wiadomo, późniejszym dopiskiem). Ostatecznie można by przyjąć, że Jezus zmartwychwstały miał moc zjawiania się w dwóch odległych miejscach jednocześnie, jednakże nie można tego powiedzieć o apostołach. Dla nich, śmiertelników, istniała tylko jedna alternatywa: albo w Galilei, albo w Judei, „tertium non datur”. Sprzeczność ta pokazuje nam w pouczający sposób, jak historycznie mało wiarygodne są świadectwa ewangelistów, nawet w tak niezmiernie kluczowej sprawie, jaką jest w chrześcijaństwie zmartwychwstanie Jezusa. Nie sposób się też dowiedzieć, gdzie właściwie Jezus zmartwychwstał i gdzie właściwie Jezus zmartwychwstały został się ze swymi uczniami na zawsze. U Marka następuje to w miejscu bliżej nie określonym, u Mateusza na jakiejś górze w Galilei, u Łukasza w Betanii, wiosce leżącej w pobliżu Jeruzolimy, u Jana - albo w Jeruzolimie, albo też nad Jeziorem Galilejskim, jeżeli wziąć pod uwagę koncowa interpolacja ewangelii. Jedynie tylko w relacji Dziejów Apostolskich dowiadujemy się, że Jezus przebywał wśród uczniów aż czterdzieści dni, o czym nie wiedzieli lub z jakichś powodów nie chcieli pisać autorzy czterech ewangelii. Kościół naucza, że Jezus wstąpił do nieba. Wspomina o tym krótko autor interpolacji w Ewangelii Marka, natomiast Łukasz opisuje scenę wniebowstąpienia bardziej szczegółowo, umieszczając to wydarzenie w Betanii: „I wyprowadził ich poza miasto do Betanii. A podniósłszy swe ręce, błogosławił im. I stało się, gdy im błogosławił, że rozstał się z nimi i wznosił się do nieba. A oni, złożywszy pokłon, wrócili do Jeruzalem z radością wielką” (24,50-52). Uderzając jest to, że o tak wstrząsającym wydarzeniu nie wspominają ani Mateusz, ani Jan. Szczególnie znamiennie jest to u Jana, bo on właśnie najgorliwiej deifikuje Jezusa i ukazuje go w perspektywie eschatologicznej. Trzeba tu jeszcze podkreślić, że niektóre kodeksy Biblii zawierają tekst Ewangelii według Łukasza bez tej sceny wniebowstąpienia. Ponadto najstarsi pisarze kościelni, jak Klemens Rzymski, autorzy Didache, Ignacy Antiocheński, Polikarp i Hermas, milczą na temat wniebowstąpienia, z czego by wynikało, że za ich czasów nie jeszcze o tym wydarzeniu nie wiadano. O wniebowstąpieniu mowa jest dopiero w pismach ojców Kościoła IV wieku. Totez najpoważniejsi badacze biblijni doszli do wniosku, że scena wniebowstąpienia u Łukasza jest interpolacją, wstacą dość późno do tekstu ewangelii pod wpływem legend, jakie na ten temat zaczęły krążyć w środowiskach wiernych. Dla zobrazowania rozmiarów i głębi tych wszystkich rozbieżności; jakie dzieła od siebie poszczególne świadectwa ewangelistów, warto tu przytoczyć kilka retorycznych pytań, sformułowanych przez katolickiego pisarza F.V. Manninga w jego świętej książce Biblia - dogmat, mit czy tajemnica? Oto one: „Czy Maria Magdalena przyszła do groba sama, jak to wydaje się twierdzić Jan? Czy towarzyszyła jej „druga Maria”, jak świadczy Mateusz? Czy może towarzyszyła jej „Maria, matka Jakuba i Salome” jak oświadcza Marek, lub wszystkie niewiasty, które podążały za Jezusem z Galilei, jak dowiadujemy się z Łukasza? Czy niewiasty znalazły tylko pusty grób? Czy widziały młodzieńców? Lub czy to byli dwaj aniołowie? Czy niewiasty zachowały milczenie, czy pobiegły do uczniów i opowiedziały o swym przeżyciu? Czy Jezus ukazał się Marii Magdalenie, czy całej grupie niewiast, czy też i jej, i im?” „Jeżeli chodzi o świadectwo uczniów: Czy widzieli Jezusa w Jeruzolimie tego wieczoru, czy też Jezus, zgodnie z tym, co powiedział, uprzedził ich do Galilei? Gdzie uczniowie widzieli Jezusa po raz ostatni: w Galilei czy poza Jeruzolimą? Czy grupka uczniów uwierzyła dwom z Emaus, czy tylko jednemu? Czy Emaus znajduje się rzeczywiście (co wydaje się prawdopodobne) dwadzieścia parę kilometrów od Jeruzolimy, a nie ponad siedem, jak sugerował Łukasz, jak mogli uczniowie w tak krótkim czasie przebyć drogę tam i z powrotem?” „Uczniowie z Emaus poznają Jezusa przy łamaniu chleba (wyraźne odniesienie do Eucharystii), a przeciw ich Wierzezy Pańskiej nie był obecny - jak wiemy - żaden inny uczeń poza Dwanastoma. Czy w Jeruzolimie Jezus zyczył uczniom spokoju i przedstawił dowody, że nie jest duchem, czy też strofował ich za brak wiary? Dlaczego o tak ważnym ukazaniu się »więcej niż pięćset braciom spośpolu«,

wspomnianym przez Pawła, nie ma mowy w żadnej Ewangelii?” „Czy Jezus udzielił swym uczniom ostatnich pouczeń i zniknął cicho, by wyciecz się już nie pojawić, jak można by wywnioskować z epilogów Mateusza i Jana, czy rozstał się z tą ziemią w dramatycznej scenie wniebowstąpienia, jak to opisuje Łukasz?” „Nie może być żadnej wątpliwości, że relacje o zmartwychwstaniu są jako takie zdecydowanie niezgodne” - przyznaje Manning, sądzi jednak mimo wszystko, że nie usprawiedliwia to negacji samego zmartwychwstania Jezusa. Wydaje się jednak, że nie dopozazdrosczenia byłaby sytuacja arbitra czy sędziego, który by na podstawie tego rodzaju niespójnych relacji miał rozstrzygnąć, co w tym wszystkim jest prawdą.



U źródeł chrześcijaństwa

W POSZUKIWANIU HISTORYCZNEGO JEZUSA

Ewangelie, jak się przekonałiśmy, nie są biografiami w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Były one pisane w celach apologetycznych i dydaktycznych, by udowodnić, że Jezus jest przepowiadaniem przez proroków Odkupicielem. Spisane kilkadziesiąt lat po jego ukrzyżowaniu, są one odbiciem anonimowej tradycji ustnej, która kształtowała się w licznych gminach chrześcijańskich Afryki, Azji i Europy, historią wierzeń dotyczących boskości Jezusa, a nie historią jego doczesnego żywota. Spisywali je różni ludzie, w różny sposób dla różnych celów, trudno przeto się dziwić, że stanowią one wręcz fascynujący konglomerat sprzeczności, niedomowień i niekonsekwencji. Fakt ten niepokoił nawet niektórych protagonistów chrześcijaństwa. Św. Augustyn powiedział: „A ja że nie wierzyłbym Ewangelii, gdyby autorytet Kościoła tego mi nie nakazywał” (Cantra Faustum Manicheum, XXV, 1,3). Luter zajął w stosunku do tych sprzeczności postawę bardziej jeszcze kapitalną, dając swoim zwolennikom następującą instrukcję: „...jeżeli powstanie jakaś trudność co do Książ Świętych i nie możemy jej rozwiązać, powinniśmy po prostu nie ruszać tej sprawy”. Cała tradycja o Jezusie, jak wiemy, kształtowała się pod wpływem wiary w wielki cud zmartwychwstania. Chcąc przeto zrozumieć ewangelie, musimy spojrzeć na opisywane w nich wydarzenia nie w tej kolejności, jak podają je autorzy, lecz retrospektywnie od końca narracji, przez pryzmat tego cudu. Wszystkie te wydarzenia prowadzące do ukrzyżowania są podporządkowane głównej myśli, że Jezus był Bogiem, który zmartwychwstał. Nie mamy tu więc do czynienia z historią, lecz z typową hagiografią. Ową tendencję określił jednoznacznie św. Paweł w Pierwszym liście do Koryntian: „...my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego” (1,23). Skoro posiadamy tylko obraz Chrystusa wiary, a nie Jezusa historii, zapytujemy, co ostatecznie wiemy o nim naprawdę. Kontury jego postaci, jak wyraża się wspomniany już przez nas niemiecki bibliista H. Zahnrnt, rozpraszają się w świetle cudu wielkanocnego, tak jak zarysy ludzi stają się mgliste i zanikają w oślepiającym blasku gorejącego słońca. David F. Strauss doszedł do przekonania, że ewangelie są zbiorem mitów, stworzonych przez pierwszych wyznawców Jezusa. Wobec ówczesnego egzaltowanego stanu ich umysłów i skłonności do mitologizowania przeszłości proces powstawania tych mitów był oczywiście nieświadomy i spontaniczny. Fakt, że już w najstarszych przekazach Jezus - człowiek przeobraził się w boskiego Chrystusa, że ewangelie pokryte są warstwami teologicznych doktryn, przyczynił się do powstania hipotezy, według której Jezus nigdy nie istniał i był tylko mitem, wytworzonym w umysłach ludzkich na podobieństwo mitów w kultach Bliskiego Wschodu. Koncepcję mitologiczną po raz pierwszy wysunął francuski badacz Ch. Dupuis w książce Uongine des tous les cultes (1794 r.). Jej najdawniejszym szmercem był głosny niemiecki uczyony Bruno Bauer (1809-1882 r.). Zwracając uwagę na przemilczanie

Jezusa przez autorów żydowskich i pogańskich oraz na zawarte w ewangelichach drastyczne sprzeczności, doszedł od przekonania, że Jezus nigdy nie istniał, że jest tworem wyobraźni ludzkiej. Ruch chrześcijański był w jego przekonaniu odbiciem ideologii wydziedziczonych klas społecznych, w której skrzyżowały się judaizm diaspory, stoicyzm i neoplatonizm. Wśród nowszych zwolenników mitokoncepcji należy wymienić przede wszystkim Robertsona, Smitha, Kalthoffa, Drewsa, Couchouda i Djurdina. Nie zamierzamy tutaj szczegółowo omawiać ich wywodów, przytoczmy jedynie tylko niektóre charakterystyczne odmiany tych poglądów. Tak więc Djurdin stał na stanowisku, że Męka Pańska jest wyraźną reminiscencją dramatów rytualnych, odgrywanych w misteriach religijnych Bliskiego Wschodu. Niemiecki teolog i socjalista Kalthoff upatrywał w postaci Jezusa personifikację ruchów wyzwoleniczych, które w pierwszym wieku naszej ery ogarnęły niewolników i „proletariat” imperium rzymskiego. Drews natomiast widział w kulcie Jezusa koncowy produkt syntetycznego procesu, w którym główny element stanowił kult zmarłych i zmartwychwstałych bogów hellenizmu. Od 1910 r. stała się popularna teoria przedstawiająca Jezusa jako bożka astralnego, który zjawiał się na ziemi, umarł i zmartwychwstał. Przedstawicielem najradikalniejszego kierunku teorii astralnej był Polak Andrzej Niemcewicz (1864-1920 r.), autor licznych dzieł na ten temat, między innymi książek Bóg Jezus w świetle badań cudzych i własnych oraz Biblia i gwiazdy. Według niego Nowy Testament jest wielką alegorią, w której zasyfrowany został mit słońca i księżyca, przy czym słońcem jest Bóg Najwyższy, a księżycem jego syn, Jezus Chrystus. Niemcewicz w swojej astralistycznej analizie tekstów nowotestamentowych posunął się do granicy fantastyki, nie można jednak, jak to podkreśla Andrzej Tokarczyk w swoich interesujących esejach, nie uznać jego zasług w procesie „demitologizacji” Nowego Testamentu. Teoria, że Jezus był historyczną postacią, lansowana kiedyś także przez niektórych przedstawicieli marksizmu, dziś już została odrzucona przez większość uczonych. Trudno tu przytaczac złożoną argumentację przeciwko tej koncepcji, wystarczy powiedzieć, że na rozum biorąc nie ma powodu nie wierzyć w historyczność Jezusa, skoro pojawienie się w Palestynie tego rodzaju wędrownych nauczycieli, proroków i mesjaszy było zjawiskiem wcale nie nadzwyczajnym. Mateusz i Marek ostrzegają przed „falszymi Chrystusami i fałszywymi prorokami, którzy czynić będą znaki i cuda...” W okresie, kiedy żył i działał Jezus, a także w latach przed jego narodzeniem i po jego śmierci, nalicozo co najmniej dwunastu proroków i mesjaszy, którzy zyskali większy rozgłos w Palestynie. Takim prorokiem był przeciw również Jan Chrzciciel. Herod Antypas skazał go na śmierć dlatego, że widział w nim niebezpiecznego dla swego panowania agitatora. Później pojawił się na widowni inny prorok imieniem Teodas. Na jego wezwanie pociągnięty za nim setki egzaltowanych Żydów, którym obiecywał, że podobnie jak Jozue powstrzyma ręk Jordanu i przeprowadzi ich na drugą stronę rzeki, gdzie mieli żyć wolni od ucisku okupacji rzymskiej. Wśród jego obalumuoznych zwolenników legioniszi rzymscy urządzili krwawą rzeź; jeżeli chodzi o samego Teodasa, to ujęli go, ścięli, a głowę zanieśli w triumfie do Jeruzolimy. Niewielu z tych proroków i mesjaszy uniknęło gwałtownej śmierci; Rzymianie skazywali ich przeważnie na ukrzyżowanie, traktując ich jak potencjalnych wodzów rebelii żydowskiej. W starożytności bywało często, że pewnym wybitnym mężom i monarchom przypisywano pochodzenie boskie. W tych warunkach łatwo zrozumieć, dlaczego tak szybko nastąpiła deifikacja Jezusa, zwłaszcza że jego wyznawcy byli to ludzie przeważnie wychowani w atmosferze hellenistycznej kultury, gdzie tego rodzaju wierzenia istniały od dawien dawna. W ich umysłach dokonywała się mitalizacja ukochanego Mistrza i mijający czas opromieniał go glorią boskości. Jego przejmująca groźba każn krzyżowa nabrała głębokogo sensu eschatologicznego i stała się wstrząsającym dramatem kosmicznym. Proces deifikacji człowieka łatwo obserwować na przykładzie Aleksandra Macedońskiego. Ten genialny wódz stworzył nie tylko ogromne imperium, ale był niejako inicjatorem kilkaset lat trwającej epoki hellenizmu. Należał więc do tych mężów, którzy tworzyli historię, których czyny na ogół kronikarze mieli możliwość zanotować dla potomnych. A jednak po śmierci zywot jego zaczęła opłatać fikcja i legenda. Z jednej strony pojawiały się zbeletryzowane biografie mieszające fakty i myślenia, zabawiające czytelników opisem niesamowitych i awanturnych przygód. Z drugiej strony jego generalowie i spadkobiercy, tak zwani diadochowie, wiodąc spory i wojny o podział imperium, ogłaszali swoje wspomnienia, w których świadomie przekraczali fakty. Falszowano nawet testament Aleksandra. W rezultacie już w następnym pokoleniu nie bardzo wiadano, jak to było naprawdę. Źródła dotyczące przeciw wydarzeń wiekopomych w dziejach ludzkości są z reguły pełne niedomowień i sprzeczności. W przypadku Aleksandra pociąga to za sobą fakt, że każda jego biografia siła rzeczy będzie zawsze kontrowersyjna. Nie wiemy na przykład, jak

doszło do spłonięcia imponującego pałacu w Persepolis. Czy w ferworze tanecznym rzuciła pochodnię ateńska hetera Thais, czy pożar spowodowali podczas orki pijackiej macedońscy wodzowie, czy też pałac skazał na zagładę sam Aleksander, aby pomóc świątynie greckie, które przed półtora wiekiem Persowie spalili podczas najeżdza na Helladę. Aleksandra zaczęło też rychło deifikować. Opowiadało sobie, że jest on synem Zeusa ze związku miłosnego z Olimpią, jego matką. Greckie miasta-państwa ogłosiły go jednym z bogów Olimpu i stawiały mu posągi w świątyniach, Egipcjanie natomiast czcili go jako syna boga Amona. Nawet Żydzi ujrzeli w nim prekursora Mesjasza zapowiedzianego w prorocत्वu Daniela. Średniowieczni mniszy byli święcie przekonani, że był on ascetycznym zakonikiem, a Etopczyccy posunęli się najdalej w tej mitologizacji, głosił bowiem że Aleksander był chrześcijańskim apostołem, a nawet świętym Kościoła koptyjskiego. Francuski biblista Guignebert napisał, że ewangelie są wprawdzie konstrukcjami zbiorowej egzaltacji, miały jednak rzeczywisty udział w historycznej postaci Jezusa, można której dokonywała się krystalizacja mitów. Wezwać więc przyjąć, że w ich relacjach kryje się na kształt kamieni miłowanych garść autentycznych faktów z życia Jezusa. Mimo jednak olbrzymiego wysiłku intelektualnego paru pokoleń uczonych, nie dało się stworzyć spójnego logicznie ziemskiego portretu Jezusa-nauczyciela, wolnego od późniejszego nalotu teologii i nadprzyrodzonych elementów. Rudolf Bultmann, z którym niebawem się bliżej zapoznamy, wyraził ten stan badań w sposób następujący: „Obecnie uważam z całą stanowczością, że w tej chwili nie wiemy prawie nic o życiu Jezusa”. Wtórnie mu w tym względzie ks. Andrzej Urbas, autor dwutomowej monografii Jezus Chrystus. Przypnijcie na rację francuskiemu racjonalistycznemu biblistę M. Goguelowi, który po napisaniu obszernej monografii o Jezusie musiał jednak w końcu przyznać, iż życie jego jest „pokryte tajemniczą zasłoną”. Co wobec tego można w tych hagiograficznych opowieściach uważać za prawdę historyczną? Carmichael, autor książki Życie i śmierć Jezusa z Nazaretu doszedł do przekonania, że przede wszystkim ukrzyżowanie. Nie sposób bowiem wyobrazić sobie, by ktokolwiek z ubóstwiających Jezusa wyznawców mógł wymyślić dla niego śmierć tak przeraźliwie haniebnią. Była to po prostu okrutna prawda, przed którą broniono się interpretując ją teologicznie i eschatologicznie. Ukrzyżowanie musiał jednak wyprzedzić przyczynowy łańcuch faktów, które do tej finałowej tragedii doprowadziły. Można więc przyjąć jako niewątpliwą prawdę, że Jezus był synem cieśli i mieśkal z gallejskim Nazarecie aż do chwili, kiedy, prawdopodobnie pod wpływem Jana Chrzciciela, doznał jakiegoś nagłego objawienia religijnego, że naucając w Galilei i w Jeruzolimie zgromadził wokół siebie wielu oddanych wyznawców, ale także porobił sobie wrogów, że naraziwszy się władzom duchownym i świeckim jako niebezpieczny burzyciel ładu społecznego, został ukrzyżowany i że po jego śmierci stało się coś, co przekonało jego najbliższych, iż zmartwychwstał. To wszystko. Reszta to już nie historia, lecz chrystologia, teologia i mity. Jak wobec tego powstawały owe zbiory opowieści o Jezusie, które nazywamy ewangeliami? Szukając odpowiedzi na to pytanie, spotykamy się z tak zwanym „problematem synoptycznym”, znanym nam już ze wzmiarki w jednym z poprzednich rozdziałów. Dawni egzegeci, między innymi św. Augustyn, poczytywali Ewangelię Mateusza za najstarszą chronologicznie ewangelię, a Ewangelię Marka za jej skrót. Pomyłkę odkryto dopiero w XIX wieku dzięki pracom krytycznym szeregu biblistów, jak Gieseler, Lessing czy Wellhausen. Dziś już przeważa opinia, iż Ewangelią Marka jest chronologicznie najstarszą ewangelią, a Mateusz i Łukasz objęcie u niego się zapoczątkowały. Na przykład z 661 wersetów Marka aż 600 powtarza Mateusz w swojej relacji. Mateusz i Łukasz nie tylko nie znali nawzajem swoich relacji o Jezusie, ale nawet prawdopodobnie nie wiedzieli o swoim istnieniu. Jednak każdy z nich znał Ewangelię Marka i korzystał z niej w swojej własnej ewangelii. Obaj czerpali ponadto z jakiegoś innego jeszcze źródła informacyjnego, nie znanego Markowi. Źródło to określono skrótowo literą Q (niemieckie Quelle - źródło). W ten sposób powstała hipoteza dwóch źródeł. Początkowo wysunięto atrakcyjną tezę, iż źródłem Q była jakaś praewangelia, która później zaginęła, jednakże wkrótce trzeba było myśleć te porzucić. Obecnie uważa się za rzecz raczej pewną, że tym źródłem były w rzeczywistości przypisywane Jezusowi wypowiedzi na tematy moralne i religijne. Tego rodzaju sentencje podawano sobie z ust do ust w środowiskach chrześcijańskich i dzisiaj przyjmuje się, że większość z nich nie jest autentyczna. Różnego autoramentu katechezy, wędrowni nauczyciele i kaznodzieje, w dobrej intencji słuzenia sławie Mistra, wkładali beczereimonialnie w jego usta krótkie maksymy będące raczej wyrazem ich własnych poglądów moralnych i teologicznych. Podawali je niejednokrotnie w formie jakiejś anegdotalnej fabuły, rzekomo wziętej z życia doczesnego Jezusa. Z takimi wypowiedziami spotykamy się już w jednym z poprzednich rozdziałów pod nazwą „logiów” lub „agrafów”.

Jak wiadomo, pierwsze dwanaście „logiów” odkryli w egipskiej miejscowości Oxyrhynchos młodzi Anglicy Grenfell i Hunt (1897 i 1903 r.). Była to wówczas ogromna sensacja w kołach badaczy biblijnych. W 1946 r. dokonano jeszcze większego odkrycia. Otóż w Nag Hammadi, w Górnym Egipcie, wydobyto z piasków parę manuskryptów papirusowych, a wśród nich głośny już dziś apokryficzna Ewangelię Tomasa. Napiszana w języku koptyjskim przez jakiegoś wyznawcę chrześcijańskiego gnostycyzmu, nie podaje ona żadnych szczegółów z życia Jezusa, lecz jest luźnym zbiorem 114 maksym rzekomo przezeń wypowiedzianych za życia. Ogromnie dużo tych wypowiedzi świadczy, jak popularne były one w czasach, kiedy powstawały ewangelie. One właśnie tworzyły jeden ze składników tradycji ustnej i byłoby raczej rzeczą dziwną, gdyby Mateusz i Łukasz nie korzystali z nich w czasie pisania swoich relacji o Jezusie. Skrzyżnym kolekcjonerem takich „logiów” był podobno ojciec apostołski i biskup Hieropolos Papiasz (ok. pol. II wieku). Jego rozprawy teologiczne nie dochowały się do naszych czasów, jednak niektóre wybrane z nich cytaty przekazał nam Euzebiusz w swojej Historii Kościoła. Jeden z tych cytatów brzmi następująco: „Mateusz zebrał prociotwa Jezusa w języku hebrajskim i każdy interpretował je na swój sposób”. Utożsamiając owe „prociotwa” ze znanymi nam „logiami”, niektórzy biblisti upatrują w tym dowód, że źródłem Q były właśnie owe „logia”. Niebawem jednak zauważono, że Mateusz i Łukasz nie tylko korzystali z Marka i źródła Q, lecz poza tym każdy z nich miał do dyspozycji swoje własne, odrębne informacje o Jezusie. Biblisti oznaczyli je literą „M” (Mateusz) i „L” (Łukasz). Tym samym zrodziła się „hipoteza czterech źródeł”. Tak na przykład, jeśli chodzi o Mateusza, to że źródła „M” wywodzi się aż z trzysta wersetów. Dotyczą one przeważnie judaizmu i jego praw, a zatem nie są adresowane do wyznawców ze środowisk hellenistycznych. Ostatecznie jednak, w wyniku dalszych pogłębionych analiz tekstowych, ustaliła się tak zwana „hipoteza wielu źródeł”, zwana także „teorią fragmentów”. Jej punktem wyjścia jest zastosowanie wobec ewangelii kontrowersyjnej teorii F. A. Wolfa i innych klasycznych filologów, którzy doszli do przekonania, iż poematy epickie Homera są w gruncie rzeczy zredagowane przez dwóch nieznaną pisarzy kompilacją luźnych bohaterkich rapsodów, które w starodawnych czasach przy wtórze formingi czy kitary recytowali wędrowni pieśniarze greccy: aoidy. Otóż zwolennicy „teorii fragmentów” twierdzą, że podobna była droga powstania ewangelii. Ich autorzy czerpali pełną garścią z obfitego źródła tradycji ustnej, na którą składają się podawane z ust do ust anegdoty z życia Jezusa oraz sentencje, przypowieści i nauki jakoby od niego pochodzące. Owo dziedzictwo było płynne i zmienne, ponieważ, jak to zauważył Papiasz w zacytowanym zdaniu, każdy uważał za możliwe interpretować je na swój własny sposób.

KOPERNIK BIBLISTYKI

„Teoria fragmentów” stała się głównym przedmiotem badań naukowych szkoły protestanckich biblistów i jej twórcy, słynnego teologa i profesora uniwersytetu w Marburgu Rudolfa Bultmanna. Zarówno jego prekursor Martin Dibelius, autor rozprawy Die Formgeschichte des Evangeliums (1919 r.), jak też on sam zastosowali w biblistyce nową metodę zwaną „Formgeschichte”, co wypada przetłumaczyć na „historię lub krytykę form”. Bultmann swoimi publikacjami, szczególnie podstawową pracą Die Geschichte der synoptischen Tradition (1921 r.) skierował egzegezę biblijną na nowe tory, a wyniki osiągnięte przezeń w studiach i poszukiwaniach egzegetycznych okazały się tak rewelacyjne i przekonujące, że zmusiło to do ustępstw nawet niezłomnych przedstawicieli biblistyki konserwatywnej. Jako dowód można by tu przytoczyć encyklikę Piusa XII Divino afflante spiritu 1943 r., postanowienie Papieskiej Komisji Biblijnej z 1964 r. oraz uchwały II Soboru Watykańskiego. Nie miejsce tu na szczegółowe rozpatrzenie metody Bultmanna i całego bogactwa osiągniętych przezeń wyników naukowych. Dla przeciętnego czytelnika, do którego niniejsza książka jest adresowana, są to rzeczy zbyt specjalistyczne. Kto zaś miałby ochotę zapoznać się bliżej z pracami wymienionej szkoły, powinien sięgnąć bezpośrednio do odnośnej literatury fachowej. My ograniczymy się tu do próby zwięzłego uwypuklenia tego, co w metodzie „Formgeschichte”, według naszego rozumienia, stanowi jej kwintesjencję. Zdaniem Bultmanna i jego bezpośrednich adeptów ewangelie reprezentują końcową fazę tradycji ustnej, która bezosobowo kształtowała się w gminach chrześcijańskich. Ewangelie, jak z tego wynika, są kompilacjami. Nieznani redaktorzy połączyli tam w jedną całość krążące wówczas najróżniejsze wypowiedzi, prociotwa i przypowieści rzekomo pochodzące od Jezusa, jak też i anegdoty z jego życia i wieści o dokonanych cudach. Dążeniem „krytyki form” było wyodrębnienie tych sztucznie połączonych jednostek literackich, skłasyfikowanie ich i ustalenie okoliczności ich powstania.

Tak na przykład badacz „Formgeschichte” doszli do konkluzji, że przypowieści ewangeliczne w większości są pochodzenia raczej wątpliwego. Swoją sceptycyzm motywują uderzającym faktem, że w Marku znajduje się tylko 8 przypowieści, u Mateusza już znacznie więcej, bo 23, a u Łukasza nawet 30. Widać na tym przykładzie wyraźnie, jak w miarę upływu czasu rosnie ich liczba. A przecież, gdyby Jezus rzeczywiście był autorem wszystkich tych przypowieści, to chyba zarejestrowałby je już najstarszy ewangelista - Marek. Można przeto z pewnym prawdopodobieństwem powiedzieć, że co najmniej części tych przypowieści Marek w ogóle nie znał, bo powstały one później, w innych ośrodkach chrześcijańskich i oczywiście wiele lat po śmierci Jezusa. Ich twórcami byli zapewne przygodni katechezy, którzy doskonale wiedzieli, jak trafić do umysłów i wyobraźni prostych ludzi, do których głównie przemawiali. Aby ułatwić im zrozumienie głoszonych nauk, posługiwali się przykładami i porównaniami, wyjętymi wprost z bieżącego życia tych ludzi. Były to, jak to zresztą wiemy z lektury ewangelii, typowe klechdy ludowe, barwne i jędrne, pełne samorodnej mądrości, prawdy i urody, toteż łatwo się rozpowszechniały i stawały się własnością ogółu. Przynajmniej pierwotnie w katechezie ustnej jako instrument wychowawczy dla zobrazowania jakiejś zasady moralnej, rychło zostały przypisane samemu Jezusowi. W ten sposób, przechodząc z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, to co było oratorskim pomysłem kaznodziejów, w przekonaniu pokoleń stawało się niepostrzeżenie historią. Wymykalo to zresztą niejako z ducha epoki. Przypowieści od niepamiętnych czasów były ulubioną formą narracji wśród ludów Wschodu a także w świecie hellenistycznym. Bogatą tradycję miały także w nauczaniu rabinackim. Po hebrajsku nazywały się „Maszal” i spotkać je można zarówno w Starym Testamencie, jak też i w Talmudzie. W Wulgacie „Maszal” przetłumaczono na grecką „Parabole”, co z kolei Wujek przełożył na „przypowieści”. Bultmann oczywiście wyseparował z tekstu ewangelii szereg innych typów literackich, między innymi tak zwane „paradygmaty”, czyli budujące opowieści, nawiązujące do jakiejś wypowiedzi Jezusa, tudzież nazwane „nowelami” relacje o cudach Jezusa, no i znanie nam już „logia”. Jednakże rozpoznanie poszczególnych komponentów pod względem ich gatunku i stylu nie miało w jego zamierzeniu jedynie tła charakteru filologicznego. Był to przede wszystkim środek do osiągnięcia znacznie istotniejszego celu. Chodziło o to, by przez ugrupowanie jego jednostek tekstowych według ich kryteriów wewnętrznych zrekonstruować historię tworzenia się ewangelii, zanim zostały one utrwalone na piśmie. Inaczej mówiąc, była to próba przedarcia się poprzez analizę pisanych dokumentów do samego źródła tradycji ustnej, która w przekonaniu Bultmanna zawierała rdzeń autentycznego kerygmatu, to znaczy głoszonego przez pierwotne gminy oredzia wiary chrześcijańskiej. Bultmann uważał, że prawdziwego obrazu tradycji ustnej nie zdołamy sobie wyrobić, jeżeli będziemy ją rozpatrywali w oderwaniu od tła historycznego, od środowiska i warunków socjologicznych, które ją ukształtowały. Postulat ten, głośny pod nazwą „Sitz in Leben” („osadzenie w życiu”), otworzył przed badaniami nad Nowym Testamentem nowe możliwości. Sprawa jest jednak ogromnie skomplikowana. Ewangelii, jak to podkreśla niemiecki biblista, nie można zaliczyć do literatury w ścisłym tego słowa znaczeniu („Hochliteratur”). Nie były to dzieła, którym indywidualni autorzy nadali świadome, nieodwołalne ramy kompozycyjne. Należą one w gruncie rzeczy do szerokiego nurtu literatury ludowej, kierującej się swoimi własnymi, wewnętrznymi prawami rozwoju. Jest to zawsze literatura organicznie zróżnieta z życiem swojego środowiska i podobnie jak to życie podlegająca ustawicznym przemianom. Tradycja ustna, stanowiąca tło ewangelii, była więc odzwierciedleniem egzystencji dawnych gmin chrześcijańskich. Jej rozwój zależny był od najróżniejszych bieżących potrzeb tych gmin, ich katechezy, propagandy czy aktualnych okoliczności bytu. Tak na przykład dla doktrynalnego usprawiedliwienia jakichś obyczajów, obrzędów lub ceremonii religijnych (w wyniku procesu synkretycznego przejętych z obcych, hellenistycznych kultów), powoływano się na jakieś autentyczne lub ad hoc stworzone wypowiedzi Jezusa lub wydarzenia z jego życia. W ten sposób jego postać obrastała stopniowo legendami, mającymi wszelkie cechy etnologiczne (stworzonej ex post dla uzasadnienia jakiegoś faktu). Do tych etnologicznych mitów należy zaliczyć między innymi cudowną opowieść narodzinową w ewangelii Mateusza i Łukasza. W miarę jak zmagał się w miastach hellenistycznych proces gloryfikacji i defikacji Jezusa, odczuwano potrzebę usprawiedliwienia tego zjawiska, poparcia go dowodami z życia Jezusa, świadczącymi o jego boskości. W ten sposób zrodziła się w podaniu ludowym fama o nadprzyrodzonych okolicznościach jego urodzin. Opowieść na ten temat, co prawda pełna baśniowego uroku, nie jest jednak tworem

oryginalnym. Wyobraźnia ludowa korzystała tu z licznych przekazów z przeszłości o cudownych narodzinach wielkich mężów, ale prawdopodobnie bezpośrednim wzorem była opowieść o dziecinistwie Mojżesza. W jednej i drugiej wersji trzon dramaty cznej fabuły zawiera identyczne składniki: niepokój władcy, narada mędrców, rzec niewiastek, niezwykle okoliczności ocalenia. W rezultacie Bultmann doszedł do przekonania, że ewangelie są umyślnie opowieścią o życiu i naukach Jezusa, a zadaniem metody „krytyki form” jest owe mityczne naleciałości wyeliminować, aby uchwycić zawartą w tekście ponaczasową, oczyszczoną z kontaminacji „Dobrą Nowinę” pierwotnego chrześcijaństwa. Ten zabieg nazywał „demitologizacją ewangelii” i tym samym wprowadził do terminologii biblistycznej jedno ze swoich głośnych określeń naukowych. Na dowód, jak koniecznie jest oddzielenie fabuły ewangelii od ich treści moralnej dla ocalenia chrześcijańskiej kerygmy od mitów, podaje Bultmann głoszona przez ewangelistów kosmologię. Wszczęwiał, według ich wyobrażeń, składa się z trzech kondygnacji: z nieba, z ziemi i z piekła. W niebie mieszka Bóg w otoczeniu swoich aniołów, w piekle pod ziemią panuje szatan na czele zastępów diabłów i demonów, a ziemia, gdzie przebywają śmiertelnicy, jest placem nieustannych bojuw tych dwóch nadprzyrodzonych potęg. Nie sposób wymagać od rozumnego, człowieka współczesności, by o mityczny obraz świata brał poważnie, by wierzył, w co mu każą wierzyć zwolennicy dosłownego rozumienia Biblii. Te same zastrzeżenia dotyczą również głoszonej w ewangelii eschatologii, między innymi zapowiedzi Jezusa, iż wróci i złoży Królestwo Niebieskie na ziemi tak rychło, że mieli nawet doczekać się tego ewenementu jego żyjący jeszcze uczniowie. Ta obietnica paruzji, nawiasem mówiąc przypuszczalnie włożona w usta Jezusa po jego śmierci i gloryfikacji, nie zaciła się do dnia dzisiejszego i interpretacje, nadające sens alegoryczny temu apokaliptycznemu prorocत्वu nie zmieniają tego faktu. Wszystkie ewangeliczne relacje o nadprzyrodzonych wydarzeniach, jak wskrzeszenie zmarłych, zwiastowanie, niepokalane poczęcie, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie, Bultmann znał „mitologicznym językiem”, za pomocą którego usiłowało wyrazić głębokie przekonanie o przemowej, niepowtarzalnej, zbawczej roli Jezusa w dziejach ludzkości. Skoro ewangelie składają się wyłącznie z tradycji, a tym samym z mitów, skoro nie mamy możliwości dowiedzieć się, jaka rzeczywistość stoi za tymi mitami, to oczywiście również nie wiemy, jaki był Jezus historyczny. Zgodnie z teorią o mitycznym charakterze ewangelii, Bultmann doszedł do konkluzji, że Chrystus wiary jest krańcowo inny, niż Jezus, który jako wędrowny prorok przemierzał drogi i ścieżki Palestyny. Jednakże jako protestancki teolog nie wyzwał się swego chrześcijańskiego wyznania. Toteż między jego przekonaniem religijnym a sceptycyzmem dotyczącym historyczności podstaw tych przekonań - mianowicie ewangelii i Jezusa - zaznaczyła się wyraźna antynomia, z której trzeba było znaleźć jakieś wyjście. Bultmann poradził sobie z tym dylematem w oryginalny i pomysły sposób. Parafrazując filozofię egzystencyjną Martina Heideggera i Sorena Kierkegaard, stworzył na swój użytek tak zwaną teologię egzystencyjną. Podstawą jej jest egzystencyjalny pogląd, że historia dzieli się na dwie kategorie: na taką, która konkretnie się wydarzyła i może być uchwycona metodą krytyki historycznej, oraz na to, co wydarza się w subiektywnym doświadczeniu pokoleń ludzkich, co składa się na ich wierznię, sposób życia, obyczaje i tradycje, słowem - na ich kulturę. Według Bultmanna ta druga kategoria ma znaczenie większe, gdyż w świecie pozbawionym ładu ona właśnie jest tym czynnikiem, który ten ład do życia ludzkiego wprowadza. Człowiek jest tworem tego świata i zarządza mocą wolnej decyzji i wyboru, twórcą swojego życia, swojej historii. Zdaniem Bultmanna, egzystencyjalnie rzecz biorąc, nie jest istotne, czy Jezusa można uchwycić jako postać historyczną, a nawet czy jest Synem Bożym lub jedynie tylko człowiekiem-prorokiem, przez którego, jak przez wielu innych żydowskich proroków, przemawiał głos Boga. Historycznie jak najrealniejszy jest Chrystus wiary, wobec którego stajemy w ewangelii. Od takiego Chrystusa, a nie od historycznego Jezusa, wzięta początek nowa era ludzkości. On żyje nadal w wierzeniach niezliczonych pokoleń, on był i jest nie wysychającym źródłem wyzwalania się tych pokoleń z udręceń tego świata. Stanowisko Bultmanna jako historyka jest w gruncie rzeczy nacechowane pesymizmem i rezygnacją. Zadał sobie z tego sprawę i kilkakrotnie dał temu wyraz w swoich pracach. Między innymi powiedział: „Nie można napisać biografii Jezusa. W Ewangelii jest na to zbyt mało faktów. Wszystko, co możemy powiedzieć o Jezusie, to jedynie to, że wierzyli w niego chrześcijanie. Tak więc zaniechaliśmy dalszych poszukiwań historycznego Jezusa”. Przeciwno tym skrajnym poglądom wystąpiła potem młodsza generacja jego własnych uczniów. Byli to przede wszystkim pastory protestancy, którzy w negowaniu historyczności ewangelii i ich nadprzyrodzonych elementów spostrzegli wielkie niebezpieczeństwo dla

swojej wiary. Ich zdaniem tradycja ustna, spisana w ewangeliach, nie mogła być pozbawiona pewnych rzeczowych podstaw w historii, a o życiu Jezusa możemy z niej dowiedzieć się więcej, niż to sądzią niektórzy biblisty. Tak na przykład wieść o zmartwychwstaniu nie mogła być wyssaną z palca pogłoską, musiało kryć się za nią jakies nadzwyczajne wydarzenie, które mocno zapisało się w pamięci potomnych. Tego rodzaju stanowisko nie ma oczywiście żadnej podstawy naukowej. Mamy tu bowiem w gruncie rzeczy do czynienia z próbą wypełnienia luk w naszej wiedzy historycznej dedukcją z interpretacji teologicznych. Od ludzi nauki trudno wymagać, by zadowolili się taką namiastką, by koncepcje teologiczne utożsamiali z bezspornymi faktami historycznymi. Samo stwierdzenie, że ludzie z otoczenia Jezusa uwierzyli w jego zmartwychwstanie nie może służyć za obiektywny dowód, że tak istotnie było.

JEZUS I JEGO WSPÓŁCZESNOŚĆ

Prace wielu biblistów w ostatecznym rozrachunku wykazały, że doczesne życie Jezusa nie może być zrekonstruowane w kategoriach biograficznych. Powstała jednak szkoła badaczy, która podjęła wysiłek przeniknięcia zagadki jego życia i nauki drogą pośrednią, poprzez drobiazgową analizę historycznych realiów, które go otaczały i stanowiły to jego działalności. Chodzi tu o warunki społeczne i polityczne, o geografię, obyczaj, ekonomię i wierzienia religijne, słowem o to wszystko, co niewątpliwie wpływało na osobowość zarówno Jezusa, jak też i jego późniejszych wyznawców. W kuźni tych nowatorskich poszukiwań osiągnięto już rezultaty godne uwagi, pozwalające nam lepiej zrozumieć historyczne i psychologiczne procesy, które złożyły się na powstanie i rozwój nowego ruchu religijnego w I i II stuleciu naszej ery.

Czytając Nowy Testament odnosiśmy wrażenie, że Jezus działa w próżni historycznej, że poza faktami opisanymi w ewangeliach nic innego na świecie się nie wydarzyło. Stąd bierze się ta specyficzna atmosfera jakby odokretnionych faktów, z którą mamy do czynienia w ewangeliach. Dzięki takiemu przedstawieniu rzeczy postać Jezusa jest nieprzekonująca, zagadkowa i niepokojąca w swych niedopowiedzeniach, a zarazem pełna ewangelicznej ciszy i słodczy, prawie że idylliczna. Akcentów głęboko tragicznych nabiera dopiero w tygodniu pasyjnym.

Tymczasem epoka, w której tkwił historyczny Jezus i jego uczniowie, bynajmniej nie była sielanką. W odczuciu Żydów palestyńskich były to lata niezmiernie tragiczne, lata tysięcy rozpiętych na krzyżu niewinnych ofiar ludzkich, straszliwego ucisku rzymskiego okupanta, samowoli monarchów żydowskich i prokuratorów, arogancji i przepokności kapłanów, skrytobójczego terroru, powszechnej anarchii i częstych rzezi uderzonych mas ludzkich. Czytelnicy Nowego Testamentu na ogół nie zdają sobie sprawy z warunków, w jakich żył i nauczał Jezus. Nie wolno nad wszystko zapominać, że Palestyna nie była krajem o jednolitym obliczu. Wręcz przeciwnie: dzieliły ją liczne różnice geograficzne, polityczne, etniczne, religijne i społeczne. Po śmierci Heroda Wielkiego obszar jego królestwa uległ rozbirowi. Za sprawą Rzymian podzielono go na cztery namiestnictwa, na tak zwane tetrarchie i oddano je w zarząd bezpośrednich spadkobierców zmarłego króla. Od 6 r. n.e. Judea i Samaria zostały podporządkowane prokuratorowi mianowanemu przez cesarza rzymskiego. W Galilei sprawował w tym czasie rządy znany nam z Nowego Testamentu Herod Antypas, niesłusznie tytułowany królem.

Wzdłuż najważniejszych szlaków handlowych rozsładły się ponadto hellenistyczne miasta z małymi żydowskimi gettami w swoich murach. Złączone luznymi węzłami federacji zwanej Dekapolis (Dziesięciogrodzie) były całkowicie niezależne od tetrarchów, chociaż podlegały cesarzowi. Zarówno swoim demokratycznym ustrojem miejskim, jak też ruchliwością i aktywnością handlową przypominały miasta hanzeatyckie średniowiecznej Europy. Wszędzie więc w Palestynie rozbrzmiewał język grecki i nie jest wykluczone, że znał go Jezus. Nawet Judea, stanowiąca enklawę judaizmu i będącą tu w potocznym obiegu języka aramejskiego, nie obroniła się od tej hellenistycznej infiltracji.

Cała Palestyna dotknięta była chorobą maniakalnej nienawiści i fanatyzmu. Nienawidzili się poszczególne, skazane na wspólne życie grupy etniczne, nienawidzili się wzajemnie sami Żydzi z tej jeno przyczyny, że urodzili się i mieszkali w różnych dzielnicach kraju. Poznaliśmy już wrogi, wzgardliwy stosunek Judei do heretyckiej Samarii, a także do prawowiernej Galilei, gdzie bardzo liczna była ludność pogańska mówiąca po grecku, a Żydzi posługiwali się jakimś pogardzanym, dialektycznie odmiennym językiem aramejskim (przypominamy scenę z Piotrem na dziedzińcu arcykapłana).

Sytuacja w Palestynie była ogromnie napięta. W miastach helleniskich przy lada okazji wybuchały pogromy Żydów, Judejczyk zaś, jeśli tylko leżało to w ich mocy, brali krwawy odwet za te ekscesy. Samarytanie poczynałi sobie nie lepiej: pielgrzymów

wędrujących z Galilei do Jerozolimy i zmuszonych przejść przez ich ziemie nieulitościwie, bywało, ograbiali na otwartej drodze, a nawet czasami pozbawiali życia.

Pisaliśmy już przy innej okazji o rozdrobnieniu społeczeństwa żydowskiego na antagonistyczne sekty i stronnictwa polityczne. Odwieriedały one nie tylko różnicę w wierzeniach religijnych, ale także przepaść, jaka istniała między bogatymi i biednymi. Saduceuszami byli przeważnie kapłani z arcykapłanem na czele oraz opływająca w dostatkach starszyzna żydowska. W obawie o swoje urzędy, władzę i majątki, ci przedstawiciele arystokracji prowadzili wobec Rzymian politykę ugodową. O potęgę tej warstwy społecznej może świadczyć fakt, że w Jerozolimie było dwadzieścia tysięcy kapłanów, nie licząc lewitów, którzy spełniali przy świątyni najróżniejsze posługi. Dwadzieścia tysięcy kapłanów w mieście liczącym według obliczeń historyków najwyżej 120 do 150 tysięcy mieszkańców! Czyż nie przypomina to Tybetu przed jego zajęciem przez Chiny? Jezus - przybywszy z dalekiej Galilei znanej z buntowniczości, odważając się uprawiać agitację na dziedzińcu świątyni nie miał w tych warunkach żadnej szansy zwycięstwa.

Faryzeusze - to inna wielka sekta żydowska wyrosła bezpośrednio z masowego ruchu ludowego. Fanatycznie przywiązani do swojej religii, wierzyli wręcz obsesyjnie w rychłe przyjście Mesjasza, mającego wybaczyć im za niewoli rzymskiej. W mesjanistycznym ferworze doprowadzili się do stanu religijnej ekstazy, pościli i modlili się gromadnie, zapowiadali gniew Boży i sąd ostateczny. Pod przewodem różnego rodzaju samozwańczych mesjaszy, proroków i szarlatanów ruszali jak sarańcze na pustynne lub uświęcone trądą okolice, wywołując w całym kraju zamęt, strach i niepokój. Rzymianie oczywiście reagowali błyskawicznie i bardzo okrutnie. Żołdactwo rzymskie mordowało, torturowało, grabiło i puszczalo z dymem domostwa, w uczuciu wzdargi nie odróżniając winnych od niewinnych, uzbrojonych od bezbronnych. Józef Flawiusz twierdzi, że po stłumieniu jednego z buntów w samej tylko Jerozolimie ukrzyżowano dwa tysiące Żydów. I tu znowu, aby ocenić rozmiary tej klęski musimy odwołać się do wyobraźni czytelnika. Jest to bowiem obraz wstrząsający, ów las dwóch tysięcy krzyży ze zmaltretowanymi nieludsko ciałami w niedużym mieście, w gruncie rzeczy w prowincjonalnej miejscinie. Nie dziwnego, że powstały stronnictwa zelotów i sykaryusz (szyletników), którzy Rzymianom i ich kolaborantom żydowskim wypowiedzieli walkę na śmierć i życie.

W Talmudzie można przeczytać opinię, że „Izrael wpadł w niewolę, ponieważ w kraju powstały dwadzieścia cztery odmiany sekiarstwa”. W samej rzeczy stronnictwa zwalczały się z niebawłą zapamiętałością i nikt właściwie nie był pewny jutra. Tak na przykład sykariusze zaszyletowali nawet arcykapłana Jonatana. Władcy żydowsy i arcykapłani posługiwali się metodami despotyzmu, stosowali masowo przymus pracy i trzymali społeczeństwo w ryzach za pomocą licznej zgromadzeń. Józef Flawiusz pisze, że wszędzie w Palestynie, w miastach i miasteczkach, grasowali oni wśród tłumów, a owocem ich niecnej działalności były częste deportacje, wrzucanie do więzień, a nawet śmierć. Donosicielstwo przysłało wówczas wręcz charakter epidemii, a głuchą reminiscencją tego stanu rzeczy jest chyba Judasz, o którym, jak pisaliśmy, właściwie nie wiadomo, czy był postacią rzeczywistą, czy tylko personifikacją, projekcją ówczesnych ponurych czasów.

W Jerozolimie zapewne wynaleziono tak dobrze znaną nam dzisiaj metodę stosowania terroru i szantażu za pomocą porywania zakładników. Ukryci w tłumie pielgrzymów sykariusze wkradli się do miasta, porwali kapłana żydowskiej świątyni oraz syna i sekretarza arcykapłana Annanusa. W zamian za ich wypuszczenie zażądali uwolnienia dziesięciu terrorystów uwięzionych przez Rzymian. Annanus musiał wykupić ich z rąk prokuratora Albinusa, by ratować swoich. Dla sykariuszy było to jednak zachętą do dalszej tego rodzaju akcji. Po kolei więc porwali członków rodziny i swity arcykapłana, przywracając wolność wielu swoim towarzyszom. Szczytowie nasilenie osiągnęła ta bratobójcza walka podczas zbliżania się legionów Wespazjana do Jerozolimy. Józef Flawiusz porównał miasto do oszalełej bestii pożerającej swoje własne ciało. I rzeczywiście, tego co się tam działo, nie można inaczej nazwać jak tylko samozagładą narodu. Zamiat przygotować obronę przed zbliżającym się oblężeniem, poszczególne partie wszczęły zaciekle boje o świątynię i jej skarbiec, o magazyny żywnościowe i arsenały broni. Historyk Powell Davies przypuszcza, że w rezultacie więcej Żydów zginęło w walkach wewnętrznych, niż w wojnie z Rzymianami.

Wobec tak głębokiego rozdarcia wewnętrznego społeczeństwa nie powinno być dla nas zaskoczeniem, że Judee Rzymianie zajęli na zaproszenie samych Żydów. Chcąc mianowicie za wszelką cenę obalić testament Heroda Wielkiego w sprawie sukcesji, starszyzna żydowska wysłała delegację do cesarza Augusta z prośbą o przyjęcie kraju pod swoje władztwo. W 0 r. n.e., wśród groźnych rozruchów zelotów, Judea stała się prowincją rzymską zarządzaną przez prokuratorów.

Nie był to zresztą w historii Żydów pierwszy wypadek wydania ojczyzny obcej władzy. Podczas walk dynastycznych króla i arcykapłana Arystobola II z bratem Hirykanem, objął konkurenci do tronu, jak również faryzeusze wysłali delegację do Pompejusza prosząc, by roztoczył nad krajem swoją jurysdykcję. W 63 r. p.n.e. zajął on Jerozolimę i zaraz na początku wywołał oburzenie wkraczając do najświętszego przybytku świątyni, do którego miał prawo wejść tylko arcykapłan. Dynastyjni węzeł gordyjski wódz rzymski przeciął w ten sposób, że Arystobola zdeponował i odesłał do Rzymu jako jeńca, a Hirykana obdarzył godnością arcykapłana. Taki oto był nędzny kres dynastii Hasmonejskiej, która chlubnie rozpoczęła panowanie w 105 r. p.n.e.; po bohaterskich walkach i wyzwoleniu kraju z niewoli władców helleniskiej dynastii Seleucydów. Nasyłani do Judei prokuratorzy rzymscy traktowali swój urząd przede wszystkim jako źródło szybkiego wzbogacenia się. Byli to ludzie przeważnie bez skrupułów, którzy obdzierali podległy kraj ze wszystkiego, co miało jakąś wartość. Niejednokrotnie pozostawali w zmoście z rabusiami i rebeliantami, biorąc od nich haracz za bierność. Uprawiali nawet systematyczny szantaż, wtrącając ludzi do więzienia, aby uzyskać od nich okup. Szczególnym cynizmem i drapieżnością odznaczali się ostatni dwaj prokuratorzy przed wojną żydowską - Albinus i Florus. Pierwszy brał pieniądze od wszystkich partii żydowskich, od zelotów, jak też od ich przeciwników, a drugi, porzucając wszelkie pozory, płałował miasta i wsie. Tyberiusz, gdy go zapytano, dlaczego pozwala swoim namiestnikom tak długo urzędować, porównał ich do much, które obsiadają ranę ofiary, by wysssać z niej krew. Jeżeli zostawi się je w spokoju, nasycą się i już nie nekają tak swoich ofiar. Jeśli się je spłoszy, przyjdą inne wygłodniałe muchy i tortura rozpoczyna się od nowa.

Prowincja Judei uginała się pod ciężarem rujnujących podatków i danin na rzecz państwa oraz pogłownego na cele świątyni. Ściąganie ich wydzierżawiano prywatnym poborcóm, którzy dopuszczali się najróżniejszych oszustw, szantaży i gwałtów, aby osiągnąć przy tej okazji jak największe zyski osobiste. Nie przeto dzwignego, że w Talmudzie nazywa się poborców rabusiami, a w Nowym Testamencie stawia się ich na równi z grzesznikami. Angielski orientalista F.C. Grant, autor książki *Thlo ekonomiczne Ewangelii* (The Economic Background of the Gospel) wykrył, że w czasach Jezusa mieszkancie Judei płacili od 30 do 40 proc. podatków, nie licząc sum wyciśniętych z niego przez poborców nielegalnie.

Lud żydowski na domiar tych udręk niejednokrotnie przeszedł różne kataklizmy, jak trzęsienia ziemi, epidemie głodu, zarazy. Zdarzały się także okresy ogólnego bezrobocia i nędzy na skutek różnych kryzysów ekonomicznych. Tak na przykład po ukończeniu budowy świątyni zwolniono z pracy, przez lata tam zatrudnionych, dziesięć tysięcy robotników i rzemieślników. Koszty tej wielkiej budowli spadły zresztą również na barki mas ludowych. Budowę świątyni zainicjował Herod Wielki w 20 r. p.n.e. Razem z wewnętrznym, pełnym przepychu wystrojem trwała ona do 64 r. n.e., a więc ciągnęła się przez prawie 84 lata. Ale już w 70 r. cały ogromny wysiłek poszedł na marne: świątynia obrosła się w kupę dymiących gruzów podczas zdobycia Jerozolimy przez Rzymian i już nigdy nie doczekała się odbudowy. Istniała zatem w stanie wykonanym zaledwie sześć lat. Była to już trzecia świątynia w historii judaizmu; jej zagłada, tak jak dwóch poprzednich, obrzuca nam w przejmujący sposób tragiczne losy narodu żydowskiego.

Przed niewolą babilońską królowie Judei pochodzili z domu Dawida. Linia ta zakończyła się z królem Sedekiaszem, którego Nabuchodonozor po wypocieniu oczu uprowadził w łańcuchach do Babilonu. Odtąd potomkowie Dawida nigdy już nie zajęli jerozolimskiego tronu. Po powrocie z niewoli babilońskiej Żydzi przez przeszło czterysta lat zadowalali się ustrojem teokratycznym - cała, absolutna władza spoczywała w ręku arcykapłana. Okres panowania Hasmonejskiej był właściwie tylko epizodem, trwał bowiem zaledwie pół wieku i skończył się, jak wspominaliśmy, wywiezieniem Arystobola II do Rzymu. Herod Wielki i jego następcy nie byli już królami Judei, lecz mianowanymi przez Rzymian władcami prowincji żydowskich. W czasach Jezusa najwyższymi w hierarchii przywódcami społeczeństwa żydowskiego byli arcykapłani. Jednak na ogół nie cieszyli się oni wśród rodaków autorytetem moralnym i politycznym poparciem. Mianowani i przy lada okazji odwoływani przez namiestników cesarstwa, uchodzili za bezwolne narzędzie w rękach Rzymian. Zależność ta często była zakamufLOWANA przekazaniem uprawnień do tej nominacji przedstawicielowi władzy żydowskiej. Tak na przykład znanego nam z Dziejów Apostolskich Annaniasa mianował Herod Wielki. Jego następcy nadużywali tego uprawnienia w sposób wręcz groteskowy. Wnuk Heroda Wielkiego Agryppa I w latach 41 - 43 powoływał i odwoływał po kolei aż trzech arcykapłanów, a jego syn Agryppa II w latach 52 - 67 - nawet sześciu. Niejednokrotnie najwyższą godność w judaizmie można było zwyczajnie kupić, jeżeli miało się dostatecznie dużo złota. Wiemy również innymi, że Annasz (przed którym stał Jezus), mimo że sam został zdeponowany, potrafił dzięki oplacaniu się złotem nie tylko zachować nadal

wpływu, ale nawet na długi czas zapewnić urząd arcykapłana członkom swego rodu. Upokarzającym symbolem tego stanu rzeczy był fakt, że szaty rytualne arcykapłana „Rzymianie prawie zawsze trzymali w zastawie w fortecy Antonia i wydawali je tylko na określone święta żydowskie. Obraz ówczesnych czasów, narysowany dużymi skłami, wymaga jeszcze odatorskiego wyjaśnienia ze względu na to, że widoczne w nim anachronizmy mogą budzić u czytelnika zastrzeżenia. Posłużyliśmy się bowiem w tej charakterystyce również wydarzeniami, które miały miejsce przed narodzeniem i po śmierci Jezusa. Pojawienie się Jezusa przyzwyczailiśmy się uważać za ewenement, stanowiący jakby cesure demarkacyjną, dzielącą historię Judei na dwie odrębne epoki. Tak jednak nie było w odczuciu ówczesnych Żydów i Rzymian, którzy jak to już próbowaaliśmy wykazać, z istnienia Jezusa w ogóle nie zdawali sobie sprawy. Toteż całą historię tego kraju należy traktować jako kontinuum, jako łańcuch powiązanych ze sobą ogniw, jednakowo ważkich w charakterystyce opisywanych czasów. Cokolwiek działo się przedtem lub potem, miało wspólne źródło w tych samych, niezmiennych warunkach społecznych, politycznych, ekonomicznych i religijnych Judei na przestrzeni ostatnich dziesiątków lat jej historii. Toteż walka bratobójcza na terenie świątyni podczas oblężenia Jerozolimy, chociaż wydarzyła się przeszło trzydzieści lat po śmierci Jezusa, Retrospektywnie rzuca pouczające światło na jego czasy, jest bowiem logicznym finałem tego samego dramatu, kulminacyjnym objawem choroby, która od dawna trawiła naród żydowski. Nie działo się dobrze również na pozostałych obszarach cesarstwa rzymskiego. Miasta Bliskiego Wschodu, jak wykazały wykopaliska, odznaczały się przepychem i kipiały życiem. Każda z tych metropolii w miarę swoich możliwości, często nawet ponad stan, usiłowała naśladować Rzym, a także splendorem swoich budowli, igrysk i publicznych uroczystości wzić górą nad innymi sąsiednimi miastami. Jednakże za tą imponującą fasadą dobrobytu i wspaniałości kryła się zupełnie inna prawda. Owe metropolie bowiem dla swej wygody i zaspokojenia próżności wznowili potencjaci i bogacze kosztem pracujących mas ludowych. Toteż słusznie angielski historyk Ch. Dawson pisze w swojej książce *Szkice o kulturze średniowiecznej*: „Cesarstwo Rzymskie i towarzyszący mu proces urbanizacji w rzeczywistości były ogromnym systemem wycisku, który organizował zasoby prowincji i gromadził je w rękach klas uprzywilejowanych”.

Ten sam autor rozpisuje się na temat rzymskich kapitalistów, lichwiarzy, handlarzy niewolnikami i poborców podatkowych, którzy jak chmara sarańcze żyli na Wschód i wysysali wszelkie soki żywotne z podbitych ludów. W tej orgii wycisku brali udział nie tylko agenci towarzystw finansowych, ale także ludzie o wielkich historycznych nazwiskach, jak Lukullus czy Brutus. Tenże Brutus, uchodzący za wzór wszelkich odn republikaniskich, był w gruncie rzeczy zwykłym lichwiarzem. Wytoczył mianowicie proces Cycleronowi, gdy ten, chcąc ułżyć zadłużonemu miastom Cytelii, zmniejszył procentowanie jego pożyczki z 48 na 12 procent. Społeczeństwa podbitych ludów Bliskiego Wschodu dzieliły ogromne sprzeczności wewnętrzne, rosła przepaść między nieliczną warstwą uprzywilejowaną a tymi, którzy swoją pracą dźwigały cały ciężar kosztów państwowych: między rolnikami, rzemieślnikami i niezliczoną armią niewolników. Bogaci stawali się bogatsi, biedni biedniejsi. Na domiar tego była to epoka ciągłych wojen, kryzysów ekonomicznych, obniżania się wartości monet i epiek głodowych. Tak na przykład w latach 44 - 48 epidemia głodu opanowała prawie cały obszar imperium rzymskiego. Położenie mas ludowych stawało się w tych warunkach nie do zniesienia. Toteż mesjanistyczne nadzieje Żydów i chrześcijan znalazły w tych zdeklasowanych dolach społecznych grunt nadzwyczaj podatny. Uciskana biedota miast hellenistycznych była wyjątkowo predysponowana do przyjęcia nauki o Zbawicielu i „Królestwie Niebieskim na ziemi”, bo tylko przez nadprzyrodzoną interwencję mogła spodziewać się odmiany swego losu.

Toteż szybko mnożyły się gminy wyznawców Jezusa, tym bardziej że ich powstaniu sprzyjały jeszcze inne okoliczności. Przede wszystkim kraj tu niemalą rolę sam podbił tych krajów przez Rzymian. Zniszczył on istniejące państwa-miasta, co sprawiło, że związane z ich ustrojem lokalne kultury tracily swoją podstawę. Bóg podbity, bóg upokorzony nie zasługował już na zaufanie, bo sromotnie zawiódł jako obrońca kraju. Pewnego rodzaju rekompensatą stało się tu właśnie chrześcijaństwo. Drugim czynnikiem było ciekawe zjawisko tworzenia się licznych prywatnych zrzezeń. Stanowiły one alternatywę dawnego miasta-państwa, gdyż przywracały ludziom utracone poczucie wspólnoty. Najczęściej były to organizacje kultowe, ale jednocześnie przypominały towarzystwa wzajemnej pomocy, rozdzielając zapomogi w razie choroby, kalectwa czy choroby i oplacając koszty pogrzebów swoich członków. Gminy chrześcijańskie były właśnie takimi braterskimi zrzezeniami i prawdziwą przystanią dla tych, którzy w srogim i obcym świecie imperium rzymskiego odczuwali moralną i społeczną bezdomność.

Z listów Pawła wiemy, że do tych wspólnot gminnych przedostawali się nie zawsze ludzie godni zaufania i szczerze wierzący. Niektórzy spodezwiewali się po nich głównie korzyści materialnych. Paweł musiał na przykład skarcić pewną grupę prozelitów, ponieważ zasłaniając się bliskim końcem świata, nie chcieli pracować i kazali się utrzymywać przez gmine.

Nie dotyczyło to jednak większości wierzących. Ich przyciągała przede wszystkim nauka o miłości bliźniego i obietnica wyzwolenia z doczesnych udręk, a przede wszystkim chęć, że czyniąc z nich braci między braćmi, nowa religia przywracała im poczucie ludzkiej godności.

W świetle tych faktów zarówno Jezus historyczny, jak i ten Chrystus wiary staje się symbolem okrutnych czasów, z których wyrósł. W jego krótkim dramatycznym życiu wyraża się w ogromnym zaangażowaniu odwieczna martyrologia rodzaju ludzkiego, a także niewygasła wiara człowieka w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości na ziemi.

PROFECY PRZEWIDZIELI WSZYSTKO

Chcąc zrozumieć, jak cała ta mitologia dotycząca biografii Jezusa powstawała, musimy wrócić do pewnych przełomowych wydarzeń w dziejach gminy jerozolimskiej, które opisywaliśmy w poprzednim rozdziale. Chodzi tu o bunt „hellenistów”, o deklarację apostazji wobec Starożytności Zakonu, wyrażoną w słynnej mowie Szczępana oraz o finał tego dramatu: ukamienowanie mówcy i przesładowanie jego zwolenników. Według obliczeń historyków stało się to w 36 r. n.e., a więc już sześć lat po śmierci Jezusa. Rok później nawraca się Szawel, nazwany Pawłem.

Odąd dość szybko zaczyna się kształtować sytuacja zakrawająca na coś, co można by nazwać schizmą. W nowym ruchu religijnym następuje rozłam, którego skutki w historii ludzkości są przeogromne. Nazarejczyk pod przewodnictwem Jakuba zasklepił się w swojej ortodoksyjności i nie przestał być jedną z wielu sekt religijnych w ramach judaizmu. „Helleniści”, którzy uszli przesładowaniom i osiedlili się w takich miastach jak Antiochia, Tars czy Efez, coraz bardziej dostawali się pod wpływ hellenistycznej kultury. Dla judeochrześcijańców Jerozolimy Jezus był żydowskim prorokiem i mesjaszem, nie miał jednak boskiej natury, dla Żydów mówiących po grecku rychło stawał się Bogiem na wzór bogów misterioznym religijnym Bliskiego Wschodu. Bibliści amerykański Powell Davies trafnie i lapidarnie scharakteryzował ten stan rzeczy w następującym zdaniu: „Chrześcijaństwo jest rozwinięciem jednego z rozgałęzi judaizmu w religię, która po zmieszaniu się z różnymi religiami pogaństwa stała się drogą naturalnego rozwoju dzisiejszym chrześcijaństwem”.

„Helleniści” rozszypani na rozległym pobrzu Bliskiego Wschodu coraz bardziej odrywali się od swego macierzystego judaizmu, coraz mniej wiedzili o Jezusie i jego towarzyszach. Szczegółowo po roku 70, odkad na skutek zbурzenia Jerozolimy zatracca się wszelki słuch o tamtejszych judeochrześcijańcach.

Nachodził jednak czas, kiedy rosnącym rzeszom wyznawców, przetych uwielbieniem dla Mistra z Nazaretu, nie sposób było pogodzić się z takim stanem rzeczy. I właśnie z ich żarliwego pragnienia dowiedzenia się jak najwięcej szczegółów z życia doczesnego Jezusa zdroidzi się złożony psychologicznie proces, wiodyący do coraz dokładniejszego i dramatyczniejszego rekonstruowania jego zagubionej biografii. Pewne podstawowe wiadomości o jego życiu, pochodzące z autentycznych źródeł palestyńskich, ocalale z zapominania mimo secesji obu środowisk chrześcijańskich, posłużyły teraz jako rusztowanie, dokoła którego, na modłę rzeźbiarza ugniatającego swój sposób, inwencja ludu rozbudowuje nową wizję Jezusa, już nie tylko żydowskiego proroka, ale uniwersalistycznego Mesjasza. Zbawiciela wszystkich narodów na świecie. Z takim Jezusem Chrystusem właśnie spotykamy się w ewangelichach, które powstały, warto tu przypomnieć, wiele lat po zbурzeniu Jerozolimy i ucieczce judeochrześcijańców do dalekiej Pelli, a zatem w czasach, kiedy nie istniały już żadne kontakty między obu ugrupowaniami. W miastach i miasteczkach hellenistycznych wyrosło już całkiem nowe pokolenie chrześcijańskie, wychowane w klimacie kultury hellenistycznej i obecne temu wszystkiemu, co miało jakiś związek z Judeą i jej ortodoksją.

Nowy wizerunek Jezusa Chrystusa nie powstał z samowolnej gry wyobraźni ludowej. Konkretnego tworzywa do jego rysunku dostarczały dwa główne nurtu owych czasów: judaizm i hellenizm. Zajmijmy się najpród pierwszym nurtem. Przed wszystkim więc należy mieć na uwadze, że droge nowej religii torowali na ziemiach świętej Ziemi i że Stary Testament za ich sprawą nie przestał być Pismem Świętym także dla chrześcijańców. Ponieważ w ich głębszym przekonaniu Jezus był zapowiedzianym przez proroków Mesjaszem, wystarczyło odszukać w świętych tekstach odpowiednie wersety, by odtworzyć wmiernie czas, miejsce i okoliczności jego narodzin, cуда, jakie czynił, sposób i eschatologiczne znaczenie jego ofiary na krzyżu, jego zmartwychwstanie i zapowiedź powrotu w glorię ostatecznego triumfu nad mocami złā. Dokładnie tak jak to przewidywały profecy. Religioznawca francuski Hainchein stwierdził, iż całe życie Jezusa opisane w

ewangelichach jest rekonstrukcją opartą na odpowiednio dobranych wersetach Starożytności Testamentu.

Ludzi, którzy tą osobliwą metodą się posługiwali, nie można pomawiać o świadome fałszerstwo. Oni w tej sprawie kierowali się własną, swoistą logiką: skoro taka jest przepowiednia proroków, to tak właśnie musi∫o stać się w życiu Jezusa. Dlatego nie kryją się, z jakich źródeł czerpią swoje informacje; w ewangelichach na każdym kroku spotykamy się z konkretną uwagą, że stało się to „aby wypełni∫o się Pismo proroków”. Polemist∫a II wieku św. Ireneusz w swym dziele *Adversus haereses* (Przeciwherzjom) pisze: „Wierzę w Ducha Świętego, który przez proroków zapowiedział zbawienie, przyjście i narodzenie Dziewicy, mękę i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, Pana Naszego oraz jego wstąpienie do chwały Ojca” (I, 10). Jeszcze precyzyjniej wyraził się w tej sprawie apologeta II wieku św. Justyn. W swojej Apologii (1,6) tak oto pisze: „Ustami proroków Duch Święty ogłosił naprzód wszystko, co się tyczy życia Jezusa”.

Stary Testament, jak wiadomo, stanowi zbiór różnych ksiąg, napisanych przez różnych autorów w różnych okresach czasu. W konsekwencji jest on pełen sprzeczności zarówno historycznych, jak też i ideowo-moralnych. Ale egzegeztem chrześcijańskim bynajmniej to nie przeszkadza∫o. Po prostu wybierali jedynie tylko te wersety, które były przydatne dla ich celów, w których można było dopatrzyć się aluzji do życia Jezusa Chrystusa.

Wobec wersetów, gdzie ta aluzyjność nie uwadczniała się zbyt pewnie i wyraźnie, stosowali metodę szukania w nich za pomocą alegorycznej interpretacji ukrytych, zawaolowanych prorocctw. Zabieg ten nie budził w nich cienia wątpliwości, gdyż metoda egzegzyz alegorycznej miała wówczas bogate tradycje i nikomu nie przyszłoby do głowy wątpić w jej słusność. Posługiwali się nią już starozakonnicy egzegeci Pisma Świętego, jednak na szerszą skalę rozbudowali ją dopiero Żydzi mówiący po grecku i znający jedynie tylko Septuagintę. Wychowani w środowiskach kultury hellenistycznej, staneli oni wobec problemu pogodzenia zaadoptowanej przez siebie kultury z odziedziczoną po ojcach religią. Najwybitniejszym ich przedstawicielem był znany nam już Filon z Aleksandrii. Jego metodę doszukiwania się w Pismie Świętym alegorycznej, głębszej myśli przyswoili sobie później Justyn, Klemens i Orygenes w celu znalezienia w tekstach świętych uzasadnienia dla rozwijającej się teologii chrześcijańskiej, nastajkającej stopniowo religijnymi i filozoficznymi koncepcjami hellenizmu.

Na przykładzie niektórych dokonanych przez Jezusa cudów możemy niejako w akcji obserwować mechanizm powstawania ewangelicznych opowieści inspirowanych przez Stary Testament. Przede wszystkim należy tu podkreślić, że w najstarszych, a więc chyba najwiarygodniejszych źródlach chrześcijańskich, mianowicie w listach apostołów, nie znajdziemy najmniejszych wzmianki o tym, że Jezus był cudotwórcą, że leczył chorych lub wskrzeszał zmarłych. Najbardziej jednak uderzające jest to, że nawet Paweł, który przecież byłwał w Jerozolimie i miał kontakty z uczniami Jezusa, nie a nic o tym nie pisze, a sam nigdy nikogo nie próbował uleczyć. Co więcej, jak wynika z Pierwszego listu do Koryntian (12,28), do cudotwórstwa i udrzwiania chorych odnosił się z ledwie ukrywany lekceważeniem, uważając je religijnie za rzecz drugorzędną.

Nie ulega więc wątpliwości, że opowieści o uzdrowieniach i wskrzeszeniach zmarłych, zajmujące tak duzo miejsca w ewangelichach, powstały znacznie później i są legendami, które bujnie wyrastały z płodnej gleby folkloru. Zawszcca że istniały założenia sprzyjające powstawaniu tego rodzaju wieści. Były to przecież czasy, kiedy zarówno ludzie Bliskiego Wschodu, jak też i Żydzi Palestyny wierzyli, że wybitni mężowie stanu, monarchowie, mieliby ciele czy procy posiadali cudotwórczą moc leczenia przez dotknięcie dłońmi i naślaminie powiek chorego. Jest przeto zrozumiałe, że chrześcijańskie mogły wyobrazić sobie, aby Jezus, Syn Boży, nie udrzwiał w swym życiu chorych i nie wskrzeszał umarłych. Z dalekiej, odciętej od świata Palestyny nie mieli żadnych w tym względzie wiadomości, szukali więc wypelnienia tej luki w prorocctwach Starożytności Testamentu. Potrzebnych wiadomości dopatrzyli się zapewne między innymi w Proocctwie Iłazjasza w następujących wersetach: „Bóg sam przyjdzie i zbawi nas. Tedy się otworzą oczy ślepych, i uszy głuchych będą otworzone. Tedy wysłyszycy chroty jako jęleń, i otworzycy będzie język niemych” (35,4-6). Jezus Dawid F. Strauss zauważył, że wskrzeszenie córki Jaira, opisane w Ewangelii Marka, jest wzorowane na wskrzeszeniu syna Sulamitki przez proroka Elizeusa (II Ks. Król. 4,18 i nast.).

Metrykę starotestamentową wykazują również cуда innej kategorii. Weźmy choćby historię karmienia chlebem i rybami. Przecież to prorok Elizeusz pierwszy nakarmił głodnych, mianowicie sto swoich towarzyszy dwudziesiątka bochenkami chleba i workiem zbója (II Ks. Król. 4,42-44). Wprawdzie Jezus nakarmił jedynie tylko pięćdziesiąt bochenkami chleba i dwiema rybami daleko więcej ludzi, bo aż pięć tysięcy. Różnice „musimy jednak złożyć, na karb wyobraźni ludowej, zawsze skłonnej w swoich relacjach do stopniowego, przesadnego wyolbrzymiania cudownych wydarzeń. Jak z oszczędnych wersetów Starożytności Testamentu zakwitywały uroczyste i pełne symbolicznie opowieści

ewangeliczne, możemy zaobserwować na przykładzie epizodu zawartego w Ewangelii Marka, szczególnie zaś Mateusza. Dowiadujemy się z niego, jak to Jezus kroczył po powierzchni jeziora, jak to samo próbował zrobić Piotr, ale w chwili, gdy stracił wiarę, zanurzył się w wodzie i zapewne by utonął, gdyby go nie uratował Jezus.

Oto wersety, z których ta dramatyczna historia wykielkowała: „Bóg, który chodził po falach morskich” (Ks. Hioba 9,8) - „Ujrzycie cie wody, Boże, ujrzycie cie wody, i ułęky sie” (Psalm 76,17) - „Na morzu droga twoja, i ścieżki twoje na wodach wielkich” (Psalm 76,20).

Jeśli chodzi o przegodę Piotra, to można wskazać na dwa następujące wersety: „Wybac mi, Boże, boć weszły wody aż do duszy mojej. Znalazłem się na głębszych wodach, gdzie mała dna... przeszedełm na głębie morską, a nawałność mnie zalala” (Psalm 68,1-3) - „... a wziął mnie [Bóg] i wyjął mnie z wód wielkich” (Psalm 17,17).

Doskonała angielska encyklopedia biblijna *The Oxford Cyclope Concordance* wylicza, że Stary Testament wymieniany jest w Nowym Testamencie aż 321 razy. Na liczbę tę składają się 103 cytaty dosłowne, 100 wersetów nie podanych dosłownie oraz 118 odniesień do rozmaitych starotestamentowych epizodów. Jest to, jeśli wziąć pod uwagę stosunkowo niewielką objętość Nowego Testamentu, zależność uderzającą, wręcz obsesyjna. Zygmun Pontiatowski, autor wielu prac religioznawczych, napisał, że po odjęciu cytatów z pism Starożytności nie pozostaje prawie nic konkretnego z sylwetki ewangelicznego Jezusa.

Powołując się na wyniki badań wybitnego niemieckiego bibliisty G. Bornkamma, stwierdza, że szczególnie caley okres męki i śmierci Jezusa jest oparty na zapożyczeniach ze Starożytności Testamentu. W pracy jego *Pierwotne chrześcijaństwo* (Zarys dziejów religii) czytamy, co następuje: „I tak np. wjazd Jezusa jest oparty na Zachariaszu (9,9), oczyszczenie świątyni na Iłazjaszu (5,6-7). Gdy chodzi o Ostatnią Wiecznię, to np. określenie zdraycy (Mk. 14, 8) zaczerpnięte jest z Psalmu 41; - «krew przymiera z Wyjścia (24,8); - «rozproszenie owiec» z Zachariasza (13,7); - scena w Getsemani («dusza moja jest ztroskana aż do śmierci») z Psalmu 43,5; - wyrok śmierni z Psalmu 31,14. Z okazji zdrady Judasza Mateusz jawnie cytuje Zachariasza (11,12).

Biczowanie Jezusa jest oparte na Iłazjaszu (50,6), natomiast opis ukrzyżowania i śmierci mniej na Iłazjaszu (53), a więcej na Psalmach, np. «zółć i ocet» (Ps. 69,22), podział odzieży i ciągnięcie losów o nią (głównie Ps. 22,19), szyderstwa oprawców (Ps. 22,8 oraz 2,15). Znane „lamna, lamna sabachani” to Psalm 22,2 (zresztą przytacza je tylko Marek i Mateusz), a ostatnie słowa Jezusa: «W twoje ręce oddaj ducha mego» (Łk. 23,45) - to Psalm 31,6”. Wybrane wersety służyły oczywiście tylko jako punkt wyjścia dla fabularnej rozbudowy podań o Jezusie i niektórzy biblicyści sądzą, że działo się to głównie za sprawą uczonych w Pismie wędrownych nauczycieli i kładnowców, którzy w ten sposób pragnęli zaspokoić głód wiedzy swoich słuchaczy o życiu Boskiego Mistra. Owe anegdoty, nie wiadomo, jak i gdzie wymyślone, wędrowcy przynosili z gminy do gminy, wywołując u nabożnych wyznawców podziw i uwielbienie. Daniel Rops, autor słynnej monografii o Jezusie, określił to zjawisko w sposób następujący: „Domniemane pamiętki lokalne z odległości tysięcy mił nabierały pozoru prawd ustalonych. Jakżeby gmina w centrum Azji Mniejszej miała nie przejąć się, gdy jakiś przekupień, przybyły z brzegu Nilu, opowiadał z mówstwem szczegółów, że w jego kraju po dziś dzień pokazują dom, w którym Józef i Maria ukryli Dziecię w czasie ucieczki, a także posagi bożków, co pokruszyły się w momencie, gdy stanęli przed nim, albo też drzewo pustyne, co je podczas karmilo”.

Z upływem czasu wszystkie te podania, składające się na bogaty folklor religijny, pełne niezgodnych ze sobą szczegółów, zostały spisane przez anonimowych autorów, którzy dla dodania swoim pracom powagi podawali się pod imiona apostołów i ojców Kościoła. W ten sposób powstała cała bogata literatura, pełna fantastyk, cudów i dziwów. Były to listy, objawienia, apokaliptyczne wizje i przepowiednie, modlitwy, kanzania, traktaty teologiczne, a przede wszystkim ewangelie opisujące życie i czyny Jezusa. W II i III wieku literatura ta rozrosła się bujnie bez ladu i skladu. Dość powiedzieć, że w I wieku znajdowało się w obiegu oprócz czterech ewangelii Nowożytności Testamentu jeszcze kilkadziesiąt innych ewangelii. Bardzo powoli usiłowano zatamować ten zalew, odcyścić całą literaturę z chwastów. Owa selekcja zakończyła się dopiero w 382 r., kiedy uchwała Synodu Rzymskiego przeprowadzono podział na pisma kanoniczne i pisma Odrzucone przez Kościół, objęte przez bibliistów mianem apokryfów. Jeśli jednak uświadomimy sobie, że dopiero w 494 r. dekretem papieża Gelazego pełna dzwactw Ewangelia Piotra zaliczona została do apokryfów, to słusznie możemy powiedzieć, że apokryfy bez mała czerstała tak kształtowały umysłowość i wierzenia religijne chrześcijańców na równi z pismami kanonicznymi Nowego Testamentu. Należały one do tego samego nurtu piśmiennictwa chrześcijańskiego, a ludzie karmili się ich treścią z tą samą wiarą, co pismami zaliczonymi do kanonu Kościoła. Autor słynnej katolickiej *Patrologii* ks. Migne tak oto pisze:

„Pominąć apokryfy, to znaczy pozbawić się możliwości zbadania początków chrześcijaństwa”. Dlatego prawa wewnętrzne, jakie rzadzily rozwojem jednej i drugiej kategorii, były identyczne. Jednym z tych praw jest dziecinnie skłonnaść ludu do stopniowego wyolbrzymiania opisywanych nadprzyrodzonych wydarzeń, do ich koloryzowania. Przeto na apokryfach, które są wyrazem szczytowej fazy tej eskalacji, możemy niby przez szkło powiększające obserwować, jak wyobraźnia ludowa do skąpych wersetów Starożytności Testamentu potrafiła dopisywać całe fantastyczne historie.

Gdy się czyta te nieraz pełne niestworzonych rzeczy, naiwne i niewyszukane opowieści, łatwo pojąć, jakie kryterium przyswiacalo Kościolowi w wyeliminowaniu apokryfów. Kierował się tu po prostu zdrowym rozsądkiem i chęcią odcięcia się od tych zenujących historyjek. A zatem różnica między apokryfami a literaturą kanoniczną ma charakter raczej ilościowy niż jakościowy. Wydarzenia nadprzyrodzone, z nielicznymi wyjątkami opowiedziane w Nowym Testamencie w granicach względного umiaru, w apokryfach bywają niejednokrotnie wyolbrzymiane w sposób wręcz absurdalny. Cechowała tę literaturę nie znająca tamy fantazja ludowa, która często uchybiała nie tylko zdrowemu rozsądkiowi, lecz nawet elementarnemu poczuciu estetyki i moralności. Św.

Hieronim nazwał ją „niezdrowym maczaniem” a Renan napisał, że jest to „męcząca paplanina starych kumusek przeznaczona dla nianie i słujących”. Przynoczymy już w poprzednim rozdziale parę opowieści, w których mały Jezusik zachowuje się jak złosiwly, mściwy, nieznośny bachor, który potrafił uśmiecić chłopca za to, że go niechcący potracił, lub swego nauczyciela, gdy ten dał mu klapsa za krapkę. Te plaskie, bezdusne w swym prymitywizmie gadki błędą jednak wobec innych opowieści. Niektóre, jak na przykład te, które mają być nieodpartym dowodem dziewictwa Marii, są tak wulgane że człowiek wzdryga się je tu przytoczyć, chociaż Daniel Rops, jak świadczy o tym wydatnie w jego opracowaniu *Apokryfy Nowego Testamentu*, nie miał pod tym względem żadnych skrępałów. Aby nie być gołosłownym, przytoczymy tu dwie charakterystyczne opowieści właśnie z Ewangelii Piotra, która przecież dopiero pod koniec V wieku została przez Kościół zdezuuowana. ”Pierwsza dotyczy owego tajemniczego Szymona Czarnownika z Dziejów Apostolskich (8,18), który chcial od apostołów kupić com udzielania Ducha Świętego. Od jego imienia (Simon) bierze się termin „symonia” na określenie zwyczajny kupczania godnościami i beneficjami kościelnymi. Otóż za czasów panowania Piotra ów Szymon miał ponoć w Rzymie spotkać Piotra i Pawła. Wówczas chepliwiwie wyzał ich do popisywania się magiczną sztuką lewitacji i sam wzniósł się aż pod samo niebo. Ale Piotr i Paweł nie przyjęli rzucanej rekawicy, natomiast padli na kolana i tak długo się modlili, aż czarnownik runął na ziemię i zabił się. Ciekawostką może być dla nas to, że do dnia dzisiejszego w rzymskim kościele S. Francisca Romana zrewolnicy pokazują pochodzące z tych czasów płyty kamienne z rzekomyimi odbiciami kolan apostołów.

W drugiej opowieści Piotr występuje jako lekarz cudotwórcy. Pewnego dnia wierni zapytali go, dlaczego nie uzdrowił swojej własnej, na poł sparalizowanej córki. Na to on odpowiedział, że postępuje tak z bożego nakazu. Aby jednak ludzie nie przestali wierzyć w jego dar cudownego leczenia, sprawił, że córka jego nagle wyzdrowiała i zaczęła chodzić. Wówczas wśród świadków tego cуда nastala wielka radość: rozległy się modlitwy głoszące chwale Bogu. Wszelako Piotr polecil córce położyć się z powrotem do łóża i wtedy okazało się, że znovu jest sparalizowana. Ludzie uderzali w lament i błągali apostoła, by miał litość dla własnej córki, a on odpowiedział im: „Na żywot Pański, tak trzeba jej i mnie. Bowiemy w dzień, kiedy przyszedła na świat, miałem widzenie i Pan mi rzekł: Narodził ci się dzisiaj przedmiot wielkiej próby: przyczyni ona bowiem zła wielu duszom, jeżeli ciało jej pozostanie zdrowe”.

Rzecz w tym, że córeczka, gdy miała dziesięć lat, była tak urodziwa, że dla wielu mężczyzn stała się powodem grzesznych myśli. Nic przeto dziwnego, że bogacz imieniem Ptolomeusz koniecznie chcial ją mieć za żonę, a gdy matka odrzuciła jego konkury, zabrał dziewczynę siłą. Ona jednak zapadła na chorobę ciężkiego paraliżu i porywacz nie wiedzząc, co z nią zrobić, porucił ją u drzwi rodziców, którzy jednak nie wpadli w rozpacz, lecz przeciwnie, glosili chwałę Bogu za to, że uchronili „sługę swą od zmany i hanby”. Co więcej, Piotr przywrócił wzrok osleplemu za karę Ptolomeuszowi, co jednak nie przeszkadza∫o mu pozostac nieublaganym dla swojej nieszczęsnej, niewiennej córki.

Na szczęście nie wszystkie opowieści w apokryfach są tak ponuro zaboronne, okrutne w swym prymitywizmie i tak jaskrawo sprzeczne z zasadami, jakie głosił Jezus. Są i takie, które żywo przypominają hamur i baśniowy urok pastorałek i koled. Podczas wędrowki do Egiptu smoki, lwy, lamparty i wilki, w najlepszej zgodzie z owcami, wołami, osłami i bydlatkami jucznymi, wylębiły Jezusika, składały mu pokłona, a Świętą Rodzinę prowadziły przez bezdroża pustyni, aby nie zbłądziła. Gdy Maria poczuła głód, Jezusik sprawił, że palma się pochylała, aby można było zerwać owoc. W egiptkim mieście Sotinen uchodzący wstąpił do miejscowej świątyni i wówczas stał się wielki cud.

Trzydzieści posągów wyobrażających różnych bożków spadło na posiadkę i rozbiło się na drobne kawałki. Gubernator miasta Afrodyzjusz, na wiadomość o tym wydarzeniu, popieszczył do świątyni, padł na twarz przed dziećmiemu ku zdumieniu ludności, która spodziewała się, że wywrze zemstę na przybyszach z Palestyny. Ów Afrodyzjusz, jak utrzymuje tradycja, udał się później do Galii i stał się pierwszym biskupem miasta Beziers. Jezus, będąc chłopcem, rozmawiał jak człowiek dorosły, lepił z gliny wróble, które ożwił i wypuszczał na wolność. W szkole od razu odczytywał litery alfabetu i wiedział wszystko lepiej, niż nauczyciele. Nawet w cielistwie nie mógł mu dorównać własny ojciec.

Ustalenie pism kanonicznych nie przesądzało jeszcze o losie apokryfów. Ich poczynność bynajmniej nie zmalała, obecność ich jest właściwie żywa do dnia dzisiejszego. Od wieków wywierają one głęboki wpływ na kulturę chrześcijańską: na malarstwo, rzeźbę, muzykę i poezję, a także na wyobraźnię i obyczaj ludźmi wierzących. Ikonaografia i ornamentyka w architekturze kościelnej czerpały swoje pomysły z apokryficznych legend. Bez nich nie sposób wyobrazić sobie malarstwa Tycjana czy Rafaela. Jeśli chodzi o literaturę, to wystarczy tu wymienić Dante. Pomysł wędrowki po zaświatach, który stanowi główny wątek fabularny Boskiej Komedii, zawdzięczał on między innymi inspiracji Ewangelii Nikodemą.

Wypada tu zaznaczyć, że stosunek Kościoła do apokryfów jest raczej ambiwalentny. Już niektórzy ojcowie Kościoła przytaczali z nich różne szczegóły jako fakty historyczne. Rops dołczył się aż tuzina zwyczajów związanych z obrzędami Bożego Narodzenia, pochodzących z apokryfów. Ba, nawet oficjalna liturgia, mszał i brewiarz zawierają mnóstwo tekstów dosłownie wziętych z tego samego źródła. Niektóre z prawd dogmatycznych, jak na przykład Niepokalane Poczęcie, Zaśnięcie i Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny, jak zstąpienie do piekieł oraz teza, że Jezus miał braci ciotecznych, a nie braci rodzonych - te wszystkie artykuły wiary, rzecz dziwna, legitymują się pochodzeniem z pism odrzuconych przez Kościół. Ten sam rodowód ma jeden z najbardziej przejmujących epizodów Drogi Krzyżowej, mianowicie scena z chustą św. Weroniki. Ilu wiernych wie o tym, że o Weronice nie ma ani słowa w Nowym Testamencie, że jest ona postacią całkowicie wymyśloną przez autorów apokryfów? A jednak, mimo że nigdy nie istniała, jej chustę z odbiciem umęczonego oblicza Chrystusa do dnia dzisiejszego pokazują jako świętą relikwię.

W Polsce apokryfy odegrały ogromną rolę w życiu religijnym szerokiach mas ludowych. Ewangelia Nikodemą była popularna już w połowie XVI wieku, a Mikołaj z Wilkowiecka na niej właśnie się oparł pisząc swoją uroczą Historię o chwalebny Zmartwychwstaniu Pańskim. Nie sposób wymienić tu nawet co ważniejszych pozycji z tej na apokryfach opartej literatury religio-jarmarcznej, doręczmy tu jeszcze tylko Placiz i narzekanie ojców naszych, Traktat o Zwiastowaniu Anielskim oraz Przerzaliwe ody trąby ostatecznej. Wspomnijmy jeszcze na koniec, że koledy, pastoralki, jasełka i pieśni dziadówskie, słowem to co składa się na nasz folklor religijny, przesycone jest na wskroś apokryfami.

JAN CHRZCICIEL I JEZUS ESSEŃCYKAMI?

Istnieje jeszcze inne judaistyczne źródło, z którego chrześcijanizm czerpał swoje strukturalne i doktrynalne wzory, źródło o kapitalnym znaczeniu, odkryte dopiero w 1947 r., kiedy beduiński szereg Tamirow stanął obozem na północno-wschodnim brzegu Morza Martwego, by z źródła Ana Feszcha nabrać świeżej wody do bukłaków i dać odpocznęnie strudonym wielbłądom. W czasie odpoczynku jeden z chłopców, błądząc w poszukiwaniu zabłąkanego kozłatka wśród pagórków skalnych, niespodzianie stanął nad wąską głęboką szczeliną. Naprzód ukłękł i spojrzął do środka, a gdy w ciemności nic nie zdołał rozpoznać, wrzucił kamieniem. W pewnej chwili usłyszał brzęk tłuczonych przez kamień naczyn glinianych, więc przyszedł natychmiast swego towarzysza zabaw i obaj chłopcy, przcisnąwszy się przez wąski otwór, znaleźli się w wydłużonej pieczarze. Skaliste dno zalegało mnóstwo skorup ceramicznych, a wśród tego gruzowiska wystawały tu i ówdzie zapieczetowane naczynia gliniane o kształcie cylindrycznym. Chłopcy drącymi z niecierpliwością rękoma odpieczetowali po kolei wszystkie naczynia i doznali rozczarowania. Nie znaleźli bowiem w nich żadnych skarbow, lecz pozeplane zwoje, wydzielające nieprzyjemny zapach rozkładu. Jak się później okazało, były to długie pasy, zszywane z kawałków skóry baraniej i zapisane po jednej stronie archaicznymi znakami hebrajskiego pisma. Beduini wystawili zwoje na sprzedaż, ale nie od razu poznano się na ich wartości. Gdy jednak wreszcie zorientowano się, że w ich tekstach kryje się cały zagubiony rozdział historii, płacono za nie tysiące dolarów. Część zwojów znalazła się w Amerykańskiej Szkole Orientalnej i do ich zbadania zabrał się jeden z największych orientalistów William F. Albright. Przyjrzywszy się pismu przez szkło powiększające, uczone amerykański doznał prawdziwego wstrząsu. Zwoje nazwał „absolutnie niewiarygodnym znaleziskiem” i „największym

odkryciem naszego wieku w dziedzinie źródeł pisanych”. O co właściwie chodziło? Mimo intensywnych poszukiwań, prowadzonych od wielu lat w Palestynie, najstarszy hebrajski tekst Starożytności, jaki udało się odkryć, był dość późną kopia, pochodził bowiem z IX wieku n.e. Tymczasem Albright wyraził opinię, a potwierdziły to badania za pomocą izotopu węgla C14, że zwoje zawierają teksty biblijne, pochodzące z początków pierwszego stulecia p.n.e., były więc o tysiąc lat starsze. Znaleźliśmno zatem nieocenioną wartość dla skontrolowana posiadanych późniejszych odpisów i przeprowadzenia w nich porównawczych studiów lingwistycznych. Świat uczonych i teologów dowiedział się ku swojemu nieopisanemu zdumieniu, że dzięki wścisłkiej ciekawości małego Beduina uzyskał niezmiernie szlachetne teksty Starożytności, o których po długich, daremnych poszukiwaniach nie śmiał nawet marzyć.

Zastanawiano się, jakim sposobem święte teksty znalazły się w pieczarach nad Morzem Martwym. I wtedy zwrócono uwagę na leżące w pobliżu ruiny, uważane dotąd za szczątki fortecy rzymskiej. Arabowie nazywali je Khirbet Qumran. W 1951 r. specjalna ekspedycja naukowa przystąpiła tam do systematycznych prac archeologicznych. Wynik okazał się ze wszech miar rewelacyjny. Ruiny, jak ustalono, stanowiły ongiś budowlę z ciosanego kamienia, pokrytą dachem z pni palmowych, trzciny i gliny. W kompleksie pomieszczeń zdołano rozpoznać refektarz, kuchnię, warsztat rzemieślniczy, ustępy, dwa baseny kąpielowe o przeznaczeniu rytualnym, co zaś najciekawsze - tak zwane „scriptorium”, czyli salę, gdzie pracowali kopisci. Zachowały się tam murowane z cegły pulpity, a nawet kałamarz z brązu i gliny, w których widział być wyschnięte ślady po atramentem. W warsztacie garncarskim znaleziono wśród mnóstwa skorup cylindrycznych naczyńa gliniane, podobne do tych, jakie Beduini znaleźli w pieczarach. Nie ulega wątpliwości, że właścicielami odkrytych zwojów byli mieszkańcy owych rozległych zabudowań.

Archeolodzy wydobyli z gruzów ogromny skarb, 553 srebrne monety, wyraźnie ukryte przed rabusiami. Był to zbiór monet, które numizmatykom pozwoliły stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że kwitło tam życie już od połowy drugiego stulecia p.n.e. i że wszystko raptownie się urwało w 70 r. n.e., to jest wtedy, kiedy Rzymianie zburlżyli Jerozolimę. Zgłiszczą w ruinach świadczą, że powodem katastrofy był straszliwy pożar. Znancom historii żydowskiej niestrudno było zidentyfikować ruiny. Był to na pewno klasztor żydowskiej sekty esseńczyków, która miała swoje gminy prawie we wszystkich miastach i wsiach Palestyny, a później nawet wśród Żydów w diasporze. Klasztor w Qumran był główną siedzibą tej sekty. Tak na przykład Rzymianin Plimusz Starszy donosi nam, że w czasie swego pobytu w Palestynie zwiedził klasztor esseńczyków nad Morzem Martwym: był to prawdopodobnie, a raczej na pewno ów klasztor, którego ruiny przetrwały do naszych czasów w Khirbet Qumran. O esseńczykach pisali poza tym żydowscy historycy Józef Flawiusz i Filon z Aleksandrii.

Łatwo wyobrazić sobie tragiczny koniec klasztoru w Qumran. Po krwawym stłumieniu powstania żydowskiego i spalaniu Jerozolimy, żołnierze X legionu rzymskiego, plądrując kraj, zbliznili się do siedziby zakonu. Pustelnicy, nie mając żadnych złudzeń co do losu; jaki ich czekał, zatroszczyli się przede wszystkim o uratowanie piśmiennej spuścizny. Cenne zwoje, zabezpieczone w cylindrycznych naczyniach glinianych, wynieśli ukradkiem do znanych im pieczar nad Morzem Martwym w nadziei, że nastaną czasy, kiedy klasztor będzie mógł na nowo podjąć swoją eremicką żywot. Legioniści spaliłi klasztor i przypuszczalnie wycięli jego mieszkańców. Tylko bowiem ogólną rzezią można wytłumaczyć swoje fakt, że ukryte zwoje zostały przez ludzi zapobiegane i dzięki temu przetrwały do naszych czasów w stanie, w jakim złożono je w pieczarach 1900 lat temu.

Odkrycie zwojów zyskało w świecie niebawym rozgłos, który dotarł nawet na pustynie do plemion beduińskich. Na skalistym bezludziu zaroilo się od poszukiwaczy i wkrótce okazało się, że płon ich wysiłków przechodził najsmielsze oczekiwania. W dwudziestu pięciu pieczarach Beduini znaleźli i wystawili potem na sprzedaż dziesiątki zwojów i setki zapisanych fragmentów w języku hebrajskim, aramejskim i greckim. W jednej tylko pieczarze znajdowało się aż dziewięćdziesiąt najrozmaitszych fragmentów zwojów z baraniej skóry, a wśród nich jeden długi pas z miedzi z podaniem miesięca, gdzie rzekomo ukryto fantastyczne skarby. (Bliższe szczegóły o tym zwoju podaje w swej książce Rumiak Lizypta). Ten archeologiczny róg obfitości został wreszcie poddany kontroli, gdy w 1952 r. rozmaite instytucje wysłały na miejsce swoje ekspedycje naukowe dla przeprowadzenia własnych poszukiwań i wykupywania z rąk tubylców odnalezionych dokumentów. Przypuszcza się, że trzeba będzie wielu dziesiątków lat, zanim wszystkie rękopisy zostaną odczytane i opracowane krytycznie, zwłaszcza że rozwinięcie pozeplianych zwojów przedstawia nieraz trudny problem techniczny. Dotychczas ustalono, iż zwoje zawierają między innymi następujące pisma: prawie wszystkie księgi

Starożytności wraz z komentarzami, zbiór psalmów i hymnów dziękczynnych pełnych żarliwego mistycyzmu, Regulę Zakonną, Regulę Dyscypliny, Regulę wojny synów światła z synami ciemności oraz fragment esseńskiego dokumentu, zwanego Damascenskim. Największą rewelacją stał się zwoj, zawierający przepis rytualne, wierzenia, zasady organizacji i doktrynę moralną esseńczyków. Naokoło tych zagadnień toczy się do dziś dnia zacięty spór polemiczny, znany pod nazwą „walki o zwoje”. Na temat owego „vademecum” zakonu esseńskiego napisano już dziesiątki artykułów i książek, cieszących się poczynnością nie tylko w kołach naukowych, ale także wśród szerokiach rzesz laików. Nie jest to przejaw nagłe rozbudzonego zainteresowania dla jakichś tam sekty żydowskiej. Rzecz polega na tym, że polemika porusza aktualnie i żywotne sprawy religijne, obchodzące tak wierzących, jak i niewierzących. Wspomniany już orientalista William F. Albright napisał w jednej ze swych rozpraw na temat zwojów, że „nowe dowody, dotyczące wierzeń i praktyk żydowskich sekt z ostatnich dwóch stuleci przed naszą erą mogą zrewolucjonizować nasze poglądy na początki chrześcijaństwa”. W podobny sposób wyraził się uczonej francuski Andre Dupont-Sommer oraz szereg innych badaczy, zajmujących się odkrytymi zwojami znad Morza Martwego.

Analizując teksty zwojów stwierdzili oni ze zdumieniem, że organizacja hierarchiczna, wierzenia religijne, nauka moralna i rytuał esseńczyków pod wieloma względami przypominają w uderzający sposób mielna nazarejczyków w Jerozolimie pod wodzą Jakuba. Esseńczycy żyli w ustroju wspólnoty majątkowej i w ubóstwie, głosili miłość bliźniego, rozdawali jałmużnę, leczli chorych, poddawali się obrzędowi chrztu i wybierali dwunastu członków rady, co od razu przywodzi na pamięć dwunastu uczniów Jezusa. Niektóre gminy, jak na przykład mieszkańcy Qumran, przestrzegali nakazu bezżeństwa, a zespół klasztorny uzupełniali drogą adopcjonowania chłopców. Były jednak również ośrodki esseńskie, gdzie członkowie nie wideli zamkniętego życia klasztornego i nawet mogli zakładać własne rodziny.

Ciekawe jest również to, że esseńczycy zasiadali do wspólnej wieczerzy, która miała wszelkie cechy eucharystycznej uczy, przypominającej Ostatnią Wieczerzę. W Regulę Zakonną można przeczytać: „Gdy przystygają stół do posiłku i wino do picia, kapłan musi naprzód wyciągnąć ręce i pobłogosławić chleb. I jeżeli pije się wino, kapłan musi naprzód wyciągnąć ręce, aby pobłogosławić pierwszy kawałek chleba i wino” (IV,3-5). W Regulę Dyscypliny ten sam opis uczy uzupełnienia przed następującym zdaniem: „Potem Mesjasz Izraela połozę swoje dłonie na chlebie” (I,1,17-20). Była to więc niewątpliwie biesiada, która miała charakter sakralny, eschatologiczny.

Najbardziej jednak uderzająca analogia odnosi się do głoszonej przez obie sekty mesjanizmu. Esseńczycy w Dokumentie Damascenskim i w Komentarzu do Habakuka wspominają o jakimś „Nauczycielu Sprawiedliwości”, który poniósł śmierć męczenniczą z rąk „Nikczemnego kapłana”, zwanego także „Meżem kłamstwa”. W zwoju zawierającym komentarz do Księgi Nahuma istnieje mglista aluzja, z której wynikałoby, że został on ukrzyżowany, chociaż z Dokumentu Damascenskigo można wysnuć wniosek, że umarł śmiercią naturalną. Niektórzy badacze, broniąc pierwszej wersji o jego śmierci, powołują się na możliwość, że pod nazwą „Nikczemnego kapłana” kryje się osławiony z okrucieństwa arcykapłan Aleksander Janneus, który w 88 r. p.n.e. ukrzyżował kilkuset zburzonych Żydów, a ponieważ żalił nienawiścią także do esseńczyków, którzy otwarciu go potępiali, nie można wykluczyć, że wśród jego ofiar znalazł się także założyciel sekty esseńskiej „Nauczyciel Sprawiedliwości”.

Esseńczycy wierzyli, że ich umęczony przywódca był Mesjaszem, że zmartwychwstał, by powrócić na ziemię i zbawić Izrael. Według ich doktryny miał jednak przedtem pojawić się prorok, może sam Elias, aby pomazać onomu bożemu, „Nauczycielowi Sprawiedliwości”, utworzyć drogę. Wierzyli więc w przyście dwóch Mesjaszy: „Mesjasza Aarona” i gorążącego nad nim autorytetem „Mesjasza Kapłana”. Zdawałoby się więc, że w tej koncepcji dwóch Mesjaszów różnił się, zasadniczo od chrześcijan. Dojdziemy jednak do przekonania, że i w tym wypadku istnieje analogia, jeżeli przypomnimy sobie, że przecież według ewangelii przeznaczaniem proroka Jana Chrzciciela było utworzyć drogę Mesjaszowi Jezusowi. Według Ewangelii Mateusza zawał on przed ochrzczeniem Jezusa: „Ja was chrzczyć wodą ku pokucie, ale ten, który po mnie przyjdzie, mocniejszy jest niż ja, któremu ja nie jestem godzien i sandałów nosić” (3,11).

Wymienione poprzednio podobieństwa sugerują w sposób frajpujący, że „Nauczyciel Sprawiedliwości” był prototypem Jezusa Chrystusa, tak jak przedstawiają go ewangelie. Obaj głoszą w swej nauce pokutę, ubóstwo, miłość bliźniego i czystość moralną. Obaj byli Mesjaszami i Zbawicielami. Obaj padli ofiarą nikczemnych kapłanów i zginęli na krzyżu. Obaj mieli zmartwychwstać, powrócić w dzień sądu na ziemię, by zaprowadzić nowy ład na ziemi. Zasadniczy przebieg, jak i sens

eschatologiczny ich żywotów - jak widzimy - jest zadowijająco identyczny.

O stopniu tej zależności świadczy w sposób szczególnie ewidentny wpływ literatury esseńskiej na Nowy Testament. Tak na przykład doktryna teologiczna, jaką św. Paweł formułuje w swoich listach, jest tak podobna do doktryny esseńskiej, że wybitny bibliista, ks. kardynał Jean Daniellou, na którego będziemy się odłąć częściej powoływać, nie mógł nie przyznać: „Paweł musiał przeto wziąć ją z doktryny kumrańskiej”.

Zwraca on także uwagę na to, że zarówno w listach i Dziejach Apostolskich, jak i też w zwojach spotyka się nader często te same sposoby wyrażania się, nawet te same zwroty. Identyczności, jak pisze, zaiste zdumiewające. Między innymi wiadać to w przemówieniu, wygłoszonym przez Pawła w Cezarei w obecności króla Agryppy, które według francuskiego bibliisty jest na wskroś esseńskie. Bardziej jeszcze frajpujące podobieństwa można spostrzec w Ewangelii Jana i w Apokalipsie, tak że nie będzie od rzeczy skonstatować, że autor ich musiał mieć jakiegoś bardzo zażyłe stosunki z gminą esseńską, która zapewne po zburleniu Jerozolimy powstała w Efezie, gdy on tam również przebywał. „W Nowym Testamencie jest także mnóstwo śladów oddziaływania esseńskiego, że nie sposób ich tu omawiać bliżej. Warto tylko dodać, że nawet kodeks moralny chrześcijaństwa, ujęty w ramach „Kazania na górze”, jest zadowijająco podobny do odpowiednich maksym wyrażonych w zwojach kumrańskich. Toteż Daniellou, zdumiony tymi podobieństwami, nie wahał się oświadczyć, że należałoby właściwie mówić o „essenizmie chrześcijańskim”. Nawet już Renan, przeuczający chrczy tej zależności prawie sto lat przed odkryciem zwojów, wyraził się lapidarnie, że „chrześcijaństwo jest essenizmem, któremu się powiodło”.

Fascynujące są również powiązania esseńsko-chrześcijańskie natury personalnej. Rozpoczyna ten poczet Jan Chrzciciel. Łukas pisze, iż „dziecię rosło i umacniało się w duchu i przebywało w miejscach pustynnych” (1,80). Kardynał Daniellou, który nadal będzie naszym przewodnikiem w tej sprawie, zaznacza, że trudno uwierzyć, aby dziecko miało się wychowywać na pustyni w dosłownym tego słowa znaczeniu, i uważa, że „pustynia” nazywano po prostu klasztor w Qumran. Wymy też, że esseńczycy, żyjąc w stanie bezżennym, uzupełniali narybek klasztoru drogą adopcji chłopców z pobocznych rodzin żydowskich. Zapewne również Jan Chrzciciel, oddany przez ojca, kapłana Zachariasza, do klasztoru, tam spędził lata dorzeczania i stał się w końcu pełnym esseńczykiem. Taką właśnie adopcję potwierdza do pewnego stopnia ten fakt, że „Benedictus”, hymn śpiewany przez Zachariasza przy narodzinach syna (Łk. 1,68-79), pelen jest uderzających analogii z hymnami esseńskimi znalezionymi w Qumran. Za też kardynał Daniellou przemawia także i to, że Jan, jego surowy ascetyzm, apokaliptyczne wizje dnia sądnego i wyzwanie do pokuty, jego celibat i oddziaływanie się pieczęcią szarańcza - to podobizna o typowych cechach esseńskiego anachorety.

Ewangelista Łukas donosi, że Jan i Jezus byli bliskimi krewnymi. Nic przeto dziwnego, że gdy Jezus poczuł swoje przeznaczenie, udał się naprzód w pielgrzymkę do krewnego, który wówczas sływał już jako prorok głoszący bezkompromisowo swoją prawdę. Czego się spodziewał po nim? Wiemy z ewangelii, że pragnął być ochrzczony. Ale obrzęd chrztu nigdy nie był praktykowany w ortodoksyjnym judaizmie, był to rytuał inicjacyjny, sprawowany wyłącznie w essenizmie. Następnie spędził Jezus czterdzieści dni na pustyni i tu znnowu nasuwa się myśl, że „pustynia” jest skrótowym określeniem klasztoru kumrańskiego, gdzie Jezus zapewne odbył, jak byśmy to dziś powiedzieli, swoje esseńskie rekolekcje przed podjęciem działalności misyjnej. Nie bez znaczenia jest także to, że pierwsi uczniowie Jezusa pochodzili z otoczenia Jana, co świadczyłoby o bliskich związkach ideowych obu proroków. Jeśli do tego dodamy takie szczegóły, jak wybranie dwunastu apostołów aż Ostatnia Wieczerza z błogosławieniem chleba i wina - to układa nam się wszystko w logiczną całość.

Jednak wśród uczonych nie ma zgody, jeśli chodzi o wyprwadzenie z tego faktu ostatecznego wniosku. Niektórzy bibliści, jak Anglik E. Wilson czy Francuz Dupont-Sommer, usiłują dowieść, że Jezus i dwunastu apostołów nie głosiło nowej religii, lecz stanowiło tylko jedną z wielu gmin zakonu esseńskiego, z tą tylko różnicą, że nauka esseńska została w niej wzniesiona na wyższy poziom etyczny i iż jej członkowie, w przeciwieństwie do esseńczyków, uważali Jezusa za „Nauczyciela Sprawiedliwości” zapowiedzianego przez pisma święte.

Inni bibliści, mimo tych uderzających podobieństw, stanowco zaprzeczają, jakoby Jezus miał być esseńczykiem. Do tej grupy należy także Daniellou, który w ten sposób argumentuje: Esseńczycy byli głęboko przywiązani do Prawa, szczególnie jeśli chodzi o przestrzeganie surowych przepisów szabat. Tymczasem Jezus ponad szabat przonośi obowiązek humanitarnej, lecz w tym dniu chorych, wędruje przez pola i pozwala zrywać uczniom kłosa (Mt. 12,1-7). Ponadto wbrew zakazowi spożywania potraw rytualnie nieczystych, zasiada do wspólnego posiłku z

grzesznikami i celnikami, co było nad wyraz gorszące dla faryzeuszki i esenezyckiej. Trudno oczywiście polemizować z tymi argumentami, skoro w ogóle obracamy się w regionach spekulacji myślowych. Wydaje się jednak, że wymienione przez Danielou różnice bynajmniej nie wykluczają możliwości, że Jezus był esenezykiem, jeżeli wyjdziemy z założenia, że naprawdę był on pierwotnie członkiem zakonu, ale potem od niego odszedł. Po prostu wyłamał się spod legalistycznych rygorów esenizmu na rzecz jego humanitarnej i uniwersalistycznej pogłębionej wersji. Był esenezykiem zbudowanym, esenezykiem-reformatorem, którego stanowisko przedstawia postęp w ewolucji doktryn religijnych. Takich reformatorów znają dzieje wierzeń religijnych, zresztą różnic między Jezusem i esenezykami jest daleko mniej, niż na przykład między katolicyzmem a luteranizmem czy kalwinizmem. Jest przy tym rzeczą obojętną, czy Jezus formalnie był esenezykiem. Nam wystarczy, że wyrósł, jak to sam Danielou wykazuje i przynajmniej, z klimatu ideologii esenezyckiej, że rodzina Jezusa była według niego jedną z tych rodzin esenezyckich, które żyły w rozproszeniu po wsiach i miastach, nie podlegające takim rygorom, jak wspólnota majątkowa i żebractwo. Nie można wobec tego dźwicz się Angielskiemu bibliście E. Wilsonowi, jeżeli w pewnej chwili orzekł krótko i węzłowo, że „klastrowy w Qumran był jakby kolebką chrześcijaństwa”. Z ewangelii wynika, że Jezus wprawdzie pochwał ubóstwo i ganii bogaczy, nie zalecał jednak wspólnoty majątkowej jako niezbędnego warunku zbawienia. A jednak taki właśnie ustrój obowiązywał w pierwszej chrześcijańskiej gminie, w jerozolimskich nazareczykach. Toteż niektórzy bibliści słusznie zastanawiali się, skąd wziął się ten ustrój tak nagle w chrześcijaństwie. Zwroć uwagę na trzy zastanawiające fakty: na to, że stanowiąc na zasadę współżycia esenezycków, szczególnie w klastorzach w Qumran, na niewytłumaczalne pojawienie się w Dziejach Apostolskich grupy stu dwudziestu prozelitów chrześcijańskich, o których poprzednio nigdzie nie było mowy, a przede wszystkim na to, że przełożonym gminy został Jakub, a nie wytypowany przez Jezusa Piotr. Opierając swoje rozumowanie na tych przesłankach, owe bibliści wypowiedzieli się za następującą tezą: Jakub prawdopodobnie był pierwotnie esenezykiem. Będąc bliskim krewnym Jezusa, jeżeli nie jego rodzonym bratem, odnosił się do niego zawsze z dużą rezerwą, może nawet z niechęcią. Był to sceptycyzm zrozumiały u człowieka, który znał Jezusa od dzieciństwa w warunkach szarej codzienności. Dopiero po jego ukrzyżowaniu, gdy zewsząd zaczęły dochodzić coraz to nowe wieści o pudy wstygu i jego zmartwychwstaniu, dał się powoli przekonać, że był on tym Mesjaszem, w którego przyjsię wierzyli także esenezyki. Przerzucając się na nową wiarą, pociągając za sobą owych stu dwudziestu braci, którzy przedtem tworzyli jedną z gmin esenezyckich pod jego przewodem. Tak można by tłumaczyć dziwny fakt ich raptownego zjawienia się jakby znikąd w narracji Dziejów Apostolskich. Na oparcie owej fascynującej tezy warto przytoczyć szereg innych jeszcze argumentów. Tak na przykład u esenezyckiej instancji kierującej była rada zakonna licząca dwunastu starszych, nad którymi sprawowało nadzór duchowy trzech kapłanów. Każdy z członków rady miał pod swoją opieką dziesięciu mniejszych braci. O taką podobne elementy z łatwością można dostrzec w organizacji pierwszej gminy nazareczyckiej jerozolimskich. Mamy tam również dwunastu członków rady, z tą różnicą, że nazywano ich apostołami. Przynajmniej istniały także dziesięciosobowe komórki podporządkowane poszczególnym apostołom, skoro sekta liczyła akurat stu dwudziestu wiernych. Natomiast odpowiednikami trzech kapłanów były apostołowie Jan, Piotr i Jakub, o których Paweł w Liście do Galatów (2,9 itd.) powiada, że uznawano w nich trzy filary Kościoła. Do przekonania przemawia poza tym fakt, że zarówno esenezyki, jak i nazareczyki posługiwali się identycznymi przydomkami zakonnymi. Jedni i drudzy nazywali się „Ubogimi”, „Braćmi”, „Świętymi”, „Wybranymi”, „Synami światła”, „tymi, którzy są w Mesjaszu”. Przełożonego gminy Jakuba nazywano „Sprawiedliwym”, co oczywiście przywodzi na pamięć „Nauczyciela Sprawiedliwosci”. Natomiast Piotr odwiedził w Lydzie „Świętych” (Dz. Ap. 9, 32), a więc przypuszczalnie esenezycków, którzy przyłączyli się do wyznawców Jezusa. Bibliści zapytywali siebie, jak to stać się mogło, że wśród dwunastu apostołów w Jerozolimie znaleźli się naraz Barnaba, Jakub i inni, których Jezus nie wyznaczył. Odpowiedź może być tylko taka: ich obecność była rezultatem kompromisu, polegającego na tym, że podczas fuzji obu sekt trzeba było z dwóch rad utworzyć jedną. W tej nowej sytuacji Jakub od razu zyskuje duży autorytet i stopniowo usuwa w cień prostodusznego i chwiejnego Piotra, aż w końcu wbrew intencji Jezusa odbiera mu przewodnictwo nad całą gminą. Miał przeciwko sobie sto dwudziestu zwolenników, którzy weszli do społeczności nazareczyckiej jako zwarta grupa organizacyjna, nie mówiąc już o tym, że on sam był mężem nieprzeciętnym i stanowczym w swoich przekonaniach, w dodatku otoczonym nimbem pokrewieństwa z Mesjaszem. Otóż on właśnie, zachowując werność zasadom esenezyckim, nie tylko poprowadził gminę jerozolimską na drogę ściśle

ortodoksyjnego judaizmu, ale obdarzył ją także ustrojem wspólnoty majątkowej, nigdy nie zalecał przez Jezusa. W tych warunkach nie będzie już dla nas żadnym zaskoczeniem, jeżeli dowiemy się, że mowa wygłoszona przez św. Szczepana w Jerozolimie zawiera uderzające podobieństwo z esenezyckim Dokumentem Damascenskim. W jednym miejscu wspomina on o prześladowaniach tych, którzy zapowiadali przyjsię „Sprawiedliwego” (Dz. Ap. 7, 52), co może oznaczać „Nauczyciela Sprawiedliwosci” utożsamianego z Jezusem Chrystusem. O Pawle, o wpływach esenezyckich, którym wyraźnie podlegał, pisaliśmy poprzednio. Warto tu jednak na zakończenie przypomnieć, że został on nawrócony w okolicach Damasku i wielu biblistów przypuszcza, że jego nawrócenie nastąpiło pod wpływem członków tamtejszej gminy chrześcijańskich, którzy, jak należałoby sądzić po odkrytym tam Dokumentie Damascenskim, byli pierwotnie esenezykami. Są teolodzy, bibliści i inni, którzy jakoś nie mogą pogodzić się z myślą, że doktryna chrześcijańska rozwinięła się stopniowo z dysydenckiej żydowskiej sekty esenezycków. Podane jednak poprzednio analogie są zbyt wymowne i zbyt liczne, aby mogły być rzeczą przypadkową. Dziś już większość biblistów, a wśród nich wielu pastorum protestanckich i kapłanów katolickich, nie może zaprzeczyć oczywistym faktom. Tak więc kardynał Danielou pisze, że duża część esenezycków przesłała na chrześcijaństwo przynosząc w darze kalendarz, którym się sekta esenezycka posługiwała, strukturę hierarchii, nowe obrzędy i sporą liczbę dogmatów, które następnie stanęły się dogmatami chrześcijańskimi. Essenizm więc w pewnej mierze był z pewnością pośrednikiem między judaizmem a chrześcijaństwem, ale nie należy zapominać, że również chrześcijaństwo wyrosło z judaizmu. A słynny badacz Biblii i pastor ewangelicki, Amerykanin A. Powell Davies tak oto wypowiada się w tej sprawie: „Pisma esenezyckie i Nowy Testament należą do tego samego gatunku literatury mesjanistycznej, do tego samego ruchu religijnego, do tego samego etapu rozwoju poglądów religijnych w judaizmie. Z judaistycznego ruchu esenezyckiego i chrześcijańskiego wyrosło w końcu chrześcijaństwo pozajudejskie Pawła i ludów hellenistycznych”

W ORBICIE HELLENIZMU

Byłoby nieporozumieniem, gdybyśmy wyobraźni sobie, że Bliski Wschód dlatego, że został podbit przez legiony rzymskie, stał intelektualnie, moralnie i kulturowo na niższym poziomie niż Italia. Wręcz przeciwnie! Natychmiast po podboju rozpoczął się niestanny proces infiltracji hellenizmu do kultury łacińskiej. Rzym zdobył wprawdzie supremację militarną nad Helladą, Azją Mniejszą, Syrią i Egipcją, padł jednak ofiarą pokojowego podboju przez ludy tych krajów, od czasów Aleksandra Wielkiego wciągnięte całkowicie w orbitę kultury greckiej. Język grecki rozbrzmiewał nie tylko w takich metropoliach, jak Aleksandria, Antiochia, Tars czy Efez, ale także na ulicach ówczesnego Rzymu. Co więcej, stał się modnym językiem wyższych sfer rzymskiego społeczeństwa, podobnie jak to było z językiem francuskim w Europie XVIII wieku. Do Italii wprowadzili go importowani niewolnicy zatrudniani w wyludnionych majątkach ziemskich i w pałacach patrycjuszy, a także napływający dobrowolnie rękodzielnicy, artyści, retorycy, filozofowie, pisarze i pedagogowie, szukający pracy w stolicy świata. Rosnąca wymiana handlowa sprawiła, że coraz więcej kupców Lewantu osiedlało się w Italii, Galii i Hiszpanii. Inteligenti, sprytni, ruchliwi niesłychanie szybko przystosowali się do nowych warunków, a ich kolonie stały się ośrodkami propagandy hellenistycznej kultury i hellenistycznych wierzeń religijnych. Ze oddziaływaniem hellenizmu sięgało tak szeroko i dogłębnie w społeczeństwo italskie, że geniusz łaciński ugiął się przed geniumsem greckim, niektórzy historycy poczytywali za symptom choroby, za jedną z głównych przyczyn stopniowego rozkładu antycznego Zachodu. Nic bardziej mylnego! To właśnie zhellenizowany Bliski Wschód był główną kuznią myśli ludzkiej. Tam właśnie najintensywniej fermentowało życie umysłowe, tam kwitła wiedza, sztuka i literatura, tam rozdzieliły się wielkie syntezy filozoficzne i religijne, usiłujące rozszyfrować tajemnicę bytu. Tak na przykład największą matematyką i astronom starożytności, twórcą systemu geocentrycznego Ptolomeusza oraz twórcą neoplatonizmu Plotyn byli Egipcjanami. Najlepszym dowodem tej żywności jest choćby fakt, że świat bizantyjski, bezpośredni spadkobierca hellenizmu, przetrwał Rzym o prawie tysiąc lat. Astronomowie, matematycy, artyści, pisarze i architekci, których przywykliśmy uważać za przedstawicieli kultury italskiej, pochodzili z takich krajów, jak Azja Mniejsza, Syria czy Egipt, gdzie nie tylko się urodzili, ale odebrali też całe swoje wykształcenie. Przykładem może być tu Apollodor z Damasku, architekt, któremu Rzym w dużej mierze zawdzięczał swoją świetność. Jako nadworny budowniczy Trajana i Hadriana wybudował on między innymi słynny Odeon, Forum Trajana, Naumachie, czyli olbrzymi cyrk wodny do inscenizowania bitew morskich, liczne mosty, gimnazjony i termy. Na tej liście nie można pominąć Galena, słynnego przybocznego lekarza cesarza

Marka Aureliusza, który pochodził z Pergamonu, a studia swe odbył w Smyrnie, Koryncie i Aleksandrii, tudzież największego po Tacycie i Swetoniuszu historyka rzymskiego, Ammiana, pochodzącego z Antiochii. W Rzymie działali ponadto, wymieniancy na wrywki tylko niektórych, złotousty retor, sofista i stoik Dio Chryzostom z Bitynii, satyrk i sofista Lukian z Samosatu rodem znad Eufratu, neoplatonik Porfiriusz oraz słynny mistrz mozaiki Dioskurides z Samos, znany ze wspaniałych mozaik, zdobywca odkryty wille Cyconera. W rodzinach patrycjuszki i bogatych wyzwoleńców istniał zwyczaj posyłania swoich synów na dalszą edukację do hellenistycznych szkół w Aleksandrii, Antiochii, Efezie, Tarsie i Atenach. I nic dziwnego, skoro podstawowe szkoły w Rzymie były prowadzone przez nauczycieli greckich w duchu hellenistycznym. W klasach niższych uczono dzieci obok łaciny również języka greckiego, ale już w wyższych klasach, gdzie głównym przedmiotem była retoryka, greka miała bezwzględnie wyłączność. System szkolny w Italii do tego stopnia trzymał się starych nawyków, że klasy niższe aż do samego upadku imperium nie przestały być dwujęzyczne. Miarą tej hellenistycznej supremacji może być wśród ludu innych przykładów i to, że Wergiliusz, pisząc Eneidę, pozostawał w dużej zależności od eposów Homera, że Pliniusz Starszy w encyklopedycznym dziele Historia naturalna korzystał pełną garścią z 327 autorów greckich, że Hadrian pisał epiogramy po grecku, a cesarz Marek Aureliusz okazywał taki entuzjazm dla kultury hellenistycznej, że przygnał do jego osoby uszczypliwy przydomek „giaeculus”. Tej fascynacji społeczeństwa italskiego, czy, jeżeli ktoś woli, modzie lub snobizmowi, nierzadko próbowano położyć tamę. O uwolnieniu się z grezyny i stworzeniu literatury wyłącznie łacińskiej marzył między innymi Cyconer. W swojej pracy O wróżbiarstwie rozmyśla „jako to byłoby dla Rzymian rzecz wspaniała i chlubna, gdyby mogli w zakresie filozofii obejść się bez dzieł greckich” (11,2,5-6). Brutus pochwalili go za to że tłumaczył dzieła greckie na łacinę i cytaty zawsze podawał nie w oryginale, lecz w wytwornym przekładzie ojczystym. „Dzięki Cyconerowi - pisał zbyt pochopnie - jedyna dziedzina, w której zwyciężona Grecja dotąd jeszcze przewyższała Rzym, została jej odebrana, lub przynajmniej musiała się ona z Rzymianami tą sławą podzielić”. Żeby zrozumieć, dlaczego tak właśnie działo się w Rzymie, należy zdać sobie sprawę ze stopnia hellenizacji, której ulegał ówczesny świat poza granicami Italii. Po zdobyczach Aleksandra Wielkiego wszystkie kraje położone w basenie Morza Śródziemnego rozbrzmiewały językiem greckim. Był to język uniwersalny, język mas ludowych, a także ludzi wykształconych. Wszędzie na tych olbrzymich obszarach greka filozofia, grecka sztuka, grecka etyka i grecka religia panowały suwerennie nad życiem obyczajowym i umysłowym tych etnicznie różnorodnych ludów, jednocząc je - dzięki swojej atrakcyjności, bogactwu intelektualnemu i głęboko ludzkiej treści - w uniwersalną społeczność, impregnowaną na wskroś jednolitą kulturą hellenicką. Nie sposób wyrobić sobie trafnego obrazu owych czasów bez uświadomienia sobie, że hellenizm trwał kilkaset lat, że dzięki niemu ludzkość przeżywała jeden z najświetniejszych, najbardziej twórczych okresów w swoich dziejach, okres pod wieloma względami przypominający żywo renesans. Tego kardynalnego faktu nie wolno również lekceważyć, jeśli pragniemy zrozumieć, dlaczego Palestyna stała się dwujęzyczna, dlaczego mogła tam powstać potężna federacja wolnych miast greckich, dlaczego w Galilei Żydzi byli w mniejszości, a nawet w samej Jerozolimie język grecki nie tylko słyszano na ulicach miasta, ale nawet istniały synagogi, w których Torę czytano w przekładzie greckim. Niektórzy bibliści, jak to już wspominaliśmy, wyrazili przypuszczenie, że Jezus będąc Galilejczykiem musiał chyba mówić po grecku. W jakimże bowiem języku mógł rozmawiać z Poncjuszem Pilaćtem? Hellenizacja Palestyny była z przyczyn geopolitycznych nie do uniknięcia, skoro stała się ona faktem dokonanym w Syrii i Egipcji, a Palestyna była pomostem między tymi krajami. Nie znaczy to, rzecz oczywista, że ów niepowstrzymany napływ kultury greckiej przyczynił się do całkowitego rozmycia lokalnych atawistycznych nawyków i zabobonów. Przykładu takiej symbiozy jakże odrębnych światów dostarcza nam na przykład Gadera. W tym mieście, leżącym na południowo-wschodnim brzegu Jeziora Galilejskiego, Jezus według opowiadania synoptyków rzekomo miał wpedzić demony w stado wieprzów, które w konsekwencji jak szalone wpadły do morza i utonęły. Otóż tam właśnie, w mieście, gdzie panowały tego rodzaju przesady, istniało równocześnie środowisko rodzących Greków, uprawiających w najlepszym guście filozofię i poezję. Tam między innymi urodził się satyrk Menippos, którego pisma wprawdzie zaginęły, ale którego naśladował jeden z najbardziej wykształconych Rzymian swego czasu Waron i z czelobitością cytował w swoich dialogach Lukian. Melaęger sporządził pierwszą antologię poezji greckiej zawierającą utwory 46 poetów począwszy od boskiej Safony. Łatwość i rozmach tej infiltracji w żywy organizm Palestyny tłumaczy się również tym osobliwym faktem, że Żydzi od dawien dawna lubili powoływać

się na rzekome pokrewieństwo ze Spartanami. Operali się w tym dość fantastycznym mniemaniu na liście króla Sparty Ariusza (309-266 r. p.n.e.) adresowanym do arcykapłana w Jerozolimie, w którym między innymi można było wyczytać następujące zdanie: „Znalezione w pewnym dokumencie, że Spartanie i Judojczycy są braćmi, jako że jedni i drudzy wywodzą się z Abrahama” (I Ks. Machab. 12, 20-23). A także na znacznie późniejszym liście arcykapłana Jonatana (II wiek p.n.e.), skierowanym do Spartan z braterskimi pozdrowieniami i z propozycją nawiązania, z racji pokrewieństwa, stosunków dyplomatycznych (I Ks. Machab. 12, 6-10). Wobec takich wierzeń i nastrojów trudno się dziwić, że już w IV wieku p.n.e. moneta arcykapłana, puszczone w obieg w świątyni jerozolimskiej, była niewolniczą imitacją monety attyckiej. W III wieku p.n.e. doszło do tego, że Biblię trzeba było przetłumaczyć na język grecki, ponieważ Żydzi przebywający w diasporze, szczególnie w Aleksandrii, nie potrafili czytać jej w języku oryginalnym. Szczyt tego procesu nastąpił w II wieku p.n.e., szczególnie za panowania króla Antiocha IV Epifanasa z dynastii Seleucydów. Wówczas Jerozolima stała się niemalże całkowicie grecka. W mieście zbudowano arenę, gdzie młodzież żydowska nago uprawiała atletykę, a wśród wędzów zasiadali kapłani z arcykapłanem na czele. Żeby nie wystawiać siebie na pomówienie, żydowscy młodzieńcy zakładali sobie sztuczne napletki, chcąc zataić, że są obrzezani. Arcykapłani Jazon i Menelaus zabiegając o poparcie sryjskich Seleucydów, proponowali przekształcenie judaizmu w religię sryjsko-hellenistyczną. Ortodoksyjni wyznawcy jahwizmu byli wówczas niewątpliwie w mniejszości i nie wiadomo, jaki potoczyłby się dalej historia Palestyny, gdyby nie fatalny błąd, jaki popełnił Antioch Epifanes. Był to władca rozmiłowany w sztuce, literaturze i filozofii greckiej, ale równocześnie uparty fantasta, który wbił sobie do głowy, że jego królestwo musi stać się na wskroś domoną jednolitą hellenistyczną kulturą. Gdy podczas wojny z Egipcją powstało w Jerozolimie stronnictwo sprzyjające wrogowi, postanowił za jednym zamachem pomścić zdradę i osiągnąć swój wymarzony cel polityczny. Wkroczywszy do Jerozolimy, sprawił przede wszystkim mieszkańcom krwawą rzeź, a potem wydał dekret zakazujący praktykowania religii żydowskiej. Nie wolno było pod groźmą śmierci święcić szabatu, trzymać w domu Biblii i obrzezać nowo narodzonych chłopców. W świątyni ustanowiono ołtarz poświęcony Zeusowi, składano ofiary z wieprzy i odbywano festyny na cześć Dionizosa. Nawet wprowadzono na wzór niektórych kultów wschodnich instytucję świątynnej prostytucji. Przemoć i bezprawie, jak to zwykle bywa, pociągnęły za sobą bohaterski opór i martyrologię. Oportuniści i ludzie indyferentni naraz stali się zagorzałymi patriotami i szermierzami jahwizmu. Z Ksiąg Machabejskich dowiadujemy się o masowych ucieczkach w skaliste okolicy Judei, o męczeństwie siedmiu braci i o tym, jak grupa licząca tysiąc zaskoczonych poddanych święcenia szabatu chasydów nie stawiała oporu zbirom królewskim i biernie ginęła od ich mieczy, ponieważ chciała pozostać wierna Prawu, które w szabacie zakazywało nosić broń, jak i też imać się jakiegokolwiek pracy reżecznej. Hasło do zbrojnego powstania dał kapłan Matatiasz (ok. 167-166 r. p.n.e.) ze swoimi pięcioma synami. Walki trwały ze zmiennym szczęściem przeszło trzydziście lat i skończyły się dla Judei zwycięsko. Wyloniła się z nich nowa dynastia królów żydzkich, zwana dynastią hasmonejską lub machabejską. Panowała ona do roku 37 p.n.e. Próba przymusowej hellenizacji Judei została utopiona we krwi, ale tylko na bardzo krótki czas. Spadkobiercy obrońcy jahwizmu Matatiasza, taki był paradoks historii, nie oparli się urokowi hellenizmu, który zewsząd na nich napierał. Ich dwory znou stały się ogniskami kultury greckiej. Za panowania Idmiejczyka Heroda Wielkiego zjawisko to osiągnęło swoje najwyższe nasilenie. Monarchę tego wyobrażamy sobie przede wszystkim jako ponurego despotę i mordercę własnej rodziny. Zapomina się przy tym o innych aspektach jego złożonej i fascynującej osobowości. Był to bowiem jeden z najzręczniejszych entuzjastów hellenizmu, sam mówił bezdłownie po grecku, a nawet otwarcie chlubił się, że jest więcej Grekiem niż Żydem. Na jego dworze stale przebywali greccy filozofowie, pisarze i artyści, którym chętnie mecenasował. Za pieniądze wyciśnięte z ludu palestyńskiego ufundował on słynną drogę kolumnową w Antiochii i popierał finansowo zawody olimpijskie. Poza tym zbudował niemalże w każdym większym mieście swego królestwa świątynię poświęconą kultowi cesarza Augusta, hipodromy, gimnazjony, teatry, amfiteatry i kapeliska publiczne. W Cezarei zorganizował walki gladiatorów, a w Jerozolimie wyścigi rydwanów i walki dzikich bestii. Największym jego dziełem była oczywiście świątynia jerozolimka. Ale nawet na to najświetniejsze miejsce Żydów wkroczyła sztuka grecka, bowiem ta wspaniała budowla ze swoimi portykami i kolumnami korynckimi była triumfem greckiej architektury. Na domiar wszystkiego Herod kazał tam zawiesić złotego orła, emblemat Zeusa. Dla uzupełnienia tego

obrazu trzeba jeszcze dodać, że również następcy Heroda byli gorącymi zwolennikami hellenizmu. Angielski orientalista G.A. Williamson, autor świetnej książki *The World of Josephus* tak to pisze: „Często wyobrażamy sobie Żydów jako mały naród w małym kraju, zamknięty w sobie, mówiący swym językiem, trzymający się z dala od innych narodów, czytający swoje Pismo Święte, broniący się przed obcymi wpływami. Prawda jest jednak inna. Wystarczy powiedzieć, że ogromnie dużo Żydów mieszkało poza Palestyną. Było ich prawdopodobnie więcej w Aleksandrii niż w Jeruzolimie. Można ich było spotkać w Syrii i Azji Mniejszej, w Egipcie, Armenii i Mezopotamii, w Libii i w Tunezji, na Cyprze, Sycylii i Kreecie, w Grecji i Macedonii, w Rzymie, a nawet w północnych Indiach i południowej Rosji. Wielu z nich mówilo ani po hebrajsku, ani po aramejsku; wielu z nich przyjęło obyczaje i kulturę tych ludów, wśród których żyło. Nawet w Palestynie prawdopodobnie tylko mniejszość była rygorystycznie judaistyczna. Reszta mówiła po grecku swobodnie, czytała literaturę grecką, przyjęła obyczaje i zwyczaje grecko-rzymskie, a wpływ kultury hellenistycznej widoczny był wszędzie, nawet w samej Jeruzolimie”. W innym miejscu Williamson stwierdza, że nawet język aramejski, będący wówczas podstawnym językiem Palestyny ulegał stopniowej hellenizacji, i obliczył, że w słownictwie aramejskim co piąte słowo było pochodzenia greckiego. Taką etymologię ma na przykład słowo „synagoga”, oznaczające dom modlitwy.

Nie zatem dziwnego, że największy myśliciel żydowski piszący po grecku, Filon z Aleksandrii (ok. 20 r. p.n.e. - ok. 50 r. n.e.), który chciał stopić w jeden system judaizm z platonizmem, pitagoreizmem, stoicyzmem i misteriozofią grecką, nazwał Żydów nie znających języka greckiego „barbarzyńcami”. Jednakże dla zrozumienia przyszłego chrześcijaństwa o wiele ważniejszy jest fakt, że nauczycielem Pawła był wielki uczony w Pśmie, Gamaliel, człowiek, który mówił płynnie po grecku i był przychylny hellenizmowi. Greka była bowiem językiem wyższych, wykształconych sfer żydowskich, a po aramejsku mówił tylko lud i zagorzali wyznawcy ortodoksyjnego judaizmu.

Charakterystyczna jest tu historia rabina ben-Abuja, który żył w II wieku n.e. W młodości, jak opowiada Talmud, przeczytał na Homera i od tej chwili zapłonął żarliwą miłością do literatury greckiej. Później zapoznał się też z filozofią grecką, która wydawała mu się znacznie doskonalsza niż rabinistycznie rozumiana o Prawie „halakach”. Postanowił więc poświęcić życie hellenizacji Żydów i podobnie jak św. Paweł wderował od synagogi do synagogi, wszędzie głosząc piękno hellenizmu i ganiąc talmudyczne zakłепienie umysłowe Żydów. Były to jednak czasy po zburzeniu Jeruzolimy, czasy rosnącego w siłę chrześcijaństwa. Żydostwo, czując się zagrożone w swoim istnieniu, dążyło do konsolidacji wewnętrznej, toteż filohellenistycznego rabina, utrudniającego tę konsolidację, obłożono w synagogach klątwą i zakazano nawet wymawiać jego imienia.

Wiemy już, że pierwsze gminy chrześcijańskie, które powstawały licznie poza jeruzolimskim sąściankiem, składały się z początku z tak zwanych „hellenistów”, to znaczy Żydów mówiących po grecku i wychowanych w klimacie kultury hellenistycznej. Do tej podstawowej grupy doszły rychło świeżo pozyskani dla nowej wiary autentyczni Grecy, Syryjczycy i przedstawiciele innych ludów zyjących w basenie Morza Śródziemnego, których łączyła żył wówczas jedna kultura hellenistyczna. W parę lat po zburzeniu Jeruzolimy chrześcijaństwo przestało mieć cokolwiek wspólnego z oficjalnym judaizmem. Rozumiemy teraz, dlaczego ewangelie i listy Nowego Testamentu pisane były po grecku. Nie mogło być inaczej. Po pierwsze, autorzy prawdopodobnie w ogóle tylko ten język znali, po drugie, Pismo Święte napisane po aramejsku lub łacinie było dla szerokiego rzesz wierzących chrześcijan niedostępne.

Nawet w Kościele rzymskim panowała greka i to nawet przez setki stuleci. Po grecku są napisane słynne listy pasterskie trzeciego z kolei biskupa Rzymu Klemensa (92-101 r.), greckie są prawie wszystkie znalezione napisy w katakumbach; w kościołach po grecku śpiewano psalmy, modlono się i czytano wersety z Pisma Świętego aż do VIII wieku. Hellenizm pozostawił głębokie piętno również w ewangeliach. Zygmont Poniatowski w Pierwotnym chrześcijaństwie (Zarys dziejów religii) zwraca uwagę na odkryty przez bibliistów fakt, że „...Łukasz wzoruje się na »Memorabiliach« Ksenofonta, natomiast głośny prolog jego Ewangelii - co przynajmniej według badaczy katolickich - jest z przynajmniej z prologu książki antiocheńskiego lekarza z I wieku n.e., Pedaniosa Dioskoridesa, pt. O materii lekarskiej”. W ewangeliach znajdujemy poza tym inne jeszcze rozległe zapożyczenia z literatury greckiej. Pisarz z XVIII wieku J.J. Wettstein zebrał całą kolekcję przysłów greckich wziętych z Herodota lub ze skarbicy Ezopa, które z mniejszymi lub większymi modyfikacjami zostały wchłonięte w tekst ewangelii. Dostały się one tam w sposób zupełnie naturalny, ponieważ krążyły wśród ludzi jako żywe elementy ówczesnego sposobu myślenia. Hellenizm do tego stopnia przeniknął umysłowość ówczesnych

chrześcijan, że jeden z biskupów Azji napisał poemat, w którym prosił Chrystusa, by pozwolił zaliczyć w poczet chrześcijan Platona i Plutarcha, a w Konstantynopolu kanonizowano Bakchusa i Hippolytosa, syna Tezeusza i ofiarę Posejdana. W I wieku n.e. nastąpiły, jak to już wiemy, ogromne przeobrażenia społeczne, polityczne i ekonomiczne we wszystkich krajach Bliskiego Wschodu, opanowanych przez legiony rzymskie. Z jednej strony kwitły tam manufaktury i ludzie bogacili się na dostawach towarów do triumfującego Rzymu, z drugiej strony rosły szeregi ludu upośledzonych: niewolników, chłopów i biedoty miejskiej. Wraz z upadkiem niezależnych państewek miejskich, nastąpił również zmierzch ich bogów. Antyczny świat wygasł, budziła się nowa era. Angielski historyk W. Tam w książce *Cywilizacja hellenistyczna* scharakteryzował ową sytuację w sposób lapidarny: „Wiele rzeczy sprzyściło się, by przesycać o losie bogów. Byli oni związani z miastem-państwem i wraz z nim ginęli. Dla ludzi wykształconych olimpijscy bogowie przestali istnieć, gdyż zabijała ich bogów filozofia. Przeszawali oni istnieć także dla współstawa, gdyż zabijał ich budzący się indywidualizm. Człowiek nie był już częścią składową miasta i nie zadowolwał się jakimkolwiek jego korporacyjnym kultem. Człowiek pragnął czegoś, co by przemawiało do niego samego”.

Ludzie mieli niejasne uczucie, że wszystko jest płynne i zdąża ku zagładzie, i utracili sens i podstawę życia. Świat w swoim kryzysowym położeniu wydawał się tak bezsilny, że jedynę wyście widziano w pomocy z zewnątrz, że świata nadprzyrodzonego. Rezultatem tego duchowego niepokoju i tęsknoty za odnową było to, że świat hellenistyczny zalała fala religijnego mistycyzmu, że mnożyły się i brały górę rozmaite kultury tajemne, które z wyjątkiem pochodzących z Tracji greckich misteriów dionizyjskich i orfickich przyszły ze Wschodu. Egipcjał dła świata Izydę, Ozyrysa i Serapisa; Syria Adonisa-Tammaza, Atargatis i różnych Baalów; Frygia boginię Kybele i Attisa; Persja Mitrę i boginią Isztar. Wszystkie misteria spłynęły szerokim strumieniem do wspólnego hellenistycznego tygla, wywołując ferment w całym imperium rzymskim. Istniały między nimi różnice zewnętrzne, w ich mitologii, historii, teologii i w rytualnych praktykach kultowych, a także w wartości etycznej głoszonych nauk. Natomiast wspólny był im wszystkim kult umierającego i zmartwychwstającego boga. Ich wtajemniczeni wierzyli, że człowiek składa się z nieśmiertelnej duszy i materialnej powłoki, że bytowanie na ziemi jest pasmem znoju i cierpienia, a prawdziwe życie jest gdzieś w krainie wieczystej szczęśliwości. Człowiek, przykuty do ziemi, nie jest mocen samodzielnie zdobyć zbawienia, może je uzyskać tylko przez łaskę boga. Misteria religijne ofiarowały mu pomoc w osiągnięciu tej łaski i tym samym nieśmiertelność w przyszłym życiu. Podobnie jak ich bóg umarł i powrócił do życia, wyznawcy jego wierzyli, że i oni zmartwychwstaną po śmierci. Jeden z hymnów tak oto pocieszał: „Bądźcie dobrej wiary, wtajemniczeni! Bóg ocalał! I tak po naszych cierpieniach osiągniemy zbawienie”. Niektóre misteria obiecywały nieśmiertelność nie tylko duszy, ale, podobnie jak w religii egipskiej, także i ciała, które miało zmartwychwstać razem z duszą. Chcąc uciec się o „soterię”, czyli o „zbawienie”, neofita musiał przejść przez próbę bardzo wspaniałego rytuału inicjacyjnego, polegającego na spełnianiu określonych czynności magicznych przypominających sakramenty. Tak na przykład kandydaci chrzestno wodą lub w mitraizmie, krwią ofiarowanego na ołtarzu byka. W tymże samym kulesie przyszły wtajemniczeni spożywał chleb sakralny i pił wino pomieszone z wodą. W ten sposób splukiwano z jego duszy wszelkie nieczystości i wskrzeszono go do nowego życia, aby mógł dostąpić łaski uzyskania duchowej, ekstazyjnej jedności z boskim Zbawicielem. Misteria religijne z biegiem czasu opanowały prawie cały obszar świata grecko-rzymskiego. Swą popularność zawdzięczały one nie tylko swemu tajemniczemu, urzekającemu czarowi, ale również tej okoliczności, że idealnie odpowiadały potrzebom ówczesnych, burzliwych czasów, gdyż podnosiły człowieka ponad jego życiowe troski w sytuacji zdawałoby się beznadziejnej, zapalały w sercach ludzkich iskry nowej nadziei. Pisarz francuski Ch. Haincelin, autor książki *Pochodzenie religii pise* ten temat, co następuje: „Misteria pogańskie wzruszały serca wiernych: bogowie cierpieli, umierali, po czym wstawali z martwych (to wyliczenie przypomina chrześcijańskie wyznanie wiary w Nicei). Ludzie cierpiący: niewolnicy, nędzarze i upośledzone kobiety w tym obrzędzie magicznym znajdowali odpoczynek, uspokojenie i pokrzepienie”. Bogowie, z którymi wtajemniczeni jednali się mistycznie, byli bogami bardziej zbliżonymi do ludzi, niż wiecznie młodzi, promieniący bogowie Olimpu. Ci pierwsi cierpieli i umierali, jak ich wyznawcy, a ich triumf nad śmiercią był zarazem wielką obietnicą nieśmiertelności dla wszystkich. Ból i rozpacz, oczekiwanie i radosne uniesienie oto uczucia, które bogów i ludzi zespały w zażyłym sakralnym porozumieniu. Misteria religijne były dostępne tylko dla nielicznych wybranych. Ze swoją tajemniczą obrzędowością przypominają one żywo łoże masonskie XVIII wieku,

a może nawet więcej średniowieczne bractwa kościelne. Pisarz rzymski Apulejus, autor słynnych *Metamorfoz*, opowiada, jak to nie szczędził starań, aby uzyskać przyjęcie do Kultu Ozyrysa. Mimo że pochodził z rodziny zamożnej, musiał długo o to zabiegać, gdyż nie miał tyle pieniędzy, aby opłacić kapłanów i pokryć koszty uroczystej inicjacji. Swoje marzenie ziścił dopiero wówczas, gdy jeden z kapłanów poraził mu, aby sprzedał przodziewiek, jaki miał na sobie, przekonywując go, że ubóstwo jest niewielką ceną za tak święty sakrament. Nie wolno jednak wysnuwać stąd zbyt pochopnych wniosków. Wbrew pozorom kultu umierających i zmartwychwstających bogów były emocjonalnie związane z masami ludowymi, gdyż ze swoimi okazałymi festynami, pełnymi splendoru procesjami, tańcami rytualnymi, dźwiękliwymi tamburynami i upajającą muzyką wychodziły wprost na ulicę, na spotkanie wszystkich bez wyjątku ludzi miasta. Gdy z nastaniem jesieni bóg schodził w krainę podziemia, nieprzebrane tłumy wiernych uderzały w rozpaczliwy lament i zawołały pogrzebowe pienia. Na wiosnę wszystko się odwracało: budzenie się boga ze snu śmiertelnego witano z frenetyczną radością. W tłumnym pochodzie mężczyzn, kobiet i dzieci kroczyli solemnym korowodem kapłani i wtajemniczeni kultu, wyróżniając się jednolitymi białymi, czarnymi lub barwnymi szatami, owieszonymi często amuletami, oraz wiankami kwiatów na głowie. Jakże uderzająco podobne są te sędziwe poglądy kultowe z procesjami kościelnymi, które do dnia dzisiejszego odbywają się w niektórych krajach, jak na przykład w Hiszpanii. Tlum płających i śpiewających pobożne pieśni wiernych, korowód kapłanów w szatach liturgicznych kąpiących od złota i srebra, wreszcie ów długi wąż fantastycznie poprzebieranych i zamaskowanych członków bractw pokutniczych, będących jakby odpowiednikiem „wtajemniczonych” - czyż nie jest to przypadkiem dalekie echo tamtych, sędziwych zwyczajów pogańskich? Starożytni autorzy opisują wrażenie, jakie wiewierały te wspaniałe procesje. Lukian z Samosot (II wiek) tak oto pisze o swoich wspomnieniach: „Odwiedziłem wielką świątynię Afrodyty w Biblos (Fenicja), w której odprawiano obrzędy na cześć Adonisa. Na pamiątkę jego męczeństwa ludzie biją się w piersi, białają i spełniają różne czynności rytualne, w całym kraju rozlega się lament. Po płaczach i lamentacjach urządzają Adonisowi pogrzeb, tak jakby nie żył. A następnego dnia rzucają piasek w powietrze i gołą głowę, podobnie jak to robią Egipcjanie, gdy umiera Apis”.

Najstarsze na świecie i najsławniejsze były uroczystości odbywające się co roku w Abydos w Egipcie. Tamtejsze sanktuarium było celem pielgrzymek niezliczonych tłumów wiernych, ponieważ przechowywano tam jako relikwie głowę boga Ozyrysa. Podczas tych uroczystości odgrywano podobny do średniowiecznych widowisk pasyjnych dramat liturgiczny, opisujący męczeństwo, śmierć i zmartwychwstanie egipskiego boga. Zwyczaj ten przetrwał się następnie do Attyki, gdzie podczas świąt ku czci Dionizosa odgrywano dramatyczne widowiska mające za temat mityczne losy tego boga. Z tych sakralnych widowisk wywodzi się późniejsza tragedia grecka. Fenomenalne, urzekające atrakcyjności wschodnich misteriów nie potrafiła się oprzeć nawet sama Italia, tak jak nie oparla się penetracji hellenizmu. Już pod koniec III wieku p.n.e. Rzymianie zaczęli czcić frygijską boginię Kybele pod nazwą Magna Mater oraz jej małżonka, boga roślinności Attisa. W 205 r. p.n.e. odbyło się w Rzymie, wśród radosnych okrzyków ludności, dymów kadzidlanych i śpiewów, uroczyste wprowadzenie Czarnego Kamienia, który według wierzzeń miał być przybytkiem bogini. Dla niej, jak też dla świętego kamienia zbudowano na szczycie Palatynu specjalne sanktuarium. Cesarz Klaudiusz (41-54 r.) pragnął podnieść kult Kybele i Attisa do rangi religii państwowej. Próba wprowadzenia spełzała na niczym, mowi nam jednak, jak silne były w Italii wpływy wschodnich idei religijnych. Większy jednak sukces odniosła w społeczeństwie italskim Izйда. Już w drugim stuleciu p.n.e. kult tej egipskiej bogini i małżonki Ozyrysa, umierającego i zmartwychwstającego boga - pojawił się na Sycylii, w Kampanii i w końcu w samym Rzymie. Archeologicznym dokumentem owego triumfalnego pochodu są głośnie malowidła ściienne, odnalezione w jednej z odkopanych willi pompejańskich. Senat rzymski wydał czcicielom Izydę bezwzględna walkę, burząc jej sanktuarium i posagi. W 19 r. n.e. Tyberiusz wszczął nawet okrutne przesładowania tych, którzy nie chcieli wyrzec się nowej wiary. Ale wszystko było daremne. Następcy Tyberiusza: Kaligula, Klaudiusz i Neron, oraz cesarze z domu Flawiuszów, Antoninów i Sewerów, ulegając nastrojom szerokiego rzesz społeczeństwa, wnosili Izydzie świątynie i posagi w samym sercu Rzymu. W początkach naszej ery, a więc w zaraniu chrześcijaństwa, egipska bogini dzierżyła władzę duchową nad rozległymi obszarami imperium, od Sahary do Brytanii, od gór iberijskich aż po same źródła Dunaju. Kult jej trwał przeszło pięć stuleci. Wiemy z kronikarskiego zapisku, że procesja na cześć Izydę odbyła się w Rzymie jeszcze w 391 r. Co więcej, pod koniec V wieku profesorowie i studenci

akademii w Aleksandrii demonstrowali publicznie swoją miłość i przywiązanie do pogańskiej bogini, mimo że miasto było już opapanowane przez Chrześcijaństwo i biskupów, którzy tam sprawowali władzę. Na czym polegała owa siła przyciągająca, która pozwałała Izydzie zniewalać nieprzebrane tłumy obcego etnicznie społeczeństwa i wytrwać tylu czasu na przekór przesładowaniom i wszelkim innym przeciwnościom? Powieściopisarz grecki Ksenofont z Efezu (żył na przełomie I w. p.n.e. i I w. n.e.) w jednym ze swoich opowiadań przedstawia ją jako opiekunkę wszystkich cnotliwych kobiet na świecie. Dotknął on w ten sposób sedna sprawy, gdyż istotnie kobiety uważały ją za swoją boginię i powiernicę, z którą mogły dzielić swoje najtajniejsze zale i radości. Żadna bogini olimpijska nie pozwałała na tego rodzaju osobiste zażyłości. Jedynie Izйда obrocila swoje miłosierne oblicze w stronę upośledzonych kobiet, a kobiety, jeśli chodzi o urabianie powszechnie opinii, zawsze były najpierwszą potęgą. Nie znaczy to jednak, że nie wielebiły jej również mężczyźni. W ich oczach była ona doskonałym uosobieniem wiernej małżonki, poświęcającej się matki, niewiasty cnotliwej, dobrej, przebaczącej krzywdy. Nazywano ją między innymi Matką Bożą i Królową Mór. Rzeźby i wizerunki malarские przedstawiały ją zawsze z dziećciakiem Horusem na kolanach, z obliczem pełnym słodyczy, zadumy i macierzyńskiej czułości. Ubierno ją w szaty bogate, ozdobne, obszyte złotem, srebrem i drogiemi kamieniami. I właściwie nigdy nie zesła z tego świata. Droga naturalnej kontynuacji i prostego przemianowania jej wizerunku stały się czynnami Madonnami z dziećciakiem, co bowiem w niej było arcyłudzkie i ponadczasowe, nie mogło zginąć. Najpóźniej zaszczępił się w Italii perski mitraizm. Wprawdzie nie znalazł on zbyt podatnego gruntu w świecie hellenistycznym, lecz ze Wschodu przyniósł się właściwie bezpośrednio do Rzymu, nie można go jednak pominąć milczeniem, gdyż znalazł on do tej wielkiej rodziny misteriów zbawienia, które stały niejako u kolebki chrześcijaństwa. Misjonarzami kultu byli żołnierze legionów rzymskich, niewolnicy nabyci na Wschodzie, kupcy azjatyccy i majtkowie okrętów handlowych. W krótkim czasie zyskał on sobie wyznawców w środowiskach patrycjatu i wysokiach urzędników imperialnych, a w końcu nawet u władców. Pod koniec II wieku wtajemniczony został Domitian, zaś w początkach IV wieku mitraizm stał się religią państwową cesarstwa, gdy w 307 r. na zjeździe w Carnuntum nad Dunajem współregenci imperium Dioklejan, Galeriusz i Licyniusz pertraktacje swoje uświetnili inauguracją świątyni poświęconej „patronowi imperium” Mitrze. Nawet cesarz Konstantyn Wielki, protektor chrześcijaństwa, wychowywał się w religii mitraistycznej i chociaż później odszedł od tego kultu, nie stał się zaraz chrześcijaninem w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz dopiero na łożu śmierci przyjął sakrament chrztu. Niezliczone archaiczne zreszty świątyni i posągów wykopane w Rzymie, szczególnie na miejscu, gdzie stoi Bazylika św. Piotra, w Londynie, nad Dunajem i nad Norem, wzdłuż północnego krańca Sahary i w dolinach gór iberijskich, dają nam wyobrażenie, jak ogromny zasięg miał kult Mity. W pewnym momencie wydawało się, że wżemie na górę nad swoimi rywalami i zdobędzie bezwzględna dominację w całym cesarstwie. Renan napisał, że „gdymby chrystyanizm został zahamowany w swoim rozwoju na skutek jakiejś śmiertelnej choroby, świat stałby się światem Mity”. Nielatwo ująć w krótkiej definicji to, co stanowiło się i słabość mitraizmu. Głównym źródłem jego fenomenalnego sukcesu było chyba to, że w jakiś sposób zaspokajał tęsknotę ludzi do sprawiedliwości i wewnętrznej czystości. Mitrą, wysłannik najwyższego boga, był typowym bogiem-zbawicielem, który przybył na ziemię aby wskazać ludziom drogę w walce z potęgami zła i ciemności. Spełniwszy swoją misję, zasiadł z towarzyszami do ostatniej wieczerzy, by potem wstąpić do nieba. Mitraizm wywodził się z perskiego dualizmu, według którego świat jest terenem ustawicznych zmagają władze Arymana i Ormuzda, uosabiających zło i dobro, przy czym walka ta odbywa się także w sercach i sumieniach ludzi. W myśl mitraistycznej eschatologii miał nastąpić koniec świata; ludzie dobzy mieli uzyskać nieśmiertelność nie tylko duszy, ale i ciała, natomiast grzeszników czekały wiekiiste meki w piekielnym ogniu Arymana. Liturgia mitraizmu była zawiła, uciążliwa i w pewnych aspektach nawet odstrasząca. Kandydatów umieszczano w komorze pod podłoga ołtarza, aby spłynęła na nich krew zabijanego byka. Musieli oni także przejść przez siedem stopni wtajemniczenia, symbolizujących przechodzenie duszy przez siedem niebios do najwyższego przybytku ludzi błogosławionych. Osobliwością tego kultu było to, że wtajemniczeni mogli być wyłącznie tylko mężczyźni. I właśnie fakt odręczenia od siebie kobiet, jak też i cała formalistyczna rytualna obrzędowość, zaprawiona częściowo barbarzyńskimi atawizmami, była między innymi zarodkiem jego klęski i zwycięstwa chrześcijaństwa. Jeżeli jednak trwał przeszło pięćset lat i z taką łatwością się rozprzecznił, to oczywiście musiały istnieć po temu przyczyny. Nakazując swoim wyznawcom walkę ze złem nie tylko w otoczeniu zewnętrznym, ale także w samym sobie, w swej

własnej naturze, mitraizm dał im świadomość grzechu i nadzieję odkupienia poprzez oczyszczenie własnego sumienia i nieustanną pracę nad ulepszeniem świata. Była to więc niewątpliwie religia o wysokich walorach etycznych, chociaż nie dorównywała pogłębiomym zasadom etycznym stoicyzmu czy chrześcijaństwa. Głosiła ona na przykład nakaz braterstwa wśród twajemniczonych z tej racji, że byli oni synami jednego boskiego ojca, co jednak nie dorastało jeszcze do szczytnej idei uniwersalistycznie pojętej miłości bliźniego. Pod niektórymi względami mitraizm był zdumiewająco podobny do chrystianizmu. Na pamiętkę ostatniej wieszczery Mity przed jego wniebowstąpieniem, twajemniczeni zasiadali do wspólnej, sakralnej uczy, podczas której kapłan, wzywając odpowiednią formułę rytualną, błogosławił chleb i wino rozcieńczone wodą. Jednym z zasadniczych składników inicjacji był, także chrzest wodą oraz symbolicznie odegrany dramat śmierci i budzenia się do nowego życia. Nawet strój liturgiczny kapłanów przypominał dzisiejszy strój duchownych rzymskokatolickich. Te podobieństwa spostrzegli już z niejakim zażenowaniem Justyn Męczennik i Tertulian, widząc w nich złośliwie dzieło szatana. Tertulian napisał: „diabeł także chrczi niektóre osoby, swoich wiernych, to na również czyni znak krzyża na czole swoich żołnierzy, celebruje ofiary chleba, przynosi obraz zmartwychwstania”. Poprzezaliśmy tu na krótkowym opisie niektórych tylko z licznych misterii religijnych, podkreślając to, co w nich wszystkim było wspólne i co nas specjalnie interesowało. Obraz epoki byłby jednak niepełny, gdybyśmy nie uwzględnili w nim roli ówczesnych greckich szkół filozoficznych, tak znanymi dla hellenizmu. Jednakże tu znowu ograniczamy się do scharakteryzowania tylko jednej z nich, mianowicie stoicyzmu. W tym wyborze kierowaliśmy się następującymi względami: na pierwsze, stoicyzm w ówczesnych czasach miał chyba najwięcej adeptów; po drugie, w rzeczywistości był w tej samej mierze religią, co filozofią; po trzecie, wpływu jego etyki na chrystianizm nie kwestionują nawet najbardziej dogmatyczni pisarze kościelni. Założycielem szkoły stoickiej był Fenicianin, Zenon z Kitium na Cyprze (ok. 336-264 r. p.n.e.). Był to człowiek ascetyczny, skromny, niesmiały, znany powszechnie z łagodnego i szlachetnego charakteru. Wśród współczesnych wzbudzał jednak czasem zgorszenie, dopuszczając do swego towarzystwa nędzarzy i niewolników. Do pewnego stopnia więc przypominał pod tym względem postać Jezusa. Zenon, wielki, twórczy myśliciel, był w gruncie rzeczy również wielkim upośtą. Marzeniem jego było, aby cała ludzkość porzuciła przemienie i państwow partokuluryzmy i złączyła się w jedno państwo światowe, w którym panowałyby wolność, braterstwo i ogólna miłość. Według niego człowiek mądry i cnotliwy poddaje się woli bożej i żyjąc zgodnie z naturą uzyskuje najwyższy stopień szczęśliwości duchowej. Kamieniem węgielnym jego filozofii była więc nauka o odpowiedzialności człowieka wobec innych ludzi, solidarności ze światem, ale przede wszystkim po raz pierwszy w tak skrytykowany sposób wyrażona uniwersalistyczna miłość bliźniego.

Myśl tę w wersji bardziej jeszcze wysublimowanej podjęli stoicy działający w Rzymie, piszący jednak po grecku. Wymienimy tu przede wszystkim Epikteta (ok. 50-130 r.). Ten ulomny, poniewierany niewolnik, następnie wyzwolenciel i faworyt Nerona, wygnany w 95 r. przez Domicjana i Italii wraz z innymi filozofami, nauczał, że Bóg jest ojcem ludzkości, że wobec tego ludzie są braćmi i powinni się wzajemnie kochać, nie wykluczając nieprzyjaciół. Domagał się nawet równości dla niewolników, ponieważ są oni jak inni ludzie synami bożymi i naszymi braćmi. Tym samym zbliżył się do najwyraźniej do chrystianizmu, tak że św. Nil żyjący w V wieku, uważał za możliwe przerobić jego teksty na podreknik życia klasztornego. Inny stoik, cesarz Marek Aureliusz (121-180 r.) w swoich po grecku napisanych Rozmyślaniach wyraził identyczną zasadę moralną, streszczającą się w następującym zdaniu: „Człowiek powinien kochać nawet tych, którzy wyrządzają mu krzywdę, gdyż nie wiezda oni, co czynią”. Stoicyzm nie mógł jednak w tej dziedzinie rościć sobie prawa do pierwszeństwa. Jest to bowiem idea nurtująca pokolenia ludzkie od zamierzchłych czasów. Już bowiem w VII wieku p.n.e. jakiś skryba czy myśliciel w Babilonie wyrzył na tabliczce klinowej taką oto sentencję moralną: „Temu, kto krzywdzi, odpowiedź dobrocią”. Zydzi, których związki z Mezopotamią były bogate i płodne w historyczne światy, podjęli następnie ową idee moralną w drodze dziedzictwa i wyrażali ją w mniej lub bardziej uniwersalistycznie sensie przez usta swoich proroków i uczonych w Piśmie. Tak na przykład w Proroctwie Izajasza pojawia się ona w następującym wersecie: „Uczcie się dobrze czynić, szukajcie sądu, wspomnicie ucischność, czynicie sprawiedliwość sierocie, bronić wdowcy” (1,17). Szczególnie znana jest wypowiedź jednego z największych uczonych judaizmu Hillela (75 r. p.n.e. - 5 r.n.e.). Gdy zapytano go, co stanowi istotę Tory, odpowiedział: „Nie czyni drugiemu, co tobie nie mile. Oto całe Prawo!”. Późniejszy, nie mniej głośny uczeń, rabin Akiba (ok. 50-135 r.) powtórzył tę myśl w następujących słowach: „Kochaj swego sąsiada, jak

siebie samego”. Jak widzimy, dewiza moralna miłości bliźniego nie jest osiągnięciem wyłącznie chrześcijańskim. Gdy wypowiedział ją Jezus w ewangelii, była ona już końcowym, humanitarnie dojrzałym produktem długiej ewolucji, sięgającej początkami dalekich głębin przeszłości. Stoicy wierzyli, że wszechświat po upływie pewnego, niepojęcie długiego okresu zostanie pochłonięty przez boski ogień, skąd pochodził, aby w następnej fazie narodzić się do nowego, lepszego istnienia. W tej kosmicznej teorii zawarty jest apokaliptyczny obraz końca świata i wiara w nadejście nowego ładu na ziemi. Stoicyzm miał również duży udział w tworzeniu się nastrojów mesjanistycznych, wyrażających się w oczekiwaniu zbawcy. Dało się to odczuć w samym Rzymie na przełomie starej i nowej ery. Kazimierz Kumaniecki w Historii kultury starożytnej Grecji i Rzymu stwierdza, że świat antyczny gotów był do przyjęcia takiej religii, jaką było chrześcijaństwo. Antycypacja wielkich przemian w świecie zawarta jest na przykład w słynnej czwartej eklezje Wergiliusza, a w Eneidzie są nawet tak uderzające tendencje mesjanistyczne, że pisarz chrześcijański Laktancjusz nazwał Wergiliusza „pierwszym z naszych”, czyli pierwszym chrześcijaninem. Najbardziej jednak zdumiewająca jest pod tym względem jedna z bardzo poczytnych tragedii innego rzymskiego stoika, Seneki, nosząca tytuł Herkules na Oicie, o której Hainchein powiedział, że wiele jej fragmentów przypomina ewangelie. Jej bohaterem jest syn boży Herkules, który w postaci skromnego człowieka pojawia się na ziemi, aby ludzom przynieść pokój. Potem umiera jak zwykły śmiertelnik, ale dzień jego śmierci jest równocześnie dniem radości, spełniony bowiem swą misją wstępuje on w chwałę do nieba, wracając do swego ojca. W pismach Seneki spotykamy się poza tym z takimi stwierdzeniami, że Bóg jest naszym ojcem („Deus est parens noster”) oraz z ideą końca świata i zmartwychwstania. Nic przeto dziwnego, że niebawem zaczęto wierzyć, iż Seneka był chrześcijaninem Rzekoma jego korespondencja z Pawłem, podobna nieoparadnie przed jakiegoś mistyfikatora, cieszyła się pełną piętnymu poczytnością: nawet Tertulian i św. Augustyn nie wąpili w jej autentyczność. Ta z konieczności bardzo pobieżnie narysowana panorama hellenistycznych prądów religijnych nie byłaby pełna, gdybyśmy w niej nie uwzględnili faktu, że okres, kiedy rozwijał skrzydła i krzepnął ruch chrześcijański, charakteryzował się pełnym niezwykłej tolerancji synkretyzmem, zjawiskiem niezmiernie ciekawym i jedynym chyba w swoim rodzaju na przestrzeni całej historii ludzkości. Poszczególne kultury, mimo swego hermetyzmu, bynajmniej nie izolowały się od siebie. Wręcz odwrotnie! Ustawicznie oddziaływały na siebie i wzajemnie się przenikały koncepcjami teologicznymi i rytualizmem. Wyrazem tej żywej wymiany było osobliwe zjawisko, że z łatwością utożsamiano różne bóstwa, wychodząc po prostu z założenia, iż pod różnokrakimi imionami kryje się zawsze jeden i ten sam Bóg, wspólny wszystkim ludziom. Dionizosa identyfikowano z Ozyrysem, Izydę z Demeter, ba, nawet w niektórych środowiskach zhellenizowanych Żydów Azji Mniejszej Jahwe przybrał greckie imię Theos Hypsistos, jedno z imion Zeusa. Bywali ludzie w tych czasach, którzy zgłaszaali akces do różnych kultów, nie widząc w tym nic nagannego. Cesarz Hadrian tak oto pisał z Aleksandrii do konsula Serwianusa: „Tu czcicie Serapisa są chrześcijanami, a ci, co nazywają siebie biskupami Chrystusa, modlą się do Serapisa”. Historyk rzymski zaś Aelius Lampridius, współautor słynnego zbioru biografii cesarskich Historia Augusta, donosi o cesarzu Aleksandrze Sewerze, że miał w swojej domowej kaplicy stojące obok siebie posagi Chrystusa, Abrahama i Orfeusa. Dokumentacja historyczna owych nastrojów są ocalałe do dziś dnia tablice grobowe. Z ich napisów nie sposób często ustalić, do jakiego kultu przynależały zmarli. Frazeologia tych napisów jest taka, że mógł on być również dobrze wzywającą jakiegoś określonego kultu pogańskiego, co Jezusa Chrystusa, czy nawet obu religii naraz. Ow burliwy świat krzyżujących się prądów religijnych i filozoficznych był macierzystym światem także pierwszych pokoleń wyznawców Jezusa Chrystusa. W tych warunkach jest nie do pomyślenia, aby mogli oni nie ulegać jego wpływom, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego tylko 10 proc. ludności, jego przemiennej, nacelekrzyżowanej atmosferze duchowej. Zwłaszcza że w miastach i miasteczkach hellenistycznych byli wciąż jeszcze w zdedykowanej mniejszości. Historyk amerykański H.J. Muller autor znanej książki The Loom of History, pisze, że według oceny uczonych chrześcijanie stanowili za panowania Konstytanta Wielkiego

Mając na uwadze cały ten splot okoliczności, można z pewnym prawdopodobieństwem powiedzieć, że Paweł wierzył już w Chrystusa, zanim uwierzył w Jezusa. W każdym razie, jeśli nie wierzył świadomie, to od dawna chyba drzemał w nim obraz Zbawiciela, zapisany w jego podświadomości przez kultury religijne jego rodzinnego miasta. Idee, jakie te kultury emanowały, nasunęły mu pytania i refleksje na temat roli tradycyjnego żydowskiego Mesjasza w schemacie zbawienia ludzkości. I wówczas zdarzyło się coś, co spowodowało przewrót w jego życiu: wizja hellenistycznego Zbawiciela utożsamiała się w jego myśli z Jezusem, o którym dużo się nasłuchał. Na skutek tej fuzji, w której ideą żydowskiego Mesjasza nałożyła się na ideę Odkupiciela, śmierć pogańskich zbawicieli, powtarzająca się cyklicznie w mitach i widowiskach obrzędowych, stała się w osobie Jezusa jednorazowym, historycznym wydarzeniem, przemawiającym swoją realnością bardziej sugestywnie do wyobraźni i uczuć prostego ludu. Główny biblista francuski Alfred Loisy w książce *Misteria pogańskiej misteria chrześcijańskie* napisał: „Mit chrześcijaństwa jest wielkim dramatem zbawienia świata przez Chrystusa, mit, który Paweł pod wpływem mitów o bogu-człowieku wyczytał z prostej ewangelicznej historii Jezusa”. W podobny sposób scharakteryzował Pawła katolicki pisarz, autor książki *Paweł z Tarsu* Jean Steinmann, pisząc o nim, że przełożył przygodę galilejskiego Mesjasza na język Efezu i Koryntu. Idea, jaka zarysowała się w umyśle Pawła, mianowicie że Jezus był Bogiem i Zbawicielem, który swoją ofiarą na krzyżu odkupił grzechy ludzkości, była czymś zupełnie nowatorskim. U Żydów pojęcie Mesjasza było zupełnie inne. Nie miał on natury boskiej, nie był „Synem Bożym” w znaczeniu chrześcijańskim. Mesjasz w Starym Testamencie oznaczał wybitnego męża i proroka, obdarzonego przez Jahwe specjalną misją, ale jednak tylko człowieka. Nie miał on odkupywać ludzkości i otworzyć jej wstępu do nieba, lecz wprowadzić nowy ład i nowe królestwo izraelskie na ziemi. Tak również rozumiał go Szezezan, gdy wygłosił swoją słynną mowę przed Sanhedrem, tak pojmowali go judeochrześcijaństwo Jeruzolimy. Ich potomkowie, jak to wykazały odkryte dokumenty, oskarżali Pawła, że głosząc boskość Jezusa dopuścił się odstępstwa. Proces deifikacji Jezusa w sensie hellenistycznym znalazł swoje odzwierciedlenie w zmianie semantycznej, jaka dokonała się w żydowskim terminie Syn Boży. Określenie to nie miało za czasów Jezusa w Galilei i w Judei tego samego znaczenia, jakie obecnie mu przypisujemy. Syn Boży nie implikował boskości. Synami Bożymi byli wszyscy Żydzi, to właśnie różniło ich od innych ludów. W Deutoronomium Jahwe zwraca się do swego ludu: „Synami jesteście Pana, Boga waszego” (14,1), a u Izajasza czytamy: „Albowiem Pan mówi: Synów wychowałem i wywyższyłem” (1,2), w innym zaś wersecie: „Bóg rzekł: wzdycę są, ludem moim, są synami...” (68,8), wreszcie u Jeremiasza: „Nawróćcie się, synowie oporni...” (3,22). W drodze takiej właśnie synkretycznej kontynuacji zrodziła się w końcu wniosła doktryna, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym, posłanym na ziemię, aby przez cierpienie i śmierć na krzyżu zbawić ludzkość z pierwotnego grzechu, oraz wiara w drugie jego przyjście (paruzję) i w nastanie Królestwa Bożego na ziemi. W ten sposób powstał nowy dramatyczny mit, który nad misteriami pogańskimi miał tę przewagę, że był o wiele dojrzałszy etycznie i teologicznie, że pozostawał otwarty dla wszystkich bez wyjątku ludzi, biednych i bogatych, słabych i możnych.

Chryścianizm, jak starano się to pokazać, nie był czymś wyjątkowym i niewytłumaczalnym w dziejach ludzkości, nie był zjawiskiem nadprzyrodzonym. Powstał on drogą naturalnego wewnętrznego rozwoju religii, a nie przez cudowną ingerencję z zewnątrz. Jak wszystkie inne wierzzenia stanowi on pewien etap w ewolucji ogólnych koncepcji religijnych i w zmiennym wzrastaniu samoświadomości człowieka, rezultat linii rozwojowej, ciągnącej się od zamierzchłych czasów sumerskich do dnia dzisiejszego. Już w połowie XIX wieku twórca teologicznej szkoły w Tubingen, Ferdinand Baur napisał: „Istotą chrześcijaństwa nie jest osoba Jezusa, jest nią abstrakcyjna idea, wypracowana w całej swej rozciągłości w ciągu stuleci, które poprzedzały naszą erę”. A znany religioznawca belgijski Cumont tak oto zsumował wyniki swoich badań: „W miarę jak studujemy historię religii imperium rzymskiego, triumf Kościoła ujawnia nam się coraz wyraźniej jako kulminacja długiej ewolucji wierzeń”. Zdaniem tegoż autora: „Triumf chrześcijaństwa był rezultatem ewolucji, a nie rewolucji”. Wyniki badań naukowych pod tym względem są tak przekonujące, że nawet bibliści katolicy nie mogli ich negować. Usiłują oni teraz swoją tezę o nadprzyrodzonym, na skutek ingerencji bożej, pochodzeniu chrześcijaństwa, pogodzie z niezaprzeczanymi faktami ewolucjonizmu religijnego. Ks. E. Dąbrowski w książce *Nowy Testament na tle epoki* pisze: „Od czasów Taine'a przywykliśmy do rozpatrywania nie tylko dzieł literackich, ale i wielkich przemian ideowych na szerokim tle kulturalno-obyczajowym epoki, w której się zjawiają. Prawo ciągłości historycznej ma tutaj swe zastosowanie. I to bynajmniej nie w sensie jakiegoś złe pojętego ewolucjonizmu, nie uznającego

żadnej bezpośredniej ingerencji Bożej w rozwój wydarzeń, ale raczej w sensie ciągłości tam, gdzie ona istotnie miała miejsce, i zwrócenia uwagi na transcendentalność, gdzie w naturalnym rozwoju idei brak jest racji dostatecznej, która mogłaby usprawiedliwić przełom nie przewidziany żadnym programem i zaskakujący historyków swą oryginalnością. Tak, »oryginalność« i »transcendentalność«, to właśnie słowa na określenie rezultatu tych zmiennych poszukiwań prowadzących nas przez geografie, historię i kulturę epoki, w której zjawia się chrześcijaństwo z wielu swymi twierdzeniami, nie dającymi się zamknąć w ramach, żadnego systemu i nie nawiązującymi do żadnego rozwojowego łańcucha”.

Ks. E. Dąbrowski, jak z tych zdań wynika, nie zaprzecza, że historią ludzkości kierują procesy ewolucyjne, czyni to jednak z zastrzeżeniem, gdyż jako katolicki teolog daje wyraz obowiązkowej wierze, iż w naturalny strumień nieustannego rozwoju ingeruje niekiedy Bóg, przerywając ten łańcuch przyczynowy i nadając mu inny, niezrozumiały dla nas kierunek.

W jaki sposób poznajemy, że te czy owe wydarzenia „nie nawiązują do żadnego rozwojowego łańcucha”? Ks. E. Dąbrowski sądzi, że rozpoznawcze cechy takich wydarzeń to oryginalność i transcendentalność. Takie właśnie cechy posiada według niego chrześcijaństwo, który zjawiał się w pewnym okresie historii jak „deus ex machina”, w zupełnym oderwaniu od tego, co działo się przedtem i potem. Jednakże długie, żmudne badania naukowe, które w niniejszej książce z natury rzeczy przedstawiłmy w dużym skrócie, wykazały dowodnie, że pogląd ten podany jako aksjomat jest złudzeniem. Nie można bowiem mówić o oryginalności chrześcijaństwa, skoro jego rodowód najwyraźniej związany jest z prądami religijnymi judaizmu i hellenizmu, a nawet z religiami Persji, Indii i Mezopotamii. Mamy tu typowy przypadek nieprzerwanej ewolucji, sztafetowego niejako przejmowania spadku ideowego poprzedników, jego rozbudowy i pogłębienia. Wiadomo, jak ogromnie mało wiemy o życiu historycznego Jezusa. To, co przekazuje nam o nim Nowy Testament jest już rezultatem jego całkowitej mitologizacji, zacierającej prawie wszystko, co było w nim z rzeczywistego życia. W ten sposób stał się on jednym z archetypów powtarzających się w dziejach kultów religijnych, zatracając to, co właśnie ewangeliciści pragnęli uwydatnić: jego jedność i niepowtarzalność.

I należy chyba załować, że Jezus jako postać historyczna na zawsze pozostanie wielką tajemnicą. Nie poznamy nigdy człowieka, który musiał być osobistością niezwykłą, sugestywną, obdarzoną wyjątkowym charyzmatem, skoro potrafił swoją nauką dokonać takiego zwrotu w dziejach rodzaju ludzkiego, skoro niezliczone pokolenia wiernych pozostawały i pozostają pod urokiem jego imienia. Do strat zaliczyć chyba trzeba fakt, że przez deifikację zabrano Jezusa ludzkości, że pozbawiono go człowieczeństwa. Francuski pisarz i myśliciel marksistowski, autor głośnych książek filozoficznych, Roger Garaudy, wypowiedział w tym względzie tak słuszne i mądre myśli, że warto je tu przytoczyć: „To życie i ta śmierć stanowią... najwyższy wzór wolności i miłości. Ale trzymanie się litery Ewangelii odbiera życiu i śmierci Chrystusa to, co czyni z niego wzór dla ludzi, pozbawia go bowiem ludzkiego charakteru. Jego narodzenie nie jest już narodzeniem człowieka; nie jest już dla nas przykładem, ponieważ poczęcie przez Dziewicę odrywa go od jego roli człowieczej. I jego życie nie jest już życiem człowieka, skoro obdarza się go zdolnością cudotwórcy, jak w religiach pierwotnych. Nawet jego śmierć nam skradziono; ta wspaniała śmierć człowieka, który czuje się odpowiedzialny za losy wszystkich i który nadaje sens i wzniosłość swojemu życiu, składając je w ofierze całej ludzkości - nie jest już śmiercią, skoro każe mu się zmartwychwstać. W ten sposób odbiera się ludziom przykład jednego z najwspanialszych budźcieli wolności i miłości, wyrwa się go bowiem z prawdziwych dziejów ludzkości, by uczynić z niego nie człowieka, lecz mit podobny do innych mitów, istotę zrodzoną z Boga...”

Doktryna o nadprzyrodzonym pochodzeniu chrześcijaństwa, sięgająca swoim rodowodem samego zarania jego historii, w przekonaniu wielu współczesnych nie może się już ostać. Nie jest nam potrzebny cud w sensie wydarzenia łamiącego prawa natury, skoro te prawa same w sobie, są cudem i wielką tajemnicą, wobec której w głębokiej pokorze zapytujemy: co to wszystko znaczy? Doktryna ta jest poza tym w odniesieniu do człowieka pesymistyczna, gdyż jej przesłanką jest brak wiary w twórczą moc rodzaju ludzkiego. Dziś jednak nie sposób zaprzeczyć, że chrześcijaństwo powstało drogą naturalnego rozwoju wierzeń religijnych, nie zaś na skutek zewnętrznej, cudownej ingerencji. Motorem tego rozwoju był i jest samodzielny, heroiczny wysiłek niezliczonych pokoleń ludzkich dążących „per aspera ad astra”, ku coraz głębszej i szerszej samoświadomości w przyrodzie. Czyż ten niestrudzony, immanentny pęd człowieka ku nieznanej przyszłości nie jest większym cudem, niż naiwne pojęty cud osobistej ingerencji boskiej? Czyż chrześcijaństwo jako owoc skrzętnej pracy pokoleń nie jest bardziej podziwu godny, niż chrześcijaństwo darowany? Nawet ludzie wierzący, gdyby odsunęli na bok cuda i zastanowili się nad zdumiewającą drogą historii, nie powinni mieć trudności, by uwierzyć, że

chrześcijaństwo powstało drogą naturalnego rozwoju, z tym tylko, że w tym rozwoju widzieliśmy działanie woli bożej.